

JULIA NAVARRO

KREW NIEWINNYCH

Z hiszpańskiego przełożyła MAGDALENA PŁACHTA



Mojej matce, Martinie Elii Ferndndez, in memoriam, z wielką miłością. Dziękuję.

Podziękowania

Za każdą książką stoi, oprócz autora, wiele osób. Podczas długiego półtorarocznego pisania *Krwi niewinnych* mogłam liczyć na wspaniałomyślność, cierpliwość i pomoc Fermina i Aleksa oraz kilku kochanych przyjaciół, którzy wspierali mnie na duchu i byli zawsze przy mnie. Oto oni: Fernando Escribano, Margarita Robles, Carmen Martinez Terrón, Dolores Travesedo i Lola Pedrosa oraz moi kuzyni Juan Manuel i Mercedes.

Abraham Dar z oddaniem i cierpliwością pokazywał mi Izrael, ten dzisiejszy i wczorajszy - Izrael pierwszych kibuców - podsuwając mi odpowiednie książki, wyszukując potrzebną dokumentację oraz odpowiadając na wszystkie moje pytania i wątpliwości dotyczące sytuacji Żydów we Francji za rządów Vichy czy w Berlinie w pierwszych miesiącach drugiej wojny światowej. A, dając słowo, było tych pytań niemało.

Na podziękowanie za wsparcie i okazane mi zaufanie zasługują również: David Trias, Nuria Tey i Riccardo Cavallero; Luciano de Cea wraz z całym działem handlowym wydawnictwa Plaža y Janes; Alicia Marti i zawsze uśmiechnięta Leticia Roderó; Emilia Lope, która pomogła mi przepisać rękopis, i oczywiście Justyna Rzewuska, dzięki której moje powieści są dzisiaj czytane w ponad dwudziestu sześciu krajach. Brakuje tu miejsca, by wyrazić całą moją wdzięczność dla wszystkich pracowników wydawnictwa Plaža i Janes, za których sprawą moje powieści trafiają do rąk czytelników.

Mój pies Tifis, poczciwy i wierny owczarek niemiecki, towarzyszył mi na długich spacerach pozwalających uporządkować myśli podczas pracy nad tą książką.

Wyznaję, że bez rodziny i przyjaciół nie mogłabym zrobić nic, a już na pewno napisać powieści takiej jak ta.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Langwedocja, połowa XIII wieku

Jestem szpiegiem i boję się. Boję się Boga, w jego imieniu dopuściłem się bowiem czynów potwornych.

Ale nie, nie obciążam Go winą za moją niedolę, bo winien jest nie On, ale ja sam i moja pani. A w rzeczywistości winna jest ona i tylko ona, bo zawsze postępowała jak istota wszechwładna wobec wszystkich, którzy ją otaczają. Nigdy nie odważyliśmy się jej przeciwstawić, nawet jej mąż, mój dobry pan.

Niebawem umrę, czuję to w trzewiach. Wiem, że wybiła moja godzina, choć medyk zapewnia, że pożyję jeszcze długo, bo moja dolegliwość nie jest śmiertelna. Ale on bada tylko kolor tęczówki i języka oraz puszcza mi krew, by uwolnić ciało od szkodliwych fluidów, lecz nie potrafi uśmierzyć bólu, który ciągle czuję w żołądku.

Choroba trawi jednak nie moje ciało, ale duszę, bo nie wiem, kim jestem ani który Bóg jest prawdziwy. I służąc obu, obu zdradzam.

Piszę, by ulżyć memu umysłowi, tylko i wyłącznie po to, choć wiem, że gdyby te stronice wpadły w ręce moich wrogów, a nawet przyjaciół, oznaczałoby to dla mnie wyrok śmierci.

Jest zimno. Dusza mi przemarzła i pewnie dlatego nie potrafię rozgrzać kości, choć otulam się szczelnie peleryną.

Dziś z rana brat Peire przyniósł mi gorący rosół i próbował wlać w me serce trochę otuchy zapowiedzią zbliżającego się Bożego Narodzenia. Powiedział, że brat Ferrer chce mnie odwiedzić, poprosiłem jednak, by przeprosił w moim imieniu inkwizytora i przelożył wizytę na kiedy indziej. Oczy brata Ferrera przyprawiają mnie o zawroty głowy, a jego spokojny głos - o paniczny lęk. W koszmarach sennych słyszę, jak posyła mnie do piekła, ale nawet tam doskwiera mi ziąb.

Chyba zaczynam bredzić. Bo niby kogo obchodzi, że mi zimno?

Moja pisanina nie dziwi braci zakonnych. W końcu to moja praca. Przecież jestem sekretarzem Świętej Inkwizycji.

Moi drudzy bracia też niczego nie podejrzewają. Wiedzą, że pani kazała mi napisać kronikę tego, co dzieje się w tym zakątku świata. Chce, by pewnego dnia na jaw wyszły niegodziwości ludzi, którzy mienią się przedstawicielami Boga na Ziemi.

Wznoszę oczy ku niebu i widzę twierdzę Montsegur spowitą we mgle. Jej niewyraźna sylwetka przepelnia mnie lękiem.

Oczami wyobraźni widzę moją panią biegającą po zamku i wydającą rozkazy. Bo choć pani Maria przemieniła się w „Doskonałą”, rozkazywanie ma we krwi. Wolę nie myśleć o kłopotach, które by na nas ściągnęła, gdyby przyszła na świat jako mężczyzna.

Od czasu do czasu przez grube płótno namiotu dochodzi mnie donośny głos seneszala. Najwyraźniej Hugon z Arcis wstał lewą nogą. Zresztą komu dopisuje dziś humor? Jest zimno i śnieg zasypał dolinę i góry. Ludzie są zmęczeni, tkwimy tu już od maja i niewykluczone, że Pierre-Roger z Mirapoix wytrzyma oblężenie jeszcze przez wiele miesięcy. Panu Mirapoix sprzyja miejscowa ludność, która na widok seneszalowej brody gotowa jest biegać w tę i z powrotem do fortecy, znosząc prowiant i wiadomości od rodziny i przyjaciół.

Wczoraj otrzymałem list od mojej pani Marii. Wzywa mnie na spotkanie dziś w nocy. Być może mój niepokój wynika z tego, że muszę wypełnić jej rozkaz.

Jeden z miejscowych wieśniaków, zaopatrujący seneszala w kozi ser, zakradł się do mojego namiotu z listem od pani Marii. Jej wskazówki są wyraźne: po zapadnięciu zmroku mam się wymknąć z obozu i pójść do doliny. Stamtąd ktoś poprowadzi mnie jednym ze znanych mi już sekretnych przejść wiodących do Montsegur. Gdyby dowiedział się o nich Hugon z Arcis, zapłaciłby mi krocie za ich odkrycie, a może raczej kazałby mnie stracić za to, że przemilczałem ich istnienie.

Popołudnie dłuży mi się w nieskończoność. Ale słyszę kroki. Kto to może być?

- Jak się masz, Julianie? Brat Pierre zmartwił mnie wiadomością o dokuczającej ci gorączce.

Zakonnik zerwał się na równe nogi i objął wysokiego, krzepkiego mężczyznę, który bez uprzedzenia wszedł do namiotu. Był to jego brat. Julian przez chwilę poczuł się lepiej - jak w dzieciństwie, gdy obecność olbrzymiego brata, który jednym ruchem ręki powalał każdego, kto się napatoczył, dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Jednak Fernando najczęściej rozbrajał przeciwników swym łagodnym i ufnym spojrzeniem, które przyjaciół z kolei napełniało spokojem.

- Fernando! Skąd się tu wzięłeś? Tak się cieszę! Kiedy przyjechałeś?

- Dotarliśmy do obozu niecałą godzinę temu.

- Dotarliście?

- Ja wraz z pięcioma innymi rycerzami. Biskup Albi, Durand z Belcaire, poprosił wielkiego mistrza o wsparcie. Nasz brat Arthur Bonard to utalentowany inżynier wojenny, zresztą podobnie jak biskup.

- Jakiś czas temu nadciągnęły posiłki przysłane przez biskupa naszemu panu Hugonowi z Arcis. Nie wiedziałem jednak, że biskup poprosił o pomoc również templariuszy. Ten boży sługa lubuje się w wojnie i wymyśla maszyny bojowe oraz inne urządzenia do niszczenia przeciwnika.

- Mniemam, że nie brak mu również innych cnót... - uśmiechnął się Fernando.

- A jakże! Rozpala w żołnierzach ducha bojowego lepiej nawet niż sam pan z Arcis.

- Ho, ho, całkiem nieźle jak na biskupa - zażartował Fernando.

- Powiedz mi jedno. Czy i wy, templariusze, ścigacie *bonshommes**? Krążą pogłoski, że nie lubicie występować przeciwko chrześcijanom.

* *Bonshommes* (franc.) - „dobrzy ludzie” - tak nazywano katarów.

Fernando milczał przez chwilę. Potem westchnął i powiedział cicho:

- Nie wierz pogłoskom.

- To żadna odpowiedź. Czyżbyś mi nie ufał?

- Oczywiście, że ci ufam! Jesteś moim bratem! Dobrze, odpowiem ci. My, chrześcijanie, mamy potężnych wrogów, zbyt licznych, by wykrwawiać się, walcząc między sobą. Cóż złego uczynili *bonshommes*? Postępują jak prawdziwi chrześcijanie, wcielając w życie przykazanie ubóstwa.

- Ale nie uznają świętości krzyża! Nie widzą na nim naszego Pana.

- Odrzucają krzyż jako symbol, jako narzędzie tortur, na którym zginął Chrystus. Zresztą nie jestem teologiem, tylko prostym żołnierzem.

- I zakonikiem.

- Służę Bogu, wypełniając rozkazy świętego Kościoła, choć nie przeszkadza mi to myśleć. Nie lubię walczyć przeciwko chrześcijanom.

- Ani ty, ani członkowie twojego zakonu - podkreślił Julian.

- A czy ty lubisz patrzeć na kobiety i dzieci palone żywcem na stosie?

To pytanie przyprawiło Juliana o mdłości.

- Niech Bóg przyjmie ich do swego królestwa! - wykrzyknął i przeżegnał się.

- Kościół twierdzi, że ich miejsce jest w piekle - kpiąco zauważył Fernando. - Ale nie zdręczajmy się i bądźmy realistami. Ani tobie, ani mnie nie podoba się, że umierają niewinni

ludzie. A jeśli chodzi o templariuszy... Jesteśmy wiernymi synami Kościoła, wezwano nas, więc przyjechaliśmy. Inna sprawa, co zrobimy.

- Bogu niech będą dzięki! A więc jesteście, lecz jakby właśnie było...

- Mniej więcej.

- Jednak miej się na baczności, Fernandzie. Jest tu z nami brat Ferrer, który dopatruje się herezji nawet w milczeniu.

- Brat Ferrer? Przyznam, że to, co o nim słyszałem, nie napawa optymizmem. Co on tu robi?

- Przewodzi naszemu zakonowi. Obiecał wymierzyć sprawiedliwość i posłać na stos zabójców naszych braci.

- Masz na myśli dominikanów zamordowanych w Avignonet?

- W rzeczy samej. Udali się tam w poszukiwaniu heretyków. Towarzyszyło im ośmiu pisarzy, którzy padli ofiarą spisku. Rajmund z Alfaro, zarządca włości hrabiego Tuluzy w Avignonet, zezwolił na ich zabójstwo.

- Nie ma na to dowodów - zaprotestował Fernando.

- Czyżbyście podawali w wątpliwość prawdę, panie? - usłyszeli za plecami.

Odwrócili się zaskoczeni. Brat Ferrer wszedł właśnie do namiotu i przypadkiem usłyszał ostatnie słowa braci.

Fernando nie stracił zimnej krwi, mimo pełnego wyrzutu spojrzenia, jakim obrzucił go inkwizytor.

- Mam przyjemność z...

- ...bratem Ferrerem - odparł dominikanin. - Pytałem, czy podajecie w wątpliwość udział pana Alfaro w zabójstwie dwóch moich braci.

- Nie ma dowodów, które by jego udział potwierdzały.

- Dowodów!?! - ryknął brat Ferrer. - Przyjmijcie więc do wiadomości, że Rajmund z Alfaro zamknął moich braci w zamkowym donżonie, z dala od ludzkiego wzroku, gdzie nikt nie mógł przyjść im z pomocą. Wiedźcie również, że zostali zamordowani pod osłoną nocy przez oddział heretyków, którzy wyjechali właśnie stąd, z Montsegur, z tego gniazda podłości, które Bóg zetrze na miazgę. Kościół nie wybaczy takiej zniewagi. Ludzie ci, mniający się dobrymi chrześcijanami, to banda morderców.

Julian wpatrywał się w inkwizytora ze zgrozą, jak sparaliżowany. Fernando również mu się przyjrzał i uznał, że błędem byłoby szukać z nim zwady.

- Nie znam szczegółów tamtych wydarzeń. Ale skoro mówicie, że tak było, bynajmniej w to nie wątpię.

Inkwizytor wbił wzrok w Juliana, który wyglądał, jakby lada moment miał zemdleć.

- Brat Pierre odradzał mi wizytę u was, tłumacząc, że musicie wypoczywać, ale wykazałbym się brakiem chrześcijańskiego miłosierdzia i współczucia, gdybym nie przyszedł zapytać o wasze samopoczucie. Ale widzę, że macie towarzystwo, więc przyjdę później.

Brat Ferrer opuścił namiot równie szybko, jak do niego wszedł.

- Hej, czegoś się tak zląkł? Zbladłeś jak płótno - zaśmiał się Fernando. - Przecież to twój brat w Bogu.

- Ty... ty go nie znasz - wyjąkał Julian.- Nie chciałbym być na miejscu tych heretyków. Obawiam się, że jeśli czegoś brakuje bratu Ferrerowi, to litości.

- Wiesz zapewne, że twoja matka nadal przebywa w Montsegur i że towarzyszy jej twoja najmłodsza siostra?

Fernando spoważniał i pokiwał głową. Jego twarz wyrażała teraz niepokój. Na wspomnienie Marii nagły ból zalał mu piersi. Nigdy nie doświadczył jej macierzyńskiego ciepła, mimo że kochał matkę nawet bardziej niż ojca. Ta energiczna, wiecznie zabiegana niewiasta skąpiła swym dzieciom pieśczęt, mimo że je kochała i brała pod swe opiekuńcze skrzydła, troszcząc się o ich przyszłość.

- Ja... cóż... widziałem ją kilkakrotnie - wyznał Julian.

- To dla mnie żadna niespodzianka, zamek nigdy nie był całkowicie odcięty od świata. Wiadomo, że jej ludzie wydostają się z twierdzy sobie tylko wiadomymi przejściami. Nie tak dawno dostałem list od matki.

- Napisała do ciebie? - zapytał Julian ze strachem. - Tylko ona jest zdolna do czegoś takiego!

- Nie bój się. Moja matka jest sprytna, nie naraziła nas na niebezpieczeństwo. List dostarczył mi paź mojej siostry Marian. Jak wiesz, jej mąż, Bertrand d'Amis, służy hrabiemu Rajmundowi, dzięki czemu Marian często otrzymuje wiadomości od naszej matki. Skoro już tutaj jestem, chciałbym się z nią zobaczyć, choć nie bardzo wiem jak... Może mógłbyś mi pomóc?

- Wybij to sobie z głowy! Za coś takiego mój pan Hugon z Arcis niechybnie by cię zabił, a biskup obłożył klątwą.

- Znajdę jakiś sposób, mój drogi Julianie. Chcę przekonać matkę, by opuściła Montsegur, a przynajmniej pozwoliła na to mojej siostrze Teresie, która jest jeszcze podlotkiem. Wcześniej czy później zamek zostanie zdobyty, a wtedy... Tak, wiesz równie dobrze jak ja: nie będzie litości dla katarów. Spróbuję ją przekonać, jestem to winien naszemu ojcu.

Julian pochylił głowę zawstydzony. Nie mógł się pogodzić z tym, że jest nieślubnym synem Juana z Ainsy.

- No, Julianie, nie smuć się, głowa do góry!

Zakonnik usiadł. Sięgnął po dzban z wodą i zaczął pić łapczywie, nie częstując Fernanda. Ten czekał bez słowa, aż brat się uspokoje i będą mogli wrócić do przerwanej rozmowy.

- Widziałeś się z ojcem? - zapytał Julian słabym głosem.

- Przed wieloma miesiącami w drodze powrotnej do kraju zboczyłem z drogi i wstąpiłem do Ainsy, by odwiedzić naszego ojca. Spędziłem tam tylko dwa dni, ale mieliśmy okazję szczerze porozmawiać. On nadal kocha moją matkę, nie mniej niż w dniu zaślubin, i jej los spędza mu sen z powiek. Polecił mi je ratować - ją oraz moją najmłodszą siostrę. Obiecałem, że zrobię co w mej mocy, by opuściła Montsegur, choć obaj wiemy, że moja matka nie porzuci zamku i woli stanąć oko w oko ze śmiercią, bo niczego i nikogo się nie boi, nawet Boga.

- Został ojciec w dobrym zdrowiu?

- Jest bardzo chory, podagra prawie przykuła go do łóżka, poza tym cierpi na palpacje serca. Moja najstarsza siostra dogląda go troskliwie. Wiesz zapewne, że Marta owdowiała i wróciła z dwojgiem dzieci do domu rodzinnego pod opiekę ojca.

- Marta była zawsze jego oczkiem w głowie.

- Jest najstarsza z nas. Zresztą przez jakiś czas wydawało się, że będzie jedynaczką, bo moja matka długo po jej urodzeniu nie była brzemienna. Nie licząc, ma się rozumieć, innych dzieci spłodzonych przez naszego ojca...

- Tak, bękartów. Mój ojciec kochał Marię, choć nie przeszkadzało mu to zadawać się z dziewczkami.

- Twoja matka była bardzo urodziwa.

- Zapewne, nie dane było mi jej poznać.

Zamilkli pogrążeni w myślach. Chłodny powiew i chrząknięcie brata Pierre'a przywróciło ich do rzeczywistości.

- Przepraszam, panie Fernandzie, przyszedłem zapytać o samopoczucie brata Juliana. Nie wiem, czy jest na siłach spożyć wieczerzę razem z nami, czy może woli, by przyniesiono ją tutaj...

- Jeśli można, chciałbym zostać w namiocie - odrzekł Julian. - Kiepsko się czuję. Może sen przyniesie mi ulgę.

- Powiem medykowi, by zbadał was ponownie - powiedział brat Pierre.

- Tylko nie to, błagam! Nie zniosę kolejnego upuszczania krwi. Lepiej mi zrobi rosół i chleb moczony w winie. Jestem bardzo zmęczony, bracie Pierre...

- Nasz drogi Julian ma chyba rację - wtrącił Fernando. - Pozwólmy mu wypocząć. Krzepiący sen to najlepsze lekarstwo na wszelkie dolegliwości.

- Panie Fernandzie, mój pan Hugon z Arcis wraz z resztą rycerzy oczekują was na wieczerzy.- Zabawię tu jeszcze chwilę, póki nie przyniesiecie mojemu bratu rosołu, wina i chleba.

Dominikanin wyszedł pośpiesznie z namiotu zaniepokojony bladością swego współbrata. Wydało mu się, że dostrzega na jego twarzy - niech mu Bóg wybaczy - cień śmierci.

- Przepraszam, że sprawiłem ci przykrość - powiedział Fernando, gdy znów zostali sami.

- Nic się nie stało.

- Owszem, stało się, ponieważ bardzo cię cenię. Jesteśmy przyrodnimi braćmi, czy ci się to podoba, czy nie. Nie powinieneś cierpieć z powodu swego pochodzenia. Jesteś synem szlachcica, pana Ainsy.

- I służącej.

- Ślicznego i czarującego dziewczęcia, które nie miało innego wyjścia, tylko oddać się swemu panu. Nie ja ustalałem te zasady i bynajmniej mi się one nie podobają, ale wiesz równie dobrze, jak ja, że możni miewają potomstwo z nieprawego łoża. Zresztą miałeś szczęście, bo moja matka nigdy nie zapomniała o nieślubnych dzieciach męża ani o ich matkach. Postarała się zapewnić wam wszystkim odpowiednią pozycję, a o ciebie zatroszczyła się szczególnie. Wychowałeś się w naszym rodzinnym pałacu, razem ze mną wprawiałeś się w jeździe konnej, poza tym nauczono cię czytać i pisać. Moja matka kupiła ci nawet godność duchowną...

- Ale jestem bękartem.

- W oczach Boga wszyscy jesteśmy równi. Na Sądzie Ostatecznym nie będziesz pytany o chwilę i okoliczności twoich narodzin, ale o to, co zrobiłeś za życia.

Julian, zdjęty grozą, dostał ataku kaszlu. Na próżno Fernando podsuwał mu dzban z wodą.

- Uspokój się i pij! Na Boga, co ci jest?

- Sąd Ostateczny... Pójdę do piekła, wiem. Dominikanin trząsł się, po twarzy płynęły mu łzy. Rozpacz i lęk przemieniły sekretarza Świętej Inkwizycji w małe dziecko.

- Ależ Julianie! Co uczyniłeś, by tak mówić?

- Twoja matka... To z jej winy tak cierpię!

- Milcz! Jak śmiesz wygadywać takie potworności! Zakonnik znów zalał się łzami i padł na skromne posłanie. Jego ciałem wstrząsały konwulsje. Fernando nie wiedział, co robić. Cierpiał, widząc swego ukochanego brata, w którego obronie zawsze stawał, w tak strasznym stanie.

- Dobrze, że jest z nami rycerz Armand. To znakomity medyk, zresztą pogłębił jeszcze swą wiedzę podczas naszych wojaży na Wschodzie. Poproszę, by do ciebie zajrzał i ci pomógł. Teraz muszę już iść, wrócę jutro.

Fernando wyszedł z namiotu przygnębiony cierpieniem brata. Bardziej jednak niż choroba martwiła go jego rozdarta dusza.

2

Julian długą chwilę leżał skulony na posłaniu. Ani drgnął, gdy brat Pierre przyniósł mu rosół, chleb i wino. Udał, że śpi, by uniknąć kolejnej rozmowy na temat swego stanu zdrowia. Gdy kroki zakonnika ucichły, podniósł się i umoczył chleb w cierpkawym winie, które czasami podnosiło go na duchu. Duszką wypił rosół i znów się położył, czekając, aż umilkną odgłosy obozowego życia i będzie mógł wyruszyć na spotkanie z panią Marią. Wieśniak, który doręczył mu jej list, miał czekać za obozowiskiem i ścieżką wśród skał zaprowadzić go na miejsce spotkania.

Zbudził go szmer przy namiocie. Podniósł się raptownie, świadomy, że zasnął, choć nie wiedział, ile czasu tak przeleżał. Z trudem zwlekł się z posłania i sięgnął po dzban wody. Wypiwszy ją pośpiesznie, przemył twarz, wygładził pognieciony habit i wymknął się ostrożnie z namiotu, zdziwiony, że bicie jego serca nie postawiło jeszcze na nogi całego obozu pograżonego w ciszy i oświetlonego płomieniami ognisk, które miały złagodzić przenikliwy chłód zimowej nocy.

Przemknął między namiotami i skierował się w stronę lasu, pewien, że w każdej chwili z mroku wyłoni się wysłannik Marii.

- Spóźniliście się - zganiał go wieśniak, pojawiwszy się przed nim niczym zjawą. Był to pasterz kóz dobrze obeznany z górskimi szlakami.

- Nie mogłem przyjść wcześniej.

- Zaspaliście - stwierdził chłop, wyraźnie nie w humorze.

- Nie, nie zasnęłam, po prostu nie mogę opuszczać obozu, kiedy mi się żywnie podoba.

- Inni mogą.

- Proszę, proszę, kto by pomyślał!

- Dziwi was, że wśród zwerbowanych siłą żołnierzy są krewni tych na górze?

Julian nie odpowiedział. A więc Fernando mówił prawdę: obleżeni wchodzili do zamku i wychodzili z niego, gdy tylko chcieli.

- Gdzie oczekuje pani?

- Co to ma za znaczenie? Idźcie za mną i już.

Przez godzinę szli wśród wapiennych skał zwieńczonych olbrzymim kamiennym blokiem, na którego szczycie wznosiła się hardo, niczym wyzwanie dla ludzkiego oka, twierdza Montsegur.

Wieśniak zatrzymał się obok kępy drzew porastających stromą skałę. Julian, ledwie opanowawszy zadyszkę, stanął oko w oko z Marią.

- Synu, cieszę się, że cię widzę!

- Pani...

- Chodź, usiądź przy mnie. Mamy niewiele czasu, więc musimy go jak najlepiej wykorzystać. Opowiadaj, co dzieje się tam, na dole. Nasi szpiedzy donoszą, że Hugon z Arcis zgromadził dziesięć tysięcy żołnierzy. Mam nadzieję, że hrabia Tuluzy nie ulęknie się takiej siły i wypełni swe zobowiązania wobec tych ziem. Gra toczy się nie tylko o wiarę, ale również o władzę.

- Co chcecie przez to powiedzieć, pani?

- Jeśli Hugon zdobędzie Montsegur, nasze ziemie utracą niepodległość. Król polakomił się na nie, bo jego królestwo niewiele jest bez nich warte. Myślisz, że obchodzą go katarzy? Nie, synku, nie łudź się, tu walczy się nie o Boga, ale o władzę. O wcielenie naszych ziem do Francji.

- Papież chce wykorzenić herezję!

- Papież może tak, ale francuskiemu królowi jest wszystko jedno.

- Pani, mówicie takie rzeczy...!

- Dobrze, nie będę cię dłużej zamęczała wywodami, wolę posłuchać ciebie, to znaczy twoich odpowiedzi na moje pytania.

Przez godzinę Maria przesłuchiwała Juliana, wypytując go o każdy, najdrobniejszy nawet szczegół dotyczący wojsk Hugona z Arcis.

- A ty, Julianie, nadal jesteś *credente* *?

* *Credente* (lac.) - „wierzący”.

- Bo ja wiem!?! Jestem dezorientowany, sam już nie wiem, kim naprawdę jest Bóg.

- Jak możesz tak mówić? Czyżbym się co do ciebie pomyliła? Uważałam cię za inteligentnego chłopca, dlatego chciałam, byś pobierał nauki i został dominikaninem...

- Przecież chodzi wam tylko o to, bym zdradził mych braci!

- Chcę, byś służył prawdziwemu Bogu, nie szatanowi, w którym upatrujesz boga.

Julian przeżegnał się wystraszony. Maria dręczyła go swymi heretyckimi poglądami, siejąc zwątpienie w jego duszy. Dobrze pamiętał dzień, gdy wezwała go, by mu oznajmić, że odnalazła prawdziwego Boga i że od tej pory on również ma mu służyć. Wyjaśniła, że świat stworzyło poślednie bóstwo - demon - który uwięził prawdziwe anioły. Anioły te były ludzkimi duszami, które odzyskują wolność dopiero w chwili śmierci. Ciało, twierdziła Maria, jest więzieniem, najpotworniejszym z lochów. Bóg nie ma nic wspólnego z *terra oblivions** - jest stwórcą ducha, nie materii. Współistnieją dwa rodzaje stworzenia: zły i dobry, ziemski i duchowy. „Doskonali”, tłumaczyła jego pani, wskazują nam drogę ucieczki z więzienia ciała, by nasza dusza połączyła się w niebie z ową duchową cząstką, dzięki której znów staniemy się jedną całością.

- Widziałem się z Fernandem.

- Z moim synem?

- Właśnie z nim.

- Ma się dobrze?

- Tak, w każdym razie wszystko na to wskazuje. Przyjechał dzisiaj do obozu. Biskup Albi poprosił templariuszy, by wsparli go swymi machinami bojowymi, a jeden z rycerzy pobliskiej komturii jest doświadczonym inżynierem wojennym. Wasz syn przybył wraz z nim.

- Cieszę się, że jest tu, a nie na Wschodzie. Będę miała okazję się z nim pożegnać.

- Fernando pragnie was widzieć.

- Ja również chcę się z nim spotkać. Przyprowadzisz go.

- Ja? Rozkażcie jednemu z waszych ludzi...

- Na Boga, Julianie, ja nie rozkazuję!

- Ależ, pani...

* *Terra oblivions* (łac.) - ziemia obiecana.

- Musisz być mi posłuszny.

- Robię to od samego początku - zauważył smętnie Julian.

- Pisziesz kronikę, jak cię prosiłam?

- Tak, narażając przy tym życie.

- Nie powinieneś troszczyć się o ciało ulepione przez diabła. Pisz, synu, pisz, ludzie muszą wiedzieć, co się tu stało. Gdyby twój Kościół - ta Wielka Nierządnicza - mógł, wymazałby na zawsze pamięć o nas. Tylko jeśli pismo zaświadczy, że istnieliśmy, co robiliśmy i w co wierzyliśmy, nasza historia nie odejdzie w zapomnienie. Prawda przetrwa dzięki słowu pisanemu. Nie możemy pozwolić, by zniszczono wspomnienie o nas.

- Spisuję wszystko, co mówicie i co się tu dzieje. Ale muszę was uprzedzić, że Montsegur padnie. Nawet wasz syn nie ma co do tego złudzeń.

- A myślisz, że ja mam? Nie wierzę, by hrabia Tuluzy wytrzymał presję, pod jaką się znalazł. Rajmund chce, byśmy przetrzymali obłączenie, kazał nam się jednak zdać na własne siły i spryt.

- Hrabia przyrzekł ścigać heretyków...

- Hrabia chce ratować własną skórę i włości. My, heretycy, jak nas nazywasz, jesteśmy tylko pionkami w grze... jego pionkami. Nie zapominaj, że tu jest nasza ojczyzna.

- Wy, pani, pochodzicie z Aragonii.

- Tylko moja matka była Aragonką. Ojciec pochodził z Carcassonne, a i ja czułam się zawsze związana z tą okolicą. Tutaj się urodziłam i spędziłam dzieciństwo, stąd wyjechałam, by poślubić szlachetnego Juana, mojego męża, który, mam nadzieję, cieszy się dobrym zdrowiem.

- Wasz syn się z nim widział. Pan Juan ponoć trochę niedomaga, ale znajduje się pod troskliwą opieką waszej najstarszej córki, Marty.

- Życie potraktowało nas oboje bardzo łaskawie. On ma przy sobie Martę, ja Teresę. A z moich dwóch synów żyje nadal Fernando.

Maria zamilkła i przez chwilę wspominała zmarłego przed laty syna poległego z ręki innego rycerza. Tak, został jej Fernando, choć ten nigdy nie należał w pełni do niej. Może sama jest sobie winna, bo przez lata opłakiwała starszego syna, zaniedbując jego młodszego brata. Fernando opuścił dom rodzinny, by wstąpić do zakonu templariuszy i walczyć z niewiernymi. Maria wątpiła w szczerą wiary syna i podejrzewała, że za jego decyzją kryje się buntowniczy charakter, a nie powołanie. Ale za późno, by rozpamiętywać przeszłość, zwłaszcza teraz, gdy śmierć jest tuż-tuż.

- Spotkamy się tu za trzy dni. Dam ci wtedy list do męża.

- Nie będę mógł go doręczyć! Przed bratem Ferrerem nic się nie ukryje.

- Oczywiście, że będziesz mógł! Przecież jesteś sekretarzem inkwizycji! Nie daj się zastraszyć temu nikczemnikowi.

- Ale to właśnie on obłożył klątwą większość tutejszych rycerzy. Nie zawaha się, wyklnie i mnie.

- Zrób to, o co cię proszę!

- Pani, mam rozkaz pozostać u stóp twierdzy Montsegur, aż...

- Aż ją zdobędziecie i wytniecie w pień jej obrońców.

- Dlaczego nie uciekacie? Wasza córka Marian cieszy się dobrą pozycją na dworze Rajmunda. Jej mąż...

- Jej mąż jest równie małoduszny jak sam Rajmund, który troszczy się o własną głowę bardziej niż o cokolwiek innego.

- Ale Marian jest *credente*...

- Tak, przynajmniej moja córka mnie nie zdradziła. Ale teraz słuchaj i rób, co każę. Dam ci list do mojego męża. Nieważne, kiedy mu go doręczysz, upewnij się jednak, że go przeczyta. Oprócz tego masz przyprowadzić Fernanda. Co się tyczy twojej kroniki, gdy będzie już gotowa, przekażesz ją Marian. Ona przeżyje i przechowa naszą historię do czasu, gdy będzie można ujawnić ją światu.

- To może nigdy nie nastąpić - odważył się powiedzieć Julian.

- Nie pleć bzdur! Nawet król Francji nie będzie żył wiecznie. A Marian ma dzieci, które kiedyś będą miały własne dzieci. Najważniejsze, by nasza historia została spisana. To, czego nie ma na piśmie, nie istnieje. Nie możemy pozostawić naszych cierpień na łasce ludzkiej pamięci. Bóg mnie oświecił, każąc mi cię przygarnąć i nauczyć czytać i pisać.

- Pani, nie mogę przyprowadzić tu waszego syna.

- Fernanda? Niby dlaczego nie?

- Bo dowiedziałby się, że jestem zdrajcą. Jedno jego słowo i trafię na stos.

- Fernando nic nie powie, bo cię kocha jak rodzzonego brata. Zresztą nigdy by nas nie zdradził. Nie będzie mógł wyznać prawdy swym przełożonym, ale mimo trawiących go wyrzutów sumienia dochowa tajemnicy. Nie, nie, wyda cię. Ani ciebie, ani mnie. Jestem jego matką.

- Ale co mam mu powiedzieć?

- Część prawdy. Powiedz, że otrzymałeś ode mnie wiadomość i że się widzieliśmy. I że na wieść o jego przyjeździe zaczęłam błagać, byś go tu przyprowadził. Nie, lepiej nie mów, że cię błagałam, bo i tak nie uwierzy. Powiedz po prostu, że chcę się z nim widzieć. Przyjdziecie tu obaj za trzy dni.

- Przyślecie po nas?

- Oczywiście, jak inaczej chcesz tu trafić? Bez przewodnika skończylibyście niechybnie na dnie przepaści. A teraz idź i myśl o prawdziwym Bogu oraz o chwili, kiedy porzucisz krępującą cię skorupę.

Julian chciał zaprotestować, ale jego pani znikła. Przez chwilę czuł się zagubiony, gotowy uznać, że wszystko mu się przyśniło, a Maria była tylko senną zjawą. Jednak chrząknięcie wieśniaka przywołało go do rzeczywistości.

- Pospieszcie się. Dzisiaj pani zatrzymała was dłużej niż zwykle, a do obozowiska daleka droga.

3

Gdy dotarli do obozu, zza deszczowych chmur zaczynała już wyzierać jutrzeńka. W mroku namiotu ciągle żarzyły się dogasające węgle. Znużony Julian postanowił się zdrzemnąć, zanim na dobre rozpocznie się nowy dzień.

- Gdzie byłeś?

Skoczył jak oparzony na odgłos stanowczego pytania Fernanda.

- Wielki Boże, wystraszyłeś mnie!

- Na pewno nie tak, jak ja się przestraszyłem, nie zastawszy cię w namiocie. Przetrzęsnałem całe obozowisko, rozpytywałem, ale nikt nie wiedział, gdzie się zaszły.

- Oszalałeś?! Coś ty najlepszego zrobił! - zaczął biadolić Julian.

- No, nic się nie stało, lepiej powiedz, gdzie byłeś.

- Nie uwierzysz.

- Mój drogi, życie nauczyło mnie, że to, co niewiarygodne, stanowi nieodłączną część rzeczywistości.

- Zaraz po twoim wyjściu otrzymałem wiadomość. Fernando przyglądał się Julianowi z zaciekawieniem oraz ze współczuciem, jakie budziło w nim cierpienie malujące się na jego mokrej od potu twarzy.

- I to ona sprawiła, że w środku nocy i mimo choroby opuściłeś namiot?

- To była wiadomość od pani Marii - wyszeptał Julian.

- Od mojej matki... No tak, należało się spodziewać, że wcześniej czy później się do ciebie odezwie. Czy robiła to po raz pierwszy?

- Na Boga, Fernandzie, tak obojętnie przyjmujesz moje słowa! Twoja matka należy do „Doskonałych”, katarskich wtajemniczonych oddanych cnocie. Niewykluczone, że jest najbardziej wpływową niewiastą w Montsegur.

- Chyba przesadzasz. Choć znam moją matkę i daję głowę, że tylko nieliczni mają odwagę się jej sprzeciwić. No, ale co było w tej wiadomości?

- Pani Maria prosiła, bym spotkał się z nią poza obozem. Fernando roześmiał się, zdumiony odwagą swej rodzicielki. Po chwili serdecznie poklepał Juliana po plecach i siadł obok niego, gotowy wysłuchać jego relacji.

- Mów całą prawdę.

- Prawdę...? Sam już nie wiem, co tu jest prawdą. Pani dowiedziała się o twoim przyjeździe i poprosiła, bym cię do niej przyprowadził.

- Chwileczkę. Mówisz, że to było wasze pierwsze spotkanie? Jak w takim razie dowiedziała się o moim przyjeździe, skoro bawię tu dopiero od kilku godzin?

- Powinieneś wiedzieć, że Pierre-Roger z Mirapoix jest jednym z głównych dowódców na zamku, poza tym dopilnowuje zaopatrzenia twierdzy w żywność. Pan de Mirapoix jest krewnym Rajmunda z Pereille.

- Wiem, wiem, nie musisz mi tłumaczyć, z kim się mierzymy. To mężowie odważni i zdeterminowani.

- Jak możesz wychwalać naszych wrogów?

- Julianie, obruszasz się z byle powodu. Dlaczego odmawiać cnót ludziom, z którymi walczyliśmy? Oni mają swoje racje, my swoje.

- A Bóg? Po czyjej stronie jest Bóg?

Fernando zamilkł i zamyślił się. Potem spojrzał Julianowi prosto w oczy, wstał, wyraźnie nieswój, i wielkimi krokami zaczął przemierzać namiot.

- Dość tych pogawędek. To ty miałeś odpowiadać na moje pytania.

Mnich z rezygnacją spuścił głowę. Fernando zna go na wylot. Trudno będzie go oszukać, choć pani Maria nie pozwoliła wyjawiać mu całej prawdy. Mimo wszystko postanowił zastosować się do poleceń swej pani.

- Twoja matka przysłała wieśniaka, który pod osłoną nocy zaprowadził mnie pod zamek. Szliśmy bardzo długo, dwie lub trzy godziny, sam już nie wiem. Nóg nie czuję. Potem zza skał wyszła pani Maria i kazała mi przyjść tam z tobą za trzy dni. To wszystko.- Wszystko? Niewiele, jak na moją matkę - zauważył z niedowierzaniem Fernando.

- Aha, wspomniała jeszcze, że chce napisać list do twojego ojca i że ty mu go doręczysz.

Fernando obserwował Juliana w zadumie, pytając się w duchu, czy jego brat dotrwa w jako takim zdrowiu do planowanego spotkania. Albo jego współbrat Armand, pomyślał Fernando, wykryje trawiącą Juliana chorobę, albo ten niedługo już pożyje.

- A teraz zrobisz, co ci powiem - powiedział bratu. - Położysz się i nie będziesz wstawał aż do mojego powrotu. Późnym rankiem przyprowadzę mojego towarzysza Armanda. Już ci mówiłem, że jest znakomitym medykiem, na pewno ulży ci w cierpieniu. Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy wspominać komukolwiek o tym, co ci się przydarzyło tej nocy. W przeciwnym razie skończysz niechybnie na stryczku.

Julian wzdrygnął się na przestrozę Fernanda, który opuścił namiot wyraźnie zatroskany.

4

Poranny ziąb nękał mieszkańców obozu rozbitego przez Hugona z Arcis w Col du Tremblement - strategicznym punkcie pozwalającym odciąć obleżonym najlepszą drogę ku dolinie.

Tego ranka Hugonowi z Arcis, seneszałowi Carcassonne, humor, mimo bezlitosnej aury, wyraźnie dopisywał. Ten katolik przekonany o słuszności sprawy, w której obronie stawał, radował się z bezwzględnego poparcia arcybiskupa Narbonne, Pierre'a Amiela, oraz z obecności templariuszy, choć tym nie do końca dowierzał. W każdym razie dziękował Bogu, że znajduje się między nimi znakomity inżynier wojenny.

W namiocie seneszala pachołek nalewał zgromadzonym wino rozcieńczone wodą. Pito, by się rozgrzać.

Hugon postanowił wyjaśnić nowo przybyłym, jaka jest sytuacja.

- Nie zamierzam spędzić reszty życia pośród tych skał. Wiemy, że załozde Montsegur pomagają miejscowi chłopci znający te góry na wylot. Dysponuję dziesięcioletnią armią, ale i tak nie mogłem obstawić wszystkich ścieżek wiodących na szczyt. Nie zdołaliśmy wziąć ich głodem, wody też im nie brakuje, bo deszcz pada nieustannie. Nie udało nam się również, przynajmniej do tej pory, zdobyć twierdzy szturmem - obrońcy zadają nam znaczne straty, ciskając zwykle kamienie.

- Nie można wdrapać się do tego orlego gniazda niezauważenie? - zapytał Arthur, inżynier i templariusz.

Hugon wskazał mapę:

- Znajdujemy się dokładnie tutaj, w Col du Tremblement, u stóp tej przeklętej skały. Stronizna przed nami wiedzie prosto do zamku. Rozstawiając większość wojsk w tym właśnie miejscu, udało nam się tylko zablokować bezpośredni dostęp do fortecy i mieć na oku pobliską osadę, w której mieszkają krewni obleżonych, dostarczający im, mimo naszej

obecności, zaopatrzenie. Poleciałem moim ludziom wspinać się po tych graniach w poszukiwaniu drogi na szczyt, ale nawet po dotarciu na samą górę i unieszkodliwieniu wartowników niewiele byśmy wskórali, ponieważ twierdza znajduje się wiele metrów wyżej. Przyznaję, panowie rycerze, że moi najlepsi ludzie z ogromnym wysiłkiem wdrapywali się zawzięcie na te zwodnicze skały, jednak wielokrotnie odkryta przez nas ścieżka, mająca zawieść nas na szczyt, okazywała się wąwozem uchodzącym w przepaść. Ukształtowanie terenu uniemożliwia również wykorzystanie naszych machin bojowych - nie dosięgłyby nawet najniższej rozstawionej linii obrony. Wobec tego podjąłem decyzję, mam nadzieję, że słuszną. Jutro przybędzie zastęp Gaskończyków, którzy czują się w górach jak ryby w wodzie. Domagają się sówitej zapłaty i otrzymają ją, jeśli zgodnie z moimi oczekiwaniami przedrą się przez linie obrony przeciwnika i otworzą nam drogę na szczyt.

- A w czym Gaskończycy są lepsi od waszych ludzi? - zapytał Fernando wyraźnie urażony.

- Polecono mi ich, bo ponoć ani Montsegur, ani żadna inna góra nie ma przed nimi tajemnic. Zapewniono mnie, że stąpają pewnie tam, gdzie inni się potykają, i widzą w ciemnościach jak za dnia. Warto spróbować, panowie - odparł seneszał.

- Którędy, jak i kiedy wasi Gaskończycy zamierzają podejść pod Montsegur? - nie dawał za wygraną Fernando.

- Tę decyzję pozostawiam im - uciał Hugon.

Przez cały ranek rozprawiano o sytuacji bojowej oraz o planach na wypadek, gdyby Gaskończykom dopisało szczęście. Seneszał zamierzał wtoczyć pod twierdzę jedną z machin wojennych, nie widział bowiem innego sposobu na zdobycie zamku. Tym razem do zadawania pytań przystąpił templariusz Arthur Bonard.

Podczas zebrania najbardziej zaskoczyła Fernanda żądza zemsty wyzierająca z oczu głównego inkwizytora, brata Ferrera. W jego spojrzeniu nie było śladu litości, jego słowa wrzały wściekłością. Tym człowiekiem, powiedział sobie w duchu Fernando, zawładnęła nienawiść.

Około południa przerwano naradę, by zasiąść do stołu suto zastawionego przez arcybiskupa Narbonne. Korzystając z wolnej chwili, Fernando poprosił swego towarzysza, Armada de la Tour, by udał się z nim do namiotu Juliana.

Dominikanin spał wyczerpany. Brat Pierre wycierał mu czoło kawałkiem wilgotnego płótna, modląc się i błagając Boga o zdrowie dla dostojnego sekretarza inkwizycji.

Pocziwy braciszek zląkł się na widok wchodzących templariuszy.

- Przepraszamy za najście - rzekł Fernando. - Przyprowadziłem rycerza Armanda, który zbada naszego drogiego Juliana i spróbuje ulżyć mu w cierpieniu.

- Oby! Wiedźcie jednak, że medyk seneszala prawie codziennie odwiedza waszego brata, mimo to nie zdołał mu na razie pomóc.

Armand de la Tour poprosił dominikanina, by zostawił ich sam na sam z chorym. Brat Pierre niechętnie wypełnił polecenie, ponieważ nie pałał sympatią do templariuszy - uważał ich za tajemniczych zarozumiałców. Poza tym obył mu się o uszy historie stawiające pod znakiem zapytania bogobożność tych wojowników w habitach.

Medyk podszedł do posłania Juliana i bez uprzedzenia odkrył chorego, wyrrywając go ze snu.

Fernando uspokoił brata, zapewniając, że jest w dobrych rękach. Poprosił, by odpowiedział na wszystkie pytania medyka.

- Gdzie was boli? - chciał wiedzieć Armand.

Julian zakreślił linię od serca po brzuch. Wyznał, że ból bywa tak silny, iż nie pozwala mu się wyprostować ani chodzić, a czasami cierpną mu lub zupełnie drętwieją ręce i nogi. Dodał, że dręczy go gorączka i miewa wymioty.

Armand dokładnie zbadał chorego. Kazał mu pokazać język, obmacał zręcznymi palcami brzuch pacjenta, poprosił, by wyciągnął i podkulił kończyny. Potem przyszła kolej na oględziny oczu i karku.

Fernando w milczeniu przyglądał się pracy swego towarzysza broni, uśmiechając się w duchu na widok przerażenia malującego się na twarzy brata.

Po zakończeniu badania Armand usiadł przy chorym i kazał mu szczegółowo opowiedzieć o jego dolegliwościach.

- Co was dręczy, bracie Julianie? - zapytał znienacka. Julian wzdrygnął się na myśl, że templariusz potrafi czytać w jego duszy.

- Życie w obozie jest trudne - rzucił, próbując sprowadzić rycerza na fałszywy trop.

- Jak wszędzie. Ale przecież niczego wam tu nie brakuje. Jesteście sekretarzem inkwizycji i czekacie na możliwość wnikliwego zbadania straconych dusz heretyków z Montsegur.

Julian przeżegnał się i znów zadygotał. Zimny pot wystąpił mu na czoło.

- Cierpicie, bracie Julianie. Jeśli wyznacie mi powód tego cierpienia, może będę mógł wam pomóc.

- Cierpię? No, tak... cierpię z powodu straconych dusz, które niebawem trafią do piekła.

- Przecież jesteście doświadczonym sługą inkwizycji. Od lat pracujecie jako sekretarz.

- Ale to wielka odpowiedzialność... Boję się wydać mylny wyrok...

- Jesteście tylko sekretarzem, nie wydajecie wyroków.

- Czasami współbracia zasięgają mej opinii, wiedząc, że zapisuję skrzętnie każde słowo wypowiedziane przez oskarżonego. Od mojej interpretacji zeznań może zależeć wyrok.

- Powtarzam, że nie brakuje wam doświadczenia.

- Racja, racja, niedawno uczestniczyłem w konwencji zakonu i chcąc ustrzec się błędu podczas sądenia podejrzanych, opracowałem glosariusz, by lepiej wypełniać swą misję. Brat Ferrer mi pomógł.

Julian odkaszlnął, wbił wzrok w Armanda i wyrecytował niczym litanię:

- „Heretykiem” jest ten, kto uparcie trwa w błędzie. *Credente* ten, kto daje wiarę heretyckim dogmatom i je przyswaja. „Podejrzany o herezję” słucha kazań heretyków i w jakikolwiek sposób bierze udział w ich rytuałach. „Podejrzanejmu zwyczajnemu” zdarzyło się to raz, „przemownie podejrzanejmu” wiele razy, „bardzo przemownie podejrzany” robi to nagminnie. „Zatajacz” to ten, kto zna heretyków, jednak ich nie wydaje. „Ukrywacz” czynnie przeszkadza w wykryciu heretyka. „Przyjmujący” to ten, kto dwukrotnie ugościł heretyka pod swym dachem, „obrońca” świadomie staje w obronie heretyków, nie chcąc, by Kościół wytepił heretycką zarazę. „Poplecznikami” są, w mniejszym lub większym stopniu, wszyscy wcześniej wymienieni, „recydywistami” ci, którzy wyrzekłszy się herezji, na powrót w nią popadają...

- Wystarczy, wystarczy, widzimy, że znacie swe zadanie i potraficie odróżnić heretyków. Mając taki glosariusz, nie sposób się pomylić, prawda? - rzucił kpiąco rycerz.

- Niekoniecznie... czasem... czasem trudno ustalić, czy podejrzany jest niewinny, czy tylko udaje. Wśród heretyków nie brakuje prostych wieśniaków, którzy naiwnie odpowiadają na pytania, nie rozumiejąc, że sami sobie szkodzą. Być może są niewinni, tyle że... nie potrafią tego dowieść. Ale brat Ferrer...

- Ten dominikanin... - Fernando nie odważył się dokończyć.

- Skąd pochodzi? - zapytał Armand.

- Z Perpignan. Jest Katalończykiem. Kontynuuje zadanie naszych braci zamordowanych w Avignonet. Jest bardzo przenikliwy, nic się przed nim nie ukryje, potrafi czytać w ludzkim sercu, wie, kiedy ktoś kłamie - wyjaśnił znękany i przestraszony zakonnik.

- I dlatego was przeraża - dorzucił Armand de la Tour.

- To mój brat w Chrystusie! - zaprotestował Julian. - To on będzie sądził heretyków z Montsegur.

- Martwi was ich los?

- Czy martwi mnie ich los? Wiecie chyba, że mogą spłonąć na stosie. Widzieliście kiedyś człowieka umierającego w ten sposób? Heretycy gardzą Kościołem, wielu z nich, zamiast się opamiętać, woli zginąć w płomieniach. Patrzyłem na kobiety i mężczyzn, również ludzi bardzo młodych, którzy stali w płomieniach i śpiewali, podczas gdy woń palonego ciała rozchodziła się w powietrzu, przesączaając nieznośnym fetorem nasze ubrania i nas samych. Ten zapach... czasem budzi mnie ten potworny swąd spalenizny i widzę twarze ludzi, którzy padli ofiarą ognia tylko dlatego, że nie potrafili się wysłowić.

- Boli was sumienie - orzekł medyk. - Dobrze wiedzieć, że ktoś tu jeszcze ma sumienie.

- Co wy wygadujecie! - zaprotestował wystraszony zakonnik. - Zapewniam was, że moje sumienie nie ma nic wspólnego z bólem przeszywającym moje trzewia. Czyżbyście nie umieli znaleźć prawdziwej przyczyny mojej choroby?

- Uspokójcie się, poczciwy bracie Julianie, sumienie to dar, bolesny, ale mimo wszystko dar.

- Nie rozumiem was!

- Nie denerwuj się - wtrącił się do rozmowy Fernando. - A wy, Armandzie, wyjaśnijcie, co macie na myśli. Pojęcia nie mam, do czego zmierzacie.

- Wasz brat istotnie bardzo cierpi i właśnie to cierpienie jest przyczynajego złego samopoczucia. Nie sądzę jednak, by chorował na wątrobę, jelita czy gardło... W rzeczywistości ma chorą duszę, a na to jest tylko jedno lekarstwo.

Fernando słuchał uważnie swego towarzysza, rozważając każde jego słowo, podczas gdy Julian obserwował ich, drżąc niczym dziecko przyłapanie na gorącym uczynku.

- O jakim lekarstwie mówicie? - zapytał Fernando.

- Wasz brat powinien żyć w zgodzie z własnym sumieniem i nie robić nic, czego musiałby się przed sobą wstydzić. Niech słucha, co Bóg szepce mu na ucho, zamiast się przed tym wzbraniać. Nasz poczciwy Julian cierpi z powodu *bonshommes*... Wcale nie jest przekonany, że są nikczemnikami, a już na pewno nie uważa, że powinni ponieść tak surową karę za swe przekonania. Mam rację?

Julian szlochał jak dziecko, wstrząsany spazmami. Jego brat popatrzył na niego ze współczuciem, po czym podszedł, by go objąć i pocieszyć.

- Czyli Julian nie potrzebuje żadnym leków? - dopytywał się Fernando.

- Dam mu tylko coś na sen. W żadnym wypadku nie powinien poddawać się kolejnemu upuszczaniu krwi, bo go to jeszcze bardziej osłabi. Osobiście przygotowuję zioła,

które będziecie zażywali przed udaniem się na spoczynek. Ześlą one na was spokojny, krzepiący sen. Poza tym nic wam nie dolega.

- Mylicie się - upierał się Julian. - Jestem chory.

- Owszem, na duszę. Dlatego wyleczyć może was tylko życie w zgodzie w własnym sumieniu. Tymczasem pomogę wam się porządnie wyspać, nic innego nie można dla was zrobić. Zamienię słówko z medykiem seneszala i powiem mu, by już was nie męczył upuszczaniem krwi.

Julian zadrżał na myśl, że templariusz powie medykowi seneszala o jego duchowych rozterkach. Na widok przerażonego spojrzenia dominikanina Armand de la Tour poczuł litość. Pomyślał, że niebiosa nie obdarzyły Juliana żadną z cnót Dominika Guzmana. Życie założyciela zakonu dominikanów było wzorem poświęcenia i ascezy - zupełnie jak w przypadku *bonshommes*, których ten święty mąż z takim uporem próbował na powrót sprowadzić na łono Kościoła. Templariusz zastanawiał się, dlaczego Julian ruszył śladami Dominika Guzmana, skoro na pierwszy rzut oka widać było, że jest słabego ducha.

- Nie martwcie się, nie powiem nikomu o waszych rozterkach. Nie skłamię, po prostu nie będę wdawał się w szczegóły. Poproszę tylko o zgodę na leczenie was moimi ziołami, by ulżyć wam w cierpieniu.

- Dziękuję - powiedział Fernando, z wdzięcznością ściskając ramię towarzysza. - A teraz, Julianie, zacznij wcielać w życie zalecenia Armanda. Gdy poczujesz się nieco lepiej, wyjdź na przechadzkę po obozie. Odwiedź żołnierzy, na pewno będą wdzięczni zakonnikowi, który troszczy się o ich dusze. Przy okazji może zapomnisz o bólach własnej duszy.

- Poprosimy brata Pierre'a o miednicę letniej wody i mydło, nie zaszkodzi wam się trochę umyć - dodał templariuszowski medyk.

Julian nie sprzeciwiał się zaleceniom gości. Spojrzał na nich z wdzięcznością i po raz pierwszy od dłuższego czasu zrobiło mu się lżej na sercu. Pojawienie się jego brata od razu rozwiało opary samotności, które spowijały go, odkąd wstąpił do zakonu dominikanów.

5

Fernando i Armand de la Tour zostawili nieszczęśliwego Juliana i zdecydowanym krokiem ruszyli do miejsca, gdzie stacjonowali ich współbracia.

- Nie musicie martwić się o brata - zapewnił medyk swego towarzysza.

- Po wysłuchaniu waszej rozmowy jestem znacznie spokojniejszy, choć widzę, że choroby duszy są równie wyniszczające, jak choroby ciała.

- Czasami nawet bardziej. Jednak w przypadku Juliana wasza obecność pomoże mu wrócić do zdrowia. Przy was czuje się pewniej.

- Mój brat zdręcza się, odkąd się dowiedział, że jest nieślubnym synem mojego ojca.

- Na pewno niełatwo jest się z tym pogodzić, mimo cnót waszych rodziców, o których tyle mi opowiadaliście. Mam na myśli zwłaszcza wielkie serce pani Marii, waszej matki...

- Chyba nie potrafimy wczuć się w jego sytuację, przeszkadza nam w tym nasze szlachetne pochodzenie. Jestem wdzięczny, że zgodziliście się zbadać Juliana, i wiem, że mogę liczyć na waszą dyskrecję. A teraz powiedzcie, jak zapatrujecie się na sprawę Montsegur.

- To tylko kwestia czasu.

- Co chcecie przez to powiedzieć?

- Że obrońcy nie będą stawiali oporu w nieskończoność. I że można dostać się na szczyt, choć to niełatwe zadanie. Ceną jest ludzkie życie, ale ani seneszał Hugon z Arcis, ani król Ludwik nie będą się w tym przypadku targowali.

Dwaj rycerze na powrót zatopili się w myślach i zadumani dołączyli do swych towarzyszy, którzy czyścili broń.

- Dobrze, że jesteście - powitał ich Arthur Bonard. - Seneszał chce, byśmy weszli w skład jego sztabu.

Arthur Bonard był równie pomysłowy w tworzeniu machin wojennych, jak oschły i oszczędny w słowach.

- I co mu na to odpowiedzieliście? - dopytywał się Fernando.

- Nie możemy narazić się seneszałowi ani królowi Ludwikowi, zresztą podobnie jak arcybiskupowi Narbonne - odparł Bonard.

- To znaczy, że zostajemy - skwitował Fernando.

- To znaczy, że poczekamy i przekonamy się, czy ci straszni Gaskończycy, o których mówił seneszał, podejną pod zamek. Warto zobaczyć, jak im pójdzie - rzucił inżynier.

- A co my będziemy w tym czasie robili? - dopytywał się Fernando.

- Czekali, obserwowali, rozmawiali, i niewiele więcej. Wiecie, że nasz zakon stroni od zabijania chrześcijan, a przecież obrońcy Montsegur są chrześcijanami. Zbłąkanymi, ale bądź co bądź chrześcijanami. Niepokoję się o ich los, bo arcybiskup Narbonne i brat Ferrer będą chcieli pomścić śmierć Etienne'a de Saint-Thibery i Guillaume'a Arnolda. Jak wiecie, ponad rok temu ci dwaj inkwizytorzy zostali zamordowani w Avignonet.

- To jedyny przypadek, gdy *bonshommes* posunęli się do zbrodni - wtrącił inny templariusz.

- A i to niebezpośrednio - bronił katarów Fernando.

- Nie bądźcie naiwni - przyłączył się do dyskusji Armand de la Tour. - Naprawdę myślicie, że „niebezpośrednie” zabicie człowieka, czyli nie własną szpadą ani gołymi rękami, zwalnia od odpowiedzialności za jego śmierć? Ludzie, którzy zamordowali inkwizytorów, wyjechali właśnie stąd, z Montsegur. Naprawdę wierzycie, że ich heretyccy biskupi, Bertrand Marti czy Rajmund Agulher, nie wiedzieli z góry, co wydarzy się w Avignonet? Nie jest tajemnicą, że wiadomość o zabiciu inkwizytorów została przyjęta w Montsegur z wielką radością, kazano nawet bić w dzwony. Zabójstwa Etienne’a de Saint-Thibery i Guillaume’a Arnolda dokonali *credentes*, a był wśród nich Guillaume z Lahille, Guillaume z Balaguier i Bertrand de Saint-Martin.

- Skąd tyle wiecie o wydarzeniach z Avignonet? - pytał Fernando coraz bardziej zdumiony.

- Wiem lub wydaje mi się, że wiem. Tak czy owak nie napomkniemy o tym ani seneszałowi, ani arcybiskupowi Narbonne. Jednak sami widzicie, że od czasu do czasu wszyscy grzeszymy: czynem, zaniechaniem, czy choćby ciesząc się z cierpienia nieprzyjaciół. W przeciwnym wypadku nie bylibyśmy ludźmi.

Zapadła cisza. Medyk bezwzględnie udowodnił, że zło jest częścią natury człowieka.

- A więc już wiecie, że zabawimy tu jakiś czas - powiedział Arthur Bonard. - Tylko tyle, by nie narazić się arcybiskupowi ani seneszałowi. Postaramy się nie brać udziału w walce, choć w tym przypadku możemy chyba spać spokojnie, bo obrońcy Montsegur nie staną do otwartej bitwy. Dlatego upłynie jeszcze dużo czasu, zanim seneszał Hugon z Arcis ściągnie ich z tej piekielnej skały.

Nagle do namiotu templariuszy wbiegł paź arcybiskupa Narbonne z zaproszeniem na wieczerzę. Rycerze zapewnili, że stawią się punktualnie. Mieli ochotę na własne oczy zobaczyć wspaniałe wnętrza arcybiskupiego namiotu, któremu, jak mówiono, zbytek nie dorównywał nawet namiot samego seneszala. Tu właśnie tkwił problem Kościoła - jego przedstawiciele dawno zeszedli z wyznaczonej przez Chrystusa drogi pokory i ubóstwa, mimo że ludzie tacy jak Hiszpan Dominik Guzman udowodnili, iż nie wszyscy zapomnieli o nakazach Mistrza. Jednak choć on i jego zakonnicy wiedli przykładne ascetyczne życie pełne wyrzeczeń, nie znali litości dla tych, którzy nie chcieli powrócić na łono Kościoła.

6

Pasterz kóz zjawił się w namiocie Juliana później, niż zapowiedział.

Fernando był wyraźnie zdenerwowany. Bał się, że jakaś nieprzewidziana trudność przeszkodziła jego matce wysłać po nich przewodnika.

Zapadła noc. Do namiotu Juliana dobiegały od czasu do czasu głosy obozowych strażników powtarzających hasło i odzew oraz suchy kaszel żołnierzy, którzy podupadli na zdrowiu podczas przeciągającego się oblężenia.

Julian, dziwnie spokojny, siedział na posłaniu. Intensywnie pulsowały mu żyły na skroniach. Pomyślał, że templariuszowski medyk uznałby to za objaw strachu, wyłącznie strachu.

Gdy pasterz wślizgnął się do namiotu, szepcząc imię Juliana, bracia przyskoczyli do niego.

- Dlaczego się spóźniłeś? - dopytywał się Fernando. Pasterz zrobił kwaśną minę i mruknął:

- Jesteście żołnierzem, panie, więc powinniście wiedzieć, że seneszał ma oczy dookoła głowy. Na domiar złego te gaskońskie czorty od dwóch nocy przeczesują okolicę, wszędzie ich pełno. Nie uśmiecha mi się wcale wpaść w ich łapska, bo aż strach pomyśleć, co seneszał zrobiłby schwytanemu zdrajcy. Ma się rozumieć, nie jestem zdrajcą, tylko dzieckiem tej ziemi, *credente* służącym prawdziwemu Bogu.

- Dość tego gadania! - uciął te wywody Fernando. - Prowadź tam, gdzie na nas czekają!

Niebo przypominało czarną derkę. Bracia ledwie rozróżniali kształty kilka kroków przed sobą, choć pasterz prowadził ich pewnie, jak ktoś, kto doskonale zna drogę i nie zgubiłby się nawet z zamkniętymi oczami.

Wędrówka pośród skał i chaszczy dłużyła się Fernandowi bardzo. Zdziwiło go, że Julian nie uskarża się na trudy wyprawy. Zrozumiał, że jego brat wielokrotnie przemierzył już tutejsze sekretne ścieżki i często widywał się z jego matką.

Nagle pasterz przystanął, dając ręką znak, by zrobili to samo. Zatrzymali się z duszą na ramieniu, bojąc się, że natrafili na patrol Gaskończyków. Jednak zamiast górala z Gaskonii zza krzaków wyszła im na spotkanie uśmiechnięta Maria.

- Spóźniliście się! - ofuknęła ich dama spowita w czarną pelerynę.

- Matko!

Niewiasta podeszła do swego syna templariusza i nim wzięła go w ramiona, przyjrzała mu się badawczo.

- Aleś się zmienił! Jesteś już prawdziwym mężczyzną. Potem objęła go i z całej siły przytuliła do serca, wzdychając i walcząc z napływającymi łzami.

Fernando przyjmował pieszczoty matki i wdychał spowijającą ją woń lawendy. Maria należała do „Doskonałych”, przede wszystkim była jednak prawdziwą damą - nawet w obliczu największych przeciwności nie rezygnowała z odrobiny kokieterii, choćby w postaci kilku kropel perfum na swej zgrzebnej pelerynie.

- Siadajcie, mamy mało czasu i wiele rzeczy do omówienia. Jak się masz, Julianie? Lepiej wyglądasz. Fernandzie, synku, opowiadaj, co się z tobą działo przez te wszystkie lata. Julian mówił mi, że odwiedziłeś ojca. Jak on się miewa? Modłę się za niego i czuję ulgę na myśl, że twoja siostra Marta jest przy nim. Ona zaopiekuje się nim lepiej ode mnie dzięki właściwej sobie słodczy i cierpliwości, których mnie brakuje.

Podczas gdy Maria mówiła, Fernando przyglądał się jej wzruszony.

Siwizna pokryła jej włosy, które swego czasu miały barwę dojrzałej pszenicy. Jej rysy się wyostrzyły, schudła, choć oczy błyszcząły jak dawniej, a cała postać emanowała energią. Ciągle była kobietą, której nie sposób się sprzeciwić.

Maria trzymała rękę syna i głaskała ją z czułością, której w przeszłości nazbyt często mu skąpiła. Fernando siedział ze ściśniętym gardłem, bojąc się odezwać i zakłócić tę szczególną chwilę, która wydawała mu się magiczna.

- Pani, seneszał chce wysłać na podbój zamku oddział Gaskończyków - oznajmił Julian. - Powinniście opuścić zamek, nim będzie za późno. Zróbcie to, jeśli nie w trosce o siebie, to w trosce o życie waszej najmłodszej córki. Teresa nie ponosi winy za to, że wyznajecie wiarę prowadzącą na stos.

- Tak, doszły mnie słuchy, że przed dwoma dniami zawitał do obozu oddział Gaskończyków. Mój nieoceniony Hugon z Arcis wie, że mogą oni wspiać się na te skały i podejść pod sam zamek. Poczciwy Pierre-Roger z Mirapoix uważa, że to niewykonalne, ale dobrze znam seneszala - to uparty wojak, który nie spocznie, póki nie zamieni Montsegur w kupę gruzu.

- Skoro to wszystko wiecie, dlaczego chcecie umrzeć?! - wykrzyknął Julian.

- Zostaw nas samych! - rozkazała Maria. - Nie męcz mnie i pozwól mi się pożegnać z moim synem, widzimy się bowiem po raz ostami.

Zrezygnowany Julian przysiadł na skale kilka metrów dalej. Maria utkwiała miodowe źrenice w czarnych oczach Fernanda, próbując wyczytać z nich jego uczucia i emocje.

- Kocham cię, chcę, byś o tym wiedział, bo nieraz mogłeś w to wątpić. Nie byłam ci matką, jakiej potrzebowałeś ani jaką sama chciałabym być. Nie zamierzam się teraz przed tobą tłumaczyć, wytaczając argumenty, które mnie samej nie przekonują. Jestem istotą

niedoskonałą; więżąca mnie ziemską skorupa próbowała skazić rozkładem mego ducha, ale na szczęście wkrótce się jej pozbędę.

- Matko...!

- Milcz i słuchaj, bo zostało nam mało czasu, a mam ci dużo do powiedzenia. Oto twój przyrodni brat Julian, słaby i tchórzliwy, którego próbowałam nawrócić na prawdziwą wiarę, ale miast tego zamieniłam jego życie w udrękę. Mimo to ufam mu, bo w jego żyłach płynie twoja krew, krew rodu Ainsa, dlatego wiem, że nas nie zdradzi. Potrafi czytać i pisać, więc przed kilkoma miesiącami kazałam mu dopilnować, by nasze wnuki, wnuki naszych wnuków i ich prawnuki nie zapomniały o tym, co się tutaj stało. Chcę, by spisał nasze dzieje i opowiedział o wszystkim: o niegodziwości Wielkiej Nierządnicy, która nie może patrzeć na chrześcijan żyjących zgodnie z nauką Chrystusa, rozdzielając swój majątek między ubogich i pomagając potrzebującym. Ta Wielka Nierządnicza stroi się w złotogłów, otacza służbą i bogactwami, a odwraca od biedaków i chorych, służąc szatanowi, bo do szatana należy.- Matko, bluźnicie!

- Nie, nie bluźnię, a ty... ty, synku, dobrze o tym wiesz. Znasz chciwość Kościoła, który my nazywamy Wielką Nierządnicą. Ty i tobie podobni mieliście okazję oglądać jej niegodziwość. Nie żądam, byś przyznał mi rację, ale znam cię i wiem, że jesteś dobry, że oddałbyś życie za słabych, zginąłbyś w obronie Boga i poświęciłbyś się dla potrzebujących, nie żądając niczego w zamian. Posłuchaj, co ci powiem: Julian spisze nasze dzieje i opowie, że Blanka Kastylijska jest naszym zaciekłym i potężnym wrogiem; bez niej Francja przestałaby istnieć, a Rajmund zachowałby hrabstwo Tuluzy.

- Blanka okazała wspaniałomyślność hrabiom Tuluzy i Foix, dzięki jej wstawiennictwu król nie ukarał ich tak surowo, jak na to zasługiwali - zauważył Fernando.

- Nie bądź naiwny! Blanka to najlepsza królowa Francji. Jej syn jest w jej rękach marionetką. Ludwik okazał hrabiom litość z namowy matki. Blanka nie chce, by nowa wojna jeszcze bardziej wyniszczyła te ziemie, skoro niebawem mają one przypaść w całości Francji. Wraz z Montsegur zginie również nasza ojczyzna.

- Myślicie, że hrabia Rajmund nie przyjdzie wam z pomocą?

- Nie, nie przyjdzie, pozostawi nas na łasce losu. Jak wiesz, twoja siostra Marian mieszka na jego dworze i dzięki zaufaniu, jakim cieszy się tam jej mąż, Bertrand d'Amis, może mi przekazywać sprawdzone wiadomości na temat tego, czego możemy się spodziewać ze strony hrabiego i Kościoła. Na synodzie w Beziers Wielka Nierządnicza i jej hordy zgodnie postanowiły zetrzeć Montsegur na miazgę. Tu przebywają mężowie, którzy wysłali na tamten świat obmierzłych inkwizytorów Etienne'a de Saint-Thibery i Guillaume'a Arnolda, zamek

jest więc ostatnim bastionem prawdziwych chrześcijan. Dopiero gdy płomienie strawią fortecę, zapanuje pokój.

- I mówicie to ot, tak sobie!

- To, że jestem chrześcijanką, nie oznacza, że jestem głupia i nie rozumiem zasad gry, jaką jest polityka. Miałam okazję poznać Blankę i wierz mi, podziwiam ją. Postąpiłabym dokładnie tak samo, gdybym znalazła się na jej miejscu.

- Jednak po zabójstwie inkwizytorów w Avignonet tutejsi mieszkańcy znów chwycili za broń... - nieśmiało zauważył Fernando oszołomiony lekcją polityki, jakiej w tych niespotykanych okolicznościach udzielała mu matka.

- To tylko burza w szklance wody. Dynastia Sant-Gilles jest skończona, Rajmund o tym wie i dlatego nie wystąpi przeciwko królowi Francji. Królestwo i Kościół trzymają go w szachu. Wcześniej od niego pogodził się z tym Roger-Bernat z Foix, podpisując pokój z Francuzami. Bez niego Rajmund niewiele może wskórać, dlatego poszedł w jego ślady. Ale Kościół nie przebacza i Montsegur musi zapłacić za inkwizytorów zabitych w Avignonet. W przeciwnym razie tubylców kusiliby, żeby nadal wypruwać flaki mnichom. Właśnie dlatego w Beziers zapadła decyzja o zniszczeniu Montsegur.

- A co będzie potem? - zapytał Fernando ze ściśniętym sercem.

- Potem trubadurzy będą opiewali naszą śmierć, a dzięki kronice Juliana nasze wnuki poznają prawdę i dowiedzą się, że spryt i fanatyzm pewnej królowej pozwoliły urosnąć w potęgę monarchii, która położyła kres niepodległości naszej ojczyzny.

- Idźcie po Teresę, wyciągnę was stąd - błagał zrozpaczony Fernando.

- Wiesz, że tego nie zrobię. Myślisz, że uciekłabym? Za kogo mnie uważasz?

- Teresa jest jeszcze dzieckiem, chcecie jej zguby?

Maria westchnęła zniecierpliwiona. Rozumiała ból Fernanda, przerażonego wizją śmierci i niepotrafiącego dostrzec prawdy. Ona sama przyjęła tę prawdę z radością, świadoma, iż ciało jest najgorszym z koszmarów, skorupą, którą należy zrzucić, aby przemienić się w istotę duchową i dostąpić spotkania z Bogiem.

- Fernandzie, synku, pszenica składa się z plew i ziarna; ciało to właśnie plewy. Teresa nie umrze, tylko...

Fernando przerwał jej wściekły i wyrwał dłonie z rąk matki, nic sobie nie robiąc z żalu, jaki błysnął w jej oczach. Oboje cierpieli - syn myślał, że jest skazany na niezrozumienie przez własną matkę, ta z kolei wyrzucała sobie, że nie potrafi wytłumaczyć synowi prawdy.

- Matko, Teresa nie może zginąć na stosie. Przeprowadźcie ją lub sam po nią pójde, choćbym miał to przypłacić życiem.

Maria wiedziała, że Fernando nie rzuca słów na wiatr. Nie chciała jednak jego śmierci; w głębi duszy, na przekór swym przekonaniom, wołała, by jej syn żył. Miał do spełnienia misję i było jeszcze za wcześnie, by wracał do niebieskiej ojczyzny.

- Przekonam Teresę, by opuściła Montsegur, masz na to moje słowo. Nie będę jej zmuszała, po prostu ją poproszę, tłumacząc, że taka jest twoja wola.

- Chcę od was czegoś więcej: żądam, byście rozkazali jej opuścić zamek. Jeśli moja siostra zginie, nigdy wam tego nie wybaczę.

Patrzyli na siebie w milczeniu, nie potrafiąc oddać słowami żalu, miłości i podziwu, jaki do siebie czuli. Maria znów ujęła dłoń syna, podniosła je do twarzy i zaczęła całować czubki jego palców.

- Chcę umrzeć i powrócić do swego niebiańskiego wcielenia, jednak nie znam spokoju, wiedząc, że wspominasz mnie z nienawiścią. Dlatego zrobię wszystko, by przekonać Teresę. Daję ci moje słowo, a ty najlepiej wiesz, ile jest ono warte. Błagam cię tylko, byś nie miał mi za złe, jeśli Teresa mnie nie usłucha.

- Przeprowadźcie ją jutro, polećcie pasterzowi, by po zapadnięciu zmroku nas tu przywiódł.

- Tego nie mogę ci obiecać. Pasterz zgłosi się po was, gdy szlaki będą bezpieczne: jutro, pojutrze... gdy nadejdzie pora. Tymczasem musisz mi zaufać.

- Mam wasze słowo - przypomniał Fernando.

- Tak, masz słowo dobrej chrześcijanki.

- Ojciec... ojciec prosił, byście pozdrowili od niego pana z Pereille. Wiecie, że mimo wszystko ojciec bardzo go szanuje.

- Pozdrowię go. To odważny mąż, który wie, że czeka go śmierć... jego, jego małżonkę, Corbę z Lantar, oraz ich ukochane córki.

- Ojciec kazał mi polecić was i Teresę jego opiece, nie wiem jednak, jak mu to przekazać...

- Zrobię to za ciebie, choć i bez tego rodzina Pereille darzy mnie wielką przyjaźnią i życzliwością. Pan z Pereille wielokrotnie namawiał mnie do opuszczenia zamku i obiecywał pomoc w ucieczce do majątku twojego ojca w Ainsie.

- Do waszego majątku, pani - poprawił ją Fernando.

- Nic nie mam i niczego mieć nie chcę, tak postanowiłam dawno temu. Żałuję tylko cierpień, jakich przysporzyłam twojemu ojcu i tobie, oraz tego, że nie zdołałam was nawrócić na prawdziwą wiarę.

- Chrystus was osądzi.

- Chrystus?

- Nasz Pan Bóg.

- Synku, tak bardzo chciałabym ci opowiedzieć o Jezusie. Choć mienisz się chrześcijaninem, kalasz swą duszę rytuałami, które nie mają nic wspólnego z Mistrzem. Najszczęśliwszą chwilą w moim życiu był dzień, w którym przyjął *consolamentum* *, prawdziwy chrzest duchowy, jedyny sakrament umożliwiający zbawienie duszy. Gdy biskup nałożył ręce...

* Consolamentum - chrzest w Duchu Świętym przez nałożenie rąk.

- Milczcie, błagam! Wolę nic nie wiedzieć o waszej herezji.

- To oni są heretykami, to oni zeszli z drogi Pana. Pamiętaj, że Bóg powiedział: *Jan chrzczył wodą, ale wy wkrótce zostaniecie ochrzczeni Duchem Świętym* **.

** Dz. 1,5, Biblia Tysiąclecia, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań 2003.

- Wystarczy, matko, nie mamy czasu na teologiczne spory! Maria zamilkła i mocno ścisnęła dłoń syna. Potem, zupełnie niespodziewanie, objęła go i zaszlochała.

Fernando przestraszył się. Nigdy nie widział łez na twarzy matki, w rodzinnym domu w Ainsie opowiadano, że Maria nawet nie jęknęła, wydając na świat potomstwo.

- Matko, wybaczcie moją brutalność... - zaczął się kajać.

- To ty, synku, wybacz mi moje łzy. Trudniej mi się z tobą pożegnać, niż sądziłam. Chcę, byś wiedział, że bardzo cię kocham, nawet jeśli nie dałam ci tego odczuć. Przebacz mi, jeśli możesz...

- Nie, nie proszę mnie o przebaczenie, ja... ja was kocham, pani, podziwiam waszą wiarę oraz opanowanie i zazdroszczę wam, bo nie opada was zwątpienie...

- Życie nie daje nam drugiej szansy - westchnęła Maria i grzbietem dłoni otarła łzy, nie wypuszczając syna z objęć.

- Co mogę dla was zrobić? - zapytał Fernando.

- Oto moja ostatnia wola: powiedz swemu ojcu, że zawsze go kochałam i że przepraszam za zgryzoty, których mu dostarczyłam. Nie byłam mu żoną, jakiej pragnął ani na jaką zasługiwał, ale nic już nie mogę na to poradzić. Chcę tylko, by pewnego dnia nasze wnuki poznały prawdę o tym, co się tu wydarzyło, by wiedziały, że byliśmy dobrymi chrześcijanami żyjącymi zgodnie z nauką Mistrza i że padliśmy ofiarą walki o władzę. Nasz grzech polega na tym, że jesteśmy zwierciadłem, w którym Kościół nie chce się przeglądać, bo nasza czystość i ubóstwo zbyt ostro kontrastują z chciwością i zepsuciem kleru. Nie bój się, oszczędzę ci kazania, obiecuję ci jednak, że dopilnujesz, by Julian spisał nasze dzieje. Przynieś mi również, że przekażecie ukończoną kronikę twojej siostrze Marian, aby ona i jej dzieci ocalały od zapomnienia to, co stało się w Montsegur. Ty jesteś mnichem i rycerzem,

Marta jest zbyt przywiązana do Kościoła, a Teresa... Cała nadzieja w Marian, bo jest *credente*, podobnie jak jej mąż. Ona najlepiej nadaje się do...

- Nie musicie mi tego tłumaczyć, macie rację. Przrzekam, że wypełnię waszą ostatnią wolę.

Fernando uściskał matkę, nie potrafiąc zapanować nad łzami. Dziękował Bogu, że mroki nocy nie pozwalają Julianowi i pasterzowi oglądać go w tej chwili słabości.

- Gdy tylko będę mogła, przyślę do ciebie Teresę.

- Wiem, że dotrzymasz słowa.

Matka i syn uściskali się po raz ostatni, zaraz potem Maria znikła w ciemnościach jak senna mara.

Fernando dostrzegł Juliana, który płakał oparty o sąsiednią skałę. Ich przewodnik stał nieopodal, najwyraźniej zasluchany w odgłosy nocy.

Trzej mężczyźni bez słowa ruszyli w drogę powrotną. Fernando był pod wrażeniem spotkania z matką i obiecał sobie, że nie weźmie udziału w zdobywaniu Montsegur. Nie zamierzał walczyć u boku ludzi, którzy zabijają jego matkę, mimo że ta przekonywała go, iż ciało to tylko plewy, bo prawdziwym ziarnem jest dusza. Fernando czuł bowiem, że właśnie to pełne energii ciało jest jego matką, i nie mógłby patrzeć, jak jest katowane.

Pasterz nie przestawał ich ponaglać. Spotkanie z Marią przeciągnęło się i poranek mógł ich zaskoczyć przed dotarciem na miejsce.

Po powrocie do obozu Fernando i Julian rozeszli się od razu do swych namiotów. Przez całą drogę nie odzywali się do siebie. Będą mieli czas na rozmowę, gdy minie wzruszenie i zdołają zapanować nad uczuciami.

7

Hugon z Arcis zacierał ręce, broniąc się przed porannym chłodem. Dowódca Gaskończyków przysłał do niego posłańca z prośbą o audiencję.

Seneszał Carcassonne zwołał natychmiast sztab doradców wraz z arcybiskupem Narbonne i biskupem Albi, którego zamiłowanie do wojaczki przewyższało powołanie duchowne. Do udziału w naradzie zostało również zaproszonych sześciu templariuszy.

- Mówcie, którędy zamierzacie podejść pod zamek? - zapytał seneszał dowódcę Gaskończyków, krępego, mocno zbudowanego mężczyznę o wielkich dłoniach i oczach drapieżnika.

- Zbadaliśmy teren i trzeba przyznać, że postawiliście przed nami trudne zadanie.

- W przeciwnym razie byśmy was nie wzywali - rzucił oschle wielki seneszal. - Jeśli dobrze się spisiecie, zostaniecie sownie wynagrodzeni, nie tracimy więc czasu na rozprawianie o trudności zlecenia. Chcę tylko wiedzieć, jak i kiedy przystapicie do działania.

- Sądzę, że uda nam się wspiąć na najwyższy wierzchołek nazywany przez was Skała Wieży. Jego wielebność biskup Albi - Gaskończyk wskazał palcem duchownego - chce tam ulokować swe maszyny wojenne, więc mu to umożliwimy.

- A któredy się tam wdrapiecie?

- Od wschodu. To jedyny sposób zdobycia tamtej części skały. Od zachodu byłibyśmy łatwym celem dla obrońców Montsegur.

Seneszal wiedział, że chodzi o bardzo stromą ścianę, której nie udało się zdobyć jego najbardziej doświadczonym ludziom, lecz skoro Gaskończyk zapewnia, że to wykonalne, trzeba poczekać i przekonać się, czy mówi prawdę. - Na kiedy planujecie akcję?

- Na dzisiejszą noc. Wszystko zależy od jednej osoby. Dlatego właśnie poprosiłem was o audiencję. Potrzebuję sporej sakiewki monet, by zapłacić człowiekowi, który zgodził się zaprowadzić nas na szczyt.

- Zdrajca wśród heretyków! - wykrzyknął zachwycony arcybiskup Narbonne.

- Możecie go nazywać zdrajcą - odparł góral - choć to człowiek taki jak ja, tyle że obeznany z tą okolicą, któremu wszystko jedno, jak i do kogo modlą się jego bliźni.

Zebrani zamilkli speszzeni słowami dowódcy Gaskończyków.

- To ktoś, kto chce po prostu posmakować dostatku - dodał hardo góral, a jego słowa zabrzmiały jak zaczepka. - Decyzja należy do was. Załoga Montsegur nie spodziewa się ataku z tamtej strony, bo skała oddalona jest od zamku o wiele metrów, i jeśli nie zna się drogi na szczyt, wyprawa graniczy z samobójstwem. Ale jest ktoś, kto wie, jak tam dotrzeć.

- Kto? - chciał wiedzieć Hugon z Arcis. - Przyprowadźcie go tu.

- Jeszcze czego! - roześmiał się Gaskończyk - To niemożliwe, bo nasz tajemniczy nieznajomy nie chce mieć z wami nic wspólnego. Nie ufa wam. Mnie zgodził się pomóc ze względu na łączące nas więzy krwi, ale Francuzów woli unikać, gdyż nie pała do was sympatią.

Hugon chrząknął oburzony bezczelnością górala. Mógłby poddać go torturom i zmusić do wyjawienia imienia zdrajcy, ale wtedy nici ze współpracy. Seneszal podjął w duchu decyzję, choć chwilowo wolał ją zataić przed gaskońskim dowódcą.

- Możecie odejść. Wezwę was, gdy nadejdzie pora. Gaskończyk opuścił namiot przekonany, że wielki seneszal Carcassonne, przedstawiciel króla Ludwika, chcąc nie chcąc,

będzie musiał przyjąć jego warunki. Znał dobrze charakter moźnych i wiedział, że Hugon podeśle mu umyślnego z sakiewką.

Brat Pierre obserwował, jak Julian wlewa w siebie miksturę przygotowaną przez templariuszowskiego medyka. Jego milczenie oznaczało niemy wyrzut, ponieważ pocciwy mnich uważał, że medyk seneszala wie więcej od pierwszego lepszego templariusza, który spędził życie, uganiając się na drugim końcu świata za Saracenami. Mimo to musiał przyznać, że Julian zaczął lepiej sypiać i nie nawiedzały go już napady konwulsji, z których powodu jeszcze do niedawna drżał o życie współbrata.

Co prawda sekretarz nadal był ponury, ale rzadziej uskarżał się na bóle brzucha, a jego zapadnięte policzki nieco się zarumieniły.

Julian przerwał ciszę, by zagadnąć towarzysza o krążące po obozie plotki, których znajomością brat Pierre lubił się przechwalać.

- Nic nowego, może tylko tyle, że dziś w nocy Gaskończycy spróbują podejść pod wschodnią grań, tę wychodzącą na tyły zamku. Ponoć jeden z heretyków zgodził się wskazać im sekretne przejście.

- Zdrajca? Wierzyć się nie chce... - mruknął Julian.

- Heretycy są gorsi od psów, zdarzają się między nimi ludzie łasi na grosz - zawyrokował brat Pierre.

Julian nie chciał wdawać się w dyskusję, choć trudno było mu uwierzyć, że wśród obrońców Montsegur, cierpiących niedostatek w oczekiwaniu na śmierć, są zdrajcy. Na myśl o Marii i małej Teresie przebiegł go dreszcz.

- Znowu! - jęknął brat Pierre. - Lepiej wezwę seneszelowego medyka, bo konwulsje wróciły. Zielsko tego templariusza najwyraźniej wam nie pomaga...

- Nigdzie nie chodźcie, już mi lepiej - zapewnił Julian. - To tylko zwykły spazm.

- Powinien zbadać was medyk...

- Przecież słyszycie, że już mi lepiej, nie martwcie się. Powiedzcie raczej, o czym jeszcze mówi się w obozie...

- Bo ja wiem... chyba o tym, że pan z Arcis niecierpliwi się, bo król Ludwik przysłał dwa dni temu umyślnego, by dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja. Seneszał liczy, że Gaskończycy dotrzymają słowa, i uraduje monarchę dobrymi wieściami.

- Ale kto jest zdrajcą? - zastanawiał się Julian, czując, że rumieni się od czoła po podbródek.

- Nikt tego nie wie z wyjątkiem dowódcy Gaskończyków. Chodzą słuchy, że to jego krewniak, który poślubił miejscową niewiastę i zdążył dobrze poznać tajemnice tych gór. Tak czy owak zostanie sownie wynagrodzony, bo paż seneszala przekazał Gaskończykowi wypchaną sakiewkę.

Julian ziewnął, dając gościowi do zrozumienia, że jest zmęczony, po czym usiadł na posłaniu.

- Chcecie, byśmy odmówili razem różaniec? - zapytał pocziwy brat Pierre.- Dziękuję, zmówiłem różaniec przed waszym przyjściem. Przed snem wolę pomodlić się w samotności.

- W takim razie już sobie pójdę. Gdybyście czegoś potrzebowali...

- Niech Bóg wam to wynagrodzi, bracie.

Zaraz po wyjściu zakonnika do namiotu wkroczył niespodziewanie Fernando.

- Jak się masz? - zapytał wystraszonego Juliana.

- Jestem wstrząśnięty tym, co właśnie usłyszałem od brata Pierre'a. Wiedziałeś, że w Montsegur jest zdrajca?

- Nie w Montsegur, ale tutaj, na dole. To tubylec spokrewniony ponoć z dowódcą Gaskończyków.

Bracia trwali przez chwilę w milczeniu, pogrążeni w myślach.

- I co teraz zrobimy? - zapytał w końcu Julian.

- Zrobimy? My? Nie bardzo rozumiem...

- Twoja matka jest tam na górze i...

- Moja matka dokonała już wyboru. Znow zamilkli, rozmyślając o Marii.

- Nasz pasterz nie daje znaku życia - mruknął Julian.

- Moja matka dotrzyma słowa i powiadomi nas, kiedy i gdzie mamy przyjść po Teresę.

- A jeśli nie zdoła...

- Moja matka? Czyżbyś jej nie znał? Dopnie swego, choćby miała zmierzyć się w pojedynkę z całą armią seneszala.

- O tak, to do niej podobne.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że nie zabawię długo w obozie. Wyjadę zaraz po spotkaniu z Teresą, to znaczy wszyscy wyjedziemy.

- Ty i twoi współpracownicy?

- Tak, przekonał się seneszala, że nie jesteśmy mu już potrzebni, skoro ma przy sobie biskupa Albi, specjalistę od machin bojowych. Zresztą musimy wracać do naszej komandorii, bo lada moment znow wyruszymy na Wschód.

- Wy, templariusze, nie lubicie walczyć z heretykami - zawyrokował Julian.

- To chrześcijanie, podobnie jak my. Nazywają siebie samych „dobrymi chrześcijanami” i czasami myślę, że słusznie, że zasługują na to miano. Bo na czym niby polega ich grzech? Dają przykład życia w ubóstwie, pomagają potrzebującym, troszczą się o chorych, przygarniają sieroty...

.- Ale nie wierzą w Naszego Pana - zaproponował dominikanin.

- Wierzą, tylko inaczej. Nienawidzą krzyża jako symbolu karni, twierdzą, że Jezus Chrystus nie należy do świata widzialnego, i uważają, że istnieje Bóg dobry i Bóg zły. Zresztą jak inaczej wytłumaczyć niegodziwość i cierpienie pniące się w świecie? Skoro Bóg jest ojcem wszelkiego stworzenia, skąd bierze się tyle zła i dlaczego Bóg do niego dopuszcza? Czyżbyśmy właśnie jego mieli obwiniać o śmierć niewinnych ludzi? Szatan istnieje, a jego władza jest przeogromna. My nazywamy zło złem, oni drugim bogiem. Różnice między nami nie są znowu takie wielkie.

- Co ty wygadujesz! To bluźnierstwo!

- Odezwał się dominikanin! Czasami zapominam, że należysz do zakonu zwalczającego herezję i jesteś sekretarzem inkwizycji. To właśnie ty pošlesz na stos istoty chroniące się w murach Montsegur.

- Milcz! Nie pastw się nade mną! Przecież wiesz, jak bardzo cierpię na myśl o tym, co się tu wydarzy. Diabeł dręczy mą duszę.

- Dręczy cię nie diabeł, lecz sumienie, nie potrafisz bowiem odróżnić dobra od zła. Przecież wiesz równie dobrze jak ja, że ci ludzie nikomu nie szkodzą, że są niewinni...

- Nieprawda! Wystąpili przeciwko Kościołowi, naszej Świętej Matce.

- Wystąpili przeciwko zepsuciu trawiącemu naszą Świętą Matkę, przeciwko zdeprawowanemu klerowi i biskupom pławiącym się w zbytku...

- Zostaniesz oskarżony o herezję!

- Przez kogo? Przez ciebie?

- Przeze mnie? Wiesz, że nigdy bym na ciebie nie doniósł, jesteś... jesteś moim przyrodnim bratem.

- Wolę wierzyć, że nie zrobisz tego, bo masz dobre serce.

- Zaklinam cię, nie mów nikomu tego, co mi przed chwilą powiedziałeś - błagał mnich. - Zostałbyś oskarżony o herezję.

- Nie powiem. Jestem mnichem, nie podważam, ale przestrzegam tego, co mówi i nakazuje Kościół, nasza Święta Matka, walczę w jej imieniu z Saracenami i ryzykuję dla niej życie, choć czasami... czasami myśli wymykają mi się spod kontroli, a wtedy miejsce

pewników zajmuje zwątpienie i rodzą się pytania, które lękam się powtórzyć nawet własnemu spowiednikowi. Lecz nie tobie, Julianie, mimo że jesteś dominikaninem i stoisz na straży prawdziwej wiary. A teraz porozmawiajmy o twojej kronice. Jak zamierzasz przekazać ją mojej siostrze?- Nie wiem. Twoja matka obarczyła mnie wyjątkowo trudnym zadaniem. Mam nadzieję, że Marian sama się do mnie odezwie.

- Co zrobimy z Teresą?

- Zrobimy? Nie mogę zatrzymać jej przy sobie, jestem zakonnikiem.

- A ja mnichem rycerzem, więc tym bardziej nie zabiorę jej do komturii. Myślisz, że uda ci się posłać ją do mojej siostry Marian na dwór hrabiego Rajmunda?

- Lepiej byłoby jej z twoim ojcem i siostrą Martą w Ainsie...

- Teresa nie może wrócić do Ainsy. Wcześniej czy później dostałaby się w szpony inkwizycji. W twoje szpony, Julianie... No, co tak na mnie patrzysz? W Ainsie wszystkim wiadomo, że Teresa przebywa z matką w Montsegur i że obie są heretyczkami. Nie będą mieli litości dla nieszczęsnej dzieciny. Teresa może się schronić tylko u boku Marian, zwłaszcza że mój szwagier, Bertrand d'Amis, jest jednym z przedniej szczy rycerzy na dworze hrabiego Rajmunda. Proszę, wyślij Teresę właśnie tam.

- Ale jak mam to niby zrobić? - Julian załamał ręce.

- Na pewno masz tu jakiegoś zaufanego człowieka.

- Nie, nie ufam nikomu. Wystarczy, że muszę mieć się na baczności, by nie wyszły na jaw moje konszachty z heretykami.

- Coś wymyślimy, zostanę w obozie jeszcze dwa lub trzy dni. Fernando wyszedł z namiotu, zostawiając Juliana przerażonego myślą, że przyjdzie mu zająć się Teresą. Templariusz nie miał innego wyjścia, musiał obarczyć brata tą odpowiedzialnością. Mimo słabości jego charakteru nie wątpił w lojalność Juliana wobec rodu Ainsa, z którego obaj się wywodzili. Mieli wszak jednego ojca.

Pewnym krokiem ruszył do swego namiotu, gdzie zatopił się w modlitwie, błagając Boga, by ich nie opuszczał.

Julian, klęcząc przy posłaniu, prosił Wszechmogącego o to samo.

8

Tej nocy księżyc nie wzeszedł. W obozie panowała dziwna cisza przerywana tylko poświstami lodowatego wiatru drażniącego Hugona z Arcis, który oczekiwał wieści z wypadu przedsięwziętego przez Gaskończyków godzinę temu.

Seneszał przechadzał się nerwowo po namiocie. Uważał, że Bóg stoi po jego stronie i że nie zawaha się, wybierając między heretykami a życiem swych wiernych dzieci. Natomiast jego, seneszala, gnębiły wątpliwości: zamek Montsegur wydawał się nie do zdobycia, a jego pan, Rajmund z Pereille, i Pierre-Roger z Mirapoix, komendant tamtejszego garnizonu, wykazali się męstwem i przemyślnością podczas trwającego od miesięcy oblężenia.

W Montsegur znajdowało się ponad czterysta osób, w tym żołnierze, *parfoits*, *credentes*, służba i krewni pana z Pereille.

Na licznych półkach skalnych, zwieszających się ze zboczy góry, widać było maleńkie chałupy i chaty pasterskie zajęte w większości - jak twierdzili tubylcy - przez heretyckich „Doskonałych”, którzy oddawali się modlitwie i wspomagali mieszkańców zamku. Seneszał pomyślał, że jeśli Bóg mu sprzyja, niebawem Montsegur przestanie istnieć i hrabstwo Tuluzy nie będzie już spędzało snu z powiek królowi Ludwikowi.

Podczas gdy seneszał czekał w napięciu na rozwój wypadków, Gaskończycy poczęli piąć się w górę prowadzeni przez mężczyznę, który wydawał się jednym z nich. Mówił ich językiem, bo pochodził z Gaskonii i nigdy nie przyzwyczał się do życia na obczyźnie, dlatego zgodził się ją zdradzić w zamian za kabzę pełną pobrękujących monet. Miał nadzieję, że umożliwi mu ona powrót do rodzinnych stron wraz żoną i trojgiem dzieci, mimo że krnąbrna niewiasta zaklinała się, iż za nic w świecie nie opuści swej ojczyzny. Jednak teraz nie martwił go już upór żony, która niechybnie zapomni o swym zaciętrzewieniu, gdy upadnie Montsegur, a on zadzwoni jej przed nosem sakiewką od seneszala.

Ręce drętwiały Gaskończykom z zimna, utrudniając wspinaczkę. Posuwali się do góry w grobowej ciszy, wiedząc, że jeśli zostaną odkryci przez obrońców, nie ujdą śmierci. Musieli uważać, by nie powodować kamiennych lawin zdradzających ich obecność, na domiar złego czuli, jak karki trzeszczą im pod ciężarem broni.

Ledwie widzieli, gdzie stawiają stopy, i drżeli na myśl, że w każdej chwili mogą runąć w przepaść. Czekala ich jednak hojna zapłata, a poza tym, zgodnie z zapewnieniami duchownych, pomagając w wytępieniu heretyków kryjących się w Montsegur, zapewniają sobie nagrodę w niebie.

Stracili rachubę czasu, nie wiedzieli, jak długo się wspinają, ale skórę na rękach mieli już startą do kości, a ostry ból przeszywał każdy, nawet najmniejszy mięsień. Na domiar złego wiedzieli, że na szczycie przyjdzie im jeszcze stoczyć zaciętą walkę z obrońcami.

Uznali, że Bóg rzeczywiście stanął po ich stronie, ponieważ zaskoczyli żołnierzy we śnie i nim ci zdążyli oprzytomnieć, zepchnęli ich w przepaść i zajęli bastion. Dowódca Gaskończyków i zdrajca pokleпали się po plecach, winszując sobie wzajemnie. Poszło im

łatwiej, niż się spodziewali. Ból minął, mimo otartej skóry nie czuli też klucia w krzyżu - teraz rozkoszowali się zwycięstwem i tylko najbardziej chciwi pomyśleli, że za tak wspaniały wyczyn powinni byli zażądać od seneszała więcej pieniędzy.

Kilku członków wyprawy, prowadzonych przez zdrajcę, zaniósł pomyślnie wiadomości do obozu.

Hugon z Arcis popijał akurat letnie wino, gdy jeden ze strażników obwieścił mu powrót Gaskończyków. Po wysłuchaniu ich relacji seneszał wymamrotał pod nosem modlitwę, dziękując Bogu za przychyłność.

Wiadomość rozeszła się po obozie lotem błyskawicy: Skała Wieży, niecałe sto metrów od zamku, zajęta. Można stamtąd niemal dojrzeć twarze ludzi ukrywających się w Montsegur.

Wielce z siebie zadowoleni członkowie wyprawy - z których niektórzy nadal nie mogli uwierzyć w to, czego dokonali - opowiadali ze śmiechem, że gdyby nie mroki nocy, skrywające przed ich oczami niebezpieczeństwa wspinaczki, za nic w świecie nie zgodziliby się aż tak bardzo ryzykować.

Seneszał wezwał możnych na naradę i pchnął na dwór królewski posłańca z dobrymi nowinami. Po raz pierwszy od rozpoczęcia oblężenia przestał wątpić w rychły - bardzo rychły - upadek Montsegur.

Hugon wiedział, że wielu z jego żołnierzy ma szczerze dość tkwienia pod zamkiem. Pochodzili z tych okolic i choć musieli służyć w oddziałach królewskich, nie bardzo zależało im na zdobyciu twierdzy, gdzie schronili się „dobrzy chrześcijanie”. Większość nie mogła się już doczekać, kiedy odsłużą swoje i opuszczą armię króla Ludwika, z którą się nie utożsamiali.

Niektórzy mieli krewnych w Montsegur, ten i ów nawet się z nimi kontaktował. Nie chcieli zdradzać ani króla, ani siebie samych.

Cios, jaki im zadano, mógł okazać się śmiertelny. Rajmund z Pereille i Pierre-Roger z Mirapoix nie łudzili się - Montsegur padnie, jeśli hrabia Rajmund nie przyjdzie im z odsieczą.

Przez następne dni przyglądali się bezradnie montowaniu machin wojennych - trebusza i katapult - z których atakujący zaczęli razić zamkowy barbakan.

Biskup Albi, Durand z Belcaire, nadzorował prace i zagrzewał ludzi do walki. Tymczasem Fernando starał się opóźnić wymarsz swych towarzyszy, czekając od prawie dwóch tygodni na wieści od matki.

Templariusz spał właśnie niespokojnym snem, gdy czyjaś dłoń chwyciła go kurczowo za ramię. Skoczył na równe nogi, chwytając za broń, by poderznąć gardło napastnikowi...

- Nie bój się, Fernandzie, to ja.

- Julianie! Co ty tu robisz? Mogą nas przyłapać...

- Wiem, ale nie mamy czasu do stracenia. Chodź... Fernando wysunął się z namiotu, przestraszony, że obudzili jego towarzyszy.

- Co się stało? Co ci strzeliło do głowy, by przychodzić tu w środku nocy? Nie wiesz, jakie to niebezpieczne...?- Pasterz przyniósł wiadomość od Marii.

- A Teresa...?

- Posłuchaj, za dwie noce kilku „Doskonałych” opuści fortecę. Zlecono im ponoć przenieść w bezpieczne miejsce wartościowe przedmioty znajdujące się na zamku. Zabiorą ze sobą Teresę. Maria chce, byś to ty, właśnie ty, odebrał siostrę i towarzyszył *parfaits*. Jeśli się nie zgodzisz, Teresa zostanie w Montsegur. Twoja matka twierdzi, że tylko w ten sposób zapewni jej bezpieczeństwo podczas ucieczki.

- Dała mi słowo! - oburzył się Fernando.

- I dotrzyma go, ale na swój sposób.

- To szantaż.

- Chce, byś eskortował *parfaits* i ich ładunek.

- Nie wiem, czy uda mi się to zrobić.

- Musisz, nie masz innego wyjścia.

Tej nocy Julian był bardziej opanowany niż jego brat.

- Nie rozumiesz, że nie mogę zniknąć nagle z obozu? Moi towarzysze będą się dopytywali, dokąd jadę... Nie mogę ich okłamać.

- Nie, nie możecie ich okłamać.

Fernando i Julian odwrócili się wystraszeni, słysząc głos dobiegający zza ich pleców.

Arthur Bonard patrzył na nich z surową miną. Bracia oblali się rumieńcem.

- Więc jak, Fernando, zdradzicie nam, waszym towarzyszom, co przed nami ukrywacie?

Z mroku zaczęli wyłaniać się pozostali templariusze. W oczach medyka Armanda de la Tour Fernando wyczytał zrozumienie.

Na jego znak weszli z powrotem do namiotu, a Julian powłókł się za nimi. Fernando usiadł i przedstawił obecnym sytuację, w jakiej się znalazł - wyjaśnił, że jego matka należy do katarskich „Doskonałych”, jego siostra być może również, choć nie jest tego pewien, bo dziewczynka ma dopiero czternaście lat.

Nie ukrywał, że spotkał się z matką i poprosił ją, by pozwoliła Teresie opuścić zamek.

- Moja matka przysłała właśnie umyślnego z wiadomością, że mam osobiście odebrać siostrę. Żąda również, bym zapewnił *ochronę parfaits*, którzy wymkną się z Montsegur, unosząc najcenniejszą część dobytku wspólnoty. Nastąpi to za dwie noce, choć Julian nie wie jeszcze, gdzie mam się z nimi spotkać.

- Wy również, bracie Julianie, jesteście w zмовie z heretykami?

Mnich zadrżał na to pytanie. Arthur Bonard budził w nim ogromny szacunek, lecz również lęk. Dominikanin słyszał o jego bohaterskich czynach w Ziemi Świętej, ale przede wszystkim o jego żarliwej wierze i przywiązaniu do ascezy, skłaniającym go do odrzucania wszelkich godności. Nie, nie mógłby okłamać takiego człowieka, nawet jeśli prawda miałaby go zgubić.

- Towarzyszę seneszalowi od początku oblężenia, przygotowuję się do sądu nad heretykami - zdołał wymamrotać.

- Wiem, wiem, należycie do zakonu Dominika Guzmana, to wy szukacie heretyków pośród ziaren pszenicy - stwierdził Bonard.

- Pani Maria wezwała mnie, dowiedziawszy się, że mieszkam w obozie. Wypytywała o swych bliskich: męża Juana i dzieci, Fernanda i Martę. Zleciła mi również pewną misję.

- Zleciła? - zdziwił się Bonard. - Jak to możliwe, by kobieta zlecała cokolwiek wam, dominikaninowi?

- Nie znacie Marii, ona jest... nie można się jej sprzeciwić. Służę jej od dziecka, jej właśnie zawdzięczam to, kim jestem. Należę do niej.

- Co wy wygadujecie?! - Rycerz Bonard był wyraźnie zgorzony.

- Nie zrozumcie mnie źle. Darzę panią Marię wielkim poważaniem, tyle że ona dyryguje wszystkimi, którzy ją otaczają, łącznie ze mną.

- Wiecie, że za korszachty z heretykami grozi wam śmierć na stosie? - zapytał Bonard.

- Wiem i jeśli mnie wydacie, jestem zgubiony. Dla Kościoła będzie to straszny cios: jego sługa, dominikanin, członek inkwizycji, jest w zмовie z heretykami i na domiar złego im pomaga. Brat Ferrer własnoręcznie podpalił mój stos.

Rycerz Armand de la Tour wystąpił krok naprzód i przemówił, patrząc w oczy swemu towarzyszowi Bonardowi:

- Wszystko wskazuje na to, że będziemy musieli wam pomóc w trosce o własne interesy. Nikt z nas nie chce mieć na sumieniu waszej śmierci... ani waszej, ani naszego brata Fernanda. Kościołowi nie godzi się mieć w swych szeregach sekretarza inkwizycji

bratającego się z heretykami, a templariuszom zakonnika, którego matka należy do *parfaits*. - Pomóc? - spytał zdezorientowany Arthur Bonard.

- Ano tak, pomóc. Nie wydamy ich. Czy zresztą nie rozmawialiśmy o żalu, jakim przepelnia nas ta bratobójcza walka między chrześcijanami? Nasi przełożeni zdecydowali, że nie powinniśmy mieszać się do tego konfliktu, i dotychczas unikaliśmy udziału w krucjacie przeciwko ludziom mieniącym się „dobrymi chrześcijanami”. Nie, nie pozwolę, by nasz brat Fernando z Ainsy trafił na stos. Zresztą nie widzę również niczego złego w próbie ratowania niewinnego dziecka. Co czternastolatka może wiedzieć o teologii? Jestem mnichem i rycerzem, ale również medykiem, nie mogę więc patrzeć na bezmyślne niszczenie życia. Bracie Bonardzie, nie wierzę, byście zdolni byli wydać Fernanda.

Inżynier spuścił wzrok i zamknął oczy, szukając w głębi serca rozwiązania problemu, przed którym stanął.

- Nie możemy pomóc w ucieczce heretykom - orzekł.

- Owszem, możemy - obstawał przy swoim Armand de la Tour.

- Ale to zdrada - zauważył Bonard.

- Bynajmniej. Po prostu uratujemy to dziecko i odprowadzimy je oraz towarzyszące mu osoby w bezpieczne miejsce. Tylko tyle.

- Powierzono mi dowództwo naszego oddziału i nie dopuszczę do czegoś podobnego - oznajmił Bonard, patrząc nie tylko na Armanda, ale również na trzech towarzyszących mu rycerzy.

Jeden z nich, młodzieniec w wieku Fernanda, poprosił o głos.

- Panie, chciałbym pomóc Fernandowi z Ainsy. Nie widzę niczego złego w ratowaniu jego siostry, zresztą nie uważam tego za zdradę. Bo czy zdradzimy króla, ocalając dziecko przed śmiercią na stosie? Gdybym je zgubił, nie mógłbym nigdy więcej spojrzeć Fernandowi w oczy.

- A jednak nie chcecie ratować jego matki... - syknął Bonard. Młodzieniec nie spieszył się i odpowiedział natychmiast:

- Bo nie sędzę, by to do nas należało. Maria jest w pełni świadoma swych czynów. Nie chcecie dopuścić się zdrady... ale przecież tu nie ma mowy o zdradzie.

- Nie chcę wplątać Zakonu Rycerzy Świątyni w ucieczkę *parfaits* z Montsegur! To przestępstwo! Wicie o tym równie dobrze jak ja.

- Gorzej zrobilibyśmy, oddając Fernanda w ręce inkwizycji. Nasi wrogowie wykorzystaliby to, próbując zniszczyć nasz zakon - nie dawał za wygraną Armand de la Tour.

- Jest jeszcze inne wyjście: możemy natychmiast wyjechać.

Rycerz Bonard powiedział to głosem nieznoszącym sprzeciwu, jednak ani Julian, ani Fernando nie zamierzali się poddać.

- Panie, moje życie jest w waszych rękach - powiedział ten ostatni. - Nie proszę o pomoc i wiem, że czeka mnie zasłużona kara. Jednak albo mnie wydacie i w ten sposób powstrzymacie, albo pomogę mojej siostrze w ucieczce i odprowadzę „Doskonałych” w bezpieczne miejsce. To ostatnia wola mojej matki, muszę ją spełnić.

9

Bertrand Marti, sędziwy biskup heretycki, rozkazał przynieść złoto, srebro, drogie kamienie i wszystkie inne wartościowe przedmioty, które można przenieść. Od dawna gromadzono w Montsegur dary, którymi możni wspomagali „dobrych chrześcijan”. Właśnie dzięki ich złotu wznoszono przytułki dla sierot i szpitale oraz pomagano wdowom.

Biskup chciał ratować ten majątek, przekazując go w bezpieczne ręce, by kontynuować dobroczynne dzieło wspólnoty.

Dwaj diakoni, Mathieu i Pierre Bonet, mieli uciec z Montsegur, ratując się tym samym od śmierci na stosie pisanej wszystkim mieszkańcom zamku. Diakonom towarzyszyć miała Teresa z Ainsy, gdyż jej matka, Maria, kazała ją ocalić.

Maria powtórzyła Bertrandowi Martiemu swą rozmowę z synem i wspomniała o złożonej mu obietnicy uratowania Teresy. Dama wiedziała, że biskup zgodzi się na ucieczkę dziewczynki, jeśli jej matka przyczyni się do powodzenia całej misji - stąd pomysł, by Fernando eskortował obu *parfaits* oraz siostrę. Tylko w ten sposób Maria mogła dotrzymać danego Fernandowi słowa. Wiedziała, że syn nie zrozumie jej żądania, nie miała jednak innego wyjścia.

Rajmund z Pereille i Pierre-Roger z Mirapoix mieli teraz nowe zmartwienie - musieli umożliwić diakonom bezpieczne opuszczenie zamku.

Tym razem zdrajcą był krzyżowiec. Choć czy w tym przypadku można w ogóle mówić o zdradzie? Ten urodzony niedaleko Montsegur żołnierz, służący w armii króla, którego bynajmniej nie darzył sympatią, miał za murami zamku siostrzeńców i siostrę. Właśnie na prośbę jej i pana de Mirapoix zgodził się pomóc oblężonym, ryzykując życie.

Był to mieszkaniec Camon, lenna Pierre'a-Rogera z Mirapoix, który obiecał mu sowitą nagrodę za „niezauważenie” wymykających się z zamku diakonów.

Ustalono, że nocą, kiedy zdrajca i inni żołnierze z Camon będą stali na warcie, uciekinierzy przemkną się przez niełatwy do pokonania i zacieniony górski przesmyk - jedyny niezbyt dobrze strzeżony przez krzyżowców.

Teresa szlochała, obejmując matkę. Biskup Marti udzielił jej *consolamentum* - sakramentu zapewniającego zbawienie w obliczu śmierci. Dziewczynka nie chciała rozstawać się z matką ani z towarzyszymi niedoli, razem z którymi przeżyła miesiące oblężenia. Z całej duszy nienawidziła krzyżowców, których uważała za żołdaków czarta, i błagała matkę, by pozwoliła jej opuścić wraz ze sobą przeklęty ziemski padół.

Maria nie wiedziała, jak ukoić żal córki.

- Dałam słowo Fernandowi. Zgodził się nam pomóc, pod warunkiem że opuścisz zamek razem z diakonami. Chcesz, by cały nasz majątek wpadł w ręce krzyżowców? Wywiezione przez was złoto i srebro uratuje od zguby nasz Kościół i wielu z naszych braci. Ginąc, skążesz na stos również ich. Nasza wiara potrzebuje czasu, by zapaść korzenie w ludzkich sercach. Ile warta będzie nasza ofiara, jeśli po upadku Montsegur nie zostanie przy życiu nikt, kto da świadectwo wierze? Tereso, masz do spełnienia misję, musisz żyć, by przetrwała wiara „dobrych chrześcijan”. Brat Mathieu jedzie na dwór hrabiego Tuluzy, by przedstawić mu nasze położenie. Ostatnia szansa na uratowanie Montsegur zależy od ciebie, córeczko.

- Dokąd zabiera mnie Fernando? - pytała dziewczyna, szlochając.

- Będzie was ochraniał podczas drogi. Ukryjecie nasz majątek, a potem pojedziesz z Mathieu na dwór Rajmunda, do twojej siostry i jej męża.

Fernando niecierpliwił się zaszyty w gęstwinie. Pasterz przyprowadził ich tu zaraz po zapadnięciu nocy. Czekali już od wielu godzin, wsłuchując się w odgłosy lasu.

Pasterz milczał. Fernando wiedział, że niedaleko skryli się jego bracia templariusze. Bonard przystał ostatecznie na prośbę Armanda de la Tour, gdyż ten znalazł sposób, by pomóc swemu towarzyszowi bez narażania dobrego imienia Zakonu Rycerzy Świętyńi. Mieli podążać śladem Fernanda i strzec jego bezpieczeństwa, nie biorąc udziału w samej akcji, a po powrocie do komturii oddać Fernanda w ręce mistrza, który wymierzy mu karę. Jednak Bonard nie łudził się - im również przyjdzie zapłacić za współudział, choćby najmniejszy.

Trzask gałązki zaalarmował pasterza i sprawił, że Fernandowi serce podskoczyło do gardła. Z gąszczu wynurzyli się dwaj mężczyźni, wyczerpani, z krwawiącymi dłońmi i zmęczeniem na twarzy; za nimi podążała, potykając się co krok, okolona peleryną postać.

- To oni - uspokoił czekających pasterz kóz.

Fernando dwoma susami dopadł mężczyzn, pozdrowił ich zdawkowym ruchem dłoni i ściągnął kaptur osłaniający głowę i twarz siostry.

- Teresa!

Dziewczyna rzuciła mu pełne nienawiści spojrzenie, ale zaraz potem załamała się, a z jej oczu popłynęły strumienie łez.

- Każcie jej się uspokoić, bo nas usłyszą - rozkazał diakon Mathieu. - Natknęliśmy się po drodze na patrol żołnierzy. Dotarcie tu kosztowało nas wiele trudu.

- Uspokój się, Tereso, popłaczesz sobie później - próbował pocieszyć ją Fernando, nie bardzo wiedząc, jak zwracać się do tej prawie dorosłej kobiety.

Pasterz dał im znak, by zamilkli. Wydało mu się, że usłyszał coś w mroku. Wszyscy byli zdenerwowani i spięci.

- Konie są niedaleko, zaledwie kilka kroków stąd, owinęliśmy im kopyta szmatami, by nie stukwały na kamieniach. Jeździecie konno? - zapytał Fernando diakonów.

- Poradzimy sobie - usłyszał w odpowiedzi.

- W takim razie w drogę...

Fernando otwierał pochód chroniony przez swych towarzyszy. *Parfaits* kazali odprowadzić się do pewnego zakątka w górach Sabartes, gdzie zamierzali ukryć swój skarb.

Pędzili bez wytchnienia. W końcu, w głębi kniei, dwaj mężczyźni dali templariuszowi znak, by na nich zaczekał, sami zaś zsiadli z koni i znikli w gęstwinie. Fernandowi zdawało się, że słyszy inne męskie głosy, ale zgodnie z poleceniem „Doskonałych” nie ruszał się z miejsca.

Wrócili, rozprawiając z ożywieniem. Z ich rozmowy wynikało, że się z kimś spotkali, choć żaden z diakonów nie chciał potwierdzić przypuszczeń Fernanda. Było widać, że przekazali skarb w dobre ręce i że kamień spadł im z serca.

Jechali dalej przed siebie, omijając wojskowe patrole. Fernando wiódł ich pewnie przez lasy i zarośla, z dala od osad i obozowisk. Nocami czuwał nad spokojnym snem swych podopiecznych, wiedząc, że obserwujący go z ukrycia towarzysze nie pozwolą nikomu się do nich zbliżyć. Kilkakrotnie zawisło nad nimi niebezpieczeństwo, ale dzięki zręczności templariusza wyszli cało z opresji. Dwaj diakoni czuli się pewnie pod opieką Fernanda, bo któż odważyłby się zadzierać z członkiem Zakonu Rycerzy Świętyńi?

Teresa była wyczerpana. Przez ostatnie dni nie zatrzymywali się, póki nie zjechali na niziny, gdzie hrabia Rajmund przebywał ze swym dworem. Fernando wolał nie odprowadzać siostry na zamek. Pożegnał się z nią, każąc jej przyrzec, że będzie słuchała starszej siostry i jej męża.

Następnie pożegnał się z *parfaits*, powierzając im Teresę:

- Zostawiam ją pod waszą opieką. Mój szwagier, Bertrand d'Amis, hojnie was wynagrodzi.

- Nie chcemy żadnej nagrody - rzucił Pierre Bonet wyraźnie rozdrażniony słowami templariusza.

- Nie chciałem was urazić - przeprosił Fernando.

- Nie oczekujemy nagrody w doczesnym życiu - pouczył go diakon. - Wasza siostra przyjęła *consolamentum*, jest więc teraz również naszą siostrą.

Fernando uściskał Teresę, po czym wskoczył na konia i spiął go mocno ostrogami. Jego towarzysze czekali. Uratował siostrę od śmierci na stosie, a teraz jedzie odebrać karę. Czy aby zasłużoną? - zapytał się w duszy.

10

Sytuacja w Montsegur pogorszyła się i seneszał był przekonany, że poddanie się pana z Pereille jest tylko kwestią czasu.

Pod dowództwem energicznego biskupa Albi maszyny bojowe nie dawały obłożonym ani chwili wytchnienia. Krzyżowcy byli już kilka metrów od zamku i katapulty zburzyły znaczną część wschodniego muru.

Julian zamknął się w sobie i poświęcił temu, co zleciła mu Maria - pisaniu kroniki. Przysłała ona znajomego pasterza z wiadomością, że Teresa jest już bezpieczna pod opieką siostry na dworze hrabiego Rajmunda. Od tamtej pory upłynęło jednak dużo czasu - minęło Boże Narodzenie, styczeń zbliżał się ku końcowi, a dominikanin nie miał nowych wiadomości od Marii.

Zresztą o Fernandzie również nic nie wiedział. Rzec by można, że jego brat zapadł się pod ziemię. Juliana kusiło, by wypytać o niego w komturii oddalonej od obozu o kilka dni jazdy konnej, ale bał się, że swą ciekawością tylko Fernandowi zaszkodzi i, co gorsza, obudzi czujność ich wrogów. Dlatego dniami i nocami spisywał dzieje Montsegur i heretyków, by pewnego dnia przekazać je swej przyrodniej siostrze Marian.

Chował skwapliwie zapisane stronicę, aby gościom zaglądającym do jego namiotu nie przyszło do głowy ich czytać.

Czasami miał wrażenie, że brat Ferrer przygląda mu się nieufnie. Czuł niechęć swego przełożonego, tłumaczył sobie jednak, że ponury inkwizytor do nikogo nie pała sympatią. Nawet brata Pierre'a oblatywał w jego obecności strach.

Do namiotu wdarł się podmuch chłodu, poprzedzając wejście pocziwego dominikanina.

- Jak się dzisiaj czujecie, Julianie? - spytał brat Pierre..- Lepiej, znacznie lepiej.

- Nic, tylko pracujecie i pracujecie!

- Przygotowuję się do sądu nad heretykami.

- Ale co piszecie z takim zapalem?

- Porządkuję wyroki wydane podczas podobnych sądów i decyzje podjęte na soborach. Błahostki te pomagają mi się czymś zająć w słotne dni, kiedy tylko szalenie wysunąłby nos z namiotu.

- Święte słowa. Wyznam, że od tej wszędobylskiej wilgoci łupie mnie w kościach. Czasami ból jest tak dokuczliwy, że ledwie mogę się ruszyć. Medyk seneszala upuścił mi krew, ale na niewiele się to zdało.

- Medyk seneszala nie ma zielonego pojęcia o leczeniu.

- Ależ bracie Julianie!

- Ten rzeźnik potrafi tylko wykrwawiać chorego bez względu na to, czy skarży się on na ból brzucha, czy przeziębienie.

Brat Pierre nie odpowiedział - jego milczenie było oczywistym potwierdzeniem słów Juliana. Przez chwilę rozmawiali o plotkach krążących po obozie, choć nic ciekawego się tam ostatnio nie wydarzyło.

Niedługo po wyjściu brata Pierre'a do namiotu Juliana wszedł sługa z wiadomością, że pasterz kóz prosi o widzenie. Pastuch miał przewieszony przez ramię wianuszek serów.

- Przynoszę sery dla seneszala - powiedział na powitanie.

Julianowi zrobiło się czarno przed oczami. Niecierpliwie wyczekiwał wieści od Marii, ale jednocześnie się ich obawiał. Od dawna zastanawiał się, jaki los przypadł w udziale jego pani.

- Pani Maria chce się z wami widzieć. Niebawem po was przyjdę, choć nie wiem jeszcze której nocy. Sytuacja uległa zmianie i dostęp do zamku jest teraz znacznie bardziej utrudniony. W każdym razie bądźcie gotowi.

Julian znów zaczął źle sypiać, mimo że zioła templariuszowskiego medyka pomagały mu zasnąć. Jego noce zaroily się od koszmarów, w których Maria wydawała mu najrozmaitsze rozkazy, narażając go na śmiertelne niebezpieczeństwo. Budził się nagle zlany zimnym potem spływającym mu po kręgosłupie. Znów stracił apetyt. Brat Pierre uważał go za świętego męża, przekonany, że jego chudość jest skutkiem umartwień i wyrzeczenia się

wszystkiego co materialne, włącznie ze smaczną strawą, której można było jeszcze posmakować w obozowisku.

Pasterz przyszedł po Juliana pewnej nocy, wkrótce po wypiciu przez niego nasennego naparu.

- Pospieszcie się, mamy dzisiaj niezbyt jasną noc, musimy to wykorzystać i jak najszybciej dotrzeć na miejsce.

Julian podążył za nim, obawiając się, że sen zmorzy go w drodze, choć jeszcze bardziej bał się wpaść w ręce krzyżowców, bo nijak nie mógłby im wyjaśnić, dlaczego wraz z pasterzem kóz wspina się po skałach w kierunku przeklętego zamku.

I tym razem stracił poczucie czasu: nie wiedział, jak długo idą, choć wydawało mu się, że znacznie dłużej niż poprzednio. Bolały go nogi.

Nie od razu rozpoznał Marię, która stanęła im na drodze niby zjawa.

Trudy życia w oblężonym zamku jeszcze bardziej wyostriły jej rysy, a sine kręgi otaczały jej przygaszone teraz oczy. Prócz kwitnącego wyglądu Maria utraciła również całą charakteryzującą ją do niedawna energię. Była wyraźnie u kresu sił.

Uściskała Juliana czule, pierwszy raz od bardzo dawna.

- Chodź, siadaj, nie mamy wiele czasu - rzuciła, wskazując mu miejsce obok siebie na kamiennym występie.

- Pani, wyglądzie na zmęczoną.

- Bo jestem zmęczona, wasze katapulty nie dają nam ani chwili spokoju. Ach, ten diabelski biskup i jego piekielne maszyny... No, ale niebawem wszystko się skończy... Lecz chcę z tobą rozmawiać nie o wojnie, ale o moim synu.

- O Fernandzie? Pani, ja... wybaczcie, nic o nim nie wiem.

- Tak myślałam. Bałeś się pytać.

- Pani, niełatwo wybadać, co dzieje się w komturii templariuszy, rycerze świątyni są podporządkowani bezpośrednio papieżowi.

- Ale przecież mogłeś odwiedzić Fernanda.

- Wiesz, pani, że templariusze nie przyjmują gości. Nie mogą, zabrania im tego reguła zakonna.

- Doskonale, skoro ty nie chcesz, sama pójdę.

- Wy, pani!? Nie możecie.

- Oczywiście, że mogę. Coś ci powiem: nie tylko diabelskie maszyny tego twojego biskupa nie pozwalają mi zmrużyć oka, sen z powiek spędza mi również los Fernanda, obawiam się bowiem, że sprowadziłam na niego nieszczęście. Pogodziłam się już z myślą, że

może zginąć, walcząc z Saracenami, ale obawa, że gnije w lochu, gnębi mnie straszliwie i jest nie do zniesienia.

- Jeden z towarzyszy Fernanda, medyk Armand de la Tour, był mu bardzo życzliwy...

- W takim razie spróbuj się z nim skontaktować i czegoś dowiedzieć.

- Ależ, pani, to niemożliwe!

- Musisz sobie jakoś poradzić - zawyrokowała Maria. - Spotkamy się za dwa tygodnie.

Dwa tygodnie chyba jeszcze wytrzymamy... - mruknęła pod nosem.

- Pani, nie wiecie, o co prosicie.

- Oczywiście, że wiem. Niebawem umrę, ale chcę odejść z tego świata z czystym sumieniem. Zresztą ty sam mnie osądzisz i pošlesz na stos.

Julian spuścił głowę zatrwożony prorocstwem Marii. Nie mógł zapanować nad cisnącymi mu się do oczu łzami.

- No, synku, nie płacz. Cóż można poradzić na to, że nie słuchałeś moich rad i uparłeś się, by służyć Wielkiej Nierządniczy, jaką jest wasz Kościół?

- Przecież sami chcieliście, bym został dominikaninem!

- To było jeszcze, zanim poznałam „dobrych chrześcijan”.

- Pani, chcecie, byśmy wszyscy wierzyli w to, w co sami wierzycie, i przestali wierzyć równocześnie z wami, byśmy widzieli dzień o zmierzchu, a noc o poranku...

- Dość tego, Julianie! Nie zadręczaj się. Nie będę cię nakłaniała do zmiany przekonań, nie ma już na to czasu. Poza tym na swój sposób jesteś już heretykiem.

- Niech Bóg się nade mną ulituje!

- Co do tego nie mam pewności - zażartowała sobie Maria, choć Julian nie usłyszał żartobliwej nutki w jej głosie.

Nadszedł pasterz kóz, dając im znaki.

- Czas minął, musisz wracać do obozu - stwierdziła Maria. - Poślę po ciebie, gdy dowiesz się czegoś o Fernandzie.

- A co słyhać u Teresy? - zdążył jeszcze zapytać Julian.

- Przekazano ci już, że ma się dobrze. Pod koniec stycznia wrócił na zamek Mathieu, diakon, który odwiózł ją na dwór Rajmunda. Od tej pory nie mam od niej wiadomości.

- Jeden z *parfaits* wrócił?

- Przecież słyszysz. Mieliśmy nadzieję, że sprowadzi posiłki, ale przywiózł tylko dwóch żołnierzy. Pierre-Roger z Mirapoix uważa, że powinniśmy spróbować ponownie.

- Jeszcze raz zwrócić się do hrabiego o pomoc?

- Mirapoix przekonał pana zamku, swego krewnego Rajmunda z Pereille, że trzeba podtrzymać wiarę w ludziach. Poprosił naszego biskupa, Bertranda Martiego, by znów wysłał Mathieu lub innego diakona do Rajmunda. Sam widzisz, jak bardzo ci ufam, skoro odkrywam przed tobą najgłębsze tajemnice, łącznie z naszym rozpaczliwym położeniem.

- Nie życzę wam źle.

- Bo masz dobre serce, Julianie, tyle że zblądziłeś. Zabrakło ci przenikliwości, by wybrać właściwą drogę. Myślisz, że zostanie „dobrym chrześcijaninem” to skok w przepaść, tymczasem jesteś bardziej podobny do nas, niż przypuszczasz.

Julian pożalił się bratu Pierre’owi, że skończyły się zioła od medyka templariusza i że znów zaczyna go prześladować ból brzucha i bezsenność.

Mnich próbował przekonać sekretarza inkwizycji, że nie ma mowy o posłaniu umyślnego do komturii z dziwaczną prośbą o zioła dla chorego dominikanina, tym bardziej że brat Ferrer by się na to nie zgodził.

Przez dwa dni Julian nie wstawał z łóżka, skarżąc się na potworny ból brzucha. Pozwolił nawet, by medyk seneszala upuścił mu krew, co sprawiło, że jego już i tak blada twarz stała się jeszcze bielsza.

Brat Ferrer bardzo niechętnie uległ błaganiom poczciwego Pierre’a, ale w końcu zgodził się wysłać pachołka na zamek templariuszy w Agen, do komturii, do której należeli Armand de la Tour oraz Fernando.

Na zachętę posłaniec otrzymał od Juliana sakiewkę pełną monet oraz obietnicę, że jeśli oprócz bezcennych ziół przywiezie również wieści o Fernandzie, nagroda zostanie podwojona.

- Rycerz z Ainsy jest moim bratem - wyjaśnił Julian. - Pozdrów go ode mnie, jeśli uda ci się z nim zobaczyć, a jeśli nie, przekaż moje pozdrowienia dla niego rycerzowi de la Tour.

Cały tydzień Julian wypatrywał posłańca i upragnionych wieści o bracie.

- Wybaczcie, ale nie dane mi było widzieć się z owym medykiem - oznajmił sługa po powrocie.

Julian zbladł pełen najgorszych przeczuć. - Nie martwcie się, rycerze dali mi worek ziół, na których tak wam zależało.

- A mój brat? Czego się o nim dowiedziałeś?

- Niewiele. Chłopak służący na zamku wspomniał, że kilku rycerzy trafiło do lochu po powrocie z pewnej wyprawy. Ponoć dopuścili się nieposłuszeństwa. Wasz brat jest chyba wśród nich. Dowiedziałem się również, że w zamkowych lochach nawet dziki zwierz długo

nie wytrzyma, bo miejsce to pogrążone jest w wiecznym mroku, a więźniowie dostają tylko pół kubka wody oraz pół bochna chleba dziennie i szybko tracą rozum.

- Skąd wiesz, że mój brat jest jednym z ukaranych?

- Całkiem niedawno odwiedził nasz obóz wraz z czterema innymi lycerczami, a uwięzieni należeli właśnie do tej grupy. Nie trzeba się bardzo głowić, by powiązać te fakty. Obiecaliście mi nagrodę za sprawdzone informacje, oto one - upomniał się o zapłatę chciwy pacholek.

Julian wręczył mu sakiewkę. Nie wiedział, czy powinien dać wiarę jego słowom, nie miał jednak innego wyjścia. Drżał na myśl, że przyjdzie mu przekazać złe wieści pani Marii, ale bardziej jeszcze obawiał się jej reakcji.

11

Corba z Lantar pomagała Marii się ubrać. Żona Rajmunda z Pereille, pana Montsegur, bez wahania przystała na prośbę przyjaciółki: Maria chciała pożyczyć od niej dworskie szaty, gdyż jako jedna z *parfaits* nosiła na co dzień burą tunikę i czarną pelerynę, a w takim stroju nie mogła stanąć przed komandorem zamku w Agen, gdzie więziono Fernanda.

Rajmund z Pereille próbował wyperswadować Marii szaloną wyprawę, ale jego argumenty rozbiły się o jej upór. Pierre-Roger z Mirapoix nie miał więcej szczęścia.

- Może się już nie zobaczymy - mówiła Corba, pomagając przyjaciółce włożyć czepiec.

- Wrócę, podzielę los wszystkich mieszkańców zamku, ale najpierw muszę uratować syna.

- Wiem i rozumiem was, nie powinniście jednak obwiniać się o to, co go spotkało.

- Coś wam powiem, Corbo. Nigdy nie traktowałam Fernanda, jak należy. Zawsze podejrzewałam, że wstąpił do Zakonu Rycerzy Świątyni nie z powołania, ale w odruchu buntu. Myślę, że chciał mnie w ten sposób ukarać. Nie mogę wydać go na pastwę tym mnichom wojownikom, których zachowania ni w ząb nie rozumiem.

- Ale może komandor nawet was nie przyjmie.

- Przyjmie, przyjmie, nie będzie miał innego wyjścia.

Maria nie chciała przywdziać kosztownych szat, wybrała ciemnoniebieską suknię oraz obszytą króliczym futerkiem pelerynę tego samego koloru. Na koniec spięła włosy i spróbowała uróżować nieco swe blade policzki.

Teraz niełatwo było opuścić zamek niepostrzeżenie. Owego lutego ludzie seneszala podeszli tak blisko, że widzieli ze swych stanowisk wymizerowane twarze obrońców.

I tym razem Pierre-Roger z Mirapoix musiał zwrócić się o pomoc do krajanów służących w oddziałach królewskich. Za dwie kabzy monet zgodzili się odwrócić uwagę swych towarzyszy, podczas gdy Maria przemykała w mroku nocy.

Ruszyła do zanku Agen na koniu i w towarzystwie pachołka. Woląla nie zatrzymywać się po drodze na odpoczynek. Pragnęła uratować syna, ale jednocześnie chciała jak najszybciej wrócić do Montsegur, by podzielić los swych braci w wierze. Biskup Bertrand Marti pobłogosławił ją na drogę i polecił boskiej opiece.

Majający na horyzoncie zamek Agen wyglądał wspaniale. Maria kazała pachołkowi przystanąć, po czym odświeżyła się, przyczesala i doprowadziła do porządku strój, chcąc godnie zaprezentować się przed komandorem.

Swym pojawieniem się na zamku wywołała powszechne osłupienie, zwłaszcza że przedstawiła się wyniośle: „Maria, pani Ainsy”.

Służący poprosił, by zaczekała w izbie, gdzie jedynym meblem do siedzenia była kamienna ława. Jednak Maria była za bardzo zdenerwowana, by usiąść, zamiast tego przemierzała izbę w tę i z powrotem, nie mogąc się doczekać spotkania z komandorem.

Z twarzy powracającego służącego wyczytała, że przynosi złe wieści.

- Komandor nie może was przyjąć, przykro mi.

- Pan Yves z Avenaret nie chce mnie przyjąć?

- Nie może, pani.

- Znakomicie. W takim razie przekaż mu, że poczekam, aż będzie mógł. Nigdzie mi się nie spieszy. Przynieś mi tymczasem wody i coś do jedzenia.

Służący zerknął przestraszony na damę. Ta energiczna niewiasta onieśmiała go.

- Ależ nie możecie tu zostać! To zamek templariuszy, damom nie wolno tu przebywać.

- Wiem i pragnę jak najszybciej opuścić to miejsce. Nie wyjadę jednak, dopóki nie zobaczę się z panem z Avenaret.

- Pani, nie nalegajcie! - błagał służący.- Nie nalegam. Przekaż z łaski swojej komandorowi, że czekam i nigdzie się nie ruszę, póki nie porozmawiam z nim o pewnej sprawie dotyczącej Zakonu Rycerzy Świątyni, króla Ludwika, papieża tudzież nas dwojga.

Na wzmiankę o tak wielkich osobistościach służący wybiegł z izby jak sparzony.

Wróciwszy po dłuższej chwili, zastał Marię tak, jak ją zostawił - przemierzała izbę wielkimi krokami.

- Komandor was przyjmie.

Maria nie odpowiedziała, tylko żwawo podążyła za służącym przez lodowate zamkowe komnaty. Napotkani po drodze rycerze obserwowali ją kątem oka z zaciekawieniem.

Yves z Avenaret był niezwykle chudym mężczyzną w podeszłym wieku. Jego zapadnięte oczy zdradzały duszę nawykłą do ascezy.

Stał wyprostowany obok krzesła z wysokim oparciem. Komnata była prawie pusta, z wyjątkiem tego właśnie krzesła oraz stołu zarzuconego zwojami pergaminu i przyborami do pisania. Pomieszczenie ogrzewał kamienny kominek wbudowany w ścianę.

Templariusz wbił w gościa szare źrenice, ale Maria nie spuściła wzroku. Jeśli komandor liczył, że ją zastraszy, nie wiedział najwyraźniej, z kim ma do czynienia.

- Mówcie, co macie do powiedzenia - rzucił rozkazującym tonem, nie prosząc nawet gościa, by usiadł.

- Przedstawię sprawę krótko, bo i ja cenię czas. Wtrąciliście do lochu mojego syna Fernanda z Ainsy, choć wiecie, że nie zrobił nic złego, wypełniał jedynie ostatnią wolę swej matki, która wkrótce umrze na stosie.

Komandor nie potrafił ukryć zdumienia, słysząc, z jakim opanowaniem ta kobieta mówi o czekającym ją losie.

- Fernando byłby wyrodnym synem, gdyby nie spełnił prośby matki gotującej się na śmierć. Chciał za wszelką cenę ratować swą najmłodszą siostrę, a ja przystałam na jego błagania tylko pod warunkiem, że odprowadzi ją oraz dwóch *parfaits*, diakonów naszego Kościoła, w bezpieczne miejsce. Tak, posłużyłam się szantażem: życie siostry w zamian za pomoc w ucieczce dwóm *bonshommes* wynoszącym z oblężonego zamku to, co mamy najcenniejszego, a co pozwoli naszym braciom nadal głosić słowo boże. Na tym właśnie polega grzech Fernanda. Ukaraliście go wyjątkowo surowo, nie zlitowaliście się nad młodym człowiekiem, który nie mógł sprzeciwić się matce. Wiem, że więzicie go w tutejszych lochach wraz z czterema innymi rycerzami, którzy wbrew swej woli zostali zamieszani w całą sprawę. Wzbraniał się zawzięcie, ale woleli nie opuszczać Fernanda w obawie, że wpadnie w ręce krzyżowców, wywołując tym samym wielki skandal. Nie potrzeba bujnej wyobraźni, by pojąć, że gdyby przyłapano Fernanda na gorącym uczynku, cały zakon templariuszy byłby podejrzany o to, że pomógł dwóm ważnym członkom Kościoła Dobrych Chrześcijan. Nikt nie uwierzyłby, że Fernando działał z własnej woli, a nie z nakazu swego Mistrza. Towarzysze

mego syna postąpili rozsądnie, nie chcąc jeszcze bardziej komplikować sytuacji. Jechali w ślad za nim, nie biorąc jednak udziału w misji, która polegała po prostu na zaprowadzeniu mojej córki i diakonów w bezpieczne miejsce. A teraz żądam, byście osądzili ich sprawiedliwie.

Yves z Avenaret łypał wściekle na tę zuchwałą niewiastę, przemawiającą spokojnie i wyniośle, niczym nietolerujący sprzeciwu dowódca na polu bitwy.

Miał sobie za złe, że zgodził się ją przyjąć, ale jednocześnie, obserwując Marię, czuł, że ta kobieta zawsze postawi na swoim. Zaczynał obawiać się jej reakcji, jeśli zlekceważy wysuwane przez nią żądania.

- Domagacie się sprawiedliwości, pani? A cóż wy możecie wiedzieć o sprawiedliwości? Jak śmiecie przyjeżdżać tu i grozić...

- Grozić? Groziłam wam? Powiedzcie, w którym z moich słów dopatrzyliście się groźby. Nie, panie Avenaret, jeszcze nie zaczęłam wam grozić.

Templariusz zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę, pragnąc jak najszybciej odprawić tę kobietę, która, jak się obawiał, mogła mu tylko narobić kłopotów.

- Wasz syn złamał śluby zakonne. Wstępując do Zakonu Rycerzy Świątyni, kandydat zrywa na zawsze stosunki z rodziną. Fernando dopuścił się nieposłuszeństwa i omal nie skompromitował nas wszystkich. Musi za to zapłacić.

- Dziwna to reguła, która każe swym członkom służyć Bogu, a jednocześnie żąda, by zapomnieli o najbliższych: o matce, która wydała ich na świat, o rodzeństwie... Jakże wasi zakonnicy mają poświęcać się dla innych, skoro odwracają się od własnych krewnych? Człowiek nie może wyrzec się własnej przeszłości i wymazać jej z pamięci tylko dlatego, że wziętą na siebie nowe zobowiązania. Mój syn musiał mnie posłuchać, nie miał innego wyjścia, zachował się nie jak mnich, ale jak brat.- Proszę, i kto to mówi? Heretyczka, która porzuciła męża i dzieci.

Maria poczuła, że zadano jej cios w samo serce, mimo to ani myślała upadać na duchu i rezygnować z walki.

- Nie wam dane jest mnie osądzać. Ani wam, ani waszemu Bogu. Dlatego nie traćmy czasu na rozprawianie o mnie. Przybyłam, by wam powiedzieć, że jeśli nie uwolnicie mojego syna i jego towarzyszy, król Ludwik i papież dowiedzą się, że kilku rycerzy z waszej komandorii pomogło w ucieczce diakonom z Montsegur, którzy wywieźli z zamku cenny skarb. Wyjdzie również na jaw, że pozbyliście się tych rycerzy, by ukryć przed światem ich występki. Czy aby nie dlatego, że zakon templariuszy jest teraz spadkobiercą i strażnikiem skarbu „dobrych chrześcijan”?

- Jak śmiecie tak mówić? Wiecie najlepiej, że nie mamy z tym nic wspólnego!

- Zostanie wszczęte dochodzenie i będziecie musieli dowieść swej niewinności nie tylko przed członkami zakonu, ale również przed papieżem i królem. Ludzie nigdy nie dają wiary temu, co oczywiste, dlatego nikt nie uwierzy, że Fernando chciał po prostu ocalić siostrę i dlatego wypełnił polecenie swej nieszczęsnej matki, jednej z „Doskonałych” broniących się w Montsegur. Nie muszę chyba przypominać, że wasz zakon ma wielu wrogów, również bardzo wpływowych. Ta historia może ich zainteresować. Gdzie jest nasz skarb? Ja będę się zaklinała, że właśnie u was.

- Heretyczka! - krzyknął komandor.

- Proszę, proszę, a ja myślałam, że to wy jesteście heretykiem. Żądam, byście natychmiast uwolnili mojego syna i wysłali go do Ziemi Świętej, jak najdalej od tego miejsca, od was i ode mnie. To samo dotyczy jego towarzyszy. Przysięgniecie na waszą Biblię, że nie będziecie się na nich mścili ani nie zdradzicie nikomu prawdy. Jeśli nie dotrzymacie słowa, diabelski synu, odpowiecie przed Bogiem, a On bynajmniej się nad wami nie ulituje.

Yves z Avenaret dygotał z wściekłości. Gdyby Maria była mężczyzną, zasiękłby ją mieczem. Ta niewiasta - nieustępliwa, uparta, nieprzejednana - była najstraszniejszym z wrogów. Jeśli nie spełni jej żądań, dobre imię zakonu zostanie skalane, a on sam trafi do lochu oskarżony o zdradę. Jednak krew się w nim burzyła na myśl, że będzie musiał się ugiąć przed szantażem tej kobiety.

Maria milczała. Była wyczerpana, wciąż nie wiedziała, czy wygrała bitwę, jednak przyrzekła sobie w duchu, że jeśli ten templariusz nie uwolni jej syna, pograży go w bagnie historii. Osobiście uda się na dwór króla Ludwika i poprosi go o audiencję, wyśle też list do papieża. Cóż z tego, że zdradzi się jako „dobra chrześcijanka” - dla nich heretyczka - skoro jednocześnie oskarży Zakon Rycerzy Świątyni o kradzież skarbu przechowywanego na zamku Montsegur. Nie wiedziała, co może z tego wyniknąć (pewne było tylko, że natychmiast trafiłaby na stos), ale przedtem narobiłaby takiego zamieszania, że zakon templariuszy nie wyszedłby z tej awantury bez szwanku.

Yves z Avenaret przeszył nienawistnym spojrzeniem kobietę, za której sprawą poniósł pierwszą w życiu porażkę.

- Wasz syn odzyska wolność. Macie moje słowo.

- Najpierw musicie złożyć przysięgę na waszą Biblię, potem każecie przyprowadzić Fernanda i wydacie jemu i jego towarzyszom prowiant i wodę oraz konie, a także wszystkie glejty potrzebne na drogę. Dopiero wtedy wraz z nimi opuszczę na zawsze zamek. Aha, jeszcze jedno, bo wam nie ufam. Prawdopodobnie kusi was, by skończyć ze mną, zanim trafię

na stos. Jednak ostrzegam, że jeśli mnie lub mojemu synowi włos spadnie z głowy, moi bracia w wierze spełnią moją groźbę.

- Jesteście heretyczka, dlatego nie rozumiecie wartości rycerskiego słowa.

- Jestem Maria z Ainsy, poślubiłam najlepszego i najmężniejszego z rycerzy, który, zapewniam, nie jest do was w niczym podobny.

Znów starli się wzorkiem. Oczy Yvesa z Avenaret ciskały gromy, w spojrzeniu Marii z Ainsy była determinacja. Podeszła do stołu i wskazała otwartą Biblię.

- Przysięgajcie.

Yves z Avenaret spełnił polecenie. Wściekle, lecz bez zająknięcia, przyrzekł wszystko, co wymogła na nim Maria. Przyrzekł na Boga i na własny honor. Zaraz potem opuścił komnatę, pozostawiając Marię samą, niemogącą się doczekać spotkania z synem.

Wrócił po ponad godzinie z Fernandem, który szedł wsparty na służącym, bo ledwo trzymał się na nogach. Zasłaniał oczy, oślepiony światłem zalewającym komnatę. Z postawnego żołnierza została tylko skóra i kości, miał skołtunione włosy, a z jego sztywnego od brudu ubrania bił potworny fetor. - Matko, przyjechaliście!

Maria przypadła do syna, nie mogąc powstrzymać łez na widok jego żalosego stanu.

- Jak wy traktujecie swych braci?! - krzyknęła na Yvesa z Avenaret. - Nigdy nie widziałam diabła z tak bliska.

Fernando oparł się o ścianę, oszołomiony słowami matki, obawiając się, że rozwścieczą one komandora. Maria zdołała jednak zapanować nad emocjami i przemówiła do głównego templariusza lodowatym głosem.

- Rozkażcie sługom, by pomogli mojemu synowi się umyć, nakarmili go i przynieśli mu czyste ubranie. To samo dotyczy jego towarzyszy. Gdy będą gotowi, przyślijcie ich do mnie, do tej komnaty. Stąd wyruszamy w drogę.

Zostawszy sama, nie zdołała oprzeć się dłużej przemożnemu zmęczeniu. Bez zastanowienia usiadła na wysokim krześle komandora. Straciła rachubę czasu: nie wiedziała, jak długo kazano jej czekać ani czy zmorzył ją sen. Ocknęła się na odgłos zbliżających się donośnych kroków.

Fernando w dalszym ciągu nie mógł iść o własnych siłach, podobnie jak jego towarzysze, którzy również wspierali się na zamkowych służących.

Byli umyć, przebrani w czyste ubrania i mieli jeszcze wilgotne po kąpieli włosy. Maria nie była pewna, czy utrzymają się na koniach. Uznawszy jednak, że nie może dłużej kusić losu, postanowiła czym prędzej opuścić zamek.

- Konie są gotowe do drogi, podobnie jak cztery mulice objuczone prowiantem i bronią. Oto glejty oraz weksle, które umożliwią im wstęp na statek odpływający do Ziemi Świętej.

Maria sięgnęła po glejty. Gdy jej wzrok spotkał się na chwilę ze wzrokiem komandora, zrozumiała, że człowiek ten, mimo żywionej do niej nienawiści, dotrzyma obietnicy.

Nie zamienili już ze sobą ani słowa. Maria dała rycerzom znak, by skierowali się ku wyjściu. Szli w milczeniu, pytając się w duchu, co to wszystko znaczy. Z mroku i martwej ciszy wyciągnięto ich na wolność, umyto i jak gdyby nigdy nic posłano do walki z Saracenami. Wszystko to zawdzięczali najwyraźniej tej drobnej kobiecie o przeszywającym spojrzeniu i zdecydowanych ruchach, uderzająco podobnej do Fernanda.

Opuścili zamek wraz z dwoma pachółkami wchodzącymi w skład wyprawy oraz pięcioma giermkami, zdumionymi, nie mniej niż sami rycerze, nagłą misją. Jednak nikt nie zadaje pytań komandorowi ani nie podważa jego rozkazów, tylko je wykonuje.

Gdy odjechali już spory kawał drogi od zamku, Maria kazała im stanąć. Zsiadła z konia i poprosiła templariuszy, by odpoczęli, podczas gdy ona porozmawia z synem. Tym razem mieli się pożegnać już na zawsze.

- Fernando, synku, błagam, wybac mi cierpienie, na jakie cię naraziłam.

- To nie wasza wina, matko - zdołał tylko powiedzieć młodzieniec. - Złamałem regułę zakonną, wiedząc, że spotka mnie kara. Nie zmuszaliście mnie.

- Ależ oczywiście, że cię zmusiłam. I dlatego każda sekunda twojego cierpienia oraz cierpienia twoich towarzyszy ciąży mi na sumieniu. Wybac mi, proszę, inaczej nie odejdę w pokoju z tego świata.

- Matko, nie muszę wam niczego wybaczać. Zresztą do tej pory nie potrafię sobie wytłumaczyć, jak wyciągnęliście nas z lochów...

- Wyciągnęłam i już. Na cóż ci wiedzieć więcej...

- Komandor jest człowiekiem surowym, ale sprawiedliwym.

- Sprawiedliwym? Czy więzienie człowieka w mroku, ze szczurami, i karmienie go połową bochenka chleba, by przedłużyć jego męki, nazywasz sprawiedliwością? Naprawdę wierzysz, że zasłużyłeś na takie piekło? Nie. Ani ty, ani twoi towarzysze. Jesteście niewinni, a

umarlibyście okryci sromotą. Ludzie, którzy traktują bliźnich tak, jak potraktowano ciebie, są zniewoleni przez demona.

- Na Boga, matko! Co wy mówicie?!

- Lękam się ludzi, którzy nie wątpią.

- Wy również nie wątpicie.

- Co ty możesz o tym wiedzieć, synu! Czasem jest za późno, by zawrócić z raz obranej drogi.

- Co zamierzacie, matko?

- Wracam do Montsegur. Niebawem wybije moja godzina.

- Uciekajcie! Nie musicie jechać do zamku, ojciec was obroni.

- Gdybym wróciła do Ainsy, sprowadziłabym zgubę na twojego ojca. Nie, nie mogę mu tego zrobić. Nie chcę wracać, synku, nie chcę.- Jak długo wytrzyma jeszcze Montsegur?

- Niedługo. Mathieu dwukrotnie wyjeżdżał z poselstwem. Za pierwszym razem zamiast oczekiwanych posiłków sprowadził tylko dwóch mężczyzn, teraz czekamy ponownie na jego powrót, choć już bez złudzeń. Rajmund nam nie pomoże, zostawił nas na łasce losu, bo wie, że jeśli znów wystąpi przeciwko królowi, nie będzie mógł już liczyć na przebaczenie. Woli ratować życie i część swych ziem. Kontakt Montsegur ze światem jest coraz bardziej utrudniony, mimo to Mathieu zdołał nas powiadomić, że dwaj możni, Bernat d'Alio i Arnaut de So, chcą zapłacić niejakiemu Corbariowi, dowódcy aragońskich żołdaków, by przybył nam z odsieczą. Od tamtej pory nie mieliśmy jednak żadnych wiadomości.

- Matko, ukryjcie się pośród „dobrych chrześcijan”, którzy na pewno ostali się jeszcze w okolicy, ale nie wracajcie do twierdzy.

- Synu, nie martw się o mnie. Ja już swoje przeżyłam, żałuję tylko jednego: że nie dałam ci tego, na co zasługujesz.

- Uratowaliście mi życie.

- Byłam ci to winna.

- Tylko dlatego to zrobiliście?

- Nie tylko. Również dlatego, że cię kocham, Fernandzie. Kocham cię z całej duszy, choć nigdy nie umiałam ci tego powiedzieć. Byłam bardzo surowa dla wszystkich, którzy dzielili ze mną życie, lecz najbardziej ubolewam nad tym, że nie potrafiłam zbliżyć się do ciebie, synku. Odpowiem za to przed Bogiem.

Fernando ujął jej rękę, a potem objął matkę. Tulił ją do siebie długo, by poczuła, jak bardzo ją kocha.

Pozostali rycerze zbliżyli się do nich chwiejnym krokiem.

- Chcemy wam podziękować - odezwał się medyk Armand de la Tour.

- To ja dziękuję i proszę o wybaczenie, bo naraziłam wasze życie.

- Okazaliście wielkie męstwo, pani - przyznał Arthur Bonard.

- Zrobiłam, co podpowiadało mi sumienie, chcę bowiem umrzeć pogodzona ze światem. No, a teraz jedźcie. Fernando wszystko wam wytłumaczy. Komandor przyrzekł mi, że nie będzie was ścigał i że nikt się o niczym nie dowie. Wy również milczcie, bo dla dobra nas wszystkich nikt nie powinien wiedzieć, co się stało.

Rycerze przyrzekli, że nie zdradzą się ani słowem. Na próżno starali się przekonać Marię, by nie wracała do Montsegur.

- Musimy zmierzyć się z własnym przeznaczeniem. Każdy z nas wybrał swój los, a ja wybrałam nawet sposób, w jaki zginę. No, jedźcie w pokoju, rycerze, i niech Bóg ma was w swojej opiece.

Matka i syn uściskali się jeszcze raz. Po ich policzkach płynęły łzy, nie próbowali ich jednak powstrzymać.

- Kocham cię, Fernandzie. Żyj, żyj i pamiętaj, że jesteś rycerzem, ostatnim panem Ainsy.

Po tych słowach Maria wyprostowała się na koniu i nie spoglądając za siebie, ruszyła galopem w kierunku Montsegur.

12

Szesnastego marca 1244 roku łagodny wietrzyk zapowiadał nadejście wiosny. Julian mamrotał modlitwę, nie potrafiąc zapanować nad szczękaniem zębami. Unoszący się nad drogą kurz dowodził, że niebawem pojawi się na niej pochód jeńców z Montsegur.

W ostatnich tygodniach walki między oblężonymi a krzyżowcami zaostrzyły się i pan zamku, Rajmund z Pereille, oraz dowódca obrony, Pierre-Roger z Mirapoix, uznali, że dalszy opór jest nadaremny. Tym razem hrabia Rajmund dotrzymał lennych zobowiązań wobec króla Ludwika, a miejscowi możni najwyraźniej nie czuli się na siłach, by przyjść obrońcom Montsegur z odsieczą: brakowało przywódcy, na dodatek hrabstwo było wyniszczone ciągłymi wojnami.

Pierwszego marca Pierre-Roger z Mirapoix wyszedł, by omówić warunki kapitulacji. Seneszał Hugon z Arcis nie posiadał się z radości i czy to z wrodzonej dobroci, czy raczej z pragnienia, by jak najszybciej zakończyć trwające od dziewięciu miesięcy oblężenie, okazał pokonanym wspaniałomyślność.

Julian oraz pozostali dominikanie byli świadkami pertraktacji.

Hugon dał obleżonym piętnaście dni na opuszczenie zamku, żądając w zamian zakładników, wśród których mieli się znaleźć: Jordan, syn samego pana Montsegur, Arnaut z Mirapoix, krewny komendanta, oraz Rajmund Marti, brat biskupa „dobrych chrześcijan”.

Postanowiono również podzielić zwyciężonych na dwie grupy: „Doskonałych” oraz tych, którzy im pomagali, choć nie należeli do Kościoła Dobrych Chrześcijan. Los *parfaits* był przesądzony - czekała ich śmierć na stosie, choć ci, którzy wyparliby się heretyckiej wiary, mieli jeszcze szansę na ułaskawienie. Dominikanie niecierpliwiili się, chcąc jak najszybciej rozpocząć wnikliwe przesłuchania, które spisywać miał Julian, sekretarz inkwizycji. Brat Ferrer, zapamiętały inkwizytor, nie mógł się już doczekać, by posłać na stos owych nieszczęśników. Zamierzał osobiście przygotować protokół wydarzeń z Montsegur.

Maria oraz inni *parfaits* podtrzymywali na duchu dobrych ludzi, którzy ich wspierali i dzielili z nimi niedolę podczas miesiący obleżenia. Wielu z obrońców Montsegur, którzy nie nawrócili się wcześniej na religię *bonshommes*, prosili teraz biskupa Bertranda Martiego o *consolamentum*, chcąc zginać wraz z innymi „Doskonałymi”. Tak właśnie postąpiła Corba, żona Rajmunda z Pereille, oraz ich córka Esclarmonda.

Na nic zdały się błagania jej męża, pana Montsegur - Corba uznała, że jej ofiara będzie świadectwem przeżytych cierpień, wskazówką dla przyszłych pokoleń.

W jej ślady poszło również czterech rycerzy, jeden kupiec, giermek, kusznik, sześciu żołnierzy...

Bertrand Marti spytał po kolei każdego *parfaits*, czy chce wyprzeć się swych przekonań i uniknąć śmierci na stosie. Chociaż sędziwy biskup zapewniał, że zrozumie i uszanuje taką decyzję, nikt nie skorzystał z okazji.

Paifaits rozdali swój skromny dobytek sąsiadom oraz znajomym, po czym zabrali się do pisania listów pożegnalnych do najbliższych.

Maria napisała dwa listy: do męża, Juana z Ainsy, oraz na dwór Rajmunda VII - do córki Marian. Z początku zamierzała również napisać do Juliana, ale zmieniła zdanie, nie chcąc go niepotrzebnie narażać. Była zresztą przekonana, że syn jej męża dotrzyma słowa i spisze dzieje upadku Montsegur.

Ileż fanatyzmu! - dawała upust swej goryczy Maria. Przecież „dobrzy chrześcijanie” nikomu nie wadzą, żyjąc w ubóstwie i pomagając bliźnim. Tymczasem śmiercią w płomieniach przyjdzie im zapłacić za to, że nie chcieli się podporządkować ortodoksji Kościoła, od którego nie dzieliło ich znowu tak wiele.

Maria dostrzegła powiewające w oddali sztandary i krzyże seneszała. Mimowolnie wygięła z odrazą usta na widok tych skrzyżowanych drągów otaczanych czcią przez członków Kościoła rzymskiego.

Ona również modli się do Jezusa, który głosił na ziemi słowo boże, nie wierzy jednak, że dla zbawienia ludzkości poniósł on śmierć na krzyżu. Jezus nie jest człowiekiem, ale Synem Bożym, istotą duchową, i choćby dlatego nie może cierpieć. Maria uważała także za wynaturzenie katolicką liturgią, podczas której kapłani okłamują wiernych, że zamieniają wino w krew, a chleb w ciało Chrystusa. A na koniec - potworność! - zjadają to niby-ciało. Czyżby nie rozumieli, co to oznacza?

Przecież święty Jan wyraźnie napisał w swej Ewangelii: *Królestwo moje nie jest stąd*, a w innym miejscu dodał: *nie są ze świata, jak i Ja nie jestem ze świata*.

Jedyny sakrament umożliwiający zbawienie duszy to *consolamentum* - chrzest duchowy. Tak, Jan chrzczył wodą, lecz Jezus nakładał ręce i odmawiał jedyną miłą Bogu modlitwę - *Ojciec nasz* - przygotowując się do przyjęcia Ducha Świętego.

Maria radowała się, patrząc, jak wielu jej przyjaciół zdecydowało się w tych dniach przyjąć *consolamentum*. Co za absurd, mówiła sama do siebie, polać dziecko wodą i twierdzić, że zostało ochrzczone. Biskup Bertrand Marti słusznie naucza, że prawdziwy chrzest jest możliwy dopiero w wieku dorosłym, bo przyjęcie Ducha Świętego to indywidualna i osobista decyzja.

Skończyła pisanie i spróbowała pozbierać myśli, które rozpierzchły się, gdy spoglądała ku stosowi drew i chrustu ułożonemu przez krzyżowców. Już niebawem zginie na tym stosie, pozbędzie się cielesnej powłoki i uda na spotkanie z Bogiem.

Znajomy pasterz doniósł jej, że brat Ferrer niecierpliwie wypatruje dnia, kiedy płomienie pochłoną heretyków z Montsegur, ale wcześniej chce ich przesłuchać. Dreszcz niepokoju przeniknął Marię. Ten kataloński dominikanin jest wcielonym diabłem, okrutnikiem nieznającym litości. Zapęłnił płonącymi stosami cały kraj, udoskonalił technikę przesłuchań i niestrudzenie przeczesywał archiwa, wczytując się w stare protokoły śledztw w poszukiwaniu choćby najmniejszego błędu pozwalającego posłać na stos nieszczęśnika, który zdołał ujsć z życiem z braku dowodów. Julian boi się brata Ferrera - ilekroć o nim rozmawiali, rozszerzały mu się źrenice, a kark oblewał zimny pot. Co zrobi inkwizytor, gdy dostanie ich wreszcie w swoje ręce?

W tych ostatnich dniach przed śmiercią Maria zwierzyła się Bertrandowi Martiemu z dręczących ją wątpliwości. Czy nie zachowała się aby samolubnie, porzucając dla nowej wiary męża i dzieci?

Biskup próbował ją pocieszać, nie zdołał jednak uwolnić jej duszy od udręki. Fernando jej wybaczył, ale Juan, jej mąż? A córka Marta? A wnuki? Zrozumieją, dlaczego wybrała śmierć na stosie?

Nadeszła jedna z *parfaits* z wiadomością, że czas opuścić zamek. Maria odszukała wachmistrza, który obiecał doręczyć jej listy. Przekazała mu je niczym prawdziwy skarb, a żołnierz, wzruszony, ucałował dłoń pani, która tak ofiarnie wlewała w ich serca otuchę podczas najcięższych chwil oblężenia.

Gdy Rajmund z Pereille zarządził wymarsz, Maria poszukała wzrokiem Pierre'a-Rogera z Mirapoix, który wydawał rozkazy żołnierzom, gotując się do przekazania zamku. Wiedziała, że pan z Pereille zlecił komendantowi misję, chcąc, by wymknął się z zamku i ratował życie. Wiedziała również, że dwa dni wcześniej biskup Marti nakazał dwóm *parfaits* wynieść z zamku resztę przechowywanego w Montsegur złota i srebra. Amelh Aicart i Hue Petavi, prowadzeni przez miejscowego górala, mieli spuścić się po zboczach skały, kiedy tylko okolice spowiją mroki nocy i pochód dotrze do celu. Biskup wysyłał ich do tego samego miejsca, gdzie dwaj diakoni, którzy opuścili zamek wraz z Teresą z Ainsy, ukryli swego czasu główną część skarbu.

W ów ciepły wiosenny poranek wszystko budziło się do życia, tylko większość ludzi schodzących z Montsegur wiedziała, że cieszy się ostatnimi chwilami przed śmiercią.

Czas dany im na opuszczenie twierdzy dobiegł końca. U stóp zamku stał seneszał Hugon z Arcis, biskup Albi oraz dominikanie: bracia Ferrer, Durand, Julian i Pierre. Kilka godzin wcześniej ustawiono tu zagrodę z pali mogącą pomieścić dwieście osób. Słupy obłożono wiązkami chrustu i maczanymi w żywicy snopami słomy gotowymi do podpalenia*.

* Po zdobyciu twierdzy krzyżowcy nie spalili katarów. To oni sami rozpalili wielki stos, na który weszli, zanim twierdza została zdobyta. Podobnie uczynili zaciężni żołdacy, na ogół katolicy, którzy przyjęli *consolamentum* i wybrali samobojczą śmierć.

Bosi *parfaits* w habitach ze zgrzebnego płótna kroczyli z pod niesioną głową. Przed nimi szli poczciwi ludzie, którzy razem z nimi przetrzymali wielomiesięczne oblężenie.

Inkwizytorzy próbowali nakłonić heretyków do wyparcia się swej wiary, lecz ci zdawali się ich nie słyszeć.

Brat Ferrer nalegał, by się nawrócili i ucałowali krzyż. „Doskonali” odwracali głowy, tylko ten i ów splotował na drogi katolikom symbol.

Oczy inkwizytora kwitowały radosnym błyskiem każdy taki gest pogardy dla krzyża. „Oto najlepszy dowód ich heretyckiej podłości! - wykrzykiwał. - Zasługują na stos!”.

Maria odszukała wzrokiem Juliana i uśmiechnęła się do niego, by tchnąć w przybranego syna odwagę, której wyraźnie mu brakowało. Brat Ferrer przyskoczył do niej, podając jej do ucałowania krzyż. Maria odwróciła głowę, ale inkwizytor nie dał za wygraną i trzymał krzyż zaledwie kilka centymetrów od jej warg. Pani z Ainsy nie chciała skalać krucyfiksu. Choć wiedziała, że to; tylko kawałek drewna, na którym nie ma Jezusa, coś nie pozwalało jej pójść śladem towarzyszy i splunąć na ten niedorzeczny symbol.

Julian obserwował całą scenę z udręką w oczach. Miał nieprzepartą chęć odepchnąć brata Ferrera, wyrwać mu krzyż i cisnąć go na ziemię, by inkwizytor nie dręczył dłużej jego pani. Lecz sama taka myśl przejmowała go grozą.

Już, już miał krzyknąć, ale Maria wzrokiem nakazała mu spokój.

Wszyscy „Doskonali” weszli do przygotowanej dla nich zagrody. Biskup Bertrand Marti zaintonował modlitwę, podczas gdy żołnierze przywiązywali skazańców do słupów owiniętych słomą namoczoną w żywicy. Na znak inkwizytora podpalono stos.

Płomienie zaczęły lizać nogi „dobrych ludzi”, którzy zamiast błagać o litość, nie przestawali się modlić.

Patrząc na stopy Marii i na zajęte ogniem krańce jej sukni, Julian nie zdołał zdusić głuchego, rozpaczliwego krzyku. Na szczęście nikt go nie usłyszał.

Nie mógł odwrócić wzroku od pani z Ainsy - uosobienia godności przywiązanego do płonącego pala, kobiety dzielnej do samego końca. Jej wargi poruszały się w modlitwie, nie prosząc o zmiłowanie. Julian czuł wbite w siebie oczy umierającej, które zdawały się rzucać mu ostatni rozkaz: „Spisz nasze dzieje, aby przyszłe pokolenia dowiedziały się, dlaczego ginimy”.

Ogień był tak gwałtowny, że brat Ferrer i reszta dominikanów musieli się odsunąć, by móc śledzić makabryczne widowisko. Swąd palonych ciał uniósł się nad okolicą, żar buchający od stosu rozgrzał powietrze i okoliczne skały, a czarny dym spowił jeszcze do niedawna lazuruwe niebo.

Oczy brata Ferrera płonęły z podniecenia. To było uwieńczenie jego kariery inkwizytora - dominikanin napawał się widokiem ostatnich miejscowych heretyków dogorywających w płomieniach. Wiedział, że garstka „Doskonałych” ukrywa się jeszcze po okolicznych wsiach, miasteczkach i kniejach, ale on ich odnajdzie i spali - jak mieszkańców Montsegur.

- Julianie! Julianie! Nic wam nie jest?

Ocknął się na głos brata Pierre'a. Leżał na ziemi, nawet nie wiedział, kiedy stracił przytomność. Brat Ferrer pochylał się nad nim, patrząc na niego z pogardą.

- Tak słaba jest wasza wiara, że mdlejecie na widok płonących heretyków? - oburzył się inkwizytor.

- To wszystko przez ten gorąc i fetor - bronił Juliana brat Pierre. - Mnie również zakręciło się w głowie.

- Weźcie się lepiej w garść, czas przystąpić do przesłuchań.

- Jeszcze dzisiaj? - z udręką w głosie zapytał Julian.

- Tak, jeszcze dzisiaj - rzucił bez zastanowienia inkwizytor. - I zapamiętajcie sobie, że nie będę tolerował oznak słabości u sekretarza Świętej Inkwizycji.

13

Noc była chłodna, ale nawet podmuchy wiatru nie zdołały rozwiać swądu spalonych ciał.

Krzyżowcy popadli w dziwne odrętwienie. Odeszła ich ochota do rozmów, zupełnie jakby koniec oblężenia i kapitulacja Montsegur nie były wspaniałym zwycięstwem, ale skrytą porażką.

Niektórzy mieli oczy mokre od łez. Inni drżeli o los pojmanych na zamku krewnych i przyjaciół mających stanąć przed trybunałem inkwizycji. Podchodzili oni do braci Pierre'a i Juliana, pytając, co stanie się z jeńcami, którzy nie należeli do „Doskonałych”. Mnisi zapewniali, że Kościół dotrzyma słowa - przesłucha wszystkich obrońców Montsegur, ale nie pośle ich na stos, jeśli brat Ferrer nie dopatrzy się w ich zachowaniu śladu herezji.

Przesłuchania były wnikliwe i trwały wiele dni. Bracia Pierre i Julian notowali w zawrotnym tempie pytania inkwizytora i niepewne odpowiedzi podejrzanych. Niekiedy brat Ferrer poddawał swych więźniów próbie ogniowej: podsuwał im krucyfiks i nakazywał go całować, odmawiając modlitwę *Ojcze nasz*.

Brat Ferrer wiedział, że nikt z *bonshommes* i *bonas donas* nie odda czci krzyżowi, dlatego ilekroć zauważał u przesłuchiwanego niezdecydowanie, dręczył go, dopóki nieszczęśnik nie przyznał się do herezji.

Wszystkie zeznania obrońców Montsegur zostały skrzętnie spisane przez skrybów i złożone w bezpiecznym miejscu.

Gdy Julian wracał po zmroku do swego namiotu, zasiadał do gorączkowej pracy kronikarskiej - opisywał okrucieństwo brata Ferrera, mrozące krew w żyłach wydarzenia,

których świadkiem był dzień w dzień... Julian widział w swym przełożonym podłego człowieka chorego z nienawiści, fanatyka, który w imię Boga rozkoszuje się cierpieniem bliźniego.

Pewnej nocy pasterz kóz wsunął się bezszelestnie do namiotu Juliana, gdy ten już miał zgasić świecę i udać się na spoczynek.

- Na Boga, co tu robisz?! - wykrzyknął wystraszony gospodarz.

- Przyszedłem przypomnieć wam o obietnicy, jaką złożyliście Marii. Skończyliście kronikę?

- Nie, zostało mi jeszcze sporo do opowiedzenia.

- Może chcecie również wspomnieć, że dwaj *parfaits* uciekli z zamku dzięki pomocy pana de Mirapoix, który zresztą także uszedł z życiem.

- Brat Ferrer rozkazał wszędzie go szukać...

- Na nic się to nie zda. Pan z Pereille obmyślił wszystko tak, by Pierre-Roger z Mirapoix żył. Kto wie, może uda mu się zwerbować ludzi do walki z najeźdźcą.

Julian nie odpowiedział. Słowa pasterza były tylko marzeniem, marzeniem ściętej głowy: Kościół i król Francji wygrali bitwę; tych, którzy nie potrafią się z tym pogodzić, czeka banicja.

- Jaką misję zlecono owym uciekinierom?

- W Montsegur przechowywano złoto, srebro i klejnoty oddawane „dobrym chrześcijanom” przez zamożnych *credentes* oraz tych z nich, którzy postanowili porzucić wszystko i zasilić szeregi „Doskonałych”. Właśnie z tych darów utrzymywaliśmy Kościół Dobrych Chrześcijan, przytułki dla wdów i sierot, wspieraliśmy w potrzebie naszych braci, kupowaliśmy jedzenie, a czasem i oręż dla naszych obrońców... Biskup Marti nie chciał, by skarb wpadł w ręce naszych oprawców, wierzył bowiem, że pozostali przy życiu *parfaits* będą kontynuowali nasze dzieło i głosili słowo boże - a do tego potrzebna jest pełna sakiewka. Nasi bracia ukryli złoto w bezpiecznym miejscu i skorzystają z niego, gdy nadejdzie właściwy moment. Mówię wam o tym, bo tak mi nakazała moja pani.

- Miłowałaś ją?

Pasterz spuścił głowę i czubkiem buta rył ziemię w poszukiwaniu słów, które najlepiej oddałyby jego przywiązanie do Marii.- Doglądała mojej obłożnie chorej żony. Medyk twierdził, że wrzody są zaraźliwe, mimo to pani Maria nic sobie nie robiła z jego ostrzeżeń: myła chorą i opatrywała jej rany, nakładając na nie glinę zmieszaną z ziołami. A przecież nawet ja bałem się jej dotknąć... niech Bóg przebaczy mi moje tchórzostwo. Maria ulitowała

się również nad moją córką i wyposażyła ją hojnie, dzięki czemu dziewczyna mogła liczyć na korzystne zamąż-pójście: poślubiła masztalerza hrabiego Tuluzy. A mojego syna pani posłała na służbę do męża swej córki Marian.

- Zawsze była szczodroblowa.

- Do samego końca. Wszystko, co miała, oddała ubogim. A was... was kochała, nazywała was zawsze „swoim dobrym Julianem”. Poleciała mi tu przyjść i wam to powiedzieć. Prosiła również, byście mieli się na baczności i jak najszybciej przekazali kronikę pani Marian.

- Tylko nie bardzo wiem jak... - przyznał Julian.

- Ja to zrobię.

- Ty?

- Nie zabawię długo w tej okolicy, czekam tylko, aż wasze dzieło będzie gotowe. Już wam mówiłem, że mam krewnych na dworze hrabiego Rajmunda, pod opieką pani Marian. Liczę, że i ja znajdę tam jakieś zajęcie, bo tutaj... tutaj prześladowuje mnie swąd palonych ciał. Ciał „dobrych chrześcijan”.

Ustalili, że spotkają się za trzy dni, choć Julian nie był pewien, czy do tego czasu ukończy kronikę.

Nie wspomniał pasterzowi, że teraz bardziej niż kiedykolwiek lęka się brata Ferrera i choć trzyma swe pisma z dala od ciekawskich oczu, boi się, że kronika wpadnie jednak w ręce inkwizytora, który ostatnimi czasy zjawia się w jego namiocie bez zapowiedzi.

Julian wyczuwał nieufność brata Ferrera, a ten wyczuwał jego strach.

14

- Bracie Julianie, bracie Julianie! - krzyczał brat Pierre, wpadając pędem do namiotu.

- Co się stało? - zapytał Julian, który miał się właśnie udać na kolejną sesję przesłuchań.

- Brat Ferrer rozkazał pojmać waszego znajomego, pasterza kóz!

Julian znów poczuł mdłości, o które przyprawiał go zawsze strach, jednak tym razem ku własnemu zdziwieniu przemógł się, uzbroił w odwagę i ruszył na spotkanie z inkwizytorem.

Pasterz został już wychłostany, stał teraz z rękami związanymi na plecach.

Brat Ferrer spojrział na Juliana z niedowierzaniem. Miał go za tchórza, który boi się wystąpić przed szereg.

- Znacie tego człowieka? - spytał podejrzliwie.

- Znam, seneszał również go zna. Na dobrą sprawę wszyscy w obozie go znają, bo przez dziewięć miesięcy zaopatrywał nas w mleko i smakowite sery.

- A więc udało mu się was zwieść - oznajmił brat Ferrer.

- Zwieść? Niby jak?

- To heretyk, *credente*.

- Nie może być! - Julian spojrział strapiony na pasterza.

- Wydała go pewna wieśniaczka. Ponoć służył obłożonym za posłańca i szpiegował w obozie.

- A wy daliście temu wiarę?

- Jakich jeszcze dowodów potrzebujecie, by uznać go za zdrajcę? - Dowodów? Tego właśnie nam brakuje. Dysponujemy tylko oskarżeniem jakiejś babiny, jej zeznaniami...

- To wystarczający dowód - upierał się brat Ferrer.

- Czyżby? Każdy może fałszywie oskarżyć bliźniego, dlatego że żywi do niego urazę, próbuje was zadowolić lub ratować własną skórę.

- Bronicie tego człowieka? Dlaczego?

Julian zadrżał, słysząc zjadliwy ton przełożonego. Teraz patrzył na niego sadysta, którym brat Ferrer był w głębi duszy.

- Zaraz się przekonamy, czy ten człowiek jest heretykiem - rzucił Julian, zdejmując z szyi krzyż.

Zajrzał pasterzowi w oczy, błagając go wzrokiem, by zrobił to, o co prosi. Następnie podszedł do niego zdecydowanym krokiem i podsunął mu krucyfiks.

- Ucałujcie krzyż, dobry człowieku, pokażcie mojemu bratu, że źle was osądza.

Pasterz nawet się nie zawahał. Złapał kurczowo krzyż i spoglądając najpierw na Juliana, potem na brata Ferrera, ucałował go kilkakrotnie, przeżegnał się, osunął na kolana z krucyfiksem w dłoniach i zalał się łzami, mamrocząc modlitwę.

- Sami widzicie. Trudno o lepszy dowód, że człowiek ten jest dobrym chrześcijaninem - stwierdził Julian, kładąc nacisk na ostatnie słowa.

Brat Ferrer spurpurowiał ze złości. Korciło go, by rzucić się na wścibskiego mnicha, który do tej pory bał się własnego cienia. Skąd wykrzesał z siebie odwagę, by stanąć w obronie pasterza?

- Pozwólcie mu odejść, jest niewinny - prosił Julian. - Nikt nie uwierzy w sprawiedliwość Kościoła, który nie potrafi oddzielić ziarna od plew.

Otoczyła ich grupka żołnierzy obserwujących w napięciu całą scenę. Wielu z nich nie chciało dłużej patrzeć na śmierć przyjaciół i krewnych, którzy ginęli z winy tego nieznanego litości mnicha.

Brat Ferrer odwrócił się bez słowa. Na jego twarzy malowała się wściekłość - Julian bał się pomyśleć, co się teraz stanie.

- Wynos się! - ryknął Ferrer na pastucha. - I to już, natychmiast, niczego ze sobą nie zabieraj. Precz!

Człeczyna wstał i ze łzami w oczach opuścił obóz, oglądając się raz po raz w obawie, że inkwizytor w ostatniej chwili zmieni zdanie.

Julian był wyczerpany, ale po raz pierwszy od dawna jego duszę przepelniał spokój. Pomyślał o Armandzie de la Tour, templariuszowskim medyku, który zapowiedział mu, że nie pozbędzie się dolegliwości, póki nie zacznie słuchać własnego sumienia.

- Pewnego dnia... - wymamrotał - pewnego dnia krew niewinnych zostanie pomszczona.

CZĘŚĆ DRUGA

1

5 maja 1938 roku, Carcassonne, Francja

Pewnego dnia krew niewinnych zostanie pomszczona...

Ostatnie zdanie poruszyło go do głębi. Wstrząsnęła nim opowieść spisana na zwojach pergaminu, które przetrwały ponad siedem wieków, ukryte w ustronnym zamku na południu Francji.

Właściciel zamku niecierpliwie oczekiwał na wyniki jego ekspertyzy. Człowiek ten nie zrobił na nim dobrego wrażenia, tym bardziej jego adwokat, który zdawał się mieć wielki wpływ na swego klienta; wytłumaczył sobie jednak, że to bez znaczenia. Przyjechał tu z Uniwersytetu Paryskiego jako specjalista w dziedzinie mediewistyki, a nie w celach towarzyskich.

Przetarł oczy i spojrzął na zegarek. Spędził całe popołudnie zatopiony w lekturze - zmrok zaczął już majaczyć za wielkimi oknami wychodzącymi na zadbane ogród.

Kawa wystygła i ledwie spróbował kanapek elegancko ułożonych na srebrnej tacy.

Choć nie miał wątpliwości co do autentyczności pergaminów, zamierzał poprosić hrabiego o zgodę na zawieszenie ich na uniwersytecie - chciał zasięgnąć opinii ekspertów specjalizujących się w datowaniu rękopisów.

Wyszedł z komnaty w poszukiwaniu hrabiego, jednak zanim zrobił trzy kroki, drogę zastąpił mu lokaj.

- W czymś pomóc, profesorze?

- Tak. Proszę zawołać hrabiego.

7- W tej chwileczce, pan hrabia jest u siebie w gabinecie. Etienne Marie de la Pallisiere, dwudziesty drugi hrabia d'Amis, nie kazał na siebie długo czekać. Wszedł pośpiesznie w towarzystwie swego adwokata, pana Saint-Martina - chciał jak najszybciej poznać zdanie specjalisty.

- I co, profesorze? - zapytał bez niepotrzebnych wstępów.

- To wyjątkowy dokument pisany przez człowieka udęczonego i obdarzonego wielką wrażliwością. Moim zdaniem jest autentyczny, chciałbym jednak zawieźć go do Paryża, by zasięgnąć opinii kolegów po fachu...

- Powiedziano nam, że pan jest najlepszy - rzucił kwaśno adwokat.

- Najlepszy...? Dziękuję za komplement, ale kilku moich kolegów dorównuje mi lub mnie przewyższa doświadczeniem naukowym.

- Nie lubię skromnych ludzi - stwierdził d'Amis.

- Bynajmniej do nich nie należę, choć nie mam w sobie również nic z zarozumialca. Uważam, hrabio, że w obecnej chwili, kiedy obserwujemy... że tak powiem... chorobliwe zainteresowanie katarami, ostrożność nie zawadzi. Odkąd w dziewiętnastym wieku niejaki Peyrat, historyk z bożej łaski, zaczął snuć zmyślane opowieści o katarach, pojawiło się na ten temat wiele fałszywych dokumentów, pseudoliteratury oraz przekłamań, które zakorzeniły się w zbiorowej świadomości. Jestem szanującym się historykiem i uznaję tylko naukowo dowiedzione fakty.

- A więc uważa pan Peyrata za oszusta! - wykrzyknął adwokat hrabiego wyraźnie urażony.

- Owszem, panie Saint-Martin, ów pastor Kościoła reformowanego to najzwyczajniejszy szubrawiec, który wyrządził wielką krzywdę historii, a przynajmniej pewnej części dziejów Francji. Łączenie katarów z elementami ezoterycznymi to kpina z historii. Peyrat widział w katarach prekursorów reformacji.

- A pan się z tym nie zgadza - mruknął hrabia.

- Bo to kompletna bzdura - zawyrokował profesor. - To samo zresztą dotyczy współczesnego ruchu politycznego zmierzającego do stworzenia Francji różnorodnej tożsamości i wielu języków. Moim zdaniem byłby to krok w tył. Nie sądzę, by należało poświęcać państwo nowożytne i wracać do średniowiecza. Bez względu na opinie kilku dyletantów, którzy zabawiają się w historyków, a nawet wypaczają historię, naginając ją do własnych potrzeb, wiek trzynasty nie był żadną arkadią.

Hrabia d'Amis spojrzał z niechęcią na profesora i oznajmił nienaturalnym głosem:

- A my właśnie należymy do ruchu politycznego zabiegającego o to, by Langwedocja odzyskała swą historię, język i niezależność utracone w wyniku zbrojnej napaści.

Ferdinand Arnaud już, już miał parsknąć śmiechem, ale się opanował - od początku podejrzewał, że jego pełni rezerwy gospodarze mają coś wspólnego z ruchem nawiedzonych próbujących powołać do życia ni mniej, ni więcej tylko Kraj Katarów.

- Nie zebraliśmy się tu chyba, by dyskutować o polityce - zabrał głos adwokat - ale po to, by poznać pańską opinię. Jednak skoro twierdzi pan, że nie ma wystarczających kwalifikacji...

D'Amis dał Saint-Martinowi znak, by zamilkł. Ten profesorek irytował i jego, ale bądź co bądź polecono mu go jako najlepszego znawcę francuskiego średniowiecza, człowieka, który najwięcej wie o katarach, czyli albigensach *. Dlatego nie chciał go zrazić, choć wszystko wskazywało na to, że niełatwo im będzie znaleźć wspólny język.

* Albigensi byli szerszą koalicją ruchów heretyckich i choć katarzy stanowili trzon tego ugrupowania, oprócz nich byli wśród albigensów petrobruzjanie czy waldensi.

- Co pan proponuje, profesorze?

- Proponuję? Co pan ma na myśli?

- Zależy mi na potwierdzeniu autentyczności tych pergaminów. Może pan to zrobić?

- Mogę, pod warunkiem że wolno mi będzie zabrać je do Paryża lub że pan osobiście mi je tam dostarczy. Jak już wspomniałem, myślę, że rękopis jest autentyczny, ale muszę go poddać wnikliwszej analizie. Nie rozumiem tylko... że tak powiem... dlaczego zwlekał pan z tym aż do teraz.

- W archiwum rodzinnym przechowuję wiele sklasyfikowanych dokumentów i pergaminów, ale ten... cóż, losy kroniki brata Juliana są dość wyjątkowe.

Oczy Ferdinanda rozbłysły z ciekawości, ale hrabia najwyraźniej nie zamierzał jej zaspokoić.

- Zgoda, osobiście dostarczę panu rękopis. Proszę tylko powiedzieć, o której godzinie możemy się spotkać... powiedzmy... w przyszły poniedziałek. W ten weekend mam gości, nie będę mógł więc opuścić zamku.

- W poniedziałki jestem w swoim gabinecie od ósmej, o dziewiątej zaczynam zajęcia, które trwają do południa, możemy się więc umówić, jeśli to panu odpowiada, na dwunastą. Jeśli woli pan odłożyć spotkanie na popołudnie, będę wolny od trzeciej.

- Znakomicie, w takim razie o trzeciej.

- Z przyjemnością zobaczę pana ponownie.

Ferdinand Arnaud wstał gotowy do wyjścia. Uda mu się jeszcze złapać ostatni pociąg do Paryża. Hrabia najwidoczniej czytał mu w myślach, bo powiedział:

- Szofer odwiezie pana na stację, więc zdążymy się jeszcze czegoś napić.

Nie mógł odmówić. Lokaj, który wyraźnie czekał na ten moment, wkroczył z tacą z dwoma półmiskami przekąsek i butelką schłodzonego chablis.

Hrabia podał gościowi kieliszek, który ten przyjął z rezygnacją, choć potem nie żałował - chablis było wyśmienite, najlepsze, jakie miał kiedykolwiek w ustach.

- Profesorze, myśli pan, że istnieją jeszcze katarzy? - zapytał zniecierpliwiony adwokat, a hrabia skarcił go wzrokiem.

- Nie, bo trudno, żeby istnieli. Istnieje natomiast cała rzesza szarlatanów żerujących na ludzkiej naiwności. Niezmiernie irytuje mnie moda na teozofię, która zapanowała ostatnimi czasy w pewnych paryskich kręgach, w tutejszych zapewne również. Katarzy nie mieli nic wspólnego z ezoteryką; założę się, że biedacy przewracają się teraz w grobie zgorszeni bzdurami, jakie wygadują o nich ci wielce dziś popularni okultyści i ezoterycy.

Hrabia i adwokat wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Ferdinand Arnaud lubił nazywać rzeczy po imieniu i prowokowanie ich sprawiało mu wyraźną przyjemność, jakby z góry wiedział, że należą do tych pogardzanych przez niego kręgów.

- Co pan sądzi o Deodacie Roche'u? - pytał dalej adwokat. Profesor wybuchnął śmiechem, który jego rozmówcy odebrali jako zniewagę.

- To kretyn, a jego zwolennicy to jeszcze więksi głupcy.

- Zakładam, że podobne jest pańskie zdanie o pisarzu Maurisie Magrecie - domyślił się adwokat.

- Nie przeczę, że Magret ma talent pisarski i bujną wyobraźnię, ale wszystkie jego teorie to bujdy. Powtarzam raz jeszcze, żej katarzy czy też „dobrzy chrześcijanie”, jak sami się określali, nie mieli nic wspólnego z ezoteryzmem. Panowie, nie traćcie czasu na zabobony, nie dajcie sobie mydlić oczu.

- A cóż każe panu sądzić, że dajemy sobie mydlić oczy? - zapytał hrabia d'Amis.

- Chociażby nazwiska, o które dopiero co mnie panowie pytali - Deodat Roche jest notariuszem, który nie ma bladego pojęcia o średniowieczu. Wbił on sobie do głowy, że

stworzy Kraj Katarów. Nie można jednak naginać historii do własnych potrzeb, historia jest tylko jedna. A jeśli chodzi o Maurice'a Magreta, to, jak już mówiłem, nie odmawiam mu drygu do pióra, ale specjalista z niego żaden, o katarach plecie trzy po trzy i zdecydowanie za często fantazjuje. Cóż więc z tego, że jego książki sprzedają się jak świeże bułeczki, a on sam ma rzesze wielbicieli? Żyjemy w trudnych czasach, Europa przechodzi kryzys, który skłania wiele osób do myśli, że kiedyś było lepiej. Astrologzy, spirytyści i najzwyczajni oszuści wykorzystują ten ogólnoeuropejski lęk przed niepewnym jutrem, bo ludzie wolą wierzyć w to, co niewiarygodne, niż stawić czoło rzeczywistości.

- A więc uważa pan, że wzmożone zainteresowanie katarami wynika z aktualnej sytuacji politycznej w Europie - kontynuował przesłuchanie adwokat.

- Owszem, w chwilach niepewności szerzy się ciemnota.

- Zapewne zwrócił pan uwagę, że moje nazwisko brzmi d'Amis. Mogę więc pana zapewnić, że w moim przypadku zainteresowanie katarami wynika z sytuacji rodzinnej.

- Nietrudno się tego domyślić. W rękopisie można przeczytać, że kronikę przekazano niejakiej Marian, córce Marii i żonie rycerza Bertranda d'Amisa. Pan jest zapewne ich potomkiem.

- W rzeczy samej - potwierdził z dumą hrabia.

- Mogę zapytać ponownie, dlaczego pańska rodzina nie opublikowała dotąd tych dokumentów?

- Nie wiem jeszcze, profesorze, czy to zrobię. Ale odpowiem na pańskie pytanie: te pergaminy są częścią mojego spadku. Wszedłem w ich posiadanie dopiero trzy miesiące temu, po śmierci ojca.

- Ale chyba wiedział pan o nich...

- Tak, naturalnie. Przez wieki moja rodzina trzymała ich istnienie w wielkiej tajemnicy. Rękopis ten narażał na niebezpieczeństwo ich niewinne życie. Dopiero mój dziadek zdecydował, że czas wydobyć go na światło dzienne. Chciał przekazać kronikę którejś z wyższych uczelni, ale przeszkodziła mu w tym śmierć. Mój ojciec nie podzielał jego zdania i ukrył rękopis w oczekiwaniu na... cóż, miał swoje plany... wcześniej jednak chciał potwierdzić jego autentyczność.

- Ale po co? Dlaczego wątpił w autentyczność rodzinnych dokumentów? - dopytywał się Ferdinand.

- Dziadek niezbyt interesował się historią naszego rodu i ponoć dopiero tuż przed śmiercią wspomniał mojemu ojcu o rękopisie. Teraz na mnie spoczywa obowiązek, by uczynić, co należy.

- A co należy, hrabio? - zapytał ciekawie profesor Arnaud. Hrabia d'Amis nie odpowiedział. Zerknął na zegarek, a wtedy znów pojawił się lokaj - ponad wszelką wątpliwość wyczuwał przez ściany intencje swego chlebobawcy.

- Czas odwieźć profesora Arnauda na stację.

- Samochód czeka, proszę pana - oznajmił lokaj.

- Dobrze. A więc, profesorze, widzimy się w najbliższy poniedziałek o trzeciej w pana gabinecie - rzucił hrabia na pożegnanie.

Adwokat pochylił głowę w geście, który wydał się profesorowi nieudolną imitacją ukłonu. Dziwaczne typki, pomyślał Ferdinand Arnaud, nic jednak nie powiedział.

Wiadomości podawane przez gazety były ze wszech miar niepokojące. Dobiegający końca rok 1938 okazał się prawdziwym koszmarem dla europejskiej ekonomii. Na domiar złego ten szaleniec Adolf Hitler mamlił rzesze Niemców obietnicami, od których Arnaudowi ciarki przechodziły po plecach.

Profesor, podobnie jak wielu jego rodaków, uważał, że Hitler okłamuje premiera Daladiera, twierdząc, iż nie ma zapędów ekspansjonistycznych i nie dąży do wojny. Natomiast Francuzi okłamywali sami siebie, wierząc, że dzięki Linii Maginota nic im nie grozi. Profesor pocieszał się myślą, że z biegiem czasu wszystko wróci do normy, a młodzież zrozumie, iż lęku przed przyszłością nie można stłumić represjami ani obarczaniem winą za wszelkie zło cudzoziemców.

- Marnie wyglądasz. Brak snu sprawia, że zapominasz o dobrych manierach. Już drugi raz mijasz mnie bez słowa.

Ferdinand uśmiechnął się do Martine Dupont, która go zagadnęła, gdy wszedł do pokoju profesorskiego. Siedziała tam z zapalonym papierosem, a on nawet jej nie zauważył. Martine, również wykładająca historię średniowiecza, była doświadczonym i wymagającym profesorem. Wyjątkowa uroda, nadal zwracająca uwagę, mimo że Martine skończyła już czterdzieści lat, była jej największą zморą i kłodą na drodze do kariery.

W młodości musiała uczyć się znacznie lepiej od rówieśników, by udowodnić wszystkim, że oprócz ładnej buzi ma również głowę nie od parady. Później musiała utrzyć nosa niejednemu koledze po fachu i dać do zrozumienia, że nie jest pierwszą lepszą panienką do wzięcia. Z wolnego stanu uczyniła swój znak tożsamości - nie obchodziło jej nic prócz kariery i jej właśnie poświęcała całą energię.

Martine darzyła Ferdinanda szczególną sympatią, wdzięczna, że ten nigdy nie zabiegał o jej względy.

- Przepraszam. Zgadłaś, nie wyspałem się. Wczoraj wróciłem do domu bardzo późno, a lata dają o sobie znać. Odkąd stuknęła mi pięćdziesiątka, sam siebie nie poznaję. Żona i syn powtarzają, że stałem się marudny, ale najgorsze, że jeśli nie pośpię przez osiem godzin, nie jestem sobą.

Martine uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Nie zgadniesz, gdzie byłem - ciągnął Ferdinand.

- Skoro chodzi o ciebie, nawet nie spróbuję zgadywać.

- Tydzień temu zadzwonił do mnie kolega z uniwersytetu w Tuluzie. Prosił, bym pojechał do pewnego *chateau* niedaleko Carcassonne i zbadał jakieś rękopisy należące do jego znajomego. Prosił mnie o to jako o wyjątkową przysługę, więc chcąc nie chcąc, musiałem się zgodzić. I nie żałuję.

- Znalazłeś skarb?

- Tak, chyba tak. To zdumiewający dokument, ni mniej, ni więcej tylko kronika spisana przez sekretarza inkwizycji, który szpiegował dla katarów.

Martine zmarszczyła czoło. Ją również, tak jak Ferdinanda, drażniło, że wszystko, co miało jakikolwiek związek z katarami, nabierało ostatnio ezoterycznego, nierealnego wydźwięku.

- To przepiękna historia, możesz mi wierzyć. Katarska dama prosi dominikanina, nieślubnego syna swego męża, by opisał dla potomności prześladowania, jakie cierpieli „dobrzy chrześcijanie”.

- Opowiadasz niestworzone rzeczy! - obruszyła się Martine.

- Przekonasz się, że nie zmyślam, choć przyznaję, że wszystko to brzmi trochę niewiarygodnie. Chcę, byś rzuciła okiem na ten rękopis i powiedziała, co o nim sądzisz.

- A gdzie go masz? - Hrabia przywiezie mi go w poniedziałek.

- Proszę, proszę, zadajesz się z hrabiami... - roześmiała się Martine.

- Owszem, właścicielem naszego skarbu jest pewien hrabia. I to hrabia bardzo dziwny, podobnie zresztą jak jego adwokat. Rzekłbym, że to dwaj... no, cóż, wypytywali mnie o Roche'a i Magreta...

- O Boże, potworność! To przecież jakieś tałatajstwo. Czy dokument na pewno jest autentyczny?

- Jak najbardziej, sama się przekonasz. Spróbuję namówić ich na jego publikację, choć nie będzie to łatwe.

- Dlaczego?

- Zrozumiesz, gdy wpadniesz do mnie w poniedziałek i po znasz hrabiego.

2

Ferdinand Arnaud spędził weekend, przeglądając swój księgozbiór w poszukiwaniu informacji o nadzwyczajnym dokumencie hrabiego d'Amisa.

Nie znalazł nic prócz tego, o czym już wiedział: że protokoły z przesłuchań nieszczęśników z Montsegur zawdzięczano gorliwości niejakiego brata Ferrera. Teraz Ferdinand dowiedział się jeszcze czegoś: jednym z sekretarzy i skrybów inkwizycji był dręczony wątpliwościami mnich, który służył dwóm Bogom - katolickiemu i katarskiemu.

Bez trudu wyobraził sobie brata Juliana. Musiał być człowiekiem inteligentnym, skoro skutecznie lawirował między dwoma brzegami pełnymi niebezpieczeństw. Ferdinand widział w nim nawet rycerza sfrustrowanego z powodu swego niechlubnego pochodzenia. Brat Julian zadziwiał go pełną sprzeczności i kontrastów osobowością, Maria natomiast wydała mu się wspaniałą niewiastą - nieustępliwą, dzielną i wojowniczą.

Pomyślał, że chętnie poznałby ich osobiście.

Nie bardzo wiedział, co hrabia d'Amis zamierza zrobić z pergaminami, choć przeczuwał, że arystokrata związany jest z jednym z tajnych stowarzyszeń domagających się przywrócenia nigdy nieistniejącego państwa katarów.

W poniedziałek, punktualnie o trzeciej, woźny oznajmił przybycie hrabiego d'Amisa. Arnaud czekał na niego wraz z Martine, której chciał przedstawić swego niezwykle gościa.

Pierwszą niespodzianką był widok towarzyszącego hrabiemu adwokata, pana Saint-Martina. Obaj mężczyźni przywitali się chłodno z Martine, a ta, speszona, natychmiast opuściła gabinet.- Profesor Dupont należy do najwybitniejszych francuskich mediewistów - powiedział z wyrzutem Ferdinand.

- Gdyby interesowała nas jej opinia, nie przyszlibyśmy do pana - skwitował cierpko adwokat.

Ferdinand poprosił, by usiedli, po czym przedstawił im kroki, jakie zmierza podjąć w celu potwierdzenia autentyczności rękopisu. Poinformował również, że rektor uczelni wyda im zaświadczenie o odbiorze dokumentów wraz ze zobowiązaniem uszanowania ich poufności i zwrócenia ich w nienagannym stanie.

Adwokat Saint-Martin przejrzał pisma oraz warunki umowy i oświadczył hrabiemu d'Amisowi, że wszystko jest w najlepszym porządku.

- A teraz, hrabio, proszę mi powiedzieć, co pan zamierza zrobić z rękopisem. Taki skarb powinien zostać objawiony światu, zwłaszcza że mamy do czynienia z najlepszą

zachowaną relacją o wydarzeniach w Montsegur. W archiwach można co prawda natrafić na przekazy zgromadzone przez inkwizycję, ale świadectwo człowieka, który przedstawia ówczesne zdarzenia z punktu widzenia obu stron, jest w rzeczy samej bezcenne. Nie ukrywam, że chętnie opublikowałbym pracę poświęconą rękopisowi brata Juliana. Koszty publikacji pokryłby uniwersytet. Chciałbym pana również prosić o zgodę na wgląd do innych rodzinnych dokumentów...

Goście słuchali profesora Arnauda, wymieniając się spojrzeniami. W końcu, jakby to wcześniej ustalili, głos zabrał hrabia:

- Drogi profesorze, wszystko w swoim czasie. Teraz najbardziej zależy mi na potwierdzeniu autentyczności rękopisu, o reszcie porozmawiamy później.

Ferdinand nie nalegał. Zrozumiał, że jego goście mają własny plan, od którego nie odstąpią ani o milimetr, i że musi czekać na lepszą okazję.

- Zgoda. Zrobimy tak, jak sobie panowie życzą. A do sprawy wrócimy innym razem.

- Kiedy będzie pan coś wiedział? - zapytał hrabia.

- Proszę do mnie zadzwonić za trzy, cztery dni...

- Nie mógłby pan podać bardziej konkretnej daty? - nalegał adwokat.

- Zapewniam panów, że bardzo mi zależy na tych pergaminach, ale proces uwierzytelniania dokumentów rządzi się własnymi prawami, których nie mogę, nie powinienem i nie chcę pogwałcić.

To będzie śmiertelny cios dla Kościoła - rzucił hrabia d'Amis.

- Dla Kościoła? Niby dlaczego? Dokumenty te mają wartość historyczną, nie zmieniają jednak faktów.

- Ale dowodzą, że jeden z członków Kościoła go zdradził - obstawał przy swoim hrabia.

- Raczej, że jeden z członków Kościoła został uwikłany w głęboko ludzki konflikt sumienia. Zresztą i to nie zmienia historii. Mogę panów zapewnić, że Kościołowi dokumenty te nie zaszkodzą.

- Jest pan katolikiem? - zapytał otwarcie Saint-Martin.

- To pytanie osobiste, na które, drogi panie, nie muszę odpowiadać. Powiem panu natomiast, że jestem historykiem i zaskarbiłem sobie szacunek kolegów po fachu pracą naukową, do której nigdy nie mieszam osobistych poglądów, bez względu na ich naturę. Badam przeszłość - nie odtwarzam jej podług własnego światopoglądu. Jeśli ma pan na pieńku z Kościołem, radzę poszukać innej broni, bo ten rękopis nie robi na nikim wrażenia, ma bowiem wartość historyczną, a nie polityczną, i nie zmienia historii ani o przecinek.

- Czekamy na pański telefon - powiedział hrabia, wstając.

Ferdinand poszedł z gośćmi, by dopełnić formalności potrzebnych, by móc zatrzymać tymczasowo dokumenty, po czym pożegnał hrabiego i jego adwokata w bramie uniwersytetu.

Gdy został sam, pomyślał, że większych dziwaków ze świecą szukać. Ich zamiar zaszkodzenia Kościołowi rękopisem brata Juliana był tak naiwny, że aż głupi.

Poszedł do pokoju profesorskiego porozmawiać z Martine. Gdy tylko wszedł, wyczuł wiszące w powietrzu gradowe chmury. Martine dyskutowała zawzięcie z dwoma innymi profesorami.

- Wybuchła wojna? - zapytał Ferdinand, próbując rozładować napięcie.

- Nie żartuj, bo nikomu z nas nie jest do śmiechu - rzucił pięćdziesięcioletni profesor Cernay, rówieśnik Ferdinanda.

- O co chodzi?

- Nie wierzę, że ten pomyleniec Hitler zarazi Francję swoją ksenofobią... - zaczęła tłumaczyć Martine.

- ...a ja jej na to, żeby nie była naiwna - wszedł jej w słowo profesor Cernay.

- Martine próbuje za wszelką cenę idealizować wartości republikańskie. Nie chce przyjąć do wiadomości, że naród, któremu świat zawdzięcza wielką rewolucję, może ulec najniższym instynktom, zupełnie jakby rewolucja francuska nie wywlekła na światło dzienne również takich instynktów - wtrącił profesor Jean Thierry.

- Ale czas wszystko upiększa, pozbawiając dawne wydarzenia okrucieństwa i nędzy codzienności - obstawał przy swoim Cernay.

- Dzisiaj wyrzuciłam z zajęć studenta - wyjaśniła Martine. - Omawiamy właśnie epokę, która zazwyczaj wszystkim się bardzo podoba; no, sam wiesz, trzynasty wiek, Langwedocja, heretycy... Po omówieniu tematu oddałam głos słuchaczom, zachęcając ich do zadawania pytań i dzielenia się wątpliwościami. No i pewien bałwan wyskakuje mi nagle z bajeczką, że stoimy u progu nowej epoki, kiedy to Oksytania odzyska utraconą niepodległość, po czym zaczyna wygłaszać peany na cześć „nowego człowieka”, jaki powstanie z owego idealnego społeczeństwa - „człowieka czystego”, „czystej rasy”. Na koniec zaczął bajdurzyć o problemach doskwierających dzisiejszej Europie i wskazywać na Żydów jako na toczący narody nowotwór, którego należy się pozbyć.

- Słusznie zrobiłaś, wyrzucając go z zajęć - przyznał Ferdinand.

- Tak, ale teraz rozmawiamy o tym, że moim zdaniem chłopak ten jest po prostu pożałowania godnym wyjątkiem, półgłówkiem, który zaczytuje się w taniej pseudoliteraturze poświęconej katarom. Przed rokiem ukazał się w Niemczech *Dwór Lucyfera. Podróż ku*

dobrym duchom Europy, odnosząc spory sukces w całej Europie. Wyszło toto spod pióra niejakiego Ottona Rahna, autora książki *Krucjata przeciwko Graalowi. Tragedia kataryzmu - szmiry*, która nawołuje do stworzenia nowej rasy. Katarzy są tam przedstawieni jako nadludzie, poganie, ezoteryczna sekta mająca pieczę nad Graalem.

- Znam te książki i masz rację, to pseudoliteratura - przyznał; Ferdinand.

- Nasza koleżanka nie dostrzega zagrożenia płynącego z idei ezoterycznych - wtrącił profesor Cernay. - Nie chodzi tylko o to, że płodzą pseudoliteraturę. Niektórzy żonglują ideami tak zmyślnie, że przemieniają je w hasła rasistowskie, a student wyrzucony przez Martine jest tego zresztą najlepszym przykładem, co gorsza, niejedynym.

- Ja zetknąłem się już z wieloma studentami rasistami - przyznał się profesor Thierry. - W mojej grupie doszło do kilku utarczek słownych, które o mały włos nie zakończyły się bijatyką. Wśród studentów są Żydzi, którzy nie chcą być traktowani jak rasa niższa i naturalnie bronią się przed atakami niektórych kolegów, choć na razie są to tylko docinki.

- Boże, istny ciemnogród! I to gdzie? Na uniwersytecie! - pomstował Cernay.

- Zaproponowałem zwołanie zebrania władz uczelnianych i wykładowców, by omówić ten temat - ciągnął Thierry - ale Martine twierdzi, że robimy z igły widły, biorąc zbyt poważnie wybryki czterech czy pięciu durniów. Uważa, że jeśli rozdmuchamy sprawę, inni studenci pójdą śladem prowokatorów, by zrobić na złość starszemu pokoleniu.

Ferdinand zapalił papierosa i zamyślił się. Nie znał odpowiedzi na pytanie nurtujące jego kolegów. Z jednej strony sądził, że ksenofobiczne postawy dające o sobie znać na uniwersytecie należy zdusić w zarodku, z drugiej jednak strony... A jeśli obawy Martine są słuszne i ich nadgorliwość sprawi, że młodzież z czystej przekory uzna za modę coś, co w rzeczywistości jest bardzo niebezpieczną ideologią? Wahał się jeszcze przez chwilę, ale w końcu logika wzięła górę.

- Martine, myślę, że nasi koledzy mają rację. Powinniśmy coś zrobić, uniwersytet nie może patrzeć beczynnym na zagrożenie, jakim jest ksenofobia. Musimy postępować rozsądnie, piętnując bezwzględnie wszelkie jego przejawy. Dokładnie tak, jak ty to dzisiaj zrobiłaś.

- Problem w tym, że kilku naszych kolegów popiera niektóre z tych teorii... - zauważyła Martine.

- Bo nie są mediewistami - zaśmiał się Ferdinand. - Chyba będziemy musieli zorganizować dla nich kilka bezpłatnych wykładów i uzmysłwić im, jak wyglądało życie w wiekach średnich.

Rozmawiali jeszcze dłuższą chwilę. Do dyskusji włączyli się inni profesorowie, potwierdzając obawy, że na uczelni zaczęły się szerzyć radykalne poglądy nawołujące - pod wpływem teorii Hitlera - do stworzenia Europy nadludzi. Uznano jednak ostatecznie, że na francuskim gruncie te niebezpieczne idee się nie przyjmą i nie wyjdą poza nieliczne grupki fanatyków.

Orzeczenie uniwersyteckich specjalistów nie pozostawiało żadnych wątpliwości - pergaminy były autentyczne i pochodziły z połowy XIII wieku. Choć Ferdinand Arnaud spodziewał się takiego werdyktu, przyjął go z zadowoleniem. Kronika brata Juliana poruszyła go bardziej, niż był gotowy przyznać, i pragnął napisać na jej temat pracę naukową, myślał jednak o tym z duszą na ramieniu, bo hrabia cudak i jego nie mniej dziwaczny adwokat przypisywali najwyraźniej temu dokumentowi wartość inną niż tylko historyczną i naukową.

Hrabia d'Amis zaprosił profesora do zamku, by przedyskutować z nim przyszłość pergaminów. Ferdinand nie liczył zbyt wiele na uzyskanie zgody arystokraty na wnikliwe zbadanie kroniki, uznał jednak, że warto spróbować, nawet jeśli przyjdzie mu stoczyć pojedynek na boisku przeciwnika.

- Mogę jechać z tobą? - zagadnął go David, jego siedemnastoletni syn, prymus o spokojnym usposobieniu odziedziczonym po matce.

- Chętnie bym cię zabrał, ale nie wiem, co na to hrabia. Straszny z niego dziwak - tłumaczył Ferdinand.

- Tak mało czasu spędzasz z synem - upomniała go żona. - Ja się już przyzwyczaiłam, że widzimy się tylko przelotnie, ale! David cię potrzebuje.

Ferdinand wiedział, że Miriam ma rację, nie chciał jednak dodatkowo komplikować sprawy, pojawiając się w zamku hrabiego z synem. Zerknął na żonę i nagle przeszył go niepokój na wspomnienie przeprowadzonej przed dwoma dniami rozmowy z kolegami uniwersyteckimi na temat antysemitkiej polityki niemieckiego rządu, której zdawała się przyklaskiwać część francuskiego społeczeństwa.

Miriam była żydówką. Żydówką agnostyczką, podobnie jak on był katolikiem agnostykiem. Oboje byli niepraktykujący - Miriam nie chodziła do synagogi, on nie chodził do kościoła. Nie byli wrogo nastawieni do religii, po prostu nie stanowiła ona części ich życia ani życia ich syna. Po przyjściu Davida na świat rodzicom Miriam bardzo zależało, by został obrzezany i włączony tym samym do wspólnoty żydowskiej. Ferdinand się zgodził, jego rodzice, również agnostycy, nie sprzeciwili się. „Religii nie można narzucić - powiedział wówczas jego ojciec. - Gdy David dorośnie, sam zdecyduje, w co, jeśli w ogóle, chce

wierzyć”. W głębi duszy rodzice Ferdinanda uważali, że religia dzieli ludzi i jest źródłem przesądów. Oficjalnie David był więc żydem, choć dla wspólnoty starozakonnej byłby nim tak czy owak, bo według hebrajskiej tradycji religia przechodzi z matki na dzieci.

Rodzice Miriam postarali się, by David dopełnił niektórych hebrajskich rytuałów, choć robili to zawsze taktownie, nie narzucając wnukowi swej woli. A więc trzynastoletni David wziął udział w uroczystości bar miewa - żydowskim odpowiedniku katolickiej Pierwszej Komunii - symbolizującej wejście w dorosłość.

David nie wzbraniał się przed odwiedzaniem synagogi, chciał bowiem sprawić przyjemność swoim dziadkom, którzy czuli się z tego powodu bardzo dumni, zwłaszcza że Miriam była jedynaczką, a David - ich jedynym wnukiem.

Od pewnego czasu Miriam trapiły pewne pytania. Czy we Francji bycie Żydem stanie się równie niebezpieczne jak w Niemczech? Czyjej syn będzie z tego powodu prześladowany? A ona? Czy i ją spotka dyskryminacja tylko dlatego, że należy do narodu, którego religia jest jej zupełnie obojętna?

Ferdinand, pogrążony w rozmyślaniach, nie słuchał żony. Z zadumy wyrwały go dopiero jej ostatnie słowa:

- ...a wtedy David go uderzył, ale...

- Co, jak?

- Czy ty mnie słuchasz? Mówię ci właśnie, że twojego syna zwymyślano od „zasranych Żydów”, że David długą chwilę znosił to spokojnie, aż w końcu się odwrócił i przyłożył mu pięścią...

- Komu? - zapytał profesor zmienionym głosem, szukając wzrokiem oczu Davida, który obserwował go w napięciu.

- No tak, jak zwykle mnie nie słuchałeś! Nawet nie wiesz, o czym mówię!

Spuścił głowę, przyznając się do winy. Prawda, nie słuchał żony. Miriam była zdenerwowana i zaniepokojona bardziej, niż się mu wydawało.

- Przepraszam, zacznij, proszę, od początku.

- Nie chcieliśmy cię martwić, więc ci nie mówiliśmy, że od jakiegoś czasu syn rzeźnika, pana Dubois, zaczepia Davida, nazywając go „starozakonnym psem” i ubolewając, że Francja nie ma swojego Hitlera. Dotychczas David unikał z nim zwady, ale wczoraj mały Dubois czekał na niego z kolegami przed gimnazjum. Zaczęli go poszturchiwać, a co najgorsze, nikt nie stanął w obronie Davida. Nawet jego przyjaciele zostawili go i dali drapakę. Nasz syn nie mógł znieść poniżenia i uderzył tego szuję Dubois, a dzisiaj z samego rana jego ojciec przyszedł do mnie na skargę...

Przerażony Ferdinand spojrział na Miriam i Davida. Jak się to mogło stać bez jego wiedzy? Co się dzieje? Czyżby jego koledzy mieli rację, a on nie dostrzegął, podobnie jak Martine, powagi sytuacji?

Podszedł do syna i objął go, próbując dodać mu otuchy i zapewnić o swej opiece. David zeszywniał - nie wrywał się, lecz był wyraźnie skrępowany.

- Przykro mi, synu. Porozmawiam z ojcem tego zakapiora i obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

- Skąd ta pewność? - zapytał David zaczepnie. - Kto ci powiedział, że jego ojciec cię posłucha? Chyba nie wiesz, co pan Dubois o nas myśli. Niedawno byłem z mamą na zakupach i wychodząc z jatk, słyszeliśmy, jak mówił: „Nie chciałbym tych Żydowinów nawet na podroby”.

Ferdinand poczuł się, jakby wymierzono mu cios w podbrzusze. Miriam spoglądała na niego z niepokojem. Była odważna, wiedział, że nie da się zastraszyć niewybrednymi rasistowskimi obelgami, ale ich syn... Czy David jest równie silny jak jego matka, a przynajmniej jak ojciec? Godność jego syna została dotkliwie zraniona, a on nie miał o niczym pojęcia, nie wiedział, co się dzieje pod jego własnym dachem.

- Zażądam wyjaśnień od ojca tego awanturnika. Jeśli będzie trzeba, złożę na niego donos.

Ku zaskoczeniu rodziców David roześmiał się gorzko.

- Złożysz donos? Do kogo? Nie wiesz, co się wokół dzieje? Ty... przecież lubisz politykę.

- Owszem, ale nie należę do żadnej partii, dyscyplina nie jest moją mocną stroną - próbował tłumaczyć się niby-żartem.

- Ale chyba czytasz gazety... czy też nie? - Ton głosu Davida był teraz inkwizytorski.

- Ferdinandzie, martwię się - przerwała im Miriam. - Przed dwoma dniami moja matka przysłała do nas z płaczem. Dostała list od ciotki Sary. Przywieźli go znajomi, którzy uciekli z Niemiec zaraz po tym, jak zdemolowano im sklep. Opowiedzieli mojej matce, że kilka tygodni temu napadnięto również na księgarnię wujostwa. Banda „brunatnych koszul” wpadła do nich nocą, rozbiła wystawę, wyrzuciła książki na ulicę i zrobiła z nich ognisko. Ciotkę i wujka pobili. Wuj Itzhak ma złamaną rękę i prawie nie może ruszać głową, ciotka ma ciało sine od kopniaków. Są przerażeni, nie wiedzą, co robić. Ojciec chce, by natychmiast przyjechali, ale oni się wahają. Całe ich życie jest w Niemczech, ciotka pochodzi stąd, ale wuj Itzhak jest Niemcem, Niemcem z dziada pradziada, i nie potrafi pogodzić się z tym, co się dzieje.

Opowieść żony zmroziła Ferdinandowi duszę. Sara, słodka Sara, siostra jego teścia, wesoła kobieta, gotowa służyć każdemu pomocą - Była bibliotekarką, podobnie jak ojciec Miriam. Poznała Itzhaka podczas podróży do Niemiec: wstąpiła do jego księgarni, zaczęli rozmawiać i została w Berlinie. Zaaklimatyzowała się w nowej ojczyźnie. A teraz jakieś łotry ją pobiły. Ale za co? Na samą myśl o tym przeszył go dreszcz grozy.

- Powinni jak najszybciej do nas przyjechać - powiedział zatroskany. - Pomożemy im w miarę naszych możliwości. Przekaż im, że mogą na nas liczyć.

- O tym już wiedzą. Ale to ja jadę do Niemiec.

- Oszalałaś? Po co?

- Chcę na własne oczy zobaczyć, co się dzieje, i pomóc im podjąć decyzję. Są przerażeni, nie wiedzą, co robić. Boją się zostawić całe dotychczasowe życie. Stracili już księgarnię, teraz obawiają się, że stracą dom. Od jakiegoś czasu nie mogą pokazywać się na mieście bez przyszytej do ubrania gwiazdy Dawida identyfikującej ich jako Żydów.

- To średniowieczny zwyczaj... - zaczął tłumaczyć Ferdinand.

- Tak, średniowieczny zwyczaj, który nigdy nie został zapomniany - przerwała mu smutno Miriam. - Jak zwykle za wszystko obwinia się Żydów, bo są „inni”, bo można się na nich wyżyć za własne porażki. A poza tym to przecież my zabiliśmy Chrystusa. Przybiliśmy go do krzyża i...

- Przestań, na miłość boską! Co ty wygadujesz?! Akurat ty!

- Wiesz, Ferdinandzie? Zaczynam czuć się Żydówką. Zmieszał się na te słowa. Oczy jego żony iskrzyły gniewnie, jakby i on przyłożył rękę do tego, co dzieje się w Niemczech, lub trzymał stronę francuskich sympatyków Hitlera.

Nie wiedział, co powiedzieć, był poruszony opowieścią Miriam. Znał sytuację w Niemczech od jeżdżących tam kolegów z uczelni. Przed rokiem zorganizowano nawet na uniwersytecie zbiórkę funduszy, by wesprzeć kilku profesorów żydowskiego pochodzenia, którzy uciekli przed panującym tam klimatem terroru i nienawiści. Nie, słowa Miriam nie były dla niego niczym nowym. Rządzący Front Ludowy zapewniał co prawda, że Francja nigdy nie pójdzie siadem Niemiec, ale przecież ojciec zapowiedział mu już, że republika przegra wojnę w Hiszpanii - nazizm mógł więc równie dobrze zatriumfować także w Paryżu.

Jego ojciec mawiał, że jest Katalończykiem z Perpignan. Mieli krewnych w Hiszpanii, po drugiej stronie granicy - republikanów i socjalistów, jak ojciec. Napływające od nich wiadomości były coraz bardziej niepokojące: wujowie polegli na wojnie, kuzyni zaginieli w bitewnej zawierusze... Faszyzm zdaje się zwyciężać na wszystkich frontach.

Jego świat się rozsypuje, a on nadal pomaga młodzieży zrozumieć średniowiecze. Ferdinand wiedział, że działające dotąd w ukryciu francuskie ligi faszystowskie nie boją się już ujawniać. Być może pan Dubois i jego syn należą do którejś z nich.

Postanowił spełnić prośbę syna i zabrać go do zamku hrabiego d'Amisa. Nie wiedział, jak przyjmie to gospodarz, niewiele go to jednak obchodziło. David go potrzebował, pragnął pewników, ojcowskiej opieki. Odłożył rozmowę z Miriam do ich powrotu. Pomysł wyjazdu do Niemiec był szaleństwem, Ferdinand zamierzał ją od niego odwieść.

3

W drodze do Carcassonne rozmawiali o wymianie zdań między Ferdinandem a panem Dubois, który okazał się najprawdziwszym faszystą i nazwał profesora marnym patriotą za to, że wymieszał swą francuską krew z nieczystą krwią Żydówki. Profesor skwitował tę uwagę tubalnym śmiechem, czym jeszcze bardziej rozjuszył rzeźnika, i powiedział mu, żeby się nie kompromitował. Gdy odwiesił słuchawkę, poczuł gorycz w ustach. Całą duszą pogardzał panem Dubois, przeczuwał jednak, że ten człowiek może być niebezpieczny.

Ze stacji udali się na zamek samochodem hrabiego, który na nich czekał.

D'Amis zaprosił profesora na kolację, chciał mu przedstawić swych niemieckich znajomych - znawców literatury średniowiecznej.

Majordomus powitał paryskich gości w bramie zamku. Z kamienną twarzą przyjął wiadomość, że profesor przyjechał z synem.

- Przykro mi, nie zdążyłem uprzedzić hrabiego. Tak czy owak, nie zabawimy długo.

Majordomus zaprowadził ich do komnaty, gdzie Ferdinand podczas swej pierwszej wizyty zapoznał się z rękopisem brata Juliana.

Po chwili do pokoju wkroczył hrabia w towarzystwie małego chłopca, najwyżej dziesięcioletniego, oraz nieodłącznego adwokata, Pierre'a de Saint-Martina.

- Profesorze, przekazano mi, że przyjechał pan z synem... Ach, przecież to już prawdziwy mężczyzna! Mój syn Raymond oprowadzi go po zamku. Oczywiście będziecie moimi gośćmi tej nocy, mam nadzieję, że przywieźli panowie niezbędne drobiazgi...- Nie chciałbym sprawiać kłopotu, jednak nieprzewidziana sytuacja zmusiła mnie...

- Nie ma mowy o kłopotach! Każę wypakować bagaże z samochodu, później lokaj pokaże panom pokoje gościnne. A teraz, profesorze, nie mogę się już doczekać, by poznać wyniki pańskich: badań.

Gdy Ferdinand odprowadzał wzrokiem Davida, który oddalił się w ślad za Raymondem - jasnowłosym malcem o wielkich zielonych oczach odziedziczonych po ojcu - poczuł, nie wiadomo dlaczego, nagły niepokój. Zdumiała go oziębłość tego dziesięciolatka, który przypominał miniaturowego żołnierzyka, karykaturę kogoś znacznie starszego.

- A więc, profesorze, zamieniamy się w słuch - ponaglił gościa hrabia.

Od samego początku spotkania adwokat nie odezwał się słowem, przywitał się tylko lekkim skinieniem głowy.

Przez prawie godzinę Ferdinand rozprawiał o pergaminach, wynikach prób laboratoryjnych, o opinii swych kolegów po fachu, a przede wszystkim o wyjątkowej okazji przedstawienia światu tego unikalnego średniowiecznego klejnotu i możliwości kontynuowania badań, jeśli hrabia udostępni mu inne dokumenty z rodzinnego archiwum.

- Kronika brata Juliana może mieć związek z pozostałymi pismami przechowywanymi przez pańską rodzinę. Warto to sprawdzić - zakończył.

Hrabia chłonał pożądliwie jego słowa, natomiast na twarzy adwokata nie drgnął ani jeden mięsień, jakby to, o czym mówi Ferdinand, wcale go nie interesowało - ziewnął nawet kilka razy.

- Dobrze, gdy tylko potwierdzi pan autentyczność dokumentów, zastanowię się nad pańską propozycją, proszę jednak nie żądać natychmiastowej odpowiedzi. Dla pana, profesorze, kronika ma tylko wartość historyczną, lecz dla mnie... dla mnie i mojej rodziny to coś więcej.

Ferdinand próbował dojrzeć w hrabim d'Amisie potomka energicznej i rezolutnej Marii oraz szlachetnego rycerza Juana z Ainsy, który bez słowa pozostał w rodzinnej posiadłości, nie upominając się o swoje prawa. Porównał również swego gospodarza z porywczym templariuszem oraz z jego bratem Julianem. Postaci te wydały mu się bardziej ludzkie niż ten nadęty hrabia, który bardziej przypominał statystę z opery niż arystokratę z krwi i kości.

- Oferta uniwersytetu jest szczodra - kusił go Ferdinand.

- Nie wątpię, odłożmy jednak tę sprawę na później. Teraz, jeśli pan pozwoli, zajmę się pozostałymi gośćmi. Kolacja zostanie podana o siódmej, tymczasem proszę się rozgościć i odpocząć po podróży. Coś mi mówi, że pański syn jest w stajni. Raymond uwielbia konie i zawsze ciągnie tam gości, zwłaszcza że mamy kilka wspaniałych okazów.

- Bardzo się nudzisz? - zapytał syna, wiążąc mu krawat, gdy przygotowywali się do kolacji.

- Co za dziwni ludzie! Straszni sztywniacy. Nawet ten mały Raymond to cudak, jakich mało. Wiesz, o czym nawijał? O katarach i niczemności Kościoła katolickiego... Nie ma co, biednemu dzieciakowi zrobili pranie mózgu.

- Tak, są trochę dziwni - przyznał Ferdinand.

- Skoro za nimi nie przepadasz, to co my tu robimy?

- Czasami nie można tak po prostu odmówić. Już ci wspomniałem, że znajomy profesor z Tuluzy, mój dawny promotor, poprosił mnie, bym rzucił okiem na pewne pergaminy stanowiące jedyny w swoim rodzaju dokument. Prawdę mówiąc, cieszę się, że mogłem przeczytać kronikę brata Juliana, bo to doprawdy poruszające świadectwo.

Lokaj zaprowadził ich do jadalni. Gospodarz i jego goście, nawet Raymond, mieli na sobie smokingi.

- My to co innego - szepnął Ferdinand do syna - należymy do inteligencji.

- Nie martw się. W takim wdzianku czułbym się jak pajac, popatrz tylko na tego małego...

Hrabia przedstawił nowo przybyłym pozostałych gości - trzech mężczyzn i dwie kobiety, nie licząc adwokata. Ferdinand pomyślał, że zamek najwyraźniej nie ma swej damy, żadna z kobiet nie została mu bowiem przedstawiona jako pani domu.

- Baron von Steiner z małżonką, baronową von Steiner, hrabiostwo von Trotta oraz pański kolega po fachu, profesor Henrich Marbung z uniwersytetu w Berlinie. Pana Saint-Martina i mojego syna Raymonda już pan zna...

Z początku gawędzili o sprawach błahych przy lampce szampana. Dopiero podczas pierwszego dania Ferdinand zorientował się, że zasiadł do kolacji z grupką wyrafinowanych faszystów.- Całe Niemcy są zachwycone Rahnem - mówił profesor berlińskiego uniwersytetu.
- I trudno się dziwić, skoro umiał on dojrzeć rzeczy wielkie tam, gdzie inni widzieli tylko kamienie i słowa.

- Ma pan na myśli Ottona Rahna, autora *Krucjaty przeciwko Graalowi* - zapytał Ferdinand.

- Właśnie jego. Mam zaszczyt znać osobiście tego wybitnego człowieka. Przybyłem tu z misją odszukania...

- Graala? - wszedł mu w słowo Ferdinand wyraźnie rozbawiony.

- Dziwi to pana, profesorze?

- Dziwi mnie, że profesor uniwersytetu w Berlinie chce szukać czegoś, co nie istnieje. Graal to legenda, kreatywny wynalazek literacki...

- Zaprzecza pan istnieniu Graala? - zapytał hrabia von Trotta.

- Oczywiście. Nie odmawiam Rahnowi wyobraźni, jego teorie są bowiem dość sugestywne, jednak sama książka pozbawiona jest wartości historycznej; zresztą nic dziwnego, skoro autor nie jest historykiem, lecz pisarzem, który w sposób godny podziwu puścił wodze fantazji.

- Jak pan śmie...! - profesor Marbung nie krył oburzenia. - Powinien pan wiedzieć, że Rahn czerpał informacje z najlepszych; źródeł, zna tę krainę lepiej od pana, a wszystkie wysuwane przez niego hipotezy oparte są na faktach, nie na domysłach.

- Przykro mi, ale muszę z panem polemizować. Wiem, że książki Rahna odniosły wielki sukces i że wiele osób ślepo wierzy w jego supozycje, jednak opisywana przez niego Langwedocja nigdy nie istniała, a jego barwne hipotezy nie mają żadnych podstaw naukowych - obstawał przy swoim Ferdinand.

- Jest pan bardzo kateryczny w swych sądach - zauważył baron von Steiner.

- Jestem kateryczny w dyskusjach o tym, na czym się znam, i nie pozwolę na wymyślanie nowej historii, nawet jeśli miałoby to służyć jej upiększeniu. A jeśli chodzi o wyjawiony przez Ottona Rahna zamiar odnalezienia wspólnego wątku między Montsegur i Montsalwatem, zamkiem opisywanym przez Wolframa von Eschenbacha w *Parsifalu*, zapewniam, że to zadanie równie szczytne, co płonne. Żałuję, że nie mogę państwa zadowolić inną opinią.

- Poprosiłem pana Arnauda o potwierdzenie autentyczności interesującego nas rękopisu ze względu na szacunek, jakim cieszy się w kręgach naukowych - wyjaśnił hrabia d'Amis. - Profesor nigdy nie wyraziłby *nihil obstat* * w stosunku do czegoś, czego nie byłby naprawdę pewien. Dlatego nieocenioną wartość ma dla mnie jego uznanie dla moich rodzinnych pergaminów.

Nihil obstat (łac.) - nie stoi na przeszkodzie.

- Może uda nam się namówić profesora do współpracy - wyraziła nadzieję baronowa von Steiner.

- Do współpracy? Nie sądzę, by profesor był jednym z naszych - odezwał się adwokat Saint-Martin. - Skłonny jestem raczej sądzić, że byłby przeszkodą...

- Nie bardzo rozumiem... - zaczął Ferdinand.

- Drogi profesorze, należymy do pewnego... towarzystwa kulturalnego. Próbujemy odkryć tajemnicę katarów i w miarę możliwości odnaleźć Graala. Pan nie wierzy co prawda w jego istnienie, jednak wielu pańskich kolegów po fachu jest innego zdania...

- Żaden szanujący się naukowiec nie wierzy w istnienie Graala - uciął Ferdinand, przerywając wywód hrabiego von Steinera.

- Pan wierzy tylko w to, co pan widzi - stwierdził hrabia.

- Jestem uczonym, mój oręż to wiedza i rozum.

- Czy wierzy pan przynajmniej w Boga, profesorze? - zagadnęła hrabina von Trotta.

- To samo pytanie, moim zdaniem niestosowne, zadano mi przed kilkoma dniami.

Moje poglądy religijne są moją osobistą sprawą i nijak się nie mają do mojej pracy naukowej.

- Nie męczmy profesora - próbował ratować sytuację hrabia d'Amis. - Pięknie, nie powiem, próbujemy go zwerbować dla sprawy... Lepiej wypijmy za to, by nasze spotkanie stało się załączkiem owocnej przyjaźni i współpracy. Wszystkich nas interesuje prawda, właśnie jej szukamy. Profesorze, przyłączy się pan do ekipy, jaką tworzę w celu poszukiwania prawdy o kataryzmie?

- Proszę mi wybaczyć, hrabio, ale nie trzeba szukać czegoś, co już dawno zostało ujawnione. Mówiłem panu, że drażnią mnie wszelkie nierealne hipotezy dotyczące katarów. To absurd, z którym nie chcę mieć nic wspólnego.

- Proponuję panu kierowanie naszym zespołem... Będziemy szukali tam, gdzie pan nam wskaże - nalegał hrabia.

- Sęk w tym, że nie ma czego szukać. Co najwyżej natrafimy na jakiś zapomniany dokument inkwizycji lub świadectwo równie piękne, jak to zachowane w pańskim archiwum rodzinnym, lecz nic poza tym. Graal nie istnieje.

- Twierdzi pan, że nie istnieje święty kielich? - dopytywał się adwokat Saint-Martin.

- Tak właśnie twierdzą. Naprawdę wierzy pan, że kielich, z którego Jezus pił wino wraz z uczniami, przetrwał dwa tysiące lat? Czyżby jeden z apostołów wsunął go za pazuchę z myślą o potomności?

- Pan w nic nie wierzy! - wykrzyknęła baronowa von Steiner. - Przecież to oczywiste, że Graal nie jest kielichem, alej czymś... czymś więcej, czymś, co może przywracać zdrowie i daje swemu właścicielowi nieograniczoną władzę.

- Łaskawa pani, ja nie myślę wiary z przesadami.

- Dobrze, a skarb katarów? Co według pana się na niego składało? - zapytał adwokat Saint-Martin.

- Złoto, srebro, monety, trochę kosztowności i... nic więcej. Po prostu rzeczy, które damy i rycerze przekazali w darze Kościołowi Dobrych Chrześcijan. Nie szukajcie talizmanu, bo nie istnieje.

- Mimo wszystko chcielibyśmy na pana liczyć - nie rezygnował hrabia.

- Przykro mi, jestem zajęty.

Zapanowała krepująca cisza. David patrzył na ojca z podziwem. Nigdy dotąd nie widział, by z taką stanowczością narzucał swój naukowy autorytet. Był pod wrażeniem jego odwagi okazanej w tak stresującej sytuacji i wobec tej bandy dziwaków.

- Co pan sądzi, profesorze, o wydarzeniach w Niemczech? - zapytała baronowa von Steiner, próbując skierować rozmowę na inne tory.

- Martwią mnie, nawet bardzo. Myślę, że Adolf Hitler stanie się zmorą nie tylko Niemiec, ale całej Europy.

- Nie podziela pan filozofii naszej rewolucji? - dopytywała się baronowa.

- Pani rewolucji? Trudno mi sobie panią wyobrazić w roli rewolucjonistki.

- Niech pan nie będzie niemądry! - obruszyła się baronowa. - Hitler zmienia oblicze Niemiec, zmieni również oblicze świata. Francja będzie musiała pogodzić się z wyższością jego ideologii.

- Zapewniam panią, baronowo, że rzesze osób myślących podobnie jak ja zrobią wszystko, byle tylko ideologia pani Fuhrera nie wydostała się poza granice Niemiec.

- Na Boga, nie mówmy o polityce - hrabia d'Amis próbował zażegnać niebezpieczeństwo. - Interesuje nas historia i dlatego zabiegam o pomoc profesora. Powinien pan wiedzieć, panie profesorze, że mój serdeczny przyjaciel, profesor Marbung, przedstawił władzom swej berlińskiej uczelni moją propozycję powołania zespołu naukowego, który zgłębiłby całą prawdę o państwie katarów, i ponoć pomysł spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem. Ja również jestem gorącym wielbicielem Ottona Rahna i naturalnie pragnąłbym, aby i on przyłączył się do naszego projektu...

Mały Raymond, który do tej pory obserwował tylko, zafascynowany, rozmówców, wtrącił się nagle do rozmowy, zadając pytanie profesorowi Arnaudowi:

- Lubi pan nazistów?

Hrabia przeszył syna wzrokiem pełnym lodowatej furii. Davidowi wydało się, że w zielonych oczach, które Raymond spuścił zawstydzony, oprócz zmieszania dostrzega również strach.

- Nie, synku, nie lubię nazistów - odpowiedział Ferdinand, patrząc nie na chłopca, ale na hrabiego.

- Co też ci chodzi po głowie, Raymondzie! - skwitował adwokat.

Do jadalni wkroczył majordomus, oznajmiając, że zaprasza do bawialni na kawę. Jego pojawienie się zostało przyjęte przez oniemiałych stołowników z ulgą.

W drodze do salonu Ferdinand podszedł do hrabiego.

- Chyba lepiej będzie, jeśli wyjedziemy. Nie chcę pana dłużej kłopotać moją obecnością, ani pana, ani pańskich gości. Proszę powiedzieć szoferowi, by zawiózł nas do Carcassonne, z pewnością znajdziemy tam jakiś hotel...

- Ależ profesorze! Za kogo pan mnie bierze? Jest pan moim gościem i ma pan pełne prawo bronić swych poglądów. Obraziłby mnie pan, wyjeżdżając. Jutro szofer zawiezie pana na stację, jak już ustaliliśmy. A jeśli chodzi o wybryk mojego syna... mam nadzieję, że puści pan całe zdarzenie w niepamięć. Dziecko jak to dziecko, nasłucha się rozmów dorosłych, niewiele z nich rozumiejąc, i... Nie chciałbym, by wyrobił pan sobie o nas mylne przekonanie...

Ferdinand bał się przyznać, że czuje się w zamku nieswojo, wołał więc nie nalegać, by nie uznano go za grubianina. Z równowagi wyprowadził go chyba komentarz baronowej von Steiner wychwalającej Hitlera.

Przy kawie i koniaku goście wyraźnie się odprężyli, tylko Ferdinand nadal był spięty.

Hrabia poprosił go, by wyjaśnił obecnym znaczenie rękopisu brata Juliana.

Płomiennymi słowami Arnaud opisał kronikę mnicha, o nim samym mówił natomiast jak o dobrym znajomym.

- W jaki sposób pańskiej rodzinie udało się przechować pergaminy? - zapytała hrabiego baronowa von Steiner.

- Sam nie wiem. Zapewne przekazywano je z pokolenia na pokolenie z zastrzeżeniem, by ich nie ujawniano, póki nie nadejdzie właściwy moment - wyjaśnił hrabia.

- Moment pomszczenia krwi niewinnych. Po słowach adwokata zapadła cisza.

David, który do tej pory się nie odzywał, zerknął na ojca i nim ten zdążył go powstrzymać, zapytał:

- Kto i jak ma pomścić krew niewinnych?

- Najlepszą zemstą będzie dopuszczenie ich do głosu - stwierdził adwokat - upomnienie się o ich prawa, wyzwolenie Langwedocji spod okupacji francuskiej.

- Ale państwo są przecież Francuzami! - zdziwił się David.

- Jesteśmy Oksytańczykami siłą zamienionymi we Francuzów.

- To nie była arkadia... - wtrącił Ferdinand.

- Zna pan historię - rzucił zaczepnie Saint-Martin.

- Znam i dlatego wiem, że życie w średniowieczu nigdzie nie było godne pozazdroszczenia, nawet tutaj. Państwo katarskie nie istnieje, jest po prostu wytworem bujnej wyobraźni kilku dziewiętnastowiecznych pisarzy i zapaleńców, którzy wyidealizowali kulturę trubadurów i nadali temu okresowi obraz przesadnie romantyczny. Co ciekawe, ludzie

wszelakiej maści i ideologii odwołują się do nieszczęsnych katarów: antyklerykałowie, ezoterycy, nacjonaści, liberałowie... Wszyscy przerabiają ich na własne kopyto, dopatrując się w ich postawie śladów własnej filozofii. Żaden okres w historii nie jest dzisiaj tak wypaczony i błędnie interpretowany jak właśnie czasy katarów.

- Pan nie jest Oksytańczykiem - powiedział z naciskiem adwokat.

- No, może trochę. Mój ojciec pochodzi z Perpignan, a matka z Tuluzy, więc coś mnie łączy z tą ziemią, choć, jeśli mam być szczerzy, obojętne jest mi moje pochodzenie, podobnie zresztą jak pochodzenie innych. Obchodzi mnie natomiast co innego: miejsca, dzie czuję się dobrze, miłe towarzystwo, ludzka godność, sprawiedliwość i pokój. Pochodzenia się nie wybiera.

- Wyrzeka się pan własnych korzeni? - zapytał hrabia von Trotta.

- Nie czuję potrzeby się w nich utwierdzać. Ważne jest to, co osiągamy w życiu, nie to, gdzie przyszlismy na świat. Miejsce urodzenia może wpłynąć na mój kosmos wrażeń intymnych, smaków i zapachów, natchnąć muzyką i pejzażami, nie chcę i nie pozwolę jednak, by zaważyło na mojej osobowości.

- Jest pan komunistą? - zainteresował się profesor Marbung. Ferdinand nie wiedział, czy odpowiadać na to impertynenckie pytanie, lecz uznał, że jeśli tego nie zrobi, zachowa się jak tchórz skrywający własne poglądy.

- Jestem demokratą. Nie należę do żadnej partii.

- No tak! - wykrzyknął profesor Marbung. - Nie wyobrażam sobie, hrabio d'Amis, bym mógł pracować z profesorem Arnaudem.

Hrabia wbił w niemieckiego uczonego zielone lodowate źrenice, po czym stwierdził:

- Drodzy państwo, mnie chodzi o jego naukowe kompetencje. Adwokat Saint-Martin już miał coś powiedzieć, ale najwyraźniej zmienił zdanie. Nie rozumiał postawy hrabiego ani uporu, z jakim próbował zjednać Arnauda dla ich sprawy.

- Hrabio... - chciał zaprotestować profesor Marbung.

- Nie kłóćmy się. Zależy mi na udziale obu panów w naszym projekcie. Proszę zachować własne poglądy, a talent i wiedzę poświęcić służbie historii.

- Obawiam się, panie hrabio, że mnie pan nie zrozumiał - rzucił ostro Ferdinand. - Nie zamierzam uczestniczyć w żadnym projekcie opartym na urojeniach. Zresztą nie mam czasu. Praca na uniwersytecie pochłania mnie bez reszty. Jeśli się pan zgodzi, z przyjemnością popracuję nad kroniką brata Juliana, przedstawię ją światu, opublikuję i opiszę, ale... nie chcę mieć nic wspólnego z żadnym innym projektem.

- Porozmawiamy o tym później, profesorze, później... - Przystał hrabia.

4

Pociąg do Paryża odjeżdżał o piątej po południu. Ferdinand nie miał ochoty zostać w zamku ani chwili dłużej, ale hrabia nie zamierzał wypuścić go choćby minutę wcześniej.

Rankiem próbował skusić go propozycją, którą Arnaud prawie przyjął.

- Chcę, by napisał pan historię katarów, nową historię katarów; by przeprowadził pan niezbędne badania, przeszukał archiwa, wykorzystał kronikę brata Juliana, i jeśli uważa pan, że to wszystko bajki, by przyczynił się pan do rozwiania wątpliwości związanych z Graalem. Ale przede wszystkim, by ustalił pan z historycznego punktu widzenia, ile może być w tych graalowych pogłoskach prawdy. Porozmawiam z pana przełożonymi, poproszę, by zwolniono pana na jakiś czas z akademickich obowiązków. Koszty biorę oczywiście na siebie.

Ferdinand, chcąc się uwolnić od natarczywego hrabiego, obiecał, że przemyśli jego propozycję. Potem schronił się w swym pokoju. Tego ranka nie spotkał nikogo z gości oprócz adwokata Saint-Martina i profesora Marbunga.

Mały Raymond znów zaprosił Davida na wyprawę do stajni.

- Wczoraj pytałeś o nazistów. Dlaczego?

- Nie wolno mi o tym rozmawiać - odpowiedział Raymond.

- Czemu?

- Twój tata cię bije?

- Nie! Nigdy! Czasami mnie ukarze, ale bić... Nigdy mnie nie uderzył. A twój tata cię bije?

Raymond nie odpowiedział od razu, wyciągnął tylko rękę ku grzbietowi kasztanowej klaczy.

- Muszę się nauczyć... Muszę się nauczyć brać na siebie odpowiedzialność. Jeśli nie robię tego dobrze, zasługuję na karę.

- Zależy na jaką - stwierdził David.

- Niektóre osoby są... są inne, należą do szczególnej rasy. I... właśnie... ja... ja należę do tych osób, tak jak mój tata, jak pan Saint-Martin i znajomi taty. Co do ciebie, sam nie wiem... nie wyglądasz na jednego z nas, a twój tata...

- Jestem dumny z mojego taty, choćby dlatego, że jest demokratą - obruszył się David, zapominając, że rozmawia z dziesięciolatkiem.

- Demokraci, socjaliści i komuniści to nowotwór społeczny, podobnie jak Żydzi - wyrecytował Raymond.

David nie poczułby się straszniej, nawet gdyby go spoliczkowano. Zeszłej nocy ojciec polecił mu, by nie wdawał się w dyskusje z tymi ludźmi, on jednak chciał wiedzieć, pytać... Z całego zamkowego towarzystwa tylko Raymond zwracał na niego uwagę i właśnie wypowiedział przekłete słowo „Żyd”.

- Ja jestem Żydem - rzucił hardo. - I nie jestem żadnym nowotworem.

Raymond w pierwszej chwili zmartwił, potem przygryzł wargę i puścił się biegiem w stronę zamku. Bał się gniewu ojca, bo może znowu za dużo powiedział, a przecież po wczorajszym laniu piekły go jeszcze pośladki - ojcowski pas zdarł z nich skórę i materiał spodni dotkliwie drażnił bolące miejsce. W bramie zamku malec wpadł na profesora Marbunga.

- To Żydzi! - wykrzyknął.

- Żydzi? Kto? - spytał niespokojnie profesor.

- On i jego tata. Sam się przyznał - dodał malec, wskazując na stajnie, na tle których odcinała się sylwetka Davida.

Profesor Marbung i Raymond weszli do zamku i udali się do hrabiego d'Amisa, którego zastali w gabinecie gawędzącego z Saint-Martinem.

- Hrabio! Pański syn powiedział mi właśnie coś przerażającego!

Ton profesora Marbunga tak wystraszył obu mężczyzn, że zerwali się z miejsc w przeczuciu jakiegoś nieszczęścia.

- Co się stało? Raymondzie, co ci jest?

- To Żydzi - powtórzył malec. - David sam się przyznał. Hrabia d'Amis zacisnął pięści, próbując zapanować nad złością.

- To zmienia postać *rzeczy* - mruknął adwokat.

- Za nic nie będę współpracował z Żydami. Nie pozwolę, by jakiś parszywy starozakonny został wtajemniczony w nasze plany... Zacząłem już coś podejrzewać, gdy ten profesorek z uporem maniaka odwoził nas od poszukiwania Graala! - rzucił z furją Marbung.

- A jednak... popełnilibyśmy błąd, rezygnując z pomocy takiego specjalisty. Zresztą jego dawny promotor z uniwersytetu w Tuluzie nie wspomniał, by Ferdinand Arnaud był Żydem... - tłumaczył hrabia.

- Raymond dowiedział się tego od jego syna... - przekonywał adwokat. - Sprawa jest więc chyba oczywista.

Nikt nie zauważył Davida, który obserwował ich od progu z oczami pełnymi wściekłości i wzdargy.

- To ja jestem Żydem, nie mój ojciec.

Odwrócili się zaskoczeni i zmieszani nieoczekiwanym pojawieniem się nastolatka. Od jak dawna tam stoi, słuchając ich rozmowy?

- Młody człowieku, nie uczono cię, że to brzydko podsłuchiwać pod drzwiami? - rzucił w końcu hrabia.

- Drzwi były otwarte, zresztą muszę tędy przejść w drodze do swojego pokoju.

- Tak czy owak, dżentelmeni nie podsłuchują cudzych rozmów. Jednak skoro już pan to zrobił, proszę do nas - zwrócił się do niego hrabia rozkazującym tonem.

David wszedł niepewnym krokiem. Najchętniej pobiegłby do ojca, bał się jednak sprzeciwić hrabiemu.

- Usiądź, młody człowieku.

Raymond, adwokat Saint-Martin i profesor Marbung czekali w napięciu na słowa d'Amisa, który powiedział:

- Cóż, wie pan zapewne, młody człowieku, że niektórzy ludzie mają uprzedzenia i nie lubią Żydów, obwiniają ich bowiem o pewne przykre rzeczy dziejące się na świecie. Mnie jednak mało obchodzi zdanie innych, obchodzi mnie natomiast historia i chcę, by pański ojciec wziął udział w moim projekcie, bez względu na to, czy jest, czy nie jest Żydem.

- Pański syn mówi, że Żydzi to nowotwór społeczny.

- Mój syn ma dziesięć lat, przysłuchuje się rozmowom, których nie rozumie, i w rezultacie zachowuje się nieraz... że tak powiem... nieroztropnie. Młody człowieku, proszę pana w jego imieniu o wybaczenie.

David nie wiedział, co odpowiedzieć. Wbił wzrok w profesora tylarbunga w nadziei, że da mu on jakikolwiek pretekst, by wstać i unieść się gniewem.

Jednak profesor nie wyglądał na zainteresowanego utarczką - niewidzącym wzrokiem śledził esy-floresy unoszące się z jego cygara.

- Lepiej poszukam ojca. - To była jedyna odpowiedź, jaka przysła Davidowi do głowy.

- Oczywiście, proszę tylko nie zwracać mu głowy zwykłymi nieporozumieniami.

David odwrócił się i ruszył ku schodom, licząc, że zastanie ojca w pokoju. Chciał go poprosić, by jak najszybciej opuścili zamek, choćby na piechotę.

- Ach, już jesteś! - Ferdinand leżał na łóżku zatopiony w lekturze. Na jego twarzy malowało się znużenie. - Przykro mi, że nie możemy wyjechać już teraz. Obawiam się, że będziemy musieli jeszcze zjeść z tymi ludźmi obiad.

- Oni mówią, że Żydzi to nowotwór - odparł David ze wzburzeniem.

Ferdinand uniósł się niespokojnie. Widział, że jego syna coś dręczy.

- Co ty wygadujesz?

- To Raymond... Ten chłopiec mówi na głos to, czego jego ojciec i cała reszta nie mają odwagi powiedzieć - wyjaśnił David. - Według nich największym grzechem jest bycie demokratą i Żydem. Usłyszałem też niechcący ich rozmowę. Profesor Marbung powiedział, że skoro jesteś Żydem, nie będzie z tobą współpracował, i że chcesz im przeszkodzić w odnalezieniu Graala.

- Co za bzdury! W tej chwili idę porozmawiać z hrabią. Możemy wyjechać wcześniej, wymienimy bilety na dworcu.

David zdawał się odzyskiwać spokój, choć Ferdinand widział, że jego syn cierpi - chłopiec poczuł się nagle jak odmieniec, wyrzutek społeczny.

- Co jest złego w byciu Żydem? Dlaczego tylu ludzi nas nienawidzi?

- Ignoranci nienawidzą tego, czego nie znają. Zresztą historia Europy obfituje w plugawe wydarzenia: inkwizycja, pogromy... Żyd to cudzoziemiec lub ktoś inny, na kogo można zrzucić winę za zło nękające świat. To wymówka, której używają rządzący, by odwrócić uwagę od swoich powinności i skierować ją na społeczeństwo. Poza tym ostrzą sobie zęby na żydowski majątek i wolą wymigać się od spłaty pożyczek zaciągniętych u wspólnoty staro-zakonnej.

- Dziadkowie nie są bogaci, ciocia Sara też nie... - mruknął David.

- To prawda. Nie była też bogata większość Żydów spalonych na stosach. Największa przewrotność oprawców polega na przekonaniu ofiary, że zawiniła i musi ponieść karę. Ofiara godzi się z tym w głębi duszy i zastanawia, na czym polega jej grzech. Nie, synku, nie pytaj, dlaczego naziści prześladowają ciocię Sarę, w czym zawinili twoi dziadkowie i czym ty sam zasłużyłeś sobie na ludzką nienawiść. Już samo takie pytanie jest potwornością.

- Nadal jednak nie rozumiem, skąd się ta nienawiść bierze. Nie wyobrażasz sobie, z jaką pogardą Raymond powiedział, że Żydzi to nowotwór społeczny, a profesor Marbung... Profesor Marbung jest chyba najgorszy z nich wszystkich.

Rozmowę przerwało delikatne pukanie do drzwi. Majordomus przekazał im prośbę hrabiego, by przyszli do bawialni.

Ferdinand westchnął. Miotał się między pragnieniem zbadania kroniki brata Juliana a potrzebą ucieczki z zamku. Dusił się w jego murach.

D'Amis czekał na nich w salonie w towarzystwie Raymonda i adwokata Saint-Martina.

Ferdinand dostrzegł, że mimo pozornej pewności siebie hrabia podświadomie zaciska i otwiera nerwowo prawą pięść.

Z twarzy Raymonda wyczytać można było ból i strach, choć jednocześnie patrzył na Davida z wyraźnym wyrzutem.

- Profesorze, rozmawiałem już z pańskim synem i przeprosiłem go, teraz chcę prosić o wybaczenie również pana. Przyznaję, że zachowanie Raymonda i jego uwagi były karygodne i zupełnie nie na miejscu. Proszę wybaczyć zniewagę jemu, a również i mnie. Nie chciałem panów, broń Boże, urazić, szczerze mówiąc, zrażanie sobie pana nie leży w moim interesie.

- Komentarze Raymonda powinny pana niepokoić - rzuci chłodno Ferdinand.

- Chłopiec został już za nie ukarany. Zapewniam pana, że; nieprędko zapomni swój błąd.

- Błędem nie są słowa, ale myślenie w ten, a nie inny sposób - odparł Ferdinand.

Przecież wie pan, jak to jest z dziećmi: nasłuchają się tego i owego, a potem wszystko im się płacze i...

...twierdzą, że bycie Żydem lub demokratą to najgorszy z nowotworów? - W głosie Davida pobrzmiwały ból i złość.

Hrabia spojrzał na niego, po czym bez słowa dał znak synowi, by zdjął marynarkę i podciągnął koszulę. Raymond zbladł, a zaraz potem zaczerwienił się zawstydzony.

Ma widok obnażonych pleców malca Ferdinand i David krzyknęli ze zgrozy - na ciele chłopca widać było ślady po ojcowskim pasku. Zdarta i zakrwawiona skóra nie pozostawiała żadnych wątpliwości: Raymond został brutalnie wychłostany.

- Mój Boże! Ja... - zdołał tylko wyjąkać Ferdinand.

- Mam nadzieję, że to wystarczające zadośćuczynienie za występki mojego syna - powiedział oschle hrabia.

- To nie było potrzebne! Jestem przeciwny biciu dzieci... Jak pan mógł tak skrzywdzić tego malca, i to własnego syna? - Ferdinand nie znajdował słów, by wyrazić odrazę, jaką poczuł na widok śladów ojcowskiego okrucieństwa.

Davidowi zrobiło się słabo, czuł się bowiem winny. Być może, przekonywał się w duchu, zbyt poważnie potraktowałem słowa Raymonda; przecież to tylko dziesięciolatek,

jeszcze nie bardzo rozumie, co mówi. David nie wiedział, co robić, czuł tylko, że musi poprosić malca o wybaczenie.

- Przepraszam - wyjąkał, robiąc krok w stronę chłopca. - Ja... ja... przepraszam.

- Co się stało, to się nie odstanie. W każdym razie Raymond będzie miał nauczkę na przyszłość. A teraz, profesorze, żeby się w pana oczach zrehabilitować, przekazuję panu kronikę brata Juliana, a więc przyjmuję propozycję pańskiego uniwersytetu. Może pan dogłębnie zbadać rękopis i ogłosić drukiem swoje wnioski. Również zamkowe archiwum stoi przed panem otworem, tyle że będzie pan musiał korzystać z niego na miejscu, bo nie chcę, by nasze rodzinne zbiory pałętały się po świecie.

Ferdinand był wyraźnie skonfundowany. Nie sądził, że hrabia Przekaze mu kronikę swego przodka, i to bez stawiania żadnych warunków. Również on miał do siebie pretensję i czuł się zawstydzony. Czy nie wyolbrzymili czasem całej sprawy? Czy nie są aby przewrażliwieni z powodu kłótni Davida z pyskатыm synalkiem rzeźnika oraz kłopotów ciotki Sary?

Raymond tkwił przed nimi z obnażonymi plecami, demonstrując swe upokorzenie i cierpienie. Wyraźnie bał się poruszyć bez zgody ojca. W końcu hrabia dał mu znak, by obciągnął koszulę.

- Sam nie wiem, co powiedzieć... Wszystko to jest... przykro mi... ubolewam nad tym, co się stało... - jąkał się Ferdinand. - Chyba nie powinniśmy mieszać obu spraw...

- Proszę przyjąć, profesorze, moją propozycję wraz z przeprosinami. Mój adwokat i przyjaciel, pan Saint-Martin, przygotowuje umowę na użyczenie kroniki Uniwersytetowi Paryskiemu w celach badawczych. Dokumenty będą gotowe w przyszłym tygodniu. Doręcę je panu osobiście, bo pod koniec przyszłego tygodnia wybieram się do Paryża w interesach. Zadzwońię do pana i umówimy się na spotkanie z rektorem uniwersytetu.

Ferdinand czuł się zdezorientowany i oszołomiony biegiem wypadków. Wyrzucał sobie, że uległ pokusie, że tak bardzo zależy mu na kronice brata Juliana, iż lekceważy cierpienie Raymonda.

Podziękował hrabiemu i przyjął jego propozycję, starając się jednak unikać wzroku Davida. Porozmawia z nim o wszystkim później, w pociągu.

Obiad minął spokojniej niż niedawna kolacja. Goście hrabiego zdawali się nadszkakiwać Ferdinandowi, jedynie profesor Marbung i adwokat Saint-Martin trzymali się na dystans. Rozmawiano o wszystkim i o niczym: o muzyce, literaturze, gastronomii... Baron von Steiner okazał się znawcą francuskich win i uraczył stołowników wykładem na ten temat.

Przy pożegnaniu z hrabią w bramie zamku Ferdinand miał nadal mętlik w głowie i w duszy, wolał więc myśleć o tym, że już za tydzień będzie mógł zrealizować swe marzenie i rozpocząć pracę nad kroniką brata Juliana.

Zaraz po wyjeździe profesora i jego syna hrabia oraz pozostali goście z oznakami niepokoju na twarzach zgromadzili się w ciszy w gabinecie gospodarza.

- Nie pojmuję pańskiej postawy - odważył się wyrzucić hrabiemu profesor Marbung. - Zresztą podobnie jak pańskiego uporu, by wciągnąć tego człowieka do naszego projektu. Nie potrzebujemy go.

- Myli się pan, profesorze. Nazwisko pana Arnauda otworzy przed nami podwoje archiwów i miejsc, do których inaczej nie mielibyśmy wstępu. Potrzebujemy jego autorytetu, by osiągnąć nasz cel - wyjaśnił hrabia. - Nie możemy jednak zdradzić przed nim naszych zamiarów, a to znaczy, że w przyszłości musimy unikać błędów, które popełniliśmy podczas wczorajszej kolacji.

- Największą światową wyrocznią w sprawie kataryzmu jest Otton Rahn - orzekł profesor Marbung. - Krocząc po jego śladach, odnajdziemy Graala.

- Nie, jeśli będziemy kroczyli wyłącznie po jego śladach. Znajdujemy się we Francji, profesorze, a Francuzi to szowiniści. Nazwisko Rahna nie zrobi wrażenia na wielu archiwistach strzegących cennych dokumentów, a nazwisko profesora Arnauda owszem. On właśnie będzie naszym kluczem, ślepym przewodnikiem, przetrze nam szlak, nie wiedząc, dokąd zmierzamy.

- Przyznaję, że doskonale pan to rozegrał - przyznał hrabia von Trotta. - Ostatecznie nasz profesorek wyjechał znieważony, ale wdzięczny.

- Tak, i zobowiązany z powodu mojej wspianiałomyślności. Pieniądze nie skłoniłyby go do współpracy z nami, a gdyby znał nasze zamiary, próbowałby nam za wszelką cenę przeszkodzić.

- To dyletant - burknął profesor Marbung. - Jeśli potrafiłby uświadomić sobie głębię *Dworu Lucyfera*, wiedziałby, że katarzy to wierni wyznawcy doktryny, której korzenie sięgają nocy wszech czasów, i że nic ich nie łączy z Kościołem ani z tradycją żydowsko-chrześcijańską. Jedyne Rahn to dostrzegł. Bóg Rzymu? Ba! Pluję na niego.

- Ależ któż wierzy w Boga papieży? To zwykła bajeczka dla plebsu - dodał baron von Steiner.

- Katolicy zapatrzeni w Chrystusa marzą o własnym krzyżu, więc będą go mieli - oświadczył adwokat Saint-Martin. - Proszę bardzo, niech sobie na nim giną.

- Odcinamy się oczywiście od głupstw związanych z religią, bo jesteśmy ludźmi światłymi, ale nie możemy się z tym zdradzać przed pierwszą napotkaną osobą. To nie Niemcy, nasze zachowanie może wzbudzić podejrzenia. Postarajmy się więc ukrywać nasze Poglądy. Ferdinand Arnaud jest nam chwilowo potrzebny i najważniejsze, że połknął haczyk. Pan, profesorze Marbung, będzie kontynuował pracę jak do tej pory zgodnie z poleceniami z Berlina. Nie mogę się już doczekać dnia, gdy bogini Myśl pomści krew Przelaną w Langwedocji. Ferdinand Arnaud niechętnie zgodził się wziąć udział w projekcie hrabiego. Ten nie kazał mu co prawda jechać do Tuluzy czy Carcassonne ani wspinać się na skały Montsegur - poprosił tylko u ułatwienie dostępu do pewnych instytucji i archiwów oraz o przekonanie lokalnych władz, by nie sprzeciwiały się wykopaliskom.

Arnaud uspokajał własne sumienie, wmawiając sobie, że nie robi niczego złego, pomagając koledze z berlińskiej uczelni, nawet jeśli nie pała do niego sympatią. Trawił go jednak niepokój. Brzydził się znajomymi hrabiego o pronazistowskich poglądach, wielbicielami Ottona Rahna.

Z drugiej strony był uszczęśliwiony możliwością opublikowania kroniki brata Juliana, która nie zawierała co prawda istotnych informacji na temat oblężenia Montsegur, miała natomiast wielką wartość historyczną jako relacja naocznego świadka zawierająca charakterystykę bohaterów dramatu.

- Proszę, proszę, a jednak żyjesz! Ferdinand uśmiechnął się na widok Martine wkraczającej do jego gabinetu. Nie widzieli się od kilku dni, choć Ferdinanda doszły słuchy, że jego koleżanka znów starła się z jednym ze studentów wygłaszającym rasistowskie poglądy.

- Ponoć zamieniłaś się w strażniczkę ducha republiki - rzucił na powitanie.

- Tak, choć bez większego powodzenia, bo faszyci mnożą się jak stonka. A może do tej pory się ukrywali i dopiero teraz zaczynają się ujawniać... Ale tutaj, na uniwersytecie... Już słyszałaś...?

- Tak, wspomniano mi, że znów wyprosiłaś z zajęć studenta za stwierdzenie, że Żydzi to plugawy motłoch.

- Smarkacz się postawił i powiedział, żebym uważała, bo kto wie, jakie miejsce wyznaczy nam przyszłość.

- Tymczasem ty wyrzuciłaś go z zajęć, oświadczając, że może się pożegnać z zaliczeniem.

- I wybuchła awantura na cztery fajerki. Ojciec dzieciaka poszedł na skargę do rektora i trwają rozważania, czy mogą zmusić mnie do zmiany zdania. Ani myślę się poddać. Będą

musieli wybierać: albo ten młokos, albo ja. Wolę opuścić uczelnię niż ustąpić temu gówniarzowi. Jeśli pozwolimy, by podważano nasz autorytet, i damy się zastraszyć, możemy zamknąć uniwersytet.

- Słyszałem, że wykładowcy cię popierają, nawet ci, którzy nie robią do ciebie słodkich oczu - zażartował Ferdinand.

- Wygrana w tym sporze nie wyjdzie mi na dobre - żaliła się rozgoryczona Martine.

- Wiem.

- No, a co u ciebie?

- Wszystko dobrze, chociaż...

- Coś nie tak?

- Martwię się o Miriam i o Davida. Mówiłem ci już o nieprzyjemnym incydencie, jaki przytrafił się chłopakowi, i o ciotce mojej żony... Miriam uparła się, by jechać do Berlina, ale... boję się, to może być niebezpieczne.

- Nie sądzę, by spotkała ją coś złego, w końcu Miriam jest obywatelką francuską.

- Jej wuj Itzhak jest Niemcem, a mimo to zdemolowano jego księgarnię odziedziczoną po dziadkach. Ty z kolei w ciągu niecałych dwóch miesięcy wyrzuciłaś z zajęć dwóch studentów.

- Tak, mam wrażenie, że nasz świat się wali - przyznała Martine.

- Więc nie dopuścimy do tego, pani profesor. Walczmy.

- Czy aby starczy nam odwagi? Czy nie boimy się zaangażować i utracić nasze przywileje?

- Bez wątplenia jesteśmy tylko ludźmi, nie musimy mieć zadatków na bohaterów, nie znaczy to jednak, że mamy stać z założonymi rękami. Ty tego nie robisz, Martine.

- Nie mogę sobie na to pozwolić.

5

Paryż, 20 kwietnia 1939 roku

- Miriam, proszę, opamiętaj się - błagał Ferdinand.

- Nie, klamka zapadła, jadę. Muszę się dowiedzieć, co się z nimi dzieje, gdzie się podzieli. Chyba nie myślisz, że puszczę do Berlina ojca? W ambasadzie przekonują nas, że wujkowie nie dają znaku życia, bo pojechali na wakacje. Banda cyników! Tym właśnie są, bandą cyników.

David w milczeniu przysłuchiwał się kolejnej kłótni rodziców, które ostatnio były na porządku dziennym. Oboje stali się bardzo drażliwi. Dla ojca uniwersytet nie był już miejscem, w którym do tej pory pracował z entuzjazmem. Od powrotu z zamku chodził osowiały, a gdy d'Amis lub profesor Marbung dzwonili do niego z prośbą o jakąś przysługę, łatwo się irtował. Jeszcze parę razy odwiedzał hrabiego, jednak nie proponował już synowi, by mu towarzyszył. Zresztą David i tak nie chciałby wracać do zamku, bo poznani tam ludzie wydawali mu się typami spod ciemnej gwiazdy.

Ferdinand widocznie pogodził się z tym, że jeśli chce pracować nad kroniką brata Juliana, musi znosić hrabiego d'Amisa. Nie skończył jeszcze pracy, którą zamierzał ogłosić drukiem pod egidą uniwersytetu - od powrotu z wakacji był wyraźnie zniechęcony, ani razu nie zasiadł do pisania. A teraz sprzeczał się z żoną i nalegał, by nie jechała do Berlina szukać swych wujów.

- Miriam, wolę nie myśleć, co się tam dzieje - tłumaczył. - Zawsze uważałem, że układ monachijski jest tylko dodatkowym czasem przyznanym Hitlerowi, mimo że nasz premier ślepo wierzy tej kanalii.

- Jadę, Ferdinandzie! - stwierdziła Miriam, zatraskując walizkę. - Posłuchaj mnie uważnie, wszyscy mamy w życiu priorytety. Mówiłeś, że w hrabim d'Amisie jest coś odstręczającego, zresztą po tym, co przydarzyło się wam w zamku, wcale mnie to nie dziwi. Mimo to nadal utrzymujesz z nim kontakt. Prosiłam, byś zwrócił mu ten przekłety rękopis i nie wracał więcej do miejsca, gdzie obrażono naszego syna, nazywając go Żydem. Cóż, ja też mam swoje priorytety. Chcę się na własne oczy przekonać, co przydarzyło się Sarze i Itzhakowi. Nikt mi w tym nie przeszkodzi, nawet ty.

Coś takiego, wypominasz mi moją pracę! Nie wiedziałem, że tak bardzo ci przeszkadza!

- Pracę? Wypominam ci nie pracę, ale ślepotę, fakt, że pozwalasz się wykorzystywać, manipulować sobą. Niepokoi mnie to, co opowiadałeś o tym hrabim i jego znajomych. Co masz wspólnego z ludźmi, którzy szukają Graala? Dlaczego im pomagasz?

- Nie pomagam im! Nie mam nic wspólnego z ich badaniami.

- Próbujesz to sobie wmówić! Ale nawet ty nie możesz aż tak bardzo się okłamywać! Wiesz, dlaczego ostatnio jesteś taki rozdrażniony, dlaczego prawie się nie odzywasz i unikasz rozmowy o kronice brata Juliana? Powiem ci: bo nie czujesz się z tym dobrze, bo bierzesz udział w czymś, co ci się nie podoba, bo związałeś się z szemranym towarzystwem.

- Mówiłem ci przecież, jak hrabia wychłostał syna za to, że ubliżył Davidowi. Nie sądzisz, że to jasno dowodzi jego postawy i przekonań?

- Sądę, że ten twój hrabia to szczwany lis.

- Proszę, przestańcie się kłócić! - powiedział błagalnie David. - Mama wyjeżdża... Będziemy się o nią bardzo martwili i nie chciałbym, by pojechała smutna.

Wzruszona Miriam przytuliła chłopca. Kochała go nad życie. Nie tylko dlatego, że był jej synem, również ze względu na jego wrażliwość, empatię, współczucie, jakie okazywał cierpiącym.

Po powrocie z zamku hrabiego d'Amisa David poprosił babcię i dziadka, by nauczyli go być przykładnym Żydem. Zaczął chodzić regularnie do synagogi, towarzyszył dziadkom we wszystkich uroczystościach religijnych, nawet zawiesił sobie na szyi maleńką gwiazdę Dawida. Opluto go słowem „Żyd”, chciał więc wiedzieć, co kryje się za tymi trzema literami budzącymi tyle nienawiści. Choć wmawiał sobie, że bycie Żydem nijak nie odróżnia go od kolegów, za wszelką cenę próbował tę różnicę odnaleźć.

Ferdinand posłuchał syna i podszedł do Davida i Miriam, by ich objąć. - Przepraszam, przykro mi, ale nie umiem inaczej wyrazić swego niepokoju. Tak bardzo was kocham!

- A my ciebie, tato. Ja też nie chcę, by mama wyjeżdżała, ale rozumiem, że musi, i wolę, żebyśmy rozstali się w zgodzie.

Wyszli z domu, trzymając się za ręce i rozmawiając o błahostkach.

W drodze na Gare de Lyon Ferdinand, nie chcąc dać po sobie poznać strapienia, skupił się na prowadzeniu samochodu, podczas gdy David gawędził z matką.

Gwizd ruszającej lokomotywy popsuł ich dobry nastrój. Na widok odjeżdżającej matki Davidowi łzy napłynęły do oczu, Ferdinand nie mógł sobie wybaczyć, że dopiero co kłócił się z żoną.

- Uważaj na siebie! Błagam, uważaj na siebie! - rzucił na pożegnanie.

- Mamo, wracaj jak najszybciej - prosił David.

Na do widzenia Miriam przesłała im czuły pocałunek z okna oddalającego się pociągu.

Ferdinand był pogrążony w lekturze jakichś dokumentów, gdy do jego gabinetu wpadła jak burza Martine.

- Dłużej tego nie wytrzymam!

Oniemiały utkwiał w niej wzrok. Martine dostrzegła zaskoczenie na jego twarzy.

- Przepraszam, ci faszyści wyprowadzają mnie z równowagi. Wyobraź sobie, wchodzę dzisiaj na zajęcia i zastaję siedzącego za moją katedrą jakiegoś chłopaka, który wychwala ducha Francji i piętnuje zgubne wpływy zagraniczne. Na domiar złego ten półgłówek

oznajmia mi, że należy do Młodzieżówki Patriotycznej. Napisałam podanie do rektora, by pociągnął go do odpowiedzialności i usunął z uniwersytetu. Zwołaliśmy nieoficjalne zebranie wykładowców, więc po ciebie przyszłam, słusznie podejrzewając, że pograżyłeś się w pracy i zapomniałeś o bożym świecie.

Ferdinand wstał jak robot. Dzień w dzień powtarzało się to samo i Martine przypominała ostatnio współczesną Joannę d'Arc walczącą z faszyzmem. Była szczególnie wyczulona na zachowania kłójące się z tym, co pojmowała jako ducha republiki.

- Przykro mi, ale nie mogę być na zebraniu - wykręcił się. - Obiecałem Davidowi, że odbiorę go z gimnazjum.

Spóźnił się do szkoły i nie zastał już Davida. Przygnębiony ruszył w kierunku domu, modląc się, by syn na niego czekał.

David ze zboląłą miną słuchał radia w salonie.

- Mama... - szepnął. - Nic o niej nie wiemy, a przecież jest tam... Musisz zadzwonić do ambasady...

Ferdinand usiadł obok syna i wysłuchał wiadomości odczytywanych poważnym głosem przez spikera.

Wzdrygnęli się na dzwonek telefonu. David pobiegł odebrać.

- To dziadek Jean - rzucił, podając słuchawkę ojcu.

- Tata? Tak... wiem, u nas wszystko w porządku. Nie, nie mamy wiadomości od Miriam.

Ferdinand zatroskany losem Miriam ledwo mógł odpowiadać na pytania ojca.

- Nie, przekaz mamie, żeby się o nas nie martwiła, niczego nam nie potrzeba. Zadzwonię do was w razie czego. Dobrze, dobrze, przyjdziemy dzisiaj na kolację. Tak, o siódmej, nie martw się.

Odłożył słuchawkę i poczuł zimny pot spływający mu po karku i plecach. David nadal tkwił przy radioodbiorniku, jakby liczył, że lada moment spiker powie coś o jego matce.

- I co teraz zrobimy, tato?

- Nie wiem, synku, nie wiem. Szwagier mojego kolegi z pracy Paula Castresa pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, może on nam pomoże.

Paul obiecał, że oddzwoni, gdy tylko rozmówi się ze szwagrem, prosił jednak o cierpliwość: „Sam rozumiesz, że w obecnej sytuacji nawet mnie trudno będzie się z nim skontaktować”.

Przez resztę dnia ojciec i syn wisieli na telefonie, rozmawiając ze znajomymi i krewnymi. Za każdym razem, gdy podnosili słuchawkę, liczyli, że usłyszą w niej głos Paula Castresa.

- Obiecała, że zadzwoni - mamrotał David. - Przecież obiecała.

Ferdinand nie wiedział, jak pocieszyć syna. Miriam nie odezwała się do nich od dnia wyjazdu, telefon jej wujostwa, Itzhaka i Sary, nie odpowiadał. Brak wiadomości od wielu dni spędzał im sen z powiek.

Byli zdezorientowani, nie wiedzieli, co robić ani do kogo zwrócić się o radę w tak rozpaczliwej sytuacji.

- Nie pójdę na kolację do dziadków, dopóki nie zadzwoni twój kolega - upierał się David.

Dochodziła szósta, gdy w słuchawce odezwał się nareszcie głos profesora Paula Castresa:- Niewiele się dowiedziałem, jedynie tyle, że nasza ambasada zajmie się sprawą Miriam. Mój szwagier prosi o adres twoich krewnych w Berlinie i ich numer telefonu. Ktoś z ambasady spróbuje się z nimi skontaktować, zrozum jednak, że panuje ogólny zamęt i Francja jest w ciężkim położeniu... Mój szwagier mówi, że na konferencji w Monachium Hitler wystrychnął Daladiera na dudka.

Ferdinanda niewiele obchodziło, co zrobił Hitler z francuskim premierem - obchodził go tylko i wyłącznie los Miriam.

W domu rodziców spotkał również swoich teściów. Próbował pocieszyć ich - a przy okazji i siebie - wiadomością, że ambasada Francji w Berlinie obiecała odszukać Miriam.

Prawie nic nie zjedli, mimo nalegań matki Ferdinanda, która tłumaczyła, że „powinni jeść, by stawić czoło trudnościom”, jakby kotlet miał im pomóc znaleźć Miriam.

Zdecydowanie najbardziej załamany tym, co się stało, był David. Żadne słowa nie potrafiły ukoić jego rozpacz. Dziadkowie przechodzili samych siebie, próbując nakłonić go do rozmowy, ale chłopiec milczał. Pragnął być sam na sam z ojcem, dzielić z nim ból.

Nazajutrz David, który postanowił nie iść do szkoły i zostać w domu, z trudem znosił towarzystwo jednej z dwóch babć. Poprzedniego dnia obie kobiety ustaliły dyżury, by doglądać Ferdinanda i wnuka. Zajmowały się domem, gotowały, a przede wszystkim dbały o to, by ich podopieczni nie czuli się samotni, choć ci właśnie samotności szukali.

Paul Castres podtrzymywał na duchu Ferdinanda, gdy tylko spotykał go na wydziałowych korytarzach: jego krewny im pomoże, na pewno. Cztery dni później oznajmił, że jego szwagier przyjmie ich w swoim biurze przy Quai d'Orsay.

O wyznaczonej godzinie Ferdinand i David zjawili się przed bramą Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie czekał już na nich Castres, by zaprowadzić ich do gabinetu swego krewnego. Szli korytarzami, po których biegali jak w ukropie urzędnicy o marsowych minach. Doszli do drzwi niczym nieodróżniających się od innych. Paul zapukał i usłyszeli oschłe i zdecydowane „proszę”.

Szwagier Paula miał lada dzień przejść na emeryturę. Całe zawodowe życie spędził w tym właśnie budynku, który znał lepiej niż własny dom.

- Cóż, panie Arnaud, jedyną wiadomością, jaką mogę panu przekazać, jest brak wiadomości.

- Jak to? Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał niespokojnie Ferdinand.

- Poprosiłem znajomego z naszej ambasady w Berlinie, by w wolnej chwili odwiedził pańskich krewnych. Okazało się, że w ich domu od dawna nikt nie mieszka. Księgarnia na parterze... chyba już nie istnieje... A jeśli chodzi o mieszkanie na piętrze, mój znajomy dowiedział się od sąsiadów, że zostało opuszczone. Pańscy krewni po prostu się wyprowadzili i nie zostawili nowego adresu. Co do pańskiej małżonki... prawda jest taka, że nikt jej nie widział. Ambasada przeprowadziła małe dochodzenie... dyskretne ze względu na obecną sytuację polityczną, bo nie jesteśmy w najlepszych stosunkach z władzami niemieckimi, ale przecież zawsze można liczyć na znajomych. Zdołaliśmy ustalić, że niemieckie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie odnotowało żadnego wypadku ani innego zajścia, w które zamieszana byłaby pańska żona. Wolałbym panu raczej powiedzieć, że poszukiwana miała wypadek samochodowy lub trafiła do szpitala i dlatego nie kontaktowała się z rodziną, lecz prawda jest niestety inna: nikt pańskiej żony nie widział.

Ferdinand poczuł się jak uderzony obuchem w głowę, David nie wytrzymał i wybuchnął płaczem. Obaj mieli wrażenie, że przyśnił im się koszmarne sen, w którym Miriam zapada się pod ziemię, a oni nijak nie mogą jej pomóc.

- Co można w ten sytuacji zrobić? - zapytał w ich imieniu Paul Castres, ponieważ zainteresowani byli niezdolni do jakiegokolwiek reakcji.

- Nic, nic więcej nie da się zrobić. Prosiłem w ambasadzie, by od czasu do czasu, w miarę możliwości, zaglądano do domu państwa krewnych, sprawdzając, czy aby nie wrócili, oraz by próbowano dowiedzieć się od miejscowych władz czegokolwiek o zaginionej.

- Jadę do Berlina - oznajmił kategorycznie Ferdinand.

- Nie radzę, zresztą to chyba niewiele da. Zresztą... chciałbym porozmawiać z panem w cztery oczy. Paul, mógłbyś wyjść na chwilę z tym młodym człowiekiem? To nie potrwa długo.

Gdy zostali sami, urzędnik zerknął zakłopotany na Ferdinanda, jakby brakowało mu słów na wyrażenie swych myśli.- Cóż... - zaczął. - Ja... No tak, panie Arnaud, nie chciałbym pana urazić, ale... czy ja wiem... może pańska żona...

- Nie wiem, do czego pan zmierza...

- Proszę mi wybaczyć to osobiste pytanie, ale... dobrze się państwu ostatnio układało? Ferdinand zrozumiał, co szwagier jego przyjaciela boi się powiedzieć wprost.

- Zastanawia się pan, czy Miriam mnie nie porzuciła?

- Cóż, takie rzeczy się zdarzają. Gdybyśmy nie stali w obliczu konfliktu zbrojnego, sytuacja nie byłaby tak dramatyczna... Może pańska żona wyjechała... z kimś...

- Osobiście odprowadziłem ją na dworzec - rzucił zirytowany Ferdinand.

- Tak, oczywiście, pan odprowadził ją na dworzec, ale w pociągu mógł przecież na nią ktoś czekać.

- Nie, to nie wchodzi w grę. Może mi pan wierzyć, że jesteśmy szczęśliwą rodziną, nie mamy problemów, kochamy się - powiedział z trudem, czując falę gorąca oblewającą go na skutek poniżenia.

- No, cóż, musiałem się upewnić... Nie chciałem poruszać tej sprawy przy chłopcu.

- Doceniam pańską delikatność. - Ferdinand walczył ze złością, która zaczynała brać nad nim górę.

- Nic więcej nie mogę panu powiedzieć. Zapewniam, że gdy tylko czegoś się dowiem, dam panu znać. Tylko błagam, niech pan nie robi głupstw. Proszę nie jechać do Berlina, nie w obecnej sytuacji.

- Kiedy wybuchnie wojna?

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, choć w tym przypadku jestem pesymistą, zdecydowanym pesymistą. Nieoficjalnie zdradzę panu, że moim zdaniem Hitler zamierza zaatakować Francję. Wielu moich kolegów, podobnie zresztą jak nasz rząd, nie podziela tej opinii, ale mój nos to mi właśnie podpowiada. Wie pan co? Dopiero rok temu wróciłem z naszej placówki w Berlinie i nic a nic nie dziwi mnie to, co się tam teraz wyprawia, choć nasz rząd udaje zaskoczenie.

- Przecież mamy Linię Maginota.

- Mamy figę z makiem, proszę pana. Tylko ktoś bardzo naiwny uwierzyłby, że obroni nas jakaś tam wymaginowana linia.

- Czyli...

- Czyli moim zdaniem atak Hitlera na Francję jest tylko kwestią czasu, powtarzam jednak, że to moja osobista opinia, której nie podziela Quai d'Orsay. Obawiam się, że lada dzień przystąpimy do wojny z Niemcami.

Profesor Arnaud pożegnał dyplomatę mocnym uściskiem dłoni i opuścił gabinet z poważną i zatroskaną miną.

Decyzję podjęli wspólnie, jednogłośnie. Obaj uważali, że nie mogą czekać z założonymi rękami, pogodzić się tak po prostu ze zniknięciem Miriam.

Oznajmili swą decyzję reszcie rodziny: Ferdinand pojedzie do Berlina i spróbuje odnaleźć żonę oraz jej krewnych, Itzhaka i Sarę.

Rodzice Miriam rozplakali się z wdzięczności, nie potrafili bowiem pogodzić się z tym, co się stało. Ustalono, że do powrotu ojca David zamieszka z nimi. Co prawda chłopiec wolałby zostać u siebie, lecz ojciec wytłumaczył mu, że nie wyjedzie spokojnie, nie upewniwszy się, że zostawia syna pod dobrą opieką.

Ferdinand poprosił profesora Castresa, by jego szwagier z Quai d'Orsay ułatwił mu spotkanie w ambasadzie w Berlinie.

Siedział właśnie w swoim gabinecie na uczelni, sprawdzając prace egzaminacyjne, gdy nieoczekiwanie odwiedził go hrabia d'Amis.

- Drogi profesorze, proszę wybaczyć to niezapowiedziane najście. Przyjechałem do Paryża w interesach i postanowiłem zapomnieć na chwilę o własnych sprawach i złożyć panu wizytę. Przychodzę nie w porę?

Ferdinand musiał ugryźć się w język, by nie powiedzieć gościowi, że owszem, bardzo nie w porę, bo właśnie czas go goni, a chce zapiąć wszystko na ostatni guzik przed wyjazdem do Berlina. Nie kryjąc niechęci, poprosił hrabiego, by usiadł.

- W rzeczywistości - ciągnął gość, rozsiadając się na krześle - chcę pana powiadomić, że otrzymaliśmy posiłki. Przyłączyła się do nas grupka niemieckich studentów, podopiecznych profesora Marbunga. To bardzo pracowici i pełni zapału ludzie, ich pomoc bardzo nam się przyda.

- Podzielam pańską radość - skwitował oschle Ferdinand.

- Właśnie badamy stele dyskoidalne...

- To pomniki nagrobne, które nie mają nic wspólnego z katarami. Wie pan co, hrabio? Dziwię się, że człowiek tak inteligentny jak pan ugania się za mrzonkami. Skarb katarów nie istnieje. Złoto, srebro i monety wywiezione z Montsegur wykorzystano, by pomóc „dobrym

chrześcijanom” ukrywającym się przed inkwizycją oraz by kontynuować zbożne dzieło wspólnoty.

- To raczej mnie dziwi, że tak bardzo się pan przy tym upiera. Wśród znawców kataryzmu tylko pan zaprzecza istnieniu skarbu, tylko pan nie wierzy w Graala, tylko pan utrzymuje, że osobliwe rysunki odkryte przez nas w grotach w pobliżu Montsegur to zwykłe bazgroły, a nie szyfr pozostawiony przez katarów...

- Zapewniam pana, że nie tylko ja. Mógłbym panu przedstawić co najmniej tuzin uczonych, którzy podzielają moje zdanie, ale na nic by się to zdało, bo pan nie chce mnie słuchać. Tak czy owak, powtarzam to, co mówiłem już panu wielokrotnie: nie podzielam teorii na temat katarów pana ani pańskich znajomych. Chętnie ułatwię państwu dostęp do archiwów historycznych, ale na tym kończy się moja współpraca.

- Odkryliśmy, zupełnie przypadkowo, nowe rysunki wyryte w innej, nieznannej dotąd grocie. Chciałbym, by pojechał pan do Montsegur rzucić na nie okiem. Możemy jechać razem, wracam jutro...

- Przykro mi, ale nie możemy. Wyjeżdżam do Berlina - uciał dalszą dyskusję Ferdinand znużony natarczywością arystokraty.

- Do Berlina? - zdziwił się hrabia d'Amis.

- Owszem, do Berlina.

- W sprawach zawodowych?

- W sprawach osobistych... - Po chwili wahania Ferdinan uznał, że zaprzyjaźniony z wpływowymi Niemcami hrabia mógłb mu pomóc. - Moja żona zaginęła. Jadę jej szukać.

- Pańska małżonka zaginęła? Gdzie? W Berlinie...? - Po tonie głosu znać było, że wyznanie profesora bardzo poruszyło hrabiego.

- Moja żona jest Żydówką. Pojechała szukać swoich wujów, również żydowskiego pochodzenia, od których od pewnego czasu nie mieliśmy żadnych wiadomości. Dowiedzieliśmy się tylko, że jakaś hołota zdemolowała ich księgarnię, jedną z najstarszych i najbardziej cenionych w mieście, a ich samych brutalnie pobiła. Potem słuch po naszych krewnych zaginął. Dzwoniliśmy do nich, ale telefon nie odpowiadał. Moi teściowie wypytywali swoich niemieckich znajomych, jednak nikt nic o nich nie wie, przepadli bez śladu. Dlatego właśnie moja żona Miriam pojechała do Berlina... zadreczęła się losem swych krewnych i nie chciała czekać beczynn timer na wiadomości. Wyjechała dwudziestego kwietnia i od tamtej pory nic o niej nie wiemy.

Hrabia słuchał w milczeniu, wpatrując się uważnie w profesora, jakby próbował wyłowić z jego słów ukryty sens. Ferdinand czekał, aż d'Amis sam zaproponuje mu pomoc, lecz cisza w gabinecie się przeciągała.

- Jadę do Berlina, więc nie będę mógł przyjrzeć się pańskim rysunkom. Zresztą i tak guzik mnie one obchodzą - rzucił Ferdinand, nie kryjąc gniewu i rozczarowania.

- Czego pan ode mnie oczekuje? - zapytał cicho hrabia.

- Pan zna wysoko postawione osoby w Niemczech. Mógłby mi pan pomóc.

Hrabia znów zamilkł, rozważając prośbę Ferdinanda. Po chwili wstał i wyciągnął do niego rękę na pożegnanie.

- Zobaczę, co da się zrobić. W jakim hotelu w Berlinie się pan zatrzyma?

- Jeszcze nie wiem. Najpierw pójdę do domu krewnych Miriam, a potem... sam nie wiem, na pewno znajdę jakiś hotel.

- Dobrze, niech mi pan zapisze imiona i nazwiska zaginionych. Proszę zadzwonić do mnie, gdy będzie pan już w Berlinie; powiem panu wtedy, do kogo może się pan zwrócić i czy można w tej sprawie cokolwiek zdziałać. To nie najlepszy moment na podróż do Berlina, obawiam się, że francuski obywatel nie zostanie tam dobrze przyjęty.

Ferdinand pospiesznie zanotował dane Sary i Itzhaka oraz ich adres, a także imię i nazwisko Miriam. Podając kartkę hrabiemu, dostrzegł w jego oczach błysk pogardy. Nie podali sobie ręki, nie zamienili więcej ani słowa. Ferdinand stał, odprowadzając wzrokiem arystokratę i zadając sobie pytanie, czy ten człowiek, do którego żywił skrytą niechęć, nie jest aby jego jedyną, ostatnią nadzieją.

6

W Berlinie nie było zimno, ale padał deszcz i wilgoć wdzierła się pod ubranie i przenikała aż do szpiku kości. Taksówkarz, wiozący go do krewnych Miriam był wielbicielem Hitlera, którego wychwalał jako człowieka zesłanego Niemcom przez opatrność. Ferdinand milczał, nie chcąc wdawać się z nim w dyskusję - na dobrą sprawę z nikim i o niczym nie chciał dyskutować, chciał tylko odnaleźć Miriam.

Gdy samochód zatrzymał się przed księgarnią, taksówka zerknął na niego podejrzliwie.

- Tutaj ani chybi mieszkali Żydzi... - powiedział, obrzucając dom spojrzeniem eksperta.

- Skąd ta pewność? - zapytał rozdrażniony Ferdinand.

- Wystarczy spojrzeć na sklep... Pewnikiem odwiedziła go nasza dzielna młodzież. Młode pokolenie Niemców, nieustraszone i zdecydowane, to prawdziwy skarb Rzeszy. Stanowią awangardę naszej rewolucji. Założę się, że dali porządną nauczkę tym Żydowinom.

Ferdinand zapłacił taksówkarzowi, z trudem powstrzymując się, by nie rzucić się na niego z pięściami. Nigdy nikogo ni uderzył, nawet w dzieciństwie nie garnął się do bójek, ale ten człowiek budził w nim zwierzęce instynkty. Zaczekał, aż samochód zniknie mu z oczu, zatonie w berlińskim ruchu ulicznym. Dopiero wtedy ruszył ku drzwiom.

Księgarnia była całkowicie zniszczona. Przypominała szkielet odarty z mięśni. Nie uchwalała się ani jedna książka, półki, na których stały kiedyś woluminy, leżały połamane na ziemi wśród szkła i podartych, zdeptanych kartek.

Skierował się w głąb lokalu, ku drzwiom prowadzącym do małego saloniku, skąd odchodziły schody na pierwsze piętro, gdzie mieszkała Sara z mężem. Było to małe, gustownie urządzone mieszkanko składające się z dwóch sypialni, bawialni, gabinetu wuja Itzhaka, kuchni oraz łazienki. Drzwi do saloniku były potrzaskane, zawiasy wyrwane, a okrągły stolik i otaczające go kiedyś cztery krzesła - połamane. Ferdinand, pełen najgorszych przeczuć, zaczął wchodzić po schodach.

Mieszkanie wyglądało podobnie jak księgarnia: łóżko było przewrócone do góry nogami, kanapa pocięta, potłuczone w drobny mak talerze i filiżanki wały się po całej kuchni... Profesor pomyślał, że tylko barbarzyńcy mogli dokonać tak bezsensownego zniszczenia.

Potem zauważył fotografię w połamanych ramkach leżącą obok innych zdjęć. Schylił się, by ją podnieść. Zobaczył siebie w towarzystwie Miriam i Davida oraz jej wujów - zdjęcie zrobiono pięć lat wcześniej, podczas ich podróży do Berlina. Jego wzrok zatrzymał się dłużej na synu. David miał wtedy dwanaście lat i wyprawa do stolicy Niemiec była dla niego nie lada przeżyciem.

- Wszystko zniszczyli.

Odrócił się wystraszony. Zobaczył młodą, najwyżej dwudziestopięcioletnią kobietę średniego wzrostu, o kasztanowych włosach i niebieskich oczach. Na rękach trzymała niespełna roczne dziecko.. Nie była ani ładna, ani brzydka - ot, dziewczyna o nijakich, nieprzykuwających uwagi rysach.

- Kim pani jest? - zapytał Ferdinand po niemiecku. Na szczęście nadal biegle władał tym językiem.

- A pan?

- Jestem... jestem bratankiem... to znaczy moja żona jest bratanicą Sary, żony Itzhaka Leviego.

- A ja nazywam się Inge Schmmid, pomagałam pańskim krewnym.

- Nie wiedziałem... Co pani tu robi?

- Przyszłam ogarnąć mieszkanie. Zaglądałam tu już wcześniej, ale nigdy nie mogłam się zdecydować na porządki. Może miałam nadzieję, że wrócą...

- W czym pomagała pani moim krewnym?

- Zatrudnili mnie niecały rok temu. Robiłam to i owo: sprzedawałam w sklepie, prowadziłam korespondencję, układałam książki, odkurzałam półki... Wie pan pewnie, że Sara cierpiała nazawroty głowy, a Itzhakowi dokuczało lumbago, dlatego wzięli mnie do pomocy.

Spojrzał na nią zdumiony. Ta młoda osóbką nie bała się pracować dla Żydów? Wiedział, że Sara i Itzhak, jak tyłu innych mieszkańców Niemiec, nosili na ubraniu gwiazdę Dawida, że byli napiętnowani za swoje pochodzenie i że większość Niemców unikała kontaktów z Żydami.

- Szukałam pracy, która pozwalałyby mi wychowywać dzieciaka - wyjaśniła Inge. - Jestem samotną matką, rodzina mnie odrzuciła, ojciec mojego synka zaginął jeszcze przed jego przyjściem na świat. Pewna klientka księgarni, moja sąsiadka, wspomniała o mnie pańskim krewnym, a ci pozwolili mi przychodzić do pracy z Gunterem. To byli bardzo dobrzy ludzie.

- Byli? - zapytał wystraszony Ferdinand.

- No... nie wiem... są, byli... Tak naprawdę nic nie wiem o ich losie.

- Proszę mi dokładnie opowiedzieć, co się wydarzyło.

- To stało się w sobotę w nocy, pod moją nieobecność. Banda „brunatnych koszul” najpierw stłukła szybę wystawową, potem wpadła do księgarni, poprzewracała regały i zniszczyła książki, a na koniec wdarła się na piętro, do mieszkania. Pańscy krewni byli przerażeni, tulili się do siebie w obawie, że wybiła ich ostatnia godzina. Napastnicy skatowali ich i zostawili, broczących krwią, na podłodze.

- I nikt nie zareagował? Sąsiedzi im nie pomogli?

- Europa woli nie wiedzieć, co się dzieje w Niemczech, zresztą sami Niemcy również nie chcą stawić czoła problemowi, dlatego Hitler ma wolną rękę i robi, co mu się żywnie podoba.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Dlaczego nikt nie zareagował?

- Bo nikt nie chce pomagać Żydom. W przeciwnym wypadku nabawiłby się kłopotów, byłby podejrzany, dlatego ludzie wolą niczego nie słyszeć i niczego nie widzieć.

- Co było potem?

- Sara opowiadała, że gdy koszmar się skończył i „brunatne koszule” sobie poszły, jeszcze długo leżeli na podłodze. Nie mogli się ruszać, a kabel od telefonu był wyrwany. Mieszkam dwie przecznice stąd i w niedzielę rano spotkałam przypadkiem tutejszą dozorczynię, która oznajmiła mi ze śmiechem, że moi przełożeni mieli „nocnych gości” i że straciłam pracę, bo w księgarni nie ma już czego sprzedawać. Wzięłam Guntera i przybiegłam tu; Sara i Itzhak leżeli na podłodze, drżąc i jęcząc od ran i potłuczeń. Poprosili, bym zadzwoniła do ich znajomych, również Żydów, sędziwego małżeństwa, mąż jest emerytowanym lekarzem. Przyszli natychmiast i przyprowadzili innych przyjaciół. Wspólnymi siłami doprowadziliśmy mieszkanie do porządku, choć woleliśmy nie ruszać niczego w księgarni, obawiając się powrotu „brunatnych koszul”. Pańska ciotka skontaktowała się chyba z rodziną we Francji... wspominali o wyjeździe, o ucieczce z Niemiec.

Inge zamilkła i rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby zostawić dziecko. Podniosła wywrócone krzesło i posadziła na nim chłopca.

- Nie ruszaj się stąd, skarbie - poprosiła malca, cmokając go głośno w policzek. - Pomóc panu ogarnąć trochę mieszkanie?

- Jeśli byłaby pani taka dobra...

Ferdinand nie wiedział, czy przywracanie temu doszczętnie zniszczonemu miejscu wyglądu domu czemukolwiek służy, ale wysiłek koił jego nerwy. Słuchał Inge, która z zadziwiającą szybkością podnosiła meble, trzepała materace, zamiatała skorupy walające się po podłodze w kuchni... Chodził za nią krok w krok, wypełniając jej polecenia.

- A potem? Co było potem?

- Przez kilka dni wydawało się, że powrócił spokój, ten dziwny spokój, w którym żyliśmy. Odwiedzałam ich codziennie. W księgarni nie miałam już nic do roboty, ale pomagałam im w domu, bo nadal byli obolali i poruszali się z trudem. W któryś piątek, gdy już wychodziłam, powiedzieli mi, żebym wzięła sobie wolną sobotę, że dadzą sobie radę sami. Zresztą odwiedzali ich również znajomi. Przyszłam w niedzielę, by dowiedzieć się o ich samopoczucie, i zastałam mieszkanie w takim właśnie stanie. Gospodarzy nie było. Zesłam na dół zapytać dozorczynię, co się stało, lecz twierdziła, że nic nie wie. Próbowałam się chociaż dowiedzieć, czy ktoś po nich przyszedł albo może przeprowadzili się do przyjaciół, ale zaklinała się, że niczego nie widziała. Poszłam zapytać o to samo sąsiadów z drugiego,

trzeciego i czwartego piętra, ale otrzymywałam zawsze tę samą odpowiedź: nic nie wiedzą, niczego nie widzieli, niczego nie słyszeli.

- Kiedy to było?

- W połowie marca.

- I nie skontaktowała się pani ze znajomymi Sary i Itzhaka?- Nie znalazłam ich notesu. Zapamiętałam natomiast adres tego sędziwego lekarza, więc poszłam do niego. Okazało się, że on również zniknął bez śladu, a jego mieszkanie... wyglądało tak jak to.

- Ależ musi pani znać jakieś inne osoby, inne adresy! - krzyknął Ferdinand.

- Proszę się uspokoić. Naprawdę nie wiem, gdzie mieszkają pozostali znajomi Itzhaka i Sary, zresztą nie muszę tego wiedzieć. Już panu mówiłam, że przetrząsnęłam mieszkanie w poszukiwaniu notesu lub kajetu, w którym zapisywaliby adresy i telefony, ale na próżno. Może pan będzie miał więcej szczęścia.

Ferdinand zląkł się, że Inge się obrazi i sobie pójdzie, że przepadnie jedyne ogniwo łączące go z Sarą i Itzhakiem, jedyna szansa na odnalezienie Miriam.

- Przepraszam, proszę wybaczyć, że podniosłem na panią głos. Jestem... jestem kłębkim nerwów, moja żona wyjechała do Berlina i również zaginęła.

- Pańska żona? Kiedy? Nie widziałam jej...

- Wyjechała z Paryża dwudziestego kwietnia, obiecała, że zadzwoni, gdy będzie na miejscu, ale nie zadzwoniła. Ambasada próbowała ją odnaleźć, bezskutecznie, jestem... jestem zrozpaczony. Miriam przyjechała, by zabrać Sarę i Itzhaka do Paryża, by wyrwać ich z tego koszmaru. Ma pani rację, nikt nie chce nic wiedzieć, wszyscy odwracamy wzrok od tego, co się tu dzieje. Oburzamy się na wieść, że Żydzi muszą nosić na ubraniu gwiazdę Dawida, ale nic w tej sprawie nie robimy, wmawiamy sobie tylko, że to kwestia czasu, że to długo nie potrwa, bo niemieccy Żydzi są przecież Niemcami...

- Ja nikogo tu przed panem nie widziałam. Możemy zapytać dozorczynię, ale z góry uprzedzam, że niewiele się od niej dowiemy. To nazistka, być może właśnie ona doniosła na Sarę i Itzhaka i zawiadomiła władze, że chcą uciec, zresztą... sama nie wiem...

- A inni sąsiedzi?

- To ludzie w podeszłym wieku, zastraszeni. Wolanie litować się nad Żydami w obawie, że zwrócą na siebie uwagę i ktoś pomyśli, że w ich żyłach również płynie żydowska krew... No, zna pan chyba te obłąkane teorie.

- A pani? Pani się nie boi?

- Mnie nic nie grozi. Mój ojciec jest nazistą, moja matka jest nazistką, moi wujowie i ciotki to naziści, ludzie wpływowi. Ja jestem czarną owcą. Rodzina się mnie wyrzekła, ale nie próbuje mi szkodzić. Ojciec jest policjantem, wuj również... a więc...

- A ojciec pani dziecka?

- Ojciec Guntera był komunistą i Żydem. Nie porzucił mnie, wiem to, po prostu zaginął. Moją rodzinę przeraża to, że w żyłach mojego syna, bądź co bądź ich krewnego, płynie żydowska krew, dlatego odrzuca mnie, woli trzymać się ode mnie z daleka w obawie, że ją skompromituję.

- Jak pani myśli, co się stało z... ojcem Guntera?

- Nie wiem... Może nie żyje, może musiał uciekać... nie mam pojęcia. Próbowałam się czegoś dowiedzieć od jego znajomych, ale... nie ufają mi zbytnio, właśnie ze względu na mojego ojca i wuja. Sam pan widzi, stronią ode mnie ludzie po obu stronach barykady.

Inge opowiedziała historię swojego życia z prostotą, bez drżenia w głosie, zupełnie jakby nie było niczego nadzwyczajnego w tym, co jej się przytrafiło. Ferdinand patrzył na nią teraz innymi oczami, próbował odkryć prawdziwe „ja” ukryte pod banalną maską grzeczej dziewczynki.

- Z czego pani żyje?

- Sprzątam w domach niektórych sąsiadów. Mało mi płacą, wykorzystują mnie, bo znają moje położenie i wiedzą, że nie mam z kim zostawić Guntera.

- A pani matka?

- Moja matka uważa, że ją zawiodłam, bo nie jestem nazistką, nie wyszłam za męża, mam nieślubne dziecko, spoufalam się z komunistami i Żydami... Nie chce mnie widzieć na oczy, boi się, że ją zarażę...

- Przykro mi - zdołał tylko powiedzieć Ferdinand.

- No, ale dość o mnie. Porozmawiajmy teraz o panu.

- Już pani wspomniałem, że moja żona przyjechała do Berlina, by dowiedzieć się czegoś o swoich wujach, i słuch po niej zaginął. Mamy syna, Davida, może sobie pani wyobrazić, jak bardzo to przeżywa.

Inge, uzbrojona w miotłę, weszła do niewielkiej łazienki, by zamieść rozsypane na podłodze kawałki szkła.

- Powinnam była wcześniej to zrobić, ale nie mam wiele czasu - tłumaczyła.

- Proszę to zostawić, sam pozamiatam, choć na dobrą sprawę... no, może jednak warto trochę tu posprzątać.

Inge kończyła właśnie zamiatać, gdy Ferdinand pochylił się nad szufelką pełną szkła.-
Co pan robi? - zdziwiła się dziewczyna.

- To... to należy do Miriam - wyjąkał.

Inge spojrzała na podniesiony przedmiot - zdeptaną kredkę po ust.

Ferdinand patrzył na szminkę i głaskał ją, jakby to była Miriam. Odkrycie wstrząsnęło nim do głębi: oniemiał, wyglądał jak zaczarowany. Dopiero po chwili wyszedł z łazienki i usiadł na krześle.

- Jest pan pewien, że to należało do pańskiej żony? Sara również malowała sobie usta - zapytała Inge.

- Doskonale wiem, jakiej szminki używała Miriam, to był właśnie ten kolor, ta marka, zawsze... odkąd poznaliśmy się na uniwersytecie.

- A więc pańska żona tu była. Rozejrzyjmy się, może jeszcze coś znajdziemy - zaproponowała Inge.

Przez godzinę przeszukiwali mieszkanie, pokaleczyli sobie ręce od grzebania w koszu na śmieci pełnym potłuczonego szkła. Gunter wodził za nimi wzrokiem, a od czasu do czasu płaczem przypominał matce o swoim istnieniu. Ferdinand miał ochotę podziękować dziewczynie za pomoc i powiedzieć, by wracała do siebie i zajęła się dzieckiem, ale bał się zostać sam. Inge była jedynym tropem prowadzącym do Itzhaka i Sary oraz Miriam, więc mimo pochlipywania malca modlił się w duchu, by została. Dziewczyna zdawała się czytać w jego myślach.

- Ma pan szczęście, że jest sobota - stwierdziła. - W przeciwnym razie nie mogłabym tu z panem być. Na szczęście w weekendy nie mam pracy, więc możemy razem ogarnąć mieszkanie i sprawdzić, czy jeszcze coś znajdziemy.

Trzy godziny później mieszkanie prezentowało się zdecydowanie lepiej, mimo wybebeszonej kanapy. Poza tym stół w jadalni miał tylko dwie nogi, materace były pocięte, a przez wybite okna wdzierał się ziąb.

Ferdinand wsunął szminkę do wewnętrznej kieszeni marynarki niczym najcenniejszy skarb.

- Zapraszam pana do mnie. Zjemy coś i napijemy się herbaty, zanim uda się pan do siebie. W jakim hotelu chce się pan zatrzymać?

- Nie wiem - odparł Ferdinand. - Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Proszę mi podpowiedzieć jakiś hotel niedaleko stąd.

Inge zmierzyła go wzrokiem i po chwili wahania powiedziała:

- Mogę panu wynająć ką. Mam wolny pokój, jest i łazienka...

Cóż, luksusów nie obiecuję, ale myślę, że będzie panu u mnie dobrze, no, i mam telefon. Nie ukrywam, że przydadzą mi się pieniądze.

Ferdinand zgodził się na propozycję dziewczyny, bo za nic w świecie nie chciał być sam. Niczego tak teraz nie potrzebował jak przyjaznej duszy, kogoś, kto doda mu otuchy.

- Przed wyjściem chciałbym porozmawiać z dozorczynią - poprosił.

- Znajdziemy ją na dole.

W progu wpadli na otyłą kobietę z włosami przyklejonymi do potylicy i zebranymi na czubku głowy w kok. Ferdinandowi wystarczył jeden rzut oka, by dostrzec niegodziwość drzemiącą w każdym porze jej twarzy.

- To znowu pani... - ofuknęła Inge. - Przecież zabroniłam się pani tu szwendać, nie ma pani tu czego szukać. Kazano mi zawiadomić policję, jeśli ktoś się zjawi, będę więc zmuszona powiedzieć władzom, że ma pani chorobliwą obsesję na punkcie tego mieszkania.

- Zawiadomiła pani policję o przyjeździe pewnej Francuzki? - zapytał Ferdinand, wprawiając w osłupienie tłustą dozorczynię, która do tej pory nie zwracała na niego uwagi.

- Kim pan jest? I co pana obchodzi, co ja robię? - zgromiła zuchwalca.

- Jestem krewnym państwa Levi. Moja żona przyjechała tu i...

- Kolejny parszywy Żyd! - wykrzyknęła dozorczyńni. Inge wzrokiem nakazała Ferdinandowi milczenie.

- Nie, pani Bruning, to nie Żyd. Ten pan jest mężem bratanicy Sary Levi, nie należy więc bezpośrednio do rodziny. Jego żona przyjechała tu, by dowiedzieć się czegoś o państwu Levi, musiała ją pani widzieć.

Dozorczyńni rzuciła Inge nienawistne spojrzenie i popchnęła oboje ku wyjściu.

- Nikogo tu nie było. Dzięki Bogu parszywi Żydzi nie kalają już tego domu swoją obecnością. Proszę się wynosić, bo wezwę policję.

Ferdinand uchylił się przed kolejnym szturchańcem, odwrócił się i stanął oko w oko z dozorczynią.

- Moja żona tu była - oznajmił. - Proszę mi powiedzieć, co się z nią stało. Moim zdaniem...

- Niech się pan wynosi! Nikogo tu nie było.- A co się stało z Itzhakiem i Sarą? - drażył Ferdinand. - Przecież musi pani coś wiedzieć, nic nie ujdzie pani uwagi.

- Niby skąd mam wiedzieć?! Wyjechali i już. Oby nigdy nie wrócili. Ohydne Żydziska!

- Na pewno się pożegnali, wspomnieli, dokąd jada... - nie dawał za wygraną Ferdinand.

- Bynajmniej. Po tych ludziach trudno oczekiwać dobrego wychowania. Nie mają za grosz kultury ani poczucia własnej wartości, nie to co my. Wynieśli się bez słowa.

- Moja żona przyjechała tu i pytała panią o swoich krewnych - nalegał Ferdinand, siląc się na grzeczny ton.

Dozorczyni zerknęła na niego z pogardą, ale Ferdinand dostrzegł w jej oczach coś, co udowodniło mu, że widziała się z Miriam - błysk wyższości charakteryzujący osobę skrywającą przed kimś tajemnicę.

- Błagam - poprosił - niech mi pani powie prawdę, oddam pani w zamian wszystko, co mam.

- Proszę wyjść, nie wiem, o czym pan mówi. I nie chcę niczego od Żydów ani od ludzi, którzy się z nimi zadają.

Gunter płakał wystraszony. Inge złapała Ferdinanda za rękaw płaszcza i pociągnęła do wyjścia, ale Francuz jeszcze się wzbraniał:

- Szanowna pani, chcę się tylko dowiedzieć, gdzie są krewni mojej żony i czy widziała pani ją samą... Proszę mi coś powiedzieć!

- Jeśli się pan ode mnie nie odczepi, wezwę policję.

- Może pani wzywać policję, ale nie może mnie stąd wyrzucić. To mieszkanie moich krewnych i zostanę tu, jeśli zechcę. Pani nie ma prawa mnie stąd wyganiać, zresztą zobaczymy, co powiedzą władze. Zwrócę się do mojej ambasady.

Thüsciocha spojrzała na niego zdumiona. Ten mężczyzna mówiący po niemiecku z francuskim akcentem ma czelność się jej sprzeciwiać. Zawahała się na chwilę, ale zaraz znów była panią sytuacji.

- Doskonale, niech pan sobie dzwoni do ambasady i do kogo pan chce, a ja zawiadomię policję. Zobaczymy, co oni na to.

- Pani Bruning, to do niczego nie prowadzi - wtrąciła się Inge. - Zapewniam, że ten dzentelmen jest krewnym państwa Levi i wolno mu tu przebywać.

- Precz! - ryknęła dozorczyni, wypychając ich na ulicę i zatraskując drzwi.

Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, Ferdinand odwrócił się, by znów szturmować bramę, ale Inge odwiodła go od tego zamiaru:

- Teraz dzwoni pewnie po „brunatne koszule”. Przyjdą i... chyba lepiej, by nas tu wtedy nie było. Wrócimy innym razem.

- Jestem obywatelem francuskim.

- Tutaj jest pan nikim, podobnie jak ja. Żadne z nas tu nie znaczy, liczą się tylko oni. Pobiją pana, wyrzucą gdzieś na gnojowisko i znów okaże się, że nikt niczego nie widział,

nikt nic nie wie. Powiedzą, że szukał pan guza, że jest pan przestępcą... wymyślą pierwsze lepsze łgarstwo, a ambasada nie ruszy palcem w pana obronie. Chyba pan nie sądzi, że z pana powodu Francja wypowie Hitlerowi wojnę?

Ferdinand skulił się i milczał. Nigdy nie czuł się równie bezsilny.

- Miriam tu była - rzucił ledwie dosłyszalnie.

- Możliwe, ale Sary i Itzhaka już nie zastała.

- Jeśli rozmawiała z dozorczynią...

- Nawet jeśli rozmawiała, nie wiemy, co stało się później.

- Ale ja jestem pewien, że tu była. Zapytam innych sąsiadów, ktoś musi coś wiedzieć.

Inge zatrzymała się gwałtownie i odwróciła do Ferdinanda z bardzo poważną miną.

- Chcę panu pomóc, ale nie zamierzam popełniać szaleństw. Pan nie wie, z czym się mierzymy.

- A pani wie?

- Wiem, bo tu mieszkam i na własne oczy widziałam, jak tysiące Niemców żydowskiego pochodzenia rejestrowało się w spisie ludności jako Żydzi i przyszywało do ubrań żółtą gwiazdę, żeby móc wyjść z domu. Widziałam ich zdemolowane sklepy i domy przypominające księgarnię i mieszkanie Itzhaka i Sary, widziałam, jak moi znajomi z uniwersytetu, komuniści, jak ojciec Guntera, giną bez śladu, i przekonałam się, że nikt tego nie zauważa. Tłumaczę to panu, ale pan nie chce mi wierzyć.

- Wierzę pani, Inge - szepnął Ferdinand. - Ale teraz, gdy już wiem, że Miriam tu była, muszę coś zrobić.

- I zrobi pan. Ale powrót do mieszkania Sary i Itzhaka nic nam teraz nie da. Mam klucz do bramy, możemy tu przyjść kiedy indziej, chociażby nocą.

Inge wyjaśniła dozorczyńni kamienicy, w której mieszkała, że Ferdinand jest krewnym jej znajomych, że przyjechał do Berlina w interesach i na czas pobytu w mieście wynajmie u niej pokój.

- Kolejna nazistką? - zapytał Ferdinand, gdy wchodzili po schodach.- Nie taka jak pani Bruning, ale i ona popiera Hitlera. Twierdzi, że Fiihrer przywróci Rzeszy potęgę. Ale nie mogę powiedzieć na nią złego słowa, to właśnie ona poleciła mnie sąsiadom jako pomoc domową.

Weszli do mieszkania na ostatnim piętrze. Było to poddasze o pochyłych stropach, w niektórych miejscach nie można się było nawet wyprostować. Z maleńkiego przedpokoju przechodziło się do salonu oraz do kuchni i łazienki. Z salonu kolejna para drzwi prowadziła do dwóch sypialni.

- Wprowadziłam się tu po zniknięciu mojego narzeczonego. Czyny nie jest wysoki, właścicielka zajmuje pierwsze piętro i wynajmuje cztery mieszkania na poddaszu. Za ścianą mieszka ta kobieta, która, jak panu wspomniałam, kupowała książki u pańskich krewnych. To nauczycielka, bezdzietna stara panna, dusza człowiek; bardzo ubolewa nad tym, co dzieje się w Niemczech. Dalej mieszka leciwe małżeństwo, muzyk z żoną, z trudem wchodzi tu po schodach. On zarabia na życie, grając na pianinie w restauracji. Ostatnie poddasze zajmuje Hans, student medycyny. Nie znam jego nazwiska, zresztą wszyscy wołają na niego po imieniu. Moi sąsiedzi to dobrzy ludzie. Należymy do biedniejszych lokatorów, ci zamożni zajmują dolne piętra.

Ferdinand rozpakował małą walizkę, z którą przyjechał z Paryża: wyjął garnitur, sweter, spodnie i buty oraz bieliznę i dwie koszule. Jego pokój był mały, z owalnym oknem wychodzącym na ulicę. Łóżko, stół, nocny stolik, dwa krzesła oraz szafa zajmowały całą powierzchnię, nie zostawiając skrawka wolnego miejsca. Pokój był jednak wygodny, przytulny i czysty. Nowy lokator czuł się tu trochę dziwnie, ale zdecydowanie wolał to niż samotność.

Zadzwoił do teściów, by przedstawić im sytuację. Odetchnął z ulgą na wieść, że Davida nie ma w domu - ■ nie wiedział, jak mu powiedzieć, że nadal nie wie nic o jego matce. Wyjaśnił teściowi, że zatrzymał się u pracownicy wujostwa, która ma mu pomóc w poszukiwaniach, po czym podał jej numer telefonu, by David zadzwonił do niego, gdy wróci do domu. Poprosił również o adres i telefon berlińskich przyjaciół Itzhaka i Sary, kogokolwiek, kto mógłby naprowadzić go na jakiś ślad.

7

Inge raz dwa przygotowała lekki posiłek: omlet z odrobiną sera. Potem zaproponowała Ferdinandowi herbatę. Gunterowi przyrządziła zupkę z mąki i jajka. Malec zjadł bez grymaszenia i zaraz potem usnął, zmęczony, na kolanach matki.

- Przepraszam, ale niczym innym nie mogę pana podjąć, nie przelewa nam się - usprawiedliwiła się przed gościem.

- Omlet był bardzo smaczny, zresztą i tak nie byłem głodny. Ale skoro mam u pani zamieszkać, proszę... - Ferdinand wyciągnął portfel i wręczył gospodyni kilka banknotów. - Później porozmawiamy o opłacie za pokój, tymczasem to pokryje inne wydatki, na które panią narażę: jedzenie, telefon... Nie chcę być dla pani ciężarem.

- Dziękuję - powiedziała Inge, biorąc pieniądze. - A jeśli chodzi o pokój... proszę mi zapłacić wedle uznania, zdaję się na pańską decyzję.

Uzgodnili cenę za tygodniowy wynajem. Ferdinand wierzył, że w tym czasie dowie się czegoś o Miriam i jej wujostwie, a przy odrobinie szczęścia wróci razem z nimi do Francji. Inge nie chciała pozbawiać go złudzeń, choć wiedziała, że nie pójdzie mu tak łatwo.

Po obiedzie Ferdinand udał się do ambasady francuskiej, ale nie zastał tam urzędnika, o którym wspomniał szwagier Paula Castresa. Zostawił więc tylko wizytówkę i umówił się na spotkanie nazajutrz o ósmej.

Po wyjściu z ambasady zatrzymał taksówkę i kazał się zawieźć pod jeden z adresów, które otrzymał od teścia.

Taksówkarz nie przestawał obserwować go w lusterku, Ferdinand zaczął się czuć nieswojo. - Jest pan Francuzem - domyślił się taksówkarz.

- Owszem, jestem Francuzem.

- Mówi pan dobrze po niemiecku, ale akcent...

- Tak, wiem - przyznał Ferdinand.

- Jedziemy do dzielnicy, gdzie mieszka dużo Żydów - powiedział taksówkarz, obserwując reakcję pasażera.

Ferdinand wolał nie odpowiadać. Zresztą co miał mówić temu człowiekowi, być może zatwardziałemu naziście?

- Tutaj sprawy przybrały dla Żydów zły obrót - ciągnął taksówkarz.

- Tak, wiem - odpowiedział niechętnie.

- Ponoć to oni są wszystkiemu winni - rzucił taksówkarz żartobliwym tonem.

- Nie wiedziałem...

- No, jesteśmy na miejscu. Oto dom, którego pan szuka, a ten czarny wóz zaparkowany przed bramą to samochód policyjny.

Ferdinand wysiadł z taksówki i ruszył pospiesznie ku wskazanemu budynkowi. Musiał wielokrotnie naciskać na dzwonek, zanim drobna, nerwowa kobieta otworzyła mu drzwi i popatrzyła na niego przerażona.

- Chciałbym się widzieć z profesorem Bauerem - powiedział na powitanie.

- Kim pan jest? - zapytała kobieta.

- Profesor zna krewnych mojej żony, Sarę i Itzhaka Levich, oraz moich teściów. Właśnie oni podali mi ten adres. Oto moja wizytówka, jestem wykładowcą na Uniwersytecie Paryskim.

Kobieta przyjrzała mu się zatroskana, nie wiedząc najwyraźniej, co zrobić; ostatecznie zdecydowała jednak wpuścić go do środka.

- Proszę wejść.

Zaprowadziła gościa do salonu i poprosiła, by chwilę zaczekał.

Po krótkiej chwili do pokoju wszedł profesor Bauer. Mimo podeszłego wieku zachował wytworność i elegancję: był wysoki i szeroki w barach, a jego intensywnie ciemnoniebieskie oczy pobłyskiwały energią.

- Kim pan jest?

- Nazywam się Ferdinand Arnaud, moja żona Miriam jest bratanicą Sary i Itzhaka Levich, którzy zaginęli. Moja żona przyjechała do Berlina ich szukać i... również zaginęła.

W oczach profesora Bauera zamajaczyło współczucie, które wzbudził w nim niespodziewany gość. Widział jego rozpacz i usilne starania, by nie oszaleć jak tyle innych osób, które znalazły się w podobnej sytuacji.

- Znam Sarę i Itzhaka i wiem, że zaginęli. Lecz o pańskiej żonie nic nie wiem, przykro mi.

Kobieta, która otworzyła Ferdinandowi drzwi, wniosła tacę z serwisem do herbaty i rozstawiwszy go troskliwie na niskim stoliku, wyszła bez słowa.

- Moja żona i Sara bardzo się przyjaźniły. Na dobrą sprawę Lea była pierwszą przyjaciółką Sary w Berlinie.

- Mój teść mi o tym wspominał - wymamrotał Ferdinand.

- Pańskich teściów poznałem kilka lat temu, potem spotkałem ich jeszcze parę razy, gdy przyjechali w odwiedziny do Itzhaka i Sary.

- Co się z nimi stało? - zapytał Ferdinand, bojąc się każdej odpowiedzi profesora Bauera.

- Postarano się, by zaginęli. Zresztą nie oni pierwsi ani nie ostatni. Wcześniej czy później wszystkich nas to czeka.

- Ale jak to być może?

- Jesteśmy Żydami.

- Ale...

- Niewiele wiadomo, panie Arnaud, tylko tyle, że niektórzy Żydzi są wywożeni do obozów pracy. Nie wiemy też na pewno, gdzie znajdują się te obozy, bo jak dotąd nikt stamtąd nie wrócił.

- Ale dlaczego? W głowie mi się nie mieści...

- Już panu mówiłem: bo jesteśmy Żydami, tylko i wyłącznie dlatego. Z dnia na dzień przestaliśmy być Niemcami.

- A to znaczy...

- To znaczy, że pozbawiono nas majątku, że nie mamy prawa nic posiadać, że klepiemy biedę, że jesteśmy wywożeni do przymusowej pracy w fabrykach broni, że nie możemy chodzić po mieście jak normalni obywatele, że pozbawiono nas pracy... Odebrano mi katedrę, panie Arnaud. Przez czterdzieści lat wykładałem medycynę, aż pewnego dnia okazało się, że jako Żyd mógłbym skazić umysły niemieckiej młodzieży. Teraz muszę ukrywać się w domu, choć mogę mówić o szczęściu: inni moi koledzy z uczelni zaginęli, postarano się, by zaginęli.

- A pan jak...?

- Jak ocalałem? Pośród wszechobecnego zła można również natrafić na dobro. Nie wszyscy Niemcy są tacy sami, choć większość woli odwracać głowę, udawać, że o niczym nie wie. Lecz są wśród nich również dobre dusze, ludzie, którzy wszelkimi sposobami próbują walczyć z niesprawiedliwością, nawet kosztem własnego bezpieczeństwa. Mam przyjaciół, którzy mnie chronią, profesorów uniwersyteckich, kolegów z pracy, pacjentów, którym jako lekarz uratowałem życie, a którzy teraz starają się nas ocalić, nie pozwoląc, byśmy zaginęli jak tylu innych Żydów. Ale wiem, że nie będziemy wyjątkiem, że wcześniej czy później przyjdą również po nas. Pewnego dnia przepadniemy bez wieści jak Itzhak i Sara.

- To jakieś szaleństwo! To niemożliwe!

Profesor Bauer spojrzał na gościa ze współczuciem. Mimo całej jego desperacji nie chciał dawać mu nadziei.

- Wiemy, że „brunatne koszule” zdemolowały księgarnię pańskiego wujostwa i rozpałyły ognisko z książek. Ich samych pobito tak brutalnie, że połamano im kości. Zajął się nimi nasz wspólny przyjaciel, doktor Haddas, sprowadzony przez młodą dziewczynę, która pracowała dla pańskich krewnych. Ale „brunatne koszule” wróciły kilka dni później i Itzhak i Sara znikli, a wraz z nimi doktor Haddas i cała jego rodzina. Myśli pan, że nie próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś o ich losie? Ale napotkaliśmy mur milczenia. Nikt nic nie wie.

- Moja żona przyjechała do Berlina kilka dni temu. Wiem, że była w mieszkaniu wujostwa, bo znalazłem tam to... - Ferdinand pokazał profesorowi owiniętą w chusteczkę pomadkę. - Leżała na podłodze w łazience, wśród porozbijanych przedmiotów. Dozorczyni, która moim zdaniem... coś wie, wyrzuciła nas.

Profesor poprosił gościa, by się uspokoił i opowiedział mu po kolei, co wydarzyło się od jego przyjazdu do miasta. Wysłuchał go w milczeniu, wyczuwając bezbrzeżną rozpacz, którą spływało każde jego słowo.

- Dozorczynię, sąsiedzi... wiele z tych osób jest w zмовie z „brunatnymi koszulami” i skwapliwie donosi im, że w ich kamienicy mieszkają Żydzi. Potem nocą zjawiają się ci zwyrodnialcy i wszystko demolują. Nawet jeśli ta kobieta widziała pańską żonę, nie zmusi jej pan do mówienia, bo czuje się silna. Jeden Żyd mniej, jeden więcej, to dla Niemców obojętne.

- Mogę na nią donieść.

- I co pan powie? Że znalazł pan szminkę żony i podejrzewa, że dozorczyńnię ją widziała? Tylko tyle? Proszę się nie oszukiwać, nikt nie kiwnie palcem w tej sprawie.

- Ale kto spowodował zniknięcie Miriam? - zapytał Ferdinand, podnosząc głos.

- Policja, „brunatne koszule”, gestapo... dyktatura, panie Arnaud. Niech pan idzie na policję, najlepiej z kimś z ambasady francuskiej, niech pan złoży doniesienie, ale niewiele to da, bo nikt nie wszczyna śledztwa przeciwko samemu sobie.

- Moja żona jest obywatelką Francji.

- Nie wiem, co się w rzeczywistości wydarzyło, nie wiem na pewno, ale z pana opowieści nietrudno się tego domyślić. Może pańska żona wypytywała dozorczyńnię o swoich krewnych, może doszło do kłótni i nazistką wezwała koleśków z policji lub „brunatne koszule”. Jest wojna, profesorze, pańska ambasada może stawać na głowie, śląc wnioski i prośby, lecz jeśli pańska żona stawiała opór i ktoś chciał... dać jej nauczkę i się zagalopował... w takim przypadku mogło się wydarzyć dosłownie wszystko.

Ferdinand ukiył twarz w dłoniach i załkał. Słowa profesora Bauera były ponad jego siły. Ten człowiek pozbawił go wszelkiej nadziei. Ferdinand nie mógł się pogodzić z tym, że w Niemczech, w bliskim jego sercu kraju rozumu i inteligencji, dzieją się takie rzeczy. Prawda, że teraz z trudem go poznawał.

- Chce pan przez to powiedzieć, że powinienem się poddać i wrócić do Francji? - zapytał łamiącym się głosem.

- Przedstawiam panu tylko sytuację, nic więcej. Proszę nie mieć mi za złe mojej szczerości.

- A może Sara i Itzhak ukrywają się u znajomych? Bauer odpowiedział dopiero po chwili wahania:

- Profesorze Arnaud, w takim przypadku wiedzielibyśmy o tym, zapewniam pana, że skontaktowaliby się z nami.

- Co mogę zrobić? Co pan zrobiłby w mojej sytuacji?

- Już panu mówiłem: próbowałbym ich szukać, wiedząc jednak, z czym się mierzę.

Do salonu weszła Lea, żona doktora Bauera. Ta filigranowa i nerwowa kobiecina zaciskała pięści w geście bezsilności.

- Profesorze Arnaud, kilka miesięcy temu zaginął nasz syn, jego żona i nasi dwaj wnukowie, starszy miał dwadzieścia jeden lat, młodszy siedemnaście. Poruszyliśmy niebo i ziemię, by ich odnaleźć, znajomi, którzy z takim poświęceniem nam pomagają, próbowali wszystkiego, ale niewiele się dowiedzieliśmy, tylko tyle, że prawdopodobnie trafili do obozu pracy. Nie mamy nawet pewności, czy żyją. Dlatego mój mąż jest z panem szczerzy i nie chce pana łudzić fałszywymi nadziejami.

Kobieta rozplakała się, przytykając chusteczkę do oczu.

Profesor Bauer wstał i przytulił ją do piersi.

- No już, moja duszko, nie płacz.

- Przepraszam - wyjąkał Ferdinand. - Bardzo mi przykro...

- Niech pan nie przeprasza, rozumiemy pański ból, bo przeżywamy to samo. My oraz tylu innych Żydów, których rodzice, dzieci, wnuki czy siostrzeńcy zaginęli bez wieści. Dzień w dzień dowiadujemy się o nowych przypadkach. Pańska żona jest Francuzką, może będzie miała więcej szczęście i zdoła... Nie chcę być okrutny, ale nie liczyłbym, że zostawiają w spokoju tylko dlatego, że jest obywatelką Francji. Jeśli ją pobito, jeśli wysłano ją do obozu... jak niby władze miałyby się do tego przyznać przed światem? Przykro mi, panie Arnaud, ubolewam, że to właśnie ja muszę panu przekazać tę smutną prawdę. Moja żona i ja wiemy dobrze, co pan przeżywa...

Profesor Bauer podał Ferdinandowi adresy najbliższych przyjaciół Sary i Itzhaka, nalegając, by uważał, bo prawdopodobnie policja jest już na jego tropie.

- Pewnikiem dozorczyńni kamienicy, w której mieszkali pańscy krewni, powiadomiła swoich znajomków, że wypytuje pan o żonę i jej wujów. Proszę mieć się na baczności, bo może pan zgubić siebie i nas.

- A Inge? Czy... że tak powiem... Itzhak i Sara mieli do niej zaufanie? Zaproponowała, że wynajmie mi pokój, i zgodziłem się, choć teraz nie wiem, czy nie postąpiłem pochopnie...

- To dobra dziewczyna - zapewniła Lea. - Jest komunistką jak jej narzeczony, tyle że jej nie dopadli. A może słusznie twierdzi, że jej ojciec, choć się do niej nie odzywa, mana nią oko i pilnuje, by jej nie aresztowano.

- Inge jest komunistką? - zdziwił się Ferdinand.

- Tak. Wiem to od Sary. Była w tej samej komórce partyjnej co jej narzeczony, tyle że on pewnego dnia zniknął. Roznosił ulotki na uniwersytecie i pewnie go przyłapano, bo słuch

po nim zaginął. Po urodzeniu dziecka Inge podobno odsunęła się nieco od dawnych towarzyszy, choć nie wiem tego na pewno. Myślę, że może pan na niej polegać.

- Dziękuję... Nie wiem, jak odwdziczę się za to, co państwo dla mnie zrobili.

- Niczego takiego nie zrobiliśmy, chyba tylko sprawiliśmy, że jest pan jeszcze bardziej przygnębiony.

- Proszę pozdrowić od nas teściów - poprosił na pożegnanie profesor Bauer. - Wspaniale nas podejmowali podczas naszej wizyty w Paryżu.

Wychodząc z kamienicy, Ferdinand zwrócił uwagę, że na rogu nadal stoi znajomy czarny samochód z dwoma ponurymi typami, którzy przyprawili go o gęsią skórę. Postanowił się przespacerować, by zapanować nad emocjami. Był wyczerpany - na zmęczenie po podróży, po której nie miał jeszcze czasu wypocząć, nakładały się przeżycia z ostatnich godzin.

Wszedł do jednego z zamykanych właśnie sklepów. Kupił jabłka, kawę, herbatę, mąkę, herbatniki, makaron, masło i szynkę, by zasilić domowe zapasy Inge i nie narażać jej na wydatki.

Przeszedł na piechotę więcej, niż sądził, zanim udało mu się złapać taksówkę. Gdy nareszcie opadł na siedzenie w samochodzie, odetchnął z ulgą. Znał Berlin, choć nie na tyle, by się nie zgubić.

Inge właśnie skończyła kąpać Guntera i karmiła go kaszką. Malec był śpiący i zasnął, gdy tylko matka położyła go do łóżeczka.

Ferdinand opowiedział jej o wizycie w ambasadzie i u Bauerów. Powtórzył to, co od nich usłyszał, przemilczał tylko, że uważają ją za działaczkę komunistyczną. Inge zdawała się go nie słuchać, jakby myślami była gdzie indziej.

- Mogę pana prosić o przysługę?

Ferdinand spojrzał na nią zdumiony. Zmartwił - przecież to on potrzebuje pomocy. Odpowiedział jednak twierdząco.

- Muszę wyjść na godzinę, może dwie... Gunter jest bardzo grzeczny, przesympia całą noc, ale będę spokojniejsza, wiedząc, że go pan przypilnuje. Proszę tylko zostawić uchylone drzwi do swojego pokoju, na wypadek gdyby mały się obudził i zaczął płakać.

Ferdinand przystał na jej prośbę, choć zażartował, że pada z nóg i być może zaśnie tak twardo, że nie usłyszy płaczu chłopca. Inge uśmiechnęła się tylko w roztargnieniu, posprzątała po kolacji i zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Nie wrócę późno, bardzo dziękuję za opiekę nad Gunterem. Dokąd ona idzie? Ferdinand podejrzewał, że na spotkanie z komunistami.

Postanowił wykorzystać nieobecność gospodyni i zadzwonić do syna. Chłopiec zapytał go z niepokojem o matkę, a on starał się jak mógł podtrzymać w nim nadzieję. Potem do telefonu podszedł teść i poprosił, by nie rezygnował z poszukania Miriam i nie martwił się o syna, bo oni troszczą się o wnuka jak o największy skarb.

Gdy nareszcie położył się do łóżka, miał ochotę się rozpłakać. Gdzie jest Miriam? Czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy? Czy utracił ją na zawsze?

Sen nie przychodził. Gdy Ferdinand po raz ostatni zerknął na zegarek, dochodziła druga. Inge jeszcze nie wróciła. Czyżby i jej przytrafiło się coś złego?

- Proszę wstawać, bo się pan spóźni.

W drzwiach stała nienagannie ubrana i uczesana Inge. Niej widać było po niej nieprzespanej nocy.

- Jest wpół do siódmej, przygotuję kawę i zrobię grzanki. Zje pan ze mną śniadanie?

Ferdinand przytaknął i ruszył do łazienki. Wziął prysznic i ogolił się w pośpiechu. Dwadzieścia minut później oboje siedzieli przy stole, racząc się śniadaniem.

- To iście królewska uczta - przyznała Inge. - Zwykle nie kupuję kawy, jest za droga.

Po śniadaniu obudziła Guntera, nakarmiła go mlekiem i herbatnikami, a potem szybko ubrała.

- Dzisiaj mam do posprzątania trzy mieszkania, więc zobaczymy się dopiero po południu, chyba że chce pan wpaść na obiad. O dwunastej przychodzę nakarmić Guntera, później wracam do pracy.

- Nie, niech się pani mną nie przejmuje. Po spotkaniu w ambasadzie odwiedzę innych znajomych Sary i Itzhaka, może oni naprowadzą mnie na jakiś trop...

Inge przygryzła wargę. Już miała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie i wyszła z synkiem na rękach.

8

W ambasadzie już na niego czekano. Urzędnik wysłuchał życzliwie i z cierpliwością jego opowieści.

- No, tak, jak już panu zapewne przekazano, próbowaliśmy odszukać pańską żonę. Osobiście udałem się do mieszkania państwa Levi i muszę przyznać, że postawa dozorczyń nie ułatwiła mi zadania. Nie mogła się doczekać, kiedy sobie wreszcie pójdę, a dowiedziałem się od niej tylko tyle, że krewni pańskiej żony już tam nie mieszkają. Skontaktowaliśmy się z

dawnymi znajomymi z policji i z niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych; obiecali zając się sprawą, na razie jednak nie potrafili wyjaśnić, co tak naprawdę zaszło.

- A czy robią cokolwiek, by to zbadać? - zapytał Ferdinand, nie kryjąc desperacji.

- Oficjalnie biorą pod uwagę nasze petycje, przyjmują do wiadomości nasze prośby i zapewniają, że robią wszystko, co w ich mocy.

- A nieoficjalnie? Jakie jest pańskie zdanie na ten temat? Urzędnik spuścił wzrok, sięgnął po papierosa, poczęstował Ferdinanda i dopiero wtedy zaczął odpowiadać na jego pytanie. Potrzebował chwili zastanowienia, by zdecydować, czy może być szczery z tym zrozpaczonego człowiekiem.

- Moje zdanie się nie liczy, panie Arnaud - zaczął tłumaczyć. - Przecież widzi pan, co się dzieje; Niemcy przygotowują się do wojny, najpierw były Sudety, teraz... Bóg jeden wie co. W każdym razie Hitler będzie pchał wojska do przodu, póki nie podporządkuje sobie całej Europy. Sytuacja Francji jest bardzo delikatna: Hitler uważa, że jest niezwyciężony, i nie boi się niczego ani nikogo, nie uszanuje żadnego państwa.

- Znam sytuację polityczną...

- Naprawdę? W takim razie nietrudno będzie panu zrozumieć, że niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych ma teraz tysiące ważniejszych spraw na głowie, proszę mi wybaczyć szczerość, niż szukanie pańskiej żony.

- Niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie obchodzi zniknięcie francuskiej obywatelki?

- Nie, nie obchodzi. Taka jest prawda. Przyjęli powiadomienie, kazali mi wypełnić plik formularzy i tyle.

- A policja? - zapytał Ferdinand, jakby nie dosłyszał ostatnich słów.

- Zdaniem policji wiadomo jedynie, że pańska żona wsiadła w Paryżu do pociągu do Berlina, nie ma jednak żadnego dowodu, że tu dojechała, mogła wysiąść na pierwszej lepszej stacji. Nikt jej tu nie widział, nie mamy ani jednego świadka, który potwierdziłby, że była w Berlinie.

Ferdinand wyciągnął z kieszeni marynarki kredkę do ust zawiniętą w chusteczkę.

- Znalazłem to na podłodze w łazience jej krewnych. Należała do Miriam.

Urzędnik zerknął na szminkę, nie dotykając jej.

- Powiadomię o pańskim odkryciu policję i Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Co pan na to?

- Proszę również zapytać policję, czy przesłuchiwała konduktora pociągu. Sprawdzał jej bilet, może potwierdzić, czy wysiadła w Berlinie.

- Ma pan przy sobie zdjęcie żony?

- Tak, nawet kilka.

Ferdinand wyjął z portfela cztery fotografie. Urzędnik przyjrzał się im z zaciekawieniem. Przedstawiły dojrzałą, na oko czterdziestoletnią kobietę, wysoką, szczupłą, o jasnokasztanowych włosach do ramion i brązowych oczach.

- Proszę mi powiedzieć, co jeszcze mogę zrobić - błagał zrozpaczony profesor.

- Czekać, tylko czekać. Może pan wrócić do Paryża, skontaktujemy się z panem, gdy tylko się czegoś dowiemy.

- Co by pan zrobił, gdyby pańska żona zaginęła w podobnych okolicznościach?

- Modliłbym się.

Ferdinand nie spodziewał się, że odpowiedź urzędnika tak bardzo chwyci go za serce.

- Co się stało z moją żoną? - zapytał bezsilnie.

- Zapewniam pana, że nie wiem. Daję słowo, że robimy, co możemy.

- Ale bez przekonania, bez wiary w powodzenie. Dla państwa to chleb powszedni.

- Panie Arnaud, rozumiem pańskie rozzalenie, lecz choć trudno w to uwierzyć, robimy co w naszej mocy. Już wspomniałem, Hitler zmienił zasady gry, teraz pogardza zarówno swoimi wrogami, jak i sojusznikami. W Trzeciej Rzeszy prawo to on.

- Domagam się, by przesłuchano konduktora - nalegał Ferdinand.

- Wyślę stosowną prośbę.

Umówili się na spotkanie za kilka dni. Ferdinand nie miał nic do roboty, więc poszedł na dworzec. Przechadzał się dłuższą chwilę po peronie, aż wreszcie zdobył się na odwagę, podszedł do okienka i zapytał o zawiadowcę stacji. Gdy w końcu do niego dotarł, ten wysłuchał go zniecierpliwiony, jakby miał do czynienia z człowiekiem niespełna rozumu. Pociąg z Paryża już przyjechał, konduktor odpoczywa. Może spróbować szczęścia innego dnia, choć trudno oczekiwać, by konduktor pamiętał wszystkich podróżnych. Pańska żona miała jakieś znaki szczególne? W dzienniku pokładowym pod datą dwudziestego kwietnia nie ma żadnego znaczącego wpisu.

Zawiadowca stacji odprawił go bez większych ceregieli i Ferdinand poczuł się straszliwie samotny, tak bardzo, jak jeszcze nigdy w życiu.

Postanowił odwiedzić kolejnych znajomych Itzhaka i Sary z listy podanej mu przez teścia.

Sklep państwa Landauerów znajdował się blisko dworca, więc Ferdinand poszedł tam piechotą.

Budynek był isticie wielkopański, a mijani przechodnie wyglądali na ludzi dobrze sytuowanych. Ferdinand szukał sklepu z antykami - zdaniem jego teścia jednego z najświetniejszych w Berlinie. Może tak było kiedyś, teraz jednak okna wystawowe były wybite, a sklep - zamknięty na głucho. Nie ulegało wątpliwości, że Ferdinanda uprzedziły „brunatne koszule”. Profesor wszedł do sąsiedniej bramy i zapytał dozorczynię o państwa Landauerów.

- Wyjechali - odpowiedziała. - I chyba nie wrócą. - A co się stało ze sklepem?

- Landauerowie to Żydzi - stwierdziła kobieta, jakby to wszystko tłumaczyło.

- Z tego, co wiem, byli Niemcami. - Ferdinand nie potrafił zapanować nad gniewem.

- A skąd, byli Żydami, Ży-da-mi - upierała się dozorczyń.

- Dokąd ich zabrano?

- Zabrano? Nie powiedziałam, że ich zabrano, tylko że wyjechali. A pan to kto? Też Żyd?

Rzucił jej rozwścieczone spojrzenie i już miał zaprzeczyć, powiedzieć, że nie, nie jest Żydem, zrobił jednak coś odwrotnego.

- Tak, ja też jestem Żydem - stwierdził. - Niech pani pędzi wydać mnie swym koleżkom.

Wypadł z bramy jak błyskawica, prawie biegiem. Czyżby wszystkie berlińskie dozorczynię były takie same? Zapytał się w duchu, czy ta kobieta i wszyscy, którzy uczynili z Żydów kozły ofiarne własnego obłędu, są wierzący, chodzą do kościoła i wiedzą, że chrześcijaństwo wywodzi się od Żyda, od Jezusa Chrystusa.

Szczęście nie uśmiechnęło się do niego również w następnych dwóch domach. Nikt nie potrafił powiedzieć mu niczego konkretnego na temat rodzin, o które pytał. Wyjechali, mówiono, nie dodając nic więcej.

W ostatnim domu drzwi otworzyła mu trzydziestoletnia na oko kobieta o włosach przyprószonej siwizną i zalęknionych oczach.

- Dzień dobry, szukam pana Schneidera.

- To mój ojciec, ale nie ma go w domu. Kim pan jest? Gdy Ferdinand przedstawił się i opowiedział pokrótce, co go sprowadza, kobieta zaprosiła go do środka.

- Itzhak i Sara przyjaźnią się z moimi rodzicami - wyjaśniła. - Znam ich dobrze, obchodziliśmy razem wiele szabasów. Odwiedziliśmy ich, gdy... gdy zdemolowano im księgarnię, potem słuch po nich zaginął. Mój ojciec wielokrotnie zachodził do ich mieszkania, by sprawdzić, czy aby nie wrócili; robił to bardzo ostrożnie, bo jak pan wie, my, Żydzi, jesteśmy teraz wszystkim solą w oku.

- Państwo przynajmniej jeszcze tu są.

- Tylko jak długo? Sam się pan przekonał, że ludzie znikają z dnia na dzień, nagle przestają istnieć. Podobno Żydzi są wysyłani do obozów pracy. Starcy i dzieci również. Niby po co? Mam dwie córki i pocieszam się tylko tym, że udało mi się wywieźć je z Niemiec

- Wywieźć? Dokąd?

- Do rodziny w Stanach Zjednoczonych. Mój brat wyemigrował tam kilka lat temu. Ja... ja pracowałam w tutejszym Ministerstwie Spraw Zagranicznych, póki mnie nie wyrzucano. Chodziły słuchy... W Niemczech żyją także dobrzy ludzie, choć są równie zastraszeni jak my. Ale opowiem panu wszystko od początku... Mój były szef, który należy właśnie do tych szlachetnych dusz, wezwał mnie pewnego dnia do swojego gabinetu i oznajmił, że musi mnie zwolnić, bo w oczach nowych panów Rzeszy nie jestem godna zaufania. Dał mi wtedy radę: „Uciekaj, zrób to, zanim będzie za późno, zabieraj córki i wyjeżdżaj, pomogę ci, póki to jeszcze możliwe”. Nie chciałam zostawiać rodziców, a oni nie zgodzili się opuścić Berlina, tłumaczyli, że przecież jesteście Niemcami. Uznałam jednak, że mój szef nie dramatyzowałby bez powodu, że sprawa jest naprawdę poważna, więc skontaktowałam się z bratem i poprosiłam, by zaopiekował się dziewczynkami. A teraz dziękuję Bogu, bo wiem, że w Nowym Jorku są bezpieczne.

- A gdzie są teraz pani rodzice?

- Poszli do znajomych, mam nadzieję, że nic się im nie stanie. Wychodząc z domu, nigdy nie wiesz, czy wrócisz.

Ferdinand nie zabawił długo u Schneiderów. Wiedział już, że nie wyjaśni mu zniknięcia Itzhaka i Sary, a tym bardziej Miriam.

Potem błąkał się po mieście, zaszedł do kilku sklepików, żeby kupić trochę zapasów dla Inge, która, widząc, że wchodzi objuczony siatkami, zbeształa go:

- Nie powinien pan kupować tylu rzeczy. Jestem bardzo wdzięczna za pana dobre chęci, ale wolałabym, by nie czuł się pan zobowiązany mi pomagać. Przecież płaci pan za gościnę.

- Nie chcę być dla pani ciężarem - tłumaczył Ferdinand.

- Nie jest pan żadnym ciężarem, wręcz przeciwnie, pańska wielkoduszność mnie krępuje, bo wydaje mi się, że coś na panu wymuszam. Proszę zrozumieć, że przyjmuję życie takim, jakie jest. Zresztą sama wybrałam swój los.

Ferdinand obruszył się na te słowa. O nie, Inge nie wybrała sobie nazistowskiej rodziny, nikt jej nie pytał, czy chce się urodzić w kraju dotkniętym zbiorowym amokiem, czy chce, by jej narzeczony zaginał, a ona musiała zarabiać na życie sprzątaniami. On też nie

wybrał tego, co mu się przydarzyło, nie, bynajmniej nie wpakował się dobrowolnie w ten koszmar.

Zjedli kolację, prawie się do siebie nie odzywając. Gunter spał. Inge była zmęczona, Ferdinand również. Pomógł jej pozbierać talerze, a potem zapytał, czy może zadzwonić do rodziny. Ciężko mu było szczerze rozmawiać z Davidem, nie chciał go jednak okłamywać ani dawać złudnej nadziei.

- Synu, nie ustaję w poszukiwaniach, robię co mogę, ale gdybyś wiedział, co tu się dzieje...

David nie obchodziła sytuacja w Niemczech, chciał odzyskać matkę, nie przyjmował do wiadomości, że zaginęła lub go porzuciła. Wiedział, że Miriam nigdy w życiu nie odeszłaby od nich z własnej woli.

Ferdinand przespał twardo całą noc. Zdziwił się, gdy rano obudziła go Inge.

- Muszę iść do pracy, zostawiłam panu kawę w kuchni - powiedziała.

- Która godzina?

- Ósma. Nie wspominał pan, że ma dzisiaj rano coś do załatwienia, więc uznałam, że dłuższy sen dobrze panu zrobi.

Gdy tylko za Inge zamknęły się drzwi, Ferdinand wyskoczył z łóżka. Nie miał dzisiaj nic do roboty. Obszedł już wszystkich berlińskich znajomych Itzhaka i Sary, o których wspominał teść, a urzędnikowi z ambasady musiał dać trochę czasu - nie mógł nękać go dzień w dzień, wypytyjąc o wiadomości. Nagle przypomniał sobie o hrabim d'Amisie. Poprosił go o pomoc, a ten nie dał mu jednoznacznej odpowiedzi.

Gdy hrabia podszedł do telefonu, Ferdinand wyczuł, że arystokrata jest w złym humorze. Potraktował profesora oschle i zasadniczo, choć po długich naleganiach podał mu telefon barona von Steinera.

Baron zdziwił się, słysząc w słuchawce głos paryskiego profesora, ale zgodził się przyjąć go w swoim gabinecie jeszcze tego samego dnia, o trzeciej po południu.

Ferdinand znowu poszedł na dworzec kolejowy. I tym razem nie miał szczęścia - nie zastał konduktora z paryskiego pociągu. Przez resztę ranka włóczył się po Berlinie. Choć wiedział, że na nic się to zda, skierował kroki na ulicę, gdzie mieszkali wujowie Miriam.

Przeszedł się kilkakrotnie po chodniku ze wzrokiem utkwionym w wybitych szybach księgarni, której drzwi zabito deskami, by odstręczyć nieproszonych gości. Nie zauważył dozorczyń, nikt też nie pojawił się w bramie. Kamienica wyglądała na opuszczoną, choć Ferdinand wiedział, że to pozory. I tym razem wydało mu się, że ktoś go obserwuje z

drugiego piętra, nikogo jednak nie dostrzegł. Wrócił do mieszkania Inge akurat w chwili, gdy ta karmiła synka.

- Przygotować panu coś na obiad? - zapytała.

■- Nie, dziękuję, nie jestem głodny, napiję się herbaty i zagryzę kilkoma herbatnikami.

- Radzę zjeść coś konkretnego, głodowanie nie wyjdzie panu na zdrowie. Z pustym żołądkiem źle się myśli.

- Ma pani rację, ale naprawdę nie jestem głodny, zaczekam do kolacji. O trzeciej mam spotkanie, jestem umówiony z baronem von Steinerem.

- Z baronem von Steinerem? Zna go pan?

- Poznałem go przed ponad rokiem na południu Francji, na zamku hrabiego d'Amisa. Już pani wspominałem, że jestem mediewistą i pracuję na Uniwersytecie Paryskim.

- Baron jest bardzo wpływową osobą. Jeśli ktoś może panu pomóc, to właśnie on. Powinien pan być od niego zacząć.

- Zna Hitlera?

- Założę się, że tak. Jest bardzo bogaty i należy do osób, które twierdzą, że opatrność zesłała nam Fiihrera, by ratować Rzeszę.

- Skąd pani wie, co twierdzi baron?

- Bo czytam gazety i słucham radia, podejrzewam, że pan również.

Inge skończyła karmić synka, posadziła go na podłodze pośród zabawek, a sama zaczęła przygotowywać się do wyjścia.

- Dziś mam mniej pracy, ale wczoraj nie zdążyłam wszystkiego wyprasować u gospodyni, więc zabawię na dole jeszcze ze dwie godziny. Poczekać na pana z kolacją?

- Jeśliby pani mogła...

- Oczywiście, że mogłabym! Co prawda nie jesteśmy dla siebie najlepszym towarzystwem, bo oboje mamy kłopoty, ale zawsze lepiej zjeść posiłek z kimś niż samotnie.

Pięć minut przed trzecią Ferdinand zadzwonił do drzwi gabinetu barona von Steinera w centrum Berlina.

Mężczyzna, który mu otworzył, zaprosił go do poczekalni, gdzie każdy szczegół - obrazy, dywan, skórzane fotele, mahoniowy stół... - dowodził nie tylko dobrego smaku, ale również zamożności właściciela.

Punktualnie o trzeciej Ferdinand został wprowadzony do gabinetu barona.- Pan Arnaud! Co za niespodzianka!

- Tak, wiem, baronie, dziękuję za przyjęcie.

- Proszę mi zdradzić, co sprowadza pana do Berlina. Czyżby miało to związek z bratem Julianem? - zaśmiał się baron bardzo zadowolony z dowcipu.

- Nie, panie baronie, raczej z moją żoną.

- Z pańską żoną?

Ferdinand po raz kolejny opowiedział o swoim kłopotcie; ostatnio robił to tak często, że nauczył się streszczać całą sprawę w kilku spójnych zdaniach.

Baron wysłuchał go z kamienną twarzą. Skrzyżował ręce na biurku i najwyraźniej wahał się przez chwilę, nim stwierdził:

- Opowiada pan bardzo dziwne rzeczy. Mówiąc szczerze, trudno mi uwierzyć, że ktoś może tak po prostu zaginać, chyba że...

- Chyba że...?

- Chyba że, proszę wybaczyć moją szczerość, mamy do czynienia z zaginięciem dobrowolnym.

Tym razem to Ferdinand zawahał się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Po raz trzeci sugerowano mu, że Miriam go porzuciła - najpierw urzędnik z Quai d'Orsay, potem pracownik ambasady, a teraz baron. Czuł bezsilność i krew się w nim burzyła na podobne insynuacje. Uważał, że zmuszanie go do tłumaczenia się przed nieznanymi to chwyt poniżej pasa.

A jednak zrobił to raz jeszcze, widząc, że zniecierpliwiony baron zerka ukradkiem na zegarek.

- Nie chcę panu zabierać czasu - powiedział. - Proszę tylko o pomoc. Pan może przekonać policję, by podeszła do sprawy poważnie, by przeprowadziła śledztwo z prawdziwego zdarzenia, przesłuchała konduktora. Jeśli chodzi o zniknięcia berlińskich krewnych Miriam, ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie jest to przypadek odosobniony: okazuje się, że niemieccy Żydzi każdego dnia znikają bez wieści, przypuszczalnie są wywożeni do obozów pracy. Ale dlaczego? Jak mogą tak po prostu znikać? Co z ich sklepami, co z ich pracą? Włosy jeżą mi się na głowie, gdy widzę, co się tu dzieje.

Baron grzmotnął pięścią w stół, nie kryjąc oburzenia, i krzyknął:

- Jak pan śmie nas osądzać? Żydzi... Tu nikt nie ginie, setki przestępców trafiają do obozów pracy. Żydzi wiele zawdzięczają Rzeszy i najwyższy czas, by odwdzięczyli się za to, co od niej otrzymali; właśnie teraz, gdy w fabrykach brakuje rąk do pracy, żeby stawić czoło wyzwaniu postawionemu przez Fuhrera przed narodem niemieckim. Nasza młodzież rusza na front, najlepsi obywatele Rzeszy są gotowi umrzeć za ojczyznę, a pan się zamartwia, że kilku... kilku Żydów zagnano do pracy. To skandal!

Ferdinand nie wiedział, czy wdać się z baronem w dyskusję, czy ugryźć się w język i sprzeniewierzyć własnym przekonaniom. Czuł się rozdarty i bił się z myślami, ale ostatecznie uznał, że sprzeniewierzając się samemu sobie, sprzeniewierzyłby się również Miriam i Davidowi.

- Panie baronie, nie zgadzam się z polityką prowadzoną przez pańskiego Fiihlera, zwłaszcza z jego stosunkiem do Żydów. Krewni mojej żony są Niemcami, wszyscy mieszkający w Rzeszy Żydzi to Niemcy. Każdy człowiek ma prawo modlić się do własnego Boga, nie ma to żadnego związku z jego patriotyzmem lub miejscem urodzenia. Pośród najęźszych niemieckich umysłów jest wielu Żydów, bez których historia pańskiego kraju byłaby niepełna, dobrze pan o tym wie. Nie przyszedłem tu jednak z panem dyskutować, tylko prosić o pomoc. Mogę na pana liczyć?

Baron von Steiner przeszył go wzrokiem i wstał z fotela.

- Proszę przekazać mojej sekretarce dane pańskiej żony i jej wujów - rzucił. - Skontaktuję się z panem. A teraz, panie Arnaud, proszę mi wybaczyć, ale mam dużo pracy. Przypominam, że stosunki między naszymi krajami nie układają się w tej chwili najlepiej.

Pożegnali się lekkim i oziębłym skinieniem głowy. Sekretarka barona zanotowała podane przez gościa informacje i odprowadziła go do drzwi.

Znalazłszy się na ulicy, Ferdinand spojrział na zegarek. Nie zajął baronowi nawet dwudziestu minut. Odetchnął głęboko orzeźwiony przez zimne podmuchy wiatru i deszcz, który zaczynał siec z impetem. Teraz pozostawało tylko czekać, aż ambasada lub baron naprowadzą go na jakiś trop. Wiedział, że oczekiwanie to, choćby najkrótsze, wyda mu się wiecznością.

Gdy wrócił do domu, Inge przygotowywała kolację, słuchając radia. Gunter bawił się na podłodze. Dziewczynie najwyraźniej dopisywał humor.

- Jak panu poszło u von Steinera? - zapytała.

- Nie najlepiej. Ale liczę, że mi pomoże.

Opowiedział Inge o przebiegu spotkania, wspomniął nawet o skrepowaniu, jakie czuł, musząc bronić swego małżeństwa przed nieznanymi. Następnie zapytał, czy może zadzwonić do syna. Rozmowa z Davidem uświadomiła mu, że chłopiec jeszcze bardziej podupadł na duchu. Potem do telefonu podeszła teściowa, by powiedzieć, że David prawie nie je, nie chce chodzić do szkoły i nie sypia. Ferdinand poprosił, by znów przywołała chłopca do aparatu, i zaczął go przekonywać, że musi być silny:

- Zrób to dla siebie, dla mamy i dla mnie. Mama, gdziekolwiek jest, na pewno się nie poddaje, dlatego i my musimy być silni.

- Ale gdzie ona jest?! No, powiedz, gdzie? - krzyczał David.

Rozmowa z synem przygnębiła Ferdinanda jeszcze bardziej. Poczł się jak ostatni nieudacznik, był zagubiony, nie wiedział, co począć. Inge nakrywała do stołu, obserwując go bez słowa. Chciał być sam, więc zamknął się w swoim pokoju.

Godzinę później Inge zapukała cicho do drzwi.

- Gunter już śpi, zje pan ze mną kolację? Choć nie mamy powodów do świętowania, upiekłam strudel z kupionych przez pana jabłek. Mam nadzieję, że będzie panu smakować. Kucharka ze mnie kiepska, ale uwielbiam robić ciasta.

Ich milczącą kolację przerwał dzwonek do drzwi. Inge wstała i poszła otworzyć. Ferdinand usłyszał, że rozmawia z jakimś mężczyzną, którego po chwili wprowadziła do salonu.

Był to wysoki młody człowiek w żołnierskim mundurze. Trzymał Inge za rękę, a ona wydawała się bardzo spokojna u jego boku.

- Przedstawiam panu mojego brata Gustava - oznajmiła. - Właśnie przyjechał na przepustkę. To jedyny krewny, z którym utrzymuję kontakt. Od czasu do czasu robi mi niespodziankę i wpada z wizytą.

Mężczyźni podali sobie rękę, chłopak usiadł z nimi do kolacji. Inge wyjaśniła bratu, kim jest jej lokator i co sprowadza go do Berlina. Gustav słuchał z wielkim zainteresowaniem, raz po raz przerywając pytaniami.

- Przykro mi z powodu tego, co pana spotkało, choć bynajmniej mnie to nie dziwi. W Niemczech dzieją się ostatnio takie rzeczy...

Zaczął opowiadać siostrze o pozostałych członkach rodziny. Ich matka z każdym dniem była bardziej zapaloną wielbicieleką Hitlera: ubóstwiała go, zrobiła nawet ołtarzyk z jego zdjęciem, jakby był świętym. Ojciec uskarżał się na nawał pracy przy oczyszczaniu berlińskich ulic z szumowin, do których zaliczał Żydów, komunistów i homoseksualistów, a ogólniej każdego, kto nie jest nazistą.

Ich młodsza siostra Ingrid chodziła jeszcze do szkoły i rodzice wychowywali ją na przykładną faszystkę.

Ferdinand zagadnął brata Inge o jego opinię na temat tego, co dzieje się w Niemczech.

- Chciałem zostać żołnierzem, jeszcze zanim sprawy przybrały taki obrót, pewnie dlatego, że rodzice od dziecka kładli mi do głowy, że grunt to państwowa posada. Za nic w świecie nie zostałbym policjantem, brzydzę się pracą mojego ojca; bycie żołnierzem wydawało mi się zawsze godniejszym zajęciem, ale teraz... Wiem, że wyruszę na front, choć nie po to, by bronić ojczyzny, tylko ponieważ Hitler postanowił „ratować” Europę, a jego

zdaniem nikt nie pokieruje lepiej starym kontynentem jak Niemcy. Jestem żołnierzem i wykonuję rozkazy. Nie zadaję pytań, ale myślę, owszem, myślę, i choć nie podzielałam poglądów Inge, nie uważam bynajmniej, że moja siostra za swe przekonania zasługuje na śmierć, podobnie jak nie uważam, by Żydzi byli źródłem problemów naszego kraju. Ale, jak już mówiłam, nikt mnie nie pyta o zdanie, ja tylko wykonuję rozkazy.

Gdy skończyli jeść, Ferdinand zaproponował, że posprząta po kolacji, by Inge mogła spokojnie porozmawiać z bratem. Potem pożegnał się, życząc im dobrej nocy - nie chciał krępować ich swoją obecnością, tym bardziej że Inge była wyraźnie spragniona wieści o rodzinie. Położył się do łóżka i sięgnął po książkę, czekając na sen.

Rano przy śniadaniu powiedział Inge, że nie ma na dzisiaj żadnych planów, więc chętnie zajmie się Gunterem.

- Mogę pójść z małym do parku, dziś nie pada...

- A jeśli dostanie pan wiadomość?

- Przecież będzie pani piętro niżej, zdążę przyprowadzić pani malca.

Inge z radością przystała na propozycję, mówiąc, że bez Guntera robota pójdzie jej sprawniej, szybciej skończy i będzie mogła trochę odpocząć. Ciężko pracowała, od ciągłego schylania się i szorowania podłóg bolały ją plecy i kolana.

- Dlaczego nie dokończy pani studiów? - zapytał Ferdinand.

- Studiowałam filologię, chciałam zostać nauczycielką, ale pogrzebałam już to marzenie. Przecież panu mówiłam, że przyjmuję życie takim, jakie jest. Nigdy nie zostanę nauczycielką, do końca życia będę tym, kim teraz jestem. Dzięki pracy sprzątaczkki mogę się przynajmniej utrzymać i wychować synka. Ferdinand wyszedł z Gunterem na spacer. Chłopiec był spokojnym dzieckiem, i mimo że był malutki, najwyraźniej wiedział, że jeśli chce towarzyszyć mamie podczas pracy, musi być grzeczny i nie odrywać jej od zajęć.

Poszli do parku i Ferdinand, trzymając malca za rękę, nauczył go stawiać pierwsze kroki. Inge będzie miała niespodziankę, na pewno ucieszy się na wieść o tych postępach, bo zamartwiała się, że w przeciwieństwie do rówieśników jej synek nie zaczął jeszcze chodzić.

9

Dni zaczęły płynąć wolno, monotennie. Rano Ferdinand szedł na spacer z Gunterem, który uczył się bardzo szybko i chodził już prawie o własnych siłach, a po południu odwiedzał Bauerów lub Schneiderów, licząc, że mają może jakieś wiadomości od Itzhaka i

Sary. Wstąpił też kilkakrotnie na dworzec kolejowy w nadziei - płonnej - że zastanie konduktora.

Dziesięć dni po przyjeździe do Berlina otrzymał telefon z ambasady i zaproszenie na spotkanie następnego dnia o ósmej.

Stawił się punktualnie, zdenerwowany i wystraszony, że wezwano go tylko po to, by mu powiedzieć, iż nadal nic nie wiadomo o Miriam.

- Panie Arnaud, oto raport, jaki otrzymałem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych - powiedział urzędnik, wręczając mu dokument druzgocącej treści, według którego nie było doniesień, że jakakolwiek obywatelka francuska uległa wypadkowi na terenie Niemiec czy też trafiła do jednego z tutejszych szpitali; nie odnotowano również żadnego incydentu, w który byłaby zamieszana, nie figurowała bowiem w rejestrach policyjnych ani na listach osób przetrzymywanych w zakładach karnych. W związku z brakiem dowodów, że poszukiwana dotarła do Berlina, niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zamykało dochodzenie.

- Tak po prostu? - zapytał Ferdinand zawiedziony.

- Tak po prostu. Oficjalnie sprawa nie istnieje.

- Mógłby pan odwołać się od tej decyzji? - poprosił urzędnika.

- Mógłbym, ale to nic nie da. Dostanę kolejny świstek o takiej samej treści.- Myśli pan, że cokolwiek zrobiono, że próbowano jej w ogóle szukać?

- To, co ja myślę, panie Arnaud, nie ma znaczenia, wiem natomiast, że nie zrobią już nic więcej. Ministerstwo twierdzi, że próbowało wszystkiego i oto rezultat ich wysiłków.

- A policja?

- Już panu mówiłem, że mamy tam kontakty, mimo to niczego się nie dowiedzieliśmy. Zresztą dzisiaj rano, przed pana przybyciem, rozmawiałem z naszym człowiekiem w policji. Zapewnił, że nic nie wiadomo o pańskiej żonie i że według policji nigdy nie dotarła do Berlina.

- A przesłuchano konduktora?

- Podobno rozmawiano z nim i pokazano mu zdjęcie pańskiej żony, ale jej nie pamięta. Ambasador prosi, bym przekazał panu, że będziemy nadal robili wszystko, co w naszej mocy, nie możemy jednak łudzić pana fałszywymi zapewnieniami. To zaczyna przypominać poszukiwanie widma.

- Moja żona jest osobą z krwi i kości. Przyjechała do Berlina i była w mieszkaniu swoich wujostwa.

- Nie podaję tego w wątpliwość, panie Arnaud, ale musi pan zrozumieć, że nie możemy zrobić nic poza tym, co robimy.

- Moim zdaniem władze niemieckie nie robią zupełnie nic - zawyrokował Ferdinand. - Nie wiem tylko dlaczego.

Urzędnik bez słowa wytrzymał spojrzenie profesora. Był dyplomata, ale nawet on nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Ferdinand wyszedł z ambasady zdruzgotany. Wiedział już, że nadzieje pokładane w tej placówce wygasły, że co najwyżej może po niej oczekiwać od czasu do czasu lakonicznego komunikatu następującej treści: *Nadal brak wiadomości o miejscu pobytu pani Arnaud.*

Gdyby wrócił teraz do Paryża, przyznałby, że pogodził się ostatecznie z utratą Miriam, i nie mógłby spojrzeć w oczy zrozpaczonemu synowi, teściom, nawet sobie. Musiał kontynuować poszukiwania, choć nie wiedział, jaki obrać kierunek.

Znów zaczął błąkać się bez celu po mieście, którego z każdą chwilą bardziej nienawidził. Poczul, jak krople deszczu zlewają się na jego twarzy ze łzami.

„Gdzie jesteś, Miriam? Gdzie jesteś?”, mamrotał, szlochając. Przechodnie oglądali się za nim, myśląc zapewne, że nosi w sercu żalobę, której nie potrafi ukryć przed światem. Niewiele go to obchodziło. Czuł w duszy rozdzierający ból, zbyt silny, by peszyć się ciekawskimi spojrzeniami.

Wrócił do domu przemoczony. Ruszył prosto do swojego pokoju, nie chcąc pokazywać się Inge w tak żalonym stanie, ona jednak dogoniła go zatroskana.

- Przepraszam, nie chcę się narzucać, ale... są jakieś wiadomości? Coś się stało?

Spojrzał na nią zapłakany, nie mogąc dobyć z siebie głosu; podeszła do niego nieśmiało i objęła go, by podtrzymać biedaka na duchu, choć wiedziała, że jej wysiłki są bezcelowe. Potem zostawiła go samego, pozwalając mu odzyskać równowagę.

Po kilku minutach Ferdinand przyszedł do niej.

- Byłem w ambasadzie.

Inge nie chciała jątrzyć jego rany i zaczekała, aż sam rozpocznie opowieść.

- Miriam przemieniła się w widmo, przestała istnieć. Teraz mogę liczyć tylko na barona von Steinera, jeśli on w ogóle raczy cokolwiek zrobić w mojej sprawie.

- Na pewno, w przeciwnym razie nie pytałby o dane pańskiej żony i krewnych. Może jemu uda się czegoś dowiedzieć.

- Bo ja wiem... Najgorsze, że nie przychodzi mi do głowy, co jeszcze mogę zrobić. Wiem, że Miriam gdzieś tu jest, tylko gdzie? Myślałem nawet, by zamieścić ogłoszenie w gazetach.

- Świetny pomysł. Może ktoś ją widział i naprowadzi pana na trop. Warto spróbować. Przejdę się z panem po redakcjach, mam akurat wolne popołudnie.

Zamówili ogłoszenie w najważniejszych gazetach, obiecując niewielką nagrodę za jakąkolwiek informację o Miriam. Inge wierzyła w powodzenie przedsięwzięcia, a Ferdinand bardzo chciał wierzyć Inge.

Wieczorem znów zjedli kolację w milczeniu - słowa były zbędne.

Nazajutrz w gazetach ukazało się zdjęcie Miriam. Ferdinand spędził cały dzień przy telefonie, ale nikt nie zadzwonił. Aparat odezwał się dopiero następnego dnia: sekretarka barona zapraszała go na spotkanie po południu.

Pierwszy raz od dziecięcych lat Ferdinand modlił się żarliwie, błagając niebiosa, żeby baron powiedział mu coś o Miriam, cokolwiek, co udowodniłoby, że jego żona nie jest jednak widmem.

Baron przyjął go w swoim gabinecie na stojąco, jakby chciał dać do zrozumienia, że rozmowa nie potrwa długo.- Panie Arnaud, ze względu na moją przyjaźń z hrabią d'Amisem i jego prośbę, by panu pomóc, próbowałem dowiedzieć się czegoś o miejscu pobytu pańskiej żony. Widziałem, że skorzys” pan również z pomocy prasy...

- Jestem zdesperowany, baronie - przyznał Ferdinand - i gotowy na wszystko, byle tylko odnaleźć Miriam.

- No, tak... Niepokoilem w pana sprawie kilka wysoko postawionych osób i wiem, że zadały sobie one dużo trudu, by udzielić mi zadowolającej odpowiedzi, z przykrością muszę jednak stwierdzić, że zniknięcie pańskiej żony to jedna wielka niewiadoma. Przesłuchano konduktora pociągu relacji Paryż-Berlin tudzież innych pracowników kolei, lecz nikt jej nie pamięta. Szukano w...

Ku osłupieniu barona Ferdinand przerwał mu w pół słowa:

- ...szpitalach, na komisariatach, w więzieniach... I nic, jak kamień w wodę. Zupełnie, jakby pani Arnaud nigdy nie istniał” lub nie dojechała do Berlina.

Baron nie ukrywał niezadowolenia, że mu przerwano. Ten paryski profesor go irytował, zupełnie jak wtedy na zamku hrabiego d'Amisa.

- Pan, panie Arnaud, nie chce przyjąć do wiadomości prawdy.

- Jakiej prawdy, baronie?

- Ano takiej, że żona opuściła pana dobrowolnie, porzuciła pana, panie Arnaud. Nie mnie dociekać, dlaczego to zrobiła, ale to jedyne możliwe wytłumaczenie.

- Myli się pan, baronie, Miriam dotarła do Berlina i była w domu wujostwa. Znalazłem jej szminkę w łazience ich mieszkania zdewastowanego przez „brunatne koszule”.

Itzhaka i Sarę zabrano na pewno jako Żydów do któregoś z waszych obozów pracy. Ale Miriam? Co z nią zrobiono? Jest obywatelką francuską, nie niemiecką, nie ma z wami nic wspólnego.

Baron słuchał w milczeniu, obojętnie, jakby słowa Ferdinand nie robiły na nim wrażenia.

- Co dzieje się z zaginionymi ludźmi, baronie? Czy pan też jest nazistą, człowiekiem bez serca? Nie wyobrażam sobie, że: mógłby pan bratać się z tą hołotą.

- Rozumiem pański niepokój i konsternację, ale nic więcej nie mogę dla pana zrobić, tym bardziej że pan nie chce się pogodzić z prawdą. Wobec tego, panie Arnaud...

- Już wychodzę, baronie, nie musi pan odprowadzać mnie do drzwi. W końcu jestem tylko mężem zaginionej Żydówki, a wiadomo: Żyd mniej, Żyd więcej, cóż za różnica?

Tym razem rozplakał się z wściekłości. Wyszedł z gabinetu barona z każdym mięśniem twarzy nabrzmiałym od gniewu.

Zatrzymał taksówkę i kazał się zawieźć do domu. Porozmawia z Davidem i teściami, wspólnie postanowią, co dalej.

W domu zastał córkę Schneiderów, Deborah - siwowłosą kobietę, która wysłała swe dzieci do Nowego Jorku, smutną kobietę, goszczącą go u siebie, przestraszona.

- Przepraszam, że pana nachodzę, ale zobaczyliśmy zdjęcie Miriam w gazetach i ojciec chciał, bym przyszła dowiedzieć się o pańskie samopoczucie. Proszę pamiętać, że nie jest pan sam w tych trudnych chwilach...

- Ilekroć mówią o mojej żonie, próbują ją oczernić i opluć - rzucił gorzko Ferdinand.

- Chcielibyśmy panu pomóc, ale nie wiemy jak - ubolewała Deborah Schneider. - Moi rodzice i ja chętnie coś dla pana zrobimy, cokolwiek, może pan na nas liczyć...

- Dziękuję. Inge, pani, pani rodzice i Bauerowie podtrzymaliście mnie na duchu, jesteście jedynym łączem z wujostwem Miriam, a tym samym w obecnej sytuacji również z nią. Problem w tym, że nie wiem, co robić...

- Niech pan lepiej wraca do Paryża - poradziła Deborah. - Nie może pan tu tkwić w nieskończoność, zresztą, jeśli ona... jeśli pańska żona zdoła się wydostać z miejsca, w którym się obecnie znajduje, sama pana odnajdzie.

- Tylko gdzie jest to miejsce? Proszę mi powiedzieć gdzie?

- Nie wiem. Być może Miriam starła się z dozorczynią pańskich wujów, a ta wezwała „brunatne koszule”. Może zabrali ją jako Żydówkę, choć zapewniała, że jest obywatelką francuską. Być może tak się właśnie stało i teraz nie chcą jej wypuścić, bojąc się, że ujawni prawdę, którą chcą za wszelką cenę ukryć.

- W takim razie oznaczałoby to, że nigdy jej nie uwolnią, że będą ją przetrzymywali w nieskończoność...

- To jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy...

- A więc muszę jej nadal szukać - stwierdził Ferdinand. - Gdzie trafiają porywani Żydzi? Gdzie są te przeklęte obozy pracy?

- Trudno powiedzieć, nikt jeszcze stamtąd nie wrócił - westchnęła Deborah. - Wiedzą o tym tylko ludzie na najwyższych szczeblach władzy. - Mam pomysł, spróbujmy porozmawiać raz jeszcze z dozorczynią - zaproponowała Inge. - Może uda się ją przekupić... To nie będzie proste, bo mamy do czynienia z zaślepioną fanatyczką, choć z takimi ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Złożmy również wizytę sąsiadom Itzhaka i Sary, może któryś z nich odważy się jednak przemówić.

- Racja - stwierdził Ferdinand. - Pójdę tam od razu. Deborah Schneider zgodziła się popilnować Guntera, licząc, że wyprawa Ferdinanda i Inge do domu Levich zostanie zakończona sukcesem. Współczuła biednemu Francuzowi, który tak rozpaczliwie poszukiwał żony. Pomodliła się, dziękując Bogu, że ją oświecił i kazał wysłać córki do Ameryki - może ona zaginie jak tyłu innych Żydów, ale przynajmniej jej dzieci będą żyły.

Dochodziła dopiero siódma, mimo to Berlin spowijał już mrok. Taksówka zatrzymała się przed domem Itzhaka i Sary. Niestarannie zabite deskami drzwi księgarni odstraszały skutecznie ciekawskich. Brama była zamknięta, ale Inge miała klucze. Zdecydowała, że najpierw porozmawiają z sąsiadami, zanim znów zmierzą się z dozorczynią. Pewnym krokiem weszli na drugie piętro, gdzie znajdowały się dwa mieszkania. Zapukali do drzwi po prawej, jednak odpowiedziała im cisza - albo nikogo nie zastali, albo obcy nie byli tam mile widziani. Gdy zapukali do drzwi po lewej, w progu prawie natychmiast stanęła kobieta.

- O co chodzi? - zapytała nieufnie.

- Dobry wieczór, jestem pomocnicą państwa Levi, na pewno widziała mnie pani nieraz w księgarni. A to ich bratanek... to znaczy mąż bratanicy Itzhaka i Sary...

- Guzik mnie obchodzi, kim państwo są. Proszę mówić, o co chodzi - warknęła kobieta.

- Chcielibyśmy dowiedzieć się, dokąd zabrano Itzhaka i Sarę, może coś pani słyszała... I zapytać, co wydarzyło się tu w połowie kwietnia, gdy bratanica państwa Levi przyjechała i zastała... no, sama pani wie... zdemolowany sklep i mieszkanie.

- Nic nie wiem, niczego nie widziałam ani nie słyszałam. Kobieta już chciała zamknąć drzwi, ale Ferdinand jej w tym przeszkodził.

- Szanowna pani - zaczął - nie żądamy wyjawienia żadnej tajemnicy, po prostu chcemy dowiedzieć się, dokąd pani zdaniem zabrano państwa Levi i czy widziała pani moją żonę.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Proszę zostawić mnie w spokoju, bo zadzwonię na policję.

- Na policję? Niby dlaczego? Bo zapytaliśmy o parę starszków i ich bratanicę? Czyżby w Niemczech było to przestępstwo? - Ferdinand nie potrafił zapanować nad złością.

Zanim zdążył zareagować, kobieta zatrzasnęła im drzwi przed nosem. Inge zerknęła na Ferdinanda i dała mu znak, by poszli na trzecie piętro.

Na górze szczęście również im nie dopisało. Mieszkańcy zapewniali, że nic nie wiedzą, i pospiesznie zamykali drzwi, jakby rozmowa mogła przysporzyć im kłopotów.

Obszedłszy kolejne piętra, dotarli na samą górę, gdzie było troje drzwi.

- To pewnie poddasza, jak w mojej kamienicy - zauważyła Inge.

Jakież było ich zdziwienie, gdy zapukawszy do pierwszych drzwi, stanęli oko w oko z dozorczynią.

- Dobry wieczór, pani Bruning, przyszliśmy z panią porozmawiać. Możemy wejść? - zagaiła Inge, siląc się na uśmiech.

Nim dozorczyńni, nie mniej zaskoczona od nich, zdążyła się odezwać, Inge i Ferdinand byli już za progiem. W głębi mieszkania zobaczyli mężczyznę, który siedział z gazetą w ręku i słuchał radia. Domyślili się, że mają przyjemność z mężem kobiety cerbera.

- Przecież mówiłam, że nie chcę tu państwa więcej widzieć - rzuciła groźnie dozorczyńni.

- Pani Bruning - zabrał głos Ferdinand - wróciłem, bo wiem, że jest pani kobietą wrażliwą. Ma pani rodzinę, nietrudno będzie więc pani zrozumieć rozpacz kogoś, kto bezskutecznie poszukuje swej żony. Proszę sobie wyobrazić, że pani przydarzyło się coś podobnego, że pański mąż zaginął nagle bez śladu...

Dozorczyńni zerknęła na gościa, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Jego zboląły głos najwyraźniej ją wzruszył, ale tylko na chwilę, bo automatycznie obrzuciła gościa wzgardliwym spojrzeniem.

- Niby dlaczego zawraca mi pan głowę swoją żoną! - ryknęła. - Jeśli puściła pana kantem, proszę jej szukać gdzie indziej, sam pan najlepiej wie, z jaką lafiryndą się żenił.

Ferdinand podniósł rękę, by jaspoliczkować, ale Inge zagroziła mu drogę, obawiając się konsekwencji. Nadszedł mąż dozorczyńni zaalarmowany wrzaskami żony.

- Ursulo, co się dzieje?- Wypytuj o te gnidy!

- Jakie gnidy?

- O tych Levich, ta tu pomagała im w księgarni - powiedziała kobieta, wskazując palcem Inge. - A to mąż ich bratanicy. Chcecie wiedzieć, gdzie jest ta hołota? Pewnie tańczy z diabłem w piekle, skąd, mam nadzieję, już nie wyjdzie!

- Uspokój się, kobieto, odejdz, ja się tym zajmę. Czego chcecie? - zwrócił się do nich mężczyzna bez jednego włosa na głowie, tłusty jak żona.

Inge ujęła Ferdinanda za ramię, próbując go uspokoić, po czym zwróciła się do gospodarza:

- Panie Bruning, nie chcemy przeszkadzać, proszę wybaczyć, jeśli przychodzimy nie w porę; gdyby to nie była sprawa wielkiej wagi, nie zawracalibyśmy państwu głowy.

Przez kilka minut przemawiała do niego jak do dziecka w nadziei, że odpowie na pytania, które doprowadzały do szewskiej pasji jego żonę. Gospodarz obserwował ich z bezosobową oziębłością, jak ktoś, kto nienawidzi z czystej bezsilności.

Czy to z powodu neutralnego i łagodnego tonu dziewczyny, czy też z poczucia ważności wobec nieznanym, mężczyzna wysłuchał Inge, mimo przekleństw ciskanych z salonu przez dozorczynię, która domagała się, by wyrzucił natrętów na zbity pysk.

- Skoro pańska żona zaginęła, niech pan idzie na policję, my nic nie wiemy - powiedział gospodarz, spoglądając z pogardą na Ferdinanda. - A jeśli chodzi o Levich, to żydowskie plugastwo, są tam, gdzie ich miejsce.

- Czyli gdzie? - zapyłała miękko Inge, rozplywając się w uśmiechu.

- Bo ja wiem, gdzieś, gdzie nareszcie robią coś pożytecznego dla naszego kraju, z którego wyszali krew, żydowskie pijawki. Niech tu tylko wrócą, a przepędzimy ich na cztery wiatry.

- Ale tu jest ich dom, sklep należy do nich - zauważył Ferdinand.

- Jeśli nie wrócą, przestanie do nich należeć i dostanie się prawdziwym Niemcom. Wystarczająco długo znosiliśmy Żydów w naszym kraju, Fihrer najlepiej wie, jak wytepić ten nowotwór.

Ferdinand już otwierał usta, ale Inge z całej siły ścisnęła go za ramię na znak, by pozwolił jej zająć się Bruningami.

- Dokąd zabrano bratanicę Levich? Była tu na pewno, bo znaleźliśmy na dole jej rzeczy, chcielibyśmy tylko wiedzieć...

Zanim zdążyła dokończyć, dozorczyini wpadła do przedpokoju jak turia i wypchnęła ich za próg.

- Precz, parszywi żydofile! Wynocha z mojego domu! - ryczała.

Znaleźli się na korytarzu, zza zatrzaśniętych drzwi dobiegały ich ciągle złorzeczenia dozorczyń i pokrzykiwania jej męża.

Byli wyczerpani, na ich twarzach można było wyczytać złość i rozczarowanie.

Zadzwonili do pozostałych drzwi, ale nikt im nie otworzył, choć czuli, że są obserwowani przez wizjery.

Wrócili do mieszkania Itzhaka i Sary, by jeszcze raz je przeszukać w nadziei, że natrafią na jakiś ślad. Niczego nie znaleźli, zauważyli jednak, że ktoś był tam po ich ostatniej wizycie, bo niektóre przedmioty były poprzestawiane. Inge przypuszczała, że być może policja, na prośbę francuskiej ambasady, szukała tu jakiegoś dowodu obecności Miriam. Nie było to wielką pociechą dla Ferdinanda. Tu, w tym domu, ginął ślad jego żony, właśnie stąd znikła, choć nadal nie wiedział, jak to się stało.

Deborah była zachwycona Gunterem. Zastali ją bawiącą się z malcem na podłodze. Kobieta zasmuciła się, słysząc, co im się przydarzyło, i przed wyjściem udzieliła Ferdinandowi rady:

- Wiem, że trudno się pogodzić z tym, co powiem, ale niech pan wraca do Paryża. Niech pan wraca do syna, tylko on panu został.

- Mam opuścić Miriam? Nie, nie mogę.

10

Następne dni przemieniły się w prawdziwy koszmar. Nie miał dokąd iść ani co robić. Dwukrotnie dzwonił do ambasady, ale poinformowano go grzecznie, że nie ma żadnych wiadomości o jego żonie, nie dowiedział się również niczego nowego od znajomych Sary i Itzhaka.

Inge nic nie mówiła, zresztą nie mieli wiele okazji do rozmowy. Harowała cały dzień i gdy spotykali się przy kolacji, padała z nóg. Jeszcze trzy lub cztery razy poprosiła go, by przypilnował w nocy Guntera. Zdradziła mu pewnego dnia, że spotyka się z towarzyszami z partii komunistycznej, którzy ponownie przyjęli ją do swego grona.

Z kolei David błagał ojca, by został w Berlinie i nie ustawał w poszukiwaniach matki. Z półsłówki teściów Ferdinand mógł wywnioskować, że i oni nie chcą, by wracał bez Miriam.

Upływ czasu stawał się nie do zniesienia. Tkwił w Berlinie, by być bliżej żony, ale czy czasem, pytał sam siebie, nie robi tego dla uspokojenia sumienia? Czuł się bowiem winny

- winny, że puścił Miriam do Berlina, że nie domyślił się, jaka sytuacja panuje w Niemczech, choć dla nikogo nie było tajemnicą, że Hitler wprowadził w życie rasistowskie prawa, których pierwszymi ofiarami padli Żydzi.

Pewnego ranka zadzwonił do niego hrabia d'Amis.

- Panie Arnaud, kiedy zamierza pan wrócić do Francji? - zapytał wprost hrabia.

Zdumiała go gwałtowna reakcja arystokraty na jego odpowiedź, że zostanie w Berlinie, dopóki nie odnajdzie Miriam.

- Jeśli pan natychmiast nie wróci, by dokończyć prace nad kroniką brata Juliana, będę zmuszony zerwać umowę z panem i pańskim uniwersytetem - zagroził hrabia. - Ze względu na pańskie problemy osobiste do tej pory okazywałem cierpliwość, ale chyba pan rozumie, że nie mogę i nie chcę dłużej czekać. Poza tym jest mi pan potrzebny na zamku, by pokierować moim zespołem badawczym. Dwadzieścia osób czeka na pańskie wskazówki, śmiem przypomnieć, że stanowiło to część naszej umowy. I jeszcze coś, rozmawiałem z pańskim rektorem, będzie do pana dzwonił. Proszę szybko coś zdecydować, panie Arnaud, nie zamierzam czekać w nieskończoność.

Hrabia nie dał rozmówcy szansy na obronę - interesowało go tylko i wyłącznie własne dobro. Zgodnie z jego zapowiedzią kilka minut później zadzwoniono do Ferdinanda z uniwersytetu. Koordynator wydziału historii potraktował go serdecznie i po przyjacielsku. Oczywiście wszyscy rozumieją, przez co przechodzi i że potrzebuje czasu, ale czy mógłby przyjechać na kilka dni do Paryża i dopełnić kilku formalności? Ktoś musi poprowadzić za niego wykłady, poza tym należy postanowić coś w sprawie rękopisu brata Juliana; uniwersytet zobowiązał się przygotować krytyczne opracowanie kroniki, może sam Ferdinand wskaże osobę, która kontynuowałaby zaczęte przez niego dzieło.

Te dwa telefony przywróciły Ferdinanda do rzeczywistości. Przed zaginięciem Miriam był innym człowiekiem: miał rodzinę, fascynującą pracę, przyjaciół i znajomych na uczelni, publikował rozprawy na temat średniowiecznej Francji, jeździł z wykładami po całej Europie... A teraz przemienił się w widmo, nie ma go tam, gdzie wcześniej toczyło się całe jego życie. Albo wróci do Paryża, albo przyjdzie mu się pożegnać ze wszystkim, czym kiedyś żył.

Nadszedł czas, by podjąć decyzję, która zaważyć miała na całym jego dalszym życiu, bo pozostanie w Berlinie oznaczało rozłąkę z Davidem. Poza tym zastanawiał się, z czego będzie żył - oszczędności szybko topniały, musiałby poszukać jakiejś pracy. Kolega z uczelni zasugerował, by wziął urlop bezpłatny...

- Na pana miejscu wróciłabym - odezwała się Inge podczas kolacji. - Teraz i tak trudno panu będzie odnaleźć Miriam, może później... Mógłby pan przyjeżdżać od czasu do czasu.

- Nie chcę jej porzucić.

- Jeśli będzie pan zaglądał do Berlina, nie porzuci pan ani żony, ani syna. Nie powinien pan niszczyć wszystkiego, co wspólnie stworzyliście. Życie to nie wszystko albo nic, czasem, aby przetrwać, trzeba szukać rozwiązań pośrednich.

- Pani przypomina kameleona - wytknął jej Ferdinand. - Zdumiewa mnie, że patrzy pani ze stoickim spokojem, jak pani idol Stalin pakuje z Hitlerem. Nie daje to pani do myślenia?

- Stalin wie, że nie nadszedł jeszcze moment „wszystko albo nic”, i dlatego czeka.

- A tymczasem komuniści gniją w niemieckich więzieniach.

- Wiem, niektórzy popełnili nawet samobójstwo, nie potrafiąc się z tym pogodzić i czując się zdradzeni. Ale życie jest, jakie jest, nie, jakie chcemy, by było. Chińczycy mawiają, że trzeba być jak trzcina, która gnie się na wietrze, ale się nie łamie.

- I pani jest taką właśnie trzcina.

- Nie mam wyjścia, nie mogę, i nie chcę, przestać wierzyć w to, w co wierzę. Tak, jestem komunistką i wiem, że racja jest po naszej stronie, ale to nie wystarczy, trzeba czekać na właściwy moment, a na razie giąć się na wietrze.

- A jeśli ojciec Guntera nigdy nie wróci?

- Jestem na to przygotowana.

- Pogodziła się pani z tym, że być może nigdy go już nie zobaczy?

- Tak, jest bardziej niż prawdopodobne, że nie wróci.

- I nie cierpi pani z tego powodu?

- Serce mi krwawi, ale nie mogę zrobić nic ponad to, co zrobiłam, co robię dzień w dzień, wychowując naszego synka.

- Chrześcijanie nazywają to rezygnacją...

- Myli się pan, akceptacja stanu rzeczy nie jest rezygnacją, ale sposobem na stawienie czoła rzeczywistości, której nie mogę zmienić, bo nie mam takiej władzy. Mimo moich pobożnych życzeń i lamentów Hitler będzie nadal wcielał w życie swą rasistowską politykę, będzie układał się ze Stalinem i wtrącał komunistów do więzienia.

- Jest pani zbyt młoda, by wypowiadać się z takim cynizmem i wyrzekać wszelkich złudzeń, przykro pani słuchać.

- Mam się zalewać łzami i pozwolić, by mój syn umarł z głodu? Mam udawać powieściową heroinę i ryzykować, że i jaj przepadnę bez śladu? Pana zdaniem tak byłoby lepiej?

- Nie osądzam pani, bo nie chcę być osądzany.

- Jeśli zdecyduje się pan jednak wrócić do Paryża i przyjeżdżać od czasu do czasu do Berlina, by kontynuować poszukiwania, chciałabym, by nadal zatrzymywał się pan u mnie. Pańskie pieniądze za wynajem pokoju bardzo mi się przydadzą, zwłaszcza że jest pan niekłopotliwym lokatorem. Może wystarczy, że przyjedzie pan raz, dwa razy na miesiąc... sama nie wiem, proszę się nad tym zastanowić...

Postanowił pójść za radą Inge, która, choć nie miała nawet dwudziestu pięciu lat, emanowała rozsądkiem i doświadczeniem. Ona również widziała, jak zniknął ojciec jej dziecka, a mimo to trwała niewzruszona. Na co czekała?

11

W końcu stało się to, czego się obawiano. Francja wypowiedziała Niemcom wojnę, choć powstrzymywała się od działań zaczepnych. Francuskie gazety określiły tę sytuację mianem „dziwnej wojny”. Niektórzy uważali, że ultimatum postawione Hitlerowi przez rząd francuski z żądaniem, by wycofał się z Polski, było tylko czczym gestem; tak czy owak oba kraje znajdowały się oficjalnie w stanie wojny. Ferdinand pomyślał więc, że i tak nie mógłby dłużej zostać w Berlinie.

Spotkanie z Davidem było bardzo gorzkie. W jego milczeniu Ferdinand wyczytał niemy wyrzut, że nie zdołał odnaleźć Miriam. W nocy budziły go krzyki syna dręczonego przez koszmary i czasami dochodziło między nimi do kłótni, bo chłopak opuścił się w nauce. Życie straciło dla niego urok.

Koledzy uniwersyteccy ucieszyli się na widok Ferdinanda; z niepokojem i powściągliwością wysłuchali jego opowieści o rządach Hitlera. Tak, w Niemczech ludzie giną bez śladu - Żydzi, komuniści, Cyganie... wszyscy, którzy nie podobają się Fuhrerowi - i nikt nie protestuje, nikogo to nie martwi. „Wywożą ich do obozów pracy, cóż z tego?”, mówiono tylko.

Z początku jeździł do Berlina dość często. Zatrzymywał się u Inge i przez trzy, cztery dni wydzwaniał do ambasady i odwiedzał znajomych Itzhaka i Sary, którzy przedstawiali mu innych Żydów żyjących we własnej ojczyźnie jak uchodźcy. Wracał do Paryża ze zbolowaną duszą i przekonaniem, że dopełnia tylko niedorzecznego i bezsensownego rytuału, rytuału

zmierzającego do uspokojenia własnego sumienia. Jednak po napaści Hitlera na Polskę i oficjalnym przystąpieniu Francji do wojny nie mógł już jeździć do Berlina.

Gdy kilka miesięcy później, dziesiątego maja 1940 roku, Francja - wraz z Holandią i Belgią - wpadła niczym dojrzały owoc w ręce nazistowskiego dyktatora, Ferdinand jako jeden z niewielu Francuzów nie okazał zdziwienia. Niecałe cztery tygodnie wystarczyły, by wojska francuskie przeszły do defensywy, wydając bezbronny Paryż na pastwę żołnierzom Trzeciej Rzeszy.

Postawa generała Maxime'a Weyganda oraz wicepremiera marszałka Petaina przeważały w gabinecie kryzysowym: zdecydowano złożyć broń i przerwać bezowocną walkę.

Pewnego popołudnia Martine odwiedziła Ferdinanda w jego gabinecie na uczelni.

- Wyjeżdżam - oznajmiła. - Chciałam się z tobą pożegnać, zanim wszyscy zaczną o tym trąbić.

- Wyjeżdżasz? Dlaczego?

- To ty nic nie wiesz?

- Co się stało?

- Nic, czego nie należało się spodziewać. Dzisiaj, dwudziestego drugiego czerwca, generał Huntziger i marszałek Keitel podpisali w Compiègne zawieszenie broni. To koniec.

- Co masz na myśli, mówiąc, że to koniec?

- Krążą pogłoski, że premier Reynaud poda się do dymisji i przekaze władzę Petainowi. Chyba rozumiesz, co to oznacza.

- Dokąd chcesz jechać?

- Nigdy ci nie mówiłam, że jestem Żydówką? Ferdinand popatrzył na nią skonfundowany, nie wiedząc, jak zareagować.

Nie, Martine nigdy mu o tym nie napomknęła, a nazwisko Dupont bynajmniej nie było żydowskie.

- Tylko po matce, choć na jedno wychodzi. Fakt pozostaje faktem, jestem Żydówką. Zresztą nawet o tym nie wiedziałam, bo matka nigdy nie chodziła do synagogi, a ojciec, niepraktykujący katolik, do kościoła. Żyłam więc w błogiej nieświadomości, z dala od religijnych podziałów, lecz teraz...

- Martine, jesteś Francuzką - zaproponował Ferdinand.

- Francuzką żydowskiego pochodzenia. Do tej pory byłam tylko Francuzką, choć sam wiesz, że i w naszym kraju, podobnie jak w całej Europie, antysemitów nie brakuje. Nie chcę

nosić gwiazdy Dawida na ubraniu, nie zniosłabym tego...Ferdinand milczał, nie wiedział, co powiedzieć. Martine wzięła go za rękę i serdecznie uścisnęła.

- Dokąd pojedziesz? - zapytał w końcu.

- Do Palestyny.

- Zwariowałaś! Co będziesz tam robiła?

- Jeszcze nie wiem, na razie zamieszkać w kibucu. Znajomi, którzy wyjechali tam dwa lata temu, twierdzą, że to nie lada doświadczenie. Może nadszedł moment, bym odmieniła swoje życie. Opowiem ci, jak mi idzie pikowanie sałaty.

- Dlaczego nie pojedziesz do Stanów Zjednoczonych? Tam masz przyszłość, jesteś znanym naukowcem.

- To nie takie proste... Poza tym czuję, że teraz moje miejsce jest właśnie w Palestynie. Chcę wiedzieć, co znaczy być Żydówką, chcę się przekonać, co poczuje, gdy stanę na ziemi obiecanej.

- Tam jest bezpiecznie?

- Bo ja wiem... Znajomi opowiadają, że sypiają z ręką na karabinie. Pewnie pamiętasz, że w trzydziestym szóstym wybuchło powstanie arabskie przeciwko osadnikom żydowskim. Wygląda na to, że mimo obecności Brytyjczyków nie jest to najspokojniejsze miejsce. Ponoć Anglicy dwoją się i troją, by uniemożliwić napływ nowych osadników, ale nie bardzo im to wychodzi...

- Wybacz moją ciekawość, ale czym zajmowali się twoi znajomi przed wyjazdem do kibucu?

- Jean jest adwokatem, Marie miała zakład perfumeryjny; we Francji mieszkali po sąsiedzku i przyjaźnili się. Chyba słusznie radzą mi, bym jechała, póki jeszcze mogę.

- Jak chcesz się tam dostać?

- Nie uwierzysz: pomoże mi pewien ksiądz, brat przyjaciółki.

- Będzie mi ciebie brakować, Martine - wyznał Ferdinand.

- A mnie ciebie. Byłeś najbliższą mi osobą na uczelni. Zobaczysz, zaraz wszyscy się tu zbiegną i zaczną wypytywać, czy wiedziałeś, że jestem Żydówką.

Pomysł Martine przywiódł Ferdinandowi na myśl Deborah Schneider i jej tłumaczenie, dlaczego zdecydowała rozstać się z dziećmi i wysłać je do Nowego Jorku. Pomyślał, że powinien chyba zatroszczyć się o bezpieczeństwo Davida. Choć brzmiało to niewiarygodnie, dla nowych władz jego syn jest Żydem, tylko i wyłącznie Żydem.

Niełatwo przyszło mu podjąć decyzję, która - dobrze o tym wiedział - wywołać miała poruszenie wśród krewnych, zamierzał jednak twardo przy niej obstawać. Najpierw

porozmawiał z synem, potem zaprosił na naradę rodziców, teściów i pozostałych członków rodziny.

- Wiem, że to, co powiem, was zaskoczy, ale postanowiłem wysłać Davida do Palestyny.

Teściowie spojrzeli na niego oniemiałi, jego rodzice również zaniemówili z wrażenia, starszy brat odchrząknął, zakłopotany, a bratowa zacisnęła nerwowo dłonie.

- Nie zgadzam się, tato - przerwał mu David. - Nigdzie nie pojedę, dopóki nie wróci mama.

- Wiem, że nie chcesz jechać, już o tym rozmawialiśmy, ale tym razem, wybaczone, nie będę się liczył z twoim zdaniem. Tu chodzi o twoje życie, a we Francji nie jesteś bezpieczny. Nie chcę...

Zapadło milczenie, wszystkim stanęła przed oczami Miriam.

- Moja znajoma wyjeżdża za kilka dni do Palestyny, zgodziła się zabrać Davida. Macie tam jakąś rodzinę? - zapytał teściów.

- Tak, oczywiście - odparła matka Miriam. - W Palestynie mieszkają moje dwie siostry i kilku siostrzeńców. Życie tam nie jest łatwe...

- Wiem, ale przynajmniej żydowskie pochodzenie nie jest tam piętnem, jak tutaj...

- Na Boga, przecież to Francja! - przerwał Ferdinandowi jego starszy brat.

- Owszem, to Francja. Ale spójrz tylko, co stało się w oświeconych i dystygowanych Niemczech: ze zwykłego kaprała uczyniono narodowe bożyszcze! Przypominam ci, że znajdujemy się teraz w rękach marionetkowego rządu sterowanego z Berlina. Na własne oczy widziałem, co się dzieje w Trzeciej Rzeszy. Nie chcę, by mój syn zniknął pewnego dnia w biały dzień, by skatowano go pod szkołą lub musiał nosić gwiazdę Dawida... Miriam by na to nie pozwoliła. Możecie sobie wyobrazić, jak bardzo będzie mi go brakować, ale pocieszam się myślą, że będzie bezpieczny, a to dla mnie najważniejsze.

- Ferdinand ma rację - zabrał głos jego ojciec. - Tak, to Francja, synu, ale widziałeś chyba, co ta właśnie Francja zrobiła z hiszpańskimi republikanami: wielu poddano ekstradycji, innych zamknięto w obozach, gazety nazwały ich „wszarzami” i „groźnymi najeźdźcami”...

Matka Ferdinanda weszła mężowi w słowo, przypominając, że »Xe Populaire” i „L’Oeuvre” solidaryzowały się z hiszpańskimi uchodźcami i że kardynał Verdier wielokrotnie kruszył o nich kopie; nawet katoliccy pisarze, tacy jak Jacques Maritain czy François Mauriac, bronili ich żarliwie.

Jednak jej mąż obstawał przy swoim i powtórzył, że David będzie bezpieczniejszy poza granicami kraju. Ferdinand był mu wdzięczny za poparcie. Wiedział, że jego ojciec jest oburzony postawą francuskiego rządu wobec hiszpańskich uchodźców, pośród których udało mu się odnaleźć kilku krewnych. Ani Ferdinand, ani jego ojciec nie mieli zaufania do nowej Francji - zbyt często widzieli, jak ludzie odwracają wzrok, nie przyjmując do wiadomości tego, co się dzieje.

David prosił ojca, by pozwolił mu zostać, ale Ferdinand nie dał się ubłagać, choć w skrytości ducha się zastanawiał, czy nie popełnia szaleństwa.

- A co będzie z tobą, tato?

- Zostanę tutaj, niedaleko mamy. Będę na nią czekał, badając kronikę brata Juliana. To historia piękna i tragiczna zarazem.

- Ale przecież nie lubisz jeździć na zamek...

- Masz rację, synu, nie lubię tamtych ludzi, na szczęście ostatnio nie muszę tam bywać, moja praca tego nie wymaga. Zresztą wydaje mi się, że hrabia również ode mnie stroni. Po tym, co przydarzyło się mamie... nie mogę ścierpieć ludzi sympatyzujących z nazistami.

- A więc zamierzasz odciąć się od świata i żyć przeszłością - zauważył smętnie David.

- Schronię się w przeszłości, podczas gdy ty będziesz budował przyszłość; to chyba niezły układ, synku. Zaraz po twoim wyjeździe udam się znów na spotkanie z bratem Julianem.

12

...Nie staje nam miłosierdzia, i to właśnie nam, którzy powinniśmy służyć przykładem. Błyszczą od gniewu oczy brata Ferrera przekonanego, że jedynie ogień oczyści to, czego tknęli heretycy. Właśnie dlatego rozkazał puścić z dymem Montsegur - by nie został kamień na kamieniu, a ogień wypalił miejsce skażone obecnością heretyków.

- Tylko płomienie mogą oczyścić te głazy! - grzmiał inkwizytor.

Straciłem rachubę czasu, nie wiem, ile dni upłynęło od opuszczenia przez nas Montsegur, nie potrafię również zliczyć zeznań heretyków skłonnych dla ratowania własnej skóry wydać na śmierć swe dzieci, rodziców, braci i sąsiadów. Gdzież podziiali się męczennicy z Montsegur? Co stało się z ich przykładem?

Teraz, gdy wiadomo już, że żaden zbrojny hufiec nie przyjdzie im z odsieczą, ci do niedawna waleczni mężowie i niewiasty, mieniący się „dobrymi chrześcijanami”, są już tylko mężami i niewiastami przepelnionymi strachem.

Wyznaję, że nie imponują mi już oni jak dawniej, gdy potajemnie darzyłem ich szacunkiem i podziwiałem za siłę przekonań. Teraz wiem, że niczym się ode mnie nie różnią - oni także się boją, dlatego pogardzam nimi, tak jak pogardzam sobą.

Sklamałbym, mówiąc, że wszyscy ulegli - nie, nie wszyscy, ale zdecydowana większość. Wolę nawet nie myśleć, co przeżywałaby pani Maria na widok tak wszechobecnej małoduszności.

Byłem w Carcassonne, Limowc, Bram i w Lagrasse, wszędzie powtarza się to samo: heretycy oczekują naszego przybycia, a potem wyrrywają się jeden przed drugim, próbując skierować naszą uwagę na innych, byle tylko ratować siebie.

Zdrowie, Panie, nadal mi nie dopisuje, nawet specyfiki rycerza Armanda nie przynoszą mi ulgi. Donosiłem wam w mojej poprzedniej epistole, że ów mnich z Zakonu Rycerzy Świątyni, towarzysz broni Fernanda, uchodzi za znakomitość w sztuce leczenia, i przyznać muszę, że do tej pory jego zioła mi pomagały. Może swąd palonych ciał przytępia me zmysły i ściska trzewia albo też fetor strachu towarzyszący tym nieszczęśnikom, którzy wyznają przede mną swe przewinienia.

Modłę się do Najwyższego, by list ten trafił do Was, Panie, i drzę na samą myśl, że mógłby wpaść w ręce moich współbraci. Brat Ferrer wydalby mnie z miejsca na pastwę piekielnych płomieni, zresztą nawet brat Pierre, ta dobrotliwa dusza, nie przebaczyłby mi takiej zdrady.

Mówiłem Wam, że straciłem rachubę czasu, i tak właśnie jest, aczkolwiek czując postęp choroby, chcę Was prosić o łaskę. Wiem, że na nią nie zasługuję, bo Wy, Panie, nigdy nie uważaliście mnie za syna, choć nim jestem, nawet jeśli fakt ten napelnia Was niesmakiem. Dlatego właśnie pragnę spocząć po śmierci w Ainsie. Czuję, że dopala się świeca mego życia, już wkrótce poproszę o zezwolenie na złożenie Wam wizyty.

Pragnę spocząć w ziemi, która widziała moje narodziny, dlatego proszę, by pochowano mnie jako członka rodu Ainsa, bękart, tak, wiem, ale bękart, w którego żyłach płynie Wasza krew.

Wybaczcie mi, Panie, te deluyczne wywody, ale ma głowa płonie gorączką, a ból szarpie mi trzewia. W snach widzę zimną wodę z naszego źródła i chłodne poranki, kiedy biegłem do gumna wypełniać Wasze polecenia.

Tak, poproszę o zezwolenie i, daj Boże, brat Ferrer ulituje się nad moją słabością i będę mógł się z Wami pożegna i odejść w pokoju z tego świata.

Czy wiecie, Panie, że zmarli odwiedzają mnie we dnie i w nocy? Słyszę, jak ich modlitwy zlewają się w mojej głowie.

Widzę ich wykrzywione bólem twarze, zaciśnięte palce pochłaniane przez płomień... Domagają się sprawiedliwości. Ale nie mnie ich sądzić, Maria dobrze o tym wiedziała, dlatego tak jej zależało, bym opisał to, co wydarzyło się w Montsegur, i oddał kronikę na przechowanie Marian i jej małżonkowi don Bertrandowi d'Amisowi.

Pewnego dnia, Panie, niewinna krew, którą przelaliśmy w imię krzyża, zostanie pomszczona, bo taka hekatomba nie może ujsć bezkarnie. Gdzie dziś kwitnie zdrada, zrodzi się kiedyś duma i żądza zemsty. Tak, pewnego dnia ktoś pomści z furią krew niewinnych. A tymczasem, błagam was, Panie, przyjmijcie mnie do siebie i pozwólcie umrzeć w pokoju.

Ferdinand doczytał do końca list znaleziony w archiwum rodziny spokrewnionej z rodem Ainsa. Nielatwo przyszło mu natrafić na ślad brata Juliana, ponieważ skoncentrował swe poszukiwania na okolicach Carcassonne i Tuluzy. Dopiero gdy pewnego ranka przemożna tęsknota za Miriam i Davidem wyrwała go ze snu, pomyślał, że skoro on pragnie być ze swymi bliskimi, brata Juliana trawiła zapewne ta sama nostalgia.

Doprowadzenie do końca tej historii zajęło Ferdinandowi więcej czasu, niż przewidywał, ale czy miało to jakiegokolwiek znaczenie w obliczu ofiar, jakie pociągała za sobą wojna? Choć zamek d'Amis był wyspą w morzu europejskiej zagłady, nawet hrabia nie zdołał utrzymać przy sobie zespołów badawczych, które przyjeżdżały dłużyć w skałach Montsegur.

Za kilka dni Ferdinand miał przedstawić wyniki swych badań na Uniwersytecie Paryskim i spotkać się z hrabią, by opowiedzieć mu o perypetiach życiowych jego przodków.

Musiał kilkakrotnie odwiedzać zamek, gdzie oddawał się lekturze starych dokumentów i przekopywał rodzinne archiwum hrabiego, starając się zawsze ograniczyć pobyt do minimum stroniąc od Niemców - członków zespołów naukowych powołanych przez gospodarza.

Nie mogąc znieść ich towarzystwa, nie zatrzymywał się na zamku - wolał nadłożyć drogi i spędzić noc w Carcassonne. Zresztą i hrabia nie ukrywał antypatii do profesora, choć dotrzymał umowy i nie przeszkadzał mu w badaniach nad kroniką brata Juliana.

Ferdinand podróżował bez przerwy, przekopując archiwa inkwizycji i średniowieczne kroniki w poszukiwaniu wskazówek, które naprowadziłyby go na ślad owej szczególnej

rodziny przeświadczonej, że powierzono jej misję zachowania dla potomnych pamięci o upadku Montsegur. W archiwum rodziny Ainsa również natrafił na kilka skarbów.

Z samego rodu zachowała się już tylko gałąź francuska, której przedstawicielem był hrabia d'Amis, oraz kilka luźno z nim spokrewnionych osób, choć lokalne muzeum przechowywało archiwa prastarej rodziny.

Czy oprócz Fernanda z Ainsy ktoś jeszcze kochał brata Juliana? W archiwum rodu Ainsa Ferdinand nie natrafił na żaden dokument potwierdzający istnienie tego dziecka z nieprawego łoża. Juan przeżył brata Juliana o rok, po jego śmierci majątek odziedziczyła jego córka Marta - wdowa z dwojgiem dzieci - która schroniła się pod opiekuńczymi skrzydłami ojca.

Innym rarytatem wśród zwałów rodzinnych dokumentów były listy wysłane do ojca przez Marian, żonę rycerza Bertranda d'Amisa, zausznika hrabiego Tuluzy.

Drogi Ojcze, łączą się z Wami w bólu z powodu śmierci mojej matki. Ból wasz jest również moim bólem. Wiem, że nigdy nie pojęliście jej decyzji o porzuceniu rodzinnych włości, zawierzeniu się Bogu i wyruszeniu na służbę „dobrym chrześcijanom „i ludziom pragnącym zgłębić Prawdę. Teraz, gdy nie ma jej wśród żywych, zdradzić Wam mogę, że podczas naszych spotkań nie była żalu spowodowanego rozłąką z Wami. Nigdy nie miłowała nikogo tak bardzo jak Was, nawet własnych dzieci i wnuków. W życiu mojej matki były dwie wielkie miłości: Bóg i Wy.

Co się tyczy życia na dworze hrabiego, wiele się tu zmieniło, i nie ubywam, że żyję w strachu. Mój mąż jest co prawda powiernikiem hrabiego Tuluzy, ale Rajmund nie jest już panem własnego losu, musi, jak wiecie, przypodobać się bólowi Francji i papieżowi, którzy przebaczyli mu, ale nie darzą go zaufaniem. Na dworze żyje nadal grupka „dobrych chrześcijan „oraz credentes, takich jak my. Hrabia przypomina nam zawsze o zachowaniu ostrożności i dysb'ecji. Kilka dni temu ze Izami w oczach błagał jednego ze swych najserdeczniejszych przyjaciół, by powrócił na łono Kościoła, bo inaczej będzie musiał wydać go inkwizycji. A wszystko dlatego, że na Rajmunda spuszczone papieskie „brytany”, bóre oskarżają kilka bliskich mu osób o herezję.

Nie odziedziczyłam duchowej siły po matce, również mój mąż nie dorównuje jej pod tym względem, dlatego przyzwyczailiśmy się do nowej sytuacji, dmuchamy na zimne i towarzyszymy hrabiemu we wszystkich mszach i nabożeństwach, choć cierpimy katusze, padając na kolana przed bżyżem. Mąż mój radzi, bym się nie zadrażała, patrzyła na bżyż jak na zwykły kawał drewna i próbowała sobie wytłumaczyć, że nasze pokłony to tylko cze

gesty. Mimo to, ilekroć kreślę znak bzyża, czuję, że zdradzam matkę i gubię własną duszę, ponieważ krew niewinnych wola o sprawiedliwość.

Wybaczcie mi, Ojczy, to wyznanie; jesteście przykładnym katolickim, któremu wiara moja i mojej matki wyrządziła wiele krzywdy, uważam Was jednak za człowieka szlachetnego, o wielkim sercu, i liczę, że mi przebaczycie, tak jak przebaczyliście mojej matce...

List Marian napisany został kilka miesięcy po upadku Montsegur. Na zagięciu pergaminu Ferdinand natrafił na dwa słowa napisane odręcznie przez Juana z Ainsy: *Biedna córka.*

W tych prostych słowach zamykało się całe jego cierpienie spowodowane nie tylko utratą żony, ale także niebezpieczeństwem czyhającym na Marian. A może był to raczej szloch nad jej potępioną duszą?

Ferdinand natrafił na dowody żarliwej wiary Juana, który za życia wspierał klasztor i świątynie licznymi darowiznami, również w swym testamencie był dla Kościoła bardzo szczodry.

W lokalnym archiwum zachował się spis dóbr przekazywanych Kościołowi przez rodzinę Ainsa w ciągu wieków i okazało się, że - o dziwo - niektóre darowizny pochodziły od samej Marian. Ferdinand znał jej korespondencję z ojcem, domyślał się więc przyczyny tego zastanawiającego faktu - Marian, podobnie jak hrabiemu Tuluzy, Rajmundowi VII, życie było miłe.

Mój umiłowany i czcigodny Ojczy, piszę do Was w chwili niewymownego cierpienia. Nasz pan Rajmund zmuszony był posłać na stos osiemdziesięciu „dobrych chrześcijan” z Agen, miasta położonego w okolicach Garonne, gdzie parfaits toczyli dotąd spokojny żywot zakłócany tylko przez obawy, że osiągną ich kły papieskich „brytanów”.

Hrabia Rajmund nie mógł odmówić skazania na stos tych Bogu ducha winnych ludzi, choć przyplacił ów postępek wielkim bólem serca i przez wiele dni oplakiwał swych poddanych, nie jedząc i nie kryjąc zgryzoty.

Nasz dobry hrabia niedomaga i dręczą go ciągle próby, jakim poddają go król i papież. Osobiście widziałam, jak ze łzami w oczach wyrzucał sobie, że zdradził własnych poddanych. Ale czy miał inne wyjście?

Wczoraj przywołał do siebie zastęp wiernych przyjaciół, w tym również mojego męża Bertranda. Podziękował, że przez te wszystkie lata oszczędzaliśmy mu zgryzot i skrywaliśmy

przed światem naszą prawdziwą wiarę. Z miłości do niego dochowaliśmy tajemnicy, zdradzając Prawdę czynami, nigdy sercem.

Pan mój, hrabia Rajmund, drży o to, co się z nami stanie, gdy jego zabraknie, dlatego chcę prosić cię, Ojczy, o gościnę na wypadek, gdybyśmy musieli opuścić na jakiś czas Tuluzę. Jeśli nie możecie udzielić nam schronienia, udamy się do Pawii lub Genui, tamtejsi moiżni sprzyjąją bowiem „dobrym chrześcijanom „.

Jeśli przygarniecie nas, Ojczy, nie sprawimy wam kłopotu, ponieważ, jakjuż wiecie, potrafimy udawać przykładne dzieci Kościoła - będziemy brali udział w uroczystościach religijnych wraz z Wami, moją siostrą i moimi dwoma siostrzeńcami, których bardzo pragnę poznać...

W następnym liście Marian powiadamiała ojca o śmierci hrabiego Tuluzy i informowała, że wyruszyła już w drogę do Ainsy.

Mój umiłowany Ojczy, dobry nasz hrabia Rajmund opuścił ziemski padół i został pochowany w Fontevrault, gdzie spać będzie snem wiecznym u boku swej matki Joanny, wuja Ryszarda i swych dziadków: Henryka i Eleonory.

Zapewne wiecie, że hrabia dostał w Millau ataku febry, choć jego zdrowie dawno już nadszarpnęły troski i cierpienia.

Władzę po nim przejęła jego córka, Joanna, oraz jej małżonek Alfons z Poitiers, których Bóg nie pobłogosławił jeszcze potomstwem.

Mąż mój, Bertrand, uważa, że będę bezpieczniejsza przy Was, i byłabym wdzięczna, gdybyście udzielili mnie i moim dzieciom gościnny, póki sytuacja się nie wyklaruje.

Tuszę, że nie będę dla was ciężarem i że moja wizyta nie potrwa długo, wiecie bowiem, że miłuję męża i rozłąka z nim przepelnia mnie smutkiem...

Prawdopodobnie największą wartość dla Ferdinanda miał list Marian do brata Juliana wysłany wkrótce po opuszczeniu domu ojcowskiego, gdzie dama zaszyła się na kilka miesięcy.

Z treści korespondencji nietrudno wywnioskować, że Marian i mnich spędzili wiele wieczorów na rozmowie.

Marian stawiła się zapewne w Ainsie pod koniec 1449 lub na początku 1450 roku, kilka miesięcy po zgonie hrabiego Tuluzy, zdążyła więc pożegnać się z trawionym chorobą ojcem.

Mój dobry mnichu, dziwnie się czuję, zwracając się do Was w ten sposób, bowiem mnisi byli zawsze źródłem nieszczęść w życiu moim i moich bliskich, ale przez te miesiące spędzone pod ojcowskim dachem rozumiałam, dlaczego moja matka tak bardzo Wam ufała. Bracie Julianie, choć w Waszych uszach zabrzmiałoby to gorsząco, jesteście „dobrym chrześcijaninem”, żyjącym w zaślepieniu, wierzącym, iż świętym symbolem Jezusa jest krzyż, narzędzie karni. Listem tym nie chcę jednak kontynuować naszych niedawnych dyskusji i pogawędek, lecz podziękować Wam za Wasze dobre serce. Pokrzepiliście na starość mego ojca i jesteście podporą dla mojej siostry Marty i jej dzieci.

Nie sądzę, byśmy się jeszcze zobaczyli, dlatego chcę zapewnić Was ponownie, że zobowiązanie, jakie podjęliście wobec mojej matki, Marii, nie pójdzie na marne. Wasza kronika ujrzy kiedyś światło dzienne i świat dowie się o wielkiej niegodziwości króla i papieża.

Wiedźcie, że moje dzieci zostały już wtajemniczone w wydarzenia z ostatnich lat i choć strzegą się pilnie przed zdradzeniem, że wyznają prawdziwą wiarę - dzięki czemu nie przysporzą Wam problemów - marzą o dniu, w którym dane im będzie pomścić krew niewinnych. Bez względu na to, czy zrobią to one, ich dzieci lub dzieci ich dzieci, jedno jest pewne - wcześniej czy później ród d'Amis pomści przelaną krew, bo tylko wtedy niewinni spocząć będą mogli w pokoju.

13

Północna Hiszpania, 1946 rok

Ferdinand przechowywał niczym prawdziwy skarb kopie korespondencji Marian. Jak udało mu się ustalić, dama wróciła do męża, który z upływem czasu stał się oddanym wasalem Alfonsa z Poitiers, męża Joanny - jedynej córki Rajmunda VII, hrabiego Tuluzy.

Było oczywiste, że religijne przekonania nie pozbawiły Marian i Bertranda d'Amisa chęci do życia - choć katarzy marzyli o opuszczeniu tego świata i wyzbyciu się przeklętej skorupy, za jaką uważali ciało, para ta najwyraźniej bardziej ceniła sobie inne wartości, skoro dożyła sędziwego wieku.

Ferdinand wzdrygnął się z obrzydzenia. Ileż fanatyzmu! Ileż krwi przelanej w imię Boga! Pomyślał, że Bóg nie wybacza tym, którzy posługują się jego imieniem, by torturować

i mordować bliźnich. Niemożliwe, by było inaczej; czyż dla Boga ma znaczenie, w jaki sposób ludzie się do niego modlą, jak odczuwają jego obecność?!

Pomyślał o swym ukochanym synu Davidzie, który odarty z niewinności przemienił się w radykalnego syjonistę.

David skończył już dwadzieścia pięć lat i nadal przebywał w Palestynie. Nie chciał wracać do Francji. „Jestem Żydem - powtarzał. - Zmuszono mnie, bym poczuł się inny, i właśnie taki jestem: inny”. Po czym pytał: „Gdzie byli do niedawna ci, którzy teraz oburzają się na wspomnienie obozów zagłady? My, Żydzi, nauczyliśmy się, że możemy liczyć tylko na siebie i dlatego chcemy stworzyć sobie ojczyznę, z której nikt nigdy nas nie przegna”.

David nie poczuwał się już do ojcowskich korzeni ani do wspólnej z nim przeszłości: związał swój los z losem matki i z jej zniknięcia uczynił własną rację bytu.

Zaraz po wojnie Ferdinand zaproponował synowi, by pojechali do Berlina i ponownie spróbowali znaleźć jakiś ślad Miriam, ale chłopak odmówił.

- Nienawidzę ich, tato, nienawidzę ich tak bardzo, że nie zdołałbym wyjść na ulicę, wiedząc, że pierwszy lepszy napotkany przechodzień może być mordercą mamy. Nie mogę tam jechać, bo marzę tylko o tym, by ich zabić, ich oraz ich popleczników, wszystkich, którzy swoim milczeniem przyczynili się do tej hekatombi.

- Nie wszyscy Niemcy są mordercami, synu, wielu z nich bardzo dużo wycierpiało. Twoi wujowie też byli Niemcami.

- Masz rację, tato, ale nic nie mogę poradzić, że czuję to, co czuję. Właśnie dlatego nie powinienem ci towarzyszyć. Pozwól mi być niesprawiedliwym i stronnikiem, bo jestem Żydem i sześć milionów ofiar daje mi takie prawo.

Ferdinand rozumiał syna, który stracił matkę i dziadków tylko dlatego, że byli Żydami.

Wciąż pamiętał ten dzień - siedemnasty lipca 1942 roku - gdy jego teściowie zostali aresztowani podczas łapanek wraz z tysiącami innych Żydów - w większości kobiet, dzieci i starców - których zagnano na stadion Vel d'Hiv. Ferdinand dowiedział się o tym od znajomego jego teściów, który przybiegł z wiadomością na uniwersytet.

- Zabrano ich! - krzyczał, wpadając do gabinetu. Ferdinand zerwał się i popędził do domu teściów, ale ich tam nie zastał. Dziękował Bogu, że zdążył wywieźć Davida z Francji.

Dobijał się do wszystkich urzędów i instytucji - na próżno. Rodzice Miriam i pozostali paryscy Żydzi trafili do obozu przejściowego - najpierw w Pithiviers, potem w Drancy - a na koniec przewieziono ich do Oświęcimia, skąd nigdy nie wrócili.

Jednak Ferdinand dowiedział się prawdy znacznie później, bo w tamtych dniach ludzie z rządu Vichy zachowywali się jak niemieccy biurokraci: nic nie wiedzieli, nic nie mówili, po prostu działali. Najpierw ogłosili ustawę antyżydowską, tak zwany Statut des Juifs, następnie powołali do życia Główny Komisariat do spraw Żydów, a niedługo potem wywieźli francuskich obywateli wyznania mojżeszowego do obozów zagłady. Ferdinand nie od razu powiedział Davidowi prawdę. Wiedząc, że jego syn ciężko przeżyje kolejną stratę, przez jakiś czas na jego pytania o dziadków odpowiadał wymijająco.

Pewnego dnia David nie pytał już, tylko stwierdził: „Zabrali ich, prawda?”. Ojciec słyszał w słuchawce szloch syna i próbował zdławić łkanie.

Tak, David mógł sobie pozwolić na stronniczość, sześć milionów ofiar dawało mu do tego prawo.

Teraz David pracował w kibucu i zapewniał, że jest mu tam dobrze, a nawet czuje się szczęśliwy. Wyznał ojcu, iż marzy o wstąpieniu do Hagany, tajnej żydowskiej organizacji samoobrony skupiającej w Palestynie kilkuset Żydów gotowych walczyć o ten skrawek ziemi i zamienić go w swą ojczyznę. Ale na razie David musiał się zadowolić bronieniem własnego kibucu. W jednym z pierwszych listów donosił ojcu, że ma nowego kolegę.

Uczę się arabskiego, lekcji udziela mi pewien Palestyńczyk, który mieszka w pobliskim gospodarstwie. Ma na imię Hamza, jest moim rówieśnikiem. Ja w zamian uczę go francuskiego. Od czasu do czasu chodzimy na spacer po okolicznych bezdrożach. Wiesz, mamy podobne zainteresowania, Hamza też lubi piłkę nożną. Kierownik kibucu powtarza, że nie powinienem ufać Arabowi, ale ja nie przejmuję się jego głędzeniem, bo Hamza to dusza człowiek i pragnie tego samego co ja: żyć w pokoju w kraju, który będzie mógł uważać za swoją ojczyznę. Palestyna jest niewielka, ale pomieści nas wszystkich. Dlatego tłumaczę naszemu kierownikowi: musimy nauczyć się żyć razem. Hamza też tak uważa. Kilka dni temu wybraliśmy się na polowanie, nic nie złapaliśmy, ale zabawę mieliśmy przednią. W jego domu jestem traktowany jak przyjaciel rodziny, byłem już u nich kilka razy na kolacji. Hamza też zagląda do nas do kibucu, choć przedtem nigdy by się na to nie odważył. Czasami pomaga mi w polu. Nie przepadam za tą pracą, ale obowiązek to obowiązek. Tak bardzo się cieszę, że mam przyjaciela Palestyńczyka! Yacob, nasz kierownik, kracze, że wcześniej czy później będziemy mieli kłopoty, ale ja tak nie myślę, choć wiem, że niektórzy Palestyńczycy krzywo na nas patrzą. Powtarzam Hamzie, że musimy stworzyć państwo, w którym znajdzie się miejsce i dla nas, i dla nich; w końcu wszyscy jesteśmy dziećmi Abrahama...

Listy Davida zawsze były pełne entuzjazmu, co pokrzepiało Ferdinanda. Wychował syna na dobrego człowieka. Zamierzał odwiedzić go w Palestynie, ale najpierw musiał jechać do Berlina i oczywiście doprowadzić do końca prace nad kroniką brata Juliana.

Znów zdjęło go obrzydzenie na myśl o hrabim d'Amisie i o bandzie błaznów, którzy przekopali całe Montsegur w poszukiwaniu nieistniejącego skarbu. W głębi duszy drwił sobie z nich - to była jego osobista zemsta i odpowiedź na ich tępotę.

Do hrabiego Ferdinand czuł pogardę i wstręt. Wiele łez kosztowało go kontynuowanie badań, bo wiedział, że d'Amis jest zwolennikiem rządu Vichy. Znajomy profesor z Tuluzy ostrzegł go co do intencji niemieckich znajomków hrabiego: „Oni szukają Graala dla Hitlera”. Tyle to i Ferdinand wiedział. Uznał to jednak za tak wierutną bzdurę, że wolał nie przywiązywać do tego wagi, choć z biegiem czasu doszedł do wniosku, że hrabia, mimo całej swej powściągliwości, ma chorobliwą obsesję na punkcie niepodległości Langwedocji. Hrabia popierał Hitlera, bo liczył, że dzięki niemu jego mała ojczyzna odłączy się od Francji i odzyska autonomię utraconą w wyniku wojen albigeńskich.

Ferdinand wiedział, że Montsegur gościło wielbicieli Ottona Rahna wchodzących w skład zespołów badawczych hrabiego, który wykazał się inteligencją i nie zaprosił profesora na wspólne narady. Zresztą Ferdinand i tak odrzuciłby takowe zaproszenie; czasami napotykał jednak przypadkowo jakiegoś poszukiwacza, który wracał zmordowany po całym dniu spędzonym na przewiercaniu się przez skały Montsegur.

Po zaginięciu Miriam życie mu zubożało. Z początku wierzył jeszcze, że pewnego dnia dowie się czegoś o żonie, a wtedy spróbuje wywrzeć nacisk na hrabiego, by ten skorzystał ze swych kontaktów i z pomocy niemieckich znajomych. Ale nic takiego się nie stało. A potem wojna okazała swe okrutne oblicze, Francja się podzieliła i wszystkie osobiste dramaty zeszły na dalszy plan. Dramat Ferdinanda również.

14

Wspominał pierwsze powojenne miesiące.

Pojechał do Niemiec bez Davida i zatrzymał się u Inge, która przetrwała wojenną zawieruchę. Znów wspólnie zaczęli szukać Miriam, przemierzając miasto i przeglądając listy więźniów obozów koncentracyjnych. Na jednej z nich Ferdinand znalazł Bauerów, na innej - Deborah, których opłakał z wściekłością i żalem.

Dowiedzieli się również daty przewiezienia Sary i Itzhaka do Dachau oraz ich śmierci w komorze gazowej. Jednak nadal nic nie wiedzieli o losie Miriam.

- Przyjdzie nam poczekać, aż ujawniona zostanie cała prawda - powiedziała Inge. - Wtedy dopiero wyda się, ile osób zginęło na komisariatach. Podejrzewam, że Miriam dopadły „brunatne koszule” i albo została pobita na śmierć albo zmarła na torturach w więzieniu gestapo. Upłynie jeszcze trochę czasu, zanim udostępnione zostaną wszystkie archiwa. Na razie Niemcy boją się spojrzeć sobie w oczy, woleliby nigdy się nie dowiedzieć, co mają na sumieniu.

- A ty? Co ty czujesz? - zapytał Ferdinand.

Inge milczała przez chwilę, po czym zagryzła wargę, splotła dłonie na podolku i powiedziała:

- Czuję wstręt; wstręt do siebie, do tego kraju, do moich rodaków... Niełatwo będzie nam się pozbierać po czymś takim, nigdy już nie otrząśniemy się z tego koszmaru.

- To wy byliście koszmarem - zauważył bezlitośnie Ferdinand.

- Masz rację. Wiesz jednak, że należę do osób, które bynajmniej nie próbują uchylić się od odpowiedzialności, choćby osobistej, za to, co się stało. Przecież byłam tu i mogłam, jak tyle innych osób, działać i ryzykować życie, a przecież tego nie zrobiłam. Myślałam tylko, by przetrwać, doczekać końca wojny.

Również Inge poznała los swego narzeczonego. Dowiedziała się, kiedy trafił do Oświęcimia i kiedy został stracony. Teraz była już pewna, że do niej nie wróci, że nigdy więcej go nie zobaczy.

- I co teraz, Inge?

- Liczę, że uda mi się znaleźć lepszą pracę.

Inge przyznała się Ferdinandowi, że podczas wojny sypiała z niemieckimi żołnierzami, by zarobić na chleb dla syna.

- Gdy nie miałam gdzie sprzątać, wynajmowałam się jako prostytutka. Zdobyłam adres kantyny, gdzie zaglądali niemieccy oficerowie przebywający w Berlinie na przepustce. Byłam tam kilka razy.

Ferdinand domyślił się, że doświadczenie to odcisnęło na niej bolesne piętno, choć Inge nigdy by się do tego nie przyznała, nie żaliłaby się przed nikim. Jej jedyną obsesją była przyszłość.

- Jakie masz plany? - zapytał.

- Chciałabym skończyć studia i zostać nauczycielką, może mi się uda. Gunter ma już siedem lat, jest bardziej samodzielny. Będę uczyła się nocami, a za dnia pracowałam tam, gdzie ci mówiłam.

Inge dostała pracę telefonistki w hotelu i mimo lichej pensji wydawała się bardzo zadowolona z posady. Była prawdziwą spartanką, wiedziała, co to bieda i niedostatek, dlatego, by związać koniec z końcem, wystarczało jej kilka groszy.

- Nie chcesz stąd wyjechać?

- Dokąd? I po co? Nie, to nie jest dobry pomysł, tutaj... cóż... tutaj umiem sobie radzić, a gdzie indziej musiałabym zaczynać wszystko od początku. Nie mogę ryzykować, muszę myśleć o Gunterze, mój syn zasługuje na lepsze życie. Ten kraj, wbrew temu, co ci wcześniej mówiłam, wypłynie jeszcze na powierzchnię, zobaczysz, może nawet staniemy się kiedyś państwem wielkich możliwości, wszystko przed nami.

- Nadal jesteś komunistką? - zapytał z zaciekawieniem Ferdinand.

- Nie, jestem tylko sobą, nikiem więcej.

W rzeczywistości Inge zawsze była sobą, mimo to jej odpowiedź zrobiła na nim wrażenie. Nie miała nawet trzydziestu lat, a mówiła jak staruszka pozbawiona złudzeń.

■- A ty kim jesteś? - zadała mu to samo pytanie.- Sam nie wiem. My, Europejczycy, dużo zawdzięczamy twoim koleżkom Rosjanom, no i oczywiście Amerykanom. To oni wygrali wojnę i wyrwali nas z tego piekła.

- Tak, dużo zawdzięczamy Matuszce Rosji. Pamiętasz? Tłumaczyłam ci kiedyś, że Stalin czeka tylko na właściwy moment.

- Ale pakt Ribbentrop-Mołotow był ciosem w plecy.

- Raczej czystą polityką.

- Wyjątkowo nikczemną polityką, czarną kartą w historii komunistów.

- Wszystkich komunistów?

- Wszystkich. We Francji niektórzy lewicowi przywódcy próbują nam teraz wmówić, że Hitler dążył do wojny z Francją, a Stalinowi udało się go na jakiś czas powstrzymać.

- Bo to prawda.

- A co powiesz o „odstąpieniu” Stalinowi przez Hitlera krajów bałtyckich i wschodniej części Polski?

- Przecież to ty przed chwilą mówiłeś, że dużo zawdzięczamy Rosjanom...

- Miałem na myśli prostych ludzi, żołnierzy, ich matki, ludzi z krwi i kości, którzy oddali za nas życie.

- Skoro sam Napoleon nie poradził sobie z Rosjanami, trudno, by udało się to Hitlerowi - uśmiechnęła się Inge.

Pewnego dnia Ferdinand poprosił Inge, by poszła z nim do domu Itzhaka i Sary. Chciał porozmawiać z dozorczynią, panią Bruning; liczył, że może teraz dowie się od niej prawdy.

Inge próbowała odwieść go od tego pomysłu, przeczuwając, że będzie to dla niego bardzo bolesne doświadczenie, ale ostatecznie zgodziła się mu towarzyszyć.

Pani Bruning przeżyła wojnę i była jeszcze tłustsza.

Otworzyła drzwi, poznała ich od razu i pobladła.

- To państwo...! O co chodzi...? Przecież już mówiłam, że nic nie wiem...

Inge i Ferdinand zauważyli, że dozorczyńni nie jest już tak arogancka i zadufana w sobie jak przed kilkoma laty, gdy w jej oknie powiewała hitlerowska swastyka.

- Pani los jest teraz w pani rękach - zagroził jej Ferdinand, podstępem próbując rozwiązać dozorczyńni język. - Opracowujemy właśnie listę nazistowskich kolaborantów, którzy donosili na niewinnych obywateli... Radzę mówić, co pani wie, wtedy może ulitujemy się nad panią.

- Proszę mówić, pani Bruning, nie ma pani wyjścia - dodała Inge.

Grzbietem dłoni kobieta otarła pot perlący się jej na czole. Zalatywało od niej strachem. Wahala się jeszcze, niezdecydowana, ale w końcu zaprosiła ich do mieszkania.

- Mój mąż nie żyje - wyznała. - Zostałam sama z córką i dwojgiem wnucząt. Mój zięć zginął na froncie wschodnim. Jeśli państwo mnie wydacie... nie wiem, co się z nami stanie...

Inge złapała Ferdinanda za ramię, powstrzymując go przed gwałtowną reakcją. W ustach ohydnej nazistki takie biadolenie było zdecydowanie karygodne, ale jeśli chcą poznać prawdę, nie mogą się zbytnio znęcać nad ofiarą.

- Pani Bruning, proszę mówić - zachęciła ją łagodnie Inge.

- Przyszła z samego rana, widok księgarni bardzo ją rozjuszył. Ja... prosiłam, by zamilkła, ale zwymyślała mnie, nazwała Niemców zwyrodnialcami, krzyczała, że co to za naród, który wyrzuca książki na ulice, pali je i porywa dwoje Bogu ducha winnych starców. Groziła mi, tak... miała czelność mi grozić. Nazwałam ją żydowską suką, a ona roześmiała mi się prosto w twarz, mówiąc, że owszem, jest Żydówką i nigdy nie była z tego bardziej dumna niż teraz. Kazałam jej się wynosić, ale ona nic, tylko się śmiała i śmiała. Zapytała, kim to ja niby jestem, by wyrzucać ją z mieszkania jej krewnych. Ostrzegłam, że jeśli sobie nie pójdzie... A potem zjawili się oni. Brat mojego zięcia był dowódcą „brunatnych koszul”, a jeden z jego szwagrów pracował w gestapo. Ona... napyskowała im, powiedziała, żeby trzymali od niej ręce z daleka, bo jest obywatelką francuską; że mogą zadzwonić do

ambasady... Wtedy jeden z nich ją uderzył, a ona ugryzła go w rękę. Rzucili się na nią i wywlekli ją z domu.

Po twarzy Ferdinanda płynęły łzy. Oczami wyobraźni widział, jak Miriam przeciwstawia się hitlerowskim bydlakom - ona, taka rezolutna, ufająca sile ludzkiego rozumu i prawik sama, jedna próbowała stawić czoło armii zła.

Inge ścisnęła go za rękę, na próżno próbując podtrzymać na duchu.

- Pani Bruning, gdzie znajdowała się siedziba tych „brunatnych koszul” i w jakim wydziale gestapo pracował szwagier pani zięcia? - zapytała głosem nieznoszącym sprzeciwu. Dozorczyni zapisała adresy na skrawku papieru, pochlipując i błagając, by ulitowali się nad nią i nad jej wnukami.

- Pomogłam państwu, wszystko powiedziałam... Proszę im wspomnieć, żeby potraktowali mnie łagodnie, bo... wszystko powiedziałam... - jęczała, szlochając. - Nie wiem, co było później, nikt nic mi nie mówił...

- A wie pani, jak umarli Itzhak i Sara? - warknęła Inge.

- Nie... nic nie wiem... nie wiedziałam, że nie żyją...

- Zostali zagazowani. Wyobraża sobie pani taką śmierć? A wie pani chociaż, dlaczego zginęli? - ciągnęła Inge.

- Nie...nie...

- Bo zło istnieje, a pani stanowi jego część. Uważam, że zasłużyła pani na okrutną śmierć, choć nie mnie dane będzie ją zadać. Odpowie pani za swoje zbrodnie, pani Bruning, ludzie, których pani zgubiła, nie dadzą pani żyć w spokoju. Niech pani nie zamyka oczu, pani Bruning, oni tu są...

Kobieta płakała histerycznie, czując się otoczona przez zjawy.

- Wychodzimy, ale przyślemy tu kogoś. Stanie pani przed sądem i odpowie za swoje czyny - uprzedziła Inge, dobrze wiedząc, że dozorczyni włos z głowy nie spadnie.

Wyprowadziła Ferdinanda, trzymając go za rękę, jakby by zabłąkanym dzieckiem. Czowała, że jest zdruzgotany, zamroczony, że potwornie cierpi - bardziej niż przez wszystkie lata, kiedy nic nie wiedział o losie Miriam. Teraz znalazł się o krok od poznania prawdy i prawda ta była dla niego nie do zniesienia, bo męki, których doświadczyła jego żona, wydały mu się nagle realne, brutalnie realne. Miriam nie była już duchem, znów stała się istotą z krwi i kości.

Przez wiele dni Ferdinand wędrował od urzędu do urzędu w towarzystwie pracownika ambasady francuskiej i spotykał się z nowymi władzami miasta - to z Amerykanami, to z Rosjanami... W stolicy powstawały liczne komisje próbujące ustalić, co wydarzyło się w

hitlerowskich Niemczech, śledzące losy zaginionych i układające listy ofiar obozów zagłady. Trudno było Ferdinandowi przekonać kogokolwiek, by zajął się jego sprawą - był przecież pojedynczym przypadkiem, jednym spośród tysięcy - szczęście mu jednak sprzyjało, gdyż ulitował się nad nim amerykański urzędnik John Morrow.

Morrow był profesorem historii na uniwersytecie w Oksfordzie. Zaciągnął się do wojska, żeby walczyć z nazistami, nie wyobrażał sobie bowiem świata rządzonego przez garstkę morderców i psychopatów. Trafił na wojnę z przekonaniem moralnym, a teraz znajdował się w Berlinie, w kwaterze głównej, próbując zaprowadzić porządek w mieście pogrążonym w chaosie.

- Rozumiem pańską udrękę, panie Arnaud, bo gdyby moja żona zaginęła w podobnych okolicznościach, chyba bym oszalał. Coś panu wyznam: moja żona również jest Żydówką. Pochodzi z Nowego Jorku, jej rodzice wyemigrowali z Polski w nadziei na lepsze życie. Na widok tego, co zrobili naziści, ogarnia mnie potworna wściekłość; zapisali najczarniejszą kartę w historii.

Właśnie John Morrow pomógł Ferdinandowi, otworzył przed nim wiele do tej pory zamkniętych drzwi i umożliwił mu wgląd do archiwum komisariatu jednej z berlińskich dzielnic, gdzie dwudziestego pierwszego kwietnia 1939 roku trafiła Miriam. Zwięzła notka informowała, że zatrzymana zmarła jeszcze tego samego dnia na skutek niewydolności krążeniowo-oddechowej, a jej zwłoki pochowano w zbiorowej mogile.

Ferdinand płakał jak dziecko, czytając pożółkłą kartkę, którą jakiś skrupulatny funkcjonariusz wsunął do archiwum komisariatu dzielnicowego.

Pozwolono mu się wypłakać w samotności, nie próbowano go pocieszać, wiedząc, że wszelkie słowa straciły teraz dla niego sens.

Nie trzeba było bujnej wyobraźni, by domyślić się, co się wydarzyło. Miriam została pobita w domu wujostwa, potem zapewne również na komisariacie i zmarła na skutek odniesionych obrażeń. Prosta prawda - okrutna prawda.

Przez dwa dni Ferdinand zachowywał się jak żywy trup: nie mówił, nie jadł, nie spał. Inge i John Morrow robili, co mogli, by nie zostawiać go samego - bali się, że ich przyjaciel, pogrążony w długotrwałym milczącym dialogu z Miriam, postrada rozum i nigdy już nie wróci do świata żyjących.

Niemka wpadła na pomysł, by zadzwonić do Davida, Anglikowi natomiast udało się go odnaleźć w kibucu niedaleko Hajfy.

Inge weszła do pokoju Ferdinanda, który leżał na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit. Miał kilkudniowy zarost, załatywało od niego potem i łzami.

- Wstawaj, twój syn przy telefonie.

Profesor zdawał się nie słuchać, dopiero po chwili wlepił w Inge niewidzący wzrok.

- David przy telefonie, wstawaj - powtórzyła. Podniósł się z trudem, jakby jego ciało ważyło tonę, a ramiona i nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Inge podeszła i podała mu rękę, pomagając wstać, po czym wyprowadziła go z pokoju.

Ferdinand wziął słuchawkę, ale nadal milczał. Inge wyjęła mu ją z rąk i powiedziała Davidowi: „Twój ojciec cię słucha, możesz mówić”.

Jeszcze przez chwilę Ferdinand tkwił w otępieniu, a potem wybuchnął płaczem. Inge poszła do kuchni, pozostawiając go samego, czuła, że ta rozmowa między ojcem i synem powinna się odbyć bez świadków.

Teraz, gdy od tamtych dni upłynęło już kilka miesięcy, Ferdinand był jeszcze bardziej wdzięczny Inge. Pamiętał, jak wróciła do saloniku, usiadła naprzeciwko niego, wzięła go za rękę i powiedziała szeptem:

- Jesteś zdruzgotany, twoje życie legło w gruzach, ale musisz je odbudować, zacząć wszystko od początku. Nie masz innego wyjścia, bo inaczej czeka cię śmierć, a przecież nie możesz umrzeć, Miriam by ci tego nie wybaczyła. Jeśli umrzesz, nie będzie miała z ciebie żadnego pożytku, natomiast żyjąc, możesz pomóc waszemu synowi, którego kochała nade wszystko.

Zaprowadziła go do łazienki i odkręciła kurek nad wanną.

- Doprowadź się do porządku, strasznie wyglądasz.

W dniu, w którym Ferdinand opuszczał Berlin, John Morrow pożegnał się z nim na lotnisku i wsunął mu do ręki zaklejoną kopertę.

- Chciałeś, bym dowiedział się czegoś o rodzicach Miriam. Tak też zrobiłem. Jak się pewnie domyślasz, zginęli w obozie koncentracyjnym. Tutaj znajdziesz opis ich ostatniej drogi: z obozu w Pithiviers zostali przewiezieni do Drancy, a stamtąd do Oświęcimia. Bardzo mi przykro. Główną winę za to ponoszą hitlerowcy, choć nie działali sami. Czy rzeczywiście politycy Vichy nie wiedzieli, co robią, wysyłając swych rodaków do Oświęcimia? Trudno mi w to uwierzyć... Coś ci powiem, Ferdinandzie, pewnego dnia Europa będzie musiała dokonać rachunku sumienia, bo ta hekatomba nie jest skutkiem antysemityzmu jednego szaleńca, ale wieków prześladowań i pogromów, obwiniania Żydów o wszystko co najgorsze, przeklinania ich za to, że zabili Chrystusa. O dziwo, zapomina się, że Jezus Chrystus był Żydem, że chciał być właśnie Żydem, choć jego przesłanie jest oczywiście uniwersalne... Również lewica musi dokonać rachunku sumienia, bo choć oburza się na to, co się tu stało, nie doszłoby do Holokaustu, gdyby nie ta pożywka w postaci wielu wieków europejskiego antysemityzmu.

Ferdinandzie, obaj wykładamy na wyższych uczelniach i mamy obowiązek wytykać naszym rodakom ich wady i grzmieć o tym, co się tu wydarzyło. Takich czynów się nie rozgrzesza.

W samolocie Ferdinand rozdarł kopertę i przejrzał kartki, na których zwięźle przedstawiono tragiczne losy rodziców Miriam. Pomyślał, że przyjdzie mu opowiedzieć synowi nie tylko o ostatnich godzinach życia jego matki, ale również o bestialskiej śmierci jego dziadków.

Cztery dni później David przyjechał do Paryża. Wypłakali razem cały zapas łez i rozmawiali o Miriam, o jej rodzicach, o przeszłości i przyszłości.

- Dziękuję, tato, że wysłałeś mnie do Izraela. Uratowałeś mi życie, przewidziałeś, co się stanie... A ja, głupi, nie chciałem wyjeżdżać! Gdybym został...

- Nie myśl o tym. Wyjechałeś i żyjesz, tylko to się liczy. Teraz musisz żyć za siebie, za mamę, za dziadków... Oni na pewno myśleli o tobie tam, w Oświęcimiu, i było im lżej na sercu, bo wiedzieli, że jesteś bezpieczny.

David się zmienił. Był teraz pewnym siebie młodym człowiekiem, miał cel, o który chciał walczyć.

- Tak, tato, jestem syjonistą. Syjonizm to nic innego jak powrót do ojczyzny, coś, co powinniśmy byli zrobić wiele wieków temu, bo w ten sposób uniknęlibyśmy tego koszmaru. Dlatego mimo sprzeciwu Anglików stworzyliśmy oddziały samoobrony. Nie, nie chodzi o regularną armię, bo chodzimy bez mundurów, a i broni mamy niewiele, ale jesteśmy gotowi walczyć o naszą ziemię. Żydzi potrzebują własnej ojczyzny, w przeciwnym razie Holokaust może się powtórzyć. Ileż razy wypędzano nas z domu, z krajów, które uważaliśmy za ojczyznę? Ileż pogromów nas jeszcze czeka? O nie, mowy nie ma, nigdy więcej nie pozwolimy się prowadzić na rzeź jak owce tylko dlatego, że jesteśmy Żydami, nie chcemy się już czuć obywatelami drugiej kategorii. Będę walczył, tato, muszę. Mama by tego chciała. Sam mi mówiłeś, że przeciwstawiła się tej wrednej dozorczyńcy i dlatego ją pobito, skatowano na śmierć. Gdyby żyła, poparłaby mnie, a ciebie namawiałaby, żebyś jechał ze mną do Palestyny. Mimo brytyjskiego sprzeciwu nadal przyjeżdżają do nas żydowscy imigranci. Podobno Powołano angielsko-amerykańską komisję, która analizuje teraz tę nieludzką Białą Księgę wydaną w 1939 roku przez Brytyjczyków w celu ograniczenia napływu Żydów do Palestyny. Teł świnię...

- Synu!

- Tatusiu, Żydzi mogą nareszcie osiedlać się w Palestynie i korzystają z okazji. Bardzo mi zależy, byś był tam razem ze mną...

- Masz rację, synu, musisz walczyć. Ale ja byłbym obłudnikiem, osiedlając się w Palestynie. Będę cię odwiedzał, przyjeżdżał do ciebie, ale nie mogę uczestniczyć w twoim marzeniu o budowaniu żydowskiego państwa. Gdyby twoja matka żyła... To twoje marzenie, synku, i popieram cię z całego serca, bez względu na to, co zrobisz, nawet jeśli będzie to nie po mojej myśli. Proszę cię tylko, byś nie zapomniał, czego nauczyliśmy cię z mamą, pamiętaj, że nie ma znaczenia, jakim imieniem zwracasz się do Boga ani w jaki sposób się do niego modlisz. Strzeż się fanatyzmu, proszę cię o to w imieniu twojej matki, która brzydziła się fanatykami.

David spojrział na ojca z powagą i rozplakał się.

- Bóg? Ja już nie wierzę w Boga, tato. Nie wierzę, bo modliłem się, by oddał mi matkę, a on mnie nie wysłuchał. Gdyby Bóg istniał, nie pozwoliłby, aby sześć milionów niewinnych ludzi zginęło w komorach gazowych. Myślisz, że oni się nie modlili, nie błagali Boga o zmiłowanie, o litość? Gdzie on wtedy był? Nie raczył ocalić niewinnych od śmierci? Nie mógł? Dlaczego pozwolił, by zakatowano mamę?

- Synu, nie obwiniaj Boga za to, co zrobił Hitler.

- Nawet jeśli Bóg istnieje, dopuścił do tej rzezi. Daliście mi świeckie wychowanie, dlatego nie mów mi teraz o Bogu. Będę walczył, by nigdy więcej nikt nie mógł nas bezkarnie mordować. Będę walczył o dom dla wszystkich Żydów, o ojczyznę, w której; będziemy się mogli schronić przed prześladowaniami. Nie liczyłem się dla Boga, gdy go potrzebowałem, a teraz Bóg przestał się liczyć dla mnie. Co jeszcze może nam zrobić?

Ferdinand nie znał odpowiedzi na pytania syna ani na swoje; własne, nie wiedział nawet, dlaczego zaprzęta sobie teraz głowę Bogiem. Czyżby był to rezultat niezliczonych godzin badań i rozmyślań nad katarami, prześladowaniami heretyków, inkwizycja™ i tyloma innymi okrucieństwami popełnionymi w jego imię?

Gdy znów musiał się rozstać z synem, poczuł się wewnętrznie rozdarty. David wracał do Eretz Israel, jak nazywał Palestynę.

David był ostatnim elementem łączącym go z życiem, ze światem, dlatego Ferdinand musiał znaleźć sposób, by nie zerwać tego ogniwa.

A teraz nie mógł się już doczekać ponownego spotkania z synem, do którego wybierał się za miesiąc lub dwa - zaraz po ukończeniu prac nad kroniką brata Juliana i opublikowaniu jej wyników przez uniwersytet w postaci rozprawy naukowej. Również hrabia d'Amis niecierpliwie wypatrywał owocu tylu lat pracy przerwanej przez wojnę.

Miesiąc później, tuż przed wyjazdem Ferdinanda do Izraela, kierownik wydziału historii wezwał go do swego gabinetu. Ku swemu zdumieniu Ferdinand zastał tam nie tylko przełożonego, ale również trzech księży.

- Poznaj, proszę, ojca Neversa z nuncjatury papieskiej we Francji, ojca Grilla z Kancelarii Stolicy Apostolskiej oraz jego sekretarza, Ignacia Aguirre - przedstawił gości kierownik.

- Bardzo mi przyjemnie - Ferdinand podał duchownym rękę, nijak nie potrafiąc sobie wytłumaczyć ich obecności.

- Moi goście sami przedstawiają powód swej wizyty oraz prośbę, z jaką się do nas zwrócili - wyjaśnił kierownik.

Ojciec Nevers i ojciec Grillo wymienili szybkie spojrzenia, ustalając, który z nich ma pierwszy zabrać głos. Wybór padł na Francuza.

- Profesorze Arnaud - zaczął Nevers - przejdę od razu do rzeczy...

- O tak, byłbym wdzięczny - poprosił Ferdinand coraz bardziej zdziwiony.

- Wiemy, że pracował pan dla hrabiego d'Amisa.

- Proszę wybaczyć, ale to nie do końca prawda - przerwał duchownemu mediewista. - Zapewne pan kierownik wyjaśnił panom, że prowadziłem badania kroniki spisanej przez dominikańskiego zakonika podczas oblężenia Montsegur. Dokument ten trafił w moje ręce właśnie za pośrednictwem hrabiego d'Amisa, który poprosił mnie, abym potwierdził jego autentyczność. Następnie hrabia podpisał z uniwersytetem umowę umożliwiającą mi dogłębne zbadanie tego cennego świadectwa oraz poszerzenie naszej wiedzy na temat wojen albigeńskich, a zwłaszcza kształtowania się Francji w jej dzisiejszych granicach. Tym właśnie zajmowałem się w ostatnich latach. Pracowałem dla uniwersytetu, nie dla osoby prywatnej, a wyniki moich badań zostały opublikowane pod egidą uczelni.

- A jednak pozostawał pan w stałym kontakcie z hrabią cTAmisem - stwierdził tym razem ojciec Grillo nienagannym francuskim.

- Tak, oczywiście, musiałem zbadać również rodzinne archiwa hrabiego, dlatego dość często odwiedzałem jego zamek, z wyjątkiem okresu wojny.

- Moi goście zapoznali się już z wynikami pańskich badań - wtrącił kierownik wydziału - co mnie zresztą mile zaskoczyło.

- Przypuszczam, że niepokoi panów fakt, iż w dzisiejszych czasach publikuje się rozprawę analizującą krucjatę przeciwko katarom, mogę jednak zapewnić, że moja praca jest

pozycją stricte naukową, bynajmniej nie zamierzałem atakować Kościoła za jego dawne błędy - wyjaśnił Ferdinand tonem, w którym pobrzmiwało pewne rozdrażnienie.

- Panie Arnaud, nie przyszliśmy tu roztrząsać dawnych zdarzeń ani zamierzchłych decyzji Kościoła. Interesuje nas terażniejszość, a nie wnioski autora jakiejś rozprawy naukowej na temat tego, co wydarzyło się w trzynastym wieku - odrzekł przedstawiciel nuncjatury, ojciec Nevers.

- Doskonale, proszę więc powiedzieć w czym rzecz - zniecierpliwił się Ferdinand.

- W ostatnich latach mimo toczącej się wojny grupki... niby-badaczy... że użyję takiego określenia... niemieckich, ale również francuskich, przekopywały okolice Montsegur, szukając... szukając skarbu, i wiadomo nam, że pan nimi kierował - wyjaśnił ojciec Nevers.

- O nie! Nic z tych rzeczy! Nikim nie kierowałem! - oburzył się Ferdinand.

- Świadkowie twierdzą co innego.

- Zaraz panom wyjaśnię, co tam robiłem, ale najpierw proszę mi powiedzieć, o co chodzi. W czym problem?

Ojciec Grillo chrząknął. Ferdinand przyjrzał mu się uważnie. Był to mężczyzna w średnim wieku, o starannie zaczesanych włosach przyprószonych siwizną, śniadej cerze i subtelnym, długich palcach. Miał w sobie coś z arystokraty. - Panie Arnaud, powiemy panu, w czym problem - oznajmił przedstawiciel Kancelarii Watykanu. - Od kilku miesięcy dochodzą nas informacje o wykopaliskach prowadzonych przez grupkę pronazistów w okolicach Montsegur. Od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku trwają tam poszukiwania skarbu katarów, skarbu, którym, jak niektórzy twierdzą, jest święty Graal.

Ferdinand parsknął śmiechem, zbijając tym z tropu trzech duchownych oraz samego kierownika wydziału, który zganił wykładownicę wzrokiem.

- Na Boga! Mam nadzieję, że panowie nie wierzą w te bajki! Opublikowałem kilka książek na temat prześladowań heretyków oraz tamtego okresu w historii Francji, w każdej z nich poświęciłem trochę miejsca owemu skarbowi, wyjaśniając, że składały się nań tylko i wyłącznie monety i klejnoty wywiezione z Montsegur po to, aby pozostali przy życiu katarzy mieli za co utrzymywać Kościół Dobrych Chrześcijan. Nie ma nic tajemniczego w tym skarbie, nic a nic. Graal nie istnieje, nie ma żadnego świętego Graala. Radziłbym panom unikać ezoterycznych czytańleń tudzież książek tego nazisty, Ottona Rahna, swoją drogą znakomitego bajarza. Jestem historykiem, nie powieściopisarzem, dlatego we wszystkich moich pracach odzegnuję się od absurdałnej teorii o Graalu.

- W takim razie co pana łączyło z owymi zespołami badawczymi? - zapytał kierownik wydziału.

- Przecież dobrze pan wie - prychnął rozeźlony Ferdinand - bo już nieraz to panu tłumaczyłem. Tak, hrabia d'Amis ściągał do Montsegur młodzież i kazał jej przekopywać okolicę pod kierunkiem wykładowców z niemieckich uniwersytetów, którzy zauroczeni historyjkami Rahna, wierzyli, że znajdą skarb katarów. Te zespoły badawcze zmieniały się, ich członkowie pojawiali się i znikali. Hrabia podsuwał mi tylko czasami do oceny raporty z ich prac, mimo że słyszał ode mnie niezmiennie jedno i to samo: że wyciągają fałszywe i nonsensowne wnioski, bo w Montsegur nie ma żadnego skarbu, a Graal nie istnieje. Powtarzałem to, choć nigdy nie powiedziano mi wprost, że chodzi właśnie o świętego Graala. Te moje oceny były drobnym haraczem, jaki musiałem płacić, by hrabia udostępnił nam swe rodzinne archiwa. Tak, to byli pronaziści, jak słusznie panowie zauważyli. - Przy tych słowach Ferdinand zerknął na duchownych. - Choć na dobrą sprawę niewiele się różnili od wielu Francuzów, którzy kolaborowali z hitlerowcami. Ja w każdym razie starałem się ich ignorować, gdyż budzili we mnie antypatię, zresztą podobnie jak sam hrabia. Moim jedynym celem było zbadanie i zgłębienie kroniki brata Juliana. O niej właśnie traktuje moja ostatnia książka i skoro ją panowie przeczytali, na pewno nie mają co do tego wątpliwości.

- Proszę opowiedzieć nam wszystko o zespołach badawczych hrabiego, o tym, czego on naprawdę szukał - powiedział z naciskiem ojciec Nevers.

- Przecież już tłumaczyłem, że chodziło mu o skarb katarów. Jak panowie zapewne wiedzą, niejaki Napoleon Peyrat, pastor Kościoła reformowanego, postać nader barwna, napisał *Historię albigensów*, a raczej, należałoby powiedzieć, stworzył nową historię... zlepek mitów, legend i bajeczek dla dzieci... choć trzeba mu pogratulować wyobraźni, podobnie zresztą jak Ottonowi Rahnowi. Opowieści Peyrata zapoczątkowały modę na wszystko, co prowansalskie, i właśnie pod ich wpływem zaczęto wysuwać śmieszne teorie nacjonalistyczne dotyczące Langwedocji. W ślady Peyrata poszły mniej znaczące postacie, ezoterycy i okultyści, rozwijając i ubarwiając historie o katarach tudzież Langwedocji. Przyczynił się do tego walnie inny pisarz, Maurice Magret, który poświęcił katarom niesamowity rozdział w swojej książce *Nowi magowie*. Przed wojną Magret miał rzesze wielbicieli, należał do nich chociażby, po cóż daleko szukać, sam Otton Rahn.

- A co ma z tym wszystkim wspólnego hrabia d'Amis? - dopytywał się ojciec Grillo.

- Hrabia jest potomkiem katarskiej *parfai* spalonej na stosie po upadku Montsegur. Jego rodzina ukryła kronikę brata Juliana z zamiarem przekazywania jej z pokolenia na pokolenie, przez wieki. Gdyby rękopis trafił w ręce inkwizycji, wszyscy skończyliby w płomieniach, nawet sam autor, mimo że był dominikaninem. Dlatego kronika była od początku otaczana tajemnicą, a członkowie rodu d'Amis nie ujawnili jej aż do tej pory z

obawy, że zostaną okrzyknięci heretykami. Przypominam, że całkiem niedawno papież Pius Dziesiąty, rządzący, jak panowie wiedzą, w latach tysiąc dziewięćset pięć - tysiąc dziewięćset czternaście, zreorganizował kurie, włączając do niej inkwizycję, która od tej pory poczęła się nazywać Kongregacją Świętego Oficjum. A więc oficjalnie nieistniejąca wówczas inkwizycja istnieje nadal. W ten właśnie sposób pamięć o prześladowaniach heretyków i o tym, co wydarzyło się w Montsegur, przechodziła w rodzinie d'Amis z pokolenia na pokolenie. Z rozmów z hrabią mogłem wywnioskować, że marzy mu się niepodległa Langwedocja; myślę, że jego sentyment do Trzeciej Rzeszy był wprost proporcjonalny do pogardy, jaką hrabia żywi do Francji za to, że zaanektowała, jak sam mówi, jego langwedocką ojczyznę. Cóż, niektórzy ludzie nie potrafią się pogodzić z historią, pozostają obojętni na upływ wieków i niesione przez nie wydarzenia. Hrabia marzy o niepodległej Langwedocji i nie pała sympatią do Kościoła katolickiego, choć to tylko przypuszczenia, bo w moim towarzystwie zawsze zachowywał powściągliwość i nie dzielił się ze mną opiniami politycznymi ani religijnymi.

- To wszystko? - zapytał ojciec Grillo.

- To wszystko, co wiem i co mogę panom powiedzieć. Mój tu obecny kolega również miał okazję poznać hrabiego, podobnie jak inni pracownicy naszego uniwersytetu, bo całkiem niedawno przekazaliśmy mu oficjalnie rezultat moich badań. Rzekłbym, że nie jest z nich zbyt zadowolony, że oczekiwał czegoś więcej, nie zdradził jednak ani słowem swego rozczarowania. A jeśli zastanawiają się panowie, czy nadal ściąga do siebie tych młodych ludzi i zachęca ich do przekopywania Langwedocji w poszukiwaniu skarbu, to nie wiem, nie interesowałem się tym.

- Panie Arnaud, chodzą słuchy, że hrabia d'Amis natrafił na coś wyjątkowego - oznajmił ojciec Nevers.

- A na cóż takiego? - spytał zaciekawiony Ferdinand.

- Tego właśnie nie wiemy i chcielibyśmy się dowiedzieć - wyjaśnił ojciec Grillo. - Proszę posłuchać, w czasie wojny dość powszechne były pogłoski, że sam Heinrich Himmler interesuje się wykopaliskami prowadzonymi w Montsegur i że jego ludzie są w kontakcie z zespołami badawczymi hrabiego, a nawet, choć zabrzmiałoby to niewiarygodnie, że Alfred Rosenberg przeleciał w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku nad Montsegur, konkretnie szesnastego marca, czyli dokładnie w siedemsetną rocznicę kapitulacji twierdzy. No i pozostaje najgorsze z podejrzeń: prawdopodobieństwo, że znaleziono tam coś, co mogłoby zagrozić Kościołowi.

- Co właściwie panów niepokoi? Jeśli chodzi o nazistów, można się po nich spodziewać wszystkiego. Po tym, jak zagazowali sześć milionów ludzi, nie dziwi mnie

zupełnie, że Rosenberg, ulubiony nazistowski teoretyk Hitlera, wsiadł do samolotu, by polatać nad Montsegur, ani że ten zwyrodnialec Himmler interesował się ezoterycznymi dyrdymałami. Choć nic, co mi panowie powiedzą o tych ludziach, mnie nie zaskoczy, uważam, że na temat Montsegur krąży wiele łągarstw i całkiem możliwe, że podczas wojny pewnym osobom zależało na rozpowszechnianiu różnych pogłosek. Zresztą, prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Większość prac publikowanych na temat Montsegur i skarbu katarów to najzwyklejsze domysły i pobożne życzenia, dlatego nie sądzę, by natrafiono tam na coś, co mogłoby zaszkodzić Kościołowi. No, chyba że Kościół skrywa skrzętnie jakąś nieprzyzwoitą tajemnicę i obawia się, że wyjdzie ona na jaw. Nie rozumiem tylko, co tajemnica ta może mieć wspólnego z Montsegur.

- Panie Arnaud, Kościół nie ma nieprzyzwoitych tajemnic - prychnął ojciec Nevers wyraźnie urażony.

- Mnie jest w gruncie rzeczy wszystko jedno, mogłoby mnie to ewentualnie interesować jako historyka, choć w obecnej chwili nawet i to nie - odparł Ferdinand obojętnie.

- Czym pana zdaniem jest Graal? - zapytał cicho ojciec Grillo, ignorując wyraźne napięcie między ojcem Neversem a profesorem Arnaudem.

- Nie wiem, to ja powinienem panom zadać to pytanie - odrzekł Ferdinand. - Jak się panowie domyślają, nie sądzę, by kielich, z którego pił Chrystus podczas Ostatniej Wieczerzy, przetrwał dwadzieścia wieków. Czyżby któryś z apostołów pomyślał tamtej nocy o potomności i zdecydował się przechować kielich? Ale niby dlaczego kielich, a nie talerz? Panowie na pewno zgodzą się ze mną, że to nonsens. Zresztą kwestia relikwii nigdy mnie nie przekonywała. Mogę zrozumieć, że rzesze ludzi skłonne są uwierzyć na słowo, że ta czy inna kosteczka należała do jakiegoś świętego, że właśnie ten kawałek drewna pochodzi z krzyża, na którym umarł Chrystus, lub że kielich z Ostatniej Wieczerzy zachował się aż do naszych czasów, ale fakt pozostaje faktem, są to bajki dla grzecznych dzieci i coś mi mówi, że nawet panowie w nie nie wierzą. Bo wiara to coś zupełnie innego, Bóg to coś zupełnie innego.

- Nie uważamy pana za teologa - stwierdził ironicznie ojciec Grillo.

- A ja nie uważam panów i reszty duchownych za idiotów, inaczej Kościół nie przetrwałby dwóch tysięcy lat - odparował Ferdinand.

- No dobrze, skoro już się poznaliśmy i uzgodniliśmy nasze punkty widzenia - podsumował ojciec Grillo - przejdźmy do kolejnej kwestii. Czy mógłby pan nam pomóc w ustaleniu, co dokładnie znaleziono w Montsegur?

- Nie ma czego ustalać, bo tam nie było czego szukać.

- Kościół powinien wiedzieć, z czym się mierzy - wyjaśnił ojciec Nevers.

- Kościół nie musi się z niczym mierzyć, co najwyżej z bujdą, którą nietrudno będzie zdementować.

- Mógłby pan jednak złożyć hrabiemu wizytę i zbadać sprawę? - poprosił wprost ojciec Grillo. - Jeden z nas chętnie będzie panu towarzyszył.

- Moje stosunki z hrabią są... delikatnie mówiąc... napięte, zresztą właśnie dlatego, że nie chciałem mieć nic wspólnego z jego zespołami badawczymi. A jeśli chodzi o towarzystwo... Z daleka widać, że są panowie księżmi, a nie sądzę, by hrabia miał ochotę się wypowiadać, chyba że...

- Chyba że... - podchwycił ojciec Grillo.

- Sam nie wiem... Pan... - Ferdinand zwrócił się do młodego sekretarza - nie wygląda na księdza, mógłbym pana przedstawić jako mojego studenta.

Ignacio Aguirre drgnął, czując, że wszystkie oczy skierowały się na niego, i wzrokiem poprosił ojca Grilla o ratunek.

- Ach, nasz młody Aguirre! - pospieszył mu w sukurs tenże. - To utalentowany chłopak, kiedyś będzie miał okazję wykazać się swymi zdolnościami w służbie Kancelarii Stanu, ale na razie jest tylko asystentem, kopistą, brakuje mu stosownej wiedzy i doświadczenia. Wziąłem go do siebie, bo jego przełożony prosił, bym przez letnie miesiące przyjął go na praktykę, ale jego przyszłość dopiero się waży. Ignacio nie ukończył jeszcze studiów.

- Jeśli zabiorę pana na zamek, hrabia od razu zorientuje się, że jest pan grubą rybą, a nie, dajmy na to, miłośnikiem średniowiecznej historii. Na pierwszy rzut oka można w panu rozpoznać człowieka Kościoła. Co się natomiast tyczy ojca Neversa... chyba widziałem niedawno jego zdjęcie w prasie. Właśnie dlatego pomyślałem o pana sekretarzu. Choć równie dobrze mogę jechać sam i popробować szczęścia, powtarzam jednak, że hrabia nie jest zachwycony wynikami moich badań i nie wiadomo, czy w ogóle zechce mnie przyjąć.

Ojciec Grillo i ojciec Nevers znów wymienili spojrzenia, jakby nauczyli się porozumiewać bez słów.

- Dobrze, wyślemy młodego Aguirre'a, niech się zaprawia w bojach. Kiedy chce pan jechać? - zapytał jeszcze ojciec Grillo.

- Jutro, najpóźniej pojutrze. Za dziesięć dni lecę do Izraela odwiedzić syna i nie zamierzam przekładać tego wyjazdu dla nikogo ani dla niczego.

- Nie wymagamy od pana aż takiego poświęcenia, panie Arnaud. Wiemy, co pan i pański syn wycierpieliście. Będziemy wdzięczni, jeśli uda się panu czegokolwiek dowiedzieć - odparł ojciec Nevers.

- Ten młody człowiek powinien chyba przeczytać moją pracę o bracie Julianie - zasugerował Ferdinand - i odświeżyć swą wiedzę o katarach. Pojutrze, jeśli to panom odpowiada, ruszamy w drogę. Zadzwoń do hrabiego i uprzedzę go o naszej wizycie. Mam nadzieję, że nie wykręci się od spotkania. A, jeszcze jedno! Jeśli ma pan uchodzić za mojego ucznia, proszę się ubrać jak student - pouczył na koniec sekretarza.

16

Podczas podróży pociągiem Ignacio Aguirre poprosił Ferdinanda, by opowiedział mu prawdziwą historię katarów.

- Cóż, powinienem wiedzieć o nich więcej, ale ten temat nie jest moją mocną stroną - przyznał.

Ferdinand mówił bardzo długo. Dopiero gdy zbliżali się już do celu, sięgnął po list od Davida znaleziony tuż przed wyjazdem w skrzynce pocztowej.

Kilka dni temu jadłem kolacją w domu Hamzy. Jego matka przyrządziła jagnią w ziołach, najpyszniejsze, jakiego kiedykolwiek próbowałem. Zaniósłem im praśny chleb wypiekany przez nas w kibucu oraz koszyk owoców z naszego sadu. Hamza roześmiał się i powiedział, że niepotrzebnie zawracałem sobie głowę, bo sam potrafi się zaopatrywać w kibucowe owoce. Przegadaliśmy cały wieczór. Obawiają się, że chcemy wygnać Arabów z ich ziemi, i przyznali, że ich przywódcy próbują ich do nas zrazić. Tata Hamzy twierdzi, że wcześniej czy później dojdzie między nami do walki, choć ja tłumaczyłem, że można tego uniknąć, że wszystko zależy od nas. Wczoraj Hamza był na kolacji u nas, w kibucu. Został dobrze przyjęty, jak zwykle był z początku nieco onieśmielony, ale potem szybko się rozkręcił i czuł się jak u siebie w domu. Nie może się nadziwić, że wszystko jest tu wspólne, że jemy razem, że nikt nie posiada nic na własność, a podziały społeczne nie istnieją. Tutaj inżynier i rolnik są tyle samo warci, bo wszyscy wykonujemy tę samą pracę. Zwróciło również jego uwagę, że dzieci mieszkają w jednym domu, dogłądane na zmianę przez matki dwojga z nich, podczas gdy pozostałe kobiety pracują. Pokazałem Hamzie wszystkie kibucowe zakamarki, wyznał, że czasami, gdy nikt nie patrzy, podkrada nam jabłka. Hamzę zdziwiło, że nie mam mu tego za złe, bo skwitowałem tylko jego wybiyki śmiechem, pmsząc jednak, by nie dał się przylapać na gorącym uczynku. Potem, przy kolacji, rozmawialiśmy o tym, jaka szkoda, że nie udało się stworzyć żydowsko-palestyńskiego państwa w myśl propozycji Ligi Narodów z 1937 roku. Ale arabscy przywódcy nie chcieli o tym słyszeć. Tłumaczyłem Hamzie, że to był błąd,

bo przecież mogliśmy utworzyć państwo na wzór Szwajcarii. Cóż, co się stało, to się nie odstanie, ale wszystko się we mnie buntuje na myśl, że pewnego dnia z winy polityków Hamza i ja staniemy po przeciwnych stronach barykady.

Choć pochodzimy z dwóch różnych światów, w gruncie rzeczy niewiele się od siebie różnimy Aha, Hamza mówi, że można mnie już jako tako zrozumieć, gdy mówię w jego języku, choć przyznaję, że nauka francuskiego idzie mu znacznie lepiej niż mnie nauka arabskiego, bo Hamza łapie wszystko w lot. Jest moim najlepszym przyjacielem. Polubisz go. Nie mogę się doczekać Twojego przyjazdu, zostaniesz tu przyjęty z otwartymi ramionami. Wiem, że zadziwi Cię życie w kibucu, w końcu to socjalizm w najczystszy wydaniu. I jeszcze coś! Rodzice Hamzy zapraszają cię na kolację...

W dalszej części listu David opisywał kolejne ciekawostki z kibucu i okolicy.

Życie w Izraelu nie było wolne od trudności i wyrzeczeń, ale chłopak był tam szczęśliwy - tyle przynajmniej mógł wywnioskować Ferdinand z jego częstych listów.

- Dobre wieści? - zagadnął profesora Ignacio Aguirre.

- To list od mojego syna. Tak, ma się dobrze.

- Mieszka daleko stąd?

- W Palestynie. David jest Żydem, jego matka była Żydówką. Słowa Ferdinanda zabrzmiały niczym zaczepka, twarz jego towarzysza podróży poczerwieniała.

- Wiemy, ile pan wycierpiał - bąknął.

- Inwigilowaliście mnie? - zapytał z zaciekawieniem Ferdinand.

- Och, nie! Nic z tych rzeczy! Gdy zaczęły dochodzić nas wieści o tym, co dzieje się w Montsegur, i pojawiło się pańskie nazwisko... Wyobrażam sobie, że nuncjatura w Paryżu chciała się po prostu czegoś o panu dowiedzieć.

- Pewnie, a więc nie tylko przeczytaliście moją pracę na temat brata Juliana, ale również postanowiliście sprawdzić, z osobą jakiego pokroju macie do czynienia. Dobrze mówię?

Duchowny nie od razu odpowiedział, najpierw uśmiechnął się, by zyskać na czasie.

- Społeczność naukowa bardzo pana ceni. A pańska rozprawa na temat brata Juliana jest ogromnie ciekawa, aż trudno nie wziąć tego dominikanina za człowieka z krwi i kości.

- Bo brat Julian był człowiekiem z krwi i kości, zupełnie jak ksiądz lub jak ja; człowiekiem, którego wątpliwości wpędziły w chorobę. Próbował pozostać wierny Bogu oraz swym bliskim, a to skazało go na życie w zakłamaniu.

- Brat Julian zdradził Boga, by dochować wierności rodzinie, która zresztą nie była skłonna go zaakceptować.

- Naprawdę myśli ksiądz, że brat Julian zdradził Boga?

- Oczywiście - odparł duchowny.

- A ja wcale tak nie uważam. Brat Julian po prostu starał się pogodzić dwie bliskie swemu sercu wartości, jednak nigdy nie zważył w Boga.

- Nie wiedział, któremu Bogu służyć.

- Zawsze służył temu samemu Bogu, bo istnieje tylko jed Bóg, bez względu na to, jakie nada mu się imię, jakimi słowami się do niego modlimy, jak go postrzegamy. Brat Julian nigdy nie zaparł się krzyża, choć brzydził się tym, co czyniono w jego imieniu. Czy ksiądz nie miałby tego samego dylematu?

Ignacio Aguirre zamyślił się, zadając sobie w duchu to samo pytanie: Jak zachowałby się na miejscu dominikanina? Czy p: trafiliby znieść fanatyzm swych braci?

- Nie można nikogo sądzić, nie biorąc pod uwagę okoliczności, w których przyszło mu żyć - odparł w końcu. - Nie należy analizować historii z dzisiejszego punktu widzenia.

- Teraz rozumiem, dlaczego mimo tak młodego wieku pracuje ksiądz w Kancelarii Watykanu.

Duchowny zachichotał, czym zupełnie skonfundował Ferdinanda.

- Wcale tam nie pracuję! - wykrzyknął. - Przecież ojciec Grillo wspominał już panu, że przyjęto mnie tam tylko na lato, bo jego znajomy, a mój przełożony, poprosił go, by wziął mnie na praktykę, na przysposobienie. Robię tam przeróżne rzeczy: pefl rządкую archiwum, roznoszę kawę, przepisuję listy, tłumaczę dokumenty... Ojciec Grillo przywiózł mnie tu tylko dlatego, że jego sekretarz wziął akurat urlop i pojechał odwiedzić chorą matkę, jsjo i właśnie dzięki temu trafiła mi się taka okazja... bo wycieczka do Francji to dla mnie prawdziwa gratka.

- Mówi ksiądz całkiem dobrze po francusku.

- Pochodzę z Kraju Basków.

- A co to ma do rzeczy?

- Jedna z moich ciotek wyszła za Francuza z Biarritz i spędziłem z nią oraz moimi ciotecznymi braćmi wiele wakacji. Podobno mam dryg do języków. Mój dyrektor mawia, że ktoś, kto zdołał opanować baskijski, może się nauczyć każdego innego języka.

- Proszę mi wybaczyć ciekawość, ale co skłoniło takiego młodego człowieka jak pan do zostania księdzem?

- Powołanie do służby Bogu. Moi rodzice oddali mnie na naukę do seminarium, bo, jak pan pewnie słyszał, tam właśnie trafiają często gęsto dzieci niezbyt zamożnych rodziców, którzy chcą zapewnić swym pociechom wykształcenie. Właśnie w seminarium usłyszałem boże wezwanie. No i dzięki pomocy pewnego jezuitę, dalekiego krewnego mojego ojca - bo wie pan zapewne, że święty Ignacy Loyola pochodził z moich stron - spędziłem ostatnie lata na studiach w Rzymie.

- Ma pan przed sobą przyszłość, młody człowieku, być może pewnego dnia zostanie pan papieżem, choć na razie, bez sutanny, nie wygląda pan na księdza, ale na najzwyczajszego chłopaka pod słońcem...

- Jestem jezuitą, będę służył Panu tam, gdzie mnie pośle, choć na papieski tron trudno mi się będzie chyba wdrapać - zauważył Ignacio nie bez poczucia humoru. - A pan? Jest pan wierzący?

- W głębi duszy jestem agnostykiem, szanuję jednak Boga oraz tych, którzy w niego wierzą.

- Zapewnia pan o swym agnostycyzmie, a mówi o Bogu, jakby był pan pewien jego istnienia.

- Nie, nie mam żadnej pewności, mogę mówić tylko o szacunku. Moi rodzice również są agnostykami. Przez ostatnie lata nigdzie nie natrafiłem na ślad boskiej obecności, więc fakt, że nadal jestem tylko agnostykiem, i tak zakrawa w moich oczach na cud.

Pogawędka schodziła na tematy coraz bardziej osobiste, więc Ferdinand postanowił skierować ją na katarów i brata Juliana, Podczas gdy pociąg zbliżał się powoli do ich stacji.

17

Raymond powitał ich w bramie zamku. Syn hrabiego wyrósł na wysokiego, krzepkiego chłopaka. Uwagę zwracały bardzo zielone oczy, pełne ciekawości, ale jednocześnie narzucające dystans.

- Witamy na zaniku, profesorze - pozdrowił Ferdinanda. - Pana również, panie...

- Aguirre - powiedział Ferdinand, bo duchowny był jeszcze nieco speszony sytuacją, w jakiej się znalazł.

- Mój ojciec wraca dopiero jutro, ale gdy zadzwoniłem do niego, by mu zakomunikować, że pragnie pan nas odwiedzić, prosił, bym pana przyjął i ugościł aż do jego powrotu. Poleciałem przygotować dla pana ten sam pokój co zwykle, pan, panie Aguirre, zamieszka w pokoju obok. Mam nadzieję, że będą się panowie u nas czuli jak u siebie w

domu. Obiad zostanie podany za dwie godziny. Jeśli będą mnie panowie potrzebowali, jestem do panów dyspozycji.

- Ignacio jest znakomitym studentem, jeszcze trochę, a będzie wiedział o katarach więcej ode mnie. W ostatnich miesiącach bardzo mi pomógł w pracy nad książką o bracie Julianie, dlatego uznałem, że powinien poznać miejsce związane z moimi badaniami...

- Bardzo słusznie, profesorze. Zamierzają panowie pojechać; do Montsegur?

- Jak najbardziej. Opowiadałem Ignaciowi, że panuje tam szczególny nastrój, w Monsegur człowiek oddycha historią, którą przesiąkła cała okolica.

- To prawda, nikt, kto znajdzie się w pobliżu zamku, nie pozostaje obojętny - potwierdził Raymond.

Do zamku podjechał jeep, a w nim dwaj mężczyźni: jeden młody, drugi w wieku Ferdinanda.

- Ci dwaj dżentelmeni również są gośćmi ojca, właśnie wracają z przejażdżki - wyjaśnił Raymond, podczas gdy nieznajomi wysiedli z samochodu i przekazali kluczyki lokajowi.

- Przedstawiam panom profesora Arnauda i jego asystenta, pana Aguirre. A to panowie Stresemann i Randall.

Przywitali się dość oschle, odbyli niezobowiązującą pogawędkę na temat pogody i uroków miejscowej przyrody, po czym poszli do swoich pokojów.

Niedługo potem majordomus zapukał do drzwi Ferdinanda, by powiadomić go, że Raymond z przyjemnością oprowadzi ich po okolicy.

Ferdinand i Ignacio przyjęli zaproszenie syna hrabiego, bo chłopiec najwyraźniej pragnął wykazać się w roli gospodarza.

- Rozumiem, że pana również fascynuje historia katarów? - zwrócił się do towarzysza Ferdinanda.

- Tak, profesor Arnaud zaraził mnie swym entuzjazmem - odparł młody ksiądz, oblewając się rumieńcem wobec tak bezpośredniego pytania, tym bardziej że musiał kłamać.

- Czy poznał pan dobrze historię brata Juliana?

- Cóż... tak... w rzeczy samej... to pasjonująca opowieść. Tyle w niej cierpienia!

Postanowiwszy nie wtrącać się do pogawędki swych młodych towarzyszy, Ferdinand przysłuchiwał im się tylko podczas wspólnego spaceru wokół zamku. Pomyślał, że może Raymondowi znów wymknie się jakaś niedyskretna uwaga, zupełnie jak przed laty w rozmowie z Davidem. Po młodym arystokracie widać było surowe wychowanie oraz świadomość, że pewnego dnia, gdy odziedziczy tytuł hrabiego, będzie musiał stanąć na

wysokości zadania i przyjąć na siebie brzemień rodzinnej historii, a przynajmniej, jak pouczał go ojciec, spełnić pokładane w nim nadzieje.

- Nie mogę znieść nietolerancji Kościoła, który niczym posiadacz jedynej racji ogniem i mieczem narzuca swe przekonania, nie potrafiąc uszanować innych poglądów. A przecież, skoro jeszcze przed powstaniem Kościoła istniały odmienne religie, dlaczego Kościół katolicki miałby mieć monopol na prawdę? - pokrzykiwał Raymond.

- Bo jest spadkobiercą prawdy objawionej przez Boga - stwierdził Ignacio skrepowany faktem, że nie może rozwinąć myśli, bo Ferdinand dał mu znak, by nie wdawał się w religijne dyskusje z młodym hrabią.

- Prawdy objawionej? To bajeczka dla grzecznych dzieci... - orzekł Raymond z przekonaniem. - Ileż soborów musiało się odbyć, zanim ustalono, w co mają wierzyć katolicy? Nie istnieje żadna prawda objawiona, wszystkim steruje potężna machina władzy zaprojektowana do zawładnięcia naiwnymi umysłami.

- A pan, w co pan wierzy? - zapytał Ignacio.

- Ja? W rozum oraz w prawo ludzi do wierzenia, w co zechcą. Wie pan, dlaczego Kościół Dobrych Chrześcijan był o krok od odniesienia zwycięstwa nad Kościołem katolickim? Ano dlatego, że katarscy *parfaits* żyli w skromności i ubóstwie, czyli tak, jak powinni żyć wszyscy dobrzy chrześcijanie. I właśnie dlatego Kościół postanowił skończyć z katarami... nie mógł znieść takiego przykładu. W mojej rodzinie też byli „Doskonali”.

- Tak, wiem, Maria... - rzucił Ignacio, któremu coraz trudniej było się opanować i nie wygarnąć Raymondowi jak, jego zdaniem, należało.

- Maria, jej córka Marian, Bertrand, ich dzieci... - zaczął wymieniać Raymond.

- Ale chyba pan nie jest katarzem...

- Nie, nie... Już mówiłem, że wierzę tylko w rozum. Choć to jest nadal ziemia katarów, cóż z tego, że pozostają oni w ukryciu?

- Katarzy nadal istnieją? - zdumiał się Ignacio.

- A jakże! Ideałów i przekonań nie da się zgładzić. Wszystkie oksytańskie rodziny wywodzą się od katarów.

Ferdinand słuchał Raymonda z narastającym niepokojem, bo w jego słowach pobrzmiwał fanatyzm.

Obiad zjedli w towarzystwie pozostałych dwóch gości hrabiego, którzy przedstawili się jako badacze kataryzmu.

Ignacio słuchał w milczeniu, jak Ferdinand obala niektóre ich teorie. Na koniec zaskoczył wszystkich stołowników, pytając ni z tego, ni z owego:

- To panowie wierzą w istnienie Graala?

Ferdinand spojrział na niego zdumiony, Raymond - zaciekawiony, natomiast Stresemann i Randall milczeli.

- Pytam, bo dużo na ten temat czytałem. Niektórzy historycy twierdzą, że skarbem katarów był właśnie Graal. Mój profesor w to nie wierzy i zawsze nam powtarza, że to tylko legenda, ale sam nie wiem... Proszę mi wybaczyć, profesorze Arnaud, że nie podzielał pańskiego przekonania - tłumaczył Ignacio.

Nikt nie kwapił się, by zabrać głos, nawet Ferdinand, który nie bez podziwu obserwował, jak młody ksiądz próbuje zastawić na swych rozmówców pułapkę.

- Teoria profesora Arnauda jest równie prawdopodobna jak ta, że skarb katarów istnieje i jest nim Graal - zawyrokował pan Randall.

- Nie można niczego odrzucać a priori - sekundował mu pan Stresemann.

- Owszem, można. My, historycy, zdecydowanie odrzucamy fantazje i wymysły autorów powieści ezoterycznych. Panowie, historia to poważna nauka, nie dopuścimy, by skaziła ją bujna wyobraźnia pseudonaukowców - rzucił surowo Ferdinand. - A co się tyczy mojego ulubionego studenta... Widzę, że nie sprawdziłem się jako wykładowca... A przecież nagrodiłem go najwyższą oceną i liczę, iż z czasem zostanie moim asystentem.

- No, a panowie? Czym według panów jest Graal? - dopytywał się Ignacio, znakomicie udając naiwność, czym nie przestawał zaskakiwać Ferdinanda. - Panuje przekonanie, że to kielich, z którego Chrystus pił podczas Ostatniej Wieczerzy...

- Czytał pan Wolframa von Eschenbacha? - zapytał Stresemann.

- Tak, uwielbiam go. W jego *Parsifalu* Graal jest czymś więcej, czymś, co daje temu, kto go posiada, nieograniczoną moc.

- W rzeczy samej - potwierdził Stresemann mówiący z alzackim akcentem.

- Oby go znalezione! - wykrzyknął w uniesieniu Ignacio.

- Wiele osób z uporem maniaka poszukuje Graala, trudno jednak znaleźć coś, co nie istnieje - skwitował Ferdinand, udając, że gani swego ucznia.

- Może zabrali go templariusze... - duchowny nie dawał za wygraną.

- Związki katarów i templariuszy nie istniały, o tym również mówiliśmy na zajęciach, a nawet, jeśli mnie pamięć nie myli, Pytałem o to na egzaminie końcowym.

- Jak może pan twierdzić, że templariusze nie stawali w obronie katarów? - Pan Randall był wyraźnie oburzony.

- To nie ja tak twierdzę, dowodzą tego fakty. Zakon Rycerzy Świątyni posiadał w Langwedocji zamki oraz komandorie i żył w dobrych stosunkach z miejscowym

duchowieństwem i możnymi, nie znaczy to jednak, że mieszał się do ich sporów. Wiadomo na pewno, że templariusze walczyli z Maurami w Hiszpanii, nie garnęli się natomiast do walki z chrześcijanami, nawet heretykami. Zresztą nikt tego od nich nie żądał.

- A nie myśli pan, że właśnie templariusze mogli przywieźć świętego Graala i ukryć go w Langwedocji? - zabrał głos Raymond.

- Broń mnie, Panie Boże. Graal nie istnieje, a trudno przywieźć coś, co nie istnieje.

- Ależ profesorze - bronił swego zdania syn hrabiego - wielu badaczy utrzymuje, że templariusze odnaleźli pod Świątynią Salomona w Jerozolimie tajną skrytkę i poznali doniosłe tajemnice, które dały im wielką władzę i umożliwiły szantażowanie Kościoła wyjawieniem owych sekretów...

- To tylko ezoteryczne wymysły niepoparte żadnymi dowodami. Templariusze byli solą w oku królowi Francji, Filipowi Pięknemu, który chciał ujednoczyć wszystkie zakony rycerskie, podporządkować je sobie, no i, ma się rozumieć, przejąć ich majątek. Król, skłócony z Bonifacym Ósmym, urządził nagonkę na papieża, głównie ze względu na jego sprzeciw wobec podatku nałożonego przez Filipa na kler. Francuski monarcha bardzo potrzebował tych pieniędzy, toczył bowiem wojnę z Anglią i skarbiec królewski świecił pustkami. Zausznik i doradca Filipa Pięknego, Guillaume z Nogaret, realizował królewską politykę wobec papieża i templariuszy.

- Oskarżono ich o plucie na krzyż, zapieranie się krzyża - przypomniał Raymond, a na jego wargach zamajaczyły uśmiezek. - Zupełnie jak katarów.

- Pewien templariusz wydalony z zakonu zaczął oskarżać swych dawnych współbraci o bluźnierstwa, sodomię, sekretne rytuały inicjacyjne... Człowiek ten spadł Nogaretowi z nieba, dostarczył mu bowiem wymówki pozwalającej Filipowi wytoczyć templariuszom proces. Nogaret namówił głównego inkwizytora Francji będącego jednocześnie królewskim spowiednikiem dój wszczęcia śledztwa przeciwko Zakonowi Rycerzy Świątyni. Rządzący już wówczas papież Klemens Piąty skarcił inkwizytora i zganił króla za pakowanie nosa w nie swoje sprawy. Wtedy Filip, za pośrednictwem Nogareta, rozpoczął nagonkę również na nowego papieża. Mimo to Klemens Piąty długo stawiał opór i należy pamiętać, że z początku uznał templariuszy za niewinnych, a i potem nakazał zbadać postępowanie rycerzy, ale każdego z osobna; nie chciał potępiać całego zakonu, gdyż niektórzy templariusze przyznali się do grzesznych praktyk, o które ich oskarżano, inni natomiast odwołali zeznania, tłumacząc, że wymuszono je na nich torturami...

- No, ale pluli czy nie pluli na krzyż? - przerwał mu stanowczo Raymond.

Ferdinand dostrzegł jego kpiące spojrzenie odpowiadające intencji pytania. Ten młokos chciał usłyszeć od niego „tak” lub „nie”, wyjaśnienia i niuanse guzik go obchodziły.

- Niektórzy templariusze przyznawali się na torturach do potwornych zbrodni, ale moim zdaniem i jak wynika z materiałów źródłowych, czyli faktów, Zakon Rycerzy Świątyni nie był organizacją ezoteryczną, choć pewni powieściopisarze lubią sięgać do tego wątku i przedstawiają templariuszy w nimbie tajemniczości. Rozwiązanie zakonu spowodowane było sporem między królem Francji a papieżem, religia nie miała z tym nic wspólnego. Filip Piękny zażądał między innymi, aby Klemens Piąty ekskomunikował swego poprzednika, Bonifacego Ósmego, za herezję, czemu nowy papież się zdecydowanie sprzeciwił, choć nie mogąc drażnić króla, ustąpił w końcu w sprawie templariuszy.

- Nie odpowiedział pan na moje pytania - nie dawał za wygraną Raymond.

- Gdyby cię torturowano... ciebie lub kogokolwiek z nas... wcześniej czy później przyznalibyśmy się do niestworzonych rzeczy, dlatego uzyskane w ten sposób zeznania nie są w stu procentach wiarygodne. Choć wiele osób upiera się, by przedstawiać templariuszy jako zakon owiany tajemnicą, prawda jest bardzo prozaiczna: rycerze świątyni mieli po prostu pecha i ich ostatni wielki mistrz, Jakub z Molay, nie był ani wzorem inteligencji, ani doświadczonym politykiem. Nie obwiniam go za to, co się stało, twierdzę tylko, że nie zdołał stanąć na wysokości zadania i stawić czoła trudnej sytuacji, w której znalazł się jego zakon.

- A więc nie zaprzecza pan, że templariusze pluli na krzyż - stwierdził Raymond wyraźnie uradowany.

- Owszem, zaprzeczam. Wszystkie wydumane historyjki, jakoby rycerze świątyni znaleźli Graala i odkryli tajemnice mogące zagrozić Kościołowi, to bujdy. Na Boga, nie mylmy powieści z historią!- Wypowiedział pan otwartą wojnę powieściopisarzom - zauważył Ignacio.

- Powieść historyczna może być, nie przeczę, wciągająca, nie oznacza to jednak, że przedstawia prawdziwą wersję wydarzeń.

Po obiedzie Raymond zaprosił paryskich gości na zwiedzanie Carcassonne. Następnego dnia z samego rana mieli wyruszyć do Montsegur.

Ferdinand nie mógł się nadziwić sprytowi, z jakim jezuita zdobywał sobie zaufanie Raymonda, podważając prawdę historyczną i ujmując się za mitami, czyli za pożywką, którą od lat karmili się wytrwale hrabia i jego syn.

Carcassonne wprowadziło Ignacia w zachwyty i tym razem Ferdinand nie miał wątpliwości, że jest to zachwyty szczery.

Wieczorem profesor, zgodnie z planem uknutym wraz z jezuitą, wymówił się od kolacji nieznośnym bólem głowy i zmęczeniem. Obecność Ferdinanda wyraźnie krępowała syna hrabiego, który w towarzystwie duchownego zdawał się czuć swobodniej.

Spotkał ich jednak zawód, ponieważ podczas kolacji ani Raymond, ani pozostali goście nie powiedzieli niczego istotnego, słowem też nie napomknęli o znalezieniu Graala, Ignacio nie miał natomiast odwagi pytać.

Nazajutrz skoro świt wyruszyli do Montsegur. Dopiero tam Raymond, ulegając czarowi tego niezwykłego miejsca, wykorzystał chwilę, gdy Ferdinand umyślnie się od nich oddalił, i wyznał Ignaciowi, czego hrabia i jego zespoły badawcze poszukają pośród skał.

- Profesor Arnaud jest sceptykiem. Dlatego jego rozprawie na temat brata Juliana brakuje iskry bożej, choć wszyscy wychwalają ją pod niebiosa. W rzeczywistości mój ojciec oczekiwał czegoś więcej.

- Czego mianowicie?

- Jakiejś wskazówki dotyczącej skarbu.

- Ale skąd brat Julian miałby wiedzieć, gdzie ukryto skarb?

- Maria mu ufała, nie zapominaj, że wymknęła się z Montsegur razem z dwoma *parfaits*, którzy wywieźli skarb.

- Racja - przyznał Ignacio. - No, a wy niczego tu nie znaleźliście? Przecież od tylu lat przekopujecie okolicę.

- Prawdę mówiąc, nic. W każdym razie nic, co można by nazwać Graalem. Niektórzy badacze uważają, że Graal jest meteorytem o wielkiej mocy ukrytym gdzieś w okolicy, podczas gdy inni skłaniają się raczej ku przypuszczeniu, że templariusze zabrali go do Szkocji i zakopali w Edynburgu. No... a jeszcze inny profesor, który odwiedził to miejsce, twierdzi, że Graal nie musi być wcale przedmiotem.

- W takim razie czym?

- Może być równie dobrze osobą.

- Osobą?

- Wierysz, że Jezus żył w celibacie?

- Hm... wierzę w to, czego mnie uczone...

- Pewne pradawne dokumenty dowodzą, że Chrystus ożenił się z Marią Magdaleną i że mieli nawet dzieci. Być może... cóż, być może potomkowie Jezusa są Graalem.

Ignacio nie wiedział, czy śmiać się, czy zgorszyć, nie zrobił jednak ani jednego, ani drugiego, by nie wzbudzić podejrzeń rozmówcy, który mimo wszystko budził w nim sympatię.

- Ale skąd by się tu wzięli potomkowie Jezusa?

- Mogli przybyć z Marią Magdaleną, a może dopiero wiele wieków później. Niewykluczone, że templariusze natrafili na dowody istnienia potomków Chrystusa, i to właśnie tych dokumentów tak pilnie strzegli.

- Profesor Arnaud powiedziałby, że to ezoteryczne bajeczki, tania pseudoliteratura.

- Profesora Arnauda nigdy na dobrą sprawę nie interesował Graal, skupił wszystkie swe wysiłki na kronice brata Juliana. Gdy mój ojciec prosił, by przyjechał na zamek i wysłuchał opinii jakiegoś innego specjalisty, zawsze się wykręcał. A jeśli był akurat u nas, niezmiennie krytykował wszystkie teorie niepokrywające się z jego zdaniem, nie chciał ich nawet słuchać. Ale mój tata powtarzał, że nie powinniśmy go do siebie zrażać, bo uznanie, jakim profesor Arnaud cieszy się w kręgach naukowych, ułatwia zadanie innym naszym badaczom, a wtedy właśnie o to nam chodziło.

- A więc niczego nie znaleźliście? - próbował upewnić się Ignacio.

- Niczego... Rozważamy tylko teorie, o których ci napomknąłem, i ciągle szukamy dowodów. Są tutaj, na pewno, i znajdziemy je, to tylko kwestia czasu. Chcesz się do nas przyłączyć? - zaproponował z ożywieniem Raymond.

- No... prawdę mówiąc, to byłaby wspaniała przygoda, ale chyba nie mogę... Zrozumię, muszę skończyć studia, nie jestem jeszcze wystarczająco przygotowany.

- Nie bądź taki skromny! Przecież profesor Arnaud ciągle powtarza, że jesteś jego najlepszym studentem.

- To jeszcze nie znaczy, że wszystko wiem. No, ale... zgadzam się, daj mi znać, jeśli coś znajdziecie, to byłoby wspaniale...

- Zadzwoń, jeśli będziesz chciał do nas kiedyś wpaść bez profesora Arnauda. Jesteś tu mile widziany i będziesz mógł przyłączyć się do naszych zespołów badawczych, choćby tylko na jakiś czas. Teraz nasi ludzie prowadzą poszukiwania w Edynburgu, nie można przecież wykluczyć możliwości, że tam właśnie templariusze ukryli Graala.

- A co zrobicie, gdy go znajdziecie?

- Przecież czytałeś, co pisze brat Julian w swojej kronice: trzeba pomścić krew niewinnych, nasza rodzina nie może puścić płazem zbrodni dokonanej przez Kościół. Musimy zniszczyć Kościół, chcemy, by zapłacił za swój fanatyzm i za zniewolenie tej ziemi. Ten obowiązek spadł właśnie na nas, na ród d'Amis, dziedziczymy go z pokolenia na pokolenie i mój ojciec marzy, by to właśnie jemu przypadło w udziale dokonanie ostatecznej zemsty.

- Myślisz, że tak łatwo wam będzie zniszczyć Kościół?

- Owszem. Jeśli odnajdziemy Graala, czymkolwiek on jest, dopniemy swego. Jesteśmy to winni naszej Langwedocji. Proszę, zaglądamy do nas czasami, mój ojciec i ty na pewno przypadniecie sobie do gustu, zresztą twoja wiedza przyda nam się w poszukiwaniach.

Ignacio uśmiechnął się do Raymonda, przełykając ślinę i próbując oswoić się ze wszystkimi nedorzecznosciami, jakich się nasłuchał. Raymond wydał mu się nagle szaleńcem i aż bał się pomyśleć, jaki jest jego ojciec, hrabia d'Amis, którego miał poznać jeszcze tego wieczoru.

Los zetknął go z bandą fanatyków, nie wiedział tylko, czy należy się ich obawiać, czy też są zupełnie niegroźni. Znow rozciągnął wargi w uśmiechu, czując na sobie badawczy wzrok Raymonda.

- Uważam cię za człowieka honoru, dlatego przyrzeknij mi, proszę, że profesor Arnaud nie pozna ani słowa z tego, o czym *tm* rozmawialiśmy. Wiem, że jako jego uczeń winien mu jesteś lojalność... Zwierzyłem ci się, choć chyba nie powinienem... Nie będę spał spokojnie, póki mi nie obiecasz, że wszystko zostanie między nami. - Raymond patrzył na Ignacia z bardzo poważną miną, nie mogąc się doczekać jego odpowiedzi. Ignacio poczuł się jak ostatni łajdak. Będzie musiał się wypowiedzieć i przeprosić Boga za to, co miał właśnie uczynić. Czuł się podle, wyciągając rękę do Raymonda i zapewniając:

- Nie bój się, dochowam tajemnicy.

- Aha, i nie wspominaj o niczym mojemu ojcu. Nie wybaczyłby mi takiej nieostrożności. Uważa, że jestem zbyt łatwowski. No cóż... liczę, że się na tobie nie zawiodę.

Przerwał im Ferdinand, który do tej pory trzymał się na uboczu i przechadzał po okolicy z papierosem, udając nagle zainteresowanie ruinami.

- Chyba powinniśmy już wracać. Chciałbym porozmawiać z twoim ojcem, chłopcze - powiedział.

- Oczywiście, jak pan sobie życzy.

18

Hrabia d'Amis potraktował Ferdinanda ozięble i z rezerwą, okazał jednak więcej serdeczności jego studentowi, głównie ze względu na sympatię, z jaką opowiadał mu o nim Raymond. Pierwszego wieczoru prawie nie mówili o kronice brata Juliana ani o katarach. Hrabia nie był zbyt rozmowny, a i jego gościom humor wyraźnie nie dopisywał. Zaraz po kolacji rozeszli się pospiesznie do swych pokojów.

- Wszystkiemu winni są ci jarmarczni powieściopisarze! - zaczął się zżymać Ferdinand, wysłuchawszy szczegółowej relacji Ignacia z jego pogawędki z Raymondem.

- Nie darzą tu pana zbytnim zaufaniem - zauważył jezuita.

- I wzajemnie. Przecież to banda pomyleńców! W głowie się nie mieści, że poważni, wykształceni ludzie wierzą w brednie rozpowszechniane przez kilku głupców. Proszę, proszę, a więc mamy wśród nas potomków Chrystusa! Nagle okazuje się, że w naszym świecie bez tajemnic, bo nie było ich dawniej, nie ma teraz i nie będzie w przyszłości, zdołano zadekować gdzieś na całe wieki dzieci Jezusa i Marii Magdaleny. Przecież czegoś takiego nie dałoby się ukryć.

- Cóż, pozostaje jeszcze wersja o Graalu ukrytym w Edynburgu.

- Są gotowi podziurawić wszystkie zamki w poszukiwaniu magicznego przedmiotu istniejącego tylko i wyłącznie w ich wyobraźni. To chorzy ludzie!

- Postawili sobie za cel zniszczenie Kościoła katolickiego, tak twierdzi Raymond - wyjaśnił Ignacio.

Ferdinand parsknął śmiechem.

- Co za idiotyzm! Zniszczyć Kościół!

- Ja nie widzę w tym nic śmiesznego - zachnął się Ignacio.

Ferdinand spoważniał i zatopił wzrok w pełnych niepokoju źrenicach Ignacia.

- Myśli pan, że można tak łatwo zniszczyć Jezusowe przesłanie? Myśli pan, że ludzie wierzący odwrócą się od Kościoła, gdy okaże się, że Chrystus był człowiekiem, mężczyzną? Przecież był Żydem, rabbim, a w ówczesnym społeczeństwie rabbi wstępowali w związki małżeńskie. Nie wiem, czy Jezus miał żonę, czy nie, jest nii to obojętne, w każdym razie nie dotrwały do naszych czasów wiarygodne na to dowody. Trudno mi jednak uwierzyć, że jeśli rzeczywiście założył rodzinę, zostało to utrzymane w tajemnicy przez apostołów, którzy byli przecież prostymi ludźmi, sami mieli żony i dzieci, było to więc dla nich najnormalniejszą rzeczą pod słońcem. Nie sędzę, by ludzie ci zmówili się i zataili coś takiego. Niby po co? Przecież nie oni kładli podwaliny chrześcijaństwa, nie domyślali się nawet, co Jezus zapoczątkował i w co zamienić się miało jego przesłanie na przestrzeni dziejów... Tak czy owak, nawet gdyby Chrystus był żonaty, nie oznaczałoby to bynajmniej końca Kościoła, który musiałby po prostu zaakceptować, że kapłani mogą wstępować w związki małżeńskie. I tak jak któryś sobór im tego zabronił, inny sobór odwołałby zakaz i po krzyku. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, by chrześcijanie widzieli w tym jakiś problem.

- I pan się mieni agnostykiem! - wykrzyknął Ignacio poruszony pewnością swego rozmówcy co do trwałości Kościoła.

- Agnostykiem tak, ale nie głupcem. Potrafię zrozumieć powody, dla których Kościół woli utrzymać celibat księży, nie wydaje mi się jednak, by cała instytucja kościelna miała się zachwiać w posadach, gdyby się nagle okazało, że Jezus był żonaty. Choć, powtarzam, historia nie pozostawiła nam na to żadnego rozstrzygającego dowodu, a więc... nie ma o czym mówić.

- Oni poszukują tego właśnie dowodu.

- Nadaremnie. Nie mogą znaleźć czegoś, co nie istnieje.

- To są tylko pana pobożne życzenia! - prychnął Ignacio.

- Bynajmniej, przemawia przeze mnie zdrowy rozsądek. Jestem przekonany, że Rzym ma w zanadru cały zapas odpowiedzi na wypadek, gdyby pojawiło się nagle jakieś doniesienie o żonie Chrystusa. Ale proszę się nie zamartwiać, bo ci poszukiwacze z bożej łaski nie znajdą niczego z wyjątkiem pseudoliterackich spekulacji.

7- No, proszę, kieruje się pan rozsądkiem, jeśli chodzi o potwierdzenie pozycji Kościoła. „Cóż za konkluzja! Jestem historykiem i analizuję wydarzenia z perspektywy czasu. Rodzina d'Amis, nawet Bóg wie jak bardzo zaślepiona swą domniemaną rolą mścicieli, nie zniweczy dwóch tysięcy lat historii Kościoła katolickiego. Niech się pan nie zamartwia i bardziej ufa swemu Kościołowi. Najważniejsze, że będzie pan mógł oznajmić swoim przełożonym: „Zadanie wykonane”. Jest pan urodzonym szpiegiem.

Tym razem Ignacio roześmiał się serdecznie. Przez ostatnie dwa dni nie bawił się najlepiej, zwodząc Raymonda, sumienie gryzło go na potęgę, mimo że tłumaczył sobie raz po raz, iż udaje i ucieka się do kłamstwa w obronie wyższej sprawy.

- Wcale mi się nie podobało to, co zrobiłem - wyznał.

- Nie zrobił pan niczego, czego należałoby się wstydzić. Ja niczego bym od nich nie wyciągnął, ani od hrabiego, ani tym bardziej od Raymonda. Dobrze, że pan przyjechał, bo opuszczamy zamek z konkretną informacją. Pański Kościół wie już, czemu przyjdzie stawić mu czoło, jeśli jego wrogom się poszczęści i jednak coś tam znajdą, choć wydaje mi się to prawie niemożliwe.

- Mam nadzieję, że to, czego się dowiedzieliśmy, wystarczy...

- Oczywiście, że tak, na pewno. Najgorsza jest niewiedza, z czym mamy się zmierzyć, gdy już się tego dowiemy, łatwiej przygotować się do obrony. Zobaczysz pan, że ojciec Grillo i ojciec Nevers są tego samego zdania.

- Szkoda mi Raymonda. Jest jeszcze bardzo młody, ale... otoczenie, w którym przyszło mu żyć, wypaczyło mu osobowość. Ojciec wychował go na takiego fanatyka, że moim zdaniem chłopak jest zdolny do wszystkiego - ubolewał Ignacio.

- Tak, Raymond jest ofiarą swego ojca. Gdy go poznałem, był jeszcze brzdącem, a już karano go bardzo surowo: był bity, gdy nie spełniał wygórowanych oczekiwań hrabiego. Już od samego urodzenia robiono mu pranie mózgu i coś mi się zdaje, że biedak odziedziczył po ojcu jego absurdalne obsesje. Szkoda, ale w tej sprawie nic nie możemy zrobić, ani pan, ani ja. Mam wrażenie, że mój związek z d'Amisami się zakończył, i nie ukrywam, że odczuwam ulgę.

- Kronika brata Juliana była dla pana bardzo ważna, prawda?

- To przepiękny utwór. Jego lektura dostarczyła mi głębokich wzruszeń, poza tym rękopis jest cennym dokumentem historycznym. Proszę tylko pomyśleć: dominikanin, podwładny okrutnego brata Ferrera, opowiada w pierwszej osobie o tym, co dzieje się po obu stronach barykady. Przede wszystkim jest to jednak przedstawiona z całą brutalnością historia duchowego konfliktu pojedynczego człowieka. Zależało mi na zapoznaniu świata naukowego ze świadectwem brata Juliana, by inni historycy mogli korzystać z tego źródła, badając ten okres historii Francji.

- I historii Kościoła.

- Pewnego dnia Kościół będzie musiał przeprosić za wszystkie popełnione błędy - przepowiedział Ferdinand.

Ignacio nic nie odrzekł. Nie mógł, bo i w nim wszystko buntowało się na myśl, że można mordować w imię boże.

Ferdinand zdziwił się, gdy zobaczył na peronie paryskiego dworca swego ojca, który nigdy dotąd nie wychodził po syna wracającego z podróży służbowej. Jego obecność nie zwiastowała niczego dobrego.

Ferdinand wysiadł czym prędzej z pociągu.

- Co się stało? - zapytał bez zbędnych wstępów.

- David... Jest w szpitalu... ranny... Wpadł w zasadzkę. Stan ciężki. Dostaliśmy wiadomość dzisiaj rano. Dzwoniono do ciebie do domu i na uniwersytet, dopiero rektor skontaktował się z nami... Mama spakowała ci walizkę, kupiłem bilety na pociąg i statek. Chciałbym z tobą jechać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Lecz Ferdinand nie słuchał. Skrzywił twarz w grymasie bólu, wydawało się, że powietrze nie dociera do jego płuc. Zbladł, wytrzeszczył oczy, oniemiał, nie potrafił wydobyć z siebie żadnego dźwięku. W kieszeni marynarki miał ostatni list od Davida, jego pełne radości, chęci do życia i nadziei słowa. I nagle te synowskie, pisane atramentem słowa spłynęły krwią.

Ignacio nie wiedział z początku, co zrobić ani co powiedzieć, a potem chwycił Ferdinanda mocno za ramię i pociągnął za sobą.

- No, trzeba się spieszyć!

Szli w milczeniu. W końcu Ferdinand otrząsnął się z szoku.

- Żyje? - jęknął.

- Żyje, ale jest w ciężkim stanie - odparł jego ojciec.

- Wyzdrowieje - zapewnił ich Ignacio. - Będziemy się modlili, żeby wyzdrowiał...

- Bóg nigdy nas nie słuchał, gdy bo potrzebowaliśmy - wymamrotał ledwie dosłyszalnie Ferdinand. - Dawno temu opuścił mnie i mojego syna.

Profesor spojrział zaczerwienionymi oczami na ojca. Chciał tylko usłyszeć odpowiedź na pytanie: Co przytrafiło się Davidowi? co mu się stało?

19

Jerozolima, kilka tygodni wcześniej

- Hamzo, musisz się zdecydować. - Ton głosu mężczyzny nie dopuszczał żadnych wątpliwości, a jego czarne oczy zdawały się wwiercać w oczy chłopaka.

- Przecież nic nam nie zrobili. Dlaczego nie możemy porozmawiać i spróbować się porozumieć? - odparł Hamza, którego głos brzmiał hardo, mimo że mężczyzna napawał go lękiem.

- Syjoniści próbują przekabacić świat na swoją stronę, kilka lat temu myśleli o utworzeniu z nami wspólnego państwa, teraz chcą podzielić nasze ziemie. Nie możemy do tego dopuścić! Oni albo my! - ryknął mężczyzna.

- Uspokój się, proszę... Hamza jest jeszcze młody, nie bardzo wie, o co tu chodzi - bronił syna ojciec.

- Zrozum, Rashidzie, istnieją trzy możliwości: albo twój synalek jest zdrajcą, a wtedy sam będziesz musiał rozwiązać problem, albo tchórzem, wtedy to też będzie twoja sprawa, albo przyłączy się do nas i udowodni, że jest patriotą.

- Nie jestem ani zdrajcą, ani tchórzem - zaprotestował Hamza. - Po prostu myślę po swojemu.

- Milcz! - zgał go ojciec, którego, owszem, obleciał strach, wiedział bowiem, do czego zdolny jest Mahmud.

Hamza spuścił głowę świadomy, że nie ma wyjścia i że nieposłuszeństwo wobec Mahmuda może kosztować jego oraz jego rodzinę życie.

Jego dziesięcioletni brat, Ali, siedział na podłodze obok młodszego braciszka i wlepił w Hamzę zalęknione oczy. Ich dwie siostry zamknęły się z matką w drugim pokoju - to była męska rozmowa.

- Ręka w rękę z naszymi braćmi z Syrii, Jordanii, Iranu i Egiptu będziemy walczyli o każdy dom, o każdy sad... Wszyscy arabscy bracia nas popierają. Nie oddamy naszej ziemi Żydom, zepchniemy ich do morza - mówił Mahmud. - Wybieraj, Hamzo, albo przyłączysz się do Armii Wyzwolenia lub do nas, albo zginiesz razem z Żydami.

- Będzie walczył razem z wami - oznajmił Rashid, ojciec Hamzy. - Ja również. Jesteśmy Palestyńczykami i dobrymi muzułmanami. Masz rację, to nasza ziemia, musimy o nią walczyć. Żydzi są podstępni, nie można im ufać. Przyjechali, by osiedlić się obok nas, a teraz chcą wszystko dla siebie. Tak, zepchniemy ich do morza.

Hamza zerknął na ojca zdumiony. Nie mógł uwierzyć, że słowa, które właśnie usłyszał, wyszły z jego ust. Ciągle jeszcze pobrzmiwało mu w uszach ojcowskie przesłanie pokoju, zapewnienia, że zwrócenie się przeciwko Żydom może tylko ściągnąć na wszystkich nieszczęście.

- To nie nasza wina, że w Europie Hitler spartolił sprawę - zarechotał Mahmud. - Jeśli Żydom marzy się własna ziemia, niech sobie biorą Kalifornię, Schwarzwald albo Prowansję, a nas niech zostawią w spokoju. Zachodni politycy chcą pozbawić nas ojczyzny, by zagłuszyć wyrzuty sumienia.

- Święte słowa, Mahmudzie - odparł Rashid. - Święte słowa. Nie wiem, dlaczego mielibyśmy oddawać Żydom naszą ziemię i stawać się gośćmi we własnym domu. Będziemy się bronili, choćby za cenę własnego życia.

- Na razie potrzebny jest nam tylko twój najstarszy syn, on nam chwilowo wystarczy. Nie miej jednak wątpliwości, że jeśli zajdzie potrzeba, upomnimy się także o ciebie i twoich pozostałych synów. - Słowa Mahmuda zabrzmiały niczym groźba. - Jutro po ciebie przyślę - rzucił na pożegnanie do Hamzy.

Gdy Mahmud i jego ludzie wyszli, Rashid usiadł przy stole. Był zdruzgotany. Jego żona wysunęła się z dwoma córkami z pokoju, podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu, by dodać mu otuchy.

- Dobrze się zachowałeś, Rashidzie, postąpiłeś mądrze. Nic innego nie możemy zrobić - szepnęła.

- Nie możemy czy nie chcemy? - przerwał jej wzburzony Hamza.- Zgubiony jest ten, kto nie potrafi dostrzec, że w ścianie nie ma drzwi.

- Ja dostrzegam co innego: że o tej wojnie zdecydowano za nas i bynajmniej nie zrobił tego Mahmud. Myślisz, że my, biedacy, się liczymy? Mahmud jest tylko jednym naiwnym więcej, przydatnym, by zginąć i zgubić innych. Tę wojnę zaplanowano w Kairze lub w Damaszku... Wiem tylko tyle, że my i wszyscy do nas podobni musimy umrzeć - skwitował Hamza.

- Nie oszukuj się, synu, twoi żydowscy znajomi będą się bronili i zabijali tak jak my - odrzekła kobieta.

- A jeśli nie zechcę walczyć? - zapytał hardo Hamza.

- Masz dwie siostry - odpowiedziała mu matka. - Gdy tylko trochę podrosną, wyjdą za mąż, są już zaręczone. Jeśli nie staniesz na wysokości zadania, umowa przedmałżeńska zostanie zerwana. I jeszcze coś: pewnego dnia obudzimy się i zobaczymy, że nasze uprawy zostały zrównane z ziemią. Potem każą twojemu ojcu cię zabić, bo w przeciwnym razie wymordują nas wszystkich. To nie ja wymyśliłam te zasady, ale akceptuję je takimi, jakie są ty musisz zrobić to samo, by nie ściągnąć na rodzinę wstydu, hańby i nieszczęścia. Walcz, synu, walcz.

Matka podeszła do Hamzy i spoglądając na niego z żalem, pogładziła go po policzku.

Kości zostały rzucone. Będzie musiała poświęcić swego najstarszego syna, nie zdoła tego uniknąć.

- Hamzo, nie możesz widywać się z Davidem - odezwał się Rashid znużonym głosem.

- Trzymaj się z daleka od tego żydowskiego chłopaka, tak będzie lepiej dla ciebie i dla niego.

- I co mu niby powiem? Cześć, Davidzie, ktoś postanowił, że musimy się pozabijać. Ej, nie gniewaj się, ja osobiście nic do ciebie nie mam, ale przecież my się nie liczymy, jesteśmy nikim, gdy padnie rozkaz, mamy się powyrzynać i koniec, kropka. Kto pierwszy strzela, ty czyja? - Młody Palestyńczyk odegrał gorzką parodię najbliższego spotkania z przyjacielem.

Ojciec, matka i rodzeństwo patrzyli na niego ze współczuciem. Widzieli, że cierpi, nie potrafili jednak mu ulżyć. Od tej chwili Mahmud stał się jednym z nich - nie orał już ziemi, teraz dowodził ludźmi i był gotowy zrobić wszystko, co mu kazano, bo wierzył w siebie i w sprawę, której służył.

- Hamzo, nasze życie jest w twoich rękach - westchnął smutno Rashid. - Nie mogę cię zmusić do walki, ale jeśli tego nie zrobisz...

- Zrobię, tato, zrobię - obiecał Hamza z oczami pełnymi łez i wybiegł z domu, by schronić się w mroku nocy.

Długo szedł przed siebie, bez celu. Noc była czarna, ale Hamza znał każdą piędź ziemi w okolicy, mógł się po niej poruszać z zamkniętymi oczami.

Przecież tu właśnie się urodził. Matka wydała go na świat w tej ubogiej chacie otoczonej drzewami owocowymi i kanałem nawadniającym, w którym pluskał się w dzieciństwie.

Tu był szczęśliwy. Nie potrzebował niczego więcej, wystarczała mu rodzina, sad i ogród, w których wspólnie pracowali, wyprawy na osie do miasta, gdzie wozili z ojcem owoce i warzywa na sprzedaż... Lubił także rodzinne kolacje na patiu z wujkami i ciociami, gdy z kuzynami łąził po drzewach i chował się po krzakach.

Cały jego dawny świat legł w gruzach, bo nagle okazało się, że ma wrogów, których zresztą nie on sobie wybrał.

Pomyślał o Davidzie. Co mu powie? Na pewno nie prawdę: zamierzamy zepchnąć was do morza. Będzie musiał go unikać, omijać, trzymać się od niego z daleka...

O mało się nie roześmiał na wspomnienie ich pierwszego spotkania. Przyglądał się wtedy zza płotu mieszkańcom kibucu, a raczej podglądał rówieśnicę o złotych jak pszenica włosach i pięknych niebieskich oczach, z którą zawsze wymieniał spojrzenia. Nieznajoma budziła w nim sprzeczne uczucia. Żył z dala od świata kobiet, które nigdy go zbyt nie interesowały, ale ta dziewczynka wydawała się taka delikatna, taka nierzeczywista, że Hamza zupełnie się jej nie obawiał.

Uśmiechała się do niego i machała mu ręką na powitanie, a wtedy jego serce zaczynało bić szybciej. Chętnie przelazłby przez płot i pomógł jej w zbieraniu pomarańczy czy plewieniu grządek. Tym właśnie zajmował się David, gdy Hamza zobaczył go po raz pierwszy. Młody Żyd przygotowywał pole pod siew i krzywiąc się z bólu, od czasu do czasu sięgał ręką do krzyża i masował go energicznie - widać było, że nie nawykł do pracy na roli. Jednak w kibucu wszyscy pracowali po równo, bez względu na to, skąd pochodzili ani czym się wcześniej zajmowali; żyli z uprawy ziemi, podobnie jak Hamza i jego rodzina.

David podniósł wzrok i dostrzegłszy ciekawskiego chłopca, wyprostował się i ruszył do płotu. Uśmiechał się do niego, więc Hamza nie dał drapaka jak tyle razy wcześniej na widok Yacoba, kierownika kibucu, człowieka chudego i srogiego, który zawsze był w fatalnym humorze.

Zaczęli rozmawiać po angielsku, którym obaj władali jako tako, i już kilka minut później mieli wrażenie, że znają się od zawsze. Gdy David wyznał Hamzie, że pada z nóg i

wszystko go boli, nowy znajomy zaproponował mu pomoc, a David, ku zdumieniu Palestyńczyka, chętnie ją przyjął. Wtedy Hamza po raz pierwszy znalazł się po drugiej stronie kibucowego płotu i od razu szczęście uśmiechnęło się do niego - miał okazję zobaczyć z bliska dziewczynę swoich marzeń: była Rosjanką, miała na imię Tania, piętnaście lat i знаła tylko kilka słów po angielsku.

Od tamtej pory wpadał do kibucu, kiedy tylko miał ochotę, a David był mile widzianym gościem w jego domu. Teraz Hamza będzie musiał mu powiedzieć, żeby już nie przychodził, a i on sam nigdy więcej nie przekroczy bram kibucu.

Mahmud powiedział, że nazajutrz ma rozpocząć szkolenie wojskowe i że przyśle po niego. Hamza nie potrafił strzelać, umiał tylko uprawiać ziemię, lecz teraz będzie musiał nauczyć się trzymać broń i zabijać. Zabijać - słowo to brzmiało w jego głowie potwornie, nierealnie. Jak to będzie? Co poczuje na widok osuwającego mu się pod nogi człowieka? A jeśli to on zostanie zabity?

Szedł przed siebie, na oślep, nie czuł już nóg. Nie wiedział, jak długo się tak błąka, ale było mu wszystko jedno - bał się świtu.

- Nie powinieneś tak mu ufać, bo pewnego dnia staniecie ze sobą do walki, to nieuniknione - powiedział Yacob po kolacji, zwracając się do Davida podczas pogawędki z grupką młodych członków kibucu.

- To mój przyjaciel, nie będę z nim walczył. Zresztą nie trzeba od razu mordować, można porozmawiać i przedyskutować sporne kwestie. Problem stanowią Anglicy, nie Palestyńczycy - argumentował David.

- Anglicy, Palestyńczycy, wszyscy... Brytyjczycy już spuścili z tonu i wpuszczają nowych osadników. Wiadomo, że lada chwila uchwalona zostanie rezolucja Organizacji Narodów Zjednoczonych proponująca utworzenie na tych ziemiach dwóch państw, ale Arabowie się sprzeciwią - tłumaczył Yacob z pewnym zniecierpliwieniem.

.- Z góry zakładasz, że się nie zgodzą, choć jeśli ktoś zapyta o zdanie samych Palestyńczyków, czeka nas może niespodzianka... - dowodził David.

- Widać, że nadal jesteś rasowym Francuzem - rzucił starszy mężczyzna pykający fajkę. - Jesteśmy na Bliskim Wschodzie, tutaj demokracja nie ma racji bytu. Nikt nie będzie pytał o zdanie Palestyńczyków, decyzję podejmą za nich Egipcjanie, Jordańczycy, Syryjczycy, Saudyjczycy... Od jakiegoś czasu się mobilizują. Doszło już do pierwszych aktów przemocy i ataków na Żydów, w kilku kibucach buntownicy strzelali do naszych. Jak

myślisz, dlaczego wystawiliśmy nocne patrole wokół płotu? Zobaczysz, zaatakują i nas, dostaną rozkaz i go wykonają.

David miał już coś odpowiedzieć, ale się rozmyślił. Saul, mężczyzna z fajką, który urodził się w Izraelu, podobnie jak jego rodzice, dziadkowie oraz rodzice i dziadkowie tychże, cieszył się ogólnym poważaniem. Cała jego rodzina żyła od wieków w Ziemi Świętej, przetrwała Rzymian, Saracenów, krzyżowców, mameluków, Turków oraz protektorat brytyjski. Saul, który należał do Hagany - oddziałów stworzonych do obrony Żydów przed Anglikami i atakami Arabów - przemierzał cały kraj, wędrował z miejsca na miejsce, a ponieważ władał znakomicie językiem arabskim, mógł bez trudu podawać się za Palestyńczyka. Był żywą legendą, ponieważ należał do jednego z pierwszych kibuców, Tell Hay, który przetrwał mimo napadów Arabów z północy i stał się symbolem odwagi i bohaterstwa dla wszystkich osadników napływających do Eretz Israel.

Niewiele rzeczy uchodziło uwagi Saula, wszędzie miał on bowiem znajomych i, jak mawiał Yacob, posiadał informatorów w samym piekle.

Jeszcze przez jakiś czas rozprawiali o tym, co może się zdarzyć, jeśli Organizacja Narodów Zjednoczonych opowie się ostatecznie za stworzeniem dwóch państw. Saul zapewniał, że kraje arabskie odrzucą takie rozwiązanie, a wtedy konflikt z Palestyńczykami się zaostrzy.

- Pamiętajcie, że jesteśmy zdani tylko na siebie - przypomniał Yacob. - Nikt nie przyjdzie nam z pomocą, będziemy musieli walczyć o każdy dom, o każdy kamień...

Yacob emanował rozgoryczeniem. Pochodził z Niemiec, z Monachium, i trafił do Izraela w 1920 roku za namową ojca, który widział, jak inflacja i narastający antysemityzm coraz bardziej zaślepiają Niemców. Jak tyłu innych młodych ludzi Yacob porzucił rodzinę, dom, przyjaciół - całe dotychczasowe życie. Uczestniczył w powołaniu pierwszego izraelskiego związku robotniczego, potem wziął udział w tworzeniu kibucu, którym teraz kierował.

Większość jego bliskich, nie wyłączając rodziców, zginęła w komorach gazowych. Gdy Yacob dowiedział się, że tylko jemu udało się przeżyć, uśmiech na zawsze znikł z jego twarzy.

Saul i Yacob ogłosili, że od następnego dnia wszyscy mieszkańcy kibucu, kobiety i mężczyźni, będą poświęcać więcej czasu szkoleniu wojskowemu. Nie chodziło już o spacerowanie wzdłuż płotu ze strzelbą myśliwską na ramieniu. Poza tym ich kibuc, podobnie jak wiele innych, miał się przestawić na produkcję lekkiej broni i amunicji.

- Ale kto nas tego nauczy? - zapytała naiwnie Tania, młoda Rosjanka, która tak oczarowała Hamzę.

- Ludzie z Hagany, oni wam wszystko pokażą. Potrzebujemy więcej broni, musimy być gotowi. Nie wystarczy nam to, co dostaliśmy od Brytyjczyków i Polaków. Nikt nie chce dać nic za darmo, choć nasi ludzie dwoją się i troją, by cokolwiek załatwić. Jesteśmy gorzej uzbrojeni od Arabów, a przecież musimy się bronić. Powinniście nauczyć się obsługiwać pistolet, karabin maszynowy... i poznać tajniki walki wręcz czy choćby na noże. Od jutra przez kilka godzin dziennie będziemy się szkolili w walce i robieniu broni - oznajmił Saul.

- A więc to nieuniknione... - szepnął David.

- Właśnie, im wcześniej pogodzisz się z tą myślą, tym lepiej dla ciebie i dla nas - stwierdził Yacob. - Przedtem rwałeś się do walki, powtarzałeś, że nie możemy dać sobie wyrwać ziemi, że tylko własna ojczyzna uchroni w przyszłości Żydów przed tym, co przydarzyło się twojej matce i krewnym. Pamiętasz? Więc dlaczego teraz się wahasz?

- Oczywiście, że chcę walczyć o naszą ziemię! Wiem, że musimy stworzyć własną ojczyznę, że nie możemy nadal być tylko gośćmi w krajach, które wcześniej czy później zaczną nas traktować jak obywateli drugiej kategorii i wymordują. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości, ale... ale uważam, że możemy żyć z Palestyńczykami w pokoju, możemy się z nimi dogadać, nasze i ich prawa są do pogodzenia.

Żarliwa przemowa Davida spotkała się z aprobatą młodych słuchaczy. Saul widział, że mimo trudów kibucowego życia, mimo pogadanek i ostrzeżeń ci młodzi Żydzi nadal wierzą w przyszłość i w ludzi - wszystkich ludzi - i że nie chcą mieć wrogów.

- Jutro pojedziesz ze mną - powiedział do Davida. - Muszę odwiedzić kilku znajomych Palestyńczyków, przywódców miejscowych wspólnot; nasze rodziny znają się od niepamiętnych czasów. To moi przyjaciele, ludzie, których kocham, ale z którymi przyjdzie mi walczyć i którzy będą walczyli przeciwko mnie. Pojedziesz ze mną, niech ci sami powiedzą, co nas niebawem czeka, czy nam się to podoba, czy nie.

W nocy David spał niespokojnie. Ocknął się kilka razy zlany potem, dręczony tym samym sennym koszmarem, w którym brał udział w potyczce, strzelał, a potem czuł przeszywający ból w okolicach żołądka i budził się przerażony.

Wstał i postanowił przeczytać książkę o bracie Julianie, lecz nie mógł się skupić na lekturze. Nie wiadomo, dlaczego czuł niechęć do tego podszytego tchórzem mnicha, a może raczej do jego krewnego, hrabiego, którego David z całego serca nienawidził. W głębi duszy był przekonany, że wszystkie jego nieszczęścia wzięły swój początek na zamku d'Amis. Poza tym obsesja ojca na punkcie kroniki brata Juliana odsunęła ich od siebie. Nigdy nie

powiedział ojcu, że ma do niego żal za to, iż nigdy nie przyznał, z jakiego rodzaju ludźmi ma do czynienia. Sam David nie miał wątpliwości, że hrabia i jego znajomi są nazistami, a przynajmniej ich sympatykami. Cóż z tego, że ojciec powtarzał mu, iż zdecydowana większość Francuzów zachowała się haniebnie podczas rządów Vichy: odwracała wzrok, by nie widzieć, co się dzieje, tłumacząc, że to jedyny sposób na ratowanie życia. Ale to nieprawda - byli ludzie, którzy nie ulegli, wystąpili przeciwko nazistom i zginęli z bronią w ręku. Przecież dziadek Davida opowiadał mu o hiszpańskich republikanach, którzy zorganizowali ruch oporu, nie poddali się, wytrwali do końca.

David przejechał ręką po okładce książki, ale jej nie otworzył. Obiecał sobie przeczytać ją przed przyjazdem ojca, by sprawić mu przyjemność, ale na razie doszedł tylko do dziesiątej strony. Wiedział, że ojciec nie będzie miał mu tego za złe, choć zapewne ucieszyłby się, gdyby syn przeczytał jego rozprawę. Spróbuje Jutro. Teraz był za bardzo wstrząśnięty rozmową z Saulem i Yacobem. Nie chciał być wrogiem Palestyńczyków, choć wiedział od Hamzy i jego ojca Rashida, że ich rodacy spoglądają wilkiem na żydowskich osadników. Problem w tym, tłumaczył sobie David, że nikt nie zabiega o to, byśmy spokojnie porozmawiali i uzgodnili, jak chcemy żyć i pokierować naszym losem. Dlaczego nikomu nie przyjdzie to do głowy? Dlaczego? Gdyby jemu i Hamzie dano wolną rękę, załatwiliby sprawę raz-dwa - posprzeczałiby się trochę, na pewno, ale doszliby do porozumienia.

Może Hamza i on powinni poświęcić się polityce i przemówić rodakom do rozsądku?

20

Słońce jeszcze nie wzeszło, gdy głośnie stukanie do drzwi wyrwało Hamzę ze snu. Przetarł oczy i zerknął na budzik. Do izby, którą dzielił z młodszymi braćmi, dobiegały odgłosy porannej krzątania. Matka i siostry doglądają już gospodarstwa, ojciec przygotowuje się pewnie do wyjścia w pole, lada moment pójdzie nakarmić zwierzęta.

Zaniepokoiły go obce głosy. Ojciec rozmawiał z kimś szeptem, po chwili wetknął głowę przez drzwi.

- Wstawaj, czekają na ciebie - powiedział do syna. Hamza umył się pospiesznie, raz-dwa ubrał. Czuł bicie własnego serca, był pewien, że wszyscy je słyszą. Matka postawiła przed nim kubek koziego mleka, dając znak, by wypił je duszkiem.

Stojący w progu mężczyzna rzucił mu zniecierpliwione spojrzenie.

- Czas nagli. Musimy stąd zniknąć, zanim Żydzi się obudzą. Lepiej, żeby nas nie widzieli.

Hamza zdążył tylko umoczyć usta w mleku, wytarł wargi grzbietem dłoni i powiedział gościowi, że jest gotowy do drogi.

Wymknęli się z domu bezszelestnie. Hamza czuł na plecach wzrok rodziców. Zaczynał nowe życie - przeczuwał, że będzie ono znacznie gorsze od tego, które ma za sobą.

Nieznajomy przedstawił mu się jako Mohamed i wyjaśnił, że pójdą piechotą aż do szosy, przy której zaparkował ciężarówkę. Wolał nie podjeżdżać pod sam dom, by nie wzbudzić podejrzeń Żydów z kibucu. Teraz pojedą po innych młodych ochotników, a potem do obozu szkoleniowego, gdzie nauczą się posługiwać bronią. Hamza znał jednego z chłopaków, po których wstąpili. Mieszkał w sąsiedztwie, pochodził również z rodziny rolniczej, tyle że on był wyraźnie zadowolony z czekającej go zmiany.

- Spróbuję szczęścia z tymi - szepnął w stronę Hamzy. - Ale jeśli nie będą garnęli się do akcji, przeniosę się do innych. Mój kuzyn ma kontakty.

Inny z zabranych przez nich po drodze mężczyzn był nauczycielem w pobliskim miasteczku. Wysoki i szczupły, o błyszczących oczach, także wyglądał na szczęśliwego, że został zwerbowany. Pozostali towarzysze Hamzy - w sumie było ich dziesięciu - byli rolnikami tak jak on i również nie kryli zadowolenia. Hamza zaczął się zastanawiać, czy aby jednak nie pomylił się w swoich opiniach.

Ciężarówka podskakiwała na wybojach nieasfaltowanych dróg. Mohamed wolał omijać główną szosę i poradził pasażerom, by w razie brytyjskiej kontroli powiedzieli, że jadą do pracy na pobliską farmę. W rzeczywistości wiózł ich na południe, w pobliże granicy z Transjordanią.

Ciężarówka zatrzymała się obok beduińskiego obozu. Mohamed kazał im wysiąść, zaznaczając, by nie oddalali się od samochodu, i tak też zrobili. Przez kilka minut nic się nie działo. Przyglądali się Beduinkom o zasłoniętych twarzach. Kobiety, pogrążone w myślach, wpatrywały się w sagany, w których gotowały strawę. Grupka starsuszków siedziała przed jednym z namiotów, popijając herbatę i paląc tytoń. Nieco dalej biegała rozbawiona zgraja dzieciaków. Nagle przyjezdnych otoczył tuzin ludzi pustyni uzbrojonych w karabiny. Jeden z nich, bez wątplenia dowódca, zwrócił się do Mohameda:

- Spóźniłeś się.

- Niełatwo odwrócić uwagę Anglików i Żydów. Wszędzie ich pełno, na domiar złego starozakonni są teraz pewni swego, bo Brytyjczycy patrzą przez palce na ich bezczelność.

- To wszyscy? - zapytał dowódca, spoglądając na towarzyszy Mohameda.

- Niebawem powinna się zjawić jeszcze jedna ciężarówka z ochotnikami. Wyjechali po nas, wiezie ich mój wuj.

- Szkoda czasu, zaczynamy.

Ku ogólnemu zdziwieniu mężczyzna, który wyglądał na wodza Beduinów, odsłonił twarz.

- Jestem waszym instruktorem - wyjaśnił. - Mam na imię Husajn, służę w Legionie Arabskim i nauczę was posługiwać się bronią, konstruować bomby i walczyć. Spędzicie tu dwa, góra trzy dni, dlatego słuchajcie mnie uważnie i nie marnujcie czasu - swojego ani mojego. Za mną.

Husajn zaprowadził ich do kolejnej grupki mężczyzn w beduińskich szatach, po czym rozdał nowo przybyłym ubrania, jakie nosi ten koczowniczy lud.

- Dzięki nim nie będziecie się rzucali w oczy - powiedział. - A jeśli ktoś się *tu* przyplącze, udawajcie młodych Beduinów.

Zaprowadzono ich do miejsca, gdzie na ziemi rozłożono mnóstwo broni.

Wbrew zwyczajom ludzi pustyni nie zapytano ich, czy są głodni lub spragnieni, najwyraźniej nie chciano tracić ani sekundy na uprzejmości. Niecałą godzinę potem przyłączyła się do nich grupka ochotników przywiezionych z innych wiosek. Oni również byli przebrani za Beduinów.

Przez wiele godzin zapoznawali się z różnymi rodzajami broni: nauczono ich składać i rozkładać pistolety, konstruować bomby, strzelać z karabinu.

Husajn był nieprzejednany, nie dawał im odpocząć ani na chwilę. Pod wieczór, gdy zaczął zapadać zmrok, podjechał do nich na koniu jeden z Beduinów, zamienił kilka słów z Husajnem, a ten podniósł rękę na znak, że na dzisiaj koniec.

- Teraz będziecie mogli coś zjeść i zaspokoić pragnienie. Później radzę nie tracić czasu, tylko od razu iść spać, bo jutro czeka was długi dzień. Przyjdę po was przed wschodem słońca. Za mało jeszcze umiecie, to, czego się dzisiaj nauczyliście, nie daje wam szansy na przeżycie.

Po tych słowach Husajn wsiadł do jeepa, w którym czekało na niego trzech mężczyzn, i zniknął w wieczornej szarówce.

- Nieźle sobie radzisz - pochwalił Mohamed Hamzę, gdy zbliżali się do jednego z ognisk, wokół którego kilku mężczyzn jadło jagnięcinę.

Tubylcy rozsunęli się, zapraszając ich do wspólnego posiłku. Rozmawiali o wojnie, o wojnie przeciwko Żydom. Bracia z Jordanii, Syrii, Egiptu, Arabii i wielu innych krajów obiecali Palestyńczykom pomoc w obronie Ziemi Świętej. Nie będą się niczym dzielili z Żydami. Dlaczego niby mieliby to robić?

Hamza jadł i przysłuchiwał się pogawędce, wołał jednak nie zabierać głosu. Nie mógł wdawać się w dyskusję z tyloma ludźmi przeświadczonymi o tym, że mają rację. Uznaliby go za zdrajcę, nie zrozumieliby go. Nie chcieliby słuchać o korzyściach płynących z posiadania własnego państwa i wyzwolenia się spod protektoratu Brytyjczyków, którzy przejęli pałeczkę po Turkach osmańskich. Dlaczego nie mogłyby istnieć na tych ziemiach dwa państwa, czy choćby jedno, dzielone z Żydami? O ile mu wiadomo, Palestyńczycy nigdy nie mieli ojczyzny, własnego kraju, zawsze znajdowali się pod obcym protektoratem, a teraz zamierzali zmarnować taką szansę tylko dlatego, że ich przywódcy nie chcieli ulec Żydom. A przecież, myślał Hamza, jest zupełnie odwrotnie - do tej pory wszystkim ulegaliśmy, teraz nareszcie mamy okazję położyć temu kres.

Opatulony kocem przespał twardo całą noc przy żarze ogniska. Był wyczerpany, targały nim gwałtowne emocje.

Zgodnie z zapowiedzią Husajn zjawił się o czwartej nad ranem, gdy była jeszcze ciemna noc. Wraz z Mohamedem zbudzili ich bezpardonowo.

Niecałe pół godziny później oddział był gotowy do dalszego szkolenia. Tym razem musieli składać i rozmontowywać broń po omacku, czołgać się... Dopiero gdy dzień był już w pełni, Husajn pozwolił im zaspokoić pragnienie.

- Daję wam dziesięć minut na odpoczynek - powiedział. - Ani minuty więcej. Możecie napić się wody.

I rzeczywiście, nie darował im ani sekundy. O zmroku, wygłodniali i z zaschniętymi gardłami wrócili do obozu. Tym razem Husajn został z nimi.

- Trochę się podszkoliliście - stwierdził. - Wystarczająco, by zabijać i unikać śmierci z ręki wroga. Jeśli dopisze wam wiara i odwaga, ujdziecie z życiem, jeśli się zawahacie, zginiecie. Nigdy nie pozwólcie, by wzruszyło was spojrzenie wroga, nieważne, czy będzie to żołnierz, kobieta czy dziecko. Pamiętajcie: wy albo wróg, życie wasze albo jego, chwila wahania i jesteście martwi. Sami widzicie, zasada jest bardzo prosta: gdy będziecie mieli atakować, strzelajcie pierwsi, nie zastanawiajcie się.

- Kiedy wybuchnie wojna? - zapytał nauczyciel.

- Nie wiem, ale musimy być w pogotowiu. Żydzi chcą przywłaszczyć sobie naszą ziemię, musimy wybić im to z głowy. Może obejdzie się bez wojny, może nie, politycy z Organizacji Narodów Zjednoczonych chcą dać Żydom „dom”. Proszę bardzo, niech im dają, ale nie to co nasze. Nasi bracia walczą również bronią, którą jest polityka, musimy czekać; tymczasem naszym zadaniem jest obrzydzić osadnikom życie, by nie czuli się pewnie, by nie mogli uprawiać ziemi bez karabinu na ramieniu ani jechać szosą bez lęku, że wpadną w

zasadzkę, by ich kobiety bały się oddalać od domu, a dzieci wystawiać nos poza bramę obejścia czy kibucu. Będziemy ich atakowali, nastawiali na ich życie. Taktyka jest prosta: przyjeżdżamy na miejsce akcji, bierzemy ich z zaskoczenia, zabijamy i znikamy. Zapomną, co to znaczy spokojny sen, a jeśli będą się upierali, by tu zostać, zamienimy tę ziemię w ich grób. Każdy z was wejdzie w skład oddziału kierowanego przez dowódcę, który w porozumieniu z nami będzie wyznaczał cele. Winnicie mu ślepe posłuszeństwo. Wasze rodziny wiedzą, że od czasu do czasu będziecie znikali z domu, ale nawet im nie możecie mówić, gdzie ani po co wychodzicie. Ten, kto zdradzi lub nie wypełni rozkazu, zostanie ukarany, a kara jest tylko jedna - śmierć. Wasze rodziny również poniosą konsekwencje waszej niesubordynacji.

Rozległy się pomruki aprobaty. Młodzi ludzie zapewniali, że nie mogą się już doczekać, by mordować Żydów i zepchnąć ich do morza. Ale te deklaracje wierności bynajmniej nie wzruszyły Husajna. Przekona się, ile są warci, dopiero w akcji, gdy poleje się krew, a to nastąpi już niebawem, bo im szybciej zaczną zabijać, tym szybciej poczują się częścią oddziału, wojownikami o sprawę. Nic tak nie łączy, jak wspólnie przelana krew.

Mohamed znów urządził im pobudkę o świcie i kazał czym prędzej wsiadać do ciężarówki. Wracali do domu.

Beduini obojętnie odprowadzili ich wzrokiem - nawet nie zdążyli pożegnać się z kolejną grupką młodych ludzi, którzy przyjechali do ich obozu na szkolenie.

Hamza pomyślał, że najgorsze dopiero przed nim.

21

Saul czekał już na Davida w samochodzie z otwartymi drzwiczkami i włączonym silnikiem.

- Spóźniłeś się - powiedział, nie kryjąc irytacji.

- Przepraszam, nie sądziłem, że mówił pan poważnie, proponując mi wspólny wyjazd.

- Ja zawsze mówię poważnie, my wszyscy mówimy poważnie.

Myślisz, że to zabawa?

- Przepraszam, naprawdę mi przykro.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu. David obserwował pogrążonego w rozmyślaniach Saula, który zdawał się znajdować gdzieś bardzo daleko. Nie miał odwagi o nic pytać z obawy przed opryskliwą odpowiedzią. Uznał, że reakcja jego towarzysza była grubo przesadzona, przecież spóźnił się raptem dziesięć minut.

- Otwórz schowek - polecił mu nagle Saul, wskazując deskę rozdzielczą - i wyjmij pistolet. Jest w torbie.

David wykonał polecenie. Chciał podać broń Saulowi, ale ten pokręcił głową.

- To dla ciebie, ja zawsze noszę broń przy sobie, w kurtce. Szosa do Jerozolimy nie jest bezpieczna, dwa dni temu zginęło tu czterech naszych ludzi.

- Ale ja nie potrafię dobrze strzelać! - zaprotestował David, czując, że zalewa go fala przerażenia.

- Jeśli zostaniemy zaatakowani, będziesz musiał się bronić: albo strzelisz, albo zginiesz, po prostu.

- Ale ze mnie jest bardzo kiepski strzelec, naprawdę. W życiu; nie musiałem do nikogo strzelać.

- Bo miałeś fart. Inni nie mogą powiedzieć tego samego.

Przecież widziałeś, jak w tej czy innej zasadzce raniono kilku twoich towarzyszy. Tobie do tej pory po prostu sprzyjało szczęście.

Saul wyjaśnił Davidowi, jak posługiwać się pistoletem, powtarzając raz po raz, że to żadna sztuka.

Potem przez jakiś czas znów jechali w ciszy, choć David czuł, że jego towarzysz bacznie obserwuje okolicę.

- Co wiesz o tym Palestyńczyku, z którym spędzasz tyle czasu? - zapytał nagle Saul.

- O Hamzie? To mój przyjaciel, uczy mnie arabskiego, a ja w zamian uczę go francuskiego. Rozmawiamy po angielsku, którym zresztą Hamza włada o niebo lepiej ode mnie.

- Ano tak, my, tubylcy, musieliśmy przyswoić sobie angielski, by dogadać się z Brytyjczykami. No, ale co jeszcze możesz mi powiedzieć o tym chłopaku?

- Cóż, pan chyba wie o nim więcej ode mnie, kilka razy widziałem, jak gawędził pan z jego ojcem, Rashidem.

- Znamy się od dawna, jesteśmy sąsiadami, ogród Rashida przylega do naszego płotu, łączą nas wspólne interesy, a bramy naszego kibucu zawsze stały otworem przed nim i jego rodziną. Rashid to porządny człowiek, przypuszczam, że jego syn również, chciałbym jednak wiedzieć, o czym zazwyczaj rozmawiacie i co Hamza myśli o obecnej sytuacji.

- Pod tym względem jesteśmy zgodni. Uważamy, że gdyby pozwolono nam, Palestyńczykom i Żydom, załatwić tę sprawę między sobą, doszlibyśmy do porozumienia, bo są tacy, którzy za wszelką cenę próbują nas skłócić... Hamza zgadza się ze mną, że

powinniśmy stworzyć wspólne państwo, konfederację, a jeśli to niemożliwe, dwa odrębne państwa. Każde rozwiązanie jest lepsze od wojny.

- A jednak Hamza będzie walczył. Jego przywódcy tego dopilnują. Mahmud był już u Rashida.

- Mahmud? Kto to taki?

- Jeden z przywódców palestyńskich powstańców. Dowodzi miejscowym oddziałem, który ma już na koncie kilka ataków na kibuce oraz zasadzek na drogach. Mahmud werbuje wojowników spośród młodych rolników i chłopów, złożył również wizytę Rashidowi. Na razie poprzestanie na Hamzie.

- To niemożliwe! Hamza nie będzie walczył! Jest przeciwny wojnie, uważa, że problemów nie rozwiązuje się z bronią w ręku. Owszem, ma swój honor, kocha ojczyznę i chce dla niej jak najlepiej, ale jego zdaniem patriotyzm nie musi wcale oznaczać rozlewu krwi.

- To tylko słowa, pobożne życzenia... Hamza wie, że przyjdzie mu spojrzeć prawdzie w oczy. Nie będzie miał innego wyjścia, zrobi, co mu każą.

- To znaczy co?

- Będzie zabijał, by zepchnąć nas do morza. To ulubione zawołanie niektórych arabskich przywódców. Wiesz, że Amin Husajni, wielki mufti Jerozolimy, był sojusznikiem nazistów, Hitler przyjmował go z otwartymi rękami? Jego wpływ był, i niestety nadal jest, decydujący na tych ziemiach.

- Pojęcia nie miałem...

- Więc najwyższy czas, byś przejrzał na oczy. David chciał się obruszyć, ale w tej samej chwili Saul ryknął:

- Trzymaj się!

Szarpnął ostro kierownicą i zjechał na przeciwny pas, prawie nie dając Davidowi czasu na reakcję. Wpadli w poślizg i omal nie dachowali. Jadący za nimi samochód najpierw przemknął obok jak błyskawica, potem gwałtownie zahamował i również przeskoczył na przeciwny pas.

- Trzymaj się! - znów krzyknął Saul, szarpnął kierownicę w drugą stronę i wrócił na poprzedni pas. Ścigający ich samochód chciał ruszyć za nimi jeszcze przed złapaniem przyczepności po poprzednim manewrze, ale przy kolejnym gwałtownym skręcie wpadł w poślizg i wyleciał z szosy.

- Boże, co to było?! - krzyknął David, trzęsąc się ze strachu.

- Od jakiegoś czasu za nami jechali, musiałem sprawdzić, czy to przypadek, czy nas śledzą. To był jedyny sposób.

- Mógł nas pan zabić!

- Nie miałem wielkiego wyboru: albo straciłbym panowanie nad samochodem i rozbilibyśmy się, albo ci z tyłu otworzyliby ogień i nas wykończyli. W takiej sytuacji trzeba decydować się na mniej szkodliwą opcję, choć czasami wszystkie są równie niedobre.

- Pan oszalał! - wrzasnął David.

- Uspokój się! - krzyknął Saul. - Nie potrzeba mi tu histeryków. Czy to nie ty mówiłeś, że Żydzi nigdy więcej nie powinni pozwolić się zabijać? Czy nie trąbiłeś, że musimy postarać się o własny kąt, ojczyznę, własną ziemię? Jak niby mamy to: wszystko zdobyć? Myślisz, że dostaniemy państwo w prezencie. Nie, nie licz na to; teraz świat jest pod wrażeniem niedawnych wydarzeń, pod wrażeniem sześciu milionów wymordowanych Żydów, ale szybko o wszystkim zapomni. Niech tylko upłynie trochę czasu i nadarzy się stosowna okazja, a zgotują nam kolejny pogrom. Dlatego musimy być silni, umocnić naszą pozycję. Czy naprawdę przez cały ten czas niczego się nie nauczyłeś?

Davidem targała wściekłość, czuł się poniżony. Jego życie w Izraelu nie było bynajmniej usłane różami. Tu właśnie przekonał się, czym jest samotność, zdarł sobie ręce do krwi, pracując na roli, zmywał naczynia, zmieniał dzieciom pieluchy, łątał dziury w płocie, karmił zwierzęta... Porzucił wygodne życie wśród kochających go ludzi... Choć wiedział, że ojciec postąpił słusznie, wysyłając go do Izraela i ratując w ten sposób od niechybnej śmierci, zapłacił za to bardzo wysoką cenę. Tak, mówił, że trzeba walczyć w obronie tego skrawka żydowskiej ziemi, ale walka jawiła mu się zawsze jako pojęcie czysto abstrakcyjne. Nagle usłyszał, że musi się nauczyć zabijać, i miał sobie teraz za złe, że dręczą go wyrzuty sumienia, bo przecież całkiem niedawno marzył o wstąpieniu do Hagany.

To przyjaźń z Hamzą tak go odmieniła. Im burzliwsze dyskusje prowadzili, im bardziej się przed sobą otwierali, tym bardziej pragnienie walki zastępowała w nich wiara w słowo jako klucz do pokojowego rozwiązania problemów na pozór nierozwiązywalnych. Czyżby i Hamza, i on byli naiwnymi głupcami?

Saul mylił się, sądząc, że pobyt w Izraelu niczego Davida nie nauczył. Chłopak, owszem, przekonał się, że stanowi część społeczeństwa, które do niedawna było mu obce; nauczył się, że ten właśnie zakątek świata opuścili przed wiekami jego przodkowie i że tylko wracając tu, mógł ocalić życie. Nauczył się, że manna nie spada z nieba na tej ziemi obiecanej i że każdy wydawany przez nią owoc kosztuje wiele trudu i potu. Nauczył się, czym jest samotność.

Jednak nie wspomniał o tym Saulowi, wiedząc, że ten się tym nie wzruszy, być może nie zdoła go nawet zrozumieć. Podziwiał Saula, lecz nie był do niego podobny.

- Wszyscy będziemy musieli stanąć do walki. Tym razem nie chodzi o wystąpienie przeciwko Brytyjczykom, ale o naszą przyszłość. Albo będziemy walczyli, by tu pozostać, walczyli o własne państwo, o prawo do życia na tym skrawku ziemi, albo znów czeka nas diaspora, tułaczka po świecie, a i to do czasu, aż znowu ktoś Postanowi nas wymordować. Cóż, taka jest prawda. Ostatnie słowa Saul wypowiedział znużonym głosem, po czym znów pogрузzył się w milczenie, które tym razem przerwał David:

- Skąd pan wie o wizycie tego tam... Mahmuda... w domu Rashida i Hamzy?

- Muszę wiedzieć o takich rzeczach. Odpowiadam za bezpieczeństwo kibucu.

- To znaczy, że ich pan szpieguje...

- To znaczy, że twoje życie i życie wszystkich członków kibucu zależy od tego, czego zdołam się dowiedzieć. Do tej pory nie mieliśmy większych problemów. Już ci mówiłem, że Rashid jest porządnym człowiekiem, ale będzie musiał podporządkować się rozkazom innych, on o tym wie i ja o tym wiem.

- Nigdy nie powierzono mi ochrony kibucu, czyżby mi nie ufano?

- Bzdury. Patrowałeś okolicę jak wszyscy i stałeś na warcie, w razie ataku musiałbyś nas bronić.

- Dlaczego nie zaproponowano mi przystąpienia do Hagany?

- Wszystko w swoim czasie.

- Ale niektórzy z nas już w niej służą.

- Musisz nauczyć się godzić z decyzjami przełożonych. Do tej pory nie proponowaliśmy ci przyłączenia się do nas, bo uznaliśmy, że nie jesteś jeszcze gotowy.

- Dlaczego? Myślisz, że nie nadaję się na żołnierza?

- Tego trzeba się nauczyć. Zresztą wszyscy zaczniecie si teraz uczyć strzelać i posługiwać materiałami wybuchowymi or nieliczną bronią, jaką dysponujemy. Ale od członków Hagany wymaga się... cóż, z czasem się dowiesz.

- Ma mnie pan za mięczaka, za tchórze?

- Nie, skądże. Ocalałeś z zagłady, a do tego trzeba odwagi.

- Aż tak kiepsko u nas z bronią, że musimy sami ją produkować? - zapytał David, by zmienić temat.

- Jak wiesz, mamy trochę broni brytyjskiej i polskiej, ale do tej pory nikt nie chciał nam sprzedać choćby jednego pistoletu, więc po wojnie zaczęliśmy organizować podziemne fabryczki i rozpoczęliśmy produkcję amunicji i lekkiej broni palnej. Ale potrzeby są znacznie

większe. Dlatego nasz kibuc zostanie wyposażony w warsztat, w którym wszyscy będziemy pracowali.

Nagle Saul zatrzymał samochód i kazał Davidowi wysiąść™ W oddali majaczyła Jerozolima, migocząc w leniwych promieniach południowego słońca. Z daleka miasto przypominało oazę spokoju.

Przez kilka minut stali w ciszy, dopóki beczenie kozy nie wyrwało ich z zamyślenia.

- Chodźmy, czas nagli.
- Nie powiedział pan jeszcze, dokąd jedziemy.
- Niebawem się przekonasz.

Dotarłszy na przedmieścia Jerozolimy, skręcili w ziemną drogę prowadzącą do płotu, za którym wznosił się dwupiętrowy dom ze złocistego kamienia otoczony drzewami owocowymi i palmami.

Saul zatrzymał samochód przed bramą i czekał. Wyszli im na spotkanie dwaj Palestyńczycy w kefiach na głowach i z karabinem, ale Saul zupełnie się tym nie przejął. Na jego widok jeden ze strażników uśmiechnął się, po czym otworzył bramę i wpuścił ich do środka.

Jeszcze więcej uzbrojonych mężczyzn strzegło rozległego terenu przed domem. Za budynkiem rozciągał się wielki, tonący w zieleni ogród, po którym ganiała gromadka dzieci, pokrzykując i śmiejąc się. Odłączył się od nich chłopiec, najwyżej dwunasto-, trzynastoletni, i podbiegł do samochodu, machając im na powitanie.

- Saul, jak dobrze, że przyjechałeś!
- Cześć, Ibrahimie! Zgadnij, co ci przywiozłem.
- Pamiętałeś o moich urodzinach?
- No pewnie! Masz, leć otworzyć prezent, potem mi powiesz, czy ci się podoba.

Saul mówił po arabsku. David cieszył się, bo lekcje Hamzy nie poszły na marne - rozumiał mniej więcej sens rozmowy. Nie mógł się nadziwić tak serdecznemu powitaniu i zażyłości małego Palestyńczyka z Saulem.

W drzwiach domu stanęła młoda, trzydziesto-, trzydziestopięcioletnia kobieta o bardzo czarnych oczach i włosach. Ubrana była na zachodnią modłę w bluzkę, dopasowany żakiet i spódnicę sięgającą prawie do kostek.

- Saul, co za wspaniała niespodzianka! Wejdz, przyjeżdżasz w samą porę, właśnie pijemy kawę. Wiem, że wolisz kawę od herbaty.

Saul wziął gospodynię za rękę, uściśnął je serdecznie na powitanie i przedstawił swego towarzysza.

- Poznaj Davida Arnauda. Jest Francuzem, od jakiegoś czasu niieszka z nami.

- W kibucu?

- Tak, jego matkę zamordowano w Niemczech.

- Przykro mi - szepnęła gospodyni, wyciągając rękę do gościa witając go ciepło. - Trudno uwierzyć w to, co się stało...

Davd nie wiedział, co powiedzieć. Ostatecznie postanowił milczeć, poprzestał tylko na uśmiechu.

- zapraszam do środka. Abdul ma gości, ale na pewno będzie chciał jak najszybciej cię zobaczyć, już po niego posłałam.

Gdy weszli do sieni, Davida zadziwiła wytworność, a zarazem bezpraensjonalność wnętrza. Gospodyni znikła w jednym z pokojów, dając im znak, by zaczekali. Po minucie otworzyły się inne drzwi i wysoki, śniady mężczyzna, również ubrany w stylu zachodnim w garnitur i krawat, rozpostarł ręce, bo powitać gościa.

- Saul! - wykrzyknął. - Wejdz, druhu, nie spodziewałem się ciebie. Goszczę właśnie kilku przyjaciół. Znakomicie się składa, będziemy mogli porozmawiać o ostatnich wydarzeniach.

Saul przedstawił mu Davida, który w mig zrozumiał, że ma przed sobą człowieka wyjątkowego. Zanim Saul zdążył wyjaśnić Abdubwi, że jego towarzysz mówi i rozumie po arabsku, gospodarz, zdradzając wykwintne maniery, zwrócił się do niego w języku angielskim z akcentem właściwym klasom wyższym. Był urobieniem władzy.

Prszli do obszernej sali, gdzie na samym środku stał wielki stół otoczony niskimi kanapami zajmującymi prawie całe pomieszczenie. Dziesięciu mężczyzn prowadziło ożywioną pogawędkę, popijając kawę i herbatę.

Obecni zgotowali Saulowi i Davidowi serdeczne powitanie i zrotili im natychmiast miejsce na kanapach.

Po kilkuminutowej błażej pogawędce narzuconej wymogami dobrego wychowania Saul zwrócił się do Abdula i wszystkich obecnych:

- Lada dzień Organizacja Narodów Zjednoczonych wystąpi z propozycją utworzenia na tych ziemiach dwóch państw. My, Żydzi, chętnie na nią przystaniemy, widząc w niej szansę dla nas wszystkich, jednak dochodzą nas niepomysłne wieści: mnożą się ataki na kibuce, szosa do Jerozolimy zamieniła się w śmiertelną pułapkę, kilku naszych ludzi zostało ostrzelanych... Co wy na to, drodzy przyjaciele?

Ołecni, wyraźnie zafrasowani, słuchali go w ciszy. Abdul już miał zabrać głos, uprzedził go jednak starszy mężczyzna z głową okutną kefią.

- Jesteśmy podzieleni - powiedział. - Wielu naszych braci krzywo patrzy na Żydów. Najpierw była was garstka, potem zaczęliście się tu osiedlać gromadnie. Nasi rodacy boją się, że pozbawicie nas ziemi, że to nam przyjdzie zapłacić za zbrodnie hitlerowskie.

- A jakie jest twoje zdanie? - zapytał Saul.

- Choć ten kraj nigdy nie zaznał spokoju, należy do nas, my tu dotąd mieszkaliśmy. A teraz co? Ja wierzę w możliwość naszego pokojowego współzycia, ale wpływowe arabskie siły nie podzielają tej opinii i nie chcą przystać na waszą obecność w Palestynie, nie życzą sobie państwa żydowskiego na naszej ziemi. Cóż możemy na to poradzić?

- Przekonać, kogo trzeba, że możemy żyć w zgodzie i pokoju.

- A możemy? - zapytał starzec.

- Taki jest nasz zamiar, chcemy tylko mieć własną ojczyznę.

- Odbierając nam naszą?

- Przecież Palestyna od wieków nie jest wolnym państwem, nie była nim również przed wzmożonym napływem żydowskich osadników. Nasze rodziny, twoja i moja, mieszkają tu od niepamiętnych czasów i właśnie od niepamiętnych czasów dręczą nas Rzymianie, Arabowie, mamelucy, Turcy, a teraz Brytyjczycy... Najwyższa pora, byśmy stali się panami własnego losu. Możemy żyć razem w pokoju.

- Nasi przywódcy religijni są innego zdania - zauważył starzec.

- Wasz główny przywódca jest nazistą, dobrze o tym wiecie. Amin Husajni był dobrym znajomym Hitlera, to on zaraził was nienawiścią do nas. Ale nadszedł czas powiedzieć „nie” szaleńcom.

- To nie takie proste, Saulu - zabrał głos Abdul. - Myślisz, że nie próbowaliśmy? Wielu z nas od wielu tygodni jeździ po całym kraju, przekonuje, rozmawia. Lecz jesteśmy podzieleni i ci z nas, którzy myślą, że możemy żyć z Żydami w pokoju, boją się, że zostaną uznani za zdrajców. Musimy oddawać Żydom naszą ziemię? - pytają nas. Niby dlaczego? Wtargnęli do naszego kraju, zajmują nasze ziemie, przywłaszczają sobie wszystko... mówią.

- Przecież wiesz, że ziemia, którą posiadamy, albo była nasza, albo ją kupiliśmy - przekonywał Saul. - Nic nikomu nie ukradliśmy, nie chcemy przywłaszczać sobie niczego bezprawnie. Potrzebujemy tylko skrawka ziemi, by stworzyć na nim własne państwo, ojczyznę. Najwyższa pora, byście i wy mieli swój kraj, byście nie byli już niczymi poddanymi i nie zależeli od nikogo. Najwyższy czas, abyśmy pokierowali losem naszych narodów i zrobili coś wspólnie.

- To niemożliwe - orzekł starzec.

- To nie będzie możliwe, jeśli nie postaramy się, by było inaczej - tłumaczył Saul.

David przysłuchiwał się dyskusji w milczeniu. Nie rozumiał wszystkiego, bo mówiono bardzo szybko, pojmował jednak, że Saul i pozostali mężczyźni są przyjaciółmi, znają się dobrze oraz darzą szacunkiem i gdyby to tylko od nich zależało, udałoby się uniknąć wojny.

- Dlaczego nie stworzymy więc państwa palestyńskiego, w którym znalazłoby się miejsce i dla was, Żydów? - zaproponował mężczyzna w średnim wieku ubrany, podobnie jak Abdul, na zachodnią modłę.

- Nie, Hartem - odparł Saul. - Musimy mieć własne, żydowskie państwo. Zrozum: póki ty sprawowałeś władzę w niepodległej Palestynie, czułbym się pewnie, ale kto mi zagwarantuje bezpieczeństwo pod rządami innej osoby? My, Żydzi, potrzebujemy własnej ojczyzny i może nią być tylko ta ziemia, z którą związani jesteśmy od tysiącleci. Tu mieszka od dawien dawna wielu moich bliskich, inni wyjechali, a teraz wracają. Wierzymy, że możemy żyć razem z wami, dlatego uważamy, że powinniście zaprzestać ataków na kibuce, bo wcale nie musimy ze sobą walczyć. Jeszcze można uniknąć wojny.

- Jesteś pewien, że Organizacja Narodów Zjednoczonych pozwoli wam stworzyć własne państwo? - zapytał Hartem.

- Wszystko na to wskazuje. Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Francja opowiadają się za stworzeniem państwa Izrael. Jaki sens ma wasz opór? Doprowadzi nas on tylko do wojny i wszyscy na tym stracimy, i wy, i my; będziecie musieli wybić nas do nogi, nie będziecie mogli zostawić przy życiu ani jednego Żyda, bo wszyscy staniemy do walki. Tym razem nie pozwolimy się tak po prostu wyrznąć. Nie, historia już się nie powtórzy.

Dyskutowali jeszcze długo, nie mogąc dojść do porozumienia. Od czasu do czasu służący wnosił do salonu schłodzoną wodę, herbatę, kawę i owoce.

David wiercił się na kanapie, znużony bezruchem i rozmową, która najwyraźniej prowadziła donikąd.

Dopiero dwie lub trzy godziny później, gdy goście Abdula odjechali, Saul i David zostali sam na sam z gospodarzem.

- Przykro mi, przegrałem - rzekł Abdul do przyjaciela, unosząc ręce w geście bezsilności.

- Więc...?

- Więc przyjdzie nam stanąć po przeciwnych stronach barykady, walczyć przeciwko sobie i pozabijać się nawzajem, a nasza śmierć będzie daremna.

- Będziesz walczył?

- Muszę trzymać z moimi rodakami, nawet jeśli nie mają racji. Ty postąpiłbyś tak samo.

- Tak, Abdulu, postąpiłbym tak samo. Będę się modlił, byśmy nie spotkali się na polu walki.

- I ja będę się o to modlił, bo nie wybaczyłbym sobie, gdybym musiał cię zabić, druhu.

Obaj mężczyźni byli wyraźnie wzruszeni. David widział, że łączy ich głębokie, szczere uczucie, i zastanawiał się, jakie jest jego źródło. Osądził surowo Saula, uznał, że nie potrafi zrozumieć jego przyjaźni z Hamzą, tymczasem jego również łączyła nierozzerwalna więź z Palestyńczykiem.

- Może zostaniecie na noc? - zaproponował Abdul.

- Nie mogę, muszę jeszcze odwiedzić kilku przyjaciół - odpowiedział Saul.

- Taka okazja może się więcej nie powtórzyć - przekonywał Abdul.

- To się o nią postaramy. Myślisz, że komukolwiek uda się zniszczyć naszą przyjaźń? Nie, Abdulu, nawet gdybyśmy musieli się pozabijać, nadal bylibyśmy przyjaciółmi, w moim sercu zawsze będzie dla ciebie miejsce. Zawdzięczam ci życie - przypomniał ze śmiechem Saul.

- Bo z ciebie zawsze była ostatnia gapa! - zarechotał Abdul.

- W dzieciństwie wpadłem do kanału nawadniającego - wyjaśnił Saul Davidowi, który przyglądał im się osłupiały. - Nie umiałem jeszcze pływać, zresztą Abdul też nie, a mimo to wskoczył do wody i wyciągnął mnie z rowu. Sam nie wiem, jak mu się to udało, bo uczepliłem się kurczowo jego szyi, a on bił tylko wodę rękami i nogami, próbując utrzymać nas obu na powierzchni. W końcu zdołał złapać się jakiegoś wystającego kamienia i zaczął umie ciągnąć, aż wywlekl z tego przeklętego rowu. Chyba nigdy w życiu tak się nie opilem.

- Ani ja, ani ja... - przyznał Abdul.

Przyjaciele długo jeszcze rozprawiali o przygodach z dzieciństwa. David słuchał, jak zaśmiewają się, wspominając dawne lata, ale ich śmiech był zabarwiony nostalgią.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy żegnali się z Abdulem i jego żoną na progu domu. Wzruszenie obu mężczyzn i smutek gospodyni były wyraźne.

Kiedy wsiadali do samochodu, Abdul krzyknął jeszcze za nimi:

- Saulu, mój dom zawsze stoi przed tobą otworem! Tu będziesz bezpieczny, bez względu na wszystko!

Saul wysiadł z samochodu i ruszył do przyjaciela. Znów padli sobie w objęcia, a David patrzył oniemiały na tych dwóch mężczyzn, dwóch wojowników, którym serce się ścisnęło, bo mieli niebawem stanąć do walki przeciwko sobie.

- To mój dom - powiedział Saul, wskazując położony kilka metrów od nich kamienny budynek podobny do domu Abdula.

- Ale teraz nikt tu nie mieszka...

- Moi rodzice umarli, a ja rozpocząłem działalność wśród grupki Żydów napływających do Eretz Israel. I choć sam wiesz, że nigdzie długo nie zagrzeję miejsca, najwięcej czasu spędzam w waszym kibucu.

Podjechali do płotu, niższego od tego, który okalał dom Abdula. Tym razem nie wyszedł im na spotkanie żaden uzbrojony mężczyzna. Saul zatrzymał samochód przed samymi drzwiami, z których wychodził właśnie starzec ubrany z palestyńska, z kefią na głowie.

- Saul!

Starzec uścisnął Saula i obaj weszli do domu, nie zwracając uwagi na Davida, który ruszył za nimi zaciekawiony.

Palestynka z włosami przykrytymi hidżabem i w luźnej szacie spowijającej ją od szyi po stopy zaczęła odpychać męża, chcąc również powitać Saula.

- Tak dawno się nie pokazywałeś! Co się z tobą działo? - zbeształa go.

- Pracowałem, praca mnie pochłonęła - tłumaczył się Saul. - Ale wcale o was nie zapomniałem.

- Możesz spać spokojnie, opiekujemy się twoim domem jak własnym - zapewnił starzec.

- Nie mam co do tego wątpliwości.

Kobieta znikła w głębi domu i po chwili wróciła z wodą, herbatą, owocami i słodyczami starannie rozłożonymi na tacy.

David zwrócił uwagę, że mieszkanie urządzone jest podobnie jak dom Abdula - tu również znajdował się salon z kanapami otaczającymi ustawiony na samym środku stół.

Usiedli i Saul wysłuchał z ust gospodarza sąsiedzkich plotek, opowieści o ostatnich zbiorach i narzekań na ból kości spowodowany wiekiem.

- Szykuje się wojna, Marwanie.

- Wiem, Saulu, wiem, ale my się stąd nie ruszymy. Twój dom będzie bezpieczny.

- Nie mogę prosić cię o tak wiele.

- Nie robię tego na twoją prośbę, to nasza decyzja. Moja żona się zgadza, moje dzieci... zależy, niektóre się zgadzają, inne nie. Tak czy owak, nigdzie się stąd nie ruszymy, to również nasz dom. Tutaj się urodziłem, tutaj przyszedł na świat moje dzieci. Mój dziad i mój ojciec też tu mieszkali i pomagali twojej rodzinie w pracy na roli.

- Wiem, Marwanie, zawsze byliśmy przyjaciółmi, ale teraz...

- Teraz wybuchnie wojna, ale my nie weźmiemy w niej udziału. Zostaniemy *ta* i zaopiekujemy się twoim domem, żebyś miał dokąd wrócić, gdy będzie już po wszystkim. Wszystkie wojny kończą się wcześniej czy później, tak, Saulu, wszystkie.

Saul i Marwan omówili to, co jest do zrobienia w domu oraz w ogrodzie, i na oczach zdumionego Davida Saul wręczył Marwanowi sporą sumę pieniędzy.

- Na co mi to?! Nie potrzeba! Przecież regularnie nam pomagasz, mogę ci pokazać rachunki.

- Nie musisz niczego mi pokazywać. Weź to na wszelki wypadek, powinieneś mieć jakieś zaskórniaki, bo nie wiem, kiedy wrócę.

- Ale to przecież góra pieniędzy...!

- Mam nadzieję, że wystarczy.

Gospodyni zaczęła ich namawiać, by zostali na kolacji i przenocowali pod ich dachem. Saul z początku się wahał, ale potem dał się przekonać, zaznaczając jednak, że najpierw będzie musiał załatwić kilka spraw.

- A teraz dokąd jedziemy? - dopytywał się David. - Do pobliskiego kibucu. Mam spotkanie z oficerami Hagany. Umówiliśmy się na siódmą.- A co ze mną?

- Posłuchasz nas, nie zaszkodzi ci.

- Zgoda. No, a ci Palestyńczycy, którzy doglądają pańskiego domu? Widać, że bardzo pana kochają...

- Znam ich od dziecka, powierzyłbym im własne życie.

- Więc dlaczego ma mi pan za złe, że zaprzyjaźniłem się z Hamzą?

- Nie mam ci niczego za złe, po prostu chcę, żebyś wiedział, co was czeka. Ja również przyjaźnię się z Abdulem: razem dorastaliśmy, chodziliśmy do jednej szkoły, naszą pierwszą miłością była ta sama dziewczyna, notabene kuzynka Abdula... A jednak obaj wiemy, że będziemy musieli ze sobą walczyć. Słyszałeś, co mówił Abdul.

- Moim zdaniem to jakiś obłąd. Przyjaźnimy się z Palestyńczykami, Palestyńczycy nastają na nasze życie, bronimy się przed Palestyńczykami i zabijamy ich, a Palestyńczycy zabijają nas...

- Tak, czasami sam się w tym gubię. Ale sprawa jest prosta: tu była nasza ojczyzna, póki nie zjawili się Rzymianie i jej nie podbili, dając początek ciągnącej się do dzisiaj obcej okupacji. Wielu Żydów opuściło tę ziemię, rozjechało się po świecie i wybrało sobie nową, przybraną ojczyznę, ale nigdy nie przestało tęsknić za tym skrawkiem ziemi. Oszczędzę ci

historycznego wykładu o pogromach, inkwizycji i Holokauście. Nadszedł moment, byśmy odzyskali swą ziemię i by na świecie nie było ani jednego bezdomnego Żyda.

- Przed zaginięciem mojej matki czułem się Francuzem, tylko i wyłącznie Francuzem. W rzeczywistości nie poczuwałem się do żydowskich korzeni. Nie rozumiałem, co to znaczy być Żydem.

- Ale teraz już wiesz, co to znaczy.

- Naprawdę jesteśmy aż tak różni, że nijak nie możemy się porozumieć?

Saul przez kilka sekund zastanawiał się nad odpowiedzią. On sam nie czuł się inny od Abdula czy od Marwana ani od tylu innych przyjaciół i znajomych z dzieciństwa.

- Problem w tym, że większość napływających tu Żydów przybywa z Zachodu i reprezentuje typowo zachodni sposób patrzenia na świat i budowania społeczeństwa. Na tym właśnie polega cała różnica, dzieląca nas przepaść. Ponieważ ja i cała moja rodzina urodziliśmy się tutaj, na miejscu, moje poglądy są bardziej wschodnie niż zachodnie, dzięki czemu rozumiem obawy i lęki moich palestyńskich ziomków i wiem, że tego, co nastąpi, nie da się uniknąć.

- Mimo to próbowałeś przekonać Abdula.

- Abdul jest powszechnie szanowanym człowiekiem, ma posłuch wśród innych szejków. Ani on, ani ja nie oszukujemy się, wiemy, co jest złe i dobre w nas i w tym, czego bronimy i co kochamy. Jego rodacy powiedzieli „nie” i Abdul będzie trzymał ich stronę, nawet jeśli jego zdaniem popełniają błąd. Stary król Jordanii Abdullah* również opowiadał się za porozumieniem z nami i sam widziałeś, że przypłacił to życiem. Bo życie i śmierć nie mają tu tej samej ceny co na Zachodzie. Twój pobratymcy tego nie pojmują, zresztą ty też nie.

* Błąd autorki - Abdullah I zginął w zamachu nieco później, bo dopiero w 1951 roku.

Dotarli do kibucu położonego na obrzeżach Pustyni Judejskiej. Był solidnie obwarowany, wokół roilo się od uzbrojonych mężczyzn.

Saul udał się na zebranie oficerów Hagany, zostawiając Davida w towarzystwie jego rówieśników, którzy oprowadzili go po gospodarstwie, znacznie większym od kibucu Davida, wypytyując, jak w jego stronach Żydzi radzą sobie z arabskimi partyzantami. Wielu młodych członków miejscowego kibucu należało do Hagany i było wyraźnie zaniepokojonych rozwojem wypadków i najbliższą przyszłością.

Godzinę później Saul przywołał Davida, musieli bowiem wracać do Jerozolimy.

- Powrót to czyste szaleństwo, ale jedźmy, nie możemy sprawić przykrości Marwanowi i jego żonie. Zresztą kto wie, kiedy znów będę miał okazję spać we własnym domu!

W nocy David nie mógł zmrużyć oka, zastanawiał się, dlaczego Saul zabrał go ze sobą. Nie wątpił, że miał w tym jakiś cel - Saul nie należał do ludzi działających pod wpływem kaprysu.

22

Mahmud patrzył, jak przygotowują broń. Podzielił ich na trzy piętnastoosobowe oddziały, żaden nie wiedział jeszcze, jakie czeka go zadanie. Powiedziano im tylko, że mają być gotowi przed świtem.

Hamza myślał o Davidzie. Ostatnio prawie się nie widywali. Unikał go, ale i David najwyraźniej od niego stronił. Pozdrawiali się przez płot, dawali sobie znaki, że spotkają się później, ale na tym się kończyło. Czyżby David coś podejrzewał? - zastanawiał się Hamza, ale natychmiast odrzucał taką możliwość. Skąd niby miałby wiedzieć? Przecież nikt nie mógł mu zdradzić, że Hamza wstąpił do oddziału powstańczego.

Zdziwił się, gdy przez dwa dni nie widywał Davida w pobliżu kibucu. Może nasza przyjaźń wygasa, bo przestaliśmy sobie ufać? Mam przed nim tajemnice i on to czuje albo sam również coś przede mną ukrywa, zastanawiał się Hamza.

- Tak, to mi się podoba, grunt to wypucowana, gotowa do akcji broń - rzucił Mahmud, wyrrywając go z zamyślenia. - Dzisiejszej nocy udowodnisz, czego się nauczyłeś i ile jesteś wart.

Hamza nie odpowiedział, nie ruszył się z miejsca. Siedział w kucki, zaciągając się papierosem. Ostatnio, mimo utyskiwań matki, zaczął dużo palić. Natomiast jego ojciec zrobił się bardziej milczący i wyraźnie zgorzkniał.

Hamza zachodził w głowę, dlaczego Mahmud nie chce zdradzić, jakie wyznaczył im na dzisiaj zadanie; nie wynikało to chyba z braku zaufania, raczej z chęci chępczenia się posiadaną nad nimi władzą.

Rozkazy padły dopiero o czwartej nad ranem.

- Oddział Ehsana zrówna z ziemią wioskę, oddział Alego przeprowadzi atak na magazyn, a ty, Hamzo, zaatakujesz ze swoimi ludźmi kibuc graniczący z twoim domem. Znasz dobrze to miejsce, bywałeś tam wielokrotnie. Zakradniecie się niezauważeni do środka i podłożycie ładunki dynamitu. Potem wpadniecie do domów i otworzycie ogień do śpiących ludzi, przed wyjściem odpalicie ładunki. Pójdę z wami. Tej nocy postanowiłem towarzyszyć w akcji właśnie waszemu oddziałowi.

- W kibucu mieszka dwadzieścioro dzieci - jęknął przerażony Hamza. - Zginą...

- Tak, niewykluczone, że niektóre zginą, może nawet wszystkie. I co z tego? Przecież to tylko Żydzi - rzucił Mahmud, rechocząc. - Jeśli obleciał cię strach, nie musisz iść - dodał tonem groźby i przystawił mu lufę do skroni. Hamza wiedział, że nie blefuje, że pociągnie za spust. Czuł, że Mahmud szuka okazji, by go zabić, i urągał sobie, że tak bardzo boi się o własną skórę.

Słuchał instrukcji Mahmuda, starając się opanować mdłości, które próbowały zawładnąć jego trzewiami. W uszach dźwięczał mu suchy śmiech Mahmuda napawającego się jego udręką. Dowódca chciał poddać go próbie, sprawdzić, czy może mu ufać. Jeśli Hamza zgodzi się zabić swoich przyjaciół, zabije każdego - wniosek jest prosty, wniosek jest straszny.

Hamza pokierował oddziałem. Podkradli się zaroślami do ogrodzenia. Wiedział dobrze, gdzie stoją kibucowe patrole. Przecięli druty i wślizgnęli się na teren kibucu, bojąc się oddychać. Słyszał rozmowy wartowników i wydało mu się, że rozpoznaje wśród nich głos Davida.

Błagał Allacha, żeby mu się tylko przewidziało, żeby jego przyjaciel nie stał akurat tej nocy na warcie. Tylko w ten sposób David mógł ocalić życie, w przeciwnym razie Hamza wolał nawet nie myśleć, co się stanie.

Dał znak swoim ludziom, jak mają się podzielić. Już im pokazał, gdzie należy umieścić ładunki wybuchowe: w warsztacie, w silosie, w kuchni o tej porze pustej, w pomieszczeniu, gdzie trzymano traktory, w zagrodzie dla zwierząt, w studni - w ten sposób chcieli pozbawić Żydów zaopatrzenia w wodę - na słupach telefonicznych... Jego ludzie uwijali się szybko i bezszelestnie w mroku nocy, podczas gdy on wraz z kilkoma innymi członkami oddziału czekał na właściwy moment, by zabić wartowników, Wpaść do domów i otworzyć ogień do śpiących mieszkańców kibucu. Wiedział, gdzie znajduje się pokój Davida, i nie zamierzał tam wejść ani pozwolić na to żadnemu z towarzyszy.

Rozmieszczenie ładunków nie trwało długo; gdy oddział znów był w komplecie, Hamza dał sygnał do ataku. Rozwinąwszy się w tyralierę, zaczęli kopniakami otwierać drzwi i siec uśpionych mieszkańców salwami z karabinu maszynowego. Chwilę potem krzyki trwogi zmały ciszę nocy, a terkot broni automatycznej odpowiedział na wystrzały atakujących. Dzieci płakały, póki kule nie zdławiły ich szlochu.

Hamza, bliski szaleństwa, miotał się po kibucu i strzelał na oślep. Mahmud biegł za nim krok w krok, upajając się chaosem i śmiercią.

Hamza patrzył, jak jego towarzysze padają od kul mieszkańców kibucu. Ze zdumieniem dostrzegł wrzeszczącą Tanie z karabinem w ręku. Przypomniawszy sobie, że

żydowskie kobiety przechodzą szkolenie wojskowe i posługują się bronią nie gorzej od mężczyzn. Widział, jak śliczna Rosjanka pada na ziemię z twarzą zmasakrowaną od serii z karabinu maszynowego.

Raptem stało się to, czego Hamza najbardziej się obawiał. Dojrzał Davida ostrzeliwującego się z pistoletu. Zaskoczyła go twarz przyjaciela - zupełnie bez wyrazu - i pewność, z jaką działał. Spotkanie było nieuniknione - Mahmud napierał od tyłu na Hamzę, popychając go ku części kibucu bronionej przez Davida. W końcu stanęli oko w oko. David popatrzył na przyjaciela smutno, choć bez śladu zdziwienia, jakby czekał na ten właśnie moment. Hamza chciał mu powiedzieć, żeby uciekał, opuścił pistolet. Nie zamierzał strzelać do przyjaciela, nawet jeśli Mahmud zabije go za taki objaw słabości. Lecz David nie zawahał się, zrobił krok w jego stronę. Hamza poczuł przeszywający ból w brzuchu i usłyszał krzyk Mahmuda, nie zrozumiał jednak słów. Sięgnął ręką do brzucha, na widok skapującej z niej krwi znów podniósł wzrok na Davida i zauważył bolesny grymas malujący się na twarzy przyjaciela. Uśmiechnął się do niego, opuścił pistolet i osunął się na podłogę.

Mahmud przeskoczył przez trupa i posłał serię z pistoletu maszynowego w stronę zabójcy Hamzy. Choć śmierć towarzysza broni go nie obeszała, poczuł satysfakcję na widok młodego Żyda padającego obok ciała swej ofiary. Hamza, skończony idiota, zawahał się, opuścił broń, a nawet uśmiechnął się do swego kata. Taki tchórz w pełni zasługuje, by zginąć jak pies.

Mahmud zarządził odwrót. Gdy opuszczali kibuc, żegnał ich huk licznych eksplozji. Mogli sobie pogratulować uwieńczonej sukcesem akcji - kibuc został zrównany z ziemią.

To prawdziwy cud, że jeszcze żył. Strzały Mahmuda rozpruły mu płuco, potrzaskały obojczyk, przedziurawiły żołądek i pogruchotały nogę.

Przez wiele dni błąkał się po zaświatach. Opiekujących się nim lekarzy zadziwiła siła jego serca oraz upór, z jakim walczył o życie.

Atak na kibuc okazał się prawdziwą rzezią. Śmierci uniknęło tylko pięcioro dzieci, ze stu dorosłych przeżyło trzydziestu, wśród nich właśnie David.

Nie mógł mówić, maska tlenowa pomagała mu oddychać i nie miał siły otworzyć oczu. Raz, gdy uniósł powieki, wydało mu się, że widzi Martine, a nawet Saula, nie był jednak tego pewien.

Dochodziły go głosy lekarzy mówiących, że nie uwolnił się jeszcze ze szponów śmierci, że ciągle nie wiadomo, czy przeżyje. Ale jemu było wszystko jedno. Wolał spać, zatonać w słodkich objęciach leków przeciwbólowych. Gdy odzyskiwał przytomność, choćby

na moment, od razu widział uśmiechniętego przyjaciela idącego ku niemu z opuszczonym pistoletem. Tak, było jasno, że Hamza nie miał zamiaru do niego strzelać, tymczasem on nie zawahał się ani chwili. Widział, jak jego przyjaciel pada, wciąż się uśmiechając, jakby chodziło tylko o zabawę, jakby Hamza próbował mu coś powiedzieć na pożegnanie.

Nie mógł żyć ze spojrzeniem Hamzy zastygłym na siatkówce oka. Nigdy nie zdoła zapomnieć uśmiechniętej twarzy przyjaciela i jego opuszczonej ręki z pistoletem. Hamza wykazał się odwagą, natomiast on zachował się jak ostatni tchórz. To wspomnienie będzie prześladować go niczym nocna zmora, a on nie zamierza uciekać przed nim do końca życia. Woli umrzeć. Dlaczego jego serce nie daje za wygraną? Dlaczego ciągle bije? Gdyby tylko mógł się ruszyć, wyrwałby wszystkie rurki przykuwające go do łóżka i łączące jego ciało z tą potworną szpitalną aparaturą.

Tyle zachodu, by go ratować... Tylko po co? Przecież nawet Jeśli się z tego wylize, i tak się zabije. Próbował powiedzieć to lekarzom, ale najwyraźniej go nie słyszeli, być może słowa nie Przechodziły mu przez gardło. - Davidzie, synku, słyszysz mnie? Wydało mu się, że to głos ojca, próbował nawet otworzyć oczy ale powieki za bardzo mu ciążyły. Zresztą to na pewno tylko zwiady. Na pewno znów mu się coś przyśniło - kolejny koszmar.

- Doktorze, czy on mnie słyszy?

- Nie wiem, nie mogę tego zagwarantować. To cud, że żyje, trudno mi jednak przedstawić rokowanie, nie wiem nawet, czy będzie mógł się ruszać... Przy życiu utrzymuje go serce, młode, silne serce, które mimo wszystko nie przestaje bić. Lecz pacjent ciągle nie odzyskuje przytomności, nie potrafię powiedzieć, ile to potrwa...

Głos ojca szepczącego mu do ucha słowa otuchy docierał do najdalszego zakamarka mózgu w owym śnie, z którego David najwyraźniej nie mógł się wyrwać.

Miał wrażenie, że słyszy również głos dziadka, który namawia go, by otworzył oczy i walczył:

- Davidzie, nie poddawaj się, jesteśmy przy tobie, musisz żyć. Czasami głosy te były wyraźne, kiedy indziej tonęły w mrokach spowijających jego mózg.

- Mój syn cierpi, czuję to - zdawało mu się, że słyszy ojca.

- Nie, nie cierpi, jest pod działaniem środków znieczulających. Proszę się nie zamartwiać, pański syn nie myśli ani nie czuje - odpowiadał lekarz.

- Myli się pan, David cierpi, dokucza mu głęboki, nieznośny ból, widzę to w jego twarzy... Proszę coś zrobić... proszę ulżyć mu w cierpieniu.

- Zapewniam, że pański syn nie cierpi, podaliśmy mu silne środki uśmierzające ból, nie może nic czuć.

- A jednak czuje, doktorze, mój syn czuje... Wiem to, czuję, że on czuje.

Hamza uśmiechał się do niego i ciągnął go za rękę. Nie miał do niego żalu. David próbował mu coś powiedzieć, lecz nie mógł wydobyć z siebie głosu. Musiał przeprosić, że go zabił, ale Hamza nie chciał słuchać, ciągnął go tylko za rękę, by zabrać ze sobą do wieczności.

Ferdinand dotknął dłoni syna i poczuł, że jest lodowata. Ścisnął ją z całej siły i krzycząc, zaczął przyzywać pielęgniarkę.

Do pokoju wbiegło dwóch lekarzy i kilka pielęgniarek. Ferdinand zaczął się modlić i błagać Boga, by tym razem nie opuścił go w potrzebie. Nie modlił się prawie od dzieciństwa, zdarzyło mu się to tylko po zaginięciu Miriam. Wtedy Bóg go nie wysłuchał, ale nie mógł i tym razem puścić mimo uszu jego prośb.

Otworzyły się drzwi sali na oddziale reanimacyjnym, gdzie jego syn przebywał od dwóch niekończących się miesięcy. Ściągnięte żalem twarze wychodzących pielęgniarek wyrażały ból kogoś, kto dopiero co poniósł dotkliwą porażkę. Pielęgniarki minęły Ferdinanda bez słowa, pozostawiając lekarzom trudne zadanie.

Zanim ci otworzyli usta, Ferdinand wiedział już, co usłyszy.

Krzyknął. Był to rozdzierający krzyk przepełniony nieznośnym bólem. Przytrzymano go w obawie, że rozbije sobie głowę o ścianę, zmuszono, by usiadł, a pielęgniarka podwinęła mu rękaw i zrobiła zastrzyk uspokajający, zupełnie jakby cokolwiek mogło uspokoić cierpiącą duszę.

Davida pochowano w kibucu, tuż przy płocie graniczącym z ogrodem Rashida. Ferdinand widział, jak sąsiad zerka na niego zza drzew - dostrzegł w jego oczach ten sam ból, który trawił i jego. David zabił syna tego Palestyńczyka, a potem inny mężczyzna zabił Davida.

Nie mieli sobie nic do powiedzenia, nie potrafiliby nawet podtrzymać się wzajemnie na duchu.

Gdy ostatnie grudki ziemi spadły na grób Davida, Ferdinand zrozumiał, że odniósł porażkę. Życie straciło dla niego sens. Ojciec przytrzymał go, położywszy mu rękę na plecach, Inge, która przyjechała na pogrzeb razem z Johnem Morrowem, ścisnęła go z drugiej strony za rękę. Jak zwykle uczestniczyła w najtragiczniejszych chwilach w jego życiu.

Za nią Martine płakała bezgłośnie.

Miriam nie miała własnego grobu, trafiła do zbiorowej berlińskiej mogiły. Jej syn spoczął na zawsze w tej dalekiej ziemi, w ojczyźnie, o której marzył i gdzie głosił, że tylko walcząc, Żydzi unikną losu, jaki spotkał jego matkę.

Do Ferdinanda podszedł mężczyzna z nienabita fajką w ręku.

- Choć żadne słowa nie pocieszą zrozpaczonego ojca, który stracił syna - powiedział - chcę, by pan wiedział, że zabójca Davida nie żyje.

Nieznajomy odwrócił się i oddalił. Ferdinand, zastygły w bólu, nie wiedząc, co zrobić czy powiedzieć, słuchał wyjaśnień szeptanych mu do ucha przez Martine:

- To Saul, członek Hagany. Dzisiaj w nocy pomścił śmierć Davida: wytropił człowieka, który do niego strzelał, i dowiedział się, jak mu na imię. To był Mahmud, jeden z przywódców ruchu powstańczego. Saul zabił go, ryzykując przy tym życie. Poszedł do niego sam jeden, zaskoczył go w jego domu, gdzie Palestyńczyk jadł akurat kolację ze swoimi ludźmi, i zastrzelił ich wszystkich.

- Co mi po jego śmierci? - zapytał Ferdinand.

- Oko za oko, ząb za ząb, takie jest obowiązujące tutaj prawo. Kto zabije jednego z naszych, powinien wiedzieć, że się przed nami nie ukryje, że znajdziemy go i zabijemy. Jesteśmy sami, Ferdinandzie, zupełnie sami, zewsząd otaczają nas wrogowie, dlatego nie możemy pozwolić sobie na słabość. Jednak dla Saula nie była to tylko i wyłącznie odpowiedź narzucona sytuacją, on był przywiązany do twojego syna, wiedział, ile znaczy dla niego Hamza, dlatego z lękiem myślał o chwili, gdy przyjdzie im si zmierzyć.

- To David zabił Hamzę?

- Tak, strzelił do niego, bo nauczono go, jak się bronić. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie piekło rozpętało się tamtej nocy w kibucu, zamordowano piętnaścioro dzieci...

- Wiem, Martine, wiem. Nikogo nie osądzam, wiem tylko jedno: mój syn oraz inny młody człowiek nie żyją i ani dla mnie, ani dla jego rodziców nie istnieje pocieszenie. Oni mają więcej dzieci, ja nie mogę oczekiwać już niczego od życia, chyba tylko śmierci.

- Jesteś znakomitym historykiem...

- Jestem człowiekiem zagubionym we własnej historii.

23

Ignacio modlił się właśnie w kaplicy. Podszedł do niego inny duchowny, by mu przekazać, że ma telefon z Watykanu.

Ignacio podniósł się zdenerwowany, zachodząc w głowę, kto może do niego dzwonić w sobotę ze Stolicy Apostolskiej.

Nie spodziewał się usłyszeć w słuchawce głosu ojca Grilla. Już dwa miesiące upłynęły, odkąd zakończył wakacyjne praktyki w Kancelarii Stanu i wznowił studia na uniwersytecie. Czas spędzony w murach Watykanu nie pozostał oczywiście bez wpływu na młodego księdza, choć największe wrażenie zrobiła na nim dziwna podróż do Francji.

- Obiecałem, że dam ci znać, gdy się czegoś dowiem o profesorze Arnaudzie. Właśnie otrzymałem telegram z Jerozolimy. Jego syn nie żyje, pochowano go kilka dni temu, profesor wraca do Francji.

- Mój Boże, biedny człowiek! - wykrzyknął Ignacio.

- Tak, Bóg straszliwie go doświadczył. Profesor Arnaud jest na pewno zdruzgotany.

- To był jego jedyny syn - szepnęła Ignacio. - Wierzyłem, że Bóg ulituje się i uratuje mu życie.

- Nie obudził się ze śpiączki, w której znajdował się od zamachu na kibuc. Jego młode serce i tak wytrzymało bardzo długo, lekarze od początku nie dawali mu żadnych szans.

- A tak się za niego modliłem... - powiedział z żalem młody duchowny.

- Wszyscy się modliliśmy.

■- Byłby ojciec tak dobry i podał mi adres i telefon profesora Arnauda?- Dam ci je na miejscu, w moim gabinecie. Mógłbyś wstąpić do mnie teraz?

- Teraz?

- Tak, rozmawiałem już z twoim ojcem superiorem i nie ma nic przeciwko temu. No, chyba że masz jakieś inne plany...

- Nie, nie mam nic specjalnego do roboty, zaraz przyjdę.

- Dobrze, czekam.

Telefon od ojca Grilla ogromnie go zdumiał. Czegóż mogą od niego chcieć w Kancelarii Stanu w sobotę po południu?

Po zakończeniu praktyk widywał jeszcze kilkakrotnie ojca Grilla podczas jego odwiedzin w domu zakonnym. Były to serdeczne, choć przelotne spotkania, ledwie mieli czas na wspomnienie wspólnej podróży do Francji.

Ignacio przywołał na myśl ostatni raz, gdy widział Ferdinanda Arnauda: profesor biegł po peronie, za nim podążał jego ojciec. Potem obaj znikli w tłumie, on natomiast udał się do nuncjatury, gdzie czekali już na niego ojciec Grillo, ojciec Nevers, nuncjusz oraz dwaj

mężczyźni, których przedstawiono mu jako członków francuskich służb bezpieczeństwa. Wszyscy chcieli jak najszybciej usłyszeć, czego dowiedział się w zamku d'Amis.

- To bardzo dziwni ludzie - zaczął swą relację Ignacio - wariaci albo oszołomy, w każdym razie nie wzbudzają zaufania. Wierzą, że uda im się znaleźć Graala, i snują domysły, czym on może być.

Obecni wysłuchali Ignacia z wielką powagą i z oznakami niepokoju, nie przerywając mu ani nie zarzucając go pytaniami, póki nie skończył opowiadać o wszystkim, co widział i słyszał na zamku.

- Raymond, syn hrabiego, to biedny chłopaczyna zastraszonego przez ojca, który, moim zdaniem, jest typem spod ciemnej gwiazdy. A jeśli chodzi o jego gości... Pan Randall, Amerykanin, wygląda na wojskowego, jest małomówny, za to ciągle nastawia ucha, natomiast Stresemann mieni się badaczem katarów i bez wątpienia jest Niemcem.

Jeden z przedstawicieli francuskich tajnych służb oznajmił jasno i dobitnie, że hrabia d'Amis jest człowiekiem inteligentnym, przed wojną podejrzanym o kontakty z hitlerowcami, któremu niczego nigdy nie zdołano udowodnić. Jego zamek stoi na uboczu, z dala od wścibskich spojrzeń, natomiast młodzi ludzie, których hrabia hołubi w nadziei, że pomogą mu odnaleźć skarb, wydają się równie niewinni i naiwni jak jasny wiosenny poranek. Mimo to podejrzewano, że za archeologicznymi poszukiwaniami wszczętymi przez hrabiego kryje się coś więcej.

- Powiedziałem już co: oni szukają Graala. Uważają, że jest to albo magiczny przedmiot obdarzający nadprzyrodzoną mocą swego właściciela, albo symbol oznaczający potomków Jezusa i Marii Magdaleny. Profesor Arnaud wykpił te teorie, nazywając je tanią pseudoliteraturą, i stwierdził, że marnują tylko czas, bo Graal nie istnieje.

Francuzów obchodziły jednak nie tyle poszukiwania Graala, ile prawdopodobne kontakty hrabiego z jedną z tajnych organizacji założonych przez byłych nazistów, z których niektórzy uciekli z Niemiec i rozproszyli się po całym świecie. Niewykluczone, że właśnie hrabia d'Amis udzielał im schronienia.

- Tego tylko brakowało, by oskarżono Francję o ukrywanie byłych hitlerowców. Musimy za wszelką cenę uniknąć takiego skandalu - stwierdził z ponurą miną jeden z członków służb bezpieczeństwa.

Kościół natomiast niepokoiły domysły na temat świętego Graala. Ojciec Grillo zgodził się z profesorem Arnaudem i stwierdził, że „lepiej wiedzieć, z czym mamy do czynienia, by przygotować się zawczasu do obrony”.

Na koniec pochwalono Ignacia za dobrze wykonane zadanie. Ojciec Grillo stwierdził nawet, że jezuita ma zadatki na wybornego dyplomatę i że może w przyszłości otrzymać stałą posadę w Kancelarii Stanu.

A teraz, kilka miesięcy później, ojciec Grillo dzwoni do niego z wiadomością o śmierci młodego Arnauda i wzywa go do Watykanu.

Ignacio poszedł powiadomić superiora, że wychodzi na spotkanie z ojcem Grillem.

- A tak, rozmawiałem z nim. Myślę, że nadeszła twoja szansa - usłyszał od przełożonego.

- Moja szansa?

- Czy nie mówiłeś, że podoba ci się dyplomacja? Lada moment skończysz studia, a przecież ojciec Grillo był bardzo zadowolony z twojej letniej praktyki. Podobno jego obecny sekretarz choruje na serce i lekarz zalecił mu unikać stresów, co jest nie do pogodzenia z pracą w Kancelarii Stanu. Zresztą ojciec Grillo sam ci o wszystkim powie. Coś mi się wydaje, że chce ci zaproponować jego posadę.

Ignacio nie krył zadowolenia. Praktyki w Watykanie były dla niego wspaniałym doświadczeniem i marzył, by tam wrócić.

Ojciec Grillo rozmawiał akurat przez telefon po japońsku. Dał znak Ignaciowi, by zaczekał.

- Cieszę się, że cię widzę - powitał go, gdy skończył.

- No tak, cóż... to ja się cieszę, że mnie ksiądz wezwał.

- Mimo że jeszcze nie wiesz po co?

Ignacio spuścił głowę, by ukryć rumieniec, który, czuł to, wypłynął mu na czoło.

- Ojciec superior już ci powiedział? - zaśmiał się ojciec Grillo.

- Tak, coś napomknął...

- Chcę ci zaproponować stanowisko mojego sekretarza, oczywiście jeśli nie masz innych planów. Tego lata spisałeś się całkiem dobrze, poznałeś już jako tako działanie tej instytucji, mówisz płynnie po angielsku, francusku, hiszpańsku i włosku, a wydaje mi się, że władasz również arabskim, co nam się bardzo przyda.

- I baskijskim.

- Co proszę?

- Znam również język baskijski.

- No tak, nie sądzę co prawda, by ci się on zbytnio przydał... zresztą nigdy nic nie wiadomo. Zdołasz pogodzić pracę ze studiami?

- Chyba tak. Zawsze mogę trochę mniej spać.

- To masz akurat jak w banku, nie tylko dlatego, że będziesz musiał uczyć się po nocach, ale ponieważ w Kancelarii Stanu godziny pracy to fikcja.

- Kiedy zaczynam?

- Już teraz.

Ignacio nie kręcił nosem. Ojciec superior miał rację: to jego szansa, nie może jej zaprzepaścić.

- Musimy odpowiedzieć na górę listów i rozwiązać pewien problem w jednej z francuskich diecezji. Poza tym trzeba przygotować wizytę prezydenta Stanów Zjednoczonych u Ojca Świętego. Sekretarz stanu domaga się oczywiście wszystkiego na wczoraj...

Nie zrobili nawet przerwy na obiad, wypili tylko kilka bardzo mocnych kaw. Resztę dnia spędzili, pracując, zresztą nie tylko oni - mimo soboty nawet sam kardynał zawitał do swojego gabinetu w Kancelarii Stanu, by załatwić kilka pilnych spraw. Ojciec Grillo mówił prawdę: Watykan nigdy nie odpoczywał.

Dochodziła dziewiąta wieczorem, gdy nowy przełożony Ignacia ogłosił koniec pracy.

- Nie puściłem cię na obiad, pozwól więc zaprosić się na kolację, jestem ci to winien.

Poszli do niezbyt uczęszczanej przez turystów *trattoři* na Zatybrzu.

- Od rana masz ochotę wypytać mnie o profesora Arnauda - rozpoczął pogawędkę ojciec Grillo.

- Tak, chciałbym wiedzieć, co się wydarzyło. Profesor mi zaimponował. Choć mienił się agnostykiem, mówił o Bogu, jakby był On stale obecny w jego życiu. Śmierć syna musiała być dla niego strasznym ciosem. Jak już wspomniałem, chciałbym napisać do niego list. Nie sądzę, by obeszło go, co mam mu do powiedzenia, ale czuję, że to mój obowiązek.

- List to jeszcze nie wszystko, niebawem pojedziesz do Paryża.

- Do Paryża? Mam egzaminy...

- Zadbamy, by nie zbiegły się z twoim wyjazdem. Chcę, byś znów udał się na zamek d'Amis i zbadał sytuację. Ale pojedziesz tam dopiero za jakieś dwa miesiące, nie wcześniej.

- Chcę ojciec wiedzieć, czy coś znaleziono?

- Chcemy wiedzieć, co się tam dzieje, tylko tyle. Cała ta sprawa jest nader podejrzana. Francuscy znajomi proszą nas o współpracę, a ponieważ nasze interesy są zbieżne, spróbujemy coś w tej sprawie zrobić.

- Nie wiem, czy będą chcieli mnie przyjąć...

- Opowiadałeś, że syn hrabiego, Raymond, zapraszał, byś zaglądał na zamek, kiedy tylko zechcesz.

- Owszem, ale to tylko słowa, które mówi się w podobnych sytuacjach. Obawiam się jednak, że nie przypadłem zbyt do gustu hrabiemu.

- Tak czy owak, spróbujemy szczęścia, ale jeszcze nie teraz. Powiem ci kiedy.

Był zdenerwowany. Profesor Arnaud potraktował go przez telefon nader oschle. Co prawda zgodził się go przyjąć, ale nie okazał przy tym nawet cienia entuzjazmu. Ignacio z lękiem myślał teraz o czekającym go spotkaniu. Profesor nie wstał, by go przywitać, po prostu ruchem ręki wskazał mu krzesło. W ciągu kilku miesięcy Ferdinand Arnaud przemienił się w starca: miał siwe włosy, przygasłe oczy, zirytowane spojrzenie, skórę na dłoniach usianą starczymi plamami... Ignacio z trudem rozpoznał w tym człowieku mężczyznę, z którym kilka miesięcy temu odwiedził zamek d'Amis - mężczyznę pełnego zapału i wiary w przyszłość, niemogącego się doczekać wyjazdu do Izraela i spotkania z synem.

- Dziękuję, profesorze, że zgodził się pan ze mną spotkać.

Nie otrzymał odpowiedzi. Ferdinand milczał pogrążony w apatii.

Ignacio przełknął ślinę, nie wiedząc, jak się zachować. Zrozumiał, że to, co miał do powiedzenia, nie zainteresuje profesora, że nie potrafi nawet podtrzymać go na duchu, bo nikt nie może naprawić krzywdy, jaką mu wyrządzono.

- Przykro mi z powodu śmierci pańskiego syna. Ferdinand nadal trwał w bezruchu, niemy, czekając, aż jego gość powie, co ma do powiedzenia, i wyjdzie, zostawiając go w spokoju.

- Nie chcę się panu narzucać, ja tylko... no, właśnie, chciałem panu tylko złożyć kondolencje i powiedzieć, że przez ostatnie miesiące modliłem się za pana i za pańskiego syna.

Wyraz twarzy Ferdinanda ku rozpaczycy Ignacia nie uległ zmianie, młodzieniec dał za wygraną i postanowił opuścić gabinet.

- Już wychodzę, nie chciałem panu przeszkadzać. Przepraszam, że się panu narzucałem.

Zanim zdążył się wyprostować, Ferdinand dał mu znak ręką, by usiadł.

- Nie mam nic do powiedzenia ani panu, ani nikomu. Nie znoszę, gdy ktoś składa mi kondolencje albo mówi o Davidzie. W rzeczywistości czekam już tylko na śmierć. Gdybym miał dość odwagi, dawno już nie byłoby mnie wśród żywych.

To wyznanie wstrząsnęło młodym jezuitą, który wciąż nie wiedział, jak ma rozmawiać z Ferdinandem, jak go przekonać, że podziela jego cierpienie i zrobiłby wszystko, byle tylko mu pomóc.

- Cieszę się, że brakuje panu odwagi i że jest pan ciągle wśród nas - zdołał tylko powiedzieć. - Pańska śmierć niczego by nie zmieniła.

- Tak, ale przynajmniej przestałbym cierpieć. Pan nie wie, jak straszny może być ból duszy.

Nie, nie wiedział, nie zamierzał więc kłamać i przekonywać, że wie. Nie wiedział, co znaczy utracić ukochaną kobietę i szukać jej rozpaczliwie, by po latach przekonać się, że została zamordowana. Nie wiedział, co znaczy stracić syna i żyć ze świadomością, że przed śmiercią zabił on innych młodych ludzi. Na dobrą sprawę w jego życiu nie wydarzyło się jeszcze nic godnego uwagi, dlatego nie doświadczył również cierpienia. Nie przekonywał więc profesora, że wie, co ten przeżywa, nie miał o tym bowiem bladego pojęcia. Ale przecież jest księdzem, pocieszanie cierpiących należy do jego obowiązków. Jednak w obecnej sytuacji zakrawałoby to na obłudę.

- Zgodziłem się z panem spotkać tylko i wyłącznie na polecenie rektora. Nie zabawię tu długo, odchodzę, lecz tymczasem muszę robić dobrą minę do złej gry i udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku.

- Pan wyjeżdża?

- Bynajmniej, zamknę się w domu i będę czekał na własny pogrzeb.

- Pan nie jest niczemu winien.

- Nie, oczywiście, że nie. Proszę nie myśleć, że wymierzam sobie w ten sposób karę, bo obwiniam się o cokolwiek. Nie, po prostu życie mi obrzydło. A tutaj tylko zawadzam. Nie cierpię moich studentów, a oni nie cierpią mnie. Nic mnie nie obchodzi, czy się czegośkolwiek nauczą, czy rozumieją to, co kładę im do głowy. Nie widzę ich, dostrzegam tylko przed sobą dziwaczne, ruchome i gadające bez sensu kształty. Gdy tylko rok akademicki dobiegnie końca, odejdę, to najlepsze, co mogę zrobić.

- Ale co powiedzieliby na to pańska żona i syn?

- Kiedyś przyznałem się panu, że jestem agnostykiem, ale teraz widzę wszystko inaczej, wyraźniej: nie ma Boga, nie ma niczego. To znaczy, że Miriam i David istnieją tylko i wyłącznie w mojej pamięci i w pamięci tych, którzy ich znali. Nie myślą, nie czują, nie egzystują, a tym samym nie mogą być zadowoleni czy niezadowoleni z mojego postępowania. Proszę sobie oszczędzić tych naciąganych słów otuchy przykładowego klechy.

- Nie chciałem pana urazić. Szanuję pańskie poglądy, ale dla mnie Miriam i David istnieją. Ja też mam prawo bronić własnych przekonań.

- Jak się pan zapewne domyśla, nie uśmiechają mi się teraz religijne dyskusje i jest mi wszystko jedno, w co pan wierzy. Proszę mi lepiej powiedzieć, po co pan przyszedł, czego

pan ode mnie chce?- Przyszedłem z potrzeby serca, by powiedzieć panu, jak bardzo jest mi przykro z powodu tego, co się stało. Domyślam się, jak trudno panu uwierzyć, że obcą osobę może obchodzić pańskie cierpienie, ale mnie ono naprawdę obchodzi, i to wcale nie jako księdza, ale jako człowieka. Jest pan chyba jedyną znaną mi osobą, którą spotkało prawdziwe nieszczęście, i właśnie pańskie cierpienie poruszyło mnie tak bardzo, że nie potrafię się z nim nie utożsamiać.

- To wszystko, co ma mi pan do powiedzenia? Rektor wspominał, że wybiera się pan ponownie na zamek d'Amis.

- To prawda, ale zapewniam, że fakt ten nie ma nic wspólnego z moją wizytą.

- Po co chce pan tam znów jechać?

- Służby bezpieczeństwa otrzymały niepokojące doniesienia na temat podejrzanej działalności hrabiego. Poza tym Kościół chce się dowiedzieć, czyjego poszukiwania przyniosły jakieś rezultaty.

- Nie pojedę z panem.

- Wcale o to nie proszę.

- Tym lepiej.

- Nic już dla pana nie znaczy kronika brata Juliana?

- To było zwykłe zlecenie, tylko tyle.

- A jednak zawsze wydawało mi się, że chodzi o coś więcej.

- Być może, ale to już przeszłość. Brat Julian i jego kronika nic mnie teraz nie obchodzą. Chyba pan nie zauważył, że jestem trupem.

24

Tym razem podróż pociągiem bardzo mu się dłużyła - patrzył przed siebie i widział puste siedzenie. W ciągu niecałego roku jego życie bardzo się zmieniło.

Ukończył studia z dobrymi wynikami, pracował w watykańskiej Kancelarii Stanu, kilkakrotnie znalazł się na wyciągnięcie ręki od Ojca Świętego... Rodzina była z niego dumna i chwaliła się przed sąsiadami jego osiągnięciami. Z każdym dniem był głębiej przekonany, że postąpił słusznie, decydując się na życie duchownego. Nic nie mogło uszczęśliwić go bardziej niż służenie Bogu tam, gdzie potrzebował go Kościół.

Miał nadzieję, że stanie na wysokości zadania i wywiąże się ze zlecanej mu misji. Nie będzie to proste - kłamanie nie należało do jego specjalności i obawiał się, że zostanie zdemaskowany. Raymond najpierw ucieszył się, słysząc w słuchawce jego głos, ale zawahał

się na wiadomość, że Ignacio wybiera się do Carcassonne i chce go odwiedzić. Poprosiwszy go o chwilę cierpliwości, poszedł zapytać ojca, czy mogą go przyjąć. Z ulgą przyjął od Raymonda zaproszenie na obiad. A więc jego wizyta na zamku nie potrwa długo - zje tam tylko obiad.

Wydawało mu się, że Raymond jest wyższy niż ostatnim razem, zapewne nadal rośnie. Młody hrabia powitał go w bramie zamku serdecznie, nie przestawał jednak bacznie na niego zerkać, jakby był skrupowany jego towarzystwem.

- Cieszę się, że znowu się widzimy - rzucił, wyciągając rękę do gościa. - Zaskoczył nas pan swoim telefonem.

- Mam nadzieję, że nie pokrzyżowałem panu planów. Musiałem przyjechać do Carcassonne pogrzebać w archiwach, pomyślałem więc, że skorzystam z okazji i odnowię starą znajomość. Bardzo miło wspominałem pańską gościnność podczas mojego ostatniego pobytu na zamku z profesorem Arnaudem.

- Ach, tak, profesor Arnaud! Słyszałem, że postradał zmysły. Ignacio, urażony uwagą młodego hrabiego, burknął, nie potrafiąc się opanować:

- Źle pan słyszał, profesor ma się znakomicie.

- Podobno śmierć syna bardzo go przybiła...

- Cóż, to chyba zrozumiałe. Proszę sobie wyobrazić rozpac hrabiego, gdyby panu się coś przytrafiło... Praca pomaga jednak profesorowi przetrwać trudne chwile i pan Arnaud powoli dochodzi do siebie po tym strasznym ciosie.

Raymond nie odpowiedział, wbił tylko wzrok w Ignacia, któś zrozumiał, że bynajmniej go nie przekonał.

Zaczęli przechadzać się po zamkowych ogrodach, nie bardzo wiedząc, jak przełamać lody.

- Jak idą poszukiwania? - zapytał Ignacio prosto z mostu.

- Poszukiwania? Co pan ma na myśli?

- Poszukiwania Graala. Podczas mojej ostatniej wizyty wspomniał pan, że są panowie o krok od sukcesu.

- Bardzo proszę nie poruszać tego tematu w obecności mojego ojca ani jego gości. Postąpiłem bardzo niedyskretnie, za dużo powiedziałem, co jest z mojej strony rzeczą niewybaczalną.

- Spokojna głowa! Jasne, że przy pańskim ojcu słowem nie napomknę o całej sprawie. Spytałem o Graala, bo zadanie, którego się panowie podjęli, wydaje się mnie, przyszłemu historykowi, najbardziej niesamowitą misją, jaką tylko można sobie wyobrazić.

- To prawda, ale, niestety, nie została ona na razie uwieczniona sukcesem. Będzie to jeszcze wymagało czasu i dużo cierpliwości, choć mój ojciec jest pewien, że nam się uda.

- A wtedy poproszę, nawet jeśli bym miał ująć za istotę wścibską, by pozwolił mi pan zobaczyć owo znalezisko.

Raymond zaśmiał się, bo prośba gościa mu pochlebiła. Poczł się bardzo ważny wobec tego nieopierzonego historyka, który najwyraźniej błagał, by dopuszczono go do spisku.

- Nie mogę panu nic obiecać, bo to nie zależy ode mnie, ale spróbuję się za panem wstawić.

- Na jakim etapie są poszukiwania?

- Ciągłe wertujemy dokumenty, nasi ludzie szukają jakiegoś tropu w Szkocji, kontynuujemy wykopaliska... W gruncie rzeczy nie robimy niczego nowego. Ale dopniemy swego, Graal będzie nasz, może mi pan wierzyć.

Obiad upłynął prawie w ciszy. Podobnie jak ostatnim razem hrabia zachowywał się oschle i z rezerwą, balansując na granicy niegościnnosci.

Pozostali stołownicy tworzyli niejednorodną grupę złożoną z rówieśników Raymonda oraz mężczyzn w wieku hrabiego. Nikt nie napomknął, co sprowadza go na zamek.

Po obiedzie wszyscy rozeszli się pospiesznie, wymawiając się przeróżnymi sprawami. Raymond zaprosił Ignacia na kawę, zaraz potem samochód miał odwieźć gościa do Carcassonne.

- Coś panu zdradzę. Wydaje się coraz bardziej oczywiste, że Graal to krew Jezusa. Jeśli zdołamy potwierdzić te przypuszczenia, *bye, bye* Kościele. Klechy padające na kolana przed krzyżem, narzędziem tortur, są doprawdy żalodne, to ludzie chorzy na umyśle. Najgorsze, że całe tłumy głupców im wierzą.

- Ciekawa teoria z tą krwią i Graalem - zauważył tylko Ignacio - choć trudna do udowodnienia.

- Gdyby została rozpowszechniona, Kościół znalazłby się w niezłych tarapatach. Może napiszę coś na ten temat, by się przekonać, jaka będzie reakcja.

- Napisze pan? Niby co?

- Bo ja wiem... książkę o tajemnicach Montsegur, zbiór legend... może nawet powieść.

- Tyle że nie stanowiłoby to dowodu na to, co chcą panowie wykazać.

- Chyba pan wie, że kłamstwo powtórzone tysiąc razy...

- To słowa Goebbelsa.

- A jednak nie straciły one, niestety, na aktualności.
- Chodzi tylko o zaszkodzenie Kościołowi?
- Chodzi o wiele rzeczy, między innymi i o to. Kościół musi zapłacić za swoje czyny.

Przelał wiele niewinnej krwi, proszę sobie przypomnieć kronikę brata Juliana.

* * *

Wrócił do Rzymu niezadowolony z siebie. Nie dość że nie udało mu się zbliżyć do profesora Arnauda, wizytę na zamku d'Amis również trudno było uznać za udaną.

Ojciec Grillo miał jednak inne zdanie. Uważał, że Raymond powiedział jezuicie więcej, niż zamierzał.

- Zaczną rozpowszechniać swoje domysły na temat związku Jezusa z Marią Magdaleną i znajdzie się wielu ludzi skłonnych im uwierzyć. Przecież sam Raymond zdradził ci, że zależy im na pogrążeniu Kościoła. Znajdą kogoś, kto napisze książkę lub całą ich serię, zasypią księgarnie powieściami, wyssanymi z palca rozprawami naukowymi... będą próbowali z nami polemizować. Powinniśmy się z tym liczyć i zawczasu obmyślić reakcję.

- Najlepszą reakcją będzie brak reakcji - orzekł Ignacio.

- Mamy milczeć?

- Moim zdaniem to najwłaściwsze wyjście. Kościół nie powinien reagować na kalumnie i przelotne teorie, a tylko i wyłącznie na fakty.

- Przekażę twoją opinię sekretarzowi stanu.

- Proszę sobie ze mnie nie drwić.

- Nie drwię. Gdy będę omawiał tę sprawę z sekretarzem stanu, powtórzę mu twoją radę. Niewykluczone, że masz rację.

Ojciec Grillo wrócił do tematu dopiero miesiąc później. Wszedł do gabinetu z pochmurnym obliczem, z którego Ignacio wywnioskował, że przynosi złe wieści.

- W pierwszej kolejności powinieneś wiedzieć, że sekretarz stanu chce, byś pokierował francuską sprawą. Od tej pory będziesz nam dostarczał informacji o poczynaniach hrabiego i jego znajomków oraz powiadamiał o nowych publikacjach na temat Graala. Oddane zostaną do twojej dyspozycji wszelkie potrzebne środki. Kto by pomyślał, że jeden dominikanin, sekretarz inkwizycji, przysporzy nam tyle pracy i zmartwień. Brat Julian stał się naszą zmorą.

- Ależ ten nieszczęsny średniowieczny mnich nie ponosi winy za to, co wyczyniają dzisiaj jego krewni.

- Wszystko przez tę kronikę... No, ale nie będę go osądzał. Nie ulega wątpliwości, że biedak wiele wycierpiał.

- Obawiam się, że wcześniej czy później Kościół będzie musiał zrewidować niektóre swoje decyzje i wytłumaczyć je w kontekście dzisiejszych czasów.

- To już nie nasze zmartwienie, Ignacio. Wystarczy, że musimy baczyć na to, z czym nam może wyskoczyć rodzinka brata Juliana. Nie rozstawaj się z jego kroniką, w końcu przez nią właśnie powstało całe to zamieszanie. A poza tym... no, cóż... mam dla ciebie złą wiadomość, wiem, że będzie to dla ciebie cios...

Ignacio przełknął ślinę i pomodlił się w myślach, by nie chodziło o nikogo z jego krewnych.

- Profesor Arnaud zmarł na zawał. Spotkał go smutny koniec, podobno przez dwa dni nie pojawiał się na uniwersytecie, więc zaczęto się o niego niepokoić i zadzwoniono do jego rodziny. Znaleziono go martwego.

- Nie, profesor Arnaud nie umarł, on już od dawna był trupem.

- Ignacio!

Młody jezuita opuścił gabinet ojca Grilla z kroniką brata Juliana w rękę. Wiedział, że książka ta połączyła go na zawsze z Ferdinandem Arnaudem.

* * *

Dwa dni później Ignacio znajdował się już w nuncjaturze paryskiej w towarzystwie ojca Nerversa i dwóch policjantów, którzy przyszli go przesłuchać.

Wyjaśniono mu, że zgon profesora Arnauda nastąpił z przyczyn naturalnych i że sekcja zwłok potwierdziła zawał mięśnia sercowego.

Ojciec Nevers był zdenerwowany. Czuł się niepewnie. Co też przyszło do głowy profesorowi Arnaudowi, by przekazać w spadku młodemu jezuitcie wszystkie dokumenty dotyczące badań nad kroniką brata Juliana? Pytanie to zadawał sobie zresztą nie tylko on, ale również policja. Dlatego właśnie zakomunikowali nuncjaturze chęć porozmawiania z hiszpańskim duchownym.

Choć Ferdinand Arnaud zmarł na zawał, w przeddzień śmierci uporządkował wszystkie swoje rzeczy oraz przygotował pokaźnych rozmiarów pudło, które opatrzył następującym adresem: „Ignacio Aguirre. Kancelaria Stanu. Watykan”.

Policja, ma się rozumieć, otworzyła pudło i natknęła się na górę dokumentów i zeszytów, które nic jej nie mówiły. W tych właśnie zeszytach Ferdinand pisał drobnym maczkiem książkę o bracie Julianie, a także notował przemyślenia na temat hrabiego i jego znajomych. Oprócz dokumentów i kajetów pudło zawierało zaklejony i zalakowany list

również adresowany do Ignacia. Na biurku w gabinecie pana Arnauda znaleziono ponadto list do niejkiej Inge Schmmid z Berlina, którą uniwersytet powiadomił już o śmierci profesora. Policja zgłosiła chęć przesłuchania adresatki listu.

List do pani Schmmid nie zawierał na pierwszy rzut oka niczego szczególnego, jeśli nie liczyć adresu i numeru telefonu paryskiego notariusza oraz prośby, by adresatka jak najszybciej się z nim skontaktowała. Poza tym Ferdinand dziękował Niemce za pomoc w przetrwaniu najtrudniejszych chwil w jego życiu i zachęcał ją do szukania szczęścia.

- Właśnie pani Schmmid profesor przekazał cały swój majątek: mieszkanie przy ulicy Foucaulta, samochód i wszystkie oszczędności. Całkiem niezły spadek... - opowiadał jeden z policjantów.

Jeśli chodzi o list do jezuitę, policja nie zdołała ustalić, czy zawiera on jakąś ważną dla śledztwa informację, dlatego tak bardzo nalegała na rozmowę z adresatem. Policjanci twierdzili, że nie otworzyli listu, w co Ignacio szczerze wątpił, choć lak rzeczywiście wyglądał na nienaruszony.

- Proszę mi wierzyć, nie miałem pojęcia, że profesor Arnaud zamierza przekazać właśnie mnie swe najcenniejsze dokumenty - powtarzał Ignacio.

- Bardzo się panowie przyjaźnili? - zapytał jeden z policjantów.

- Ledwie się znali! - wtrącił się ojciec Nevers, mimo że pytanie nie było skierowane do niego.

- Profesor był dla mnie kimś wyjątkowym, kimś więcej niż tylko przyjacielem. Jeśli zastanawiają się panowie, dlaczego podarował archiwum właśnie mnie, to przyznam, że zadaję sobie to samo pytanie. Być może miał do mnie zaufanie i wiedział... I

- I wiedział... co? - podchwycił policjant.

- Że przydadzą mi się w przyszłości, bo zawierają klucz do tego, co może się niebawem zdarzyć.

- O czym pan mówi? Co może się zdarzyć i jaki ma to niby związek ze średniowieczną kroniką? - dopytywał się drugi policjant znużony tą donikąd nieprowadzącą, jego zdaniem, rozmową.

- Proszę zrozumieć, że nie mogę panom powiedzieć czegoś, czego sam jeszcze nie wiem. Czuję się po prostu zaszczycony, że profesor Arnaud powierzył swoje dokumenty właśnie mnie.

- Spakował to pudło dzień przed śmiercią... A przecież autop sja wykazała, że zmarł z przyczyn naturalnych, na zawał. Dlatego nie bardzo rozumiemy, co tu robią te dwa pożegnalne listy.

- Profesor Arnaud od dawna był trupem - poinformował Ignacio osłupiałych policjantów i ojca Neversa.

- Co takiego? - zdziwił się jeden z przedstawicieli władzy.

- Był trupem, oddychał, ale nie żył. Umarł w dniu pogrzebu swego syna Davida.

- Na miłość boską, Ignacio! Co ty wygadujesz? - Ojciec Nevers był wyraźnie zgorzony.

- Mówię prawdę. Można żyć, będąc trupem. Zrozumiałem to podczas ostatniego spotkania z profesorem Arnaudem, który już wtedy nie mógł się doczekać, kiedy jego serce przestanie bić. To była zresztą tylko kwestia dni.

- Ignacio, opowiadasz niestworzone rzeczy!

Nie chciał przedłużyć swego pobytu w Paryżu, ale bardzo pragnął poznać frau Schmmid, o której nigdy przedtem nie słyszał. Zapytał więc policjantów, czy Niemka nadal przebywa w stolicy Francji.

- Tak, dopełnia właśnie formalności spadkowych. Zatrzymała się w hotelu Seine na lewym brzegu Sekwany. To skromny hotelik położony niedaleko Saint-Michel.

Ojciec Nevers zmarszczył brwi, widząc, że Ignacio wybiera się z wizytą do nieznajomej.

- Dlaczego chcesz się z nią spotkać? Co za różnica, kto to taki? Ani ciebie, ani nas nie powinno obchodzić prywatne życie profesora Arnauda.

- Ma ojciec rację, a jednak muszę ją poznać, czuję wewnętrzną potrzebę. Być może od niej dowiem się, dlaczego profesor właśnie mnie zostawił dokumenty.

- Przecież masz jego list, w którym na pewno wszystko ci wyjaśnił.

Ignacio nie dał się przekonać ojcu Neversowi.

- Proszę się o mnie nie martwić, wrócę sam.

- Nawet nie wiesz, czy pani Schmmid jest teraz w hotelu! Młody jezuita nie odpowiedział. Wsiadł z samochodu i rzucił z uśmiechem:

- Zadzwoń do ojca, obiecuję, że nie wyjadę z Paryża bez Pożegnania. Recepcjonista zerknął na niego z zaciekawieniem. Nieczęsto widywał tu księży. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy gość zapytał o panią Schmmid.

- Ma ksiądz szczęście, pani Schmmid wyszła dzisiaj skoro świt i wróciła niecałe pięć minut temu. Proszę spocząć, zawiadomię ją o pańskim przybyciu.

Inge pojawiła się w recepcji zaledwie dwie minuty później. Gdy szła w stronę Ignacia, na jej twarzy malował się niepokój. Czego może chcieć od niej ten ksiądz?

- Dobry wieczór, mogę księdzu w czymś pomóc?

Zdumiała go jej powierzchowność. Choć wyglądała na trzydziestolatkę, zmarszczki wokół oczu i grymas warg zdradzał osobę, która wiele w życiu przeszła i niemało wycierpiała.

- Przepraszam, że panią niepokoję, pani Schmmid, nazywam się Ignacio Aguirre.

Nazwisko nic jej nie mówiło. Najwyraźniej nigdy o nim nie słyszała.

Gdy wyjaśniał jej, kim jest, słuchała go w milczeniu, nie zdradzając jednak większego zainteresowania.

- Od dawna znała pani profesora Arnauda? - odważył się zapytać tę kobietę o nieprzeniknionym wyrazie twarzy.

- Od bardzo dawna.

Ignacio niecierpliwił się - nieznajoma najwidoczniej nie miała zamiaru zaspokoić jego ciekawości.

- Proszę wybaczyć, że się pani naprzykrzam, ale... no właśnie, chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o profesorze. Zostawił mi w spadku coś, czego się nie spodziewałem, i zachodzę w głowę, dlaczego to zrobił. Chciałem panią poznać, bo wiem, że zapisał pani cały swój majątek. Może moglibyśmy pójść na kawę i spokojnie porozmawiać? Bardzo proszę...

Inge wahała się przez kilka sekund, po czym utkwiała swe szczere, bezpośrednie spojrzenie w źrenicach Ignacia i powiedziała:

- Dobrze, jeśli ksiądz chce, możemy napić się kawy i porozmawiać, ale nie sądzę, bym zdołała rozwiać pańskie wątpliwości. Profesor Arnaud nigdy mi o księdzu nie wspomniał, bo i nie musiał.

Wyszli z hotelu i udali się piechotą do pobliskiej kawiarni z oszklonym ogródkiem. Ignacio rozejrzał się odruchowo za ustronnym kątem, gdzie nikt by im nie przeszkadzał.

Inge zamówiła herbatę i kawę. Zaczekali, aż kelner przyniesie filiżanki i dopiero wtedy zaczęli rozmowę.

- Nie wiem, dlaczego Ferdinand postanowił przekazać księdzu swoje archiwum. Przykro mi, ale nie znam jedynej odpowiedzi, na której księdzu zależy.

- Kiedy ostatni raz widziała pani profesora Arnauda? - dopytywał się Ignacio.

- Na pogrzebie jego syna, w Palestynie. Pożegnaliśmy się na lotnisku, Ferdinand wracał do Paryża, ja do Berlina. Był zdruzgotany. Życie skończyło się dla niego w chwili, gdy pochował Davida.

- Byłem z nim, gdy się dowiedział, że jego syn został ciężko ranny. Wybraliśmy się razem do zamku d'Amis, spędziliśmy tam niecałe dwa dni, a gdy wróciliśmy, ojciec czekał na niego na peronie, by poinformować go o tym, co zaszło.

- Wyobrażam sobie, że to była dla niego straszna chwila. A kiedy widział ksiądz Ferdinanda ponownie?

- Jakiś czas temu. Przyjechałem do Paryża, by z nim porozmawiać, polecono mi wrócić na zamek.

- I zapewne chciał pan, by Ferdinand panu towarzyszył, mam rację?

- Tak, choć poprosiłem go o spotkanie głównie po to, by mu powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro z powodu śmierci jego syna. Najpierw wysłałem mu list kondolencyjny, ale nie otrzymałem odpowiedzi.

- Dlaczego właściwie interesował się ksiądz Ferdinandem? Ignacio wielokrotnie zadawał sobie to samo pytanie i wciąż nie znajdował na nie odpowiedzi.

- Sam nie wiem, może z powodu przeprowadzonej przez nas kiedyś w pociągu rozmowy o Bogu i Kościele... Profesor mi wtedy zaimponował. Pomyślałem, że jak na agnostyka, pokłada pozazdrosczenia godną ufność w Bogu i w Kościele. Zaskoczył mnie. Zawsze chciałem wrócić do tamtej rozmowy.

- Ferdinand wiele wycierpiał.

- Tak, wiem, co przydarzyło się jego żonie. Pani ją znała?

Inge opowiedziała o swym pierwszym spotkaniu z Ferdinandem i o niewidzialnej więzi, jaka połączyła ich w owych latach spędzonych na poszukiwaniu Miriam. Wspomniała też, jak dowiedzieli się losie wujów Miriam oraz o pani Bruning - dozorczyńni kamienicy zamieszkiwanej przez Sarę i Itzhaka - która przyznała, że wydała Miriam policji i widziała, jak ją zabierali.

- Proszę mi wybaczyć to nader osobiste pytanie, ale co pani robiła w owych latach?- Byłam młodą komunistką zaręczoną z komunistą, z którym miałam syna. Moi rodzice, zatwardziali naziści, wyrzekli się mnie. Sara i Itzhak pomogli mi, dali pracę i potraktowali jak człowieka. A jeśli chce ksiądz wiedzieć, jaka była moja postawa wobec hitlerowców, przyznaję, że jestem tylko osobą ocalałą z zagłady: nie rzucałam bomb pod nogi zbrojnym kolumnom, nie zabiłam żadnego nazisty. Nie zrobiłam nic, po prostu ocalałam.

- Nie, nie to miałem na myśli, przepraszam, nie chciałem rozdrapywać starych ran.

- Niczego ksiądz nie rozdrapuje, bo o nic się nie obwiniam. Ignacio nie odważył się zapytać, czy ją i profesora Arnauda łączyło coś więcej niż tylko wspólna niedola, ale Inge i tak domyśliła się, co chodzi duchownemu po głowie:

- Jeśli chce ksiądz wiedzieć, czy było coś między nami, odpowiedź brzmi: nie. Zmysłowość nigdy nie zakradła się do naszego związku. Choć pewnie trudno księdzu w to uwierzyć, przyjaźń między kobietą i mężczyzną jest możliwa.

- Nie przeczę.

- W rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się wówczas znajdowaliśmy, żadne z nas nie potrzebowało miłości, w każdym razie nie tego rodzaju miłości. Myślę, że byliśmy sobie bliżsi, niż gdybyśmy poszli do łóżka.

Ignacio spłonął rumieńcem, mimo że w tonie Inge nie było śladu zaczepki.

- A teraz, gdy trochę mnie już pani poznała, jak pani myśli, dlaczego profesor zapisał mi swoje archiwum?

- Nie wiem, na dobrą sprawę wcale księdza nie znam. Ferdinand był zafascynowany kroniką brata Juliana, była dla niego bardzo ważna, z drugiej jednak strony czuł odrazę do hrabiego d'Amisa, który nie pomógł mu w potrzebie. Cóż, trudno się hrabiemu dziwić przecież nie mógł zdradzić Ferdinandowi, że przyjaźni się z mordercami, którzy zakatowali jego żonę. Dlatego właśnie hrabia i jego znajomi nie kiwnęli palcem, by pomóc zrozpaczonemu profesorowi, a ten nigdy nie wybaczył hrabiemu jego obojętności. Zresztą Ferdinandowi nie podobały się również poglądy hrabiego, jego obsesja na punkcie Graala i wiara w przywrócenie Oksytanii niepodległości. Moim zdaniem hrabia liczył, że hitlerowcy pomogą mu oderwać Oksytanię od Francji. Myślę, że wszystko to bardzo Ferdinanda niepokoiło, choć nie dawał nic po sobie poznać; być może miał nadzieję, że gdy przyjdzie co do czego, właśnie ksiądz powstrzyma zapędy hrabiego d'Amisa. Ale powtarzam, to tylko moje przypuszczenia, profesor nigdy mi o księdzu nie mówił.

- Nie kontaktowali się państwo ze sobą po powrocie z Izraela?

- Owszem, zadzwoniłam do niego dwa razy, napisaliśmy też do siebie kilka listów. Jednak Ferdinand słowem w nich o księdzu nie napomknął, bardzo mi przykro. Zresztą wcale nie musiał napomykać, fakt, że jesteśmy przyjaciółmi, nie oznacza, że wiemy o sobie wszystko.

- Mówi pani o profesorze w czasie teraźniejszym, jakby nadal żył.

- Bo dla mnie Ferdinand żyje, zawsze będzie żył.

- Co pani teraz zamierza robić?

- To, o czym zawsze marzyłam i do czego Ferdinand mnie zachęcał: skończę studia, zostanę nauczycielką, podejmę pracę w szkole. Ferdinand był dla mnie bardzo hojny, zapisał mi wszystkie swoje oszczędności i mieszkanie, które sprzedam, skoro sam mi tak przykazał. Wznowię studia, bo nareszcie nie będę musiała się martwić o utrzymanie siebie i syna.

Ferdinand prosi w swoim pożegnalnym liście, bym była, a przynajmniej spróbowała być szczęśliwa. Tak naprawdę to właśnie on podarował mi szczęście; niczego nie pragnęłam bardziej jak powrotu na studia, to było moje najskrytsze marzenie.

- Co pani studiowała?

- Filologię niemiecką.

- Będzie pani szczęśliwa, zobaczy pani.

Inge wzruszyła ramionami. Nie wierzyła w szczęście, była tylko jednostką ocalałą z zagłady.

Ignacio pomyślał, jak bardzo różni się od tej kobiety, zaledwie kilka lat od niego starszej, która wycierpiała w życiu więcej, niż on zdąży kiedykolwiek wycierpieć. Poczul, że ich losy zbiegły się, bo tego właśnie chciał profesor Arnaud.

- Zapiszę pani mój adres, na wypadek gdyby odwiedziła pani kiedyś Wieczne Miasto. Proszę mi też powiedzieć, gdzie mógłbym panią znaleźć, jeśli zawitam do Berlina. Profesor Arnaud mianował nas swymi spadkobiercami...

- I myśli ksiądz, że to nas ze sobą łączy? - zapytała Inge z cieniem ironii w głosie.

- Tak, to mnie chyba z panią łączy. Tak właśnie myślę, a raczej czuję, choć właściwie nie wiem dlaczego. Proszę o mnie pamiętać, jeśli znajdzie się pani kiedykolwiek w tarapatach; zrobię wszystko, by pani pomóc.

- Ale ja nie wierzę w Boga - usłyszał w odpowiedzi.

- Nie pytałem, w co pani wierzy. Dlaczego mi to pani mówi? Inge wstała i wyciągnęła rękę na pożegnanie.

- Widzę, że cierpi ksiądz z powodu śmierci profesora, a niepotrzebnie. Ferdinand umarł, bo życie nie miało już dla niego sensu. Nareszcie odnalazł spokój.

Patrzył, jak zdecydowanym krokiem opuszcza kawiarnię. Pomyślał, że taka kobieta nigdy nie będzie go potrzebowała - ani jego, ani nikogo. Przecież sama mu powiedziała, że ocalała z zagłady więc to, co najgorsze ma już za sobą.

Zadzwoił do ojca Neversa, by się pożegnać.

- Zostań chociaż na kolacji.

- Nie, muszę wracać do Rzymu. Praca mnie wzywa, ojciec Grillo nie może się obejść bez sekretarza. Przy odrobinie szczęścia zdążę na ostatni samolot.

W rzeczywistości Ignacio wolał być sam, by w spokoju przeczytać list od profesora Arnauda.

Szczęście się do niego uśmiechnęło i pozwoliło mu otworzyć list na pokładzie samolotu. Nie bez wzruszenia rozdarł białą kopertę zawierającą kilka kartek zapelnionych drobnym, ścisłym, lecz czytelnym pismem.

Profesor Arnaud tłumaczył, że wszystkie dokumenty i papiery z jego pracy nad kroniką brata Juliana dla niego straciły już znaczenie, ale:

...może pewnego dnia znajdzie ksiądz w nich coś, co pomoże mu zmierzyć się ze skutkami choich pomysłów hrabiego d'Amisa, choć, jak już księdzu wiadomo, moim zdaniem hrabia nigdy niczego nie znajdzie, bo i nie ma czego szukać. Czuję, że nie należę już do tego świata i dlatego nie obchodzą mnie sprawy żywych, ale ksiądz jest miody, pełen wiary w ludzkość, może więc ksiądz coś dla niej zrobić: proszę walczyć, by nie polala się niewinna krew.

Na przestrzeni wieków przelano morze krwi, a wszystko dlatego, że niektórzy ludzie uważają się za bogów i chętnie sięją śmierć, mając swych bliźnich za istoty człekokształtne pozbawione głosu i duszy. Nie dostrzegają ich, nie wyczuwają ich obecności, ich śmierć jest im obojętna, jeśli tylko służy ich interesom. Dużo krwi przelano również w imię Boga. Trudno o większy paradoks! Co pomyśli Bóg o ludziach, którzy zabijali i zabijają, posługując się jego imieniem? Nie sądzi ksiądz, że Kościół powinien się nad tym zastanowić? I coś z tym zrobić, a jakże. Dlaczego właśnie ksiądz nie wykona pierwszego kroku?

Brat Julian nawoływał co prawda do pomszczenia krwi niewinnych, ale myślę, że lepiej przestać ją przelewać. Nic zmarłym po zemście...

Ignacio nie mógł powstrzymać łez. List profesora Arnauda był czymś więcej niż tylko testamentem - był skierowaną do niego prośbą o działanie, o poświęcenie życia w celu zapobieżenia śmierci niewinnych ludzi. Profesor prosił Inge, by była szczęśliwa, jego - by nadał sens swemu kapłańskiemu powołaniu, sens odmienny, niż sam sobie wyznaczył. Czy zdoła i będzie mógł sprostać temu zadaniu?

* * *

Gdy dotarł do Rzymu, była już ciemna noc. Czuł się wyczerpany, mimo to nie mógł zasnąć. Otworzywszy pudło, w którym profesor Arnaud skrzętnie poukładał papiery, ruszył w podróż do czasów, w których żył brat Julian. Dostrzegł palec boży w tym, że jego losy spłoty się z losami tego dominikanina wzywającego do zemsty w imieniu niewinnych.

CZEŚĆ TRZECIA

1

Ateny, sobota, czasy współczesne

Z balkonu pokoju hotelowego mężczyzna patrzył w roztargnieniu na blade poranne słońce, które odbijało się od marmurów, czyniąc je jeszcze bielszymi i bardziej lśniącoymi.

Choć nie było nawet ósmej, plac Syntagma wrzał od ruchu ulicznego. Czarne limuzyny czekały przed hotelem Grandę Bretagne na bankierów, polityków i przedsiębiorców - uczestników odbywającego się właśnie w stolicy Grecji Szczytu na rzecz Rozwoju - którzy zatrzymali się w tym wiekowym, arystokratycznym przybytku..

Mężczyzna pomyślał, że i on, podobnie jak niektórzy z tych ludzi kierujących losami świata, wolał Grandę Bretagne od innych nowocześniejszych i bardziej wyrafinowanych ateńskich hoteli, nie tyle ze względu na lokalizację w samym sercu miasta, vis-a-vis parlamentu, ile na jego urok i szyk właściwy dawnym europejskim hotelom.

Spojrzał odruchowo na zegarek, wiedząc, że ma jeszcze sporo czasu przed spotkaniem z niektórymi uczestnikami szczytu w ustronnym pałacyku położonym w dzielnicy willowej na przedmieściach. Właściwie dopiero tam miały zapaść decyzje mogące wpłynąć w najbliższych miesiącach i latach na życie mieszkańców całego świata. O tym jednak nie wiedziały setki dziennikarzy, które przyjechały informować o przebiegu Szczytu na rzecz Rozwoju, ani tym bardziej naiwni obywatele.

Sięgnął po telefon komórkowy leżący na nocnym stoliku i wybrał numer komórki za granicą. Po niecałej sekundzie usłyszał głos po drugiej stronie.

- Dzień dobry, hrabio - powiedział do mężczyzny, który znajdował się setki kilometrów od Aten. - Dzwonię, by się upewnić, czy wszystko przebiega zgodnie z planem.

Rozmowa trwała krótko, zaledwie dwie minuty. Mężczyzna zamknął telefon i uśmiechnął się z satysfakcją. Wszystko idzie zgodnie z planem. Na chwilę puścił wodze fantazji i oczami wyobraźni ujrzał hrabiego d'Amisa - ubranego w nienaganny garnitur i starannie uczesanego, tak by ani jeden włos nie ruszył się z przydzielonego mu miejsca - który siedzi w swoim gabinecie za masywnym dębowym biurkiem na drewnianym krześle obitym zielonym aksamitem.

Hrabia d'Amis okazał się dla niego nie lada odkryciem - perłą zagubioną w oceanie życia, perłą pasującą jak ulał do jego planu.

W pracy mężczyzna nie mógł sobie pozwolić na najmniejsze potknięcie - bazował na zaufaniu wielkich tego świata, którzy wiedzieli, że zawsze potrafi sprostać ich wymaganiom. Krótko mówiąc, chodziło im o to, by inni plamili sobie ręce, realizując ich cele. Ale jemu nie przeszkadzało życie z brudnymi rękami - dawno już uodpornił się na wszelkie niemile zapachy. Zbyt dobrze mu płacono, by mógł sobie pozwolić na skrupuły.

Z zamyślenia wyrwało go delikatne pukanie do drzwi. Pokojówka zapytała usłużnie, gdzie ma postawić tacę ze śniadaniem i położyć poranną prasę. Zasiadając do jedzenia, przebiegł wzrokiem pierwszą stronę „Herald Tribune”. Nagłówki poświęcone były Szczytowi na rzecz Rozwoju oraz niedawnemu zamachowi islamskich fundamentalistów w jednej z frankfurckich sal kinowych, w którym zginęło pięćdziesiąt osób, a prawie sto zostało rannych. Mężczyzna nalał sobie filiżankę kawy i zatopił się w lekturze.

Uśmiechnął się na myśl o naiwności dziennikarzy nazywających szczyt wydarzeniem „historycznym”. W rzeczywistości był to tylko doskonały pretekst, by kilka ważnych osobistości mogło się spotkać na oczach całego świata bez wzbudzania podejrzeń. Tuzin bankierów, sześciu czy siedmiu prezesów międzynarodowych koncernów oraz kilku emerytowanych, choć wpływowych polityków wchodziło w skład elitarnego klubu bez nazwy, siedziby i numeru telefonu. Byli to decydenci, którzy poprzez swe inwestycje i dezinwestycje wyznaczyli bieg światowej ekonomii, których obchodził tylko zysk i dla których kraje oraz ich obywatele byh wyłącznie konturami na wielkiej mapie przesuwanyimi przez nich wedle swego widzimisię.

Byli to ludzie szanowni i szanowani, światowe osobistości niedostępne dla większości śmiertelników i znajdujące się poza wszelkim podejrzaniem, osobistości, które za nic nie splamiłyby sobie rąk.

Przejrzawszy gazety, włączył telewizor i poszukał kanału transmitującego na żywo uroczyste zakończenie szczytu. Gdy spiker zapowiedział końcowe przemówienie, wyłączył odbiornik, poprawił krawat przed lustrem, a na koniec zadzwonił jeszcze do recepcji z prośbą, by podstawiono jego samochód pod drzwi hotelu.

Kilka minut później pogrążył się w chaotycznym ateńskim ruchu ulicznym, który jednak nie przeszkodził mu stawić się punktualnie na spotkaniu.

Pałac nie był widoczny z ulicy - stuletnie drzewa skrywały go przed wścibskimi spojrzeniami, a wysoki płot odgradzał od świata. Zbudowano go w stylu neoklasycznym, tak

bardzo modnym od połowy XIX wieku, i widać było, że właściciele troszczą się o jego konserwację.

Nikt nie zapytał, dokąd ani do kogo idzie. Najpierw brama rozwarła się, wpuszczając samochód na teren posiadłości, a potem, gdy zaparkował, milczący majordomus, który ograniczył się do rutynowego „dzień dobry”, zaprowadził go do jednej z pałacowych sal i poprosił, by zaczekał. Mężczyzna widział przez okno nadjeżdżające czarne limuzyny, które zatrzymywały się przed wejściem do pałacu. Wsiadali z nich właśnie owi ludzie, których interesy decydowały o kursie światowej polityki.

- Dzień dobry.

Wstał, by przywitać się z mężczyzną, który wszedł do pokoju: wysokim elegantem w nieokreślonym wieku, o szpakowatych włosach, nieomylnym akcencie Brytyjczyka z wyższych sfer oraz wyglądzie człowieka nawykłego do rozkazywania i wymuszania ślepego posłuszeństwa.

- No, dobrze, zamieniam się w słuch - rzucił od razu gospodarz, nie tracąc czasu na pogawędkę.

- Przed przyjazdem tu skontaktowałem się z hrabią d'Amisem i wszystko przebiega zgodnie z planem.

- Na pewno nie popełnia pan błędu, zdając się na tego hrabiego?

- Na pewno. Trudno o lepszą osobę do realizacji naszych zamierzeń: jest niezrównoważony, nawiedzony... o tak, to wymarzony człowiek. Jak dotąd wykonuje moje rozkazy bez najmniejszego potknięcia.- Kiedy plan zostanie ostatecznie wcielony w życie?

- Trzeba jeszcze dopracować kilka szczegółów, może za miesiąc wszystko będzie gotowe.

- Niech pan za długo nie zwleka.

- By powodzenie operacji było zagwarantowane, potrzebujemy czasu, pieniędzy i starannych przygotowań.

- Wiem, wiem, ale czas jest surowcem rzadkim i wrażliwym, którym akurat nie dysponujemy. Śledził pan przebieg szczytu?

- Śledziłem.

- Ileż pustych słów tam padło! No, ale wiadomo, opinia publiczna oczekuje od nas zapewnienia, że na świecie będzie się działo lepiej i że wszyscy jego mieszkańcy mogą wieść szczęśliwy żywot. Jakby pstryknięcie palcami wystarczyło, by przemienić ludzi w anioły.

- Prasa twierdzi, że szczyt zakończył się sukcesem.

- Owszem, tak właśnie twierdzi. A wie pan, co na nim uradziliśmy? Nic, dokładnie nic. Przyjęte przez nas postanowienie jest rozwlekłą listą dobrych chęci. Kraje rozwinięte wcielią w życie plan rozwoju dla krajów rozwijających się. Zapoczątkowany zostanie dialog między krajami o odmiennej kulturze z poszanowaniem tożsamości i różnic każdej ze stron itd., itp... Jedno wielkie bla, bla, bla, zero konkretów. Ale cóż... Wybieram się właśnie na długą naradę z dżentelmenami, którzy już na mnie czekają. Bez wątpienia okaże się ona bardziej owocna. Mam im coś zakomunikować?

- Nie, już panu mówiłem, że sytuacja napawa optymizmem. Wie pan, że nie lubię chwalić się przed czasem, myślę jednak, że plan zostanie wcielony w życie i wszystko zakończy się sukcesem, zgodnie z pańskimi oczekiwaniami.

- Jak do tej pory nigdy nas pan nie zawiodł...

- Nie, nie zawiodłem i liczę, że nadal będę mógł wypełniać pańskie zlecenia, jak przez te wszystkie lata.

- Źródła energii nie mogą znajdować się w rękach ignorantów... Dziw bierze, że niektórzy nie widzą niebezpieczeństwa, jakie oni stanowią. Istnieje tylko jeden sposób, by z nimi skończyć i udowodnić światu, że bez zbrojnej konfrontacji się nie obejdzie...

- Miejmy nadzieję, że plan się temu przysłuży.

- Przysłuży się, oczywiście, że się przysłuży. Politycy mogą sobie mówić, co chcą, ale to właśnie opinia publiczna, uprzednio uwrażliwiona, zmusza ich do podjęcia takiej lub innej decyzji. My natomiast dbamy o to, by opinia publiczna dokonała właściwego wyboru. Kiedy ostatnio był pan w Londynie?

- Przed czterema dniami.

- No tak, zapomniałem, że pan jest wszędzie! W takim razie na pewno zwrócił pan uwagę, że w stolicy Anglii Anglików można szukać ze świecą. Niektóre dzielnice przypominają miasteczka pakistańskie... Muzułmanie mają coraz większe wymagania, a nasz rząd jest coraz słabszy, pozwala wchodzić sobie na głowę, byle tylko wyjść za orędownika praw człowieka... Jakby ta hołota wiedziała, czym jest wdzięczność! Oni chcą nas zniszczyć! Chcą zdławić naszą cywilizację!

- Tak, to oczywiste.

- Tylko skończeni głupcy tego nie zauważają. A tak na marginesie, trudno było panu tu trafić?

- Nie, znalazłem pałac bez większych problemów.

- Pałac należy do rodziny mojej żony, która nigdy nie chciała go sprzedać, jest do niego przywiązana. Muszę stwierdzić, że przynajmniej tym razem mamy z niego jakiś

pożytek. No dobrze, zabawię w Atenach jeszcze jakieś dwa dni przed powrotem do Londynu. Proszę mnie informować, gdyby się coś wydarzyło.

- Obiecuję, że tak zrobię.

- Proszę posłuchać: jesteśmy bardzo zadowoleni z pańskiej pracy. Pan sprawia, że to co niemożliwe staje się możliwe...

2

Tego samego dnia w zamku, na południu Francji

- Przywieziono prasę, panie hrabio.

Raymond de la Pellisiere, dwudziesty trzeci hrabia d'Amis przeglądał właśnie jakieś dokumenty. Wstał z fotela, by odebrać z rąk majordomusa gazety dostarczane na zamek punktualnie każdego ranka.

Gdy znów został sam, zasiadł ponownie w fotelu przy oknie obok kominka ogrzewającego pokój.

Przed sobą, na niskim stoliku, położył dziesięć gazet, które czytał codziennie: pięć francuskich, cztery niemieckie i „Heral Tribune”.

Przejął ten zwyczaj od ojca, który polecił dostarczać sobie codziennie poranną prasę z Carcassonne, po czym zamykał się w gabinecie i zatapiał w lekturze, jakby na tym polegała jego praca. Zresztą nie tylko ten nawyk Raymond przejął po swym rodzicielu - prawie cały jego rozkład dnia stanowił w rzeczywistość powielenie harmonogramu codziennych zajęć ojca.

Po jego śmierci wprowadził w zamku bardzo mało zmian - tylko te niezbędne, by zapewnić wygodę sobie i gościom. Zmieniała się jedynie służba. Raymond pomyślał o aktualnym majordomusie - skrupulatnym mężczyźnie w średnim wieku o nienaganych manierach który w lot odgadywał życzenia swego pana. Miał szczęście, że na niego trafił, jego poprzednika zmuszony był zwolnić za niekompetencję.

Na dobrą sprawę świat zmienił się tak bardzo, że zatrudnianie majordomusa zakrawało niemal na dziwactwo, na które pozwalali sobie tylko starcy tacy jak on. Cóż z tego, że przyjaciele i znajomi prawili mu komplementy i zapewniali, że nie wygląda na swoje lata. Tak, trzymał się prosto, blask jego zielonych oczu nie przygasł, a blond włosy z lekka tylko przyprószyła siwizna, nadając mu dostojny wygląd.

Zawsze sięgał w pierwszej kolejności po „Herald Tribune”, bo tak przez lata robił jego ojciec.

Kolejny dzień pierwszą stroną poświęcono zamachowi we Frankfurcie. Policja nadal nie zatrzymała żadnego podejrzanego, choć do zamachu przyznała się islamska organizacja trzymająca w szachu kraje Unii Europejskiej i posługująca się nazwą Stowarzyszenie.

Przywódcy Stowarzyszenia od pewnego czasu zapowiadali, że nie pozwolą Europejczykom żyć spokojnie, i w rzeczy samej, spełnili swoją groźbę. Zamachy podobne do tego dokonanego we frankfurckim kinie powtarzały się raz po raz, a policji tylko z rzadka udawało się aresztować kogoś ważniejszego.

Członkowie Stowarzyszenia mieli jasno wyznaczony cel: pokonanie krzyżowców, odzyskanie ziem należących, ich zdaniem, do muzułmanów - Al-Andalus, włącznie z Portugalią, część Francji, Bałkany et cetera - i oczywiście pozbycie się Żydów z Izraela. Do tego właśnie nawoływał ich program realizowany z zapałem i fanatyzmem, którego jak dotąd nic nie mogło powstrzymać.

Według „Herald Tribune” w apartamencie, w którym kilku fundamentalistów wysadziło się w powietrze, nie chcąc wpaść w ręce policji, nie natrafiono na żadne „ważne ślady”. Raymond zapytał się w duchu, co dziennikarze nazywają „ważnymi śladami”, było bowiem oczywiste, że jakieś ślady - ważne czy nieważne - jednak tam znalaziono.

Niemiecka prasa informowała głównie o szczegółach zamachu, o poruszeniu w niemieckim społeczeństwie, o ofiarach eksplozji w kinie i w apartamentowcu wysadzonym w powietrze przez zamachowców ratujących się samobójstwem przed aresztowaniem oraz o dokonanych przez nich zniszczeniach.

Nie wiadomo, dlaczego Raymond poczuł niepokój. Wstał i mimo wczesnej pory - nie było jeszcze jedenastej - nalał sobie kieliszek calvadosu. Trunek ten stał się od pewnego czasu jego najlepszym towarzyszem, bez którego hrabia nie potrafił się obejść w chwilach radości ani napięcia.

Napełnił kieliszek po brzegi i postanowił zadzwonić, nie sięgnął Jednak do aparatu stojącego na biurku, ale pogrzebał w szufladzie, wyjął komórkę, wybrał numer i zaczął na odpowiedź. Przez chwilę słyszał tylko sygnał, po czym z drugiej strony odezwał się męski głos.

- Dzień dobry, chciałem zapytać o wydarzenia we Frankfurcie... - rzucił hrabia.

Odpowiedź najwyraźniej go uspokoiła. Bez słowa wyłączył telefon i ostrożnie wsunął go do szuflady. Zerknął na zegarek - za kilka minut mają zjawić się na zamku członkowie zarządu fundacji Pamięć o Katarach, której przewodniczył od śmierci ojca.

Wielu jej członków było potomkami założycieli Towarzystwa Pamięci o Katarach powołanego do życia przez ojca Raymonda, by dodać powagi prowadzonym przez siebie poszukiwaniom Graala i katarskiego skarbu.

Raymond pomyślał o wysiłku i środkach włożonych przez ojca i jego znajomych w owo zakończone fiaskiem przedsięwzięcie. Uważał, że mimo wszystko ich starania nie poszły tak zupełnie na marne: Langwedocja odrodziła się, wystarczyło spojrzeć na drogowskazy informujące turystów, że wjeżdżają do kraju katarów, na logo w formie dysku, tudzież na niezliczone kawiarnie, restauracje i sklepy z pamiątkami, w których królował przymiotnik „katarski”. W skład członków zarządu Pamięci o Katarach wchodził między innymi zamożni przedsiębiorcy dorównujący hrabiemu przywiązaniem do przeszłości. Byli obywatelami odebranego im zbrojnie kraju, którym zawiadywali teraz po swojemu dzięki współczesnym prawom handlu.

Oprócz rdzennych Oksytańczyków w skład zarządu wchodził również potomkowie zaprzyjaźnionych z ojcem Raymonda niemieckich dżentelmenów pokonanych w drugiej wojnie światowej; część z nich zawdzięczała życie właśnie hojności i staraniom rodziny d'Amis. Niektórzy musieli zmienić nazwisko i kraj zamieszkania, innym udało się ukryć we własnej ojczyźnie. Nadal jednak, podobnie jak kiedyś rodziców, wszystkich ich łączyło to samo przekonanie - przekonanie, że są ludźmi wybranymi, przedstawicielami wyższej rasy.

Nie, nie przegrali poszukiwań, wierzyli bowiem w istnienie skarbu katarów i nie rezygnowali z prób odnalezienia go. Ich organizacja była czymś więcej niż zwykłą fundacją, podobnie jak towarzystwo powołane przez jego ojca nie było zwykłym towarzystwem. Był to „zakon” - zakon rycerzy oddanych zgłębianiu katarskiej tajemnicy.

Oni również z radością patrzyli na zjeżdżającą się tu rok w rok młodzież z całego świata zwabioną echem średniowiecznej herezji.

Kraj katarów przeżył swych najeźdźców, jego stara wiara wciąż była żywa w sercach tutejszych mieszkańców.

Wejście majordomusa poprzedziło delikatne pukanie do drzwi.

- Panie hrabio, goście zajechali.

To miało być bardzo ważne zebranie, w którym nie uczestniczyli wszyscy członkowie fundacji, lecz tylko ci należący do bractwa stworzonego przez ojca Raymonda - tajnego zakonu katarskiego złożonego z pięciu mężczyzn, z którymi stary hrabia dzielił jedno marzenie: marzenie o zemście.

Raymond udał się do salonu, gdzie czekali już na niego członkowie bractwa. Przywitali się lekkim skinieniem głowy, gospodarz poprosił obecnych, by usiedli.

- Panowie, mam dobrą wiadomość: plan został wcielony w życie. Choć nie potrafię jeszcze wskazać konkretnej daty, mogę was zapewnić, że przed upływem miesiąca zemsta się dopełni.

Bilbao

Tego samego dnia, o tej samej porze, bardzo daleko od zamku d'Amis, Ignacio Aguirre rozmyślał podczas spaceru o właśnie odbytej rozmowie z Ovidiem Sagardią, swoim ulubionym uczniem.

Dął silny wiatr, przynosząc z oddali zapach morza. Sędziwy kapłan przyznał się sam przed sobą, że niewiele pozostało z jego dawnej cierpliwości, kiedy chętnie poświęcał tyle godzin, ile było potrzeba, na roztrząsanie problemów swych młodych podopiecznych.

Teraz, odkąd przeszedł na emeryturę i powrócił do rodzinnego Bilbao, Watykan, będący do niedawna całym jego życiem, wydawał mu się bardzo, bardzo daleki. A byłby daleki jeszcze bardziej, gdyby od czasu do czasu nie zakłócał mu spokoju telefon od tego czy innego kardynała lub biskupa, który potrzebował informacji na temat jakiejś starej sprawy badanej przez Ignacia.

Przebył długą drogę, odkąd, prawie przypadkiem, trafił jako praktykant do Kancelarii Stanu, awansował na sekretarza, a potem został przeniesiony na trzecie piętro, gdzie z dokładnością co do minuty napływały informacje z całego świata, które on analizował, przesiewał i wysyłał w postaci zwięzłych raportów do najwyższych organów kościelnej władzy, czyli do kardynałów i samego papieża.

W gruncie rzeczy całą swą karierę - jeśli można użyć takiego słowa - zawdzięczał pamiętnej podróży do Francji, którą odbył jako sekretarz ojca Grilla. To dzięki temu człowiekowi został tym, kim został.

Dokładnie pamiętał wydarzenia z tamtych lat: wyprawę na zamek hrabiego d'Amisa, krótką, lecz intensywną znajomość z Ferdinandem Arnaudem, swój niepokój wynikający z niepokoju przełożonych o coś, co wyglądało na odrodzenie się ruchu katarskiego, kronikę brata Juliana, dokumenty pozostawione mu w spadku przez profesora Arnauda przekonanego, że mogą mu się kiedyś przydać...

Właśnie podczas owej podróży do Francji powstały fundamenty całej jego późniejszej kariery duchownej.

Żył pełnią życia, czując się człowiekiem uprzywilejowanym - umożliwiono mu służenie Bogu tam, gdzie według jego przełożonych był najbardziej potrzebny. Dlatego czuł

zał do Ovidia Sagardii, również jezuita, któremu pomógł znaleźć miejsce w zawiłych strukturach watykańskiego świata, pokładając zaufanie w nim, w jego wierze, spekulatywnym umyśle, zapale do pracy, talencie do dyplomacji, sile jego powołania, a tymczasem... a tymczasem Ovidio nagle się załamał i postanowił zrezygnować ze wszystkiego, co osiągnął, i zostać proboszczem w pierwszej lepszej mieścinie.

Mieli za sobą liczne dyskusje przez telefon, lecz rozgoryczenie Ovidia okazało się tak głębokie, że Ignacio zgodził się pomóc mu złapać oddech. Umówili się, że młody duchowny spędzi jakiś czas u swego protektora w Bilbao, gdzie będzie mógł wsłuchać się w głos własnego serca i zdecydować, gdzie i jak będzie lepiej służył Kościołowi, bo o to przecież chodziło - o służenie Bogu i bliźnim.

Tak, temu właśnie poświęcił Ignacio całe życie. W rzeczywistości o przebiegu jego kariery duchownej zdecydował profesor Arnaud, każąc mu zapobiec przelaniu niewinnej krwi. Natomiast na życiu profesora zaważyła kronika brata Juliana, która zamieniła się w jego obsesję. Lecz podczas gdy dominikanin wzywał do pomszczenia krwi niewinnych, Ferdinand Arnaud wyznaczył mu inne zadanie - zapobiec rozlewowi krwi.

Tuż przed rozmową z Ovidiem Ignacio skontaktował się z sekretarzem stanu, który poinformował go, że mimo decyzji młodego duchownego o opuszczeniu Watykanu przed odejściem będzie jeszcze musiał wziąć udział w naradzie dotyczącej zamachu we Frankfurcie. Stolica Apostolska była wyraźnie zaniepokojona tym aktem przemocy dokonany przez Stowarzyszenie - organizację islamskich fundamentalistów trzymającą w szachu wszystkie zachodnie służby specjalne. „Jak powstrzymać przelanie niewinnej krwi?” - zapytał kardynał. Ignacio Aguirre nie potrafił jednak odpowiedzieć na to pytanie.

3

Watykan

Ovidio Sagardia nie zwracał uwagi na słowa mężczyzny. Ubolewał nad swym losem, pytając się w duchu: Jestem szpiegiem? Jak inaczej określić to, co robię? Więc dlaczego drażni mnie, gdy jestem traktowany jak szpieg? Gdybym tylko wiedział, jak to si stało, w którym momencie zszedłem na manowce...

- Co ty na to?

- Przepraszam, eminencjo, zastanawiałem się nad tym, o czym właśnie mówili nasi goście - rzucił odruchowo Ovidio.

Stanowczy głos kardynała wyrwał go z zamyślenia. W gabinecie panował upał; a może to zniechęcenie dawało mu się aż tak bardzo we znaki. Ciężył mu wzrok kardynała i pozostałych dwóch mężczyzn. Oni również byli szpiegami, tyle że nie służyli Wszechmogącemu, jak on, ale swojemu rządowi.

- No, Ovidio, bądź tak dobry i podziel się z nami swoją opinią - nalegał kardynał.

- Potrzebuję więcej informacji. W gruncie rzeczy to, co panowie powiedzieli, może coś znaczyć, lecz wcale nie musi. Na pewno wiadomo tylko tyle, że zamachu dokonało Stowarzyszenie.

- Nie posiadamy innych informacji - zapewnił znużonym głosem mężczyzna o srebrzystych włosach. - Obyśmy wiedzieli więcej! Właśnie dlatego zwróciliśmy się o pomoc do Watykanu. Tak, rzeczywiście, do ostatniego krwawego zamachu we frankfurckim kinie przyznało się właśnie Stowarzyszenie.

Kardynał nic nie powiedział, a i Ovidio postanowił milczeć. Wiedział, co myśli jego przełożony: nie są nic winni tym typom... Wiedział też, że kardynał czuje się nieswojo w towarzystwie tych mężczyzn, których musiał przyjąć z powodu nieobecności szefa departamentu Analizy Polityki Zagranicznej, biskupa Pelizzolego. Minister spraw wewnętrznych naciskał Kancelarię Stanu, podkreślając wyjątkowość sytuacji, i kardynał zgodził się ich przyjąć.

- To prawdziwa łamigłówka - zauważył młodszy z mężczyzn, jakby rozmawiał sam ze sobą.

Ovidio obserwował ich przez chwilę, próbując zbadać, z jakimi ludźmi i szpiegami ma do czynienia. Starszy z mężczyzn, srebrzystowłosy, nazywał się Lorenzo Panetta. Wydawał się pewny siebie i ani trochę nieoszłomiony wspaniałością kardynalskiego gabinetu, którego strop malował sam Rafael. Był wysokim przedstawicielem do spraw bezpieczeństwa stanu, byłym szpiegiem, który pnąc się po szczeblach kariery, dochrapał się stanowiska w polityce.

A ten młodszy, ile może mieć lat? Chyba nie więcej niż trzydzieści pięć. Wygląda na żołnierza i jest wyraźnie onieśmielony nie tylko tym miejscem, ale również sprawą, która przywiodła ich do Watykanu. Przedstawiono go jako Matthew Lucasa, obywatela Stanów Zjednoczonych, pracującego jako łącznik między amerykańską agencją szpiegowską a instytucją koordynującą walkę z terroryzmem na terenie Unii Europejskiej.

Postanowił ocknąć się z letargu, w którym się pogrążył, i zachowywać się tak, jak tego od niego oczekiwano. Uniósł ramiona i wlepił wzrok w podsunięte mu dokumenty, tym razem wczytując się w nie z wielką uwagą.

- Mówią panowie, że kiedy przechwycono te dokumenty? - zapytał, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

- Znalaziono je w apartamencie, w którym popełnili samobójstwo członkowie Stowarzyszenia - odpowiedział srebrzystowłosy. - Na dobrą sprawę to nie dokumenty, ale ich resztki, z których pracownicy laboratorium zdołali odtworzyć niektóre zdania. Mówimy o wydarzeniach sprzed czterech dni.

- I dlaczego te świstki tak panów zatrwożyły? Mężczyźni spojrzeli po sobie, dopiero po chwili starszy z nich odpowiedział:

- Nie możemy dodać nic więcej do tego, co już powiedzieliśmy. Brygada antyterrorystyczna Interpolu od miesięcy była na tropie Milana Karakoza, który handluje nie tylko bronią, ale również informacjami. To jeden z typów zaopatrujących w broń Stowarzyszenie. Zresztą utrzymuje również kontakty z płatnymi zabójcami. Jednym słowem - niezły gagatek.

- I nie sądzą panowie, że wasz gagatek ma dość rozumu w głowie i doświadczenia, by nie popełniać głupich błędów pozwalając, by jego nazwisko pojawiło się w papierach będących w rękach terrorystów?

- Karakoz zapewne nie wie, że jego nazwisko znalaziono na resztkach dokumentów, które spłonęły we frankfurckim apartamencie - zauważył srebrzystowłosy.

- Jak napisano w raporcie - wtrącił Matthew Lucas - policja przygotowała zasadzkę na grupę islamskich terrorystów, prawdopodobnie na te same osoby, które dwa dni wcześniej wysadziły w powietrze kino w centrum Frankfurtu, zabijając ponad trzydzieści osób, w tym pięcioro dzieci. A wie ksiądz przecież, jak reagują ci ludzie: wolą zginąć, niż wpaść w ręce policji. Dlatego wysadzili się w powietrze, gdy funkcjonariusze nakazali im opuścić apartament, w którym się zaszyli. Wcześniej jednak zdążyli spalić większość dokumentów, zachowały się tylko nikłe fragmenty, które zbadaliśmy w laboratorium. Udało się z nich odczytać zaledwie kilka słów, między innymi wzmiankę o Karakozie, który naszym zdaniem kontaktował się z terrorystami i najprawdopodobniej zaopatrywał ich w broń. Inne słowa to: GRÓB, KRZYŻ W RZYMIE, PIĄTEK, SAINT-PONS, nie wiemy jednak, czy chodzi o toponim, nazwisko, czy może o jedno i drugie, oraz LOTARIUSZ. Ocalał również niezrozumiały dla nas fragment książki: NASZE NIEBO OTWARTE JEST TYLKO DLA TYCH, KTÓRZY NIE SĄ STWORZENIAMI... Z całej reszty, którą pochłonęły płomienie, udało się uratować jedynie słowo KREW. Nie ma więcej liter, nie znamy ciągu dalszego.

- Zapomniał pan o świętym... - dodał Lorenzo Panetta. - Jak może ojciec przeczytać w raporcie, natrafiono również na skrawek papieru z odręcznie napisanym tekstem: POLEJE SIĘ KREW W SERCU ŚWIĘTEGO... Poza tym pojawia się tam ponownie słowo KRZYŻ.

- Tak, wszystko to już panowie tłumaczyli, zresztą o tym samym traktuje raport. Przykro mi jednak, ale nie rozumiem, co ma do tego Watykan.

Kardynał zgromił go wzrokiem. Gdy tylko ci dwaj wyjdą, na pewno zrobi mu awanturę, zresztą nie bez racji. Sęk w tym, że Ovidia nic a nic nie obchodziło, co ci ludzie mają mu do powiedzenia; chciał poprosić, by zlecono to zadanie komuś innemu, by na niego nie liczono.

.- Ovidio, tych panów nie byłoby tu, gdyby nie uważali, że sprawa, z którą przychodzą, jest wielkiej wagi. Zresztą i ja tak uważam. Mamy obowiązek pomóc i pomożemy naszym przyjaciółom w rozwikłaniu tej zagadki.

Interwencja kardynała nie pozostawiała żadnych wątpliwości - Ovidio spuścił głowę, świadomy swej porażki.

- Powinniśmy wspólnie zająć się tą sprawą - stwierdził Matthew Lucas.

- Tak też zrobimy, panie Lucas - oznajmił kardynał. - Watykan będzie współpracował, jakżeby inaczej, z unijnym Centrum do Walki z Terroryzmem. Ojciec Sagardia skontaktuje się z panami zaraz po zapoznaniu się z dostarczonymi materiałami. Zapewniam panów, że podchodzimy do tej sprawy bardzo poważnie.

Panetta i Lucas wymienili spojrzenia, rozumiejąc, że kardynał uważa spotkanie za skończone. Drzwi do gabinetu otworzyły się i na progu stanął jeszcze jeden mężczyzna w sutannie.

- Mój sekretarz odprowadzi panów do wyjścia.

Po lakonicznym pożegnaniu mężczyźni opuścili gabinet strapieni obojętnością okazaną im przez ojca Ovidia. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, rozpętała się burza.

- Dobrze, o co chodzi? - zapytał kardynał, nie kryjąc irytacji.

- Przepraszam, eminencjo, ale nie uważam, by cokolwiek z tego, co przed chwilą usłyszeliśmy, było powodem do niepokoju.

- Proszę, proszę, a więc twoim zdaniem Lorenzo Panetta, nasz najlepszy włoski specjalista od spraw terroryzmu, działający ręką w rękę z NATO oraz ze służbami wywiadowczymi krajów należących do unijnego Centrum do Walki z Terroryzmem, przyszedł napędzić nam stracha jak przedszkolakom. A pan Lucas, specjalizujący się w islamskich ruchach terrorystycznych członek Amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa i Walki z Terroryzmem, to panikarz. Na miłość boską, Ovidio, co się z tobą dzieje?!

Ovidio Sagardia i tym razem miał ochotę spuścić głowę i nie odpowiadać na postawione wprost pytanie, wiedział jednak, że kardynał nie zadowoli się jego milczeniem i będzie drażył temat, próbując wszelkimi sposobami wydobyć z niego prawdę.

- Wasza eminencja dobrze wie, co się ze mną dzieje: chcę rzucić to wszystko, by odnaleźć siebie, a przede wszystkim Boga. Mężczyźni milczeli, patrząc sobie w oczy i próbując wyczytać z nich myśli przeciwnika.

- Jak waszej eminencji wiadomo, otrzymałem skierowanie na proboszcza i lada dzień opuszczam Watykan. Niczego nie pragnę bardziej, jak zostać zwykłym proboszczem, pomagać ludziom, czuć się użytecznym, żyć w zgodzie w Ewangelią...

Umilkł na znak kardynała. Czuł się zagubiony, wiedział, że nic z tego, co ma do powiedzenia, nie skruszy żelaznej determinacji tego księcia Kościoła.

- Przykro mi, Ovidio, ale będziesz musiał poczekać z objęciem swojej parafii przynajmniej do powrotu dyrektora Departamentu Analizy Polityki Zagranicznej. Przed wezwaniem cię skontaktowałem się z biskupem Pelizzolim, który uważa, że nikt nie wykona tego zadania lepiej od ciebie. Najwyraźniej wierzy w ciebie bardziej niż ty sam. Jesteś kapłanem, jezuitą, rycerzem bożym, należysz do Kościoła i masz obowiązek służyć mu tam, gdzie cię pośle. Nie chodzi o to, czego chcemy, ale o to, do kogo i do czego należymy. Masz wyjątkowy talent analityczny i śledczy, potrafisz się doskonale maskować. Otrzymałeś te dary od Boga, ale nie stanowią one twojej własności. Do tej pory wykorzystywałeś je, służąc Kościołowi, rób to nadal. Nie porzucaj nas, Ovidio, nie teraz.

- Chcę być po prostu kapłanem.

- I jesteś kapłanem, kapłanem walczącym na pierwszej linii frontu, jezuitą, który wie, że nie może robić, co mu się żywnie podoba, ale to, co nakazuje obowiązek, a jednak chce uciec.

- Ojciec wie, że nie uciekam! - krzyknął Ovidio.

- Przechodzisz kryzys! Rozumiem! - odpowiedział kardynał, również podnosząc głos.

- Myślisz, że jesteś jedynym duchownym, któremu się to zdarza, który zastanawia się nad swoim życiem?

- Ja nie kwestionuję swojego kapłaństwa, tylko to, co robię, a raczej, co robiłem do tej pory. Nie sądzę, bym przeżył ostatnie lata zgodnie z nauką Chrystusa, Naszego Pana.

Kardynał zrozumiał, że przegrał pojedynek i że jeśli nadal będzie naciskał Ovidia, straci go na zawsze.

- No dobrze, kogo więc proponujesz na swoje miejsce?

- Może Domenica? Jest specjalistą od islamu, więc jeśli sprawa ma związek z islamskimi fundamentalistami, trudno o lepszego kandydata.

- Powiem Ojcu Świętemu, że nas opuszczasz. Na pewno będzie chciał się z tobą zobaczyć, wiesz przecież, jak bardzo cię ceni.

- Dziękuję.

- O nie, nie dziękuj, ustępuję, bo nie mam innego wyjścia.

- Jak pan myśli, dlaczego ten ksiądz kręcił tak na nas nosem? Potraktował nas jak wariatów, którzy przeszli do Watykanu, by opowiedzieć historyjkę o ufoludkach.

- O tak, nie był dla nas specjalnie miły - przyznał Lorenzo Panetta. - Ale obawiam się, że i tak będzie musiał zrobić, co mu każą.

- Watykan robi przytłaczające wrażenie - stwierdził Matthew Lucas. - Nigdy nie przypuszczałem, że zobaczę państwo kościelne od środka. Mam na myśli coś więcej niż tylko bazylikę i muzea. Jestem również pod wrażeniem samego kardynała.

- To ważna osobistość we władzach kurii. Co prawda nie jest bezpośrednio związany z wywiadem watykańskim, ale można powiedzieć, że wszystkie informacje trafiają właśnie na jego biurko.

- Z wywiadem watykańskim?

- Na Boga, majorze, w jakiej szkole uczono pana rzemiosła? Czyżby pan nie wiedział, że Watykan posiada jedne z najlepszych służb wywiadowczych na świecie? Nic się przed nimi nie ukryje, tyle że zazdrośnie strzegą zdobytych informacji. Z ich pomocą łatwiej nam będzie coś wskórać.

- Pan uparcie twierdzi, że ci księża mogą nam pomóc. Dlaczego? Chyba nie dlatego, że na jednym skrawku papieru napisano „święty”, a na innym „Bóg Rzymu”?

- To byłby wystarczający powód, ale poza tym... cóż, mam wrażenie, że w całej tej sprawie jest coś więcej niż tylko to, co możemy sobie wyobrazić i zobaczyć, dlatego właśnie potrzebna nam jest pomoc tych duchownych.

- Najwyraźniej tylko pan tak uważa. W Brukseli nie wszyscy są zadowoleni, że wciągnięto w dochodzenie Watykan.

- Coś panu powiem, istnieje wielka różnica między politykami i analitykami, którzy nigdy nie wystawili nosa zza biurka, a tymi, którzy, tak jak ja, uczyli się zawodu w terenie.

- Uczyli się?

- Tak, posiadam umiejętność działania w terenie, ścigając przestępców. I proszę mi wierzyć, wyczuwam pismo nosem i wiem, kiedy jakaś sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się wydaje.

- Ale przecież od lat jest pan... no właśnie, wysokim urzędnikiem.

- Owszem, proszę jednak tylko porównać nasze dłonie.

- A to po co?

- Pan ma ręce urzędasza, a ja... zresztą, to bez znaczenia. Jak już panu mówiłem, mam przecucie. Tak czy inaczej, nic nie stracimy, jeśli watykańscy jajogłowi nam pomogą.

- Bardziej liczę na pomoc ekspertów z prawdziwego zdarzenia. Zdąży pan na zebranie?

- Tak, jutro po południu będę w Brukseli i stawię się na to cholerne zebranie. Mam nadzieję, że niemiecka policja podeśle nam jakieś dodatkowe informacje, a pańscy kumple z CIA nie będą trzymali gęb na kłódkę, tylko raczą nam zdradzić, co mają w swoich archiwach na tych kretynów.

- Jakich kretynów?

- Samobójców, Matthew, samobójców.

- Nie nazwałbym ich kretynami. Choćby dlatego, że udało im się wysadzić w powietrze kino w samiotkim sercu Frankfurtu, a wszystko dzięki materiałom wybuchowym dostarczonym przez wszędobylskiego Karakoza, którego nazwisko wraca do nas ostatnio jak bumerang.

- Terroryci płacą dobrze, i to gotówką, a Karakoza interesują tylko i wyłącznie pieniądze. Nic więc dziwnego, że co rusz nadziewamy się na tego obmierzłego typka.

Lorenzo Panetta zaparkował samochód w terminalu A rzymskiego lotniska Fiumicino i Matthew wysiadł z małą torbą w rękę. Mężczyźni pożegnali się zdawkowym „do widzenia”.

Nazajutrz mieli się spotkać na „zebraniu kryzysowym” zwołanym przez dyrektora unijnego Centrum Unii Europejskiej do Walki z Terroryzmem. Lorenzo Panetta był wicedyrektorem tej instytucji i jednym z jej najlepszych analityków.

4

Mohamed Amir miał zawroty głowy - ze strachu, ale również z głodu i pragnienia. Nie wiedział, czy niemiecka policja depta mu po piętach, czy uznała, że zginął razem ze swoimi braćmi, którzy popełnili samobójstwo z imieniem Allacha na ustach.

Chrześcijanie powiedzieliby, że uratował się cudem. I mieliby rację. W obawie, że policja spróbuje przyspuścić szturm na mieszkanie, jego kuzyn Jusuf kazał mu iść do łazienki i spalić wszystkie dokumenty. Właśnie wykonywał polecenie, kiedy dobiegł go głos policjanta nakazującego im opuścić apartament z rękami do góry. Potem usłyszał, że Jusuf każe mu uciekać. Nie pamięta, jak mu się to udało; po prostu otworzył okno w łazience, wyskoczył na zewnętrzny gzyms, a stamtąd ześlizgnął się po grubej rurze na gzyms piętro niżej. Wiedział, że tam jeden z apartamentów zajmuje małżeństwo, które o tej porze zwykle siedzi w pracy, choć skoro policja nakazała ewakuację budynku, prawdopodobnie wszystkie mieszkania są teraz puste. Szczęście uśmiechnęło się do uciekiniera - pchnął okno, a to się otworzyło. Bez trudu, choć z duszą na ramieniu, wślizgnął się do mieszkania - bał się, że policja będzie tam na niego czekała. Ale w środku nie było nikogo, więc Mohamed rozejrzał się za kryjówką dla siebie. Zaraz potem rozległ się huk eksplozji. Budynek wypełniły wrzaski i dym. Jusuf i pozostali bracia woleli popełnić samobójstwo, niż oddać się w ręce policji. Zostali męczennikami - dumą Stowarzyszenia.

Przez chwilę czuł się skołowany i wystraszony, bał się, że lada chwila policja wtargnie do mieszkania, by go aresztować, ale jakimś cudem jego obawy się nie sprawdziły. Wiedział, że po Południu zjawią się właściciele apartamentu, oczywiście jeśli władze nie powiadomią wcześniej mieszkańców o eksplozji. Jeśli do tej pory policja się stąd nie wyniesie, będę miał się z pyszna, pomyślał Mohamed, ale od tego momentu dzieliło go jeszcze kilka godzin. Musi tylko siedzieć cicho jak mysz pod miotłą i czekać.

Wczołgał się pod łóżko w sypialni. Do jego nowej kryjówki, przywodzącej mu na myśl zabawy z dzieciństwa, dochodziły hałasy i krzyki z zewnątrz.

Jak trafiono na ich ślad? Kto zdradził? Komu ma zaufać, jeśli uda mu się wymknąć z tej pułapki?

Miał nadzieję, że ogień zdążył doszczętnie strawić papiery i że zniszczone zostały wszelkie ślady prowadzące do pozostałych braci, zwłaszcza tych, którzy - niech Allah ma ich w swej opiece! - walczyli w świętej sprawie jego i jego proroka.

Jusuf był dowódcą ich komórki, a teraz siedzi pewnie obok Allacha, rozkoszując się rajskimi uciechami. Mohamed uśmiechnął się na myśl o kuzynie w otoczeniu pięknych hurys. Jusuf zginął śmiercią męczennika, jego rodzice będą z niego dumni. Mohamed postanowił ich odwiedzić, gdy tylko nadarzy się okazja, oczywiście jeśli wyjdzie stąd żywy.

Godziny dłużyły mu się w nieskończoność, bał się jednak opuścić kryjówkę, bo wciąż słyszał przytłumione wycie syren, krzyki, rozkazy...

O szóstej usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi. Wyczołgał się spod łóżka. Dobiegł go głos pani Heinke rozmawiającej, jak mu się zdawało, przez telefon komórkowy. Donosiła komuś, co się stało, informując, że zabrano już, dzięki Bogu, szczątki ukrywających się na górnym piętrze terrorystów i że sytuacja w bloku zaczyna wracać do normy. Zżymała się, że nikt jej o niczym nie uprzedził, a przecież mogła zostać bez dachu nad głową, i opowiadała, nie pomijając najdrobniejszego szczegółu, że ludzie zaczynają już wracać do swoich mieszkań i że przed blokiem porządku pilnują dwa radiowozy. Jej mąż - tłumaczyła swemu rozmówcy - jest akurat w podróży i wraca dopiero jutro po południu, dlatego obecność funkcjonariuszy dodaje jej otuchy.

Mohamed Amir pomyślał, że po raz kolejny szczęście jest po jego stronie. Łatwo poradzi sobie z tą wystraszoną, drobną kobieciną w średnim wieku. Musi tylko wybrać właściwy moment, by nie zdążyła narobić zamieszania.

Pani Heinke najpierw długo krzątała się po salonie, następnie zaszyła się w kuchni. Dopiero po dłuższym czasie weszła do sypialni, gdzie już u progu silna ręka zasłoniła jej usta. Zaraz potem pięść spadła na jej skroń, powalając ją na ziemię i pozbawiając przytomności. Gdy się ocknęła, miała zawiązane oczy i usta zakneblowane chustką tak, że nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Mąż znalazł ją dwadzieścia cztery godziny później bliską pomieszczenia zmysłów. Policji nie udało się od niej dowiedzieć, jak wyglądał napastnik.

W rzeczywistości pan Heinke minął się z Mohamedem Amirem na klatce schodowej, nie zwrócił jednak uwagi na nieznanego młodego człowieka, a więc i on niewiele mógł pomóc policji, która uznała, że jednemu z terrorystów udało się wymknąć ze szturmowanego mieszkania i że przeczekawszy jakiś czas w mieszkaniu państwa Heinke, opuścił, jak gdyby nigdy nic, budynek.

Apartament, w którym zaszyli się fundamentaliści, znajdował się w popularnej frankfurckiej dzielnicy Sachsenhausen, na południowym brzegu Menu. Był to malowniczy zakątek miasta z brukowanymi uliczkami i licznymi tawernami serwującymi cydr.

Uciekając z miejsca eksplozji, Mohamed Amir skierował się ku frankfurckiej „czerwonej dzielnicy” położonej w samym centrum, w pobliżu dworca kolejowego. Szanujący się obywatele woleli omijać tę część miasta, gdzie bez trudu można się było zaopatrzyć w najbardziej wymyślne narkotyki.

Mohamed przystanął przed sklepem z artykułami gospodarstwa domowego, choć bynajmniej nie interesowały go towary na wystawie - chciał sprawdzić, czy nie jest śledzony. Próbował nie zwracać na siebie uwagi, mimo że padał z nóg. Wiedział, na jakie

niebezpieczeństwo naraża siebie i swoich braci, ale musiał się na coś zdecydować. Nie miał zresztą wielkiego wyboru: musiał opuścić Frankfurt i potrzebował pomocy, dlatego postanowił trzymać się dokładnie wskazówek Jusufa i udać się do jego szwagra, przekonawszy się uprzednio, że nikt nie depta mu po piętach. Widząc, że nie jest obserwowany, wszedł szybko do bramy i wbiegł na drugie piętro, przeskakując po trzy stopnie naraz.

Zawahał się, nie wiedząc, do których drzwi zapukać; wreszcie wybrał te środkowe i nacisnął dzwonek.

Nikt nie otwierał, choć Mohamed miał wrażenie, że ktoś Przygląda mu się przez judasza. Nagle, nie wiadomo jak ani skąd, Poczul w okolicy nerek chłodne ostrze noża.

- Czego chcesz?

Mężczyzna mówił po arabsku, więc mimo dławiącego strachu Mohamed poczuł ulgę.

- Przyszedłem do Hasana - wyszeptał ze wzrokiem utkwionym w ciągle zamkniętych drzwiach, bojąc się drgnąć.

- Coś ty za jeden?

- Mohamed, kuzyn Jusufa. Znam Hasana, on ci zaświadczy, że mówię prawdę.

- Czego tu szukasz?

- Potrzebuję pomocy.

- Dlaczego?

- To wyjaśnię samemu Hasanowi.

Nagle drzwi się otworzyły i stojący za plecami Mohameda mężczyzna wepchnął go do mieszkania. Wokół panował mrok więc na kilka sekund chłopak stracił orientację, a potem poczuł, że dwie ręce łapią go i popychają ponownie, tym razem tak mocno, że upadł na podłogę.

- Wstawaj!

Odetchnął z ulgą, rozpoznając głos Hasana. Podniósł się niezdarnie. Gdy zapalono światło, zobaczył, że stoi na środku pokoju, obserwowany przez Hasana i sześciu innych mężczyzn, z których jeden ściskał w ręku wielki składany nóż. Domyślił się, że to z nim właśnie rozmawiał na korytarzu.

Zaczekał, aż Hasan się odezwie. Czuł do tego człowieka, największego mędrca, jakiego znał, szacunek graniczący z uwielbieniem. O nim właśnie powinien się uczyć w pakistańskiej medresie, gdzie odnalazł sens życia i raz na zawsze porzucił zamiar przemienienia się w człowieka Zachodu. Choć przez lata próbował zrealizować swe marzenie i stać się częścią społeczności Granady, swego rodzinnego miasta, nigdy mu się to nie udało

Różnił się od tych idiotów, swoich rówieśników z klasy. Był inny zdradzały go odmienne rysy. Niektórzy Hiszpanie nazywali go z pogardą „Arabusem”, inni zachowywali się wobec niego uprzejmie, ale był to ten rodzaj uprzejmości, z jaką traktujemy kogoś, kto się od nas różni.

Mohamed uważał, że właśnie ci, którzy się z niego naśmiewali, byli w Granadzie nieproszonymi gośćmi.

Chodził do szkoły publicznej, potem dzięki pomocy rządowej mógł kontynuować naukę w liceum, a następnie na uniwersytecie. Tam otrzymał stypendium Erasmus i wyjechał do Niemiec, do Frankfurtu, gdzie mieszkali jego wujostwo i kuzyn Jusuf. To właśnie on przedstawił mu Hasana, imama, który objawił im prawdę i wlewał w ich serca nadzieję. Jusuf ożenił się z najmłodszą siostrą Hasana, starszą od niego o kilka lat kobietą, która dała mu dwoje dzieci.

Siostra Hasana nie grzeszyła urodą, lecz Jusuf na to nie zważał - czuł się szczęśliwy, mogąc wejść do rodziny imama, zamkniętej muzułmańskiej społeczności.

Właśnie Hasan przekonał Mohameda, by nie pogardzał sobą i nauczył go przenosić to uczucie na niewiernych. On również objawił mu Koran i wyrwał go z jego dotychczasowego, bezsensownego życia zdominowanego przez kobiety i alkohol.

Kobiety... - koleżanki Mohameda z uczelni, dla których seks oznaczał tyle co wytarcie nosa.

Po ukończeniu studiów na wydziale turystyki wyjechał z Jusufem do Pakistanu i tam właśnie zdecydował się wstąpić do milczącej armii, która miała się rozprawić, tym razem ostatecznie, z chrześcijanami i ich dekadentką cywilizacją - tak dekadentką, że jej obywatele nie zauważyli nawet, jak oni, muzułmanie, wykorzystują tryby ich przegniłej demokracji, by przeniknąć do jej struktur w oczekiwaniu na właściwy moment, by rzucić się na nich i wydrzeć im serce.

- Postąpiłeś lekkomyślnie, przychodząc tutaj. Niemiecka policja i Interpol depczą ci po piętach, na dobrą sprawę poszukują cię wszystkie przekłete agencje bezpieczeństwa w Europie.

- Jusuf radził, bym w razie kłopotów przyszedł właśnie tu.

- Jusuf! - wyszeptał imam. - Jusuf jest teraz z Allachem i rozkoszuje się rajem. Dlaczego i ty tam nie jesteś?

- Zdołałem uciec. Wskoczyłem przez okno i schowałem się w mieszkaniu piętro niżej. Nikt mnie tam nie szukał.

- Dlaczego przeżyłeś? - ponowił pytanie imam.

- Jusuf kazał mi spalić wszystkie dokumenty i wypełniałem właśnie jego polecenie, gdy policja przypuściła szturm na naszą kryjówkę. Wtedy mój kuzyn i pozostali bracia męczennicy odpalili ładunki wybuchowe, którymi się opasali, i... wylecieli w powietrze.

- A ty dlaczego nie poszedłeś za ich przykładem?

- Nie zdążyłem przymocować ładunków, paliłem dokumenty, no, a potem... zrobiłem to, co podpowiadał mi instynkt: uciekłem.

- Uciekłeś... - stwierdził surowo Hasan. - I czego tu szukasz?

- Pomocy, muszę wyjechać.- Niby dokąd?

- Dokąd, twoim zdaniem, powinienem się udać? - zapytał pokornie Mohamed, spuszczać głowę.

- Powinieneś być w raju, tam jest twoje miejsce, tutaj tylko zawadzasz.

Mohamed Amir nie odważył się oderwać wzroku od podłogi w oczekiwaniu na wyrok.

Hasan przechadzał się w tę i z powrotem po pokoju, pozostali mężczyźni czekali w milczeniu, podobnie jak Mohamed, na decyzję imama.

- Skoro zostałeś przy życiu, zaopiekujesz się żoną Jusufa. Ma dwoje dzieci i potrzebuje mężczyzny, który ich utrzyma. Wyjedźcie do Al-Andalus, tam będziesz mógł się ukryć. Nadal masz tam ojca?

- Tak... moi rodzice i rodzeństwo mieszkają w Granadzie...

- Doskonale, w takim razie wrócisz z żoną i dziećmi na łono rodziny.

Poczuł w żołądku falę obrzydzenia, ale wiedział, że nie może sprzeciwić się imamowi. Poślubienie żony kuzyna wydawało mu się nie tyle obowiązkiem wobec Jusufa, ile karą boską.

Fatima, siostra Hasana i żona Jusufa, była jak na jego gust zbyt gruba i skończyła czterdzieści lat, podczas gdy on miał dopiero trzydzieści. Przez chwilę był załamany, ale szybko odrzucił przykre myśli, tłumacząc sobie, że chodzi o żonę męczennika. Wypełnienie polecenia imama i poślubienie Fatimy to dla niego zaszczyt. Zresztą przez ten ślub stanie się krewnym Hasana, a przecież nawet nie marzył o tak wielkim honorze.

- A tymczasem co powinienem zrobić? - zapytał z lękiem.

- Ukryjesz się u jednego z naszych braci. Tam będziesz bezpieczny, póki nie wyrobimy ci dokumentów i nie obmyślimy, jak wysłać cię do Hiszpanii. Przed podróżą weźmiesz ślub z Fatimą. A teraz opowiedz nam dokładnie, co się stało. Waszą akcją zadaliście Niemcom poważny cios, obleciał ich strach, zresztą podobnie jak Janesów i

Angoli. Zrozumieli, że nie mogą spać spokojnie, że jesteśmy wszędzie. Tyle że nas nie widzą, bo nie mogą - ich system im to uniemożliwia.

5

Ojciec Domenico obserwował kątem oka Ovidia Sagardię, który dyskutował z biskupem Pelizzolim.

Ten próbował namówić podwładnego do odłożenia upragnionego powrotu do Hiszpanii, do parafii w Bilbao, na stanowisko wikarego i pomocnika innego kapłana, również jezuita, mającego lada dzień przejść na emeryturę.

- Jak myślisz, co znaczy zdanie „poleje się krew w sercu Świętego...? - pytał zaszepcony biskup ojca Ovidia.

- Nie wiem, nie zastanawiałem się nad tym. Przepraszam, ale myślami jestem zupełnie gdzie indziej - wyznał zapytany.

- Ale twoje obowiązki są tutaj! - zgromił go surowo ojciec Pelizzoli. - No, Ovidio, zachowujesz się jak dzieciak! Co z ciebie za duchowny? Przełóż podróż! Jesteśmy niespokojni! Ta sprawa spędza Ojcu Świętemu sen z powiek, uważa... uważa, że zawisło nad nami niebezpieczeństwo, coś mrocznego... Przecież wiesz, że Kościół przeżywa trudne chwile, mamy zbyt wielu wrogów, dlatego powinniśmy trzymać się razem, a przede wszystkim nie możemy sobie pozwolić na stratę naszych najlepszych mózgów. Właśnie one muszą nam pomóc przemyśleć całą sprawę, stawić czoło problemom...

- To zadanie może równie dobrze wykonać Domenico, jak i reszta zespołu - obstawał przy swoim Sagardia.

- Ovidio, wolałbym ci tego nie mówić, ale... Rozmawiałem z twoimi przełożonymi, z generałem Towarzystwa Jezusowego, wytłumaczyłem, że cię potrzebujemy, i...

- Wielki Boże! Co to wszystko ma znaczyć? Jestem tylko kapłanem, nikim więcej, nikim!- Jesteś człowiekiem inteligentnym, jedną z naszych najlepszych głów, znakomitym analitykiem, kimś, kto nieraz udowodnił że potrafi znaleźć igłę w stogu siana. A teraz mamy właśnie do czynienia z olbrzymim stogiem i nie wiemy, jak się do niego zabrać, nie widzimy w tym wszystkim sensu, zresztą ani my, ani specjaliści z Interpolu czy z unijnego Centrum do Walki z Terroryzmem. Wszyscy krążymy po omacku... wszyscy. Proszę cię tylko, żebyś ruszył głową, żebyś przeanalizował informacje, którymi dysponujemy.

Ovidio już miał odmówić, ale przeszkodziło mu donośne uderzenie w drzwi poprzedzające pojawienie się sekretarza biskupa.

Nowo przybyły podszedł do ojca Pelizzolego, nie zwracając uwagi na jego dwóch gości, po czym obaj bez słowa wyjaśnienia wyszli z gabinetu.

- Nie pojmuję cię, Ovidio - powiedział ojciec Domenico, gdy zostali sami. - Przypominasz rozhisteryzowane dziecko, twoje zachowanie nijak nie pasuje do osoby, którą byłeś dotychczas.

- A kim byłem, Domenico? Może ty mi powiesz, kim byłem. Odprawiam msze samotnie, nie miałem okazji być pasterzem, prawdziwym pasterzem, który pomaga bliźnim. Naprawdę tak bardzo cię dziwi, że postanowiłem zerwać z dotychczasowym życiem i poświęcić się nareszcie prawdziwej służbie duszpasterskiej?

- Służyłeś dobrze Kościołowi, potrafiłeś nas oświecić, gdy błądziliśmy w mroku, i troszczyłeś się o bezpieczeństwo Jego Świątobliwości...

Ovidio przerwał mu gestem wyrażającym znużenie.

- Czy aby na pewno? Twierdzisz, że troszczyłem się o bezpieczeństwo papieża? Nigdy sobie nie wybaczę, że przeze mnie omal nie stracił życia, a wszystko dlatego, że nie wykonałem dobrze swojej pracy. Zaślepiła mnie pewność siebie, bo zlecono mi nadzór nad służbami czuwającymi nad bezpieczeństwem Ojca Świętego i zgrzeszyłem pychą. Nie powstrzymałem Alego Agcy, który dokonał zamachu na jego życie. W sennych koszmarach widzę, jak na moich oczach papież pada martwy.

- Ojciec Święty nigdy nie robił ci wyrzutów z tego powodu, zawsze darzył cię wielką sympatią, zresztą cały Watykan nadal ci ufa.

- To prawda - przyznał biskup Pelizzoli, który wrócił do gabinetu niezauważony przez rozmawiających. - Ovidio, czekają na ciebie w kancelarii Jego Świątobliwości. Idź tam natychmiast!

Gdy kapłan wyszedł, ojciec Pelizzoli westchnął. Szczerze cenił tego jezuitę, którego poznał przed wieloma laty. Ojciec Aguirre polecił go do pracy w otoczonym nimbem tajemnicy departamencie, który prasa sensacyjna nazywała „watykańskimi tajnymi służbami”. W rzeczywistości Ovidio oraz jego współpracownicy zajmowali się zbieraniem i analizą informacji napływających z całego świata, by ułatwić Kancelarii Stanu, a tym samym również Ojcu Świętemu, podejmowanie doczesnych decyzji oraz zrozumienie rozlicznych wydarzeń mających miejsce dzień w dzień za murami Watykanu.

W owym departamencie nie robiono na dobrą sprawę niczego nadzwyczajnego, choć czasami sam Ovidio żartował, że należy do „boskich tajnych służb”. On, biskup, chciałby być tak bardzo pewny jak ojciec Aguirre, że departament ów jest rzeczywiście potrzebny. Prawda,

że kilkakrotnie, zresztą bez wiedzy opinii publicznej, jego pracownicy wystąpili w roli mediatorów w konfliktach, których rozwiązanie wydawało się niemożliwe.

Chodziło, jak lubił mawiać stary jezuita, o „uniknięcie rozlewu niewinnej krwi”.

Biskupa Pelizzolego zawsze zadziwiała znaczenie, jakie ojciec Aguirre przywiązywał do kroniki niejakiego brata Juliana, którą przeczytał za jego namową. Musiał jednak przyznać, że nawet w połowie nie zrobiła na nim takiego wrażenia, jak na jego baskijskim mentorze.

„Ta kronika odmieniła mi życie”, tłumaczył mu nieraz ojciec Aguirre. Biskup nie bardzo potrafił to zrozumieć, mimo całego szacunku, jakim darzył sędziwego jezuity, który poświęcił całą swą karierę zażegnaniu konfliktów, których uniknięcie wydawało się marzeniem świętej głowy.

Biskup odprawił ojca Domenica. Gdy został sam, pogrążył się w myślach, czytając po raz kolejny pozbawione związku słowa i zdania ocalałe z płomieni. Uznał, że nic nie dzieje się przypadkiem, że skoro te właśnie skrawki papieru nie padły pastwą ognia, sprawiła tak najwyraźniej boża opatrność. Tylko dlaczego? Włoskie tajne służby, a przede wszystkim Interpol i niedawno powołane do życia unijne Centrum do Walki z Terroryzmem, zajmujące się prawie wyłącznie terroryzmem islamskim, sądzili, że Watykan zdoła rzucić światło na ową zagadkę tylko i wyłącznie z powodu kilku słów i zdań ocalałych z płomieni. Tylko od czego zacząć? Od dwóch dni próbowali rozgryźć tę zagadkę, ale nic nie przychodziło im do głowy. Czuł, że bez spekulatywnego umysłu Ovidia niewiele wskórają, że potrzebują nieograniczonej wyobraźni tego jezuity zdolnego wysuwać najbardziej niesamowite hipotezy, które okazywały się zazwyczaj słuszne. Pozostawało tylko czekać, aż duchowny wróci z prywatnych apartamentów Ojca Świętego, więc biskup z braku lepszego zajęcia zaczął się modlić, prosząc Boga, by poskromił upór swego baskijskiego sługi.

* * *

- To wcale nie jest takie skomplikowane.

Oczy wszystkich wbiły się w autorkę tego dobitnego stwierdzenia.

- Nieskomplikowane? - zapytał na wpół zirytowany, na wpół zaciekawiony Lorenzo Panetta, wicedyrektor unijnego Centrum do Walki z Terroryzmem.

- Cóż, nie twierdzę, że to łatwe, ale na pewno nie niemożliwe. Dysponujemy przynajmniej jednym tropem. Proszę dać mi kilka sekund, zaraz sprawdzę, czy moje przecucia są słuszne...

Matthew Lucas próbował powstrzymać uśmiech. No proszę, od tygodnia tuzin najlepszych europejskich i amerykańskich analityków, specjalistów od islamskich ruchów

terrorystycznych, głowi się nad tą sprawą, a tu raptem Mireille Beziars, ta nowa, z „plecami”, bratanica jakiegoś francuskiego generała z kwatery głównej NATO w Brukseli, oznajmia, że ustalenie znaczenia tych kilku słów i zdań, które ocalały ze spalonych dokumentów znalezionych w apartamencie zamachowców-samobójców to niemal bułka z masłem.

Skoro nawet ojciec Domenico z Watykanu niczego mądrego nie wymyślił, to i to dziewczę nic odkrywczego im nie powie.

Mireille Beziars od trzech lat pracowała w centrum, wędrując po różnych wydziałach. Dopiero przed dwoma dniami trafiła do analiz. Krążyły słuchy, że od dawna zabiegała, by dopuszczono ją do pracy w *sancta sanctorum* centrum, i ostatecznie dopięła swego.

Miała około trzydziestki i całkiem dobre referencje akademickie. Była absolwentką historii i władała doskonale językiem arabskim, dzięki czemu jej wysoko postawiony stryjasek załatwił jej pracę w centrum.

Ojciec Mireille był dyplomata, dlatego dziewczyna spędziła dzieciństwo w Syrii, a potem mieszkała z rodzicami w Libanie, Izraelu, Jemenie, Tunezji... aż w końcu wróciła do Francji na wyższe studia. Jej stryj mawiał, że jego pupilka tak dobrze zna Arabów, że nie tylko mówi, ale również „myśli” po arabsku.

Dyrektor Hans Wein i jego zastępca Lorenzo Panetta przyjęli ją niechętnie. Nie potrzebujemy więcej analityków, tłumaczyli, a już na pewno nie trzydziestolatki bez doświadczenia. Ich opór nie na wiele się jednak zdał: Mireille tak czy owak została przeniesiona z poprzedniego stanowiska - w archiwum - do wydziału analiz, i proszę, właśnie siedziała obok nich.

- I co? Odkryła już pani kamień filozoficzny? - dopytywał się Lorenzo Panetta.

Ironiczna uwaga wicedyrektora została skwitowana przez uczestników zebrania porozumiewawczymi uśmiechami, tylko Mireille najwyraźniej nie zrozumiała przytyku. Uważnie wpatrywała się w słowa: KARAKOZ, GRÓB, RZYMSKI KRZYŻ, PIĄTEK, SAINT-PONS... ocalałe z frankfurckiego ognia.

- SAINT-PONS może oznaczać... Saint-Pons-de-Thomieres? - wysunęła przypuszczenie.

- Niby dlaczego? - zapytał Lorenzo Panetta.

- Choćby dlatego, że jeśli pogrzebiemy w Internecie i wpisemy słowo „Saint-Pons”, niemal wszystkie wyniki odnoszą się do Saint-Pons-de-Thomieres. Choć zabrzmiało to niedorzecznie, niektóre słowa same nic nie znaczą, natomiast połączone ze sobą... Zresztą, sama nie wiem, może to dlatego, że pochodzę z Montpellier...

- Panno Beziars, proszę jaśniej.

Lodowaty głos Hansa Weina sprawił, że szepty na sali umilkły.

Wein był dobrym szefem, choć człowiekiem wymagającym i metodycznym; nigdy nie słyszano, by się śmiał. Trudno byłoby go podejrzewać o uprzedzenia, najlepszy dowód to to, że przyjął do swego zespołu ludzi różnego pokroju, poglądów i specjalności z większości krajów Unii Europejskiej: adwokatów, informatyków, historyków, socjologów, antropologów, matematyków... W swoim wydziale zatrudniał *creme de la creme*, a podwładnym stawiał jeden jedyny warunek: nie chciał słyszeć o intuicji i przeczuciach - wymagał logicznego myślenia i działania.

- No więc chcę przez to powiedzieć, że najprawdopodobniej słowo SAINT-PONS odnosi się do miejscowości o tej samej nazwie na południowym wschodzie Francji, zresztą, tak na marginesie, uroczego zakątka. Z LOTARIUSZEM sprawa nie wygląda już tak Prosto. Na przykład w *Don Kiszocie* Cervantesa pojawia się pewien Lotariusz zabiegający o względy młódki Kamili. Mamy również Lotariuszów władców Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego panujących bodajże w ósmym wieku. Lotariuszowie walczyli z innymi ówczesnymi królami o spadek po Karolingach...

- Fascynujące - przerwał jej z ironią Matthew Lucas. Ale Mireille i tym razem puściła mimo uszu drwinę kolegi i ciągnęła z ożywieniem swój wywód:

- Inną ważną postacią był Lotariusz z Segni, lepiej znany jako papież Innocenty Trzeci. Poza tym... istnieje *opera Lotario* Handla, zdaniem muzykologów utwór dość dziwaczny w porównaniu z innymi dziełami tego genialnego kompozytora.

Zapanowała krępująca cisza. Hans Wein wbił w Mireille stal swych niebieskich oczu, aż dziewczyna oblała się rumieńcem. Lorenzo Panetta odchrząknął nerwowo, pozostali członkowie zespołu nagle zainteresowali się ekranami swoich laptopów i zatopili w nich wzrok - wszyscy z wyjątkiem Matthew Lucasa, który wstał i zaczął klaskać.

- Bravo! Gratuluję wyobraźni. Ale czy pani może wie, że badamy grupę islamskich fundamentalistów? Terrorysty z frankfurckiego apartamentu popełnili samobójstwo z okrzykiem: „Allah jest wielki!”.

- Wiem... - broniła się Mireille - ale tak czy inaczej te słowa...

- Panno Beziars, takie sprawy bywają nieco bardziej skomplikowane.

Laura White, która zabrała właśnie głos, była asystentką Hansa Weina. Dyrektor centrum nigdzie się bez niej nie ruszał i choć nie był skory do pochwał, często wyrażał zadowolenie, że ma Laurę w swoim zespole.

- Pani ograniczyła się do pogrzebania w Internecie - zauważył urażonym tonem Matthew Lucas - a teraz opowiada nam, co tam znalazła, jak o nie lada odkryciu. Jak pani myśli, co robiliśmy przed pani przybyciem?

- Aleja... chciałam po prostu od czegoś zacząć - tłumaczyła się Mireille.

Hans Wein wstał, odwrócił się na pięcie i ruszył do swego gabinetu. Na jego twarzy malowała się złość - znak, że nad wydziałem zawisła burza.

Lorenzo Panetta i Laura White udali się w ślad za szefem. Lorenzo uważał, że popełniono błąd, przydzielając Mireille do tej sprawy, powinni byli dać jej jakieś inne zadanie. Co gorsza, to on był wszystkiemu winny - osobiście zaproponował dziewczynie, by przyłączyła się do zespołu badającego samobójców z Frankfurtu. W gabinecie Hans Wein mógł sobie nareszcie ulżyć:

- Ta dziewczucha to skończona idiotka! Niech się stąd wynosi! I to już! Natychmiast! Dzwon do kadr i niech ją stąd zabierają, gdzie tylko zechcą. Jeśli trzeba, rozmówię się z unijnym komisarzem spraw wewnętrznych, z przewodniczącym Komisji Europejskiej, choćby z samym Bogiem! Niech jej dadzą, do cholery, jakąś posadę, byle nie u mnie.

- Tak, musimy coś zrobić, dziewczyna jest zbyt zielona, nie nadaje się do naszego wydziału, choć pracuje w centrum już jakiś czas i przynajmniej można jej ufać.

- Mojej żonie też można ufać, a nie zatrudniłem jej tutaj! - zagrzmiał Hans Wein.

- No, już, uspokój się. Krzyki nie na wiele się zdadzą. Porozmawiam z kadrami, choć wcześniej powinniśmy zasugerować tej małej, by sama poprosiła o przeniesienie. Może ściągnąć nam na głowę kłopoty. Znasz przecież polityków: wyświadczają sobie wzajemnie przysługi i założę się, że ten, kto upchnął u nas Mireille, zrobił to, bo był akurat winny przysługę komuś z NATO, z Komisji Europejskiej czy Bóg wie skąd; nie możemy więc jej tak po prostu zwolnić. Zresztą, choć wiadomo, że trafiła tu dzięki „plecom”, większość z nas dostała się do wydziału po znajomości. Poza tym dziewczyna ma dobre referencje, sprawdziła się na swoich poprzednich stanowiskach.

- Nie baw się w adwokata diabła - zgromił Lorenza szef.

- Chyba nie warto robić z igły wideł i zbyttno przejmować się całą sprawą - wtrąciła Laura. - To oczywiste, że Mireille brakuje doświadczenia, ale nie jest głupia, no, może tylko trochę naiwna. Jeśli nie przypadła wam do gustu, nie ma co się dłużej zastanawiać, poprosimy o jej przeniesienie.

Ignorując tabliczki PALENIE WZBRONIONE, porozwieszane po całym budynku, Hans Wein sięgnął po papierosa. Albo zapali, albo zaraz wypadnie z gabinetu i osobiście wyrzuci tę Beziars na zbity pysk.

Lorenzo skorzystał z okazji i wziął przykład z szefa. On również Potrzebował codziennej dawki nikotyny; zrywał się, że musi popalać w ukryciu, jak zresztą połowa urzędników zatrudnionych w tym budynku. Palenie stało się niemalże wykroczeniem, ponoć w trosce o zdrowie, choć Lorenzo uważał, że moda na polityczną poprawność przeobraziła się w dyktaturę tego, co politycznie poprawne.

Kąśliwe słowa wymierzone przeciwko Mireille, podobnie jak papierosy wypalone w ukryciu w gabinecie szefa, były tylko zaworem bezpieczeństwa-Hans i Lorenzo wiedzieli, że niełatwo będzie im się pozbyć dziewczyny.

Laura otworzyła okno, pozwalając dymowi wsiąknąć w poranną mgłę. Laura również paliła, choć mniej niż jej szef.

- Wywiedz się dyskretnie, jakie wakaty mamy aktualnie w centrum i gdzie możemy upchnąć tę Beziars - polecił jej Hans Wein.

- Załatwione - rzuciła asystentka, wychodząc z gabinetu.

- Laura jest nieoceniona - zauważył Lorenzo Panetta.

- O tak, to prawdziwe szczęście, że mogę na nią liczyć. Do tego nie jest zanadto ambitna i lubi swoją pracę - dodał Hans Wein.

- Co masz na myśli, mówiąc, że nie jest zanadto ambitna?

- Choćby to, że absolwentka politologii władająca czterema językami mogłaby postarać się o lepsze stanowisko niż bycie moją asystentką. Miałbym moralny obowiązek wesprzeć jej starania, gdyby tylko o to poprosiła.

- Tak, masz rację, to prawdziwe szczęście, że mamy Laurę u siebie.

6

Gdy pilot ogłosił, że za dziesięć minut samolot wyląduje na lotnisku Sondica, Ovidio skrętnie poukładał w teczce dokumenty, których lekturze oddawał się podczas lotu do Bilbao.

Sekretarz papieski prosił, by pomógł rozwikłać zagadkę tkwiącą w kilku ocalałych z ognia słowach. Nieważne, gdzie to zrobi - żeby myśleć, nie musi siedzieć w Watykanie. Chciano tylko, by zastanowił się nad całą sprawą, poświęcił jej trochę czasu i spróbował zgłębić znaczenie słów zapisanych na strzępkach spalonego papieru. Nic nie stało na przeszkodzie, by zabrał się do tego w swoim nowym miejscu pracy - parafii położonej w dzielnicy powstającej obok obszaru metropolitalnego Gran Bilbao. Tam czekał na niego

ojciec Aguirre - najważniejsza osoba w życiu Ovidia, człowiek, który odkrył jego powołanie duchowne i pomógł mu się wybić, zrobić karierę w Watykanie.

Przymknął powieki, by przywołać rysy tego posuniętego już w latach kapłana, który pewnego dnia porzucił Watykan - tak jak on teraz - i wrócił w rodzinne strony głosić ewangelię wśród krajan.

Ovidio wstąpił do zakonu jezuitów właśnie ze względu na ojca Aguirre, wyjechał do Rzymu, by być jak najbliżej człowieka, którego uważał za swego duchowego ojca, oddał się w jego ręce, pozwalając mu pokierować swoim życiem kapłańskim, a on uczynił z niego najpierw watykańskiego dyplomata, a potem... potem wysłał na trzecie piętro, do biur, na których temat prasa tak bardzo lubiła fantazjować. W rzeczywistości tamtejsi pracownicy analizowali po prostu wszystko, co działo się na świecie, i byli odpowiedzialni za bezpieczeństwo papieża i Kościoła. Choć ojciec Aguirre skończył już osiemdziesiąt cztery lata, nie wyglądał na tyle. Ten wysoki, szczupły i wyprostowany mimo bólów reumatycznych w plecach sędziwy jezuita o niebieskich oczach i śnieżnobiałych włosach wypatrywał niecierpliwie swego wychowanka.

Wzruszeni padli sobie w objęcia. Nauczyciel i uczeń spotykali się po latach na rodzinnej ziemi i mieli sobie dużo do powiedzenia.

Ignacio od początku obawiał się, że Ovidio podejmie taką decyzję, nie sądził jednak, że zrobi to tak szybko. Dlaczego akurat teraz? - zastanawiał się na wpół zaintrygowany, na wpół zaniepokojony stary jezuita, specjalista od udęczonych dusz.

- No, chodźmy, zabiorę cię do domu. Mamy nadzieję, że będzie ci u nas dobrze. Przygotowaliśmy dla ciebie pokój, liczę, że przypadnie ci do gustu, choć żyjemy skromnie. Mikel bardzo chce cię poznać. To dobry kapłan, jeden z niewielu jezuitów, których Bóg nie posłał w obce strony i który uważa, że tu również jest jeszcze dużo do zrobienia. Pracował w stoczni La Naval, póki jej nie zamknięto, teraz uczy religii w szkole. Cierpi na zapalenie stawów, tak jak ja.

- Na pewno będzie mi tu dobrze, czuję to. I... cóż, chciałbym podziękować za zaproszenie i za wstawienie się za mną w Watykanie. Gdyby nie ojciec, pewnie by mnie nie wypuszczono. Wiem, że nie było to dla ojca łatwe.

- Papież cię ceni, jest przede wszystkim pasterzem, któremu leży na sercu dobro swych owieczek. Nie, nie tak wiele trudu kosztowało mnie przekonanie twoich przełożonych, by zgodzili się na twój wyjazd. Wiesz zresztą, że nie pochwalam twojej decyzji, uważam, że popełniasz błąd. Pamiętaj, że zobowiązałeś się doprowadzić do końca pewne zadanie i musisz dotrzymać słowa.

- I dotrzymam. To bardzo dziwna sprawa, wszystko wskazuje na to, że... Cóż przyznam, że zapoznałem się z jej szczegółami dopiero przed chwilą, na pokładzie samolotu wiozącego mnie do Bilbao. Ani w dniu, kiedy wręczono mi te materiały, ani podczas rozmów z przełożonymi nie zwróciłem uwagi na ich osobliwy charakter. Liczę na ojca pomoc...

- Nie powinienem mieszać się do tej sprawy. To tajemnica, a ciebie obowiązuje milczenie.

- Ojca również. Przecież i ojciec należy do...

- Należałem. Choć z niektórych stanowisk nigdy się nie odchodzi...

Przejechali przez Bilbao i znaleźli się w dzielnicy Begoña, gdzie nowe blokowiska wznosiły się obok siebie w pewnej harmonii. Ovidio pomyślał z zadowoleniem, że dzielnice robotnicze w niczym nie przypominają już posępnych miejsc z jego dzieciństwa.

On sam przyszedł na świat na brzegu tutejszego estuarium, w bloku, którego wszyscy mieszkańcy byli równie biedni jak jego rodzina. W jego wspomnieniach dominowały odcienie szarości: szare bloki, ołowianoszare niebo nad Bilbao, szary fartuch matki, szare spódnice sióstr, szare żelazo w fabryce. Świat jego dzieciństwa był wyzuty z kolorów, a może po prostu wszystkie kolory w jego pamięci blakły na skutek eksplozji barw, jaką były całe Włochy, a zwłaszcza Watykan, gdzie wielcy mistrzowie pędzla ozdobili każdy zakątek, zapewniając sobie w ten sposób nieśmiertelność.

Zauważył, że wszystko wydaje się tu małe, nawet góry wyglądające zza betonowych bloków. Małe i banalne, dodał i od razu pożałował tej myśli - nie dlatego, że chodziło o jego rodzinne miasto, ale ponieważ zrozumiał, że jeśli uzna, iż wszystko, co go tu otacza, pozbawione jest uroku, zdradzi tych, którzy mu ufają, i zdradzi samego siebie.

Musi odzyskać pokorę utraconą przez te wszystkie lata, kiedy zjechał pół kuli ziemskiej, czuwając nad bezpieczeństwem Ojca Świętego, kiedy siadał do stołu z wielkimi tego świata, ludźmi pociągającymi za sznurki światowej polityki, ekonomii...

Stołował się w zbyt wielu pałacach, w zbyt wielu luksusowych restauracjach i salach dla VIP-ów. Sypiał na miękkich łóżach i zawsze, gdzie tylko się ruszył, miał do dyspozycji samochód i asystenta.

Tak, przez te wszystkie lata służył Kościołowi, teraz jednak miał służyć najbardziej potrzebujących jego członkom, tym, którzy utracili wiarę lub byli o krok od jej utracenia.

Dziękował Bogu, że sam nie przestał wierzyć, że do jego serca nie zakradło się wątpliwość.

Jego współbracia mieszkali w czteropiętrowym bloku, którego funkcjonalna architektura świadczyła o tym, że zajmują go ludzie prości.

Ojciec Mikel oczekiwał ich przed wejściem do klatki schodowej, zdenerwowany z powodu przyjazdu nowego lokatora, „rzymianina” który - mówił sobie w duchu - długo nie wytrzyma z dala od watykańskiego przepychu. Mikel Ezquerro miał niebawem przejść na emeryturę. Skończył sześćdziesiąt pięć lat, był miejscowym proboszczem oraz katechetą w pobliskiej podstawówce. Dzielenie mieszkania z ojcem Aguirre było dla niego wyjątkowym, niekiedy bardzo ciężkim doświadczeniem.

Choć teraz nie wyobrażał sobie życia bez Ignacia, z początku nie miał zaufania do tego „rzymianina”, który swego czasu zajmował ważne stanowiska w kurii i był nazywany „uszami” Watykanu.

Jednak ojciec Aguirre uparł się, by dzielić z nimi blokowe mieszkanie i chcąc nie chcąc, musieli go przyjąć: on sam z oporami, ojciec Santiago - z radością. Zresztą trudno się dziwić, bo ojciec Santiago był dziwakiem. Za dnia pracował w fabryce cementu, wieczorami komponował muzykę i czytał klasyków w oryginale. Język aramejski, arabski, łacina czy greka nie miały dla niego tajemnic. Miał wesołą, dobroduszną naturę i choć nie był Baskiem, lecz Andaluzjczykiem, dobrze się zaaklimatyzował w ojczyźnie świętego Ignacego Loyoli.

Mieszkanie jezuitów było skromne, lecz przestronne: składało się z czterech pokoi, jadalni oraz małej łazienki i balkonu. Pokoje były maleńkie, ledwie mieściło się w nich łóżko, biurko, krzesło i wbudowana w ścianę szafa, ale za to lśniły czystością i pachniały lawendą.

- Itziar przyszła nam pomóc - wyjaśnił ojciec Mikel. - Ma złote serce, zresztą sam wiesz. Oświadczyła, że ogarnie trochę chałupę, by nowy ksiądz nie wystraszył się i nie uciekł, gdzie pieprz rośnie.

- Itziar prowadzi parafialny Caritas, to dobra, chętna do pomocy kobieta, a do tego świetna kucharka - wytłumaczył Ovidiowi Ignacio.

Ojciec Santiago był jeszcze w pracy, bo, jak wyjaśnił ojciec Mikel, jadał obiady w zakładowej stołówce, a z fabryki wychodził dopiero o siódmej.

Podczas rozpakowywania bagaży Ovidio miał okazję przekonać się, jak mały jest jego pokój. Zapytał się w duchu, co zrobi z książkami, które miano mu dowieźć z Rzymu. Zrozumiał, że niepotrzebnie przywiózł w dwóch walizkach watykańskie ubrania: księżowskie garnitury z koloratkami, kilka par butów, koszule... Nic z tych rzeczy nie przyda mu się tu, gdzie mężczyźni pracują w pobliskich fabrykach, podczas gdy kobiety, z wyjątkiem, ma się rozumieć, młodego pokolenia, zajmują się rodziną i domem.

Czy przywyknie do takiego życia? Żarliwie zabiegał o przyjazd tu, nie słuchając tych, którzy nakłaniali go do przemyślenia decyzji. Wyidealizował przyszłość, a teraz stała się ona teraźniejszością. Pokora, tłumaczył sobie, muszę nauczyć się pokory.

Obiad zjedli we trójkę, gawędząc o wszystkim i o niczym. Ojciec Mikel wypytywał Ovidia o watykańskie życie, zapewniając, że ojciec Aguirre nie lubi powracać wspomnieniami do długich lat spędzonych w Rzymie.

Jakim człowiekiem jest na co dzień papież? Którzy z kardynałów mają największe wpływy? Czy Watykan wie o kwestii baskijskiej?

Ovidio, ku uciesze ojca Aguirre, starał się odpowiadać dyplomatycznie na litanie pytań ojca Mikela. W końcu, tuż przed trzecią, proboszcz zaczął się z nimi żegnać, żeby pójść do szkoły:

- Przykro mi, ale muszę was opuścić. Dziś mam lekcje do wpół do szóstej, ze szkoły pójdę prosto do kościoła, by odprawić o szóstej mszę żałobną. Jeśli nie jesteś zbyt zmęczony, Ovidio, wpadnij wieczorem do kościoła, to niedaleko stąd, poznasz część parafian. O siódmej mamy zebranie Caritasu, a o ósmej mszę.

- Przyjdę - obiecał nowo przybyły. - Nie mogę się doczekać, kiedy rozpocznę posługę.

- W takim razie może odprawisz jutro mszę o siódmej, żeby Ignacio nie musiał wstawać skoro świt.

- Ale ja lubię wstawać skoro świt! - zaprotestował ojciec Aguirre.

- Wiem, ale powinieneś o siebie dbać. Może ciebie będzie bardziej słuchał - dodał ojciec Mikel, zwracając się do Ovidia. - Lekarz zalecił mu zdrowszy tryb życia i wypoczynek, tymczasem on gwizdże sobie na te zalecenia. Aha, jeszcze coś! Zaczynaj się przyzwyczajać, że nasz Ignacio musi codziennie przeczytać fragment kroniki tego swojego mnicha heretyka.

- Brata Juliana - zaśmiał się Ovidio.

- Otóż to. Wszyscy przeczytaliśmy tę książkę; nie przeczę, że jest ciekawa, ale Ignacio ma prawdziwą obsesję na jej punkcie.

Gdy zostali sami, ojciec Aguirre sięgnął po butelkę orujo. Do jednego kieliszka nalał wódki na grubość palca, do drugiego kapkę więcej.

- Wypijmy za twój powrót do domu. Nie ukrywam, że nie będzie ci łatwo, z początku oswojenie się z nowym życiem będzie cię sporo kosztować, mnie też kosztowało; byłem nawet o krok od Powrotu do Watykanu... dusiłem się tu. Dzień w dzień prześladowała mnie pycha, gdy czytałem prasę lub oglądałem telewizję, wiedziałem bowiem, że za każdą wiadomością kryje się znacznie więcej niż to, co widać na pierwszy rzut oka, co mówią media; więc trudno było mi się pogodzić z tym, że poszedłem w odstawkę. Upłynęły całe lata, nim zdołałem poskromić pychę i odnaleźć wewnętrzny spokój.

Wyznanie ojca Aguirre zdumiało Ovidia. Sędziwy jezuita najwyraźniej ciągle potrafił czytać w jego duszy i wiedział, z jakimi myślami bije się jego wychowanek.

- Wytrzymam - zaśmiał się. - W końcu sam się tu pchałem.

- Ale czemu? Dlaczego akurat teraz?

- Bo miałem już dość, bo obawiam się, że pobłądziłem. Złożyłem śluby zakonne, by służyć bliźnim, tymczasem czuję, że nie wywiązałem się z tej misji. Przesłanie Chrystusa ma sens, jeśli żyje się zgodnie z jego przykładem, pomagając najbardziej potrzebującym. A co ja robiłem przez te wszystkie lata?

- Masz więc do mnie żal, że zawiodłem cię na trzecie piętro...

- Nie! Nie o to chodzi! Dziękuję, że ojciec we mnie uwierzył i dał mi szansę, proszę nie brać mnie za niewdzięcznika. Nie chcę, by ojciec mnie źle zrozumiał...

- Nie martw się, rozumiem cię, nie wiesz nawet jak dobrze... Chciałbym jednak poznać przyczynę twojej decyzji.

- Bardzo przeżyłem zamach na Ojca Świętego, ani na chwilę nie przestałem obwiniać się o to, co się stało.

- Ale przecież Ojciec Święty nigdy nie miał do ciebie żalu.

- Papież wszystkim przebaczył. Nigdy nie powiedział mi złego słowa, a widząc, że się gryzę, próbował mnie nawet pocieszać, jednak mimo wszystko... Właśnie zamach otworzył mi oczy, zrozu miałem, że pograżyłem się w świecie doczesnym, że nic z tego, co robię, nie ma związku z życiem duchowym. Nie miałem czasu na refleksję, na myśli o Bogu, należałem do jego wywiadu, ale brakowało mi choćby minuty, by poczuć z nim duchową więź, by pomodlić się jak należy, a nie klepiąc bezmyślnie formułki. Ma ojciec rację, będzie mi tu ciężko, ale takie życie wyjdzie na zdrowie mojej duszy.

- Będziemy się o to modlili.

Nieco później udali się do kościoła na spotkanie z ojcem Santiagiem i ojcem Mikelem. Pierwszy z duchownych prowadził akurat zebranie z młodzieżą z parafialnego Caritasu, drugi skończył właśnie odprawiać mszę żałobną. Ojciec Mikel przedstawił Ovidiowi kilku wiernych, a ojciec Santiago uścisnął mu mocno rękę na powitanie, poklepał go po plecach i zaprosił do udziału w zebraniu, by zapoznać nowo przybyłego wikarego z realizowanymi przez Caritas zadaniami.

- Czy ksiądz jest Baskiem? - zapytała Ovidia jedna z dziewcząt.

- Tak, ale bardzo dawno nie zaglądałem w rodzinne strony - odpowiedział.

- A jak się ksiądz zapatruje na temat tego, co się tu dzieje? - zapytał wysoki młody człowiek o wyglądzie nerwusa.

- A co się tu dzieje?

- Nie pozwalają nam być wolnymi ludźmi - rzucił piskliwie zapytany.

- Dość tego! - przerwał im ojciec Santiago. - Zebraliśmy się, by ustalić, jak pomóc najbardziej potrzebującym mieszkańcom naszej parafii, a jeśli chodzi o bycie wolnymi ludźmi...

- Ksiądz jako Andaluzyczyk nie może nas zrozumieć, choć nie przeczę, że jest ksiądz klawym gościem - wpadła mu w słowo inna dziewczyna, zaledwie nastoletnia.

- Myślisz, że Andaluzyczyk nie widzi, co się tu wyprawia? Chociażby tego, że w naszej dzielnicy mieszka grupka Rumunów, którzy ledwo wiążą koniec z końcem, wegetują w slumsach, a ich dzieci nie chodzą do szkoły? Spotkaliśmy się tu po to, by ustalić, jak im pomóc.

- O rany, niech nam ksiądz pozwoli pogadać z nowym wikarym - prosił inny młodzian.

- Nowy wikary zgadza się w pełni z ojcem Santiagiem - odparł Ovidio. - Mogę tylko dodać, że nie sądzę, by o różnicach między ludźmi decydowało miejsce urodzenia, a tym bardziej, by wpływało ono na naszą zdolność postrzegania pewnych spraw. Owszem, jestem Baskiem, ale gwizdzę na moje pochodzenie; obchodzi mnie człowiek, nie jego akt urodzenia, podobnie zresztą jak mój własny.

Młodzi ludzie spoglądali na Ovidia w milczeniu, zastanawiając się, czy podoba im się, czy nie ten duchowny, który otwarcie Przyznał, że lekceważy swe baskijskie korzenie.

- No więc dobrze, czy komuś udało się porozmawiać, jak Prosiłem, z szefem tych rumuńskich Romów? - zapytał ojciec - Tak, byłem tam wczoraj. Niezły z niego element. Oznajmił, że zostaną tu tak długo, jak im to będzie na rękę, że nie są katolikami, że ich dzieci nie pójda do szkoły, a im samym potrzeba tylko i wyłącznie pracy - opowiadał jeden z chłopaków.

- Ja też tam byłam, rozmawiałam z kobietami. Powiedziały, że nie oddadzą nam pod opiekę dzieci, bo same uczą je wszystkiego, co w życiu potrzebne, zgodziły się natomiast przyjąć od nas pomoc materialną. Poprosiły o ubrania i zabawki - dodała jedna z dziewcząt.

- Radny jest oburzony na burmistrza, twierdzi, że coś z tym trzeba zrobić, i to szybko, zanim romskie slumsy zamienią się, w osadę z prawdziwego zdarzenia - dorzuciła jej koleżanka.

- A my? Co waszym zdaniem możemy i powinniśmy zrobić? - zapytał ojciec Santiago.

Rozgorzała dyskusja, podczas której każdy wysunął jakiś pomysł lub propozycję, które zaczęły przeobrażać się stopniowo w prosty plan.

Ovidio przysłuchiwał się im w milczeniu, obserwując tych młodych ludzi oraz ojca Santiaga, do którego od razu poczuł sympatię.

Po zebraniu czterech księży udali się razem do domu, omawiając wydarzenia dnia i przedstawiając Ovidiowi napotykanym po drodze parafian.

Po kolacji ojciec Santiago, ku osłupieniu Ovidia, zaproponował wspólne zmówienie różańca. Przybysz z Watykanu uświadomił sobie nagle, że od wielu lat nie odmawiał tej modlitwy i miał sobie za złe, że jego wyobraźnia błądzi po bezdrożach, podczas gdy usta klepią bezmyślnie zdrowaśki. O tak, najwyższa pora przypomnieć sobie, czym jest kapłaństwo.

O jedenastej ojciec Mikel stwierdził, że czas udać się na spoczynek. Ovidio był zmęczony i oszołomiony natłokiem wrażeń.

7

Mohamed spojrzał na Fatimę, nie wiedząc, co powiedzieć, zaraz potem przeniósł wzrok na dwójkę dzieci, które czekały z niepokojem, aż przerwie krępującą ciszę. „Oto twoja rodzina”, oznajmił mu Hasan, każąc szanować Fatimę i troszczyć się o małe jak o własne dzieci.

Ze wzrokiem wbitym w podłogę Fatima zastanawiała się, jaki los czeka ją u boku tego dużo od niej młodszego mężczyzny, w którego oczach zobaczyła niechęć. Wiedziała, że brakuje jej powabu, że żaden zakamarek jej ciała nie zainteresuje mężczyzny, którego polecono jej poślubić. Pytała siebie w duchu, czy będzie ją bił, czy raczej traktował jak poprzedni mąż, który obcował z nią tylko, gdy się upił. A i to zdarzyło się jedynie kilka razy, przeważnie trzymał się od niej z daleka, z czego się zresztą cieszyła, bo intymne zbliżenia nie dawały jej żadnej satysfakcji, choć pozwoliły przynajmniej splodzić dwoje dzieci, które kochała do szaleństwa.

Dzieci, jedno pięcioletnie, drugie sześciolatnie, spoglądały teraz wystraszone na człowieka, którego wujek Hasan kazał im nazywać tatą i traktować jak rodzzonego ojca.

Nie rozumiały, dlaczego ich prawdziwy tata porzucił je i poszedł do raju, zostawiając je i mamę z obcym mężczyzną, który budził w nich strach.

- Jutro jedziemy do Granady, do moich rodziców. Tam będziemy bezpieczni.

Fatima i dzieci nadal milczeli. Wiedzieli, że należą do tego człowieka i że pójdą za nim, dokąd tylko im rozkaże. Kobieta Poczula jednak dreszcz niepokoju na myśl o tym, co ją czeka. Tu, we Frankfurcie, była kimś - siostrą powszechnie szanowanego Hasana, ale w

Granadzie... Tam będą zdani - ona i dzieci - na łaską i niełaskę teściowej, a Fatima o nic nie drżała tak bardzo jak o swoje pociechy. Mohamed nie wiedział jeszcze, że prawdopodobnie nie będzie mogła dać mu potomstwa, bo miała już pierwsze objawy menopauzy. Czy jej mąż zadowolony się dziećmi kuzyna?

- A teraz idźcie spać, przed nami ciężka podróż. Mohamed Amir wyszedł z pokoju i westchnął. Żona go nie pociągała, więc postanowił jak najdłużej odkładać skonsumowanie związku. Niech na razie Fatima śpi z dziećmi, może w Granadzie zdobędzie się na odwagę, by dzielić z nią łóżko.

Hasan zapewnił, że policja nie wie, któremu z członków komórki terrorystycznej udało się zbiec. Szukała człowieka bez twarzy, bez nazwiska, może więc uda mu się wydostać z Niemiec i dotrzeć do Hiszpanii. Odbędzie podróż na własnym paszporcie, w towarzystwie Fatimy i dzieci. W Granadzie, zgodnie z poleceniem Hasana, wstąpi do „uśpionej” komórki i przekaze jej członkom otrzymane z Niemczech wskazówki.

Mohamed czuł bolesne mrowienie w żołądku - nie tylko ze strachu przed tym, co go czeka, ale również z powodu niejasnego zdania, jakie dodał do swych poleceń podziwiany przez niego Hasan: „Zaprowadź porządek u siebie w domu, jeśli nie chcesz, byśmy my to zrobili”.

Co miał na myśli Hasan? Na pewno nie Fatimę, bo przecież dopiero co się z nią ożenił; jeszcze wczoraj opiekował się nią Hasan. Dzieci z kolei były za małe, by mogło ich dotyczyć to polecenie zakrawające na groźbę. Jego rodzice byli natomiast przykładnymi muzułmanami. Co miał więc na myśli Hasan?

Mohamed nie spał dobrze tej nocy, dręczony koszmarem, który prześladował go od dnia ucieczki z frankfurckiego apartamentu, gdzie popełnili samobójstwo jego bracia. We śnie tym ginął wraz z nimi, był martwy, w zaświatach nie czekały na niego jednak powabne hurysy, ale ciemność, olbrzymia czarna dziura, w której wirował jak piłka, aż zbierało mu się na mdłości.

Gdy wstał, Fatima zamykała właśnie torbę z prowiantem na drogę. Spakowane walizki stały już przy drzwiach, a śniadanie czekało na stole. Dzieci siedziały jak myszy pod miotłą, bojąc się narazić mężczyźnie, którego kazano im nazywać tatą.

- Wyjeżdżamy za pół godziny - rzucił Mohamed, by przerwać ciszę.

Kobieta przytaknęła wzrokiem, wsuwając do torby worek z bułkami. Słyszała, jak Hasan mówił jej nowemu mężowi, by nie wyjeżdżali przed ósmą, by zaczekali, aż na ulicach zacznie się codzienny ruch i łatwiej im będzie ująć uwagi wężących po całym mieście funkcjonariuszy.

Mieli odbyć podróż do Hiszpanii samochodem - nierzucającym się w oczy, popularnym wśród niemieckich robotników oraz imigrantów volkswagenem golfem.

Gdy Mohamed wyszedł z łazienki, Fatima poprawiała właśnie chustę, która zsunęła się jej z włosów podczas krzątania. Miała na sobie burnus, pod nim spodnie i bluzkę z grubej wełny, na nogach wodoodporne buty. Dzieci ubrane były w granatowe ocieplane nieprzemakalne kurtki i solidne kalosze.

Mohamed spojrzał na nich z myślą, że ma przed sobą swą nową rodzinę i że przyrzekł Hasanowi się nią opiekować. Westchnął, czując ciężar odpowiedzialności.

- Chodźmy - rzucił.

Otworzył drzwi i nie oglądając się, ruszył w dół po schodach; za nim podążyła Fatima i dzieci. Mohamed zrozumiał, że zaczyna się właśnie cała reszta jego życia.

* * *

Mireille rozejrzała się za wolnym krzesłem. Koledzy z wydziału nie zaprosili jej do kawiarni na wspólny lunch. Wiedziała, że nazywają ją „protegowaną”, jakby ktokolwiek z nich zawdzięczał posadę wyłącznie własnym zasługom, a nie rekomendacji. Nie lubili jej, zresztą była to niechęć odwzajemniona.

Najwyraźniej nie zamierzali ułatwiać jej startu, na domiar złego ona również niepotrzebnie odzywała się na porannym zebraniu. Za bardzo się pospieszyła. Teraz będą na nią patrzyli nie tylko jak na protegowaną, ale jak na wariatkę albo ekscentryczkę.

Dostrzegła wolne miejsce na rogu stołu i siadła, nie rozglądając się. Nie chciało jej się jeść, była zdołowana. Czuła, że ośmieszyła się sama przed sobą i przed kolegami z wydziału, rozmyślała, jak się zrehabilitować.

- Można się przysiąc?

Lorenzo Panetta stał nad nią z filiżanką kawy. O dziwo, uśmiechał się.

- Tak, zapraszam.- Właśnie pani szukałem.

- By wręczyć mi wymówienie?

- Na Boga, Mireille!

- Skompromitowałam się, wiem, jest mi głupio. Domyślam się, że szef postanowił się mnie pozbyć. Jak mniemam, przyszedł pan zasugerować, żebym poprosiła o przeniesienie.

- Proszę mnie posłuchać: myślę, że pani problem polega na tym, że odzywa się pani przed przemyśleniem tego, co ma do powiedzenia. A to błąd, gruby błąd, zwłaszcza w biznesie wywiadowczym.

- Ma pan rację, to moja główna wada, nie potrafię w porę ugryźć się w język, przez co nieraz już ściągnęłam sobie na głowę przykrości. Ale, ale... czyżbym się myliła, czy nie przyszedł pan namówić mnie do odejścia?

Lorenzo Panetta wbił źrenice w Mireille, próbując dostrzec w niej coś więcej, niż było widoczne na pierwszy rzut oka. Dziewczyna nie spuściła wzroku, wytrzymała jego spojrzenie, a on musiał przyznać, że jego rozmówczyni jest atrakcyjniejsza, niż mu się zdawało.

Mireille, która ubierała się w pospolite ciuchy, by nie zwracać na siebie uwagi, miała błyszczące czarne oczy i równie czarne włosy. Była szczupła, zdaniem Panetty aż za bardzo, ale miała styl - styl charakteryzujący kobiety z wyższych sfer, które nie muszą zaprzatać sobie głowy ceną chleba czy befsztyka.

- Po prostu chciałbym pogadać o pani porannym wystąpieniu. Do czego pani zmierzała?

- A więc nie myśli pan, że mi odbiło?

- Cóż, nie można wykluczyć i tego, ale coś pani wyznam: jestem starym gliną i z góry nie przekreślam żadnej, choćby najbardziej absurdalnej hipotezy.

Spojrzała na niego osłupiała. Tego się nie spodziewała. Coś takiego, wicedyrektor centrum chce z nią porozmawiać o tym, co wydarzyło się rano w biurze? Odetchnęła z ulgą i zapytała:

- Kiedy zdecydował się pan dać mi szansę?

- Nie wiem, czy dam pani szansę. Pytam tylko, czy wyciągnęła pani jakieś wnioski ze swoich internetowych poszukiwań.

- A co na to wszystko szef?

- Hans Wein? Jego proszę zapytać.

- Nie przepada za mną. Tak naprawdę cały wydział krzywo na mnie patrzy.

- Będzie się pani teraz nad sobą użalała?

- Proszę mi pozwolić, czuję się paskudnie.

- No, Mireille, pytałem, czy doszła pani do jakiegoś wniosku.

- Jeszcze nie, ale... nie przeczę, że można połączyć te wyrwane z kontekstu słowa w jakąś sensowną całość.

- Proszę wyrażać się jaśniej, nie bardzo za panią nadążam.

- Jeśli uzna pan, że to, co powiem, trzyma się jednak kupy, przekona pan Hansa Weina, by dał mi jeszcze jedną szansę?

- Będzie pani musiała przekonać go osobiście. Na wydziale obowiązują niepisane zasady, do których wszyscy musimy się stosować. Nie ma u nas miejsca dla wolnych strzelców, a co ważniejsze, przed wyrażeniem jakiegokolwiek kategoriycznej opinii należy ją dwukrotnie przemyśleć.

- Ale to krępuje wam ręce i ogranicza szanse na powodzenie! W biznesie wywiadowczym, jak pan nazywa nasz fach, powinno być miejsce na domysły, na konstruowanie najprzeróżniejszych, choćby najbardziej szalonych hipotez, na wspólne ich roztrząsanie...

- Zasady, Mireille, trzeba trzymać się zasad.

- Pan zawsze trzyma się zasad?

- A jak pani myśli, dlaczego doszedłem aż tutaj? Przepracowałem wiele lat w terenie jako policjant, ale nawet tam obowiązują zasady. Chodzi o to, by nauczyć się między nimi lawirować i nie dać się biurokratom. Ot i cały sekret. To najlepsza rada, jaką mogę pani dać.

Mireille uśmiechnęła się z wdzięcznością i zaczęła tłumaczyć, co skłoniło ją do tak osobliwych supozycji:

- Wie pan, pochodzę z Montpellier, uznałam więc, że słowo SAINT-PONS może się odnosić do Saint-Pons-de-Thomieres z moich rodzinnych stron. Zajrzałam do Internetu, by sprawdzić, czy istnieje wiele miast lub miejsc o podobnej nazwie, i okazuje się, że nie, bynajmniej.

Lorenzo Panetta uniósł brew i już, już miał wstać, myśląc, że traci tylko czas, jednak coś w tej kobiecie zbijało go z tropu: nie była idiotką - co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

- Proszę mówić dalej.

- No, może istnieje związek między Saint-Pons-de-Thomieres a Lotariuszem.

- Ach tak?

- Gdy zobaczyłam obok siebie te dwa słowa: LOTARIUSZ i SAINT-PONS...

- Obok siebie? Jeśli dobrze pamiętam, nie znajdowały się obok siebie, ale wśród zwęglonych papierów, nawet nie na jednej kartce.

Mireille wytrzymała jego spojrzenie, ale przebiegł ją dreszcz. Zrozumiała, że arcyuprzejmy Lorenzo Panetta jest w rzeczywistości człowiekiem wyjątkowo przebiegłym, z którym nie można igrać.

- Saint-Pons leży na południu Francji - obstawała przy swoim.

- Jakie Saint-Pons?

- Saint-Pons-de-Thomieres.

Lorenzo przerwał jej ruchem ręki. Mireille patrzyła na niego wyczekująco.

- Świetnie, proszę mi tylko powiedzieć, jaki to ma związek z grupą islamskich terrorystów, którzy osaczeni przez policję postanawiają wysadzić się w powietrze w samym sercu Frankfurtu?

- No cóż, w gruncie rzeczy nie ma to żadnego związku. Ja tylko twierdzę, że słowa te nie są pozbawione sensu.

- Gdyby pojawiły się obok siebie na jednym kawałku papieru, być może, ale... chociaż nawet wtedy nie. Pani pochodzi z Montpellier - dodał nie bez ironii Panetta - dlatego dopatrzyła się pani sensu w tym SAINT-PONS.

- Ma pan rację, wygłupiłam się. Przykro mi, dałam się ponieść emocjom. Naprawdę mi przykro.

Dlaczego tak szybko się poddaje? Panetta liczył, że Mireille spróbuje bronić swego zdania, a tymczasem, jak się zdaje, przyjęła nagle do wiadomości, że wszystko, co powiedziała, jest jedną wielką bzdurą. Zachowanie tej dziewczyny zaskakiwało go. Było w niej coś, czego nie potrafił nazwać.

- Niech pani nie robi sobie wyrzutów, warto szukać odpowiedzi nawet w tym, co na pierwszy rzut oka trąci absurdem, świadczy to, że nie należy pani do osób, które łatwo się poddają.

- Czy trafienie do centrum dzięki rekomendacji jest aż takim przestępstwem?

Nie spodziewał się równie bezpośredniego pytania. Było oczywiste, że Mireille trudno się pogodzić z niechęcią, jaką darzyli ją otwarcie pracownicy wydziału.

- Nie, to nie przestępstwo, ale chyba pani wie, jakie to wkurzające, gdy przed kimś otwiera się na oścież drzwi, do których my musieliśmy się dobijać. Pani ułatwiono zadanie.

- Tak, ale przecież mam dobre referencje akademickie, mówię biegle po arabsku i znam kraje arabskie, bo spędziłam tam wiele lat. Moje tytuły uniwersyteckie to nie prezent od losu.

- Będzie pani musiała zdobyć sobie szacunek moich ludzi, jeśli chce pani być jedną z nich. W tym celu... no cóż, przede wszystkim radzę zachowywać się powściągliwie, nie zwracać na siebie uwagi, udawać pokorę i dobre chęci, ucząc się rzemiosła od starych wyjadaczy.

- I robić im kawkę - rzuciła Mireille, nie potrafiąc zapanować nad złością.

- Owszem, nie zaszkodzi, choć i tak nie jest powiedziane, że ich sobie pani tym zjedna. Może pani jedynie spróbować.

- Nie wiem, czy warto.

- Decyzja należy do pani. No tak, dobrze nam się gawędziło, ale chyba czas wracać do roboty.

Wyszli z kawiarni w milczeniu, rozmyślając nad odbytą właśnie rozmową. Oboje tropili nieścisłości, słabe punkty przeciwnika, coś szczególnego w tym, co usłyszeli.

Gdy wkroczyli razem do wydziału analiz, powitały ich zdziwione spojrzenia, jednak nikt nic nie powiedział.

- Dobrze, bierzmy się do pracy. Myślę, że najlepiej się pani sprawdzi w zespole pani Villasante, który prowadzi bardziej spekulatywne badania.

Mireille zastygła, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Andrea Villasante nie miała łatwego charakteru, była humorzasta i wymagająca wobec swych podwładnych. No i oczywiście była ulubienicą szefa. Hans Wein widział w Andrei Villasante uosobienie idealnego pracownika kierowanego przez siebie wydziału, nie tylko z racji jej umiejętności - których bynajmniej nie można było jej odmówić - ani sławy znakomitego psychologa, ale również ze względu na jej sposób bycia. Andrea nie była skora do śmiechu, spędzała całe godziny pochłonięta pracą, nie lubiła się z nikim spoufalać i nie uznawała żartów. No proszę, pięknie mnie załatwił ten Lorenzo Panetta, myślała Mireille.

Zespół Andrei, złożony z pięciu osób znajdujących się bezpośrednio pod jej rozkazami, skupił się w kącie wielkiej sali zajmowanej przez wydział analiz. Andrea zdecydowanym krokiem ruszyła ku Lorenzowi i Mireille.

- Masz mi coś do powiedzenia? - zapytała oschle Lorenza.

- Przydzieliłem pannę Beziers do twojej grupy. Przyda ci się: biegle włada arabskim i spędziła całe lata pośród Arabów, zna więc dobrze ich świat i pomoże ci wyjaśnić źródła nasilającego się ostatnimi czasy fanatyzmu.

- Doskonale. Usiądzie pani pod oknem, przy tamtym wolnym biurku - wskazała Andrea nowej podwładnej, nie zaszczycając jej spojrzeniem.

Mireille nie odważyła się zaprotestować i ruszyła za Andream ze zboląłą miną. Wiedziała, że Hiszpanka nie będzie się z nią patyczkowała, tylko przy pierwszej lepszej wpadce wyrzuci ją na zbity pysk, i to z błogosławieństwem Weina.

Poczula nagłą zazdrość: jej nowa szefowa trafiła do wydziału analiz wyłącznie dzięki własnym zasługom, nikt nie podał jej niczego na tacy. Była najlepszą w Europie - zapewne również na świecie - specjalistką od psychologii terroryzmu. Pracowała z osadzonymi w więzieniach członkami Czerwonych Brygad, IRA i ETA, z talibami, Tutsti i Hutu oraz Serbami, Chorwatami i Bośniakami oskarżonymi o udział w mordach i czystkach etnicznych w byłej Jugosławii. Miesiącami, a nawet latami odwiedzała ich w więzieniach, pozyskując

zaufanie jednych i obojętność innych. Kilkakrotnie padła nawet ofiarą agresji. Mimo to Andrea Villasante nigdy nie przestała wgryzać się w zbrodnicze umysły, by odkryć, dlaczego człowiek przemienia się czasem w dziką bestię.

Po ukończeniu studiów na wydziale psychologii Andrea wygrała konkurs na stanowisko w hiszpańskim więziennictwie i rozpoczęła pracę z terrorystami z ETA.

Była pięćdziesięcioletnią bezdzietną starą panną i miała w życiu tylko jeden cel: poświęcić wszystkie swe siły i całą energię na rozszyfrowanie umysłów terrorystów, bez względu na to, w czyim imieniu zabijali.

Mireille podążyła za Andrea ku wskazanemu biurku. Pomyślała, że jej szefowa nie jest brzydka, ale i nie na tyle atrakcyjna, by wadzić kobietom, mężczyzn sprowadzać na złą drogę lub budzić niechęć u jednych i drugich. Była średniego wzrostu, miała krótkie kasztanowe włosy, oczy tej samej barwy, nie była ani pulchna, ani chuda i zawsze ubierała się w nienaganne ciemne kostiumy.

- Proszę usiąść, wytłumaczę pani, jak wygląda praca w naszym zespole. Potem, w przypadku jakichkolwiek wątpliwości, proszę się zwracać do Diany Parker.

Mireille siadła posłusznie zdecydowana nie zwracać na siebie uwagi. W przeciwnym razie mogłaby wypaść z gry, a to było ostatnią rzeczą, jakiej chciała.

Słuchając wyjaśnień Andrei dotyczących jej nowych zadań, nie mogła się powstrzymać i poszukała wzrokiem Matthew Lucasa. Na twarzy Amerykanina malowała się niechęć, niechęć do niej. Mireille zastanawiała się, czym sobie na nią zasłużyła, choć natychmiast stwierdziła, że jest to uczucie w pełni odwzajemnione. Ona również nie przepadała za Matthew. Zawsze traktowała nieufnie zarozumiałych pracowników amerykańskich służb wywiadowczych, czy to z CIA, czy z jakiegokolwiek innej instytucji. Zachowywali się, jakby na nich właśnie spoczywał obowiązek ratowania świata, i mieli Europejczyków za naiwnych lewicowców zasłuchanych w opinię publiczną stawiającą zawsze wolność przed bezpieczeństwem.

Westchnęła zrezygnowana. Wiele trudu kosztowało ją dotarcie aż tutaj, nie mogła więc zaprzepaścić wszystkiego z osobistych powodów.

- Głowa do góry, praca z nami to nie taka znowu tragedia.

Z zamyślenia wyrwała ją Diana Parker uśmiechając się do nowej współpracownicy. Były mniej więcej rówieśnicami. Diana wydawała się sympatyczna, w każdym razie zawsze traktowała Mireille życzliwie. Ta wiedziała, że Angielka ukończyła antropologię i również mówi po arabsku. Pomyślała, że - kto wie - może zaprzyjaźni się z tą długowłosą blondynką o niebieskich oczach. Cóż z tego, że jest prawą ręką Andrei Villasante...

8

Podróż była długa i męcząca. Z Frankfurtu udali się do Strasburga, przejechali przez Francję, w Perpignan przekroczyli Pireneje, a następnie szosą wzdłuż wybrzeża dojechali do Granady. Zajęło im to cztery dni, które Mohamedowi wydały się wiecznością, zwłaszcza że jechał z duszą na ramieniu, lękając się, że zostanie zatrzymany i aresztowany podczas pierwszej kontroli drogowej.

Ale arabska rodzina nie wzbudzała najwyraźniej podejrzeń niewiernych - dziecięce twarzyczki na tylnych siedzeniach wymazywały nieufność ze spojrzeń funkcjonariuszy.

Mimo strachu, gdy tylko przekroczył granice granadyjskiej prowincji i wciągnął w nozdrza znajomą woń kwiatu pomarańczy, cytryn i lawendy, poczuł przepelniające go szczęście. Był to zapach jego dzieciństwa. Zachował w pamięci każdy zakątek rodzinnego miasta, bo to było jego miasto, bardziej jego niż niewiernych, którzy śmieli kłaść je swą obecnością. Pewnego dnia niewierni zostaną stąd przegnani, a święta ziemia przodków powróci do swych prawowitych właścicieli. Na dobrą sprawę podbój już się rozpoczął - krok po kroku, lecz nieodwracalnie. Coraz więcej mieszkańców Granady zwracało się ku prawdziwej wierze i czciło Allacha jako jedyne Boga. Społeczność muzułmańska rosła w siłę i rozprzestrzeniała się na oczach Hiszpanów, którzy w imię tolerancji i w obawie przed oskarżeniami o prześladowanie innych narodowości i religii pozwalali się podbijać bez stawiania oporu.

Gdy dotarli do stóp dzielnicy Albaicin, w której się wychował, serce zaczęło mu bić szybciej. Tę część Granady zamieszkiwali w większości muzułmanie, dlatego niewiele różniła się ona od dzielnic po drugiej stronie Cieśniny Gibraltarskiej.

Ucieszył się na widok kobiet w chustach, wiele z nich ubranych było w tradycyjne galabije zakrywające je od szyi aż po stopy.

Aromat kwiatu pomarańczy mieszał się tu z zapachem skór obrabianych przez rzemieślników w sklepikach pnących się po wąskich i krętych uliczkach pośród białych domków z burymi dachami, otoczonych drzewkami pomarańczowymi i cyprysami.

Brama Arco de las Pesas na placu Larga przypominała świetność emiratu Granady pod panowaniem Nasrydów, podobnie jak zbiornik na wodę w dawnym meczecie na placu San Salvador.

Dotarłszy do domu rodzinnego, Mohamed nareszcie poczuł się bezpieczny. Nic złego nie groziło mu tu, gdzie przeżył tyle szczęśliwych lat, pomimo trudu, z jakim przyszło jego

ojcu utrzymać rodzinę. Udało mu się to dzięki pomocy żony. On harował na budowie, ona pracowała na godziny, sprząając domy dobrze sytuowanych mieszkańców Granady. Wtedy Albaicin był miejscem zapomnianym przez niewiernych, gdzie mieszkali tylko ci, których nie stać było na wynajęcie lokum w innym punkcie miasta.

W ostatnich latach tutejsza społeczność muzułmańska pomnożyła się i zaczęła na powrót zajmować ten zakątek miasta, który przed wiekami lśnił własnym blaskiem.

Zaparkował kilka metrów od domu. Kazał Fatimie i dzieciom zaczekać w samochodzie, a sam poszedł sprawdzić, czy kogoś zastał.

Zapukał do drzwi, najpierw delikatnie, potem mocniej; natychmiast usłyszał śpiewny głos matki:

- Idę, już idę!

Kobieta, która stanęła na progu, wydała z siebie okrzyk, w którym mieszały się lęk i radość.

- Synku! Mohamedzie! Allach mnie wysłuchał! Wróciłeś! Objęła go mocno. Wtulił głowę w szyję matki, wdychając subtelny cytrynowy zapach jej ulubionej wody toaletowej.

- Mamo, nic się nie stało, wszystko dobrze! A gdzie ojciec?

- Myśleliśmy... już myśleliśmy, że spotkało cię coś złego... Twój ojciec dopiero co wyszedł, teraz pracuje w nocy jako stróż na budowie. Jest już za stary, by chodzić po rusztowaniach. No, ale wejź, synku, wejź. Co za wspaniała niespodzianka!

- A Laila?

Matka wypuściła go z objęć, ręce opadły jej wzdłuż ciała, jakby nagle opuściły ją siły.

- Ma się dobrze, lada moment wróci. Mohamed przypomniał sobie, że Hasan ostrzegł go w związku z jego siostrą. Tylko dlaczego? Postanowił zapytać o to matkę później, najpierw musiał przedstawić jej swoją nową rodzinę.

- Mamo, ożeniłem się, mam żonę i dzieci.

- Ożeniłeś się? Kiedy? Twój ojciec będzie niezadowolony, że nie zapytałeś go o zgodę!

- Moją żoną jest najmłodsza siostra Hasana. Fatima była żoną Jusufa, który... zginął jako męczennik. Hasan uczynił mi wielki zaszczyt, oddając mi swą siostrę i przyjmując mnie do rodziny. Fatima dała Jusufowi dwoje dzieci, teraz są to moje dzieci, wasze wnuki. Zajmiesz się nimi i Fatimą...

Kobieta zajrzała synowi w oczy i zrozumiała, jak bardzo się zmienił.

Pojęła w okamgnieniu, że stracił niewinność - właśnie na tym owa zmiana polegała.

Nie był już młodym idealistą, wierzącym w lepszą przyszłość. Jego oczy zdradzały udrękę i strach, ale także determinację.

- Twoja żona będzie dla mnie jak córka, a jej dzieci jak wnuki. Mam nadzieję, że wkrótce doczekasz się własnego potomstwa, które rozjaśni mi starość. No, ale gdzie oni są?

- Czekają w samochodzie, na placyku. Już po nich idę.

Fatima zastanawiała się, jak przyjmie ją teściowa. Miała nadzieję, że jako siostra Hasana może liczyć w Granadzie na takie same względy i szacunek, jakimi cieszyła się wśród muzułmanów we Frankfurcie, nie była jednak tego do końca pewna.

Teściowa objęła ją, czule ucałowała dzieci i zaprosiła wszystkich do środka.

- Założę się, że umieracie z głodu i jesteście zmęczeni podróżą. Zaczekamy na Laile, żeby zjeść razem kolację. Tymczasem pokażę wam, gdzie możecie zostawić rzeczy. Mohamed i ty, Fatimo, zamieszkacie w jego dawnym pokoju, obok niego jest drugi, mniejszy, w sam raz dla dzieci. Dotychczas służył nam za graciarnię.

- Pokaż im dom, a ja pójdę zobaczyć się z ojcem. Gdzie jest budowa, na której pracuje?

- Lepiej zaczekaj z tym do jutra. Ojciec nie lubi, gdy zawracamy mu głowę w pracy, chyba że chodzi o sprawę niecierpiącą zwłoki.

Mohamed nie oponował, wiedział, że matka ma rację. Ojciec rzeczywiście mógł się rozzłościć, gdyby zjawił się niezapowiedzianie w jego miejscu pracy. Był człowiekiem powściągliwym i sumiennym, starał się nie zwracać na siebie uwagi.

Mohamed wypakował bagaże z samochodu i raz jeszcze pouczył dzieci, by były grzeczne:

- Mój tata - tłumaczył im - jest sprawiedliwy, ale w razie potrzeby nie waha się sięgnąć po pas. Nie znosi wrzasków i bieganiny po domu. Uważajcie, żeby niczego nie ubrudzić i nie odzywajcie się niepytane.

Wystraszone dzieci pokiwały główkami. Wyczuwały zdenerwowanie matki na widok tej starszej kobiety, mamy Mohameda, ich nowego ojca. Granada również wydawała im się dziwnym miastem, zupełnie innym niż Frankfurt, gdzie się urodziły.

Godzinę później, gdy za oknami panował już mrok, usłyszeli skrzypnięcie drzwi wejściowych, a zaraz potem szybkie kroki na kafelkach z wypalanej gliny.

Laila weszła do salonu, krzyknęła z radości i rzuciła się bratu na szyję.

- Ty tutaj! Ależ się cieszę! Dzisiaj jest wielki dzień! Dlaczego nie uprzedziłeś, że przyjeżdżasz?

Mohamed słuchał uśmiechnięty jej paplaniny, czując, jak zalewa go fala rozczulenia. Bardzo kochał swoją o trzy lata starszą siostrę, która w dzieciństwie była jego powierniczką i wybawicielką - nieraz ratowała mu skórę, gdy coś przeszkrobał i ojciec już, już miał sięgnąć po pas. Zapamiętał Lailę jako małą, dzielną buntowniczkę, gotową zawsze pomagać najsłabszym, łącznie z bezpiecznymi kotami i psami z okolicy, które przygarniała i ku rozpaczy matki i złości ojca chowała na tylnym podwórku.

Laila była drobna jak matka, miała wielkie ciemnokasztanowe oczy, czarne włosy i białą skórę. Nie była piękną, ale w jej spojrzeniu kryło się tyle mocy i determinacji, że nie sposób było jej czegokolwiek odmówić.

Mohamed zdziwił się, widząc siostrę z odkrytymi włosami, ubraną na zachodnią modłę w spódnicę i sweter, jednak nic nie powiedział - miał zbyt dobry humor, by wdawać się w kłótnię z siostrą, zresztą byli u siebie w domu, z dala od obcych spojrzeń.

Matka podała kolację w salonie i przez dłuższą chwilę gawędzili o błahostkach: Mohamed wypytywał o pracę ojca, o dawnych znajomych, o zmiany, jakie zaszły w Granadzie, o sytuację polityczną w Hiszpanii...Zajadając deser przygotowany przez matkę, zagadnął Lailę o jej studia.

- Skończyłam prawo, jestem adwokatem.

- Można się było tego spodziewać, przecież zawsze brałaś wszystkich w obronę - zażartował Mohamed.

- Łącznie z tobą - odparła Laila.

- No tak, przyznaję, że nigdy nie mogłem się skarżyć na moją starszą siostrzyczkę - stwierdził Mohamed z rozczuleniem. -

I co, pracujesz?

- Na uniwersytecie, jestem asystentką kierownika wydziału prawa międzynarodowego. Nie płacą mi kokosów, ale posada zapewnia mi utrzymanie i niezależność. Pomagam również znajomym z wydziału, którzy po studiach otworzyli kancelarię adwokacką.

- A więc jesteś panią adwokat całą gębą! - wykrzyknął Mohamed, nie posiadając się z dumy.

- Ano tak, jestem panią adwokat. - Laila uśmiechnęła się do brata.

- Widzę, że nie nosisz hidżabu.

- Nie, choć czasem zastanawiam się, czy go nie włożyć, by uspokoić niektóre kobiety, a raczej ich rodziny. Może to przełamie ich nieufność i pozwoli mi nadal je uczyć.

- Uczyć? Czego?

Zdenerwowanie matki zaniepokoiło go nie mniej niż hardy błysk, który dostrzegł w oczach siostry.

- Koranu. Modlimy się razem i dyskutujemy o prawdziwym znaczeniu Koranu. Otworzyłam niewielką medresę dla kobiet, no, na dobrą sprawę dla kobiet i mężczyzn, ale na razie przychodzą same kobiety. Muzułmański mężczyzna to wciąż typowy macho, w głowie mu się nie mieści, że kobieta może prowadzić modły i nauczać Koranu.

Mohamed spurpurowiał z wściekłości, zerwał się na równe nogi i uderzył pięścią w stół, strącając dzbanek z wodą.

- Nie możesz! To profanacja! Laila patrzyła na niego z kamienną twarzą, nic sobie nie robiąc z gwałtownej reakcji brata.

- Ach tak? Niby kto tak powiedział? Gdzie napisano, że nie mogę uczyć Koranu i przewodzić modłom? Wskaż mi ust w Koranie, który tego zakazuje.

Spojrzał na nią zdruzgotany. Dogłębnie przestudiował świętą księgę islamu, gdy dzięki Hasanowi wyjechał do Pakistanu, by jako przykładowy muzułmanin wstąpić do armii Allacha. Jego siostra bluźniła, usurpując sobie stanowisko zakazane niewiastom.

- Jesteś kobietą...

- Wiem o tym. Tak, jestem kobietą i jestem z tego dumna, nie ma nic bezbożnego w byciu kobietą. Jestem kobietą i Allah obdarzył mnie taką samą inteligencją jak wielu mężczyzn, może nawet większą. Jestem przykładową muzułmanką, od lat studiuje Koran. Wiem, że mogę uczyć i przewodzić modłom. Wiem, że nie ma nic złego w byciu kobietą i że nie jestem od ciebie ani gorsza, ani lepsza.

- Rozum ci odjęło! - wrzasnął Mohamed, nie bacząc na przerażone spojrzenia matki i żony.

- To samo mówi tata - stwierdziła Laila, nie podnosząc głosu. - Ja jednak myślę, że to wy jesteście w błędzie. Albo islam dostosuje się do wymogów dwudziestego pierwszego wieku, albo przegramy.

- Przegramy? Niby kto?

- My, muzułmanie. Nie możemy dłużej żyć zapatrzeni w przeszłość, bo świat zmienia się nieodwracalnie z sekundy na sekundę. Inne religie też musiały się z tym pogodzić, aczkolwiek niechętnie. Liczy się duch, nie litera. Tak, Bóg istnieje, bez niego życie nie miałyby sensu. Od zarania dziejów ludzie instynktownie wyczuwali jego obecność, interpretując go po swojemu, a nawet posługując się nim w imię swych doczesnych interesów. Ważne jest nie tyle zapewnienie Mahometa, że objawił mu się archanioł Dżibril, ile fakt, że Prorok zjednoczył Arabów i wskazał nam właściwą drogę, ucząc, że istnieje jeden

Bóg i że powinniśmy odrzucić pogańskie bóstwa przejęte od innych ludów. Mahomet zrozumiał Boga na swój sposób, podobnie jak chrześcijanie zrozumieli go po swojemu, a żydzi po swojemu. Interpretujemy Boga w kontekście naszej kultury i miejsca, gdzie przyszliśmy na świat i gdzie się wychowaliśmy, ale to ciągle jeden i ten sam Bóg. A już największym bestialstwem jest mordowanie w jego imieniu.

Ostatnie słowa zaboląły Mohameda jak pchnięcie nożem. Jego rodzona siostra go potępia. Jak śmie! Ojciec zwykł mawiać, że ta dziewczucha napyta im biedy, i miał rację. Laila przemieniła się w bluźniącego potwora.

- Wystarczy, Lailo! - matka przerwała kłótnię między rodzeństwem. - Idź do swojego pokoju i odpocznij. Kiedy indziej Porozmawiasz z Mohamedem o... o tym wszystkim. - Dlaczego pozwoliliście, by moja siostra zeszła na złą drogę?! - krzyknął Mohamed.

- Jak śmiesz mnie obrażać? Nie masz pojęcia o świecie! Jesteś pożałowania godną istotą, która nie potrafi samodzielnie myśleć. Czego się tak bardzo obawiasz? Prawdy?

- Prawdy? Jakiej prawdy?! Twojej? Depczesz świętą naukę Proroka! Jak możesz!

- Nawet w Iranie, w Qom, działa żeńska medresa prowadzona przez kobietę mudztahida.

- Natychmiast przestańcie! Obydwoje! - znów upomniała ich matka. - Co sobie o nas pomyśli Fatima? Uzna, że powariowaliśmy...

- Może pomyśleć tylko jedno: że moja siostra bluźni, a rodzice jej na to pozwalają - zżymał się Mohamed.

Fatima spuściła głowę, zmieszana, bojąc się zabrać głos. Była zgorziona zachowaniem Laili, a jednocześnie ją podziwiała. Widziała w niej kobietę odważną, a co gorsza - niech Allah jej przebaczy! - spodobały jej się słowa szwagierki. Och, gdyby tak mogła pójść do jej medresy i posłuchać, co mówi... Ale nie, nie pójdzie, Mohamed nigdy jej na to nie pozwoli.

- Uprzedzano mnie we Frankfurcie, jeśli chodzi o ciebie, teraz rozumiem dlaczego.

- We Frankfurcie?

Drżenie w głosie matki uświadomiło Mohamedowi, że wyraził głośno swe myśli. Tak, Hasan wspomniał mu we Frankfurcie o jego siostrze, nalegał, by się nią zajął i uporządkował sprawy w rodzinie, bo inaczej do akcji wkroczy wspólnota.

- Proszę, proszę, nie sądziłam, że jestem taka sławna! - zaczęła ironizować Laila.

- Porozmawiam o wszystkim z ojcem. Ale wiedz, że musisz z tym skończyć. Szkodzisz nie tylko sobie, możesz ściągnąć nieszczęście na całą naszą rodzinę.

- Nie masz nade mną władzy, nie możesz mi rozkazywać. Jestem wolnym człowiekiem, wbij to sobie do głowy.

- Wolnym człowiekiem! Co niby przez to rozumiesz? Jesteś winna posłuszeństwo ojcu i mnie, swojemu bratu! Twój honor to nasz honor.

- Mój honor, jak sam powiedziałaś, jest mój i tylko mój, nie może dotyczyć nikogo innego. Dzieci nie płacą za błędy rodziców ani rodzice za błędy dzieci. W obliczu prawa każdy jest odpowiedzialny za własne czyny. A jeśli chodzi o posłuszeństwo... przykro mi, że cię zawiodę, ale nie jestem winna posłuszeństwa ani tobie, ani nikomu. Szanuję tatę, jego przekonania, kulturę i tradycje, nie oznacza to jednak, że muszę przyjmować je jako własne. Kocham rodziców, kocham również ciebie, ale jestem pełnoletnia i staram się żyć zgodnie z własnym sumieniem.

- Niech Allah wybawi nas od tego obłędu! Dlaczego spotkało to właśnie nas? Co za nieszczęście dla rodziny!

Laila wstała i spojrzała na brata ze współczuciem. Chciała pogłaskać go po włosach, ale powstrzymała się. Wiedziała, że odrzuciłby taki gest siostrzanej miłości.

- Wiesz co, Mohamedzie? To ja ubolewam, że tak bardzo się zmieniłeś. Myślałam... cóż, inaczej sobie ciebie wyobrażałam, myślałam, że czegoś się nauczyłeś, nie tylko podczas dzieciństwa spędzonego tu, w Granadzie, ale również we Frankfurcie, choć przestraszyłam się na wieść, że pojechałeś do Pakistanu studiować w medresie. Modliłam się, żebyś się tam nie zatracił i żeby cię nie stracić, miałam nadzieję... o, ja naiwna!... że nie dasz sobie zrobić prania mózgu. Teraz widzę, co oni tam z tobą zrobili, i wierz mi, serce mi się kraje.

- Lailo, daj spokój, idź lepiej spać - nalegała matka.

- Nie, wychodzę. Jest piątek i umówiłam się z koleżankami. Nie wrócę późno.

Mohamed spojrzał na siostrę, potem na matkę, nie wiedząc, co powiedzieć. Kłótnia go wyczerpała. Czuł się wewnętrznie rozdarty. Był czerwony na twarzy i szyi. Jego zegarek wskazywał jedenastą w nocy, jego siostra, jeśli dobrze zrozumiał, przygotowywała się do wyjścia, a jego matka spokojnie na to patrzyła. Jak to możliwe?

Starsza kobieta najwyraźniej czytała w myślach syna, bo uniosła rękę, jakby prosząc, by się uspokoił.

- Twoja siostra może wychodzić, kiedy chce. Nigdy nie wraca późno, jest roztropna, mamy do niej zaufanie.

- Moja siostra włóczy się sama po nocach? Czy to przystoi przyzwoitej kobiecie? A ty przymykasz na to oko? A ojciec? Co na to ojciec? Dlaczego jej na to pozwala? Powinien ją zabić.

- Milcz! Co ty wygadujesz? Przecież to twoja siostra!

- To ladacznica!

- Milcz! Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Myślisz, że gdzie my żyjemy? To Hiszpania, zapomniałeś? A ty przyjechałeś z Frankfurtu. Czyżby tamtejsze kobiety były inne? To nie nasza marokańska wioska, przecież wiesz. Tutaj kobiety mają swoje prawa, zaczynają je mieć nawet tam, w Maroku. Twoja siostra... twoja siostra ma rację w niektórych sprawach. Świat się zmienia...

- Matko! Czy i tobie rozum odjęło?

Gdy Mohamed znów grzotnął pięścią w stół, dzieci wybuchły płaczem. Do tej pory siedziały cichutko, bojąc się zwracać na siebie uwagę, ale napięcie było ponad ich siły, nie mogły dłużej wytrzymać. Fatima próbowała je uspokoić, bojąc się reakcji męża. Jednak Mohamed polecił jej tylko zabrać dzieci i ułożyć je do snu.

Fatima wstała pospiesznie od stołu, wzięła dzieci na ręce i wybiegła z salonu, bojąc się, że mąż zmieni zdanie i wyładuje złość na jej plecach. Nie byłby to pierwszy mężczyzna odreagowujący frustrację na żonie i dzieciach.

W salonie zostali tylko Mohamed i jego matka, która nie spuściła wzroku i wytrzymała gniewne spojrzenie syna, wiedząc, że ten nie odważy się jej uchybić.

- Zostaw mnie samego - usłyszała.

- Najpierw sprzątnę ze stołu. Powinieneś odpocząć i pozbierać myśli. Jestem niewykształconą kobietą, ale widzę, że cię odmieniono, choć nie wiem, czy w Pakistanie, czy we Frankfurcie, kto ani dlaczego. W każdym razie czytam w twoich oczach nieszczęście.

- Zamilcz, matko, i zostaw mnie w spokoju!

Kobieta nie nalegała. Wyszła z salonu, a po chwili wróciła z dużą tacą, na której zaczęła starannie układać brudne talerze i sztućce. Mohamed zachowywał się, jakby go nie było, zatonął w rozmyślaniach, jednak matka potrafiła wyczytać w twarzy syna konsternację i cierpienie. Nagle przebiegł ją dreszcz i ogarnęło przeczucie, że jego powrót sprowadzi na nich wielką tragedię.

9

Laila szła pospiesznie stromymi uliczkami Albaicin. Umówiła się z dwiema koleżankami z kancelarii adwokackiej w centrum Granady, w pubie Generalife - ulubionym miejscu spotkań granadyjskiej młodzieży, która wiedziała, że natknie się tam, zwłaszcza w weekendy, na wielu znajomych i przyjaciół.

Gdy stanęła w progu, Paula pomachała do niej na powitanie.

- Spóźniłaś się - zbesztala ją.

- Wiem, ale przyjechał mój brat. Bardzo dawno się nie widzieliśmy. Przecież wiecie, że mieszka w Niemczech.

- Mohamed? Nie zaglądał do Granady od wieków. Nadal jest taki przystojny? - zapytała Carmen.

- Nadal - rzuciła niechętnie Laila.

- Był z niego niezły przystojniak i podrywacz jakich mało - drażyła temat Carmen.

- No właśnie, był. Bo teraz ma żonę i dwoje dzieci.

- Ożenił się! Kiedy? - wykrzyknęła Paula.

- Całkiem niedawno.

- No a dzieci? - zagadnęła ciekawska Carmen.

- To dzieci z pierwszego małżeństwa jego żony.

- Ale obciach! - parsknęła Carmen.

Dlaczego? - Laila najchętniej zmieniałaby temat, ale nie chciała być niegrzeczna dla dwóch najlepszych przyjaciółek.

- Przecież twój brat jest młodszy od nas, i to o jakieś dwa, trzy lata, a więc ma teraz trzydziestkę. W takim wieku chajtnąć się i wziąć sobie na głowę dwójkę dzieci... To dopiero... Skończył studia?

- Tak, pewnie pamiętasz, że studiował turystykę i wyjechał do Frankfurtu podszlifować niemiecki. Mamy tam rodzinę. No, ale... jesteście już po kolacji?

- Tak - odparła Paula. - Przekąśliłyśmy coś na mieście. A tak w ogóle, dzwonił Alberto, ma tu wpaść z Javierem, pewnie przyjdą lada moment.

Laila zamówiła tonik i w zamyśleniu sięgnęła po leżące na stoliku pudełko papierosów.

- Myślałam, że rzuciłaś palenie - zdziwiła się Paula.

- Tak, ale... jestem dzisiaj trochę podenerwowana, zresztą nie skończyłam tak zupełnie z nałogiem, od czasu do czasu pozwalam sobie na dymka...

Carmen zaczęła szczegółowo opowiadać o popołudniowym spotkaniu z nowym klientem, który był w trakcie separacji z żoną. Laila z ulgą wdała się w ożywioną rozmowę z przyjaciółkami - chciała choć na chwilę zapomnieć o kłótni z bratem.

Carmen i Paula były nie tylko jej najlepszymi przyjaciółkami, ale również pracodawczyniami: zatrudniły ją w kancelarii, którą założyły razem z Javierem.

Poznała je na wydziale. Carmen i Paula uczyły się w szkole prowadzonej przez zakonnice, Laila skończyła szkołę publiczną. Na uniwersytecie na początku patrzono na nią jak na raroga, lecz Laila szybko udowodniła, że jest nie tylko inteligentna i zasługuje na najwyższe oceny, ale również jest dobrą, zawsze gotową do pomocy koleżanką.

Rówieśnicy nieprędko ją zaakceptowali, przede wszystkim dlatego, że ojciec nie pozwalał jej uczestniczyć w lekcjach wuefu, a nawet zmuszał ją do noszenia w szkole hidżabu. Aż w końcu się zbuntowała. Nie powiedziała nic, by nie urazić ojca, ale kilka kroków od domu ściągała z głowy chustę. Namówiła też mamę, by kupiła jej taki sam dres, jaki nosiły jej koleżanki z klasy. Matka przystała na jej prośbę i przyrzekły sobie, że utrzymają sprawę w tajemnicy, by nie zawstydzać ojca.

Jednak Laili bardzo doskwierała świadomość, że oszukuje własnego tatę. Obawiała się jego reakcji, gdyby dowiedział się, że mama jest z nią w zмовie, nie dlatego, by miał podnieść rękę na żonę - Laila wiedziała, że nigdy by tego nie zrobił - ale z powodu bólu, jaki sprawiłoby mu to oszustwo. Dlatego zaraz po skończeniu osiemnastu lat i tuż przed podjęciem studiów na wydziale prawa postanowiła porozmawiać z ojcem i wyjaśnić mu, że nie będzie już nosiła hidżabu, że czuje się Hiszpanką - tylko i wyłącznie Hiszpanką - i że przy pierwszej okazji zamierza wystąpić o hiszpańskie obywatelstwo.

Ojciec zaczął pomstować i ubolewać, że niebo pokarało go tak wyrodną córką, potem zagroził, że wyśle ją do Maroka i wyda za mąż za jakiegoś porządnego faceta, który wybije jej z głowy wszystkie fanaberie. Mohamed przysłuchiwał się awanturze na wpół wystraszony, na wpół skonsternowany. W głębi duszy przyznawał ojcu rację, choć uwielbiał siostrę i serce krajało mu się na myśl o jej wyjeździe.

Zresztą w owych czasach Mohamed miał w głowie mętlik i nie bardzo potrafił odróżnić dobro od zła. Chodził do tej samej szkoły co Laila, po lekcjach spotykał się z rówieśnikami i do głowy by mu nie przyszło traktować dziewczęta inaczej niż kolegów, chociażby dlatego, że one same by mu na to nie pozwoliły. Zresztą dyrektorka szkoły natychmiast ukrociłaby takie zapędy. Donia Piedad była feministką i piętnowała wszelkie przejawy dyskryminacji. To właśnie ona przekonała matkę Laili, by pozwoliła córce pójść do liceum, i wystarała się o stypendium umożliwiające jej wstąpienie na uniwersytet.

Mohamed czuł nabożny szacunek do pani dyrektor, która samą swą obecnością potrafiła uciszyć całą klasę, mimo że nigdy nie podnosiła głosu - była uosobieniem władzy.

Ostatecznie Laila postawiła na swoim. Już nie musiała kryć się przed ojcem, gdy wychodziła z domu z odkrytą głową. Jej rodziciel, chcąc nie chcąc, musiał pogodzić się z nową sytuacją. Laila zaczęła się ubierać jak jej rówieśnice, choć starała się nie prowokować

swym wyglądem - nigdy nie nosiła spódnic powyżej kolan, modnych wtedy obcisłych bluzek ani dekoltów. Wiedziała, że wygrała ważną potyczkę, nie chciała jednak, by ojciec czuł się doszczętnie pokonany, a zwłaszcza by, zażenowany, spuszczał na jej widok wzrok.

Gdy Alberto i Javier stanęli w progu pubu, Paula pomachała do nich.

Alberto miał sklep ze sprzętem informatycznym na rogu ulicy, gdzie znajdowała się kancelaria adwokacka, natomiast Javier był kuzynem Carmen, kolegą z roku trzech dziewcząt i ich współnikiem, znawcą prawa handlowego, gdy tymczasem Paula i Carmen specjalizowały się w prawie rodzinnym.

- Jadłyście już kolację? - zapytał Javier.

- Tak, przekąśliłyśmy coś na mieście, a wy? - odparła Carmen.- Jesteśmy głodni, ale jeśli wy już jadłyście, zamówimy coś tutaj, a potem zmienimy lokal. Lailo, co ci jest?

Pytanie Javiera wyrwało ją z zamyślenia. Nie mogła przestać myśleć o awanturze z bratem i prawie nie zwracała uwagi na swoich znajomych.

- Jest nie w sosie - wyjaśniła Paula. - Choć powinna się cieszyć, bo przyjechał jej brat. No, kobieto, rozchmurz się!

- Nic mi nie jest, to tylko przemęczenie.

- Pewnie, harujesz jak wół, ucząc religii te kobiety... - zbesztala ją Paula.

- No, dajcie biedaczce spokój - zabrała głos Carmen. - Każdy może mieć zły dzień. Wam nigdy się to nie zdarza?

- A jak tam twoja szkoła? - zainteresował się Alberto.

- Dobrze, przychodzi coraz więcej kobiet, jest nas już piętnaście. To całkiem niezły wynik. Wierzę, że będzie nas jeszcze więcej, choć z początku nie liczyłam nawet na tyle.

- Dziś znowu natknęłam się na tego sukinkota - oznajmiła Carmen. - Tego, co wystaje pod kancelarią i obrzuca wyzwiskami twoje uczennice. Nie wspomniałam ci, że postraszyłam go policją i wziął dupę w troki. Co za gnida!

Laila przygryzła wargę. Paula i Carmen nie tylko zatrudniły ją u siebie w kancelarii, ale również odstąpiły jej pomieszczenie na medresę. Tam właśnie spotykała się z muzułmańskimi kobietami, by rozmawiać o Koranie. Modliły się razem i uczyły, poza tym Laila pomagała im w miarę możliwości, świadoma ich problemów rodzinnych. Niektóre, mimo bardzo młodego wieku, były w poważnym konflikcie z rodzicami, broniąc swoich praw i wolności. Nie chciały nosić chusty, pragnęły wzorem swych koleżanek i kolegów spędzać wolne wieczory z rówieśnikami, nauczono w szkole, że wszyscy ludzie są równi, a konstytucja hiszpańska zabrania dyskryminowania kogokolwiek z powodu wyznania lub płci. Cierpiały na rozdwojenie jaźni, będąc kimś zupełnie innym w szkole i w domu, rozpaczliwie

szukały równowagi pomiędzy dwoma światami, które zdawały się nieuchronnie skazane na konfrontację.

Na dodatek miesiąc wcześniej zaczął je niespodziewanie napastować młody muzułmanin. Wystawał na ulicy, naprzeciwko budynku, w którym znajdowała się kancelaria, mieszał je z błotem i nawoływał, by wracały do domu.

Gdy Javier i Alberto powiedzieli mu coś do słuchu, zagroził im, że drogo zapłacą za zadawanie się z tymi kobietami, na szczęście skończyło się tylko na groźbach.

- W końcu będziemy musieli rzeczywiście wezwać policję - stwierdził Javier - bo być może mamy do czynienia z maniakiem.

- Na pewno, tylko maniak może dręczyć grupkę kobiet spotykających się na modlitwie - zauważył Alberto.

- To muzułmański fanatyk. Nie wiem tylko, jak daleko jest skłonny się posunąć.

Wszyscy czworo spojrzeli zaskoczeni na Lailę. Wyraziła ich własne obawy, które lękali się ubrać w słowa, by jej nie urazić.

- Tym bardziej powinniśmy powiedzieć o wszystkim policji - nalegał Javier. - Może w ten sposób dowiemy się, kto to taki i o co mu chodzi.

- Ja wiem, kto to taki - wyznała Laila.

- Znasz go? Dlaczego nic nie mówiłaś? - zapytała Carmen.

- Nie znam jego nazwiska, ale widuję go w Albaicin w towarzystwie typów, którzy... no, bandy fanatyków.

- W takim razie musimy mieć się na baczności - stwierdziła z niepokojem Paula. - Mogą napytać nam biedy.

- Chyba powinnam rozejrzeć się za innym lokalem na medresę. Tylko w ten sposób dadzą wam spokój.

- Co za głupstwa pleciesz! - ofuknął Lailę Javier.

- Nie, to nie głupstwa. Byliście dla mnie bardzo dobrzy, ale nie chcę, żebyście mieli przeze mnie problemy. Ta sprawa nie ma z wami nic wspólnego, więc lepiej wynajmę jakiś tani lokal i przeniosę tam swoją szkołę.

- Mowy nie ma! - wykrzyknęła Paula. - Nie opuścimy cię w potrzebie. Jeśli to niebezpieczny fanatyk, niech go aresztują, przecież ty nic złego nie robisz. Ten gnojek chce was zastraszyć.

- Chyba powinnaś z kimś o tym porozmawiać i dowiedzieć się, czy ten świr jest rzeczywiście niebezpieczny, czy tylko udaje - tłumaczył Alberto.

- Mój ojciec zna jednego z miejscowych radnych, może go zapytać, co się robi w podobnych wypadkach - stwierdziła Paula.

- Dobrze, zapomnijmy o tym kretynie i chodźmy na drinka, by uczcić koniec ciężkiego tygodnia.

Postanowili pójść za radą Javiera i zapomnieć na chwilę o problemie. Laila, mimo dręczącego ją niepokoju, zgodziła się im towarzyszyć, by nie myśleć o kłótni z bratem.

10

Darwish, wyraźnie zmęczony, otworzył drzwi domu. Przepracował całą noc, pilnując placu budowy. Choć w jego wieku było to lepsze niż łażenie po rusztowaniach, i tak czuł się wykończony.

Ruszył do kuchni przekonany, że zobaczy tam żonę krzątającą się przy śniadaniu. Laila pewnie spała, przecież była sobota, a córka w weekendy nie pracowała, zresztą i on miał przed sobą dwa dni wolne.

W kuchni zastał żonę przygotowującą kawę, była zamyślona, nawet nie zauważyła, że wszedł.

- Cześć, kobieto! - powitał ją.

Odwróciła się nerwowo, w jej oczach Darwish wyczytał lęk.

- Co się dzieje? - spytał wystraszony.

- Nic, nic takiego. Przyjechał Mohamed. Z żoną i dziećmi. Teraz śpi, ale mogę go zawołać...

- Mohamed? Nasz syn? Ale... kiedy?

- Wczoraj wieczorem. Ożenił się z siostrą Hasana, żoną Jusufa... Zresztą sam ci o wszystkim opowie.

- Co ty pleciesz, kobieto? Nic z tego nie rozumiem, mów jaśniej.

- Jusuf nie żyje. Podobno... no, Mohamed ci wszystko wyjaśni. Chodzi o to, że nasz syn poślubił wdowę po swym kuzynie i teraz mamy dwoje wnuków.

Darwish obserwował żonę zdziwiony jej zdenerwowaniem i widocznym brakiem radości z powrotu syna. Mówiła o nim jak o nieznanym.

- Co się dzieje, kobieto?

- Nic, co się ma dziać?

- Padam z nóg, chce mi się spać, wracam do domu, a ty mi oznajmiasz, że wrócił nasz syn, i mówisz to, jakby spotkało nas jakieś nieszczęście. Dlaczego? Aż tak bardzo ci nie w

smak jego ożenek? Owszem, powinien poprosić mnie o zgodę, ale skoro to siostra Hasana... Dla nas to prawdziwy zaszczyt, Mohamed na pewno wyjaśni nam, dlaczego nas nie powiadomił.

- Tak, masz rację. Jesteś głodny?

- Trochę, choć jestem bardziej zmęczony niż głodny. Napiję się mleka, zjem coś słodkiego i pójdę się przespać. Obudź mnie, gdy tylko Mohamed wstanie. A Laila?

- Śpi.

- Widziała brata?

- Tak, wczoraj wieczorem.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Zachowanie żony zaczynało irytować Darwisha. Nie potrafił wytłumaczyć sobie jej przygnębienia, nerwowych ruchów ani nieobecnego spojrzenia. Była dobrą żoną i przykładną matką, nie bez poświęceń wychowała dwójkę dzieci. Również ona ciężko pracowała, sprzątając domy dobrze sytuowanych granadyjczyków, by zasilić domowy budżet i zapewnić dzieciom wyższe wykształcenie.

Darwish usiadł i westchnął. Lepiej porozmawia z Mohamedem i pozna jego nową rodzinę. Był zbyt wyczerpany, by zwracać uwagę na humory żony.

Ocknął się dopiero o drugiej po południu. Choć był tak zmęczony, że z trudem uniósł powieki, żona nalegała, by wstał, przypominając, że przyjechał jego syn.

- Daj mi kilka minut, muszę się ogarnąć. Gdzie Mohamed?

- Wszyscy są w salonie, czas na obiad.

- Dlaczego nie obudziłaś mnie wcześniej?

- Mohamed prosił, bym pozwoliła ci odpocząć...

- A Laila?

- Wyszła z samego rana, pewnie lada moment wróci.

- Dobrze, zjemy rodzinny obiad. Mam nadzieję, że upichciłaś coś wyjątkowego na tę okazję, ostatni raz widzieliśmy Mohameda dwa lata temu.

- Zrobiłam baraninę z kuskusem, wiem, że to wasza ulubiona potrawa.

Gdy Darwish wszedł do salonu, Mohamed wziął go w objęcia, zanim ojciec zdążył na niego spojrzeć. Fatima i dzieci stali w kącie, obserwując całą scenę.

Darwish powitał syna i jego nową rodzinę, uściskał dzieci, próbując oswoić się z myślą, że to jego wnuki i że będzie musiał tak je traktować.

Spytał o Lailę. Jego żona, wyraźnie podenerwowana, wyjaśniła, że jeszcze nie wróciła.

- Zaczekamy, na pewno zaraz tu będzie. Sobota jest jednym z niewielu dni, kiedy twoja siostra nie pracuje, więc zawsze jemy razem obiad.

- Właśnie o mojej siostrze powinniśmy porozmawiać - oznajmił Mohamed obserwowany z niepokojem przez matkę.

- O Laili? Dlaczego? - zapytał Darwish, domyślając się odpowiedzi.

- Nie nosi hidżabu, a z tego, co od niej słyszałem, otworzyła szkołę, w której naucza Koranu. Wstyd mi za nią.

- Wstyd? Twoja siostra nie robi nic, czego mógłbyś się wstydzić - stwierdził Darwish.

- Jest trochę impulsywna, ale to przykładna muzułmanka i nigdy nie zeszła z drogi wyznaczonej przez Koran... Ale o Laili porozmawiamy później, teraz, synu, opowiadaj o sobie, o... twojej żonie i dzieciach, no i mów, co słysząc we Frankfurcie. Powinnaś wiedzieć, Fatimo, że uważamy twojego brata Hasana za naszego duchowego przewodnika, i to dla nas prawdziwy zaszczyt, że dzięki tobie nasze rodziny się połączyły.

Mohamed wolał porozmawiać z ojcem w cztery oczy, dlatego odesłał żonę i dzieci do kuchni, by pomogły matce. Gdy zostali sami, usiedli naprzeciwko siebie i Mohamed szczegółowo opowiedział ojcu, co wydarzyło się we Frankfurcie.

Dla Darwisha każde słowo syna było niczym cięcie sztyletem. Solidaryzowanie się z poglądami Stowarzyszenia, ochrona jego członków, marzenie o tym, że pewnego dnia islam stanie się jedyną religią i chrześcijanie, chcąc nie chcąc, będą musieli się nawrócić (w Granadzie rzeczywiście coraz więcej Hiszpanów porzucało wiarę ojców i przechodziło na islam) to jedno, ale przecież Mohamed wyznał mu właśnie, że został mudżahedinem - świętym wojownikiem gotowym zabijać i umierać za Allacha - a co najbardziej zaskakujące, że uczestniczył w zamachu we frankfurckim kinie, w którym zginęło trzydzieści osób, i że był w apartamencie we Frankfurcie, gdzie grupka mudżahedinów poniosła męczeńską śmierć, nie chcąc dostać się w ręce policji. Wiedział, że w apartamencie zginął Jusuf, nie przypuszczał jednak, że również jego syn miał coś wspólnego z zamachem. Najwyraźniej tylko Mohamedowi udało się ująć z życiem, a wcześniej podrzeć i spalić kompromitujące dokumenty.

Darwish spoglądał na syna z niedowierzaniem, widząc, że nie może się doczekać jego pochwały. Czuł się jednak zdruzgotany. Jego rodzony syn przyłożył rękę do tej potwornej rzezi - przecież Darwish widział w telewizji ludzkie szczątki, również maleńkich dzieci, wynoszone z sali kinowej. Próbował sobie wytłumaczyć, że w Iraku dzień w dzień giną dzieci, a w Palestynie armia izraelska co rusz strzela do niewinnych cywilów. Wmawiał sobie, że przecież toczy się wojna, a na wojnie zabija się i ginie, i że nie może pozwolić sobie

na uczucie litości wyzwalające słabość. Ale mimo to czuł mdłości, gdy patrzył na Mohameda - nie potrafił rozpoznać w nim własnego syna. A przecież on sam przyłożył rękę do tej przemiany, zgadzając się na jego wyjazd do Frankfurtu, pod opiekuńcze skrzydła Hasana, a potem do Pakistanu, mimo że wiedział, iż z podróży tej jego syn powróci odmieniony. Teraz jednak Darwish musiał spojrzeć prawdzie w oczy - była to bardzo gorzka prawda.

- Dlaczego wybraliście akurat kino? Tam były kobiety i dzieci... - odważył się zauważyć.

- To byli wrogowie, dlatego musieli zginąć. Myślisz, że te kobiety nie cieszyły się, widząc, jak ginie w Iraku lub w Palestynie? A ich dzieci to niedoszli wojownicy, gdyby podrosły, stanęłyby do walki z nami. Ojciec, mam nadzieję, że nie osłabłeś w wierze...

- Synu!

- Nie patrz na nich jak na kobiety i dzieci, ale jak na wrogów, których musimy zniszczyć. Łatwo zabijać, jeśli wiesz, dlaczego to robisz.

- A ty? Dlaczego zabijasz?

Mohamed i jego ojciec nie zauważyli, że Laila od kilku minut stoi w progu, przysłuchując się wywodom brata. Jego opowieść wycisnęła łzy z najgłębszych zakamarków jej duszy. Nie poznawała w tym mordercy brata, który zasiadał za stołem w jej własnym domu i rozmawiał z jej ojcem.

- Laila! - krzyknął Darwish, zrywając się. - Natychmiast stąd wyjdź! To rozmowa dla mężczyzn.

- Dla mężczyzn? To, co mówi Mohamed, jest potworne! Jak mogłeś coś takiego zrobić?! Jak mogłeś...?! - krzyczała Laila z oczami pełnymi łez. - Wyjdź! - rozkazał jej wściekle brat. - Wyjdź, zanim cię zatłukę, nieszczęsna. I zakryj głowę, chyba że wolisz, bym ci w tym pomógł.

- Tylko spróbuj! Tylko spróbuj! - wrzasnęła Laila. Matka i Fatima wbiegły do salonu zaalarmowane krzykami.

Laila wtuliła się w ramiona matki i załkała:

- To morderca! To on zabił tych biednych ludzi w kinie we Frankfurcie... O Miłosierny! Dlaczego do tego dopuściłeś?

Fatima spuściła głowę na wpół zawstydzona, na wpół przestraszona. Wiedziała, że Mohamed uczestniczył w zamachu razem z Jusufem, jej pierwszym mężem, jednak do tej pory czyniło to z nich w jej oczach bohaterów, jako że jej spojrzenie na rzeczywistość pokrywało się z poglądami brata Hasana i znanych jej członków muzułmańskiej wspólnoty. Jednak teraz łzy Laili ścisnęły ją za serce, rodząc w nim zwątpienie.

Laila wybiegła z salonu i z płaczem zamknęła się w swoim pokoju. Jej matka zaczęła dobijać się do drzwi, błagając, by ją wpuściła. Darwish i Mohamed nie ruszyli się z miejsc, natomiast Fatima z dziećmi schroniła się w kuchni, z lękiem myśląc o tym, co teraz będzie.

Dwaj mężczyźni zjedli sami obiad i kontynuowali rozmowę aż do późnego popołudnia, kiedy Darwish udał się do pokoju Laili i rozkazał jej natychmiast wyjść.

Gdy Laila otworzyła drzwi, jej zapuchnięte od płaczu oczy były prawie niewidoczne.

- Przemyj twarz i chodź do salonu, musimy porozmawiać - rozkazał ojciec.

Laila potulnie poszła do łazienki i obmyła twarz zimną wodą, próbując zdusić nową falę łez zalewającej policzki. Gdy w końcu stanęła w salonie przed oczekującymi na nią ojcem i bratem, była wyczerpana i upokorzona.

- Wysłuchasz mnie i zrobisz, co każę, bo w przeciwnym razie ściągniesz nieszczęście na nasz dom - zaczął mówić Darwish, ale Laila nawet nie odpowiedziała, tylko spuściła głowę. - Toczy się wojna, mimo że nie chcesz przyjąć tego do wiadomości. Najwyższy czas, byśmy zaczęli się bronić i zemścili się za wszystkie zniewagi i poniżenia, które wycierpieliśmy od chrześcijan przez ostatnie wieki. Wypchnęli nas z naszego terytorium, rabowali, pogardzali nami i próbowali nas stłamsić; wielu naszych przywódców dało się zdeprawować Zachodowi. Allah postanowił jednak z tym skończyć i natchnął kilku świętych mężów do stanięcia na czele nowej wspólnoty wierzących, której członkowie, ludzie czystego serca, mają złożyć w ofierze swe życie, aby flaga islamu na powrót załopotą po krańce ziemskiego globu.

- Mordując niewinnych ludzi? - odważyła się zapytać Laila ledwie słyszalnym głosem.

- Nic nie rozumiesz! - wrzasnął wściekle ojciec.

- Nie, nie rozumiem. Nie rozumiem fanatyzmu. Nie rozumiem, dlaczego muzułmanie nie mogą żyć w zgodzie z chrześcijanami. Nie rozumiem, dlaczego ludzie upierają się, by z różnic uczynić przepaść nie do przebycia. Nie rozumiem, bo nie wierzę, by Allah różnił się od Boga chrześcijan czy żydów...

Laila nie dokończyła, bo Mohamed zerwał się niczym huragan i wymierzył jej siarczysty policzek, który prawie zwałił ją z nóg.

- Błuzni! - wrzasnął, pięścią wymierzając cios w twarz siostry.

Ojciec stanął między nimi, nie chcąc, by Mohamed ponownie uderzył Lailę. Czuł się bezsilny.

Jego żona znów wpadła do salonu i zaczęła krzyczeć na widok córki z zakrwawioną twarzą, rozciętą wargą i sinym okiem podbitym przez brata.

- Niech Allah nam przebaczy! Co wy wyprawiacie? - krzyczała wystraszona, tuląc Lailę.

- To wasza wina! - krzyczał Mohamed do rodziców. - Nie powinniście byli jej na wszystko pozwalać. To ty, matko, oszukiwałaś ojca, ukrywając przed nim przewinienia Laili, ty jesteś wszystkiemu winna!

Kobieta spuściła głowę przerażona. Nie poznawała syna w tym młodym człowieku miotanym atakiem furii, który pokrzykiwał na nią groźnie, nie miała jednak odwagi odpowiedzieć na jego zarzuty, nawet nie próbowała się bronić, wiedząc, że słowa mogą tylko spotęgować gniew Mohameda. Zresztą nie była też pewna reakcji męża. Był poczciwym mężczyzną, który nigdy nie podniósł ręki ani na nią, ani na córkę, teraz jednak widziała w jego oczach jakiś niezwykły, trudny do wytłumaczenia błysk. Tuląc w ramionach Lailę i walcząc ze łzami, powiedziała sobie w duchu, że jeśli Mohamed ponownie zamachnie się na siostrę, pozostanie jej tylko osłonić ją własnym ciałem.

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność, wreszcie mąż zwrócił się do niej:

- Wyprowadź Lailę i niech nie opuszcza pokoju bez mojego pozwolenia. Mohamed ma rację, trzeba nauczyć ją posłuszeństwa.

Z trudem podniosła córkę i wyprowadziła ją z salonu. Stojąca w progu kuchni Fatima podbiegła i pomogła zaprowadzić Lailę do jej pokoju. Wspólnymi siłami położyły ją do łóżka i wzrokiem podzieliły się rolami.

Fatima została przy szwagierce, matka Laili poszła po apteczkę, by opatrzyć córkę. Ta ledwie mogła mówić. Bolała ją głowa i oko, widziała wszystko jak przez mgłę, od ciosu brata miała zdrętwiałe wargi.

Wprawnym ruchem matka opatrzyła jej rany, podczas gdy Fatima przytrzymywała głowę chorej. Dały jej środek przeciwbólowy, po czym pani domu zapytała szeptem Fatimę:

- Myślisz, że powinniśmy wezwać lekarza?

- Nie, nie... Wydobrzeje, lekarz mógłby... no, mógłby pójść na policję, a to źle by się dla nas skończyło. Nie martw się, Laili nic nie będzie.

Matka Laili spojrzała na nią i przytaknęła. Fatima bała się o Mohameda, bała się o nich wszystkich, ale nawet wiedząc, że synowa ma rację, matka Laili poczuła wyrzuty sumienia, bo lękała się zrobić to, co uważała za słuszne - wezwać lekarza.

- Lepiej dajmy jej coś na sen - zaproponowała Fatima. - Jutro poczuje się lepiej.

- Sama nie wiem... może powinniśmy zaczekać... Zajmij się domownikami, ja zostanę przy Laili.

Fatima wyszła z pokoju na palcach, nie chcąc zwracać na siebie uwagi męża i teścia. Bała się, bała się Mohameda, bała się tego, co działo się w tym domu.

Dzieci bawiły się cichutko w kuchni. Pomne przestróg matki, by nie przeszkadzały, a zwłaszcza nie narażały się nowemu ojcu, przed którym czuły instynktowny lęk, siedziały na podłodze i bawiły się plastikowymi samochodzikami.

Mohamed nadal rozmawiał z ojcem w salonie. Mimo zamkniętych drzwi od czasu do czasu dobiegał stamtąd przenikliwy głos jej męża. Fatima pogłaskała dzieci po głowach i szepnęła, żeby były grzeczne, poszły wcześniej spać i nie plątały się pod nogami dorosłym. Brzdące nie śmiały protestować, Fatima wyczytała w ich wzroku lęk i smutek. Ale matka tylko przez chwilę wzruszyła się zasmuconymi twarzyczkami swych pociech. Sprawy wyglądały tak, nie inaczej, nic nie można było na to poradzić. Fatima polubiła Laile, ale jej upór mógł sprowadzić zgubę na całą rodzinę. Kobiety musiały słuchać mężczyzn i pogodzić się z tym, że oni decydują i myślą za nie. Nie wiedziała, co Laili chodzi po głowie, ale tak czy owak, powiedziała sobie Fatima, jej szwagierka się myli. Mohamed i jego ojciec kłócili się na temat tego, co zaszło.

- To mój dom i ja tu decyduję. Moim obowiązkiem jest ukarać twoją siostrę, jeśli na to zasługuje, i dlatego...

- Ależ ojczel! - przerwał mu Mohamed. - Przecież nie potrafisz przywołać jej do porządku. To wstyd, że chodzi po mieście z odkrytą głową. Zresztą spójrz tylko, jak się ubiera... jak pierwsza lepsza chrześcijanka. Dziwi mnie, że nie ma w sobie ani krzty przyzwoitości, na dodatek... ma czelność się nam sprzeciwiać. Trzeba z tym skończyć. Powinniśmy zabronić jej pracować w tej kancelarii, a zwłaszcza gorszyć członków Stowarzyszenia, mącąc bogobojnym muzułmankom w głowach jakimiś fanaberiami. Laila nauczająca Koranu! Ta szaleństwo! Trzeba jej w tym przeszkodzić, jeśli nie chcemy, by nasi bracia uznali nas za bezbożników. Hasan ostrzegł mnie, że albo sami położymy kres temu bezeceństwu, albo do akcji wkroczy wspólnota. Co z nas za mężczyźni, skoro nie potrafimy zmusić do posłuszeństwa naszych kobiet?

- Jutro porozmawiam z Lailą, ty zostaw ją w spokoju - polecił Darwish synowi.

- Niech ci będzie, ale jeśli nie przemówisz jej do rozsądku, biorę sprawy w swoje ręce. Zadzwoił telefon. Mohamed zdecydowanym ruchem podniósł słuchawkę.

- Halo? - rzucił.

Słuchał przez chwilę, a jego twarz znów poczerwieniała z wściekłości.

- Nie! Nie ma Laili! Proszę do niej więcej nie dzwonić. Nie ma pan prawa wypytywać o moją siostrę.

Ojciec spojrzał na niego pytająco, chcąc się dowiedzieć, kto dzwonił, ale Mohamed walnął tylko pięścią w stół i znów ryknął:

- Jakiś mężczyzna wypytuje o Lailę! Ten bezwstydnik ma czelność dzwonić do naszego domu. Jak mogliście do tego dopuścić?

- To Hiszpania, synu. Zrozum, nie możemy Laili wszystkiego zabraniać. Twoja siostra musi pracować, spotykać się z ludźmi. Przecież mieszkałeś i tutaj, i w Niemczech, wiesz, że w Europie kobiety i mężczyźni pracują razem, zresztą w marokańskich miastach również. Chodzi przede wszystkim o to, jak prowadzą się nasze kobiety, a zapewniam cię, że twoja siostra nigdy nie zrobiła niczego, czego musielibyśmy się wstydzić; to przyzwoita dziewczyna, dobra muzułmanka...

- Jeszcze ją bronisz? Nie rozumiesz, co ona wyprawia? Jaki sens ma nasza walka, jeśli nasze kobiety zachowują się jak naj zwyczaj niej sze ladaczniczki?

- Synu, by wygrać tę wojnę, musimy mieć się na baczności i nie zwracać na siebie uwagi. Nie możemy zamknąć Laili w domu, musi chodzić do pracy...

- Będzie musiała zmienić swoje zwyczaje, od tej pory nie wyjdzie z domu bez hidżabu, po moim trupie.

Ojciec i syn spojrzeli na siebie. Byli wyczerpani wielogodzinną rozmową. Awantura z Lailą dała im się we znaki. Mieli ochotę zostać sam na sam ze swymi myślami i zastanowić się nad wszystkim w samotności.

- Może pokażesz żonie Granadę? Do zmroku zostało jeszcze trochę czasu, matka zostawi wam kolację i zajmie się dziećmi.

- Słusznie, świeże powietrze dobrze mi robi. Mohamed wyszedł z salonu i udał się po żonę, choć wolał iść na spacer bez niej. Co prawda nie miał nic przeciwko Fatimie, biedaczka starała się nie wchodzić mu w drogę, ale tak czy owak, była dla niego ciężarem. Pomyślał, że nadal nie skonsumowali małżeństwa i że nie mogą odkładać tego momentu w nieskończoność, bo rodzicom ich obojga marzą się kolejne wnuki. Poczul fałę obrzydzenia, bo żona zupełnie go nie pociągała - nie wiedział, jak zdoła wywiązać się z małżeńskiego obowiązku. Na samą myśl o tym poczul wzbierającą złość, miał ochotę wpaść do kuchni i wyładować wściekłość na żonie, ale opanował się - bądź co bądź Fatima jest siostrą Hasana, a ten mógł poczul się urażony, że szwagier podnosi na nią rękę.

- Wychodzimy - rzucił rozkazującym tonem.

Fatima nie miała odwagi protestować, zerknęła tylko na dzieci, dając im znak, żeby nie zadawały pytań, po czym poprawiła galabiję i podreptała za mężem do drzwi. Miała nadzieję, że teściowa zajmie się dziećmi, chciała nawet ją o to poprosić, ale wiedziała, że

Mohamed nie zniósłby, gdyby kazała na siebie czekać. Dlatego wyszła potulnie z domu i zaczęła iść krok za mężem, bojąc się odezwać.

O tej porze dnia Granada pachniała kwiatem pomarańczy.

Mohamed odzyskiwał powoli spokój, rozpoznając znane z dzieciństwa zaułki spowite niepowtarzalnym aromatem maleńkich kwiatów pomarańczowych, który przepełniał powietrze o zmierzchu i upajał zmysły.

Schodząc stromymi uliczkami dzielnicy Albaicin, doszli nad rzekę, gdzie pod wieczór grupki młodzieży gromadziły się w pobliskich barach.

Mohamed westchnął na wspomnienie lat spędzonych w Granadzie, kiedy i on odwiedzał z przyjaciółmi okoliczne bary. Miał ochotę opowiedzieć o tym Fatimie, była mu jednak zbyt obca, by wtajemniczać ją w swe wspomnienia i przeżycia, dlatego znów pogrążył się w myślach, z przyjemnością obiegając wzrokiem znajome zaułki.

Nagle przypomniał sobie, że tuż obok znajdował się pub, gdzie zwykł chadzać z przyjaciółmi; skierował się tam, ubolewając nad przymusowym towarzystwem Fatimy. Czerwony Pałac nie należał do lokali, które odwiedza się z żoną - zwykli się w nim zbierać granadyjscy dealerzy przed wyruszeniem z towarem na miasto. Przed wyjazdem do Niemiec Mohamed należał do ich grona: jako szesnastolatek zaczął handlować haszyszem, ciesząc się z zarobionych w ten sposób pieniędzy.

Został dealerem, bo Ali, jego najlepszy przyjaciel, zaproponował mu interes: Ali przemycał haszysz z Maroka, Mohamed i jego kumple mieli upłynniać go w Granadzie i okolicach za sowitą prowizję. Mohamed bez namysłu przystał na spółkę, zamieniając się nie tylko w dystrybutora, ale również w amatora haszu. Gdy zaciągał się czarnym dymem, czuł, że zaostrzają mu się zmysły i ma u swych stóp cały świat. Najbardziej podobało mu się jednak to, że nowe zajęcie otworzyło zamknięte dotychczas przed nim na głucho drzwi - poznał rzesze paniczyków z dzielnic willowych, którzy uganiali się za nim, prosząc, by sprzedał im hasz. Od czasu do czasu zapraszali go nawet na imprezy. Mohamed nieźle sobie na nich używał ze ślicznymi laskami, które pozwalały mu się pieścić w zamian za towar.

Postanowił wstąpić do Czerwonego Pałacu - a nuż natknie się na któregoś z dawnych znajomków i kupi trochę haszyszu. Tego właśnie potrzebuje, by pójść do łóżka z Fatimą. Tłumaczył sobie, że przecież nikt się nie dowie. Wiedział, że jeśli Hasan usłyszy, że znów popadł w nałóg, usunie go ze Stowarzyszenia.

Hasan napominał go przed wysłaniem do Pakistanu i przyjęciem do organizacji: musisz raz na zawsze skończyć z narkotykami, musisz przestać zachowywać się jak obmierzli chrześcijanie, którzy za działkę są gotowi zarznąć rodzoną matkę.

Ale przecież Hasan jest daleko, a tymczasem on, Mohamed, musi wywiązać się z małżeńskich obowiązków wobec Fatimy, nie uda mu się to jednak bez wypalenia porządnego skręta.

- Zaczekaj tu chwilę, poszukam znajomego.

- Mam poczekać tu? Sama? - odważyła się zaprotestować Fatima.

- Kobieto, to tylko chwila! Nic ci się nie stanie.

Pchnął drzwi i uśmiechnął się, widząc, że w Czerwonym Pałacu nic się nie zmieniło, nawet Paco krztał się ciągle za barem.

- Proszę, proszę, kogo my tu mamy! - wykrzyknął na widok Mohameda. - Gdzieś się podziewał? Nie widziałem cię całe wieki. Napomknąłeś coś o jakimś stypendium, a potem słuch po tobie zaginął.

- Cześć Paco, co słyhać?

- Wszystko po staremu, nic nowego. No, może tylko tyle, że kilku twoich kumpli trafiło do pierdła, bo za bardzo kombinowali.

- Od dawna nie mam od nich żadnych wiadomości... Jak się mają Ali i Pedro?

- Ali przepadł podobnie jak ty, a Pedro siedzi w więzieniu w Kordowie. Przyskrzynili go z górą prochów, wystarczyłoby tego do uszczęśliwienia połowy Hiszpanii.

- A co wiesz o Alim?

- Ludzie gadają różne rzeczy. Jedni, że wrócił do Maroka, inni, że gliny go złapały i odsiaduje gdzieś wyrok, jeszcze inni, że zamienił się w islamskiego fanatyka i biega z karabinem po Iraku. Kto wie, ile w tym prawdy, Ali zawsze był trochę szajbnięty. No, a co u ciebie?

- Nic specjalnego, skończyłem studia w Niemczech i przyjechałem odwiedzić rodzinę. Ach, jeszcze coś, ożeniłem się!

- Uszom nie wierzę! Co ci strzeliło do głowy, żeby się chajtać?

- Nie ma w tym znowu niczego dziwnego. A tak w ogóle... znasz kogoś, kto ma do sprzedania dobry towar?

- Widzę, że żona nie wybiła ci z głowy haszu. Ten tam, przy stoliku w głębi, twój ziomek, ma towaru do wyboru, do koloru.

Mohamed zawahał się, nie wiedząc, czy podejść do mężczyzny wskazanego przez Paca. Bał się, że zostanie rozpoznany i Hasan dowie się o wszystkim. Mimo to postanowił zaryzykować - jeśli ma iść do łóżka z Fatimą, musi zapalić.

Dwie minuty później wyszedł z lokalu z grudką haszyszu, obiecując Pacowi, że niebawem znów do niego zajrzy, choć w rzeczywistości nie miał takiego zamiaru.

- Chodź, zjemy coś przed powrotem do domu.

Fatima zerknęła na niego zdumiona. Świadoma niechęci, jaką budziła w mężu, nie spodziewała się, że ten zaprosi ją na posiłek poza domem.

Szli obok siebie bez słowa, aż doszli do malutkiego baru z widokiem na Alhambrę. Mohamed odprowadził żonę do stolika w głębi, a sam skierował się do baru. Dwie minuty później kelner przyniósł im na tacy dwie coca-cole, półmisek z serem i dwie porcje tortilli.

Zjedli, nie patrząc na siebie, a potem Mohamed, ku zaskoczeniu Fatimy, zagadnął ją o Laile:

- Co myślisz o mojej siostrze?

Fatima poczuła, że twarz jej płonie. Szukała właściwych słów, by odpowiedzieć mężowi.

- To dobra dziewczyna... Teraz, gdy wróciłeś do domu, na pewno będzie zachowywała się bardziej przyzwoicie - powiedziała, bojąc się narazić mężowi.

- Moi rodzice byli dla niej zbyt pobłażliwi, nie potrafili trzymać jej krótko, a teraz... wstyd mi za nią.

- Nie... niesłusznie... Laila... Laila to poczciwa dziewczyna...

- To idiotka! Całe szczęście, że przyjechałem w porę i zdążę skierować ją na dobrą drogę.

Nic więcej nie powiedział. Ruchem ręki poprosił o rachunek, zapłacił i wstał, a Fatima poszła jego śladem. W milczeniu wrócili do Albaicin.

Zastali dom pogrążony w mroku. Z pokoju rodziców Mohameda dobiegały szepty. Poszli do siebie. Dzieci Fatimy spały spokojnie na rozłożonym na podłodze materacu.

- Odprowadź je do pokoju obok, to nie miejsce dla nich. Fatima drgnęła na słowa męża, wiedząc, co się za nimi kryje.

Nic nie mówiąc, zbudziła maluchy i zaciągnęła materac do sąsiedniego pokoju, gdzie pogłaskała dzieci po włosach i poprosiła, by znów się położyły. Potem, wzdychając, wróciła do sypialni. Zastała Mohameda palącego papierosa z haszyszem. Bez słowa usiadła na łóżku w oczekiwaniu na rozkazy, modląc się, by to, co ją czeka, nie było zbyt straszne.

11

Ovidio był pogrążony w lekturze dokumentów, które otrzymał od biskupa Pelizzolego. Rozpisał na oddzielnych kartkach każde słowo uratowane z pożogi i rozłożył je przed sobą na stole jak układankę.

- Widzę, że masz niezłą zabawę - zauważył ojciec Mikel, zerkając na niego kątem oka i zapalając papierosa.

- Rzekłbym raczej, że utknąłem w martwym punkcie i nie wiem, co z tym fantem zrobić.

- Powinieneś poprosić Rzym o zwolnienie cię z tego zadania, byś mógł poświęcić się parafii. Wybacz mi szczerość, ale coś mi się zdaje, że jesteś bardziej zajęty tymi świstkami papieru niż naszymi parafianami. Niełatwo ci będzie pogodzić to rzymskie zlecenie, na czymkolwiek ono polega, z tutejszymi problemami.

- Święte słowa, ale nie mam wyboru, muszę wywiązać się z zadania - tłumaczył Ovidio.

- A ty, Ignacio, mógłbyś nareszcie odłożyć pisaninę brata Juliana, którą, założę się, znasz na pamięć, i ulitować się nad chłopakiem.

Ojciec Aguirre siedział w fotelu obok drzwi balkonowych, na pozór zatopiony w lekturze średniowiecznej kroniki, choć w rzeczywistości nie uronił ani jednego słówka z toczącej się w salonie rozmowy. Odłożył książkę, wstał i podszedł do Ovidia.

- Wiesz, Mikelu, Ovidio, chcąc nie chcąc, musi pogłowić się trochę nad tymi świstkami papieru, bo tak mu kazał Ojciec Święty - powiedział wolno stary jezuita.

- Sam papież! - wykrzyknął ojciec Mikel. - No, jeśli to zlecenie papieża... Ale przecież ktoś powinien zastąpić Ovidia, bo jak tak dalej pójdzie, nie będzie mógł skoncentrować się na tutejszych sprawach - znowu zaczął się zżymać.

- A kim my niby jesteśmy, by osądzać papieskie decyzje? Mamy służyć Kościołowi tam, gdzie nam każą, i to bez szemrania - odparł ojciec Aguirre.

- Dobrze, już dobrze, przecież nic nie mówię. Po prostu serce mi się kraje na widok chłopaka ślęczącego całymi dniami nad tymi papierami. Powinieneś mu pomóc, przecież znasz się na tych sprawach.

- Na jakich sprawach? - chciał wiedzieć ojciec Aguirre.

- Jak to jakich? Na tajemnicach! Ovidio mówił ci niedawno, sam słyszałem, coś o frankfurckim zamachu, który ma Bóg wie jaki związek z Kościołem. A ty... no, sam wiesz, ludzie gadają różne rzeczy, między innymi, że odkąd do nas wróciłeś, starasz się, byśmy przestali się tu zabijać.

- No proszę, a wydawało się, że nie masz o niczym zielonego pojęcia! - zaśmiał się głośno ojciec Aguirre. - Ale z tego, co wiem, wszyscy staramy się o to samo, prawda?

- Prawda, prawda, mój drogi! - odparł, również ze śmiechem, ojciec Mikel. - No, ale chętnie się wam na coś przydam, może mógłbym wam pomóc.

- Nie, nie możesz - rzucił pospiesznie Ignacio Aguirre.

- Wie ojciec co? - zabrał głos Ovidio. - Tak sobie myślę, że cała ta tajemniczość nie ma żadnego usprawiedliwienia. Dlaczego Mikel i Santiago nie mieliby się dowiedzieć, nad czym pracuję? Co w tym złego? Przecież ufam im jak...

- Jak nikomu przez ostatnie trzydzieści lat - dokończył za Ovidia ojciec Aguirre.

- No właśnie.

- Ale musisz trzymać się zasad, tylko w ten sposób unikniesz kłopotów. A złotą zasadą naszego zawodu jest dyskrecja.

- Tak, tylko...

- Ovidio, ja sam powierzyłbym Mikelowi i Santiagowi własne życie, istnieją jednak sprawy, których bym im nie zdradził, i wcale nie dlatego, że nie mam do nich zaufania, ale dla ich dobra.

- W Rzymie to może zrozumiałe, ale tutaj... Przepraszam, ale tutaj słowa ojca wydają mi się bez sensu.

- Rób, co chcesz. Ja tylko przypominam ci o obowiązujących nas zasadach.

- Nie, już lepiej nic mi nie mów - przerwał im ojciec Mikel. - Skoro Ignacio twierdzi, że powinieneś dochować tajemnicy, posłuchaj go. Ale w takim razie niech ci przynajmniej pomoże, skoro zajmował się podobnymi sekretami. Zostawiam was samych i idę po Santiaga, który jest na próbie chóru dziecięcego.

Mikel Ezquerria poszedł do swojego pokoju po płaszcz i *txapela*, tradycyjny baskijski beret, po czym rzucił im na pożegnanie baskijskie *agur*.

- Co za typ! - zaśmiał się ojciec Aguirre. - Niezły charakterek...

- To pocziwina - odparł Ovidio.

- Owszem, owszem. Przecież ci mówiłem, że powierzyłbym mu własne życie.

- A jednak nie pokazałby mu ojciec tych papierów, prawda?

- To ciekawe, że podważasz jedną z podstawowych zasad naszego fachu.

- Bo tutaj wszystko wygląda inaczej. Rzym jest daleko stąd, podobnie jak watykańskie intrygi. Myślę, że tutaj sprawy wydają się prostsze, niż gdy patrzymy na nie ze środka watykańskiej kołomyi. Wie ojciec co? Ja powierzyłbym ojcom Mikelowi i Santiagowi nie tylko własne życie, pokazałbym im również te papiery.

- A jednak nie powinieneś tego robić, Ovidio, dla własnego dobra i dobra ich samych. I nie ma to nic wspólnego z zaufaniem.

- Ale ojciec mógłby przecież mi pomóc...

- Nie powinienem, ale pomogę. Utknąłeś w martwym punkcie, choć nie bardzo rozumiem dlaczego.

- Może oddalenie sprawia, że nie myślę już jak dawniej. Tutaj wszystko wygląda inaczej.

- No dobrze, powiedz mi, o co chodzi, i zobaczymy, czy mogę ci się na coś przydać.

Uporządkowawszy rozrzucone na stole papiery, Ovidio opowiedział o spotkaniu z Lorenzem Panettą i Matthew Lucasem. Następnie zdał ojcu Aguirre szczegółową relację ze wszystkiego, co wiedział o zamachu we Frankfurcie. Jego były protektor słuchał go z kamienną twarzą, tylko od czasu do czasu przyrykał oczy, jakby musiał zapomnieć o bożym świecie, by zrozumieć sens słów Ovidia. Gdy ten skończył, sędziwy jezuita znów rozłożył na stole kartki z resztkami spalonych zapisków odnalezionych we frankfurckim apartamencie zniszczonym przez terrorystów-samobójców.

Ovidia zaskoczył grymas goryczy i bólu zdający się malować na twarzy sędziwego kapłana.

- Co ojciec myśli o tym wszystkim?

Zapytany spojrział na niego przenikliwie i wzdychając smutno, powiedział:

- Spróbuję ci pomóc, choć nie powinienem.

- Ale... dlaczego? - dopytywał się Ovidio, zerkając z niepokojem na pochmurne oblicze starego jezuitę.

- Gdybym miał syna, chciałbym, by był podobny do ciebie. Może właśnie dlatego podświadomie traktuję cię jak syna - usłyszał w odpowiedzi.

- Dziękuję, ja uważam księdza za kogoś więcej niż ojca - wybąkał wzruszony Ovidio.

- Na niektóre pytania nie oczekuj ode mnie odpowiedzi, bo nie mogę, nie powinienem i nie chcę ci jej udzielić. Ale spróbuję ci pomóc.

- Dziękuję.

- Więc dobrze, bierzmy się do roboty. Powiedz mi, co już ustaliłeś.

- W tym cały szkopał, że niczego nie ustaliłem. Błądzą po omacku. Słowa KARAKOZ, GRÓB, KRZYŻA W RZYMIE, PIĄTEK, SAINT-PONS, LOTARIUSZ, KRZYŻ... nie mają chyba żadnego związku. Wyjęte z kontekstu zdania NASZE NIEBO OTWARTE JEST TYLKO DLA TYCH, KTÓRZY NIE SĄ STWORZENIAMI... i POLEJE SIĘ KREW W SERCU ŚWIĘTEGO... brzmią nonsensownie. Na dodatek powtarza się znów KREW... Nie potrafię zgłębić znaczenia tych słów i zdań, wyczuwam w nich jednak, sam nie wiem dlaczego, groźbę.

Gdy ojciec Aguirre wpatrywał się w schemat wyrysowany przez Ovidia, ten nadal mówił, choć bardziej do siebie niż do starego jezuitę:

- Pojęcia nie mam, z jakich dokumentów czy zapisków pochodzą te słowa, ale daję głowę, że nie mają nic wspólnego z Koranem. Z książki też nie pochodzą, wystarczy spojrzeć na te fotokopie: niektóre słowa zanotowano odręcznie, i to różnym charakterem pisma. W kilku przypadkach charakter pisma jest ten sam, w pozostałych nie ulega wątpliwości, że należy do różnych osób. Uznałem, że warto zlecić jego analizę, nie ujawni nam ona co prawda niczego nadzwyczajnego, ale przynajmniej dowiemy się czegoś o autorach. Jedyne słowo, co do którego nie ma wątpliwości, to KARAKOZ, nazwisko należące do znanego handlarza bronią.- Skąd pochodzi ten Karakoz? - zainteresował się ojciec Aguirre.

- To Serbobośniak, podejrzany typ, który walczył w byłej Jugosławii, a teraz para się nielegalnym handlem bronią. Z raportów służb wywiadowczych wynika, że za odpowiednie wynagrodzenie Karakoz potrafi zdobyć każdy rodzaj broni. Zdaniem Interpolu w ostatnich latach zaopatrywał islamskich fundamentalistów, nie ulega wątpliwości, że to właśnie od niego pochodziły materiały wybuchowe użyte w zamachu we frankfurckim kinie.

- A więc Karakoz jest jedynym pewnym tropem. Przesłuchano już tego gagatka?

- Ponoć lepiej go nie zatrzymywać, tylko mieć na oku: a nuż wykona jakiś nieostrożny ruch i naprowadzi policję na trop swoich zlecniodawców. Ale chyba trudno na to liczyć, bo Karakoz jest szybki jak jastrząb, pojawia się, by zaraz potem zniknąć bez śladu.

- Zatem Karakoz to koniec nitki.

- Co chce ojciec przez to powiedzieć?

- Wyobraź sobie, że nasza sprawa to kłębek nici. Karakoz jest końcem nitki, która zaprowadzi nas do kłębka, czyli do rozwiązania sprawy. A więc możesz czekać na informacje o tym indywiduum podsuwane ci przez Interpol i unijne Centrum do Walki z Terroryzmem albo spróbujesz dociec prawdy własnymi sposobami, co jest bez wątpienia trudniejsze.

- Na dobrą sprawę muszę jedynie odkryć znaczenie tych słów.

- Chodzi o nowy zamach, to oczywiste, nie wiemy tylko gdzie, jak i kiedy do niego dojdzie.

Ovidio Sagardia popatrzył ze zdumieniem na ojca Aguirre. Jego słowa podziałały na niego jak uderzenie gromu. Stary jezuita zerknął na Ovidia, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

- Ależ, mój drogi, to oczywiste! Gdybyś nie był tak pochłonięty osobistymi sprawami, też byś na to wpadł, jak wpadli Panetta i Lucas. Przecież nie jesteś aż tak głupi! Nie trzeba wcale pracować w służbach wywiadowczych, by wiedzieć, że istnieje dokładny plan

opracowany przez jakąś osobę lub kilka osób zdecydowanych doprowadzić do zderzenia między cywilizacją zachodnią a islamem. Najgorsze jest to, że islamski fundamentalizm może liczyć na wsparcie pewnych grup, którym nowa zimna wojna, nieco inna od poprzedniej, jest jak najbardziej na rękę. Tym razem punktem zapalnym ma być religia. Wiesz, trudno mi uwierzyć, że jesteś aż tak naiwny, powiem więcej, zawiodłem się na tobie.

Ovidio przełknął ślinę zawstydzony. Choć przepracował pół życia w Departamencie Analizy Polityki Zagranicznej, zachowywał się teraz jak zwykły żółtodziób, nawet gorzej - jak tępak. Nie mógł odmówić ojcu Aguirre racji.

- Przepraszam. Prawda, byłem za bardzo pochłonięty własnymi sprawami. Od miesięcy myślę tylko i wyłącznie o sobie...

- I to przemieniło cię w nieudacznika? - wyrzucił mu gniewnie ojciec Aguirre.

- Nie, przynajmniej mam nadzieję, że nie.

- Jestem pewien, że od zamachu na World Trade Center, nawet wcześniej, biskup Pelizzoli kazał wam się skupić na tym, co się dzieje w świecie islamskim. Czy aby nie zasilił naszych placówek za granicą watykańskimi analitykami? Nie przyznał problemowi islamskiemu priorytetu? Nie, nie musisz odpowiadać. Znam dobrze Luigiego Pelizzolego, można o nim powiedzieć wszystko, tylko nie to, że nie wie, co robi. To jeden z najbłyskotliwszych umysłów współczesnego Kościoła. Zakładam więc, że już zajął się tym konfliktem. Za to ty naprawdę gonisz w piętę. Przecież jesteś jezuitą, rozumiem, że przechodzisz kryzys i postanowiłeś uciec z Watykanu, ale mimo to musisz ruszyć mózgowicą, nie możesz zaprzętać sobie głowy tylko i wyłącznie własną osobą. No, dobrze, ale skoro już tu jesteś, powiedz, czego oczekuje od ciebie Pelizzoli.

- Żebym myślał, poszukał związku między tymi słowami i zapewne również ustalił, czy kryje się za nimi jakaś groźba, choć ani biskup, ani ci dwaj agenci nic na ten temat nie napomknęli.

- Bo nie trzeba mówić tego, co oczywiste. Moim zdaniem nie sprostasz temu zadaniu, pracując samotnie i nie wytykając stąd nosa. Potrzebujesz pomocy, środków, dostępu do porządnej bazy danych, musisz wiedzieć na bieżąco, jakich postępów w śledztwie dokonał Interpol, unijne Centrum do Walki z Terroryzmem, CIA... Jednym słowem, niewiele zdziałasz, melinując się w tym mieszkaniu w lewobrzeżnym Bilbao.

- Taki postawiłem warunek i został on przyjęty.

- Chyba powinienes być uczciwy wobec Kościoła i siebie samego. Powtarzam, że nie sprostasz zadaniu, działając w pojedynkę, a w dodatku stąd. Musisz pojechać do Brukseli, spotkać się z ludźmi z unijnego Centrum do Walki z Terroryzmem i z Interpolu, być w

ciągłym kontakcie z naszym departamentem w Watykanie... A moim zdaniem najlepiej zrobisz, próbując na własną rękę dowiedzieć się czegoś o tej kanalii Karakozie, bez względu na to, gdzie się zaszły. Informacji należy szukać wśród ludzi, w terenie.

- Ale naszym zadaniem jest przecież tylko analiza informacji - bronił się Ovidio.

- Pewnie, ale nie dostajemy ich w prezencie, musimy ich szukać. Nasz Departament Analizy Polityki Zagranicznej może się pochwalić lepszą bazą danych niż niejeden rząd. A wiesz dlaczego? Bo jesteśmy wszędzie, we wszystkich miejscach na kuli ziemskiej. Ale to dla ciebie nie nowość, więc nie zwracaj mi głowy i nie zachowuj się, jakbyś nie wiedział, w czym rzecz.

- Zaskakuje mnie, że przemawia ojciec w ten sposób... - ubolewał Ovidio.

- Chcę ci po prostu dopiec, przecież wiem, że właśnie to wszystko skłoniło cię do porzucenia Watykanu. Proszę tylko Najwyższego o wybaczenie, bo cię skrzywdziłem, i to w pełni świadomie.

- Tylko tyle?

- No, proszę o wybaczenie również siebie.

- Ojciec jest niemożliwy!

- Nie jestem taki wspaniały, jak sądzisz. Jestem tylko człowiekiem, starym jezuitą. Nie idealizuj mnie, zaakceptuj mnie takim, jakim jestem.

Zamilkli, spoglądając sobie w oczy. Ovidia zaskakiwało surowe rozumowanie ojca Aguirre, ale nie łudził się - wiedział, że sędziwy duchowny ma rację.

- Zakładam, że uda mi się pogodzić dobro Kościoła z moim własnym dobrem - stwierdził z cieniem cynizmu w głosie.

- To już zależy od ciebie.

- Nie wrócę do Watykanu. Zostanę, sprostam wyzwaniu stąd, z Bilbao, nawet jeśli przyjdzie mi spędzić całe dnie w rozjazdach. Odpowiada mi to miejsce, bo w Watykanie zapomniałem, jak się pracuje z prostymi ludźmi, straciłem kontakt z ich codziennymi problemami. Dopiero tutaj odkryłem sens kapłaństwa.

- Ty sam najlepiej znasz swoje możliwości. Ale jeśli zamierzasz zająć się tą sprawą, potraktuj ją poważnie, nie spartacz jej, bo od ciebie może zależeć wiele istnień ludzkich. No, więc dobrze, jakie skojarzenia nasuwają ci niektóre z tych słów?

- Lotariusz... Historia obfituje w sławnych Lotariuszy, ale nasz Lotariusz powinien być, przynajmniej z założenia, współczesny. Jeśli chodzi o Saint-Pons, na południu Francji istnieje miasteczko o takiej nazwie, co mogłoby oznaczać, że działa tam komórka islamskich

fundamentalistów lub że tam właśnie ma zostać przeprowadzony kolejny zamach. Przypuszczam, że ludzie z Centrum do Walki z Terroryzmem, już to sprawdzają.

- Nieźle, całkiem nieźle...

- Dziękuję za uznanie, ale przecież to niczego nie wyjaśnia. Wiem, że te słowa kryją w sobie jakieś przesłanie, ale nijak nie mogę ich powiązać z islamskimi terrorystami.

- Nie lekceważ żadnej możliwości, nawet najbardziej nieprawdopodobnej. W każdym razie humor mi się poprawił, bo widzę, że wbrew moim obawom nie marnowałeś tak zupełnie czasu.

- No i mamy jeszcze to POLEJE SIĘ KREW W SERCU ŚWIĘTEGO... To dziwaczne zdanie nic mi nie mówi, nijak nie potrafię go połączyć z zamachowcami z Frankfurtu.

- Nie masz innego wyjścia, musisz pociągnąć za nitkę, by dotrzeć do kłębka, a chwilowo jedynym konkretnym tropem jest Karakoz. Powtarzam, powinieneś porozmawiać z tymi dwoma facetami, którzy stawili się w Watykanie, niech ci zdradzą, co wiedzą o tym typku. Obawiam się, że niewiele więcej można zrobić. Powiedziałeś, że Karakoz jest szybki jak jastrząb, ale musi przecież gdzieś mieszkać.

- Według tego raportu Karakoz spędza sporo czasu w Belgradzie i w Czarnogórze, choć był również widziany w niektórych byłych republikach sowieckich. Dostarcza broń partyzantom czeczeńskim, wielokrotnie bywał na lotnisku w Bejrucie, w Jemenie i w Damaszku, ale również w Paryżu, w Londynie, w Amsterdamie... Z raportu wynika, że to osobnik dyskretny, nie afiszuje się jak pierwszy lepszy gangster. Nie odwiedza nocnych klubów, nie otacza się kobietami. Pija wódkę, jest amatorem cygar. Tylko tyle o nim wiadomo. Należy ustalić, czy komórka frankfurcka skontaktowała się bezpośrednio z Karakozem, czy też przywódcy całego spisku wzięli na siebie zakup broni i materiałów wybuchowych.

- Przypuszczam, że ludzie z Centrum do Walki z Terroryzmem już coś na ten temat wiedzą. Dlatego...

- Dlatego nie mam innego wyjścia, tylko ruszać do Brukseli - dokończył Ovidio, wybuchając śmiechem.

- To zależy od ciebie...

- Nie mam wyjścia, inaczej uzna mnie ojciec za niedołęgę.

- W rzeczy samej - odparł, rechocząc, ojciec Aguirre.

- Nieźle mnie wkopano.- Tak, nie przeczę. Ale skoro Luigiemu Pelizzolem tak bardzo zależało, byś zajął się tą sprawą, to najwyraźniej uważa, że możesz zdziałać więcej niż ktokolwiek inny. A więc musisz im pomóc, to twój obowiązek.

- Ile razy proszono ojca o pomoc, odkąd opuścił ojciec Watykan?

- Moje życie nie jest twoim życiem, sytuacja każdego z nas jest zupełnie inna, więc nie trać czasu na porównania. Ale pamiętaj o jednym: służyłem Kościołowi wszędzie, gdzie mnie potrzebowano, gdzie wysłali mnie moi przełożeni, i nadal będę to robił.

- Ale pozwolono ojcu przyjechać tutaj...

Ojciec Aguirre nie odpowiedział, tylko znów zagłębił się w papierach rozłożonych na stole.

- Trzeba przyznać, że to prawdziwe wyzwanie dla umysłu. Bez wątplenia masz do czynienia ze swoją życiową sprawą, która pozwoli ci udowodnić, ile jesteś wart.

- Proszę, proszę! Nie ułatwia mi ojciec zadania.

- To nie ja ci je utrudniam. To diabelnie zawiślana sprawa, zapewniam cię.

Spojrzeni na siebie, Ovidio miał wrażenie, że w słowach ojca Aguirre kryje się jakiś podtekst, nie miał jednak odwagi drażnić tematu.

- Zadzwoń do ojca Pelizzolego i poproszę go o zgodę na wyjazd do Brukseli. Przypuszczam, że w dwa dni uporam się ze sprawą.

- Nie narzucaj sobie terminów. Masz zadanie do wykonania, wykonaj je, lecz bez ograniczania się czasem ani niczym innym. Ale... coś ci powiem... ta rozmowa zaczyna mnie nużyć. Męczą mnie twój opór. Może powinieneś zadzwonić do biskupa i powiedzieć mu, że się wycofujesz, to chyba będzie najbardziej honorowe wyjście.

Ojciec Aguirre wstał i wyszedł z pokoju, zostawiając Ovidia zmieszanego, w złym humorze. Liczył, że stary jezuita go poprze, że zrozumie jego niechęć do rozmyślania nad frankfurckim zamachem - według niego bardzo odległym od jego nowego życia w Hiszpanii - a tymczasem dawny protektor nakłaniał go do poświęcenia się bez reszty tej przekłętej sprawie. Na dodatek Ovidio wyczuwał w ojcu Aguirre głęboki zawód spowodowany jego postawą.

Ovidio przyznał w duchu, że sam jest zaskoczony własnym zachowaniem, swoim dziecinnym niemal uporem, tłumaczył sobie jednak, że ma prawo być zwykłym księdzem i zajmować się wyłącznie problemami swoich parafian. Znów dało o sobie znać wewnętrzne rozdarcie trapiące go przez ostatnie miesiące.

Usłyszał odgłos zamykających się drzwi. Ojciec Aguirre wyszedł, zostawił go samego, by podjął decyzję.

Podniósł słuchawkę i wykręcił bezpośredni numer ojca Pelizzolego. Już po drugim sygnale usłyszał głos byłego przełożonego. Przez pół godziny przedstawiał mu nikłe postępy, jakie poczynił w śledztwie, po czym zapytał, czy według niego powinien udać się do Brukseli

i być może również do Belgradu. Niewykluczone, że ktoś w tamtejszej nuncjaturze wie coś ważnego o Karakozie. Ovidio pamiętał, że nuncjatury posiadają wiele informacji na najróżniejsze tematy.

- Przepytaliśmy już dyskretnie naszych braci z Belgradu, czy wiedzą coś ciekawego o Karakozie. W gruncie rzeczy ich informacje nie różnią się zbyt wiele od tych zdobytych przez Brukselę, ale jeśli chcesz przekonać się o tym osobiście, jedź. Uprzedzę ich o twojej wizycie i poproszę, by ułatwili ci pracę. A jeśli chodzi o podróż do Brukseli, również w tym przypadku masz moje błogosławieństwo. To ty zajmujesz się tą sprawą.

- No, nie do końca... - zaprotestował Ovidio.

- Liczymy, że wskażesz nam jakiś trop, który ułatwi śledztwo. Te tajemnicze słowa spędzają nam sen z powiek.

- Nie zmieniłem zdania na temat tego, co powinienem robić.

- Bynajmniej tego od ciebie nie oczekujemy - zaznaczył surowo biskup.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Mamy taką nadzieję.

- A czy moim braciom z Watykanu udało się coś ustalić?

- Nic konkretnego, choć powinieneś chyba omówić tę sprawę z naszymi ludźmi przydzielonymi do śledztwa; wszyscy powinniśmy kopać piłkę w tę samą stronę. Mógłbyś wstąpić do Watykanu przed podróżą do Brukseli i Belgradu?

Ovidio już, już miał się sprzeciwić, ale nagle stracił cały animusz. Wiedział zresztą, że biskup ma rację. Albo zajmie się sprawą na poważnie, albo z niej zrezygnuje, w każdym razie nie może dłużej uchylać się od odpowiedzialności.

- Zgoda, przyjadę.

- Jak sobie radzisz w Bilbao?- Bardzo dobrze. Czuję, że odnajdę tu wewnętrzny spokój.

- Miło to słyszeć. A co u ojca Aguirre?

- Właśnie wyszedł. Trzyma się świetnie, tryska energią i jest poczciwy jak zawsze.

- Tak myślałem. Pomaga ci?

- Raczej się przed tym wzbrania - poskarżył się Ovidio.

- Cały Ignacio. Zapewne chce, byś sam zmierzył się z odpowiedzialnością. Mimo wszystko nie lekceważ jego zdania. Ojciec Aguirre... no, ma duże doświadczenie i potrafi dostrzec rzeczy, które nam mogą umknąć. Założę się, że wie już, o co w tym wszystkim chodzi.

- Nawet jeśli tak jest, nie zdradził się przede mną ani słowem.

- I nie zdradzi, chyba że uzna to za absolutnie konieczne.

- Nie rozumiem...

- Synu, nie próbuj zrozumieć ojca Aguirre! Ja sam nigdy nie zdołałem go zrozumieć, choć jest nie tylko moim mentorem, ale również przyjacielem. Tak naprawdę... nawet go dobrze nie znam - wyznał biskup ku osłupieniu Ovidia. - No dobrze, szukaj się do drogi i wstąp do mnie, gdy tylko przyjedziesz do Watykanu. Porozmawiam z twoimi przełożonymi, z generałem zakonu, poproszę, by zwolnili cię na chwilę z obowiązków wikariusza.

Ovidio ponownie zagłębił się w rozłożonych na stole dokumentach i pomyślał, że łączenie słów na pierwszy rzut oka pozbawionych związku i próba wyciągnięcia z tej mieszaniny logicznego wniosku zakrawa na absurd. Zresztą usytuowanie w kontekście enigmatycznych zdań również nie wydawało się łatwe.

Jego trzech współlokatorzy wrócili o zmroku. Ojciec Mikel spierał się z Santiagiem, a ojciec Aguirre próbował ich pogodzić.

- Santiago nic nie rozumie! - narzekał ojciec Mikel.

- To raczej ty oglądasz rzeczywistość w krzywym zwierciadle - bronił się ojciec Santiago.

- Nie rozumiesz głębi problemu!

- A właśnie, że rozumiem, tyle że nie zgadzam się z tobą w ocenie sytuacji ani możliwego z niej wyjścia.

Wkroczyli do salonu, pomrukując na siebie. Ojciec Aguirre próbował przywołać ich do porządku.

- O co chodzi? - zapytał Ovidio.

- Santiago twierdzi, że sami jesteśmy winni temu, co się tu dzieje - rzucił ojciec Mikel.

- Tu to znaczy gdzie?

- W Kraju Basków. Ty pochodzisz stąd, więc rozumiesz, o co chodzi, ale Santiago patrzy na sprawy oczami granadyjczyka i...

Słyszając to, ojciec Santiago, człowiek z natury łagodny, aż podskoczył i zwrócił się gniewnie do ojca Mikela:

- No, proszę, okazuje się, że tylko Baskowie mogą rozumieć i oceniać Basków, Chińczycy Chińczyków, a Francuzi Francuzów! Co za bzdura! Popelniasz błąd, traktując łagodnie tych młodych ludzi, działasz na ich zgubę.

- Tego już za wiele! Nie jestem łagodny i dobrze o tym wiesz, po prostu wolę ich wysłuchać i przemówić im do rozsądku niż ich potępiać.

- I na tym właśnie polega twój błąd, bo zło jest zawsze złem i trzeba je potępiać - odparł ojciec Santiago.

- Może zjemy już kolację?

Pytanie ojca Aguirre skłoniło ich do odłożenia dyskusji na później. Ovidio zebrał swoje papiery, ojciec Mikel nakrył do stołu, a Santiago i ojciec Aguirre weszli do kuchni, by odgrzać kolację przygotowaną przez poczciwą Itziar.

Wspólnie oddali się kosztowaniu zupy rybnej i panierowanych sardynek roboty swej parafianki.

Po kolacji ojciec Aguirre zaprosił ich do wspólnego różańca, by, jak powiedział, poprzez medytację uwolnić duszę od napięcia zgromadzonego w ciągu dnia i zbliżyć się do Boga.

Gdy skończyli modlitwę, ojciec Aguirre zaproponował wszystkim przed snem kieliszek likieru *pachardn*.

- Ho, ho! Czyżbyśmy coś świętowali? - zaczął pokpiwać ojciec Mikel.

- Nie, ale chyba wszystkim nam dobrze zrobi kieliszek likieru i chwila pogawędki przed udaniem się na spoczynek - odparł ojciec Aguirre.

- Moim zdaniem to świetny pomysł - poparł kolegę ojciec Santiago.

- Od wieków nie piłem *pachardn* - przyznał Ovidio.

- W takim razie dużo straciłeś, tułając się po wielkim świecie - skwitował ojciec Mikel, rozlewając trunek do czterech maleńkich kieliszków.

Duchowni sączyli likier z tarniny pograżeni każdy w swoich myślach, w końcu ojciec Mikel przywrócił ich do rzeczywistości.

- Jutro musimy porozmawiać z tymi młodymi ludźmi, czekają na naszą odpowiedź. - Nasza odpowiedź może być tylko jedna: nie mają prawa zachowywać się jak ostatni nikczemnicy i straszyć kolegów. Nie możemy przymykać na to oka - powiedział ojciec Santiago wyraźnie oburzony.

- Nie wiem, o czym mówicie. O tym co poprzednio? - dopytywał się Ovidio.

Ojciec Santiago uprzedził Mikela i odpowiedział:

- Owszem. Wyjaśnię ci wszystko w kilku słowach. Przyszła dzisiaj do nas wystraszona licealistka. Okazało się, że kilku maturzystów grozi jej bratu, który nie chce się przyłączyć do *kale borroka*, tutejszych bojówek ulicznych. Wyzywają go od tchórzy, hiszpańskich psów i takich tam. Wczoraj ktoś wrzucił mu na balkon butelkę z benzyną, na szczęście nie było akurat nikogo w domu. Za to dzisiaj okrażono go na szkolnym dziedzińcu i pobito. Nikt nie kiwnął palcem w jego obronie, ponoć nikt nic nie widział. Tylko siostra

próbowała mu pomóc, więc te bydlaki i jej podbiły oko. Dziewczyna boi się, że sprawcy na tym nie poprzestaną, lęka się o życie brata, dlatego przyszła prosić nas o pomoc, bo znamy tych zwyrodnialców i sądzi, że możemy przemówić im do rozsądku. Moim zdaniem powinniśmy nie tylko z nimi porozmawiać, ale również ostrzec ich, że jeśli jeszcze raz podniosą rękę na tego chłopaka, jeśli znów obrzucą jego dom butelkami z benzyną, zawleczeni ich za ucho do komisariatu policji. O to właśnie pokłóciliśmy się z Mikelem. On nie zgadza się ze mną co do tej ostatniej kwestii.

Ojciec Aguirre obserwował Ovidia zaciekawiony, zastanawiając się, co powie. Jego dawny podopieczny, zajęty osobistymi problemami, nie potrafił do końca wczuć się w sprawy zaprzatające tutejszych parafian, wśród których miał pełnić kapłańską posługę.

Na twarzy Ovidia malowało się zakłopotanie i niepokój z powodu tego, co właśnie usłyszał.

- Nie można pozostać obojętnym wobec przemocy - stwierdził po prostu.

- Ale nie możemy iść na policję! W przeciwnym razie ci młodzi ludzie stracą do nas zaufanie! - zaprotestował ojciec Mikel.

- A jeśli zignorujemy cały incydent, ta dziewczyna, jej brat i wiele osób znajdujących się w podobnej sytuacji również przestaną nam ufać - oznajmił stanowczo ojciec Santiago.

- To nie jest takie proste, w każdym razie nie tutaj. Ten naród wiele wycierpiał - tłumaczył ojciec Mikel.

- Ale czy daje mu to prawo do zadawania cierpienia innym? - zapytał Ovidio.

- No wiesz co! Wyjechałeś z Bilbao bardzo dawno temu, ale chyba nie zapomniałeś, przez co tu przeszliśmy - obstawał przy swoim ojciec Mikel. - Nie mówię, żebyśmy zapomnieli o całej sprawie, oczywiście, że powinniśmy coś zrobić, ale nie to, co proponuje Santiago.

- Ci młodzi ludzie muszą nauczyć się odróżniać dobro od zła. Nie możemy przykładać ręki do zła i uznać, że w imię niepodległości Kraju Basków wszystko jest dozwolone.

- Moim zdaniem to banda tchórzy - zawyrokował ojciec Aguirre. - Bo trzeba być wyjątkowym tchórzem, by w pięciu rzucić się na jednego kolegę, a na dodatek podbić oko jej siostrze. Są tchórzami i oni, i wszyscy ci, którzy nie stanęli w obronie ofiar przemocy. Nie, nie możemy tolerować zła.

Ojciec Mikel nie potrafił ukryć strapienia, choć ani myślał się poddawać.

- Oczywiście, że nie możemy stać z założonymi rękami. Jutro pójdę do dyrektora liceum. Porozmawiam również z nauczycielami i wstąpię do klasy sprawców całego zamieszania; rozmówię się z każdym z nich na osobności i zaznaczę, że ich występki nie

ujdzie im bezkarnie. Ale jeśli stracą do nas zaufanie, sprawa się tylko pogorszy. Ci młodzi ludzie nie potrafią odróżnić dobra od zła. Spróbujmy wczuć się w ich sytuację: jeden ma ojca w więzieniu, inny brata... - nie dawał za wygraną ojciec Mikel.

- Dlaczego jego ojciec trafił do więzienia? - zainteresował się Ovidio.

- Za udział w zamachu. Należał do bandy, która dokonała zamachu na patrol żandarmerii, zginęło trzech żandarmów.

- A więc ma na sumieniu zabójstwo - stwierdził Ovidio bez śladu współczucia w głosie.

- Zabił, bo uważa, że nasz naród cierpi niewolę i tylko poprzez akcje zbrojne można wymóc przyznanie autonomii Krajowi Basków. Nie bronię tego człowieka - dorzucił pospiesznie ojciec Mikel - chcę ci po prostu wyjaśnić, jak patrzy się na te sprawy tu, na miejscu.

- Iw imię wolności odbiera się życie innym... - zaczął Ovidio.

- Innym, którzy symbolizują ucisk - wszedł mu w słowo ojciec Mikel.- Gdzie więc przebiega granica? - zapytał surowo Ovidio.

- Granica? Nie rozumiem - mruknął ojciec Mikel zmienionym głosem.

- No, wyjaśnij, proszę, w jakiej sytuacji możemy usprawiedliwić zabójstwo, tortury, pobicie kogoś, kto myśli inaczej niż my? Powiedzmy, że tu, w Kraju Basków, mamy prawo tak postępować... A w Irlandii? Nie zapominaj również o Czeceńcach, o Palestyńczykach... nawet Bin Laden ma swoje powody, by nawoływać do dżihadu, a...

- Ovidio, nie wykręcaj kota ogonem! - krzyknął urażony ojciec Mikel.

- Ja wykręcam kota ogonem? Nie, to raczej ty zwodzisz siebie samego. Jestem Baskiem podobnie jak ty i w dzieciństwie nasłuchiwałem się opowieści dorosłych o nowej ojczyźnie, drugiej arkadii. Ale arkadie nie istnieją, istnieją za to ludzie, którzy są równi, bez względu na to, gdzie się urodzili i gdzie mieszkają. To ludzie pełni podłostek i cnót, jakie wszyscy w sobie nosimy. Człowiek, który stracił matkę, cierpi tak samo, bez względu na to, czy urodził się tu, czy w Chinach. Poniżenie rani równie głęboko duszę Baska czy Szkota. Jeśli twoje zarobki nie wystarczają na utrzymanie rodziny, twoja frustracja jest równie wielka bez względu na to, czy mieszkasz tu, czy w Sewastopolu.

- Spędziłeś tyle czasu za granicą...

- Spędziłem tyle czasu za granicą, że zrozumiałem, iż liczą się ludzie, nie terytorium.

Ojciec Aguirre i Santiago słuchali w milczeniu pojedynku słownego Ovidia z Mikelem, którzy zawzięcie bronili swego punktu widzenia.

- Jestem przeciwnikiem przemocy, Ovidio, możesz mi wierzyć. Uważam po prostu, że musimy identyfikować się z miejscem, gdzie sprawujemy duchowną posługę, musimy zrozumieć nastroje parafian. W przeciwnym razie nie zdołamy im pomóc.

- Zrozum więc ból tego zaszczutego chłopaka i jego pobitej siostry. Nie można tworzyć nowej ojczyzny na trupach tych, którzy myślą inaczej. Wiesz, chciałbym pójść z tobą do liceum i porozmawiać z tymi młodymi ludźmi.

- Zgoda, może dzięki temu inaczej spojrzysz na te sprawy.

- Postaram się, ale chyba nic z tego, bo jutro wyjeżdżam.

- Dokąd? - zainteresował się ojciec Mikel.

- Wiecie pewnie, że próbuję doprowadzić do końca zadanie, nad którym pracowałem przed przyjazdem tutaj. Sprawa nie wygląda na tak prostą, jak sądziłem, muszę jechać do Rzymu i do Brukseli, choć zabawię tam chyba nie dłużej niż tydzień. Nie palę się do tego wyjazdu, bo moim marzeniem jest oddanie się całkowicie tutejszej parafii, ale mam zobowiązania i muszę skończyć to, co zacząłem.

Nie zadawali mu więcej pytań. Rozmawiali jeszcze chwilę o tym i owym, póki ojciec Aguirre nie uznał, że czas udać się na spoczynek.

12

Lorenzo Panetta czekał na Ovidia Sagardię na lotnisku. W Brukseli padał rzęsy deszcz, na domiar złego tego ranka dał silny wiatr.

Ovidio zadzwonił do Lorenza z Rzymu, proponując spotkanie i wymianę opinii. Doświadczony policjant zgodził się natychmiast ciekaw opowieści księdza, który według raportów był asem watykańskiego wywiadu, a mimo to zdecydował ponoć ustąpić ze stanowiska.

Centrum do Walki z Terroryzmem znajdowało się w budynku położonym niedaleko siedziby NATO, pracowały w nim setki osób.

Centrum wspomagali na co dzień pracownicy wywiadu z agencji europejskich i z innych kontyentów. Matthew Lucas był jednym z nich.

Ovidia zdumiał szeroki wachlarz środków, jakimi dysponuje centrum, po którym oprowadził go z dumą kierownik Hans Wein oraz Lorenzo Panetta.

W gabinecie Hansa Weina dołączyli do nich Matthew Lucas i Andrea Villasante.

- Proszę nam powiedzieć, udało się księdzu coś wymyślić? - zapytał prosto z mostu Hans Wein.

- Szczerze mówiąc, nie. Przestudiowałem słowa odnalezione na resztkach spalonych dokumentów, układałem je na różne sposoby, zleciłem badanie grafologiczne, choć domyślałem się, że i wy to zrobiliście. Nie ulega wątpliwości, że niektóre z tych słów wyszły spod ręki różnych osób. Nie udało mi się odkryć żadnego logicznego związku między nimi, ciągle się nad tym biedzę. Wydaje się, że nie mają sensu ani razem, ani osobno.

- My również niewiele zdziałaliśmy - przyznał Hans Wein. - Także tkwimy w martwym punkcie. Mamy nadzieję, że Karakoz naprowadzi nas na trop terrorystów, choć nie będzie to łatwe. Ci ludzie działają sami, nie znają się między sobą, na własną rękę decydują, gdzie i kiedy zaatakować.

- Ale muszą mieć jakiegoś przywódcę - stwierdził Lorenzo Panetta. - Tego jestem pewien.

- A ja nie byłabym tego taka pewna - przerwała mu Andrea. - Bezpieczeństwo tych ludzi polega właśnie na tym, że nie należą do żadnej organizacji.

- Przykro mi, Andreo, w tym przypadku się z tobą nie zgadzam. Uważam, że ci ludzie mają przywódcę lub kilku przywódców. Nie twierdzę, by nie było komórek działających niezależnie, ale wielkie zamachy są starannie zaplanowane, nie są dziełem przypadku.

- Cóż, w czymś musimy się nie zgadzać - rzuciła Andrea z uśmiechem.

- Moim zdaniem frankfurcy terroryści nie zamierzali popełnić samobójstwa, mieli inne plany, zapewne przygotowywali kolejne zamachy. Problem w tym, że jeśli Andrea ma rację i te komórki są od siebie niezależne, nasi milusińscy zabrali swoje plany, jakiegokolwiek one były, na tamten świat. Jeśli natomiast racja jest po stronie Lorenza, inna komórka przejęła być może pałeczkę po samobójcach i będzie próbowała zrealizować ich plan, o którym wiemy tylko tyle, ile zdołamy wywnioskować z tych nie wiadomo skąd pochodzących słów uratowanych z pogorzelska.

Z uwagą wysłuchali przemowy Hansa Weina świadomi trudności zadania, z którym przyszło im się zmierzyć.

- Jutro jadę do Belgradu - poinformował Ovidio. - Nawet jeśli macie konkretne informacje na temat Karakoza, którymi, mam nadzieję, się ze mną podzielicie, spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej na miejscu.

Matthew Lucas przyglądał mu się ciekawie kątem oka. Jakim cudem ten ksiądz miałby działać więcej niż służby wywiadowcze całego Zachodu, tudzież satelity i sieć podsłuchów? Ovidio poczuł na sobie nieufne spojrzenie Amerykanina.

- Cóż, panie Lucas, pański brak przekonania jest zrozumiały, ale zawsze istnieje jakiś zagubiony szczegół, który my, duchowni, możemy odgrzebać. Być może właśnie ten szczegół

okaże się ważny. A może wcale nie, przekonamy się.- Proszę nie sądzić, że nie wierzę w księdza możliwości - zaczął się tłumaczyć Matthew Lucas zmartwiony, że jezuita odgadł jego myśli.

- No, a teraz chciałbym usłyszeć, co udało się wam ustalić - oświadczył gość.

Lorenzo Panetta wymienił szybkie spojrzenie z Hansem Weinem. Ten, prawie niezauważalnie, dał mu znak, by przedstawił duchownemu sytuację.

- W dalszym ciągu obserwujemy Karakoza, nie spuszczaamy go z oka ani na chwilę. Co ciekawe, od trzech tygodni nie rusza się z Belgradu. Gdybyśmy nie wiedzieli, z kim mamy do czynienia, moglibyśmy wziąć go za pierwszego lepszego kupca i przykładowego ojca rodziny. Jest wyjątkowo ostrożny w rozmowach telefonicznych, mówi zawsze o transakcjach handlowych, nie wymieniając towaru i nie podając żadnego znaczącego szczegółu. Po wydarzeniach we Frankfurcie stał się jeszcze ostrożniejszy niż przedtem, jakby podejrzewał, że deptamy mu po piętach. Tak czy owak, zamierzamy nadal go obserwować, w końcu będzie musiał się ruszyć. Nie może kontynuować swojego kryminalnego procederu, wycierając stołki w biurze w Belgradzie czy w Podgoricy. Ten typ przekracza bez problemów granice wszystkich byłych republik sowieckich. Karakoz to dla nas najlepszy sposób dotarcia do któregoś z przywódców Stowarzyszenia. Jeśli chodzi o słowa uratowane z płomieni, my również nie potrafimy odkryć ich znaczenia. Nie możemy ustalić, z jakiego tekstu pochodzą: z listu, raportu, broszury turystycznej... Dlatego jeśli będziemy trzymali się kurczowo tych słów, możemy się pomylić i skierować śledztwo na niewłaściwe tory, choć bynajmniej nie przekreślamy możliwości dalszego ich analizowania.

- Czy coś wiadomo o planowaniu nowego zamachu? - spytał wprost Ovidio.

- Stowarzyszenie wypowiedziało wojnę Zachodowi, może więc nas zaskoczyć w każdej chwili i w każdym miejscu. A odpowiadając na księdza pytanie... nie, nie mamy żadnej sprawdzonej wiadomości. Najwyraźniej po wydarzeniach we Frankfurcie terroryści postanowili odczekać, aż złagodne zostaną środki bezpieczeństwa. Interpol, my oraz inne agencje wywiadowcze próbujemy wybadać nasze tradycyjne źródła, ale na razie nie mamy nic godnego uwagi. Czarne charaktery pochowały się po norach i przygotowują kolejne uderzenie.

- Zakładam, że wyślecie kogoś do Saint-Pons...

- Tak, od kilku dni mamy tam swoich ludzi, którzy starają się czegoś dowiedzieć, ale Saint-Pons-de-Thomieres to spokojna miejscina nieobfitująca w imigrantów. Trudno stwierdzić, gdzie skierować poszukiwania.

- A więc błędnie po omacku - zawyrokował Ovidio.

- Tak, to niestety prawda. Dlatego nie próbujemy wyperswadować księdzu wyprawy do byłej Jugosławii. Nie przypuszczam, by odkrył tam ksiądz coś nowego, ale kto wie...

- Chyba zajrzę też do Saint-Pons.

- Jak ksiądz chce, proszę nas tylko informować o swoich poczynaniach.

Nad Brukselą zapadła noc. Szła szybkim krokiem, nie oglądając się. Była zmęczona po ciężkim dniu pracy, chciała jak najszybciej dotrzeć do domu i odpocząć. Gdy weszła do budynku, gdzie znajdował się jej maleńki apartament, portier wręczył jej kopertę doręczoną z rana. Zerknęła pospiesznie na nadawcę, podziękowała portierowi i wsiadła do windy.

Znalazłszy się w mieszkaniu, nie zdejmując płaszcza, otworzyła kopertę zawierającą kartę SIM. Zastąpiła nią kartę w swoim telefonie komórkowym. Potem poszła do kuchni napić się wody, spojrzała na zegarek, włożyła dres i adidas, po czym raz jeszcze zerknęła na zegarek. Postanowiła odczekać kilka minut. Portier miał lada chwila skończyć pracę, a wołała wyjść niezauważona. Co prawda gdyby ją zobaczył, nic by się nie stało, ale tak czuła się pewniej.

Usiadła na kanapie, zamknęła oczy, znieruchomiła i pozwoliła wyobraźni błądzić po nieoczekiwanych torach, na których końcu zawsze pojawiał się ten sam obraz: ona i on na tamtej plaży, w kawiarni, w apartamencie na Costa del Sol; śmieją się, dyskutują do bladego świtu o lepszej przyszłości, marzą, kochają się desperacko...

Odczekała, ile uznała za stosowne, i znów wyszła na ulicę. Szła wolno, spacerowym krokiem. Potem oddaliła się od domu truchtem, jakby uprawiała jogging, wyciągnęła z kieszeni spodni komórkę i wybrała numer. Przestraszyła się, że nikt się nie odezwie, ale po chwili usłyszała wyraźnie jego głos. Nie zwolniła kroku, rozmawiała w marszu: - Nic nowego, niczego nie mają, żadnego tropu, tylko te materiały wybuchowe sprzedane przez twojego znajomka. Dlatego nie spuszczaają go z oka, myśląc, że doprowadzi ich do celu.

Głos w słuchawce zadał jej pytanie, a ona odpowiedziała.

Nie rozmawiali dłużej niż dwie minuty, wystarczająco długo, by przekazać mu wszystkie potrzebne informacje. Wsunęła komórkę do kieszeni i wróciła do domu, gdzie znów wyjęła kartę z telefonu, przełamała ją na pół, wrzuciła do sedesu i spuściła wodę. Obawiała się, że pewnego dnia kanalizacja może się zapchać, mimo to było to wyjście bezpieczniejsze niż wyrzucenie karty do śmieci. Bruksela roiła się od szpiegów - szpiegów ze wszystkich możliwych państw i wszystkich agencji wywiadowczych, szpiegów, którzy nie dowierzali nikomu i obserwowali wszystko i wszystkich: sprzymierzeńców i wrogów.

Była śpiąca, nazajutrz budzik miał zadzwonić o wpół do siódmej, dlatego postanowiła wziąć prysznic i pójść do łóżka.

Gdy już miała się położyć, niespodziewanie odezwał się telefon. Zaniepokojona podniosła słuchawkę, rozmawiała kilka minut, po czym odłożyła słuchawkę i westchnęła z rezygnacją. Tej nocy nie dane jej będzie się wyspać. Dziesięć minut później znów opuściła apartament.

Matthew Lucas i Ovidio Sagardia weszli do restauracji. Na polecenia Hansa Weina Amerykanin zaprosił jezuitę na kolację, a duchowny chętnie przyjął zaproszenie.

Wein uważał się za ateistę, ale czuł dziwną fascynację Kościołem katolickim, instytucją, która zdołała przetrwać dwa tysiące lat. Poza tym ciągle był pod wrażeniem wizyty w Watykanie. Zresztą Sagardia nie był zwykłym księdzem - był analitykiem wywiadu w służbie Kościoła, nawet jeśli watykańskie biuro, w którym pracował, nazywano dla niepoznaki Departamentem Analizy Polityki Zagranicznej.

Kelner wskazał im stolik w głębi lokalu. Ku obopólnemu zaskoczeniu przy sąsiednim natknęli się na Mireille Beziers.

- A to dopiero zbieg okoliczności! - wykrzyknęła dziewczyna.

- Dobry wieczór - odpowiedział oschle Matthew Lucas. Ovidio Sagardia skinął głową na powitanie. Nie przedstawiono mu tej młodej osóбки, widział ją tylko przelotnie w centrum.

Mireille najwyraźniej nie miała zamiaru przedstawiać im mężczyzny, który jej towarzyszył, a i oni nie kwapili się, by go powitać. Matthew Lucas był skrupowany tym niespodziewanym spotkaniem nie mniej niż Mireille, ale grubiaństwem byłoby przesiąść się do innego stolika.

Czytając kartę dań, Amerykanin i duchowny obserwowali kątem oka Mireille i jej towarzysza: przystojnego, śniadego mężczyznę o charakterystycznych rysach. Ponad wszelką wątpliwość pochodził z Maghrebu, z Maroka lub z Algierii. Nietrudno było zgadnąć, że mają do czynienia z kimś dobrze sytuowanym, świadczyły o tym zwłaszcza jego subtelne, wypielęgnowane dłonie, ubranie, a nawet zachowanie.

Mireille i jej towarzysz rozmawiali po arabsku, widać było, że czują się dobrze w swoim towarzystwie.

Ovidio Sagardia i Matthew Lucas prowadzili banalną pogawędkę; duchowny spostrzegł niechęć Amerykanina do dziewczyny siedzącej przy stoliku obok i zastanawiał się nad powodem tej antypatii.

Towarzysz Mireille poprosił o rachunek, po czym podał kelnerowi złotą kartę American Express. Podpisał wydruk i zostawił na stole suty napiwek. Dziewczyna pożegnała się z duchownym i Matthew Lucasem ruchem ręki, jej kompan nie zaszczycił ich nawet spojrzeniem.

- Przepraszam za ciekawość, ale kim jest ta młoda osoba? Mam wrażenie, że widziałem ją w centrum - zapytał Ovidio Matthew Lucasa.

- To Mireille Beziars. Jej stryj jest ważnym wojskowym w NATO i upchnął ją u nas.

- Widzę, że nie pała pan do niej sympatią.

- Nie lubię ludzi z plecami.

- Być może ta Mireille ma jednak jakieś zalety - zauważył ze śmiechem Ovidio Sagardia.

- Wątpię. Poza tym nie wiem, kim jest jej towarzysz.

- Nie musi go pan znać.

- To Arab.

- Zgadza się.

- Nasz dział rozpracowuje islamski terroryzm...

- Ale co to ma wspólnego z tym mężczyzną?

- Zastanawiająca sprawa... pracownik centrum spotyka się z Arabem...- Pan nie zna żadnego Araba?

Matthew zorientował się, że duchowny źle odczytał jego słowa, i rozżłościł się, że dopuścił do tego nieporozumienia.

- Tak, nawet kilku.

- W takim razie o co chodzi? Czyżby ufał pan tylko obywatelom świata zachodniego?

- Mój ojciec jest Żydem z New Jersey, moja matka należy do Kościoła anglikańskiego. Mogę księdza zapewnić, że nie mam uprzedzeń rasowych ani religijnych.

- Jednym z problemów człowieka, wszystkich ludzi bez wyjątku, jest nieufność wobec tych, którzy się od nas różnią. Nie rozumiemy ich, dlatego czujemy się wobec nich nieswojo, boimy się ich.

- Zapewniam księdza, że to mnie nie dotyczy, jednak w moim fachu trudno nie być przesadnie podejrzliwym. Wcześniej czy później przestajesz komukolwiek ufać. Cóż, prowadzimy wojnę przeciwko niewidzialnemu wrogowi.

- Wiem, ale nie wygramy tej wojny, biorąc za przestępców wszystkich, którzy się od nas różnią.

Matthew spąsował - irytujący był ten klecha traktujący go jak chłystka.

- I jak poradził pan sobie w dzieciństwie z tą sprzecznością: ojciec Żyd, matka anglikanka? - zapytał go nagle Ovidio.

- Na dobrą sprawę nie musiałem sobie nijak z nią radzić. Rodzice byli niepraktykujący, ojciec nie chodził do synagogi ani matka do kościoła. Żyliśmy z dala od religii. Gdy skończyłem szesnaście lat, rodzice wysłali mnie i moją siostrę do Jerozolimy, do naszych wujów, dopiero tam przekonałem się, co znaczy być Żydem dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przesiedziałem w Izraelu aż do ukończenia osiemnastu lat, dłużej, - niż planowali moi rodzice, bo zakochałem się bez pamięci w izraelskiej Beduince.

- Izraelskiej Beduince?

- Tak, przecież wie ksiądz, że w Izraelu żyją Palestyńczycy oraz inni Arabowie z izraelskim obywatelstwem. Rodzice Sairy są Beduinami, co jakiś czas przenosili się w okolice Jerozolimy i pracowali w majątku moich wujów; no, „majątek” to za duże słowo, chodzi o trzy tysiące metrów kwadratowych ziemi z kilkoma uprawami.

- Nie musi mi pan nic opowiadać, nie osądzam pana.

- No tak... cóż... chyba źle się wyraziłem o mężczyźnie, który towarzyszył pannie Beziars, i chcę księdzu udowodnić, że nie mam nic przeciwko Arabom, muzułmanom ani nikomu. Ale proszę pozwolić mi dokończyć historię o Sairze. Była moją wielką miłością, zamierzaliśmy się pobrać, co nie spodobało się jej ojcu, niepokoiło zresztą również mojego wuja. Musiałem wracać do New Jersey na studia, ale Saira i ja przyrzekliśmy sobie, że bez względu na trudności będziemy na siebie czekali, że postawimy na swoim i pobierzemy się.

- I co się stało?

- Łatwo się domyślić. Poszedłem na Harvard, potem do wojska, a gdy wróciłem do Jerozolimy, Saira była szczęśliwą mężatką i matką dwójki uroczych berbeci. Koniec historii.

- Historii, która miała mi udowodnić, że nie ma pan uprzedzeń. Już mówiłem, że to nie było potrzebne. Ale muszę panu powiedzieć, że owszem, ma pan uprzedzenia, przynajmniej w stosunku do tej dziewczyny, Mireille. Nie lubi jej pan, ona pana drażni i myśli pan o niej tak źle, że szuka pan dziury w całym tylko dlatego, że widział ją pan na kolacji z mężczyzną o arabskich rysach.

Matthew Lucas spuścił głowę zakłopotany. Klecha właśnie dał mu burę, zresztą w pełni zasłużoną. Amerykanin poczuł się jak skończony głupiec, bo próbował usprawiedliwiać się przed duchownym, opowiadając mu historyjkę o Sairze.

Ovidio domyślił się nastroju Matthew i postanowił przyjść mu z pomocą, kierując rozmowę na inne tory - zapytał o jego opinię na temat zamachu we Frankfurcie.

Rozmawiali dość długo, w końcu zniecierpliwione spojrzenia kelnera skłoniły ich do wstania od stołu i opuszczenia restauracji.

Nazajutrz duchowny miał lecieć do Belgradu, uznał jednak, że podróż ta jest bezcelowa. Postanowił zmienić plany: wróci do Rzymu, do Watykanu, by tam zastanowić się, czy warto jechać do Belgradu. Zresztą nawet, gdyby taka podróż miała dojść do skutku, nie mógłby pojawić się w stolicy Serbii pod własnym nazwiskiem.

13

Milan Karakoz wyszedł z biura w otoczeniu tuzina ochroniarzy, którym codziennie zawierzał swoje życie. Kiedyś walczył z nimi ramię w ramię, zabijając więcej ludzi, niż potrafił spamiętać. Oddaliby za niego życie, podobnie jak on za nich - łączyła ich więc wspólnie przelanej krwi.

- Do domu - rozkazał szoferowi, który natychmiast włączył silnik luksusowego opancerzonego mercedesa.

Karakoz zapalił papierosa i siedział w milczeniu. Obok jego zastępca Dusan czytał wiadomość przesłaną właśnie na jego komórkę.

- Musimy się stąd ruszyć - rzucił, zamykając telefon.

- Wiesz, że jeśli to zrobimy, rzucą się na nas jak hieny. Siedzą każdy nasz krok, nawet teraz czytają twój SMS-a.

- Chyba niewiele zrozumieją z tekstu: „Babunia chce cię widzieć, tęskni za tobą”.

- Bardzo oryginalne...

- Może i nieoryginalne, ale trudno im będzie znaleźć moją babunię. Mógłbym chyba jechać sam...

- Nie! Ciebie znają równie dobrze jak mnie, wiedzą, że jesteś moją prawą ręką, głupotą byłoby dokądkolwiek cię posyłać. Pojedzie ktoś, kto nie wzbudza podejrzeń.

- Kogo masz na myśli?

- Borislava.

- A to dopiero niespodzianka!

- Chyba nie dla ciebie.

- Borislav nie jest gotowy.

- Na to, czego od niego oczekuję, owszem, jest gotowy. Ma jechać do Londynu, zgłosić się na wyznaczone miejsce, odebrać wiadomość i wrócić.

- Pod jakim pretekstem?

- Najprostszym z możliwych: odwiedzin u siostry przebywającej na emigracji.

- Za bardzo ufasz Borislavowi.

- Nikt nie powiąże go ze mną.

- Nie byłbym taki pewien.

- A powinieneś, jeszcze go z nami nie kojarzą. Zajmij się przygotowaniem. Daj mu jasne wskazówki, nie wystraszyć go.

- Niełatwo mu będzie znaleźć wymówkę, by dostać wolne w szpitalu.

- Wymówka jest prosta: siostra zaprasza go do Londynu, nie widzieli się od przekłętej wojny, dlatego nie może ani nie chce odrzucić zaproszenia. Wiesz, starałem się, by ten młodzik zbytnio się do nas nie zbliżył; wołałem zarezerwować go na momenty takie jak ten. Nie wzbudzi niczyich podejrzeń.

- Niech ci będzie. Kiedy ma jechać?

- Gdy tylko wszystko przygotujesz, ale daj mu trochę czasu, żeby zdążył zawiadomić szpital o wyjeździe. Nikt nie potrafiłby sobie wytłumaczyć jego nagłego zniknięcia. Przygotuj zaproszenie, by mógł je pokazać w szpitalu.

- On bardzo chce dla ciebie pracować.

- To będzie dobry początek współpracy. Potrzebujemy informacji z pierwszej ręki.

Samochód zatrzymał się przed świeżo odremontowanym budynkiem. Dwaj mężczyźni strzegli bramy, również u wylotu ulicy stali ochroniarze niepuszczający oka z wjeżdżającego szefa.

Pierwszy wysiadł Karakoz, zaraz za nim Dusan. Mieszkanie Karakoza zajmowało cały trzypiętrowy budynek. Na parterze, oprócz gabinetu, salonu i pomieszczeń dla służby, urządzono również pokoje dla ochroniarzy. Na piętrach mieszkał Karakoz z rodziną: matką, staruszką po osiemdziesiątce, dorównującą jej wiekiem owdowiałą ciotką, żoną oraz czwórką dzieci.

Zona Karakoza wyszła mu na spotkanie nieco wzburzona.

- Milanie, musimy porozmawiać, dziś na targowisku przydarzyło mi się coś dziwnego.

Karakoz i Dusan, wyraźnie zaniepokojeni, ruszyli po schodach za gospodynią aż do kuchni, gdzie krzątały się matka i ciotka gospodarza.- Posłuchaj tylko, dzisiaj rano poszłam na zakupy, nie bój się, zabrałam ze sobą Branka. Na targowisku, jak zwykle w czwartek, kłębiły się tłumy. Gdy już wychodziliśmy, wpadła na mnie jakaś kobieta, nie pytaj, jak wyglądała, nie zdążyłam jej się przyjrzeć. Po prostu przeprosiła mnie i poszła dalej. Po powrocie do domu otworzyłam koszyk i proszę, co znalazłam. Pewnie właśnie ta nieznajoma wsunęła mi liścik do koszyka, masz, nie otworzyłam go.

Dusan pierwszy wyciągnął rękę i dokładnie obejrzał kopertę, zanim podał ją Karakozowi.

Była to koperta normalnych rozmiarów zawierająca na oko kilka złożonych kartek.

Karakoz zajrzał do środka i uśmiechnął się.

- To nic takiego, moja droga, nie przejmuj się, mój dobry znajomy postanowił skontaktować się ze mną w ten niecodzienny sposób.

Żona odpowiedziała mu uśmiechem i zaczęła trąkotać o drożyźnie i o tym, że musi stawać na głowie, by trochę zaoszczędzić. Karakoz słuchał jej przez kilka minut, potem ucałował matkę i ciotkę, pochwalił ich kulinarne zdolności i wyszedł z kuchni.

Dopiero w gabinecie na parterze zaczął uważnie czytać list. Dusan czekał, obserwując przez okno ulicę strzeżoną przez ochroniarzy.

Skończywszy czytać, Karakoz podał list swojemu zastępcy.

- Nic nie wiedzą - stwierdził Dusan.

- Nie, nic nie wiedzą, dlatego nasi znajomi mogą być na razie spokojni, my zresztą również. Trudno uwierzyć w tę historię o nie do końca spalonych dokumentach, nie sądzę, by zdołano domyślić się czegokolwiek z tych wyrwanych z kontekstu słów, ale musimy mieć się na baczności.

- Przypuszczam, że nasi przyjaciele dokonają zmian w planach - rzekł Dusan.

- To już nie nasza sprawa, choć trzeba przyznać, że tym razem pobili nas na głowę w zdobywaniu informacji. No, dobrze, zobaczymy, czym możemy ich zaskoczyć.

- A więc już nie musimy wysłać Borislava do Londynu.

- Nie, nie musimy, możemy odłożyć tę podróż na później. Ale trzeba się stąd ruszyć, nie powinniśmy siedzieć z założonymi rękami.

- Jesteśmy obserwowani. W liście donoszą, że ludzie z Brukseli, z Centrum do Walki z Terroryzmem, kontrolują wszystkie nasze środki łączności i że nakierowano na nas pełno satelitów, musimy mieć się na baczności.

- Dusanie, pozwól, żebym to ja decydował, co możemy, a czego nie możemy robić. Postanowiłem, że pojedziemy do Czeczenii. Mamy tam interes do załatwienia. Przygotuj wszystko do podróży.

Karakoz odwrócił się plecami do swego zastępcy i w roztargnieniu zaczął szperać w teczce na dokumenty. Dusan wyszedł bez słowa z gabinetu. Wiedział, że z szefem nie ma dyskusji.

Gdy został sam, Karakoz usiadł za biurkiem i włączył komputer. Nie ufał tej maszynie i nigdy nie przechowywał w niej ważnych informacji, ale nie potrafił się tak zupełnie obejść

bez udogodnień XXI wieku. Popracował tylko chwilę - nie mógł się skoncentrować; niepokoił go fakt, że obce osoby mogą jak gdyby nigdy nic podejść do jego żony, choć tym razem był to ponad wszelką wątpliwość człowiek Stowarzyszenia. Nic to, tak czy owak trzeba będzie bardziej zadbać o bezpieczeństwo rodziny.

Karakoz powiedział sobie w duchu, że w przyszłości musi być ostrożniejszy - osobista sympatia do Stowarzyszenia może mu przysporzyć kłopotów, a on jest przecież człowiekiem interesów. Mimo to pragnął gorąco, by Stowarzyszenie jak najbardziej zaszkodziło chrześcijanom - ci zarozumiałcy zdecydowanie sobie na to zasłużyli - poza tym była to dla niego okazja do zrobienia złotego interesu na sprzedaży różnorakiego towaru, od materiałów wybuchowych po broń rozmaitego kalibru.

Tymczasem nie powinien dłużej odkładać podróży do Czeczenii, choć w gruncie rzeczy mógł wysłać tam Dusana, a samemu skupić się na zamówieniu, które złożyło mu właśnie Stowarzyszenie w liście podrzuconym na targowisku jego żonie. Aktualnie nie posiadał wszystkich rodzajów broni, o jakie go proszono, choć zdobycie ich to fraszka - w byłych republikach sowieckich można dostać wszystko, łącznie z głowicami nuklearnymi.

Zaczął przechadzać się nerwowo po gabinecie, przystając od czasu do czasu przy oknie, by wyrzeć na ulicę.

Rany na betonowej skórze miasta zaczęły się zablizniać - międzynarodowa wspólnota dokładała wszelkich starań, by zatrzeć ślady wojny, i mieszkańcy mogli się znów uśmiechać i cieszyć pokojem.

Przypomniawszy sobie Sarajewo. Mieszkał tam dość długo przed wojną, ale teraz miasto było stolicą Bośni. Wrócił tam pod fałszywym nazwiskiem, by handlować bronią. Nietrudno było spotkać w Sarajewie kobiety, nawet młode dziewczęta, z głowami zakrytymi hidżabem, choć mieszkańcy Sarajewa wiedzieli, że uratowała ich pomoc nie bratnich oddziałów muzułmańskich, ale świata zachodniego - Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych - który uniemożliwił doprowadzenie do końca czystki etnicznej przedsięwziętej przez Serbów i Chorwatów. Gdyby nie interwencja Zachodu, po muzułmanach nie pozostałby ślad, ale jemu było wszystko jedno, choć teraz właśnie ci muzułmanie składali się na jego najlepszą klientelę. Fakt, że uniknęli zagłady, był więc dla niego niczym zrządzenie opatrności.

Mimo to Karakoz uważał, że Serbowie nie są chrześcijanom nic winni, w każdym razie on nie czuł, by był im cokolwiek winny - pozwolili, by ich zgnębiono, nie obchodzili ich ginący Serbowie, skierowali wszystkie swoje wysiłki na ratowanie Bośniaków. Ale to już przeszłość, tłumaczył sobie, teraz jest człowiekiem interesu, a jego interes to śmierć innych - nieważne kogo i dlaczego. Miał wyjątkowego klienta, który nigdy nie próbował zbić ani

jednego centa z podanej przez Karakoza ceny, bez względu na to, czy chodziło o zakup broni, czy o wynajęcie płatnych morderców. Choć ostatnie zlecenie okazało się trudniejsze, niż przypuszczał.

Znów usiadł za biurkiem. List podrzucony żonie nie dawał mu jednak spokoju. Stowarzyszenie ostrzegało go, że jego nazwisko pojawia się w dokumentach znalezionych przez policję we frankfurckim apartamencie. Banda idiotów, spartaczyli robotę. Dlaczego nie zadbali, by papiery spłonęły doszczętnie?

Interpol od lat deptał mu po piętach, a od kilku miesięcy zainteresowało się nim również unijne Centrum do Walki z Terroryzmem. Tak, musi mieć się na baczności, ale nie może zawiesić na kołku działalności, bo jego ludzie straciliby do niego szacunek, widząc, że obleciał go strach.

* * *

Powrót Ovidia do Watykanu bynajmniej nie zdziwił biskupa Pelizzolego. Gdy jezuita zadzwonił do niego z lotniska Fiumicino, prosząc o zgodę na spędzenie kilku dni w Rzymie, by mógł popracować w swym dawnym biurze, biskup zrozumiał, że jego były podwładny postanowił przyjąć wyzwanie i spróbować rozwiązać zagadkę. Zapewne, pomyślał, za tą decyzją kryje się coś więcej, przecież Ovidio Sagardia przechodzi kryzys, z którego Bóg jeden wie, co wyniknie.

Biskup przyjął gościa, jakby rozstali się zaledwie dzień wcześniej. Ovidio opowiedział mu szczegółowo o przebiegu swojej wizyty w Brukseli i wyjaśnił, dlaczego zrezygnował z wyjazdu do Belgradu.

- Nie ma sensu, żebym się tam zjawiał, wypytyjąc o Karakoza. Muszę pojechać incognito, inaczej tylko stracę czas.

- Incognito? Nie bardzo rozumiem...

- Może zdołam dowiedzieć się czegoś o Karakozie, ale tylko jeśli spędzę jakiś czas w Belgradzie nieoficjalnie, pod fałszywym nazwiskiem, zresztą nie wiem, czy nawet wtedy mój wysiłek na coś się zda. Interpol i Centrum do Walki z Terroryzmem dysponują odpowiednimi środkami, by śledzić tego typu, znają każdy jego krok, dlatego właśnie odstąpiłem od mojego pierwotnego zamiaru wyjazdu do Belgradu.

Biskupa nie zdziwiło takie rozumowanie - Ovidio Sagardia był przecież jezuitą, a jezuici zawsze stanowili forpocztę Kościoła w najodleglejszych zakątkach ziemskiego globu, co więcej, niektórzy musieli się ukrywać, by szerzyć ewangelię i jej bronić. Pomyślał o jezuitcie Miguelu Agustinie, który w rozmaitych przebraniach - żebraka, śmieciarza, mechanika... - spędził lata dwudzieste zeszłego wieku w antyklerykalnym Meksyku. Inny

jezuita, Edmund Campion, mniej więcej w 1581 roku służył potajemnie Kościołowi w Anglii owładniętej reformacją.

- Dobrze, co więc proponujesz? - zapytał biskup, przerywając rozmyślenia.

- Myślę, że powinienem spędzić kilka dni w Rzymie, w Bilbao nie dysponuję środkami do wyjaśnienia tej sprawy.

- Decyzja należy do ciebie, Ovidio, rób, co uznasz za stosowne. Skontaktowałeś się już z ojcem Aguirre?

- Nie, jeszcze nie, przyjechałem tu prosto z lotniska.

- Rozumiem, ale nie zapomnij powiadomić go o twojej decyzji. Gdzie się zatrzymasz?

- Jeszcze nie wiem.

- Możesz zamieszkać tutaj...

- Pomyślę o tym później. Teraz chciałbym pogrzebać w naszych archiwach i w bazie danych... Moim zdaniem słowa ocalałe z płomieni nijak nie pasują do sposobu myślenia islamskich fundamentalistów, choć przypuszczam, że ojciec Domenico wie o tym lepiej niż ja.- Co masz na myśli?

- W tej sprawie jest coś dziwnego, coś, czego nie dostrzegamy, mimo że mamy to tuż przed nosem.

- Jak sądzisz, co to takiego?

- Nie wiem! Ale te zdania... przeczytałem raz jeszcze Koran, zajrzałem do tekstów arabskich myślicieli, jednak to nie ich styl, nie ich sposób wyrażania się.

- Ale specjaliści z Centrum do Walki z Terroryzmem nie mają wątpliwości, że zamach we Frankfurcie był dziełem Stowarzyszenia. Panetta i Lucas stwierdzili to bardzo wyraźnie, zresztą Stowarzyszenie przyznało się do zamachu. Zawsze tak robi.

- Ja też nie mam wątpliwości, że zbrodni dokonało Stowarzyszenie, ale... sam nie wiem, czuję, że w tej sprawie jest coś więcej, znacznie więcej. Dlatego chciałbym spędzić tu jakiś czas, mam nadzieję, że niedługo. Choć pewnie trudno ojcu w to uwierzyć, tęsknię za moim nowym, dopiero co rozpoczętym życiem w Bilbao. Moi tamtejsi współbracia są wspaniali.

- Zrób to, co uznasz za stosowne, mój synu, byleś tylko wywiązał się z zadania. I nie patrz na zegarek ani na kalendarz, pośpiech jest złym doradcą.

- Mam jednak nadzieję, że nie zabawię tu długo.

- Wezwę Domenica.

- Dobrze, dziękuję.

- Nadal nie jesteś do niego przekonany?

- Bynajmniej, przecież wie ojciec dobrze, że go cenię, choć nasze sposoby pracy bardzo się od siebie różnią.

- Tak, wiem, cóż jezuita i dominikanin... a jednak obaj służycie Kościołowi równie skutecznie.

Ovidia Sagardię kosztowało sporo czasu i cierpliwości znalezienie wspólnego języka z Domenikiem Gabriellim, człowiekiem ostrożnym i nieufnym, a w pracy pedantycznym i chorobliwie upartym. Zdaniem Ovidia Domenicowi brakowało wyobraźni, Domenico z kolei uważał, że jezuita grzeszy jej nadmiarem.

- Ojcze, czy mogę zająć mój dawny gabinet? - chciał wiedzieć Ovidio.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Wprowadziliśmy zmiany w departamencie, dopilnuję jednak, by przygotowano ci odpowiednie miejsce do pracy.

- Dziękuję - rzucił Ovidio oschle, nie bez urazy w głosie. Był zły, że jego gabinet zdążył już zmienić właściciela.

- Chyba się nie gniewasz?

- Nie, skądże znowu!

- Ovidio, mnie nie oszukasz! Zdecydowałeś się odejść, ale my zostaliśmy i musimy kontynuować pracę.

- Rozumiem, ojcze, rozumiem.

- No, to doskonale. A teraz do roboty!

Biskup polecił wezwać Domenica. Wiedział, że będzie musiał poprzeć jezuitę, zwłaszcza że Domenico nie rozumiał Ovidia, nie mógł więc zdawać sobie sprawy z przeżywanego przez niego kryzysu. Zdaniem Domenica zwątpienie u kapłana to rzecz niedopuszczalna, nie ma bowiem nic wznioślejszego aniżeli służba Kościołowi. On sam czuł się osobą uprzywilejowaną i codziennie dziękował Bogu za powołanie. Czuł się również uprzywilejowany jako pracownik Watykanu przydzielony do sekcji zajmującej trzecie piętro, gdzie analizowano wszystko, co działo się na świecie, i badano wpływ tych wydarzeń na Kościół.

Przez godzinę biskup rozmawiał z Ovidiem i Domenikiem, następnie poprosił ich, by połączyli swe siły, gra idzie bowiem o dużą stawkę.

Gdy zostali sami, Ovidio domyślił się ze spojrzenia dominikanina, że ten nie potrafi zrozumieć, dlaczego wrócił. Na dobrą sprawę on sam tego nie rozumiał. Ostatnio za bardzo ulegał impulsom, choć tym razem decydujący okazał się wpływ ojca Aguirre. Jego dawny protektor postawił go oko w oko z rzeczywistością, od której on próbował się odwrócić -

rzeczywistością był między innymi ciążyący na nim obowiązek rozwiązania sprawy dotyczącej zamachu terrorystów islamskich we Frankfurcie.

14

Chłopak szedł szybkim krokiem stromą uliczką, jedną z wielu prowadzących do serca dzielnicy Albaicin. Był wysoki, dobrze zbudowany, miał kręcone włosy i czarne jak węgiel oczy. Przemykał się ostrożnie, bojąc się, że zostanie rozpoznany. Właśnie dlatego wybrał się do domu przyjaciela po zmroku. Liczył, że zastanie Mohameda i że o tej porze Darwish, głowa rodziny Amirów, pilnuje placu budów. Bał się go, dobrze pamiętał, jak kiedyś surowo napiętnował zachowanie jego oraz syna. Próbował nawet wszelkimi sposobami zniszczyć ich przyjaźń, właśnie dlatego wysłał syna do Frankfurtu.

Ali dowiedział się po powrocie Mohameda od znajomego, który nadal odwiedzał Czerwony Pałac i usłyszał od Paca, że ich „niemiecki” koleżka zawitał do Granady. Zdumiał się oczywiście na wiadomość, że Omar chce go natychmiast widzieć. O spotkanie z Omarem nie było łatwo, był to nie lada zaszczyt, bo główny przedstawiciel Stowarzyszenia w Hiszpanii nie tracił czasu na rozmowy ze zwykłymi mudżahedinami takimi jak on.

Ali zawdzięczał mu nowe życie, podobnie jak wielu jemu podobnych, których Omar wyratował z nędzy moralnej, w której tkwili. Nadał sens eh bytowi, przypominając im o istnieniu wszechmocnego Allana oraz o słowach Mahometa, jego proroka.

Świat mógł się zmieniać, ale muzułmanie powinni się zjednoczyć, by wystąpić przeciwko chrześcijanom - wrogowi słabemu i zdeorientowanemu.

Tak więc Ali rzucił zajęcie dealera i stał się bojownikiem gotowym zabijać i umrzeć.

Z początku Omar zlecił mu kilka nieznaczących misji - Ali wystąpił w roli łącznika pomiędzy różnymi komórkami organizacji, pewnego dnia Omar zapytał go jednak, jak daleko jest gotowy się posunąć i, zadowolony z odpowiedzi, wysłał go do Maroka, by wraz z innymi braćmi wysadził w powietrze hotel w Tangerze odwiedzany przez zagranicznych gości. Operacja zakończyła się sukcesem, wysłali na tamten świat piętnastu turystów: ośmiu Hiszpanów, dwóch Amerykanów, trzech Brytyjczyków i francuską młodą parę.

Policja nie zdołała wytropić sprawców i nic dziwnego - Omar dopracował wszystko do ostatniego szczegółu. Teraz prosił Alego, by wyszedł z ukrycia i odnowił znajomość ze starym przyjacielem Mohamedem Amirem.

Pod drzwiami jego domu Ali rozejrzał się na prawo i lewo, by upewnić się, że nikt go nie śledzi, następnie przycisnął mocno dzwonek. Usłyszał kroki, po czym drzwi się otworzyły.

Mohamed zamarł wpatrzony w młodego człowieka, którego rysy ginęły w półmroku, ale po sekundzie rozpoznał starego druha.

- Ali!

Wzruszeni padli sobie w objęcia. Tyle razem przeżyli, odkąd ich rodziny wyemigrowały z Maroka do Hiszpanii w poszukiwaniu pracy! Chodzili do jednej klasy, razem snuli marzenia o tym, co zrobią, gdy dorosną. Razem wypalili po kryjomu w szkolnej łazience pierwszego papierosa i razem zaczęli handlować haszyszem oraz popalać skręty w tajemnicy przed rodzicami.

Dom Alego znajdował się dwie ulice dalej, choć od prawie trzech lat stał pusty, bo jego rodzina po latach pracy i oszczędzania wróciła do swego marokańskiego miasteczka. Ojciec otworzył razurę, którą prowadził, zadowolony z życia, razem z dwoma młodszymi synami. Siostry otrzymały korzystne propozycje małżeńskie i choć były prawie dziećmi - starsza miała siedemnaście lat, młodsza piętnaście - założyły już rodziny.

- Wejdz, wejdz... Rozpytywałem o ciebie na mieście, ale nikt nie potrafił mi powiedzieć, gdzie cię szukać... Jak się dowiedziałeś o moim przyjeździe?

- Od Paca, a raczej od znajomego, który nadal zagląda do jego lokalu. Słyszałem, że się ożeniłeś... Wierzyć mi się nie chce!

- Tak, ożeniłem się z siostrą Hasana al-Jariego, wdową po moim kuzynie Jusufie.

- Wiem, że Jusuf zginął śmiercią męczennika.

- To prawda. Hasan uczynił mi wielki zaszczyt, oddając mi za żonę swoją siostrę. Teraz mam dwoje dzieci. No, ale wejdz, każę matce i Fatimie podać kolację, musimy porozmawiać.

- Tak, po to właśnie przyszedłem.

Rozsiedli się wygodnie w salonie i zaczęli gawędzić o dzieciństwie, podczas gdy kobiety obsługiwały ich przy stole. Gdy skończyli jeść i zostali sami, Ali zaczął wyjaśniać Mohamedowi powód swojej wizyty.

- Omar opowiedział mi o wydarzeniach we Frankfurcie. Gratuluję i cieszę się, że przeżyłeś.

- Nie wzbraniałem się przed śmiercią - zapewnił Mohamed chępliwie.

- Wiem, ja też jestem gotowy umrzeć dla sprawy.

- Ale... Omar... Znasz go? Wiesz, kim jest?

- Owszem, należę do Stowarzyszenia. Omar mnie zwerbował.

- Jak to?

- Siedziałem w więzieniu. Przyskrzynili mnie podczas akcji przeciwko handlarzom narkotyków. W pudle poznałem innych więźniów muzułmańskich. Jeden z nich mówił nam o sensie życia i śmierci, o tym, że nie powinniśmy marnotrawić czasu, bo toczy się właśnie bitwa, być może decydująca, między muzułmanami i chrześcijanami. Tym razem zwycięstwo jest możliwe.

- Za co ten mężczyzna trafił do więzienia?

- Oskarżono go o ukrywanie członka naszej organizacji, poza tym jego nazwisko pojawiło się w dokumentach, które znaleziono przy mudżahedinach zatrzymanych w innych miejscach. Wredne psy! Dziękuję Allahowi, że zetknął mnie z tym człowiekiem. To właśnie on otworzył mi oczy na światło i poznałem, tak jak ty, sens życia.

Ali opowiedział Mohamedowi, że właśnie od owego współwięźnia dostał adres w Granadzie, gdzie udzielono mu schronienia i umożliwiono przemianę w świętego wojownika Allacha, nie krył przed nim również szczegółów zamachu w Tangerze. Obaj poczuli, że łączące ich kiedyś więzy przyjaźni są teraz silniejsze niż kiedykolwiek. Los skierował ich na tę samą drogę.

- Będę mógł poznać Omara? Hasan nie pozwolił mi się z nim kontaktować, tylko czekać, aż sam mnie wezwie. Zazaczył, że może się to stać lada chwila, bo trzeba dokończyć zadanie rozpoczęte przez Jusufa i pozostałych braci, którzy zginęli w apartamencie we Frankfurcie.

- Omar chce cię widzieć. Hasan powiadomił go o twoim przejeździe i powiedział mu, czego od ciebie oczekuje. Nie mów Omarowi, że się przed tobą zdradziłem, ale coś mi się zdaje, że chce ci powierzyć misję, choć nie wiem jeszcze jaką. Być może i ja wezmę w niej udział.

- Misję? - W głosie Mohameda zabrzmiał niepokój. Nie doszedł jeszcze do siebie po frankfurckiej przygodzie.

- Tak, tak mi się przynajmniej wydaje. Ale dowiesz się wszystkiego od Omara, masz się do niego zgłosić.

- Kiedy?

- Przyjdę po ciebie za dwa dni. Masz być gotowy.

- O której godzinie? Dokąd mnie zabierzesz?

- Jeszcze nie wiem, Omar jest w ciągłym ruchu.

- Zakładam, że prowadzi jakąś fikcyjną działalność...

- Pewnie! Jest właścicielem kilku biur podróży. Przemieszcza się nie tylko po okolicach Granady, ale po całej Andaluzji. Kontaktuje się regularnie z Hasanem i jest naszym duchowym przewodnikiem, wszyscy jesteśmy mu posłuszni.

- Wiem, słyszałem o Omarze w Niemczech, ale nigdy nie przypuszczałem, że poznam go osobiście.

- Poznasz, poznasz... Jest jeszcze coś... trudno poruszać mi z tobą ten temat, ale... Omar niepokoi się o twoją siostrę.

Mohamed zamarł, żyły na jego prawej skroni zaczęły pulsować, przyprawiając go o nagły ból głowy.

- Cóż może niepokoić osobę tak ważną jak Omar w kobiecie tak mało znaczącej jak Laila?

- Twoja siostra nie chce się podporządkować zasadom, nie postępuje... nie miej mi tego za złe... jak przykładowa muzułmanka. Mąci w głowach naszym kobietom, spotyka się z nimi, by rozmawiać o Koranie, prowadzi modły... Wiesz, że to jest niedopuszczalne. Poza tym Laila zachowuje się jak chrześcijanka, ubiera się jak one, odwiedza lokale, do których prawdziwa muzułmanka nigdy by nie weszła.

- Moja siostra jest bardzo młoda, ma dobre chęci.

- Twoja siostra gorszy całą wspólnotę swoim zachowaniem, powinna skończyć z tym grzesznym procederem, musi to zrobić. Mohamedzie, wiem, że bardzo kochasz Lailę, dlatego ostrzegam cię: jeśli nie wpłyniesz na nią i nie sprowadzisz jej na właściwą drogę, Omar będzie musiał podjąć decyzję smutną dla wszystkich. Porozmawiaj z ojcem, to on rządzi u was w domu, powinien więc wiedzieć, jak się zachować; choć wielu z naszych ludzi jego właśnie wini za naganne zachowanie Laili.- Załatwimy tę sprawę w gronie rodzinnym - obiecał Mohamed.

- Oby tak było, bo inaczej... nie sądzę, by Laila mogła długo jeszcze gorszyć wspólnotę swymi postępami.

Potem rozmawiali przez chwilę o starych czasach, o wspólnym dzieciństwie i młodości spędzonej na ustronnych uliczkach Albaicin. Ich przyjaźń nie ucierpiała mimo upływu lat, choć nie byli już ludźmi wolnymi, nie mogli pomagać sobie tak jak kiedyś.

Żegnali się właśnie na progu domu, gdy nadeszła Laila.

- Ali! Co za niespodzianka!

- Cześć, Lailo.

- Dawno u nas nie byłeś, myślałam, że wyniosłeś się z Granady.

- Tak właśnie było.

- Cieszę się, że cię widzę. Już wychodzisz?

- Tak, wpadłem tylko odwiedzić Mohameda.

Ali pożegnał się z nią pospiesznie i oddalił się żwawym krokiem. Po chwili zniknął w półmroku zalewającym Albaicin.

Laila weszła do domu, za nią wszedł Mohamed. Nie odzywali się do siebie, odkąd Mohamed ją uderzył. W rzeczywistości powrót Mohameda zakłócił spokój w ich domu. Ojciec zdawał się otaczać syna bezkrytyczną czcią, w oczach matki malował się lęk. Fatima przemykała się pod ścianami jak cień, a jej pociechy były przerażone. Nie zachowywały się jak normalne dzieci: nie biegały po domu, nie pokrzykiwały, nie śpiewały...

- Chodźmy do jadalni, muszę z tobą porozmawiać. Popchnął ją w kierunku salonu. Laila zawrzała wściekłością, zdołała jednak nad sobą zapanować - wiedziała, że jej opór może tylko wszystko pogorszyć.

- Byłem cierpliwy, liczyłem, że pójdziesz po rozum do głowy, tymczasem ty nadal obstajesz przy swoim, dlatego jestem zmuszony podjąć kroki, które ci się nie spodobają.

- Grozisz mi? - wyszeptła Laila.

- Nie, ostrzegam, a raczej daję ci ostatnią szansę. Nie ściągaj nieszczęścia na siebie i na nasz dom.

Ku zdumieniu Laili w głosie Mohameda oprócz złości pobrzmiwała udreka.

- Powiedziałam ci to przedtem, a teraz powtórzę: mam hiszpańskie obywatelstwo, jestem pełnoletnia, nic nie możesz mi zrobić, nie masz nade mną władzy. Szanuję cię i oczekuję, że i ty będziesz mnie szanował. Nie robię niczego, czego mogłabym się wstydzić lub co okrywałoby wstydem naszą rodzinę.

- W dalszym ciągu spotykasz się z tymi kobietami, przewodzisz modłom, nauczasz Koranu. Musisz z tym skończyć.

- Nie robię niczego złego, mogę ci to udowodnić. Chętnie zabiorę cię jutro do pewnej wyjątkowej osoby, do świętego męża, który potwierdzi, że jestem przykładną muzułmanką. Może on cię przekona. Posłuchaj, nie ulegnę naciskom fanatyków i nie ugnę się przed twoimi groźbami. Proszę, zgódź się mi jutro towarzyszyć.

Mohamed przeszył ją wzrokiem, ręka znów go świerzbila. Czuł się bezsilny wobec uporu siostry, który, był tego pewien, ściągnie na nich wielkie nieszczęście. A jednak ciekawiło go, o jakim świętym mężu mówi Laila.

Nie odpowiedział, tylko wypadł z jadalni, by nie dać się ponieść wściekłości. Laila odetchnęła z ulgą, bo zdążyła dostrzec dziki błysk w oczach brata. Poszła do swojego pokoju, wiedząc, że mało brakowało, a brat znów podniósłby na nią rękę.

15

Carmen i Paula spoglądały przez żaluzje młodego człowieka, który z chodnika po drugiej stronie ulicy obserwował bramę budynku, gdzie mieściła się kancelaria adwokacka. Laila miała właśnie spotkanie z coraz liczniej przybywającymi współwyznawczyniami, które chciały zapoznać się z jej interpretacją Koranu.

Carmen i Paula przeczuwały, że natręt z przeciwka ściągnie na nie kłopoty, i choć nie miały odwagi powiedzieć tego na głos, bały się o Lailę.

- Czy to nie Mohamed? - zapytała Paula, wskazując drugi koniec ulicy, skąd nadchodził właśnie brat Laili.

- Chyba tak, choć sama nie wiem... tak dawno go nie widziałyśmy... - odparła Carmen.

Przyjaciółki popatrzyły po sobie bez słowa, gdy domniemany brat Laili i mężczyzna stojący na chodniku wymienili spojrzenia, jakby się znali, choć nie zagadali do siebie. Zaraz potem Mohamed wszedł do bramy i niecałe dwie minuty później u drzwi kancelarii zadzwieczał dzwonek.

- To pewnie on - zawołała Carmen. - Pójdę otworzyć.

Mohamed potraktował z rezerwą przyjaciółki siostry. Odpowiadał monosylabami na pytania i trajkotanie dwóch prawniczek, które poprosiły, by zaczekał na Lailę w gabinecie. Zerkał na nie speszony, żałując, że pod wpływem impulsu zjawił się w kancelarii, by powiedzieć siostrze, że chętnie pójdzie z nią poznać domniemanego świętego męża.

Kilka minut później usłyszał liczne kobiece głosy mówiące po arabsku. Chętnie przysłuchałby się uważniej tym rozmowom, ale Paula i Carmen nie przestawały zasypywać go pytaniami i wychwalać pod niebiosa Lailę.

- To świetna prawniczka - szczebiotała Paula. - Większość naszych klientek chce, by właśnie Laila prowadziła ich sprawy, twoja siostra wygrała już kilka procesów, więc klientki polecają ją sobie wzajemnie.

- Dzisiaj znów dostaliśmy z sądu zawiadomienie o kolejnej sprawie wygranej przez Lailę - wtrąciła Carmen. - Potworna historia, przemoc w rodzinie... Mąż znęcał się nad żoną na oczach dzieci. Aż strach pomyśleć, co te biedactwa wycierpiały, patrząc na bitą i płaczącą matkę. Ten bydlak wszystkiemu zaprzeczał, ale twoja siostra jest skrupulatna jak mróweczka; udało jej się wykazać, że ich dom był prawdziwym piekłem.

Nareszcie otworzyły się drzwi gabinetu Carmen i weszła Laila. Spojrzała na brata osłupiała, nie wiedząc, co powiedzieć ani co zrobić. Mohamed wstał z fotela i zdobył się na uśmiech, bardziej z przymusu niż z własnej woli.

- Wpadłem po ciebie. Wczoraj powiedziałaś, że chcesz mi kogoś przedstawić, może masz teraz chwilę...

- Tak... pewnie... skończyłam właśnie zajęcia z moimi uczennicami i jestem wolna. Zamierzałam trochę popracować przed powrotem do domu, ale mogę to odłożyć na później.

- W takim razie chodźmy - rzucił Mohamed szorstko. Pożegnawszy się z Carmen i Paulą, wyszli w milczeniu, czując się nieswojo w swoim towarzystwie. Mohamed poszukał wzrokiem znajomego stojącego przedtem na chodniku, ale już go tam nie było. Poczul ulgę, choć sam nie wiedział dlaczego.

- Kim jest ten święty mąż? - dopytywał się Mohamed.

- Znasz go, choć być może go nie pamiętasz.

- Kto to taki? - powtórzył pytanie Mohamed.

- Jalil al-Basari.

- Nie kojarzę.

- Pochodzi z Fezu, choć od wielu lat mieszka w Granadzie. Gdy byliśmy mali, ojciec zapraszał go czasami do nas, gdy przejeżdżał w odwiedziny do córki, która wyszła za Hiszpana. Po śmierci żony opuścił Fez i zamieszkał u córki.

- I ty chcesz, żebym bratał się z osobami tego pokroju!

- To dobrzy ludzie. Jalil jest nauczycielem, dawał lekcje w medresie. To *alim* szanowany i tutaj, i w Maroku. Mówi o pokoju, o pojednaniu między ludźmi, wzywa do szacunku wśród narodów i religii, broni praw kobiet.

- Chyba nie warto, byś przedstawiała mi tego całego Jalila. Jeśli myśli to, co mówisz, nie jest jednym z nas.

- Nie osądzaj go przedwcześnie, jeszcze go nie poznałeś. Zaufaj mi, zobaczysz, że jego słowa pokrzepią cię na duchu i jeszcze bardziej zbliżą do miłosiernego Allacha.

- Gdzie ten Jalil mieszka?

- Niedaleko stąd, w centrum.

- Dlaczego nie w Albaicin?

- Przecież ci mówiłam, że mieszka u córki. Salima jest nauczycielką w szkole publicznej, do której uczęszcza wiele marokańskich dzieci. Uczy je hiszpańskiego i zapoznaje z tutejszymi zwyczajami, budując pomost między dwoma kulturami. To bardzo serdeczna kobieta, zawsze ma dobry humor.

- A co robi jej mąż?

- Prowadzi sklep z kawą, herbatą i przyprawami. Poczciwy z niego człowiek, bardzo szanuje swoją żonę. Mają trójkę małych dzieci, będziesz miał okazję je poznać.

Mohamed doszedł z Lailą aż do domu, w którym znajdował się sklep zięcia Jalila - przestronny, jasny lokal, gdzie na niezliczonych półkach porzastawiano najprzeróżniejsze rodzaje kawy, herbaty, konfitur, miodu i przypraw.

Wszedłszy do sklepu, Laila pozdrowiła radośnie Carlosa, zięcia Jalila. Sklepiarz uściskał dłoń Mohameda i zaprosił gości na zaplecze, gdzie jego żona, Salima, przytuliła właśnie herbatę dla ojca.

Gospodyni uściskała serdecznie Lailę, przyglądając się z ciekawością Mohamedowi.

- Opowiadałam wam o moim bracie, bardzo mi zależało, żebyście go poznali.

Oczy Jalila wpatrzone były w pustkę, ale starzec zwracał głowę ku Laili. Mohameda zadziwił elegancki wygląd ślepego - starzec miał na sobie nieskazitelną burnus z cienkiej wełny, tak biały jak kolor jego włosów. Zwrócił również uwagę na jego dłonie o długich palcach i dobrotliwy uśmiech.

- A więc to ty, Mohamedzie - powitał go Jalil. - Laila dużo nam o tobie opowiadała.

Mohamed milczał zafascynowany tym skromnie, lecz elegancko ubranym starcem.

- To zaszczyt pana poznać - wybąkał tylko.

Ślepiec się uśmiechnął. Wyczuwał zmieszanie młodego gościa.

- Chodź, usiądź przy mnie. Napijecie się z nami herbaty. Salimo, córeczko, możesz nalać herbaty naszym gościom?

- Tak, ojczu, już wyjmuję filiżanki. Macie ochotę na ciasteczka? Sama piekłam.

- Czym się zajmujesz, Mohamedzie? - zapytał Jalil, wiedząc, że młody człowiek nie spodziewał się tak bezpośredniego pytania.

- Cóż, teraz mam akurat wakacje, ale skończyłem studia na wydziale turystyki, pracowałem w Niemczech.

- Na długo przyjechałeś?

- To zależy... może będę musiał wyjechać, jeszcze nie wiem.

- Rozumiem - mruknął starzec, z lubością popijając herbatę. Laila wyczuwała skrępowanie brata, postanowiła jednak nie przychodzić mu w sukurs. Domyślała się, że czuje się niepewnie przy Jalilu i jest zdziwiony wyglądem Salimy ubranej na zachodnią modłę - w spodnie i bez chusty na głowie.

- Jutro odwiedzi cię przysłana przeze mnie kobieta - powiedziała gospodyni do Laili. - To matka moich dwóch uczennic, udało mi się ją przekonać, że nie może dłużej znosić w milczeniu razów męża.

Salima zerknęła kątem oka na Mohameda, który wiercił się niespokojnie na krześle. Mimo to postanowiła mówić dalej:

- To młoda dziewczyna, nie ma nawet trzydziestu lat. Dzień w dzień zjawia się w szkole z sińcami na twarzy, a wczoraj przyszła nie tylko z podbitym okiem, ale również ze złamaną ręką. Jej córeczki są przerażone, widząc, jak ojciec znęca się nad ich mamą. Boję się, że pewnego dnia dojdzie do tragedii. Może będziesz mogła pomóc tej biedaczce.

- Przecież wiesz, że wszystko zależy od niej, musi się zgłosić na policję - tłumaczyła Laila. - Dopiero wtedy będziemy mogli postarać się dla niej o tymczasowe schronienie w ośrodku dla ofiar przemocy domowej, gdzie zostanie, dopóki nie wyjaśni się jej sytuacja prawna. Ja nie mogę nic zrobić, jeśli sama nie poprosi o pomoc.

- Tak, wiem... Ale przynajmniej jej wysłuchaj. Niełatwo jest podjąć taką decyzję, przecież to straszne musieć donieść na własnego męża. Tak trudno mi patrzeć, jak cierpi, wiedząc, że być może już na zawsze skazana jest na to piekło...

- Zrobię, co w mojej mocy.

Jalil i Mohamed przysłuchiwali się rozmowie w milczeniu. Mohamed oburzał się w duchu, że starzec nie interweniuje i nie próbuje odwieść Salimy i Laili od tego, co zamierzają zrobić.

- A co ty sądzisz o mężu podnoszącym rękę na żonę? - zapytał go niespodziewanie Jalil.

- Uważam, że nikt nie powinien wtrącać się do cudzego życia małżeńskiego, a tym bardziej namawiać kobietę, by doniosła na własnego męża. Koran uczy, jak należy karać nieposłuszną żonę. Oczywiście kara musi być proporcjonalna do przewinienia. Nie chcę, by moja siostra wtrącała się do prywatnych spraw przykładowej muzułmańskiej rodziny.

- Dlaczego sądzisz, że mowa o muzułmanach? - rzuciła Salima. - Raczej przyjąć do wiadomości, że oboje są Hiszpanami z Granady, a do tego chrześcijanami.

- Tak czy owak, uważam, że nikt nie powinien się wtrącać do ich spraw. Skoro mąż bije żonę, pewnie ma powody.

- A ty to pochwalasz?

- Oczywiście! Czyżbyśmy mieli kwestionować naszą świętą księgę?

- Pytałem, czy pochwalasz przemoc między ludźmi, mniejsza o powody... - nalegał starzec.

- Koran uczy...

- Mohamedzie, proszę, zostaw Koran w spokoju! Ludzie zawsze dokonywali straszliwych czynów w imię Koranu lub Biblii! Zasłaniamy się świętymi tekstami, próbując usprawiedliwić to, czego usprawiedliwić się nie da.

Głos Jalila al-Basariego był pełen energii, ale również ciepła. Starzec pozwolił sobie nawet na kpiący uśmiech, co wyjątkowo zirytowało Mohameda.

- Moja siostra mówiła, że jest pan świętym mężem, poważanym *alim*, a ja widzę tylko starca kwestionującego Szlachetny Koran.

- Uważasz, że kwestionuję Szlachetny Koran? Powiedz, proszę, dlaczego tak sądzisz.

- Nie przyszedłem tu dyskutować. Dziękuję za gościnę, ale musimy już iść - stwierdził Mohamed, spoglądając na siostrę.

- Przed czym uciekasz? - zapytał znów sędziwy Jalil.

- Uciekam? Ja wcale nie uciekam! - W tonie głosu Mohameda pobrzmiwały histeria i strach.

- W takim razie nie spiesz się tak, dopij herbatę i nie próbuj wymigać się od rozmowy ze starcem.

Mohamed spuścił z rezygnacją głowę. Jalil go peszył. Mohamed pomyślał, że to szczwany lis, który ugryzie go przy najmniejszej chwili nieuwagi

- Zostawmy w spokoju Koran i pomówmy o dobru i o złu. Nie uważam, by ktokolwiek miał prawo poniżać lub torturować bliźniego albo wyrządzać mu krzywdę. Niestety, zbyt często jesteśmy drugiemu człowiekowi wilkiem tylko dlatego, że myśli inaczej niż my, wierzy w innego Boga, modli się w inny sposób lub wcale się nie modli, pragnie żyć inaczej niż według nas żyć powinien... Tak, wiele jest spraw, które drażnią nas u innych i nas od nich dzieli, jednak żadna nie usprawiedliwia czynienia zła. Załóżmy, że zabijasz, by pomścić zniewagę, znęcasz się nad żoną, bo nie wywiązała się ze swoich obowiązków, lub kłamiesz, by ratować twarz przed swymi braćmi. Każda z tych rzeczy jest z gruntu zła. Musimy więc zapanować nad złem, które nosimy w sobie, walczyć z nim przez całe życie, starając się poskromić demona i nie pozwolić mu sobą kierować. Nie, Mohamedzie, nic nie usprawiedliwia znęcania się nad żoną, dzieckiem, psem ani nawet nad kwiatem. Myślisz, że Allah raduje się, gdy bijesz żonę? Nie, raczej lituje się nad jej cierpieniem i z gniewem patrzy na twój gniew.

Jalil al-Basari pograżył się w milczeniu, dopijając herbatę. Salima obserwowała z ukosa Mohameda i Lailę. W oczach przyjaciółki wyczytała rozpacz.

- Lada chwila wpadną do nas znajomi na popołudniowe modły. Zostaniecie? - zapytała, by przerwać ciszę, która zapanowała nagle na sklepowym zapleczu.

- Mam do załatwienia kilka spraw - próbował się wykręcić Mohamed.

- A ja zostanę - rzuciła Laila.

- O nie! Idziesz ze mną.

- Nie, zostanę, lubię słuchać Jalila, zawsze uczę się od niego czegoś nowego.

- Nie martw się. Jeśli się zasiedzimy, mój mąż i ja odprowadzimy Lailę do domu.

- Moja siostra wychodzi ze mną.

- Nie, zostanę.

Twarz Mohameda znów spurpurowiała z gniewu. Czuł wzbierającą wściekłość, nie chciał jednak wybuchnąć przed obcymi.

- Lailo, musisz mnie słuchać, lepiej wracajmy już teraz, jeśli się zasiedzisz, będziemy musieli czekać na ciebie z kolacją. Tłumaczenie to wydało się żalosne nawet jemu, nie przyszła mu jednak do głowy żadna inna wymówka, by skłonić siostrę do wyjścia. Wiedział tylko jedno - Laila pozna na własnej skórze siłę jego pasa za to, że wpakowała go w ten bigos. Gdy tylko wróca do domu, spuści jej lanie, a jego sumienie, zaśmiał się w duchu, nie ucierpi z powodu siostrzanych łez i bólu.

- Chciałbym, żebyście zostali oboje - odezwał się Jalil. - Chłopcze, myślę, że z przyjemnością z nami porozmawiasz i pomodlisz się. Na pewno ci to nie zaszkodzi.

- No, dobrze... - Mohamed nie znalazł nowej wymówki.

- W takim razie postanowione, zostajecie. Nasi znajomi będą tu lada moment.

Kilka minut później Carlos, mąż Salimy, wszedł na zaplecze, zawiadamiając o przybyciu wiernych.

Z wyczuciem oraz troskliwością Salima i Laila pomogły Jalilowi wstać i wprowadziły go po schodach do mieszkania na piętrze.

Mohamed ze zdziwieniem stwierdził, że jego siostra dobrze zna wszystkich przybyłych. Zgorszyła go swoboda - jego zdaniem bezwstydna i wyuzdana - z jaką odnosili się do siebie mężczyźni i kobiety. Miał ochotę zganić niektóre z kobiet, że chodzą z odkrytą głową, a z ubioru bardziej przypominają chrześcijanki niż muzułmanki, wołał jednak siedzieć cicho - czuł się nieswojo w tym towarzystwie.

Usiedli na poduszkach porozkładanych na podłodze wokół Jalila, który siedział na taborecie. Po jego prawej stronie usiadły kobiety, po lewej - mężczyźni.

- Proponuję, żebyśmy porozmawiali dzisiaj o przemocy - odezwał się Jalil.

Szmer akceptacji wywołał uśmiech na twarzy starca.

- Przed waszym przyjściem rozmawialiśmy o prawie męża do wymierzania kar cielesnych żonie. Nasz przyjaciel Mohamed uważa, że Szlachetny Koran daje nam takie prawo.

Starszy mężczyzna, na oko rówieśnik Jalila, podniósł rękę.

- Nie ma wątpliwości, że nasz przyjaciel Mohamed dobrze zna Koran. Sura czwarta, werset trzydziesty czwarty uczy na przykład:

Mężczyźni stoją nad kobietami ze względu na to, że Bóg dał wyższość jednym nad drugimi, i ze względu na to, że oni rozdają ze swojego majątku. Przeto cnotliwe kobiety są pokorne i zachowują w sbytości to, co zachował Bóg. I napominajcie te, których nieposłuszeństwa się boicie, pozostawiajcie je w łóżach i bijcie je! A jeśli są wam posłuszne, to starajcie się nie stosować do nich przymusu. Zaprawdę, Bóg jest wzniosły, wielki!...

Mohamed z wdzięcznością popatrzył na mężczyznę, który wyrecytował właśnie z pamięci fragment Koranu przedstawiający czarno na białym prawa mężczyzny do karania żony. Z ulgą przekonał się, że wśród tych dziwnych ludzi nie wszyscy zachowują się jak niewierni.

- Chrześcijanie i żydzi dawno już przestali interpretować Biblię dosłownie, uważają ją za księgę napisaną pod natchnieniem bożym, wiedzą jednak, że Bóg, dyktując Pismo Święte, brał pod uwagę ówczesne realia. Dlatego właśnie chrześcijanie i żydzi biorą pod uwagę ducha biblijnych słów, nie traktują ich jednak dosłownie, bynajmniej nie dlatego, że są małej wiary, ale ponieważ uważają, że Bóg chciał, by świat zmieniał się dzień za dniem, rok za rokiem, wiek za wiekiem. Liczy się wiara w Boga, a nie to, czy prorok Eliasz rzeczywiście wstąpił do nieba na wozie ognistym.

Wyjaśnienie Carlosa, męża Salimy, poraziło Mohameda. To były słowa niewiernego.

- Czy to znaczy, że nie powinniśmy postępować wedle nauki Szlachetnego Koranu? - zapytał.

- To znaczy, że powinniśmy iść za jego duchem, nie słowem. W surze czterdziestej dziewiątej, wersecie szesnastym czytamy: *Czyż będziecie pouczać Boga o waszej religii, skoro Bóg wie, co jest w niebiosach i co jest na ziemi? I Bóg o każdej rzeczy jest wszechwiedzący?! A nieco dalej: Bóg zna to, co sbyte w niebiosach i na ziemi! I Bóg widzi jasno to, co wy czynicie!*

Zebrani słuchali uważnie mówiącego. Nikt mu nie przerywał, tego popołudnia wszystko kręciło się wokół nowego gościa - Mohameda.

Jalil był ślepy, ale najwyraźniej wiedział, gdzie siedzi każdy z gości, bo zwracając głowę w stronę Mohameda, powiedział:

- Bóg jest litościwy. Sura pięćdziesiąta trzecia, werset trzydziesty drugi mówi:

Tych, którzy unikają wielkich grzechów i szpetnych czynów, z wyjątkiem lekkich występków - zaprawdę, twój Pan jest wszechogarniający w Swoim przebaczeniu! On znał was najlepiej, kiedy stworzył was z gliny i kiedy byliście embrionami w łonach waszych matek. Przeto nie uważajcie samych siebie za oczyszczonych. On zna najlepiej tych, którzy są bogobojni!

* Wszystkie cytaty z Koranu w przekładzie J. Bielawskiego, 1986, źródło: Internet.

- Czuję się pokrzepiony na duszy, słuchając Szlachetnego Koranu - powiedział z uniesieniem jeden z młodszych uczestników spotkania. - Nawet wiedząc, że Bóg wszystko widzi i wszystko wie, zawsze mogę wspomnieć jego litościwość i liczyć na przebaczenie wszystkich przewinień, jakich mogę się dopuścić.

- Tak, ale nie chodzi o to, by robić, co niegodne - zauważył Jalil - licząc na bożą litość. Allah oczekuje od nas czegoś więcej.

Młody człowiek spuścił głowę zawstydzony, że dał się ponieść entuzjazmowi, był jednak pewien, że boże miłosierdzie ogarnia wszystko, cokolwiek zrobi w życiu.

Mohamed odchrząknął, zanim zdecydował się odezwać. Ci starcy znali Szlachetny Koran lepiej od niego, ale przecież podczas pobytu w Pakistanie, w medresie, do której wysłał go Hasan, spędził wiele godzin na studiowaniu świętej księgi - wystarczająco dużo, by wiedzieć, że Jalil i jego znajomy cytują fragmenty Koranu wybiórczo, interpretując je po swojemu, na własny, niezbyt ortodoksyjny sposób. Postanowił zaryzykować i pochwalić się znajomością Koranu.

- A ten, kto nie wierzy w Boga i Jego Posłańca - My, zaprawdę, przygotowaliśmy dla niewiernych ogień płonący! - wyrecytował, przymykając oczy. *- Do Boga należy królestwo niebios i ziemi. On przebacza temu, komu chce; i On karze tego, kogo chce. Bóg jest przebaczący, litościwy!*

- No właśnie, sam przypomniałeś, że Bóg jest przebaczący i litościwy - odpowiedział Jalil. - Sura czwarta, werset czterdziesty mówi: *Zaprawdę, Bóg nie wyrządzi niesprawiedliwości nawet na ciężar jednego pyłku. A jeśli to będzie czyn dobry, to On go podwoi i da, ze Swojej strony, nagrodę ogromną.* Taki właśnie jest Bóg, tak przedstawia go nam Szlachetny Koran. Wszechmocny może nas ukarać, kiedy zechce i jak zechce, zarówno

nas, jak i niewiernych, wszystkie ziemskie istoty, a jednak Koran nie przestaje przypominać nam o boskim przebaczeniu i litości wobec nas, nieszczęsnych grzeszników. Cieszę się, że tak dobrze znasz Koran, Mohamedzie, teraz tylko musisz nauczyć się odpowiednio go interpretować i poczuć przebaczenie i litość, jakimi Bóg obdarza człowieka.

- A więc według pana Szlachetny Koran sprowadza się do boskiego przebaczenia i litości? - prychnął Mohamed.

Jalil zamilkł na krótką chwilę, po czym wbił w gości niewidzące źrenice i odpowiedział:

- Umiejętność przebaczenia naszym bliźnim i okazania im litości to ogromne wyzwanie dla nas, biednych śmiertelników. Ileż razy wpadamy w złość i dręczymy słowem lub czynem naszych bliskich! Wszystko dlatego, że nie potrafimy przebaczyć ich potknięć, a tym bardziej okazać im litości. Wejrzyj w swe serce i zapytaj siebie, ile razy potraktowałeś litościwie swego bliźniego. Odpowiedź na pewno nie przypadnie ci do gustu; ja czuję to samo, gdy zadaję sobie to pytanie.

- *A kto uczyni zło lub wyrządzi krzywdę swojej duszy, a potem prosi Boga o przebaczenie, ten znajdzie Boga przebaczącym, litościwym!* - wyrecytował głośno inny starzec.

Noc spowiła już Granadę, gdy Jalil zakończył zebranie. Mohamed ze zdziwieniem stwierdził, że dochodzi dziesiąta. Matka i Fatima na pewno się o nich niepokoją. Powiedział, że idzie tylko po Laile, a przecież od tamtej pory upłynęło już prawie pięć godzin.

Laila pożegnała się serdecznie z członkami tej różnorodnej grupy wyznawców Allacha. Mohamed miał okazję się przekonać, że wszyscy bardzo ją cenią.

Wyszli z domu w milczeniu i również w milczeniu skierowali się ku dzielnicy Albaicin.

Mohamedem targały sprzeczne uczucia. Z jednej strony dobrze się czuł w towarzystwie tych ludzi, z drugiej - miał ich za naiwniaków z uporem maniaka doszukujących się przebaczenia w każdym wersecie Koranu. Pomijali wszystko, co nie odpowiadało ich pragnieniu przebaczenia i litości.

Matka i Fatima czekały na nich w salonie wyraźnie zaniepokojone. Matka rzuciła się ku Laili i odetchnęła z ulgą, przekonawszy się, że córka jest cała i zdrowa, potem uśmiechnęła się do syna i zaprosiła oboje do stołu.

Laila wymówiła się od kolacji, tłumacząc się zmęczeniem i tym, że nazajutrz musi wczesnie wstać, bo o ósmej zaczyna lekcje. Mohamed, nie oglądając się na siostrę, ruszył do jadalni, gdzie Fatima podawała kolację.

Zjadł w ciszy, sam jeden, a żona obsługiwała go z pochyloną głową.

Mohamed spoglądał na nią spod oka, myśląc, że nadal go nie pociąga, mimo że poszedł z nią już parę razy do łóżka tylko po to, by nie poskarżyła się krewnym, że z nią nie obcuje. Hasan by mu tego nie wybaczył.

Burnus skrywał jej kształty, ale Mohamed wiedział, że jej ciało jest wyzbyte powabu, a włosy ukryte pod hidżabem mają nijaki ciemnokasztanowy kolor i są szorstkie w dotyku.

Tak, znów będzie musiał pójść do łóżka z Fatimą. Na szczęście schował w szufladzie tabakierkę z haszyszem - tylko z głową pełną narkotycznych oparów uda mu się zbliżyć do żony. Miał nadzieję, że Fatima zajdzie w ciążę i będzie mógł się wykręcić od współżycia z nią, na razie jednak nic w jej zachowaniu nie wskazywało, by była przy nadziei.

Gdy kończył jeść owoc granatu, do jadalni weszła matka Mohameda i usiadła naprzeciwko niego.

- Był tu Ali, pytał o ciebie.

- Co mówił?

- Że przyjdzie jutro. Synku, nie podoba mi się ten chłopak.

- Z tego, co wiem, przyjaźnisz się z jego matką, w każdym razie przyjaźniłaś się, gdy chodziłem z Alim do szkoły.

- Jego matka wyjechała niestety z Granady. Ale rodzina Alego mnie nie obchodzi, obchodzisz mnie ty i nie chcę, żebyś napytał sobie biedy. Jeśli będziesz się zadawał z Alim, źle skończysz.

- A to dlaczego?

- Ali trzyma z niebezpiecznymi ludźmi, ludźmi innymi niż my.

- A jacy my jesteśmy?

- Zmieniłeś się. Nie wiem, co z tobą zrobili w tym Frankfurcie czy Pakistanie, ale cię nie poznaję.

- Stałem się mężczyzną, matko.

- Tak, mężczyzną, który, obawiam się, pozwala sobą manipulować jak dziecko.

- Manipulować? Ja pozwalam sobą manipulować? - Mohamed podniósł głos, a w jego oczach zabłysła hamowana wściekłość. - Jestem mężczyzną, matko, mężczyzną, który ma rodzinę i pragnie naprawić świat, byśmy my, muzułmanie, nie byli już obywatelami drugiej kategorii, by nas szanowano. Najwyższy czas ukarać niewiernych i tak właśnie zrobimy. Bóg nas za to wynagrodzi.

- A kto powiedział, że musimy kogokolwiek karać? Dlaczego nie możemy żyć w pokoju? Ziemia należy do wszystkich, znajdzie się na niej miejsce i dla niewiernych. Niech każdy czci Boga tak, jak go nauczone w dzieciństwie.

- Matko, jak możesz tak mówić!

- Mówię tak, bo przeżyłam swoje i napatrzyłam się już na ludzkie cierpienie.

- Nikt cię nie skrzywdzi, zaufaj mi.

- Nie boję się o siebie, tylko o ciebie. Trzymaj się lepiej z daleka od Alego.

- W czym Ali ci zawinił?

- Zadaje się z najgorszymi przedstawicielami naszej wspólnoty, z ludźmi, którzy zioną nienawiścią. Manipulują nim jak lalką, z tobą będą chcieli zrobić to samo. Powiedzą ci, że jesteś mudżahedinem, że masz do wypełnienia świętą misję, ale to kłamstwo, oni tylko chcą, żebyś poświęcił dla nich życie.

- Każda inna matka byłaby dumna z syna męczennika.

- Mnie, Mohamedzie, wystarczy, żebyś żył. O nic więcej nie proszę.

- Nie mówisz jak bogobojna muzułmanka! Czyżbyś nie widziała, co się dzieje na świecie?

- Owszem, widzę ludzi, którzy chcą za wszelką cenę zgładzić innych ludzi, ale zamiast stanąć na pierwszej linii frontu, posyłają do walki was, naszych synów. Mamią was słowami, które zapadają wam w serce, ale wierz mi, synku, naprawdę nie wiem, za co umieracie.

Mohamed zerwał się z krzesła i wybiegł wściekły z jadalni. Nie chciał kłócić się z matką. Co ona może wiedzieć! Jest tylko prostą kobietą, ledwie umie czytać i pisać. Nic z tego, co mówi, nie ma sensu, bo nie wie, co się dzieje na świecie. Jest zwykłą poczciwiną i tyle.

16

Rankiem, gdy Laila wychodziła z domu, ku swemu zdziwieniu wpadła na progu na Alego, który miał właśnie zadzwonić do drzwi.

- Dzień dobry.

- Zostałem twojego brata?

- Tak, ale nie wiem, czy już wstał, zaczekaj, zawołam mamę. Laila weszła pospiesznie do domu i skierowała się do kuchni.

- Mamo, przyszedł Ali. Pyta o Mohameda.

- Tak wcześniej?

- Tak, zawołaj Mohameda.

- Nie podoba mi się...

- Mnie też się nie podoba, mamó, ale nic nie możemy na to poradzić. Mohamed jest mężczyzną, sam musi decydować o swoim losie.

- Nie, nie jest mężczyzną, to jeszcze dziecko.

Kobieta spojrzała na córkę strapioną i wyszła z kuchni, by zawołać syna. Ból ścisnął jej serce.

Ali czekał na Mohameda w salonie. Był zdenerwowany ociąganiem się przyjaciela. Wskazówki Omara brzmiały jasno - nie ma mowy o spóźnieniu. Gdy Mohamed w końcu się zjawił, Ali bez słowa wyjaśnienia powiedział, żeby się pośpieszył.

- Kazałeś mi na siebie czekać - zranił go.

- Gdy przyszedłeś, jeszcze spałem. Spieszyłem się, jak tylko mogłem, pod prysznicem byłem tylko minutkę i nawet nie wypłem kawy.

Szli szybko wąskimi uliczkami Albaicin. Ali milczał jak zakłętą, mimo nalegań przyjaciela pytającego raz za razem, dokąd go prowadzi.

Gdy doszli do centrum miasta, Ali ruszył brzegiem rzeki, nie przestając ani na chwilę zerkać za siebie.

- Na co się oglądasz? - zapytał Mohamed poirytowany. Nie doczekał się odpowiedzi, bo w tej samej chwili zatrzymał się tuż przy nich samochód terenowy i Ali wpełznął przyjaciela na tylne siedzenie. Za kierownicą siedział mężczyzna w średnim wieku o czarnych włosach i przystrzyżonych wąsikach. Nawet ich nie pozdrowił. Zresztą Ali również sienie odezwał, więc Mohamed postanowił wziąć z niego przykład.

Wyjechali z miasta i skierowali się na autostradę łączącą Granadę z wybrzeżem. Nieznajomy prowadził szybko i pewnie. Po niecałych dwóch godzinach zatrzymali się przed bramą, która rozsunała się przed nimi. Zobaczyli ubitą drogę, a na jej końcu olbrzymią willę zbudowaną zgodnie z kanonami nowoczesnej architektury.

Do samochodu podeszli dwaj mężczyźni i zaczęli, aż wysiadą. Jeden z nich uściskał serdecznie Alego, po czym zaprowadził ich do willi.

Pokój, do którego weszli, był przestronny, na środku stał niski stół otoczony trzema kanapami i licznymi krzesłami.

- Zaczekajcie tutaj - usłyszeli.

Ali i Mohamed nie odważyli się usiąść.

- To tu mieszka Omar? - zapytał Mohamed ledwie słyszalnym szeptem.

- Tak, to mój dom.

Mohamed wzdrygnął się. Nie zauważył mężczyzny, który odpowiedział na jego pytanie, nie rozumiał nawet, jakim cudem ten go usłyszał.

- Witaj, Mohamedzie, niech Allah ma cię w opiece.

- Dziękuję - odpowiedział Mohamed zmieszany.

- Spóźniłeś się, Ali - warknął Omar.

Ali nawet nie próbował się usprawiedliwiać, spuścił tylko oczy zawstydzony.

- Zakładam, że coś was zatrzymało. Dobra, siadajcie, nie mam dużo czasu.

Dwaj przyjaciele wykonali polecenie tego mężczyzny w nieokreślonym wieku - równie dobrze mógł mieć czterdzieści, co trzydzieści lat - wysokiego, o wielkopańskim wyglądzie, czarnych włosach przyprószonej siwizną i oczach czarniejszych od najciemniejszej nocy.

Widać było, że jest przyzwyczajony do rozkazywania i nie znosi sprzeciwu. Sędziwa kobieta w burnusie i z głową obwiązaną hidżabem weszła do salonu z tacą, na której stały trzy filiżanki kawy i półmisek ze słodyczami.

Omar zaczekał, aż starszka wyjdzie, i dopiero wtedy podjął:

- Chcę, żebyście weszli w skład oddziału, który zada ostateczny cios niewiernym. Potem będą mogli już tylko błagać o litość, bo władza nad światem znajdzie się raz na zawsze w rękach wyznawców Allacha. Misję tę miał wykonać twój kuzyn Jusuf. Napomknął ci coś na ten temat?

- Nie - przyznał Mohamed. - Jusuf był bardzo skryty, choć domyślałem się, że coś zaprzęta jego myśli. Całymi dniami wertował jakieś papiery, od czasu do czasu prowadził tajemnicze rozmowy przez telefon. Znikał, nie mówiąc nikomu, dokąd jedzie, ale... nie, nigdy nie wspomniał o żadnej misji ani mnie, ani pozostałym członkom naszej komórki.

- Hasan i ja całkowicie ufaliśmy Jusufowi. Teraz wy przejmiecie jego zadanie. Nie jest ono łatwe, jeśli zostaniecie zatrzymani, będziecie musieli odebrać sobie życie, by niewierni o niczym się nie dowiedzieli. Pozostali uczestnicy akcji już się do tego zobowiązali.

Ali i Mohamed przyrzekli Omarowi, że poświęcą życie dla sprawy i że nic nie uszczęśliwi ich tak bardzo, jak rychłe spotkanie z Allahem w raju.

- Jeśli wpadniecie w ręce niewiernych, lepiej odbierzcie sobie życie własnoręcznie, w przeciwnym wypadku my wam w tym pomożemy, ale wtedy chwała ominie was i wasze rodziny. Nie rozstawajcie się nigdy z kapsułką.

- Z kapsułką? - zdziwił się Mohamed.

- Tak, z kapsułką, z waszą ostatnią deską ratunku, gdybyście nie mogli zginąć w walce jak prawdziwi wojownicy Allacha.

- We Frankfurcie obwiązywaliśmy się pasami z materiałami wybuchowymi, by wysadzić się w powietrze w razie ewentualnego aresztowania. Tak właśnie postąpił Jusuf oraz reszta moich towarzyszy, a i ja zrobiłbym to samo, gdyby mój kuzyn nie zlecił mi zniszczenia dokumentów...

- Przestań się zadrećcać tym, że ocalałeś z frankfurckiej obławy. Najwyraźniej Allah tak chciał. Może dane ci będzie zginąć w tej nowej misji, może nie. Pasy z materiałami wybuchowymi to nasz ulubiony sposób działania, jednak tym razem mówimy o zadaniu specjalnym. Przyjdzie wam działać jawnie, w niektórych niebezpiecznych momentach nie będziecie mogli mieć przy sobie materiałów wybuchowych. Wiem, śmierć przez otrucie może się wam wydać niegodna bohatera, ale tym razem nie mamy innego wyjścia, nie możemy ryzykować.

Mohamed i Ali skinęli głowami, nie kryjąc zawodu. Prawdziwi wojownicy, pomyśleli, nie połykają kapsułki z trucizną. Nie mogli jednak sprzeciwić się Omarowi, który wiedział więcej od nich.

- Teraz przedstawię wam szczegóły misji. Słuchajcie uważnie. Przez dwie bite godziny Omar tłumaczył, czego od nich oczekuje. Mohamed i Ali słuchali go oczarowani.

- Uderzymy w ich najczulsze miejsce: w trzy najświętsze sanktuaria chrześcijaństwa. Postanowiliśmy zniszczyć ich najświętszą relikwię: drzewo, na którym według nich ukrzyżowano Jezusa Chrystusa. Zachowały się setki fragmentów krzyża, ale my uderzymy w sanktuarium, gdzie znajduje się największy z nich - w klasztor Santo Toribio w Kantabrii, jedno z niewielu miejsc, gdzie chrześcijanie obchodzą rok jubileuszowy, czyli *Ano Santo*. Poza Santo Toribio tylko Jerozolima, Rzym i galisyjskie Santiago de Compostela mogą się pochwalić takim przywilejem. Mamy szczęście, bo właśnie w tym roku przypada w Santo Toribio *Ano Santo*, zjadą się więc tam tysiące pielgrzymów z całego świata, by czcić ten kawałek drewna. Zniszczymy również relikwie krzyża przechowywane w bazylice Świętego Krzyża Jerozolimskiego w Rzymie oraz Święty Grób w Jerozolimie. Chrześcijanie nie będą mogli spuścić głów wobec takiego upokorzenia. Gdy tylko gazety oraz stacje radiowe i telewizyjne przekażą światu wiadomość o naszym czynie, zbudzi się w nich uśpiona świadomość. Nawet ci, którzy odzęgnują się od religii, mieniając się agnostykami lub ateistami, nie będą mogli przełknąć takiej zniewagi. Sęk w tym, że nie będą wiedzieli, co robić, więc dla pewności nie zrobią nic. Natychmiast podniosą się głosy nawołujące do spokoju, do pojednania między muzułmanami i chrześcijanami, oznajmiają, że zamachy są dziełem

szaleńców i fanatyków... Krótko mówiąc, spuszcza tylko głowę i nie odważą się wystąpić przeciwko nam, bo się nas boją, i to bardzo.

Oczy Omara błyszczały z podniecenia. Rozkoszował się upragnioną chwilą zniszczenia relikwii. Wypił łyk wody, po czym ciągnął:

- Przed wiekami zdziesiątkowali nas, walcząc pod znakiem krzyża, teraz my zniszczymy ich krzyż. Gdy tego dokonamy, Europa będzie należeć do nas, to tylko kwestia czasu. Tak, musi się udać. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zadadzą śmiertelny cios całemu zachodniemu światu, który upadnie im pod nogi jak przegniły owoc.

Mohamed uśmiechał się w duchu dumny z tego, że zastąpi uwielbianego kuzyna Jusufa na czele oddziału, który dokona tak zbożnego dzieła.

- Ty będziesz dowodzić akcją, ale to Salim al-Bashir dopracuje szczegóły, zadba o organizację, infrastrukturę, drogi ewakuacji... Zgłosisz się do niego po potrzebne środki. Będziecie stanowili jeden organizm, Salim będzie głową, wy jego członkami. Mamy przewagę nad wrogiem, bo wiemy o kilku rzeczach, które chrześcijanie mogą odkryć na nasz temat.

- Jak to? - spytał zaciekawiony Ali.

- Tego, przyjacielu, nie mogę ci powiedzieć, a i ty nie powinieneś o to pytać.

- Ten sam oddział dokona wszystkich trzech zamachów... Czy to nie jest zbyt ryzykowne?

- To już zmartwienie Salima al-Bashira.

- Kiedy go poznamy? - dopytywał się Mohamed.

- Niebawem. Wkrótce Salim przyjedzie do Hiszpanii, na razie dopracowuje szczegóły akcji. To on się z wami skontaktuje, musicie być w każdej chwili gotowi do wyjazdu. A jeśli chodzi o waszych bliskich... dobrze wiecie, że wasze rodziny są również naszymi rodzinami, zaopiekujemy się nimi, jeśli przydarzy wam się coś złego. A propos, Mohamedzie, doszły mnie słuchy, że nie możesz sobie poradzić z siostrą...

Wystraszony Mohamed spuścił głowę. Podniecony myślą o powierzonych mu misji na śmierć zapomniał o Laili. Teraz, chcąc nie chcąc, musiał spojrzeć prawdzie w oczy i zmierzyć się z problemem.

- Laila jest jeszcze bardzo młoda. Ma dobre chęci... Nie martw się, zajmę się nią.

- Wiem, że ciężko przeżyłeś fakt, iż podczas twojej nieobecności twoja siostra zesłała na złą drogę, ale musisz zrozumieć, że nie możemy robić wyjątków. Albo zaczniesz się zachowywać przyzwoicie, albo zajmiemy się nią ku przestrodze innym kobietom.

- Laila jest obywatelką hiszpańską... - bąknął Mohamed.

- I co z tego? Ja również jestem Hiszpanem - odparł oschle Omar. - Obowiązuje nas tylko i wyłącznie prawo Szlachetnego Koranu. Nie mogę cię zmusić do ukarania siostry, najwyraźniej to zadanie ponad twoje siły... Ale w takim razie... cóż, może pomyliłem się co do ciebie, może nie nadajesz się do najważniejszej misji, jaką planuje Stowarzyszenie. Do tego zadania potrzebuję ludzi, którzy winni są lojalność tylko i wyłącznie nam, nikomu więcej.

- Nie zaprzataj sobie głowy moją siostrą, sam się nią zajmę - zapewnił Mohamed.

- Oby tak się stało. A teraz do roboty. Poznam was z Hakimem, który również wejdzie w skład oddziału. Podobnie jak Salim ma doświadczenie w tego typu akcjach. Walczył w Bośni, spędził też kilka miesięcy w Iraku. Wcześniej wziął udział w zamachu na paryski autobus, był również członkiem grupy, która podłożyła bombę w duńskim konsulacie w Wiedniu. Jest specem od materiałów wybuchowych, świetnie go wyszkolono w Afganistanie. To dobry chłop z zimną krwią i o stalowych nerwach. Jego jedyną wadą jest to, że nie zna dobrze angielskiego. Pod tym względem masz nad wszystkimi przewagę, Mohamedzie. Wiem, że twój niemiecki jest prawie doskonały i że mówisz świetnie po angielsku. Ali mówi tylko po arabsku i po hiszpańsku, ale to wystarczy.

- A Salim?

- Salim jest stworzony do tego zadania. Wykłada na jednej z renomowanych angielskich uczelni, ma brytyjskie obywatelstwo. Z pochodzenia jest Syryjczykiem, ale urodził się w Londynie. Znajduje się poza wszelkim podejrzeniem. W swoich artykułach nawołuje do tolerancji i przekonuje, że porozumienie między narodami i religiami jest możliwe. Zamydlił oczy wszystkim: profesorom uniwersyteckim, dziennikarzom, europejskim rządcom. To człowiek o nieskazitelnej przeszłości, jego życie to praca badawcza.

- A więc nigdy nie brał udziału w żadnej akcji? - zapytał Mohamed.

- Przeciwnie! Brał udział we wszystkich udanych akcjach, bo to właśnie on zaplanował je co do ostatniego szczegółu. Już wam mówiłem, że Salim jest głową całej operacji, pamiętajcie o tym. Wy nawykliście do działania, on do myślenia.

- Nie za mało nas, jak na tak szeroko zakrojoną operację? - odważył się zapytać Ali.

- Nie będziecie sami. Członkowie Stowarzyszenia będą was wspierali w miarę potrzeby, ale nie zapomnijcie, że gwarancją powodzenia akcji jest dyskrecja, nie można dopuścić do przecieków. Dlatego lepiej, by jak najmniej osób wiedziało o całej sprawie. Tak naprawdę jest was nawet za dużo. Tak właśnie uważa Salim al-Bashir, który wszystko przemyślał i dopracował. To on ma tak nam przydatne kontakty.

- Znam Hakima - pochwalił się Ali.

- Tak, wiem, pomógł wam w akcji w Tangerze.

- To porządny chłop.

- Jest skuteczny - powiedział Omar - a to najważniejsze.

- Wiem, że jest dobrym synem, troszczy się o ojca i braci. Jego żona zmarła przy porodzie, Hakim nigdy nie ożenił się ponownie - mówił dalej Ali mimo zmarszczonych brwi Omara.

- Jego życie osobiste nie powinno was obchodzić. Hakim ma moje pełne poparcie i zaufanie. Wiem, że nadaje się idealnie do tej misji, i tylko to się liczy. Ach, byłbym zapomniał! Mohamedzie, dopiero co rozmawialiśmy o twojej siostrze, a nie wspomniałem ci o Jalilu. Wiem, że Laila ci go przedstawiła, że wzięła udział w jednej z jego pogawędek. Ostrzegam cię, trzymaj się od niego z daleka. Jalil nie jest jednym z naszych, to naiwny staruch, który myśli, że świat można naprawić dobrymi chęciami i modlitwą.

Mohamed czuł się zdemaskowany. Jakim cudem ten człowiek wie o jego wizycie w domu Jalila? Nagle przypomniał sobie młodego Marokańczyka wystającego naprzeciwko kancelarii Laili. To pewnie szpieg nasłany przez Omara, pomyślał Mohamed i poczuł nagły atak paniki - najwyraźniej przed tym mężczyzną nic się nie ukryje! Zrozumiał, że nad Lailą zawisło prawdziwe niebezpieczeństwo.

- Jalil to poczciwy człek. Nie sędzę, by mógł komukolwiek zaszkodzić - bąknął wystraszony.

- Przeszkadza naszej misji. Z uporem maniaka głosi pokój, zapominając, że nieprzyjaciół jest silny i że dopiero pokonawszy go, będziemy mogli mówić o pokoju i okazywać wspaniałomyślność.

- Nie sędzę, by Jalil nam zagrażał - odważył się zauważyć Mohamed.

- Nie zagraża, bo mu na to nie pozwolimy, dlatego lepiej trzymaj się od niego z daleka. Jego dom nie jest dla ciebie odpowiednim miejscem do modlitwy. W Granadzie są meczety i imamowie, którzy chętnie pokierują twoim duchowym rozwojem i pomogą ci nie zboczyć z obranej drogi.

Omar popatrzył na niego przenikliwie i Mohamed zrozumiał, że to nie rada, lecz rozkaz.

Nagle do pokoju wbiegła mała dziewczynka, a za nią ta sama staruszka, która przyniosła im kawę.

- Tatusiu! Tatku! Prawda, że pozwolisz mi jechać na wycieczkę szkolną? Mama mówi, że nie, ale ja tak strasznie chcę jechać. Proszę, tatusiu, tym razem mi pozwól!

- Ranią! Cóż to za maniery?!

Mimo oburzonego tonu Omara Mohamed dostrzegł słodką łagodność w oczach tego nieprzejednanego mężczyzny. Był pewien, że skoro ta mała odważyła się przerwać ojcu, dobrze wie, że nie zostanie ukarana. Dziewczynka nie mogła mieć więcej niż dziesięć lat, a jej główkę owijał już hidżab. Była ubrana w szkolny mundurek, szara spódniczka sięgała prawie do samej ziemi.

- Przepraszam, tatku, przepraszam.

Ranią spuściła głowę, jakby bardzo żałowała swego postępuku, ale już po chwili zadarła bródkę i zapytała ojca cała w uśmiechach:

- To co? Mogę? To wycieczka do Granady, będziemy zwiedzali Alhambrę.

- Przecież widziałas już Alhambrę - zauważył Omar.

- Tak, ale nie byłam tam nigdy z koleżankami, będzie tak fajnie.

- Zobaczymy. A teraz marsz do mamy.

Dziewczynka wyszła, nie nalegając dłużej. W ślad za nią podreptała staruszka, strofując ją za jej zachowanie.

- To moja najmłodsza córka, wybaczcie jej, proszę.

Ani Ali, ani Mohamed nie odważyli się nic powiedzieć. Byli milczącymi świadkami całej sceny i zastanawiali się, czy Omar pozwoli Rani jechać na wycieczkę.

- Mankamentem mieszkania tutaj jest potrzeba ciągłej walki z chrześcijańskimi zwyczajami, które mieszają w głowach naszym żonom i dzieciom. Ale nastanie dzień, kiedy to oni, chrześcijanie, będą musieli dostosować się do naszym zasad, jednak do tego czasu... No, dobrze, kontynuujmy. O czym to mówiliśmy? Ach tak, o Jalilu.

- Nie martw się, będę trzymał się z daleka od tego starca - obiecał Mohamed.

- Tak właśnie powinieneś zrobić. Dobra, wszystko jasne? Skoro tak, najwyższy czas, byście poznali Hakima.

- To i on tu jest? - zdziwił się Ali.

- Nie, tutaj go nie ma, ale zaraz do niego pojedziecie. Hakim mieszka w naszej wiosce w górach. Zaczęliśmy wykupywać od tamtejszych niewiernych domy i teraz nie uświadczysz tam już ani pół chrześcijanina. Hakim zaprasza was na obiad.

Omar wstał i pożegnał się z gośćmi. Mohamed poczuł, że nie wiadomo dlaczego gospodarz jest czymś zdenerwowany. Czyżby wtargnięcie córki rozzłościło go bardziej, niż dał po sobie poznać?

Uściskali się i ucałowali w bramie rezydencji, przed którą czekał samochód terenowy, by zawieźć ich do Hakima.

Jechali już prawie godzinę. Mohamed pomyślał, że gdy dotrą na miejsce, dawno już minie pora obiadu. Był głodny, jednak nie przyznał się do tego Alemu, bo przyjaciel milczał pogrążony w myślach i wpatrzony w widoki za oknem. Kierowca również się nie odzywał, więc Mohamed uznał, że powinien wziąć z nich przykład.

Samochód zjechał z głównej szosy i ruszył nieasfaltowaną drogą, na której końcu majaczyła góra, a na jej zboczu - rozsiane w pewnym oddaleniu od siebie, bielusińkie jak wapno domy. Dotarcie na miejsce zajęło im jeszcze prawie pół godziny, a gdy już dojechali, Mohamed ze zdumieniem spostrzegł, że znajdują się w oazie zieleni.

Wioska była niewielka, składała się najwyżej z pięćdziesięciu domów, okalały je ogrody i sady, z których dobiegał zniewalający zapach dojrzałych owoców i kwiatu pomarańczy.

W środku wioski, w cieniu figowców, znajdowała się dość duża studnia. Nigdzie nie było widać żywej duszy, co nie dziwiło, jeśli wzięło się pod uwagę porę dnia - minęła właśnie trzecia po południu.

Kierowca zatrzymał samochód przed domem stojącym na obrzeżach wioski. Gdy czekali na progu, Mohamed zauważył ogródek znajdujący się na tyłach domu.

Drzwi otworzył im gruby mężczyzna średniego wzrostu. Broda skrywała większość jego twarzy, w której uwagę zwracał haczykowany nos i ciemnobrązowe oczy.

- Witajcie! Zapraszam do środka, czekałem na was. Wnętrze domu pogrążone było w półmroku, ale gospodarz, poruszając się szybko i zwinnie, zaprowadził ich do pokoju połączonego z werandą wychodzącą na ogród. Przed werandą stała mała fontanna, z której tryskały orzeźwiający strumień wody.

- Siadajcie. Poleciałem, by przyniesiono nam coś do jedzenia. Mohamed i Ali poszli za jego radą i rozsiedli się na kanapie, natomiast Hakim siadł obok nich na fotelu.

Wszedł młody człowiek ubrany w długi burnus. Miał brodę tak jak Hakim i Mohamedowi wydało się, że jest nieco podobny do gospodarza.

- To mój brat Ahmed - przedstawił go Hakim.

Ahmed wniósł dzban wody, postawił go na stole i wyszedł bez słowa.

- To mój młodszy brat. Studiował na uniwersytecie w Granadzie, zdaje mi się, Mohamedzie, że zna twoją siostrę.

Mohamed poruszył się niespokojnie na kanapie. Nie w smak mu było, że po raz kolejny tego dnia wspomniano mu o Laili, dlatego nie podjął tematu, tylko skupił uwagę na szklance wody, którą podnosił właśnie do ust.

- Ahmed wkroczył niedawno na prawdziwą drogę, podobnie jak wielu jego rówieśników. Przedtem nie chciał nas słuchać, był przekonany, że chrześcijanie uważają go za równego sobie. Bronił zaciekle swych granadyjskich koleżków, chętnie uczęszczał na uniwersytet, bo odpowiadał mu tamtejszy klimat wolności, aż w końcu zrozumiał, że nigdy nie będzie jednym z nich, tylko zwykłym „Arabusem”, jak nas z pogardą nazywają.

Tym razem do pokoju weszła kobieta również ubrana w burnus i w hidżabie na głowie, za nią znów pojawił się Ahmed. Wnieśli dwie tace, a na nich talerze z sałatkami, serem i humusem, daktyle oraz pomarańcze. Nie odezwali się ani słowem i zniknęli równie szybko, jak się pojawili.

- To moja starsza siostra, ona również owdowiała i teraz prowadzi mi dom. Ma dwoje nieletnich dzieci, które mieszkają razem z nami.

Ali i Mohamed w milczeniu słuchali wyjaśnień gospodarza na temat jego rodziny.

Hakim zaprosił ich do jedzenia, podczas posiłku gawędzili na błahe tematy. Dopiero gdy siostra Hakima przyniosła im kawę, gospodarz zaczął opowiadać o operacji:

- Czy Omar wyjaśnił wam szczegółowo, na czym polega zadanie?

- Tak - odpowiedzieli równocześnie Mohamed i Ali.

- I jesteście gotowi się go podjąć? Lepiej dobrze się zastanówcie, bo to prawdziwe wyzwanie. Całkiem możliwe, że któryś z nas straci życie...

- Jeśli zginę, mam nadzieję, że Allah przyjmie mnie u siebie w raju - oznajmił zdecydowanie Ali.- Cóż znaczy śmierć? Liczy się misja - dorzucił z zapalem Mohamed.

- Śmierć jest zaszczytem, ale jeśli umrzemy za wcześnie, nie na wiele się ona zda. Liczy się doprowadzenie misji do końca. Dlatego postarajcie się dożyć przynajmniej do ostatniego dnia akcji, a potem róbcie sobie, co chcecie. No, dobrze, musicie się starannie przygotować do czekającego was zadania, dlatego będziecie mnie teraz odwiedzali codziennie. Musicie wyrobić sobie dobrą formę, poza tym nauczycie się obchodzić z materiałami wybuchowymi. A wiercie mi, to wcale nie taka prosta sprawa. Oto, co macie robić: punktualnie o ósmej rano stawiacie się u mnie na trening, później będziemy dopracowywali szczegóły operacji, przyjrzymy się dokładnie miejscom akcji: Santo Toribio, bazylice Świętego Krzyża Jerozolimskiego w Rzymie i bazylice Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Dwóch ostatnich zamachów mają dokonać nasi bracia, ale i my musimy się do nich przygotować na wypadek, gdyby zaszczyt ten przypadł jednak nam. Chrześcijanie walczyli z nami pod znakiem krzyża, a teraz my raz na zawsze zniszczymy ten ich symbol. Poczekamy, aż Salim al-Bashir da nam znak do rozpoczęcia akcji.

- Czy tutejszych mieszkańców nie zdziwi nasza obecność? - zapytał Ali.

- Wioska należy do nas, wszyscy jej mieszkańcy są członkami Stowarzyszenia. Obecność kobiet i dzieci przydaje wiosce pozorów normalności. Hiszpańskie władze się nas nie czepiają, bo płacimy podatki i nie wszczynamy bójek ani awantur. Pracujemy, chodzimy do meczetu, jesteśmy przykładnymi obywatelami. Nakręcono nawet kilka reportaży telewizyjnych o tej oazie spokoju, pokazano nas jako przykład zaaklimatyzowania się społeczności muzułmańskiej w Hiszpanii. Mohamedzie, powiesz rodzinie, że znalazłeś tu pracę. Założyliśmy spółdzielnię rolniczą i sprzedajemy płody z naszych ogrodów i sadów; powiesz rodzinie, że prowadzisz nam księgowość. Ali, ty nie musisz się przed nikim tłumaczyć, twoi rodzice siedzą w Maroku, a brat jest jednym z nas.

- Ale ja ufam swojej rodzinie - przerwał Hakimowi Mohamed.

- Twój ojciec jest szlachetnym mężczyzną, a matka dobrą kobietą, jednak nie należą do Stowarzyszenia - odparł gospodarz.

- Mój ojciec wie... no, wie o Frankfurcie.

- A więc wie już i tak za dużo. Nie możesz wspominać mu ani słowem o tej operacji. Twoja żona jest siostrą Hasana, więc nie będzie cię o nic pytała, bo wie, że nie powinna. A jeśli chodzi o twoją siostrę... pewnie już słyszałeś, że jej nie ufamy.

- Laila nie robi nic złego - bronił siostry Mohamed.

- Nie postępuje jak bogobojna muzułmanka. Myśli, że może interpretować Koran według własnego uznania i aby usprawiedliwić swoje zachowanie, zasłania się starym Jalilem. Nie, Mohamedzie, twoja siostra nie jest godna zaufania. Tak czy owak, członkowie Stowarzyszenia nie powinni nic wiedzieć o działaniach pozostałych braci i są zobowiązani do milczenia.

Mohamed wolał nie dyskutować z Hakimem, uznał, że brakuje mu argumentów. Zapadł wieczór i szarość oblekła niebo, gdy Mohamed i Ali opuścili górską wioskę. Przyjaciele milczeli również w drodze powrotnej, żaden z nich nie odważył się odezwać w obecności kierowcy, który wioził ich samochodem terenowym w kierunku Granady.

17

Salim al-Bashir skosztował wina pobłyskującego niczym rubin w delikatnym szkle kieliszka.

- Znakomite - pochwalił, zerkając na siedzącego przed nim mężczyznę, który przyglądał mu się rozbawiony.

- Wiem, to chateau petrus, rocznik osiemdziesiąty drugi, doskonałe zbiory.

- O tak, to prawda.

Kelner zebrał talerze i wyrecytował kartę deserów będących specjalnością lokalu. Salim dał się skusić na mus czekoladowy, jego towarzysz zamówił kawę i kieliszek calvadosu.

- No, a teraz pogadajmy o interesach.

Salim al-Bashir wbił wzrok w rozmówcę. Czuł do niego sympatię, myślał, że mimo pozornych różnic wiele ich łączy.

Mężczyzna siedzący naprzeciwko był starszy od niego - w wieku trudnym do określenia, równie dobrze mógł mieć sześćdziesiąt co siedemdziesiąt lat - wysoki, dobrze zbudowany, miał siwe włosy i stalowozielone spojrzenie wyrażające determinację i surowość. Salim pomyślał, że Raymond de la Pallisiere wygląda jak rasowy arystokrata.

- Proszę się nie martwić, wszystko idzie po naszej myśli. Właśnie dzisiaj poinformowano mnie, że oddział jest już w komplecie. To doświadczeni ludzie.

- Jak ci we Frankfurcie?

Salim spojrzał na rozmówcę, lecz ostatecznie postanowił nie odpowiadać na zaczepkę.

- To ludzie doskonale wyszkoleni, a co najważniejsze, oddani sprawie... - rzekł tylko.

II

- Jakiej sprawie? - zaśmiał się starszy mężczyzna.

- Jak to jakiej? Są posłuszni i wierzą, podobnie jak pan i jak ja, że mogą zmienić świat

- Pan wierzy, że może zmienić świat?

- Na dobrą sprawę już go zmieniamy. Proszę tylko spojrzeć na przywódców politycznych, jak się nam podlizują, pilnując, aby nas, broń Boże, nie urazić. Biorą nas za dzieci, którym należy potakiwać, by je zadowolić. To idioci, skończeni idioci, gardzą nimi. Zachód jest skazany na zagładę przez własną głupotę.

- Zachód jest skazany na zagładę, bo zatracił perspektywę, bo próbuje zniszczyć własne korzenie, bo odrzuca wszelkie wartości i działa w myśl zasady „ratuj się kto może”... Upadek muru berlińskiego był dla zachodniego świata początkiem końca.

- Wie pan co? Nie rozumiem pana. Czasami wydaje mi się, że ubolewa pan... Ale cóż, najważniejsze, że zgadzamy się co do istoty sprawy. Poza tym chce pan upokorzyć swoich ziomków podobnie jak my, mam rację?

- Owszem, chcę ich upokorzyć... chcę im dopiec w myśl zasady: oko za oko, ząb za ząb, nic więcej.

- Dla pana to mało?

- Wystarczająco. Ale pomówmy o interesach. Nikt pana nie podejrzewa?

- A pana?

- Któż miałby mnie podejrzewać? Jestem szanowanym obywatelem, osobą poza wszelkimi podejrzeniami.

- Dokładnie tak jak ja. Tyle że ja jestem na dodatek muzułmaninem, więc obchodzą się ze mną jak ze zgniłym jajem, boją się mnie urazić, żeby nie nazwał ich rasistami lub czymś jeszcze gorszym.

- A pańscy studenci?

- Moi studenci mnie uwielbiają, oni również starają się być politycznie poprawni. Powie mi pan kiedyś, jak pan do mnie trafił?

- Będzie pan zadawał mi to samo pytanie na każdym spotkaniu?

- Od mojego bezpieczeństwa zależy bezpieczeństwo większości moich braci i jeśli pan do mnie trafił, innym osobom, znacznie mniej sympatycznym od pana, również mogłoby się to udać.

- Jest pan osobą publiczną, profesorem, który jeździ po świecie, wygłaszając odczyty o wyprawach krzyżowych widzianych oczami Arabów. Łatwo do pana trafić.- Do profesora al-Bashira może łatwo, ale do prawdziwego Salima al-Bashira na pewno nie.

- Dochowam pańskiej tajemnicy.

- Mam nadzieję, bo w przeciwnym razie...

- Czego pan potrzebuje?

- Mam tu szczegółową listę... No i oczywiście potrzebujemy pieniędzy, sporej sumki... miliona euro.

- Salimie, pan chyba zwariował! Przecież dostał pan już od nas kilka zaliczek.

- Nie, nie zwariowałem, panie hrabio. To, co pan i ja zamierzamy zrobić, jest trudne i ryzykowne. Dużo kosztuje zorganizowanie i realizacja całej akcji, poza tym należy się liczyć z tym, że któryś z moich ludzi zginie, a wtedy jego rodzina będzie potrzebować wsparcia.

- Ta sprawa interesuje nas obu, wie pan zresztą, co myślą moi współnicy...

- Ale to my ryzykujemy życie i zapewniam, że jest ono warte więcej niż milion euro.

- Podzielimy się kosztami po połowie, to najrozsądniejsze rozwiązanie. Moi współnicy nie są głupi, niech pan nie wierzy w swoją własną propagandę, Salimie, i nie popełnia błędu, lekceważąc nas.

Salim al-Bashir wytrzymał lodowate spojrzenie zielonych oczu i zrozumiał, że hrabia d'Amis nie cofnie się ani na krok, przystał na jego warunki.

- Dobrze, niech panu będzie, fifty-fifty.

- Proszę do mnie zadzwonić, gdy dopracuje pan cały plan. Musimy skoordynować nasze działania, więc zanim cokolwiek zrobicie, chcę poznać szczegóły i upewnić się, że powodzenie jest możliwe.

- Powinien się pan nauczyć ufać ludziom. Ja panu ufam, bo pana znam - powiedział Salim ciekawy reakcji hrabiego.

- Czyżby? W takim razie jest pan szczęściarzem, bo nawet ja nie znam siebie do końca. Dobrze, skończmy już tę pasjonującą pogawędkę. Jutro muszę wstąpić. Zostaje pan w Paryżu?

- Tak, mam spotkanie z pewną osobą, bez której cała operacja byłaby niemożliwa, więc spędzę tu weekend. W poniedziałek muszę być w Londynie, o dziewiątej zaczynam wykłady, a wieczorem wygłaszam odczyt w siedzibie pewnej organizacji pozarządowej zabiegającej o pojednanie Wschodu z Zachodem.

- W takim razie czas iść spać. Odwieźć pana?

- Nie, pójdę piechotą, jest ciepło, a ja bardzo lubię spacerować po Paryżu.

Na znak Salima *maitre* wręczył mu rachunek, choć zapłacił nie al-Bashir, ale jego towarzysz, z czego zresztą Salim bardzo się ucieszył. Rachunki w restauracji Apicus były zawsze wysokie, warto było jednak zapłacić wszystkie pieniądze za łeb cielęcy z pikantnym sosem, w którym dominował smak kaparów i dymki.

Mężczyźni pożegnali się w bramie restauracji uściskiem dłoni. Po chwili czarny samochód czekający na rozmówcę Salima zniknął w mroku paryskiej nocy.

Salim zaczął iść aleją Villiers. Zarezerwował pokój w hotelu Lutetia, przy bulwarze Raspail, w sercu lewobrzeżnego Paryża. Ona pewnie już tam na niego czeka.

Nie mógł przestać myśleć o mężczyźnie, z którym dopiero co jadł kolację - hrabia d'Amis był osobą posuniętą w latach, oziębłą i szorstką. Salim poznał go przez znajomego profesora na paryskim kongresie poświęconym średniowieczu. Kolega po fachu poprosił Salima, by towarzyszył mu podczas kolacji z arystokratą zainteresowanym historią średniowieczną. Salim się zgodził - nie mógł przepuścić kolacji w La Tour d'Argent.

Mieli okazję dobrze się poznać, zanim w końcu po wielu spotkaniach hrabia postanowił mu się zwierzyć i zaproponować wspólną realizację obmyślanego właśnie planu. Hrabia nie chciał mu wyjawiać, jak i dlaczego dowiedział się, że poważany profesor Salim al-Bashir jest w rzeczywistości jednym z przywódców Stowarzyszenia w Europie. Bogiem a prawdą Salim nadal miał duszę na ramieniu, świadomy istnienia tej szczyby we własnym bezpieczeństwie oraz w bezpieczeństwie całej organizacji; cóż z tego, że Raymond d'Amis uspokajał go, zapewniając, że dochowa tajemnicy, bo jemu jest i tak wszystko jedno, niechby

sobie wysadzili w powietrze wszystkie stolice Europy - nienawidził jej podszytych strachem i słabych przywódców. Skoro przegapili szansę zdobycia władzy nad światem i skazali go na dekadencję, niech teraz sami sobie radzą, jego, mawiał hrabia, guzik to wszystko obchodzi, bo jest stary i stoi już nad grobem.

Salimowi wydawało się, że dobrze poznał hrabiego, było w nim jednak coś, co mu się wymykało. Nie mógł sobie wytłumaczyć udęconego spojrzenia, którego francuski arystokrata czasami nie potrafił przed nim ukryć.

Czyżby miało to jakiś związek z ową zbuntowaną córką, której nie znał? Przyszła hrabina d'Amis mieszkała w Stanach Zjednoczonych, nic nie wiedząc o swoim ojcu.

Bar hotelu Lutetia pękał w szwach, dlatego choć Salim miał ochotę na drinka, skierował się prosto do recepcji po klucz.

- Zostawiono dla pana wiadomość, panie al-Bashir. Recepcjonista wręczył mu zaklejoną kopertę, na którą Salim nie rzucił nawet okiem. Podziękował tylko i ruszył do windy. Dopiero gdy znalazł się w swoim pokoju, rozdarł kopertę. Wewnątrz była tylko kartka z numerem: 507. Westchnął. Znowu wyszedł, zatrzymał się dwa pokoje dalej i cicho zapukał. Drzwi się uchylily. Jej sylwetka, spowita w szary jedwabny szlafrok, poprawiła mu humor.

- Wejdz, miałam szczęście. Gdy poprosiłam o pokój na tym piętrze, tłumacząc, że bardzo dobrze wspominam ostatni pobyt tutaj, recepcjonista był tak miły i spełnił moje życzenie.

- Niepotrzebnie zwracałaś na siebie uwagę - zganił ją Salim.

- Myślisz, że zwróciłam na siebie uwagę, prosząc o pokój na piątym piętrze?

- Przecież wiesz, że nie powinnaś rzucać się w oczy, dlatego nieostrożnością jest proszenie o pokój na jakimś konkretnym piętrze.

- Co za różnica? Dzięki temu jesteśmy bliżej siebie. Kobieta przylgnęła do jego ciała, ale on odsunął ją delikatnie.

- Nie zaprosisz mnie na drinka? - zapytał.

- Pewnie, nas co masz ochotę? Szampan, whisky?

- Skoro jesteśmy we Francji, wnieśmy toast szampanem. Stęskniłem się za panią, droga pani - zażartował Salim.

- Wcale się panu nie dziwię - odparła również żartem. Salim przyjrzał jej się uważnie, zastanawiając się, czy zagadnąć ją o nowości na temat Centrum do Walki z Terroryzmem, ale uznał, że to mogłoby ją tylko zaniepokoić. Lepiej poczekać do jutra.

Raymond d'Amis był w swoim apartamencie na Ile-de-France. Chodził po gabinecie, nie mogąc przestać myśleć o kolacji z Salimem. Musiał przyznać, że al-Bashir jest inteligentny i skrupulatny, hrabia obawiał się jednak, że jego nadmierna pewność siebie może skazać na niepowodzenie całą operację.

Wszedł majordomus z pytaniem, czy będzie jeszcze potrzebny, czy też może udać się na spoczynek.

- Idź spać, ja jeszcze trochę poczytam.

- Dobrze, panie hrabio, dobranoc.

Gdy został sam, Raymond wychylił kieliszek calvadosu i przekartkował notatnik w poszukiwaniu numeru telefonu. Sięgnął do szuflady po kopertę, w której trzymał karty SIM i wsunął jedną z nich do swojej komórki. Westchnął. Nie przepadał za człowiekiem, do którego miał zadzwonić, wiedział, że ich interesy są zupełnie różne, ale zdawał sobie sprawę, że bez niego zemsta jest niemożliwa. To on się z nim skontaktował, przedstawił plan umożliwiający mu realizację upragnionej zemsty, podał nazwisko i namiary Salima... W rzeczywistości ten typ od miesięcy się nim posługiwał, poruszał niewidzialnymi sznurkami, by doprowadzić do realizacji planu, w którym hrabiego interesowała tylko i wyłącznie zemsta.

- Dobry wieczór, Łączniku.

Mężczyzna, którego głos zabrzmiał w słuchawce, wypowiedział tylko jedno zdanie.

Hrabia wyłączył telefon, włożył marynarkę i prawie na palcach skierował się do drzwi - nie chciał obudzić majordomusa. Wszedł na dwór i ruszył brzegiem rzeki. Nie lubił kręcić się nocą po tej okolicy, ale otrzymał wyraźne polecenie. Po chwili podjechał samochód i zatrzymał się obok niego. Uchyliły się drzwiczki i zaproszono go do środka.

- Dobry wieczór, hrabio.

- Dobry wieczór.

- Jak tam kolacja z Salimem al-Bashirem? Udała się?

- Tak jak zawsze.

Gdy samochód krążył po Paryżu, hrabia przedstawiał człowiekowi, którego nazywał Łącznikiem, szczegóły pogawędki z Salimem. Odpowiedział na wszystkie jego pytania i wysłuchał poleceń.

- No, to przystępujemy do drugiej części planu. Za kilka dni skontaktuje się z panem Serbka imieniem Ilena. Ma osobiste powody, by nienawidzić muzułmanów.

- Jak się ze mną skontaktuje?

- Wynajmie pan pokój w hotelu, wszystko jedno gdzie, czy tu, w Paryżu, w Tuluzie, czy choćby na Lazurowym Wybrzeżu... Ilena zatrzyma się w tym samym hotelu i odwiedzi pana w pokoju. Nikt nie zobaczy was razem, będziecie mogli porozmawiać z dala od wścibskich spojrzeń i uszu. Ilena będzie dowodziła drugim oddziałem. Pan dostanie wskazówki dla niej, musi pan tylko je przekazać i dopilnować, by wszystko zrozumiała. Ten kontakt otrzymaliśmy od Karakoza. Nielatwo znaleźć ludzi skłonnych wykonać to, czego się podjęliśmy. Pan wie, że moim zdaniem, aby zagwarantować powodzenie operacji, nie wystarczą pieniądze, potrzebna jest również motywacja... taka, jaką ma pan i Salim, i jaką ma również Ilena. Oczywiście Salim i Ilena nie mogą wiedzieć o swoim istnieniu. Oboje są tylko elementami układanki.

- Podobnie jak ja - mruknął Raymond d'Amis.

- Wszyscy tworzymy tę układankę. Pańska motywacja jest inna niż motywacja Ileny czy Salima.

- A co z panem?

- Ja tylko kojarzę interesy. Nietrudno to zrozumieć. Reprezentuję bardzo ekskluzywny klub, którego członkowie troszczą się o przyszłość i właśnie w trosce o nią muszą wykonać pewne ruchy, doprowadzić do konfrontacji, pozbyć się nieprzyjaciół... Wszystko to dla dobra świata, choć czasem w dobrej wierze trzeba wyrządzić trochę zła. Lecz tym razem wszyscy zyskamy, nawet jeśli z początku zapanuje chaos i zamieszanie; nowe stworzenie powstać musi z popiołów.

- A pan dba o spełnienie życzeń panów z tego bardzo ekskluzywnego klubu.

- Prowadzę interesy w ich imieniu. Szukam ludzi takich jak pan - ludzi zmotywowanych do konkretnego działania, i pomagam im zrealizować ich zamiary. Marzy pan o zniszczeniu krzyża? Znakomicie, ja to panu umożliwię. Salim pragnie upokorzyć Zachód, zadając mu cios w najczulsze, jego zdaniem, miejsce? Jemu również pomogę. Dążycie do tego samego celu, nieważne, że wasze pobudki są różne. Moje zadanie polega na odnalezieniu was i połączeniu waszych wysiłków. To proste, wszystko jest znacznie łatwiejsze, gdy ludzie mają motywację, zwłaszcza gdy chodzi o zabijanie. Nie lubię zawodowych morderców. Zabijają bez żadnej motywacji, wyłącznie dla pieniędzy, dlatego nie potrafią oddać życia za sprawę. Ale pan jest gotów umrzeć za to, na czym panu zależy: na zniszczeniu krzyża. To samo dotyczy Salima. To właśnie sprawia, że jesteście wyjątkowi.

- To właśnie sprawia, że może pan nami manipulować.

- Może pan to nazwać, jak pan chce. Liczy się plan, a plan jest doskonały. Przechowywane w Hiszpanii, w Rzymie i Jerozolimie resztki znienawidzonego przez pana

krzyża zostaną doszczętnie zniszczone, nie zostanie z nich ani jedna drzazga. Zaraz potem do akcji wkroczy Ilena i wysadzi w powietrze pałac Topkapi w Stambule, gdzie przechowywane są relikwie Proroka. Miecz Mahometa, włosy z jego brody, płaszcz... wszystko przepadnie. Proszę sobie tylko wyobrazić, co się stanie! Muzułmanie z całego świata zaczną nawoływać do zemsty i rzucają się na chrześcijan, z początku w samym Stambule, a potem... Tak, rozpętamy wojnę między chrześcijanami i muzułmanami. Najpierw zniszczymy kilka relikwii chrześcijańskich, następnie pamiątki po Proroku... Nikt nie zdoła powstrzymać wybuchu nienawiści między tymi dwoma społecznościami, choćby zachodni politycy wychodzili ze skóry. Będą wzywali do zachowania spokoju, ale nikt nie będzie ich słuchał. Pamięta pan aferę z powodu karykatur Mahometa opublikowanych przez duński dziennik „Jyllands-Posten”? Doszło wtedy do manifestacji, byli nawet zabici... Proszę tylko pomyśleć, co się stanie, gdy miliony muzułmanów dowiedzą się o wysadzeniu w powietrze najcenniejszych relikwii Proroka.

- Dobrze, ale niech pan nie oczekuje, że reakcja Zachodu będzie taka sama. Chrześcijanie przejdą nad sprawą do porządku dziennego, trochę poubolewają i przestaną. W Europie nikt już w nic nie wierzy. Czasami myślę, że fakt, iż ludzie wypierają się krzyża dobrowolnie, nieprzymuszeni, jest najlepszą zemstą.- Niech pan nie będzie naiwny, trudno będzie przejść do porządku dziennego nad zamachami w Hiszpanii, we Włoszech i w Izraelu, tym bardziej że dokonają ich islamscy fundamentalisci.

- Miejmy nadzieję, że plan Salima al-Bashira jest bezbłędny.

- Nawet jeśli jest bezbłędny, my, drogi przyjacielu, i tak dopilnujemy, by wydało się, kto stoi za zamachami: Stowarzyszenie będzie na ustach całego świata.

- Aresztują Ilenę?

- Wszystko zależy od jej sprytu. Najprawdopodobniej nie przeżyje zamachu. A jeśli przeżyje, jest zobowiązana popełnić samobójstwo.

- A jeśli nie popełni?

- Wie, co jej grozi, jeśli wpadnie w ręce policji. Będzie wolała zginąć, niż spędzić resztę życia w tureckim więzieniu i to ni mniej, ni więcej tylko za zniszczenie relikwii Mahometa.

- Może nas wydać.

- Kogo?

- Mnie.

- Wykluczone, przecież nikt was razem nie widział. Choćby policja nie wiem jak głęboko węszyła, może co najwyżej odkryć, że gościliście, podobnie jak setki innych osób, w

tym samym hotelu. Dlatego radziłbym się rozejrzeć za jakimś dużym hotelem, przez który przewijają się tłumy. Chyba najlepiej będzie, jeśli spotkacie się tutaj, w Paryżu, lub na Lazurowym Wybrzeżu...

- Karakoz zna Ilenę?

- Pan nie może jej o nim wspominać. Ale tak, Karakoz zna Ilenę i wie, że ona żyje pragnieniem zemsty. Dotarł do niej dzięki swoim znajomościom. Najpierw ustalił, że nadal żyje i mieszka w tej samej miejscowości, potem kazał swym informatorom sprawdzić, jak daleko jest gotowa się posunąć. Karakoz zorganizował wszystko na odległość. Dziewczyna już od kilku miesięcy czeka na ten upragniony moment. W akcji wezmą również udział jej dwaj bracia i kuzyn.

- Jak to możliwe, że Karakoz, Serb, prowadzi interesy z ludźmi ze Stowarzyszenia?

- Karakoz jest Serbobośniakiem i prowadzi interesy ze wszystkimi i wszędzie - wyjaśnił Łącznik. - Porusza się po byłej Jugosławii jak po własnej chałupie, po krajach arabskich zresztą również. Nikt go o nic nie pyta, bo dobrze płaci, dlatego może liczyć na dobrych informatorów, poza tym sprzedaje produkt najwyższej jakości, gwarantowany. Na rynku broni Karakoz jest najlepszy, dlatego wszyscy do niego walą.

- Karakoz wie o nas, a pan mu ufa...

- Drogiego przyjacielu, Karakoz jest człowiekiem interesu, wie, że dyskrecja i milczenie to gwarancja jego dobrobytu. Sprzedaje broń wszystkim jak leci, guzik go obchodzi, kto od niej zginie.

- Broń dla Ileny kupię bezpośrednio od Karakoza?

- Tak. Ma pan już telefon człowieka Karakoza w Paryżu, niejakiego Jugola. Proszę tylko pamiętać, że Salim nie może wiedzieć o Henie, a Ilena o Salimie. Każda komórka powinna działać oddzielnie, tak by nikt nie mógł ich ze sobą powiązać. Gdyby Salim wiedział o naszych planach, próbowałby pomieszać nam szyki. Pan wie, że pod maską tolerancyjnego profesorka kryje się najprawdziwszy fundamentalista. Relikwie Mahometa to dla niego świętość.

- Tak, Salim to fundamentalista, który uwielbia dobre wino.

- W każdym z nas tkwią jakieś sprzeczności... Jeśli chodzi o Ilenę, nie zna ona jeszcze celu, który ma zaatakować. Pan go jej zdradzi, przekaże pieniądze, powie, gdzie ma odebrać broń. W zamian za pańskie pieniądze Jugol da panu fałszywe dokumenty dla Ileny i jej ludzi oraz dopilnuje, by doręczono jej broń w Stambule. W najbliższych dniach przekażę panu dokładny plan działania dla Ileny, wskażę hotel w Stambule, w którym ma się zatrzymać, oraz

sposób, w jaki dostanie się do miasta i do pałacu Topkapi... no, wszystkie potrzebne szczegóły.

- Zadzwoń pan do mnie?

- Tak, za parę dni.

- Katarzy sprzeciwiali się przemocy - stwierdził hrabia urażonym tonem - ale czasem nie ma wyjścia...

- Nie obchodzi mnie, w co pan wierzy, do kogo wznosi modły Salim ani komu powierza się Ilena. Zgodziliście się zabić w imię boże. Cóż, pańska postawa jest nader prozaiczna, ale nie interesuje ona ani mnie, ani ludzi, których reprezentuję. Nasz cel jest inny: chcemy wstrząsnąć światem, wyznaczyć nowe granice, uruchomić fabryki.

- To pan dyryguje tą orkiestrą.

- Święta racja. Rozstaniemy się tutaj, jesteśmy niedaleko pańskiego domu.

Raymond wysiadł z samochodu przepelniony odrazą. Nie podobał mu się ten człowiek, było w nim coś wulgarnego, mimo jego skrojonych bez zarzutu garniturów. Choć ton głosu zdradzał jego pochodzenie, Łącznik był mu potrzebny. Idąc ku domowi, hrabia przypominał sobie, jak ów typ pojawił się w jego życiu.

Pewnego dnia pojawił się nieoczekiwanie na zamku. Powiedział, że zna dawnych przyjaciół jego ojca, niemieckich patriotów, zmuszonych po wojnie do życia w ukryciu.

Bez zbędnych wstępów pokazał mu luksusowe wydanie kroniki brata Juliana.

- Pan pomści krew niewinnych, bo pański ojciec umarł, nie zdążywszy tego dokonać.

Hrabia słuchał oczarowany planu przedstawionego przez gościa - prostego planu, do którego realizacji potrzebne były tylko pieniądze i wiara w sprawę, a on dysponował i jednym, i drugim. Od tamtej pory upłynął już prawie rok, w tym czasie Łącznik z precyzją i cierpliwością przystąpił do tworzenia całej struktury, bacząc, by wszystkie elementy planu wcześniej czy później się ze sobą zetknęły, a punktem wspólnym był właśnie on, Raymond, hrabia d'Amis, który od urodzenia poświęcił życie świętej sprawie katarów. Nie miał odwagi upodobnić się do *parfaits*, ale przynajmniej był *credente* jak wielu jego przodków.

Był ostatnim przedstawicielem rodu, mimo że miał córkę, Catherine. Wychowała ją jednak matka, hrabia nigdy jej nie widział, trudno więc oczekiwać, by go rozumiała.

Jego żona również go nie rozumiała. Nancy była Amerykanką, poznali się, kiedy mieszkała z rodzicami na Riwierze Francuskiej.

Jej ojciec był poetą i malarzem, matka - marszandką. Nancy była rozpieszczoną do granic możliwości jedynaczką pozbawioną celu w życiu.

Raymond nie powinien był się z nią żenić, ale cóż zrobić - zakochał się. Ojciec ostrzegął go, że popełnia błąd, że Nancy jest ulepiona z innej gliny. I miał rację. Ale Raymond odczekał i ożenił się dopiero po śmierci ojca. Może był już wtedy za stary do żeniaczki - na progu czterdziestki popełnił pierwszy w życiu poważny błąd.

Porzuciła go zaledwie rok po ślubie, gdy tylko usłyszała o świętej misji, której poświęcił życie. Wpadła we wściekłość i zażądała, by raz na zawsze zerwał ze swoimi przyjaciółmi, młodymi ludźmi, którzy tak jak on poświęcili się sprawie, patriotami należącymi do innego świata - świata nadludzi.

Była już w ciąży, gdy wyjechała, wyzwawszy go od szaleńców i obiecując, że ze względu na ich nienarodzone dziecko nie doniesie na niego na policję, zagroziła jednak, że powie wszystko, jeśli hrabia nie zostawi jej w spokoju lub będzie próbował odebrać jej dziecko.

On dotrzymał słowa, ona również - nigdy więcej się nie zobaczyli. Raymond dowiedział się, że Nancy urodziła córkę, której dała na imię Catherine, co miesiąc wysyłał jej przez adwokata pieniądze. Wiedział, że obie zamieszkały w nowojorskim Village, gdzie Nancy otworzyła małą galerię sztuki. Nie pozwoliła mu zobaczyć córki - gdy błagał ją o to za pośrednictwem adwokata, zadzwoniła do niego i powtórzyła dawną groźbę.

Ostatnie wiadomości donosiły o jej ciężkiej chorobie.

19

Ovidio był już w Rzymie od wielu dni i miał wrażenie, że nigdy nie opuścił tego miasta. Nie zajmował już swojego dawnego gabinetu i było wiadomo, że jego obecność jest tymczasowa, mimo to pochłonęła go praca, jakby miał zostać w Watykanie na dobre.

- To szukanie igły w stogu siana. Ovidio podniósł wzrok znad komputera i spojrzał na wchodzącego Domenica, z którym dzielił odpowiedzialność za śledztwo.

- Tak, wiem, ja też nie potrafię wydedukować niczego sensownego z tych słów, one mogą znaczyć cokolwiek... Rozmawiałeś z Brukselą?

- Właśnie przed chwilą dzwonił Lorenzo Panetta, ponoć Karakoz wreszcie się ruszył. Panetta ma mi wysłać raport e-mailem, pewnie zaraz go dostaniemy.

- Ruszył się... Co to oznacza? - zainteresował się Ovidio.

- Był w Czeczenii, nieco później widziano go w Szwajcarii i w Luksemburgu.

- Ten typ jeździ sobie po Europie, jak gdyby nigdy nic!

- Póki nie zostanie wydany nakaz aresztowania... Prawda jest taka, że policja śledzi go od lat, ale nigdy nie został zatrzymany; wolą się dowiedzieć, z kim przestaje, komu sprzedaje broń, kto mu jej dostarcza. Ale ten typek jest piekielnie ostrożny i z tego, co mówi Panetta, jego rozmowy telefoniczne, podobnie jak rozmowy jego zastępcy, niejakiego Dusana, są bardzo przyziemne. Najwyraźniej działa przez posłańców, wydaje rozkazy i otrzymuje zamówienia za pośrednictwem znajomków, których ma na całym świecie: oni przekazują mu, co chcą kupić, a on realizuje zamówienie. W większości przypadków nie zna nawet prawdziwych kupców. Zresztą nie obchodzi go, kim oni są. A jeśli ktoś chce się z nim widzieć, sam wyznacza miejsce spotkania, najczęściej w Belgradzie, bo tam czuje się pewnie i bezpiecznie. To jego miasto, gdzie potrafi się doskonale ukryć i jak widać, trudno go tam wytropić.

- Karakoz jest nadal naszym jedynym tropem, końcem nitki...

- Tak, pozostaje tylko pytanie, czy aby nie popełniamy błędu lub nie podejmujemy zbyt pochopnej decyzji, trzymając się kurczowo tego końca. Aha, Lorenzo Panetta przylatuje dziś wieczorem do Rzymu. Zostaje tu na weekend i chciałby się z nami spotkać. Pozwoliłem sobie zaprosić go do siebie na kolację. Oczywiście ty też jesteś zaproszony, myślę, że będzie nam u mnie wygodniej i będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Co ty na to?

Ovidio od razu przyjął zaproszenie zaskoczony postawą Domenica, który był nie do poznania - nie okazywał mu już nieufności i niechęci. Ovidio nie wiedział tylko, czemu przypisać tę zmianę. Wyrzucał sobie w duchu, że może przedtem to on nie próbował porozumieć się z dominikaninem.

Lorenzo Panetta był zmuszony przyjąć zaproszenie duchownego. Jako wicedyrektor unijnego Centrum do Walki z Terroryzmem był odpowiedzialny za dobre stosunki tej instytucji z Watykanem.

Był zmęczony. Obiecał sobie weekend z dala od stresu nierozzerwalnie związanego z centrum, musiał jednak przedłużyć o kilka godzin dzień pracy, bo czekająca go kolacja była właśnie tym - pracą.

Ciekawiło go, jak mieszka ksiądz w Państwie Watykańskim. Oczami wyobraźni widział skromny wystrój, zwaliste meble i mnóstwo obrazów z Najświętszą Panią i rzeszą świętych.

Drzwi otworzył mu gospodarz. Pierwszą niespodzianką był jego wygląd - Domenico miał na sobie dzinsy i koszulę w kratę.

- Gdyby mnie ksiądz uprzedził, że to nieformalna kolacja, zrezygnowałbym, słowo daję, z krawata, choć, prawdę mówiąc, przyjechałem prosto z lotniska.

Domenico Gabrielli zaśmiał się zadowolony, że zadziwił policjanta cieszącego się sławą jednego z najlepszych europejskich detektywów.

- Proszę wejść. Ovidio jeszcze nie przyszedł, ale powinien tu być lada moment.-
Ovidio?

- No, ojciec Sagardia, choć nie musimy chyba tytułować się w ten sposób. Zgadza się pan ze mną? Może mi pan mówić po imieniu: Domenico. Chyba tak będzie wygodniej.

Drugą niespodzianką był wystrój mieszkania dominikanina: było prawie pozbawione mebli, a na ścianach nic nie wisiało. Salon był funkcjonalny, nowocześnie urządony. Wydawało się, że gospodarz kupił kanapę, stół i krzesła w sklepie lansującym minimalistyczny wystrój wewnątrz.

Trzecią niespodzianką były kwiaty: w całym mieszkaniu rozstawiono maleńkie przezroczyste flakoniki z jedną stokrotką - więcej by się nie zmieściło.

Niebawem zjawił się Ovidio, on również rozglądał się zdziwiony po mieszkaniu.

Gospodarz okazał się na dodatek znakomitym kucharzem. *Pasta* była wyborna, a eskalopki w sosie cytrynowym wzbudziły entuzjazm obu gości.

- Przykro mi, ale nie zdążyłem przygotować deseru z prawdziwego zdarzenia - usprawiedliwiał się z fałszywą skromnością Domenico, stawiając na stole półmisek z plasterkami ananasa.

- Czyżby umiał ksiądz również przyrządzać desery? - zapytał Lorenzo Panetta.

- Nie jest to co prawda moja specjalność, ale jeśli czas mi pozwala, robię całkiem dobry placek brzoskwinowy.

Dopóki na stole nie pojawiła się kawa i grappa, trzech stołownicy nie przeszli do tematu, dla którego się spotkali.

- Dobrze, czytali już księża e-maila, którego wysłałem dziś rano, więc niewiele mogę dodać. Przechwyciliśmy rozmowę telefoniczną pewnego drobnego przestępcy, niejakiego Jugola, przedstawiciela paryskiego marginesu. Jest Serbem, podobnie jak Karakoz, choć przyjechał do Paryża kilka lat przed wybuchem wojny. Pracował jako ochroniarz w nocnych klubach, aż pewnego dnia awansował i zajął się robieniem poważnych interesów pod rozkazami Karakoza. Ma nawet własne biuro zajmujące się importem i eksportem.

- O czym dokładnie rozmawiał Karakoz z tym typkiem? - zapytał Domenico.

- Jest o tym mowa w raporcie. Jugol zadzwonił do Karakoza, by mu powiedzieć, że „stary” się z nim skontaktował i złożył nowe zamówienie - tym razem dostawa ma się odbyć

w Serbii - i obiecał zapłacić gotówką. Jugol pojedzie odebrać pieniądze. Karakoz kazał mu mieć na oku dziewczynę, która złoży wizytę „staremu”. To wszystko. Tak więc nasi ludzie śledzą Jugola w dzień i w nocy, podobnie jak Karakoza.

- My niestety nie poczyniliśmy wielkich postępów. Cóż, na dobrą sprawę nie poczyniliśmy żadnych postępów - przyznał Ovidio.

- Jak już księżom wiadomo, podejrzewamy, że samobójcy z Frankfurtu mieli w zanadrzu jeszcze jedną misję, być może przygotowywali nowy zamach, pozostaje tylko pytanie gdzie i kiedy... To takie frustrujące... te słowa odnalezione wśród spalonych dokumentów nie mają żadnego sensu. Niektóre pochodzą z książek, ale po co zamachowcy paliliby książki? Lecz najbardziej nie daje mi spokoju... no, coś mi mówi, że Karakoz zrobił się taki ostrożny, bo zdaje sobie sprawę, że go obserwujemy.

- Jak to? - zdziwił się Domenico.

- Zawsze był przezorny, bo wie, że jest dobrze znany wszystkim agencjom wywiadowczym, dlatego stara się nie zwracać na siebie uwagi. Jednak po wydarzeniach we Frankfurcie stał się bardzo nieufny, teraz jego rozmowy są jeszcze bardziej banalne. Nie ulega wątpliwości, że zwiększył środki ostrożności.

Ovidio i Domenico milczeli, rozważając te słowa. W rzeczywistości Panetta nie powiedział im tego, co naprawdę myśli i czego się obawia: że doszło do przecieku i ktoś zdradził Karakozowi, że jest śledzony.

Panetta zastanawiał się, czy wyznać duchownym prawdę, postanowił ją jednak przemilczeć. Nie wspomniał jeszcze o swych obawach Hansowi Weinowi, zamierzał to zrobić dopiero w przyszły poniedziałek w biurze. Wein od kilku dni przebywał poza Brukselą, a Panetta wolał nie mówić mu o swoich podejrzeniach przez telefon ani przez Internet.

- Dlaczego pana zdaniem Karakoz wie, że jest pilniej obserwowany niż dotychczas? - zapytał Ovidio podejrzliwie.

- Nie powiedziałem, że Karakoz o czymkolwiek wie, powiedziałem, że po zamachu we Frankfurcie stał się ostrożniej szy. Przecież broń i materiały wybuchowe użyte przez zamachowców pochodziły od niego.

- Nadal pan myśli, że Kościół może pomóc w śledztwie? - dopytywał się Ovidio.

- Nie na co dzień znajdujemy dokumenty, w których jest mowa o świętych, o krzyżu w Rzymie... Wydaje się więc jasne, że jeśli dojdzie do nowego zamachu, może on być wymierzony w Kościół, nie należy wykluczać takiej ewentualności.

- Ale to nijak nie pasuje do sposobu myślenia islamskich fundamentalistów. Oni nie są głupi, krajów arabskich nie interesuje nasyłanie fundamentalistów na instytucję taką jak Kościół. Będę z panem szczerzy, nie sądzę, by zamach mógł być wymierzony w nas.

- Ma ksiądz rację, to nie pasuje do ich sposobu myślenia, przeczy ich interesom, a jednak proszę nie wykluczać takiej możliwości - odpowiedział Panetta.

- Przedyskutowaliśmy już tę sprawę w biurze i wykluczyliśmy właśnie tę możliwość. Atak na Kościół byłby wielkim błędem strategicznym, o który trudno podejrzewać nawet największych fanatyków. Poza tym, panie Panetta, mamy przecież do czynienia ze słowami wyrwanymi z kontekstu, słowami uratowanymi z popiołów, nie wiadomo, z jakich dokumentów pochodzą. Przypuszczenie, że Kościół może paść ofiarą zamachu terrorystycznego, to tylko bardzo śmiałe domysły - obstawał przy swoim Domenico.

- Od wielu lat zajmuję się tymi sprawami i zapewniam księdza, że choćbyśmy stawiali na głowie, próbując zgłębić sposób myślenia terrorystów, jest to zadanie prawie niemożliwe. Terrorysty kierują się własną logiką. Czasami mówimy: nie, tego nie zrobią, bo to skompromitowałoby ich w oczach opinii publicznej, a tymczasem oni jak na złość właśnie to robią. Proszę mi wierzyć, terroryści zawsze będą nas zaskakiwali. Czy ktokolwiek przypuszczał, że zaatakują World Trade Center? Lub że podłożą bomby w dwóch madryckich pociągach, mimo że Hiszpania zawsze solidaryzowała się z Arabami i że właśnie tam najwięcej obywateli wyległo na ulice, by zaprotestować przeciwko wojnie w Iraku? Gdy dochodzi do zamachu, staramy się odkryć jego powody, wypracowujemy teorie na ten temat. Ale terroryści zawsze mają nad nami przewagę, bo my możemy doszukiwać się logiki w ich działaniu dopiero po fakcie.

- Mimo wszystko wykluczałbym zamach na Kościół.

- Czy nie było czasem zamachów na synagogi? - przypomniał mu Panetta.

- Owszem, były... - bąknął Ovidio.

- Dlatego lepiej nie wykluczać niczego, z czystej ostrożności. Teraz skoncentrujemy się na Jugolu, zobaczymy, ile możemy się dowiedzieć z tego tropu, kim jest „stary”, jeśli w ogóle ktoś taki istnieje... Musimy jednak poczekać, aż przeciwnik wykona jakiś ruch. Będę księży informował na bieżąco.

Lorenzo Panetta pożegnał się z duchownymi, dziękując dominikaninowi za wspianą ucztę. Nigdy nie sądził, że będzie jadł kolację w murach Watykanu, a tym bardziej że pozna dwóch księży, którzy na pierwszy rzut oka nie wyglądają na kapłanów.

- Napij się jeszcze grappy przed wyjściem - zachęcał Ovidia Domenico, nalewając przezroczysty płyn do maleńkiej szklaneczki.

- Naprawdę uważasz, że ci szaleńcy ze Stowarzyszenia nie zaatakują Kościoła?

- Po co mieliby to robić? Przecież potępiłszy atak na Irak i bez przerwy prosimy Izrael o poszanowanie praw narodu palestyńskiego, a papież prowadzi otwarty dialog z imamami i ulemami... Dlaczegoż mieliby wystawiać na próbę przychylność Kościoła? Nie, nie wystąpią przeciwko nam. Nie tyle z powodów moralnych, ile z troski o własne interesy.

Domenico przemawiał z taką pewnością i przekonaniem, że Ovidio wołał z nim nie polemizować. Kolacja okazała się bardziej udana, niż oczekiwał, więc nie chciał psuć dobrego nastroju jedną z typowych dyskusji, które ich męczyły i wprawiały w zły humor.

O północy pożegnał się z dominikaninem. Był zmęczony, musiał zebrać myśli, wejrzeć w swoją duszę.

20

Dla Salima al-Bashira weekend w Paryżu okazał się owocny. Spotkanie ze znajomą kobietą było udane nie tylko z osobistego punku widzenia, ale również go uspokoiło: ludzie z Centrum do Walki z Terroryzmem nie wiedzą ani o nim, ani o Stowarzyszeniu. Błądzą po omacku, choć nie spuszczają z oka Karakoz, przekonani, że przez niego dotrą - jak po nitce do kłębka - do sprawców zamachu. Ale Stowarzyszenie ostrzegło już Serba, a ten umie o siebie zadbać i na pewno zastosował odpowiednie środki, by zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Stowarzyszenie ufało Karakozowi, bo jest sprytny i inteligentny, ale przede wszystkim dlatego, że obchodzą go wyłącznie pieniądze. Nigdy ich nie zawiódł, pewnie, że i oni płacili mu bez mrugnięcia okiem. Karakoz nie uznawał targowania się.

Ze wszystkiego, co powiedziała, zaniepokoiło go tylko jedno, rzucone od niechcenia zdanie: „Wiesz? Całkiem niedawno widziałam, jak Panetta szperał w archiwum, przeglądając dane wszystkich pracowników działu, pojęcia nie mam, czego szukał. Może kogoś podejrzewa”.

Wolał jej nie niepokoić, skoro potraktowała obojętnie to zdarzenie, choć jemu wydało się ono, owszem, niepokojące. Choć było mało prawdopodobne, by ludzie z Centrum do Walki z Terroryzmem trafili na ślad Stowarzyszenia, mogli domyślić się istnienia przecieku i dotrzeć wprost do niej. A to oznacza ryzyko, na które nie mogą sobie pozwolić. Nadszedł więc moment, by pozbyć się tej kobiety.

Ciągle obmyślał szczegóły trzech przygotowywanych zamachów. Przerzut ludzi poszukiwanych przez policję całego cywilizowanego świata mógł nastęrczyć wiele trudności, choć trzeba przyznać, że coraz łatwiej było im poruszać się po Europie: miliony ich braci

mieszkały pośród tych głupkowatych, pełnych dobrych chęci Europejczyków, którzy wierzyli w naiwne hasła o pokoju i sojuszu cywilizacji.

Tak czy inaczej, muszą jak najszybciej przystąpić do akcji, korzystając z tego, że Centrum do Walki z Terroryzmem jeszcze niczego nie zwietrzyło.

Kobieta obiecała zadzwonić, gdyby nastąpiła jakaś zmiana. Wiedział, że spełni obietnicę, że dla niego zrobi wszystko. Uśmiechnął się do myśli, która przymknęła mu nagle przez głowę: znalazł wyjście z sytuacji - wyśle ją jako żywą bombę na jeden z celów. Byłby to piękny sposób zakończenia ich związku i pozbycia się problemu. Nie będzie zresztą pierwszą zachodnią kobietą gotową umrzeć dla islamu. Wymyślił właśnie, jak upiec dwie pieczenie na jednym ogniu - nic, tylko pogratulować sobie pomysowości.

A tymczasem spotka się z granadyjską komórką. Omar zatroszczył się, by zorganizowano w Granadzie cykl konferencji na temat trzech religii monoteistycznych. Salim został oczywiście zaproszony. Jego obecność na tego typu imprezach była oczywista, dlatego nikogo nie zdziwi jego wyjazd do Granady. Do tego czasu zdąży podjąć ostateczną decyzję.

Od Omara wiedział, że Mohamed, Ali i Hakim są już na północy Hiszpanii, w Santo Toribio, że wtopili się w tłum pielgrzymów odwiedzających sanktuarium w nadziei uzyskania odpustu z okazji roku jubileuszowego.

A co do zamachu w Rzymie... Tak, z przyjemnością zamieni swoją kochankę w żywą bombę. Oczami wyobraźni widział, jak z głową owiniętą hidżabem krzyczy, że ginie dla Allacha. Uśmiechnął się na myśl o tej makabrycznej wizji - ta kobieta była mu beznadziejnie oddana.

Wzdrygnął się na odgłos telefonu. Po odłożeniu słuchawki znów się zaśmiał, tym razem na głos: Wydział Nauk Politycznych Uniwersytetu Harvarda chciał, by wygłosił wykład na temat możliwego sojuszu między światem zachodnim i muzułmanami. Zgodził się bardzo chętnie. Obiecano mu sowite wynagrodzenie, a i jego prestiż akademicki miał na tym zyskać. W końcu będą go słuchali ni mniej, ni więcej tylko przyszli światowi przywódcy, kształcący się właśnie na Harvardzie... Powie im to, co chcą usłyszeć, bo czego innego by nie zrozumieli. Amerykańskie i europejskie elity polityczne nie chcą nawet słyszeć, że nie można zatrzeć różnic poprzez dialog i ustępstwa. Ci tchórze boją się kłopotów i aby ich uniknąć, są gotowi na każde poświęcenie. Zachowują się jak dzieci.

* * *

Raymond głaskał *Kroniką brata Juliana*, jakby chciał, by natchnęła go ona siłą do tego, co miał zrobić. Po chwili odłożył książkę na stół i wyszedł z hotelowego apartamentu, zerkając na zegarek - była druga po południu. Miał nadzieję, że o tej porze nie spotka nikogo

na korytarzu. Obawiał się, że pokojówka lub ktoś z gości zauważy, jak wślizguje się do cudzego pokoju.

Na spotkanie z Ileną wybrał hotel Crillon. Aby wytłumaczyć pobyt w hotelu, mimo posiadania własnego apartamentu w Paryżu, hrabia zlecił malowanie i zmianę wystroju łazienek w swoim mieszkaniu. Łącznik zawsze podkreślał, że nie należy zaniedbać nawet najdrobniejszego szczegółu. Wybór hotelu był sporym problemem, ostatecznie postanowił jednak nie poświęcać własnej wygody dla przelotnego spotkania. Z rana Łącznik zadzwonił do niego, podając mu tylko jeden numer - numer pokoju Ileny.

Zdumiał się na jej widok. Zbyt wysoka, zbyt jasnowłosa, zbyt niebieskooka - jednym słowem zbyt rzucająca się w oczy, by wykonać misję, do której był potrzebny ktoś, kto mógł uciec niezauważony, nie zwracając na siebie uwagi.

Wyglądała na dwadzieścia trzy, dwadzieścia pięć lat, na jej twarzy zakrzepł gniew.

- Ma pan wskazówki? - zapytała zaraz po powitaniu.

- Tylko część, mogę wejść i usiąść?

Wyczuł, że jest spięta, speszona, że chce jak najszybciej się go pozbyć.

- Proszę się rozluźnić. Tu nikt nas nie widzi ani nie słyszy, a pośpiech jest złym doradcą, zwłaszcza w przypadku czekającej nas rozmowy.

Wskazała mu krzesło i usiadła naprzeciwko niego. Rozdzielał ich okrągły stół.

- Za kilka dni wręcę pani cztery bilety lotnicze, dla pani i pani towarzyszy, ale najpierw potrzebuję waszych zdjęć do wyrobienia paszportów.

- Mam je przy sobie, ale zaszła pewna zmiana: w akcji wezmą udział mój brat, mój kuzyn i kuzynka.

- Skąd ta zmiana? - zapytał Raymond zaniepokojony.

- Moja kuzynka wycierpiała tyle samo co ja - odparła, wpatrując się w niego gniewnie.

- A pani drugi brat?

- Zostaje, by opiekować się naszą matką. Z siedmioroga rodzeństwa zostało nas tylko troje. Resztę zabito na wojnie, podobnie jak naszego ojca. Ktoś z nas musi żyć, tak postanowiliśmy.

- Ile lat ma pani kuzynka?

- Jest starsza ode mnie.

- Pytałem, ile ma lat.

- Czterdzieści. Na wojnie straciła męża i najmłodszą córkę. - Ilena westchnęła niecierpliwie. - Nadal nie przedstawił mi pan szczegółów misji.

- Co pani już wie?

- Że nareszcie będę mogła zemścić się na muzułmanach. Nikt, zupełnie nikt, nie przejął się tym, co zrobili nam Serbowie.

- Zemsta nie dosięgnie pani prześladowców.

- Wiem, ale chcę, by im podobni płakali tak, jak ja płakałam.

- To nie będzie proste, ale nam się uda. Zadamy muzułmanom cios, po którym nie zdołają się podnieść: zniszczymy relikwie Mahometa.

- Relikwie? To muzułmanie mają relikwie? - zapytała z niedowierzaniem Ilena.

- Tak, w pałacu sułtańskim w Stambule, znanym jako pałac Topkapi, jeden z sułtanów polecił wybudować salę, nazwaną Salą Błogosławionego Płaszcz, gdzie przechowywany jest płaszcz Mahometa, jego pieczęć, miecze, kilka włosów z brody, a także jego chorągiew z czarnej wełny. Chrześcijanie walczyli z muzułmanami, niosąc do bitwy drzewo krzyża, na którym umarł Jezus Chrystus, natomiast Turcy w dramatycznych momentach swej historii obnosili w procesji po stambulskich ulicach chorągiew Proroka.

- A jak zniszczymy te relikwie? - zapytała Ilena.

- Wysadzimy je w powietrze, ma się rozumieć. Pani brat, kuzyn i kuzynka pojedą do Stambułu jako zwykli turyści, a jeśli chodzi o panią... Pani za bardzo zwraca na siebie uwagę, lepiej, by udała się tam pani tuż przed zamachem. Tylko niech pani ubierze się skromnie i próbuje nie rzucać się w oczy. Nie pchajcie się do Topkapi wszyscy razem, lepiej niech każdy dotrze tam na własną rękę. Tylko niech pani nie idzie tam sama, bo to na pewno zwróci uwagę.

- Jakie obywatelstwo będzie widnieć w moim paszporcie?- Bośniackie. Będziecie uchodzili za Bośniaków z Sarajewa, to najlepsze rozwiązanie.

- Jestem Serbobośniaczką i dobrze znam Sarajewo.

- Cały sekret polega na zmianie tylko kilku danych, nie wszystkich. Gdyby wystąpiła pani jako Angielka lub Szwedka, pani wygląd nikogo by nie zdziwił, ale kłamstwo wydałoby się, gdy tylko otworzyłaby pani usta. A więc jest pani Bośniaczką przebywającą na wakacjach w Stambule, po prostu.

- A bomba?

- Bomba zostanie ukryta w wózku inwalidzkim. Będzie pani udawała niepełnosprawną. Tylko w ten sposób okpimy ochronę, z tym że musi pani wiedzieć, że zamach będzie prawdopodobnie kosztował panią życie.

- Gdzie umieścimy resztę materiałów wybuchowych?

- Również w wózku. Ponoć pani bracia i kuzyn znają się na rzeczy, bo walczyli na wojnie

- To prawda.

- Doskonale, a więc ukryjcie materiały wybuchowe w wózku: w siedzeniu lub w poręczy, gdzie będzie wam wygodniej. Zrobicie to na miejscu, w Stambule, bo głupota byłoby ryzykować i pchać się przez granice z wózkiem inwalidzkim nafaszerowanym materiałami wybuchowymi.

- Broń również otrzymamy w Stambule?

- Tak, podobnie jak materiały wybuchowe. Pani brat lub kuzynka, wszystko jedno kto, będą pchali wózek. Ma pani udawać niepełnosprawną turystkę, inwalidkę wojenną - ofiarę bombardowania. Nie może pani chodzić, dlatego porusza się pani na wózku inwalidzkim. Ale powtarzam, musi pani coś zrobić ze swoim wyglądem. Za bardzo rzuca się pani w oczy, a przecież ma pani stawić się w Stambule jako zwykła bośniacka turystka. Może mogłaby pani przefarbować sobie włosy lub przykryć je muzułmańską chustą...

- Ale przecież zrobiłam już zdjęcie do paszportu - zżymała się Ilena.

- Tu chodzi o pani bezpieczeństwo. Proszę mi wierzyć, zwraca pani na siebie uwagę bardziej, niż pani sądzi.

- Dobrze, niech panu będzie, przefarbuję włosy.

- Pani strój również musi być zupełnie zwyczajny, nic, co rzucałoby się w oczy. Owinie sobie pani nogi kocem, bo proszę pamiętać, że jest pani inwalidką. Na dobrą sprawę to nawet lepiej, że w akcji weźmie udział jeszcze jedna kobieta, muzułmanka podróżująca z trzema mężczyznami mogłaby wzbudzić podejrzenia. Mimo wszystko... to nieplanowana zmiana, muszę się w tej sprawie skonsultować.

- Z kim?

- Nie pani sprawa. Proszę nie myśleć, że operacja na taką skalę to czysta improwizacja lub dzieło jednej osoby.

- Bynajmniej tak nie myślę.

- Jak już wspomniałem, moim zdaniem dobrze, że będzie pani miała drugą kobietę do pomocy. No, proszę dać mi zdjęcia.

Ilena wręczyła gościowi kopertę z fotografiami.

Raymond przyjrzał się uważnie twarzom krewnych Ileny - kuzynowi, kuzynce i bratu. Kobieta była atrakcyjna, choć nie mogła równać się z Ileną, mężczyźni wyglądali zwyczajnie, oni na pewno nie zwrócą niczyjej uwagi.

- Kiedy dostanę paszporty i pieniądze?

- Najpierw skonsultuję zmiany, potem znów się z panią spotkam. Ale będzie pani musiała doręczyć mi nową fotografię. Może przefarbuję pani włosy jeszcze dzisiaj, zrobi sobie zdjęcie i odda mi je dziś wieczorem, najpóźniej jutro rano...

- Dobrze, zrobię to jeszcze dzisiaj. Kupię farbę i za dwie godziny będę nie do poznania.

- Może pójdzie pani do fryzjera...

- Przecież sam pan nalega, żebym nie zwracała na siebie uwagi...

- Ma pani rację. Tylko proszę sprawić sobie kapelusz lub jakieś inne nakrycie głowy, żeby pracownicy hotelu nie dostrzegli zmiany w pani wyglądzie.

- Przecież jesteśmy w Paryżu. Kogo może tu zdziwić kobieta farbująca włosy?

- Może zdziwić, że ktoś o pani kolorze włosów chce je farbować. Każda kobieta wiele by dała, by mieć takie włosy. No, ale nie traćmy czasu na dywagacje o włosach. Proszę zrobić tak, jak ustaliliśmy. Dam pani pieniądze na zakup tych drobiazgów.

Ilena przyjęła od Raymonda dwieście euro, następnie uchyliła drzwi, wyjrzała na korytarz i dała gościowi znak, że droga wolna.

Poczuł się pewnie, dopiero gdy wrócił do swojego apartamentu i nalał sobie kieliszek calvadosu. Miał kilka godzin do ponownego spotkania z Ileną, postanowił więc zerknąć na postęp robót w swoim paryskim mieszkaniu. Wcześniej zadzwonił jednak do Łącznika, by poinformować go o zmianie planów.

21

Hans Wein słuchał, poruszony, Lorenza Panetty. Jeśli podejrzenia jego zastępcy się potwierdzą, ucierpi dobre imię centrum, a na dodatek skompromitują się przed innymi agencjami wywiadowczymi.

- Moim zdaniem - argumentował Panetta - powinniśmy zlustrować raz jeszcze wszystkich pracowników centrum, z nami dwoma włącznie. Trzeba rozwiązać wszelkie wątpliwości. Wolę, by okazało się, że jestem w błędzie i niepotrzebnie sięję panikę, niż zlekceważyć sprawę.

- Podejrzewasz kogoś? - zapytał Wein prosto z mostu.

- Nie, szczerze mówiąc, nie. Poprosiłem o raporty lustracyjne wszystkich pracowników działu i nie natrafiłem na żaden niepokojący szczegół w ich życiorysach. Choć, niestety, to jeszcze niczego nie dowodzi. Obym się mylił!

- Przejrzałeś akta Mireille Beziars?

- Ma się rozumieć, jednak niczego ciekawego w nich nie znalazłem. Nie kierujmy się uprzedzeniami. Wiem, że Matthew widział ją na kolacji z jakimś młodym człowiekiem o wyglądzie Maghrebczyka, ale to jeszcze nic nie znaczy, przecież Mireille spędziła wiele lat w krajach arabskich. Nie popadajmy w paranoję i nie dopatrujmy się terrorysty w każdym Arabie. Gdyby Mireille miała coś do ukrycia, nie szłaby na kolację do najbardziej uczęszczanej restauracji w Brukseli.

- Najciemniej jest pod latarnią... - zauważył Wein.

- Wiem, ale szczerze mówiąc, nie sądzę, by Mireille pracowała dla Stowarzyszenia.

- Sam przecież powiedziałaś, że wszyscy musimy poddać się ponownie wewnętrznej lustracji - przypomniał Hans Wein.

- Oczywiście, i Mireille nie będzie wyjątkiem.

- Lubisz tę małą.

- Bo uważam, że jest inteligenta i rezolutna. Ma tylko jedną wadę: porywczość.

- W naszym zawodzie porywczość może mieć opłakane skutki. Tak czy owak, wspomniałem już w kadrach, by rozejrzano się dla niej za nową posadką. Odczekam jeszcze trochę i podpiszę jej przeniesienie.

- Dlaczego chcesz „odczekać jeszcze trochę”, zamiast od razu ją wyrzucić?

- Wolę nie narażać się jej stryjaskowi, który obdzwoniłby zaraz całą Komisję Europejską, skarżąc się na krzywdę, jaką wyrządziliśmy jego ukochanej bratanicy. Lepiej zaczekam tydzień lub dwa.

Lorenzo zarechotał. W Hansie Weinsie można było czytać jak w otwartej książce, bo nie potrafił ukryć swoich uczuć, choć starał się, by wszystkie jego wypowiedzi były taktowne.

- Moim zdaniem powinieneś wystąpić o natychmiastową kontrolę lustracyjną.

- Dobrze, powiem Laurze, żeby załatwiła stosowne formalności.

- Nie, nawet Laura nie powinna o niczym wiedzieć.

- Na Boga, Lorenzo! Ufam Laurze bardziej niż sobie!

- Lepiej nie ufaj nikomu, nawet mnie, póki ludzie z działu bezpieczeństwa nie powiedzą, że można. Ja też mam zaufanie do Laury, ale kontrole lustracyjne powinny być przeprowadzane w tajemnicy, dlatego nie wspominaj o niczym nawet jej.

- Niech będzie, zrobię, jak mówisz.

Gdy Lorenzo Panetta miał wejść do swojego gabinetu, do biura wpadł Matthew Lucas i przywołał go ruchem ręki.

- Co się dzieje, Matthew?

- Jest szef?

- Tak, jasne.

- Przechwyciliśmy rozmowę Jugola z jakimś numerem komórki. To był Dusan, zastępca Karakoza. Udało nam się namierzyć numer, ale to oczywiście jedna z tych kart dostępnych w pierwszym lepszym sklepiku, choć badamy sprawę szczegółowo.

- Chodźmy do Weina! - zawołał Panetta. - To pierwsza dobra wiadomość od wydarzeń we Frankfurcie.

W kilku słowach Matthew zrelacjonował dyrektorowi centrum i jego zastępy szczegóły przechwyconej rozmowy. Do Jugola zadzwonił jakiś mężczyzna. Głos, wyjaśniał Matthew, wskazywał na osobę starszą. Rozmowa nie trwała długo: „Przyjechała, mam zdjęcia, część zamówienia będzie mi potrzebna w miejscu przeznaczenia. Wyślę panu listę i zdjęcia. Nastąpiły zmiany. Wszystko ma być gotowe za dwa tygodnie”.

Jugol podniósł rąbano z powodu tak wczesnego terminu, mówiąc, że zrobi, co się da, ale niczego nie obiecuje. Rozmowa była przeprowadzona w obrębie Paryża, choć nie udało się ustalić skąd konkretnie.

A jeśli chodzi o telefon do Dusana, Jugol poskarżył się, że dano mu bardzo mało czasu na skompletowanie zlecenia i że ma problemy z „cholernym wózkiem”.

- Co mógł mieć na myśli, mówiąc o „cholernym wózku”? - zastanawiał się na głos Hans Wein.

- Cokolwiek by to było - ciągnął Matthew - wszystko wskazuje na to, że Karakoz przygotowuje nową dostawę za pośrednictwem swojego człowieka w Paryżu. Nie znamy tylko zleceniodawcy ani jego zamiarów. Laboratorium potwierdza, że niezidentyfikowany głos należy do posuniętego w latach Francuza. To ktoś wykształcony, z klasą, bynajmniej nie chodzi o pierwszego lepszego goryla czy zabijakę spod ciemnej gwiazdy.

Laura White, asystentka Hansa Weina, zapukała lekko do drzwi i weszła.

- Szefie, dzwoni komisarz spraw wewnętrznych, może pan odebrać?

- Tak, przełącz rozmowę.

Asystentka popatrzyła ciekawie na trzech mężczyzn, zauważyła bowiem napięcie na ich twarzach, o nic jednak nie pytała. Hans Wein najbardziej na świecie nie znosił wścibstwa i braku dyskrecji.

Matthew i Lorenzo wyszli z gabinetu, aby Wein mógł porozmawiać bez świadków.

- To może być coś, ale wcale nie musi - stwierdził Matthew. Lorenzo Panetta nakazał mu milczenie gestem, który nie uszedł uwagi spostrzegawczej Laury.

Po powrocie do gabinetu szefa Lorenzo musiał, aczkolwiek niechętnie, wyjaśnić Matthew powody swego dziwnego zachowania.

- Być może to tylko przeczucie starego gliny, bo w końcu nikim innym nie jestem, ale po wydarzeniach we Frankfurcie Karakoz stał się nagle wyjątkowo ostrożny, znacznie bardziej niż przedtem, zupełnie jakby wiedział, że wzięliśmy go na muszkę.

- Tó chyba zrozumiałe - stwierdził Amerykanin - że ma się na baczności. Siedzi po uszy w gównie i wie, że mnóstwo agencji wywiadowczych próbuje znaleźć na niego haczyk, mam rację?

- Tak, ale... dobrze, powiem wprost: być może doszło do przecieku - rzucił Panetta.

- Co? To niemożliwe! - obruszył się Matthew. - Przecież wszyscy jesteśmy poddawani regularnym kontrolom lustracyjnym.

- Zgadza się, zresztą wystąpiłem o dodatkową kontrolę, musimy dmuchać na zimne. Póki dział bezpieczeństwa nie wykona swojego zadania, żadna informacja dotycząca sprawy, nad którą pracujemy, nie może opuścić tego gabinetu - oświadczył kategorycznie Hans Wein.

- Miałem poprosić doktor Villasante o odsłuchanie naszego nagrania, może będzie mogła coś powiedzieć na temat głosu tego niezidentyfikowanego mężczyzny - powiedział Matthew.

- Odłóżmy to na później. Wszystko jedno, czy Andrea wysłucha taśmy dzisiaj, czy za trzy dni. Tak czy owak, nie możemy wiele zdziałać, musimy czekać, aż Jugol, Karakoz i ich kolesie wykonają następny ruch, pozostaje nam więc się zacziąć i cierpliwie czekać. Będziemy czujni, nic więcej nie możemy zrobić, a pana, Matthew proszę o dyskrecję. Nie chcę, by centrum stało się pośmiewiskiem wszystkich agencji.

- Proszę się nie martwić, umiem dochować tajemnicy - zapewnił Matthew z cieniem ironii w głosie. - Pozwolę sobie jednak zauważyć, że nie uważam, iż doszło do przecieku. Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek z centrum zdradzał informacje naszym wrogom, chyba że...

- Myśli pan o Mireille? - prychnął Lorenzo. - Niech pan nie będzie wobec niej niesprawiedliwy!

- Nie jestem niesprawiedliwy, ale może coś jej się niechcący wymknęło podczas rozmowy z jednym z arabskich znajomych, a z kolei ten powtórzył to swoim znajomym i... Tak, Mireille Beziars jest moim zdaniem jedynym słabym ogniwem w naszym biurze.

- Nie chcę uchodzić za obrońcę Mireille, zresztą nie muszę jej bronić - stwierdził Lorenzo Panetta. - Uprzedzenia i niesprawiedliwe osądy doprowadzają mnie do szewskiej pasji. Tak czy owak, panna Beziars zostanie poddana lustracji, może ucieszy pana też wiadomość, że lada dzień opuści nasz dział.

- Tak, to rzeczywiście dobra wiadomość. Ta paniuszka zupełnie tu nie pasuje. - Nie przypadła do gustu ludziom z naszego działu, choć Bogiem a prawdą nijak nie potrafię

zrozumieć, dlaczego wszyscy krzywo na nią patrzą - stwierdził Panetta, zwracając się bardziej do samego siebie niż do rozmówców.

- Ale pan jej ufa - zauważył Matthew Lucas.

- Owszem, uważam, że ma chęci do roboty i wyobraźnię, poza tym jest inteligentna, więc gdybyśmy tylko pozwolili jej pracować, mielibyśmy z niej pożytek.

- To jeszcze jedno z pańskich przeczuć? - zakpił Matthew.

- Tak, przecucie starego wygi, który zjadł zęby na tej robocie.

Podczas krótkiej południowej przerwy w pracy wstąpili do kawiarni w budynku centrum.

Andrea zaprosiła Mireille, by przysiadła się do stolika zajmowanego przez inne pracownice działu. Była wśród nich nie tylko Laura White, asystentka dyrektora, ale również Diana Parker, prawa ręka Andrei.

Przesiadła się do nich bez entuzjazmu. Andrea Villasante była osobą oziębłą, Mireille jeszcze nigdy nie widziała jej uśmiechniętej, ale musiała przyznać, że jej bezpośrednia szefowa, mimo z trudem skrywanej antypatii do niej, stara się zintegrować ją z resztą swoich podwładnych.

- Coś się kroi - stwierdziła Laura White.

- Co takiego? - zapytała szorstko Andrea.

- Nie wiem, ale szef i Panetta mają nosy spuszczone na kwintę i są jeszcze bardziej tajemniczy niż zwykle - zdradziła Laura. - Nie wiem, co knują, ale najwyraźniej nie chcą, by ktokolwiek się o tym dowiedział.

- Może tak ci się tylko wydaje, tutaj wszyscy wcześniej czy później popadamy w paranoję i próbujemy domyślić się Bóg wie czego z miny kolegi przy biurku obok - stwierdziła Diana.

- Fakt, czy szef ma nos na kwintę i coś ukrywa, nie jest, moim zdaniem, odpowiednim tematem do rozmowy - ucięła surowo Andrea. - Tutaj każdy z nas ma jakieś zadanie do wykonania.

Laura zarumieniła się, wiedząc, że palnęła głupstwo, i to właśnie ona, osoba chwalona za dyskrecję i umiejętność trzymania języka za zębami.

- Andreo, nie zrozum mnie źle, to była tylko błaha uwaga - próbowała się bronić.

- Nic, o czym tu mówimy, nie jest błahe, zwłaszcza uwaga dotycząca naszego dyrektora i jego zastępcy. Nie znoszę domysłów i plotek.

Wszystkie uczestniczki rozmowy zamilkły, widząc, że Andrei nie dopisuje humor. Najgorsze, że mogła napomknąć Hansowi Weinowi o niedyskrecji jego asystentki, więc aby nie drażnić pani doktor, postanowiły nie wdawać się z nią w dyskusję, a najlepiej wcale się nie odzywać.

Matthew Lucas podszedł do nich z filiżanką kawy w ręku.

- Można się przysiąc? - zapytał i usiadł, nie czekając na odpowiedź.

Mireille nie mogła pohamować gestu niechęci. Ten Amerykanin wyłaził ze skóry, żeby pozbawić ją pracy, a jego krytyczne uwagi znajdowały posłuch u Hansa Weina. Uznawszy, że nie płacą jej za spędzanie półgodzinnej przerwy z tym typem, wstała, zamierzając wyjść. Miała zresztą coś do zrobienia.

- Wychodzę na papierosa - rzuciła na pożegnanie. Patrzyli, jak oddala się pospiesznie. Matthew był wyraźnie zadowolony z jej odejścia.

- To dobra koleżanka - stwierdziła Diana Parker, obrzucając go spojrzeniem niebieskich oczu. - Choć ty jej nie lubisz.

- Nie muszę jej lubić. To nie towarzystwo wzajemnej adoracji, wymaga się tu od nas skuteczności, niczego więcej - rzucił Amerykanin.

- Nie znoszę obgadywania ludzi z działu, nieważne, czy się o nich mówi dobrze, czy źle - wtrąciła znów Andrea, wstając i zostawiając towarzystwo nad niedopitą kawą.

- Co ją dzisiaj ugryzło? - zdziwiła się Laura.

- Od kilku dni jest jakaś nieswoja - przyznała Diana. - Konkretnie od poniedziałku, odkąd wróciła z weekendu... Ale to wspaniały człowiek, naprawdę.

Nikt nie odpowiedział. Dopili kawę i zaczęli się rozchodzić. Panetta czekał zniecierpliwiony na Lucasa.

- Gdzie się pan podziewał? - zgromił go.

- Byłem na kawie... Coś się stało? - spytał zdziwiony Matthew.

- Proszę do mnie na słowo.

Towarzyszące Matthew koleżanki przyglądały im się kątem oka. Nie było wątpliwości, że w biurze dzieje się coś, co szefowie próbują utrzymać w tajemnicy przed pozostałymi pracownikami działu.

Matthew zaczekał, aż Lorenzo wyjaśni mu, co się dzieje. Włoch, mimo obowiązujących zakazów, zapalił papierosa, nic sobie nie robiąc z oburzonego spojrzenia Amerykanina.

- Proszę na mnie nie patrzeć jak na zbrodniarza - obruszył się Panetta, otwierając okno. - Moim zdaniem to szczyt wszystkiego, by człowiek nie mógł sobie zapalić nawet we własnym gabinecie.

- Pan wie, że to panu szkodzi, zresztą nie tylko panu, ale wszystkim, z których robi pan biernych palaczy. Chodzi o zdrowie, zdrowie pana i wszystkich z pana otoczenia.

Panetta łypnął gniewnie na Matthew, zgasił dopiero co zapalonego papierosa i westchnął z rezygnacją.

- Nasi ludzie śledzili dwóch podkomendnych Jugola. Proszę zgadnąć, gdzie urzędują te aniołki. Ni mniej, ni więcej tylko w Crillonie, jednym z najwykwintniejszych hoteli w Paryżu, a może nawet na świecie.

- I co tam robią?

- Podobno nic wielkiego. Posiedzieli trochę w recepcji, wypili kilka drinków w barze, pospacerowali dyskretnie po holu... Zresztą nadal tam tkwią, a przynajmniej tkwili jeszcze parę godzin temu.

- Dlaczego obserwujecie tych typków?

- Bo to zaufani ludzie Jugola. Ciekawe, co oni robią w Crillonie...

- Ochroniają albo śledzą któregoś z tamtejszych gości - domyślił się Matthew.

- Tak, pewnie jedno z dwojga. Albo może Jugol wybiera się do Crillona na spotkanie z kimś, a oni sprawdzają, czy teren jest bezpieczny.

- Nie zorientowali się, że są obserwowani?

- Nie, przynajmniej na razie. Dobrze się do nich zabraliśmy, ponad trzydziestu naszych ludzi rozpracowuje Jugola.

- Przypuszczam, że takie zakapiory rzucają się w oczy w hotelu tej klasy - zauważył Matthew niespokojnie.

- No, nie stoją tam z gołą klatą ani nie prężą bicepsów. Starają się nie rzucać w oczy.

- I co teraz...?

- Musimy czekać. Być może jesteśmy na tropie grubszej sprawy. Podsluchane rozmowy, te dwa typki w Crillonie... zobaczymy, czy uda nam się nareszcie dobrać do Karakoza.

- I do Stowarzyszenia, bo to nasz główny cel.

- Żeby dobrać się do Stowarzyszenia, musimy najpierw rozpracować Karakoza. Może to jedyny słaby punkt w systemie bezpieczeństwa tych fanatyków.

Dochodziła dziewiąta, gdy Raymond zapukał ponownie do drzwi pokoju Ileny. Nieco wcześniej natknął się na korytarzu na pokojówkę, ta jednak nie zwróciła na niego uwagi. Wszedł do windy i nacisnął guzik trzeciego piętra, gdzie zatrzymała się Ilena. Jakaś para czekała akurat na windę, dlatego nie odważył się wysiąść, tylko zjechał aż do holu. Wstąpił do baru i poprosił o kieliszek calvadosu. Nie lubił pić samotnie poza domem, ale nie chciał, by go przyłapano, jak kręci się po trzecim piętrze Crillona.

Ilena zaczeka. Opróżniwszy kieliszek, wyszedł z hotelu i ruszył przed siebie, gdzie oczy poniosą, mimo nalegań portiera chcącego wezwać jego kierowcę. Dopiero po prawie godzinnym tułaniu się po mieście postanowił wrócić do hotelu.

Tym razem szczęście mu dopisało i wsiadł do windy sam. Nacisnął guzik z numerem piętra, na którym znajdował się jego apartament, a dopiero po przejechaniu jednego piętra wcisnął trojkę z obawy, że znów natknie się na jakiegoś hotelowego gościa i nie będzie mógł dotrzeć do pokoju Ileny. Uznał, że los mu jednak sprzyja, bo na korytarzu nie było żywego ducha. Zapukał i drzwi otworzyły się natychmiast.

- Czekałam na pana - rzuciła niecierpliwie kobieta.

- Nie mogłem przyjść wcześniej - wyjaśnił, przyglądając się odmienionej Henie.

Jej włosy były teraz koloru ciemnoblond i nie spływały już na plecy - Ilena obcięła je na wysokości uszu. Trudno było o większą fuszerkę, od razu było widać, że ostrzygła się sama. Ale liczył się rezultat - Ilena była teraz zdecydowanie mniej atrakcyjna, bardziej pospolita, mimo olbrzymich niebieskich oczu, w których pobłyskiwał z trudem tłumiony gniew.

- Proszę, oto zdjęcia. Krzywiono się na zmiany?

- Nie, wszystko w porządku. Wasza kuzynka może zastąpić pani brata.

- Kiedy przekaże mi pan paszporty i pieniądze?

- Za kilka dni, trzy, góra cztery.

- A co z bronią i materiałami wybuchowymi?

- Już pani mówiłem, dostaniecie je w Stambule.

- A co mam robić do chwili otrzymania paszportów?

- Proszę wracać do siebie. Skontaktujemy się z panią, gdy wszystko będzie dopięte na ostatni guzik.

- Czy nie rzucam się zbyttnio w oczy, podróżując w tę i z powrotem?

- Musimy zaryzykować. Tkwiąc tu beczynnie, również może pani wzbudzić podejrzania. Tak brzmią polecenia i musi je pani wypełnić bez dyskusji. Uczestnicy operacji nie mogą mieć własnego zdania, to niezwykle ważne.

- Co to oznacza?

- Że każdy szczegół został dopracowany i nie możemy wprowadzać żadnych zmian ani nowych rozwiązań, chyba że okaże się to naprawdę konieczne. Ktoś skontaktuje się z panią, żeby przekazać wskazówki dotyczące podróży do Stambułu i punktu zbornego, na razie macie się dokładnie zapoznać z planem operacji.

Raymond wręczył Henie dużą, brązową, zupełnie zwyczajną i nierzucającą się w oczy kopertę.

- W środku znajdzie pani plan Stambułu, przewodnik po głównych zabytkach i ciekawych zakątkach miasta oraz broszurkę z informacją o godzinach zwiedzania pałacu Topkapi, Hagia Sophia i meczetów... Dołączyliśmy również wskazówki, jak poruszać się po mieście autobusem. Sama pani widzi, że to bardzo niewinne materiały, ale proszę je dokładnie przestudiować. W przewodniku znajdziecie szczegółową historię pałacu Topkapi oraz spis tego, co można tam zobaczyć. Oczywiście jest i staranny opis sali, w której znajdują się relikwie Proroka, a do tego dwa zdjęcia pokazujące, jak są one wyeksponowane. Aha, pani brat i kuzyn powinni zacząć już myśleć, w której części wózka ukryć materiały wybuchowe. I jeszcze coś: nadal jest pani gotowa umrzeć?

Ilena popatrzyła na niego bez śladu zdziwienia, jakby tysiące razy odpowiadała na to pytanie.

- Chyba już mówiłam, że może pan być spokojny, bo moja odpowiedź brzmi: tak, jestem gotowa. Takiej samej odpowiedzi udzieliłam człowiekowi, który mnie z panem skontaktował.

Ku zdumieniu Raymonda Ilena usiadła i skinęła na niego, by zrobił to samo. Gdy siedzieli już twarzą w twarz, Ilena opowiedziała mu, dlaczego nie boi się zginąć.

- Miałam dwanaście lat, gdy do naszego miasteczka zajechał oddział muzułmanów. Zgwałcili mnie na samym początku. Byłam akurat u ciotki mieszkającej za płotem i na ich widok puściłam się biegiem, by ostrzec pozostałych mieszkańców, ale mnie złapali. Jedna z ciężarówek zatrzymała się przy mnie i wyskoczyła z niej gromada mężczyzn. Ten, który nimi dowodził, zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów, a ja zadrżałam, bo poczułam, jak rozbiera mnie wzrokiem. Pchnął mnie na pobocze, powalił na ziemię, rozpiął rozporek i rzucił się na mnie. Zmartwiałam, z początku nie reagowałam, bo byłam przerażona, ale gdy poczułam w dole brzucha przeszywający ból, zaczęłam się bronić, wierzgałam, krzyczałam,

drapałam tego bydlaka po twarzy. Zaczął mnie bić, spoliczkował, okładał pięściami, sama nie wiem, ile ciosów mi wymierzył, czasami nic nie widziałam, bo krew zalewała mi twarz. Zgwałcił mnie brutalnie, a potem jeszcze kopnął w brzuch. Następnie gwałcili mnie po kolei wszyscy mężczyźni z ciężarówki, a było ich dwudziestu, a może dwudziestu pięciu, sama nie wiem. Wielokrotnie traciłam przytomność, a wtedy chlustali mi wodą w twarz, żebym się ocknęła i czuła, co mi robią. Wszystko mnie bolało, jakby przypalano mnie tam, w środku.

Raymond słuchał jej osłupiały. Ilena mówiła monotonnym głosem, jakby opowiadała najzwyklejszą historyjkę. Najbardziej zdumiewała go jej kamienna twarz, na której nie drgał ani jeden mięsień.

- Odnaleziono mnie nazajutrz. Nie mogłam mówić, chodzić, nawet płakać. Byłam nieprzytomna, bardziej martwa niż żywa. Leżałam w kałuży zakrzepłej krwi. Przewieziono mnie do szpitala i tam odatowano. Musiano mnie zoperować, usunąć macicę z przydatkami... Te bydlaki rozerwały mi macicę, jajniki... a na koniec mnie okaleczyły. Tak, jakby nie dość im było tego, co mi zrobili, jeszcze mnie okaleczyli, na wypadek gdybym pewnego dnia doszła do siebie i zachciało mi się mężczyzny. Wie pan, najgorsze, że nikogo to nie obeszło. O rzezi dokonanej w moim mieście, o gwałtach... o tym nie wspomniano w serwisach informacyjnych, bo byliśmy Serbobośniakami, którym w tamtej wojnie przypadła rola czarnych charakterów. Gdy nasi mężczyźni palili jakąś wieś i gwałcili kobiety, zaraz trąbiono o tym w dziennikach telewizyjnych na całym świecie, ale jeśli gwałcono Serbki, nikt nic sobie z tego nie robił, cały świat brał w obronę Bośniaków, tylko Bośniaków. Oni zrobili sobie odpowiednią reklamę i mogli liczyć na pomoc muzułmańskich ochotników ze wszystkich krajów arabskich. To oni wydawali się jedynymi ofiarami tej wojny. My byliśmy chrześcijanami, a chrześcijan z całego świata najwyraźniej nie obchodziło, co robią z nami muzułmanie, jeszcze ich bronili, oburzali się na ich krzywdę. Nawet potężny Kościół nie zrobił nic w naszej sprawie... Już panu mówiłam, że straciłam prawie całą rodzinę, bo zabili ich ci najemnicy, a i ja jestem tylko wrakiem kobiety, wrakiem pozbawionym przyszłości, nie mam nic do ofiarowania, nawet sama nie mogę się nikomu ofiarować. Dlatego nie boję się umrzeć. Na dobrą sprawę umarłam przed laty, tamtego dnia, a więc chętnie wysadzę się w powietrze w Stambule, posyłając do diabła muzułmańskie relikwie. W ten sposób zemszczę się choć trochę za to, co nam zrobili. Proszę, niech pan więcej nie pyta, czy boję się umrzeć. Powinien pan wiedzieć, że ja już jestem martwa.

Raymond wstał, nie okazując wzruszenia. Bo tak naprawdę nie współczuł tej kobiecie. Była tylko narzędziem w jego planie, nie obchodzili go ani chrześcijanie, ani muzułmanie, stanowili tylko część ceny narzuconej mu przez Łącznika: krzyż w zamian za relikwie

Mahometa, a potem wielka konfrontacja. Do tego właśnie dążył Łącznik. Jeśli chodzi o niego, chciał tylko upokorzyć Kościół i pomścić w ten sposób niewinnych, którzy zrosili swą krwią Oksytanię.

- Niech pani zostanie w hotelu do jutra. Rano proszę pojechać na dworzec taksówką. Skontaktujemy się z panią w stosownym momencie.

Po powrocie do swojego apartamentu nalał sobie kieliszek calvadosu, sięgnął po telefon komórkowy i wsunął do niego nową kartę SIM.

- Dobry wieczór.

W słuchawce odezwał się głos Łącznika. Był zadowolony z postępów akcji. Nakazał Raymondowi de la Pallisiere, dwudziestemu trzeciemu hrabiemu d'Amis, nie ruszać się z Paryża, póki do niego nie zadzwoni.

Jeden z francuskich policjantów pracujących dla Centrum do Walki z Terroryzmem zauważył spojrzenie, jakim człowiek Jugola obrzucił kobietę płacącą właśnie rachunek w recepcji Crillona.

Była jedenasta rano i hotelowy hol pękał w szwach od gości płacących rachunki za pobyt i nowych klientów czekających na zameldowanie.

Policjant od prawie godziny sączył kawę i udawał, że czyta gazetę, a więc robił dokładnie to samo, co jeden z drabów Jugola. Drugi kręcił się przy drzwiach, obserwując osoby wchodzące i wychodzące z hotelu.

Wzrok człowieka Jugola spoczął na chwilę na Henie, po czym natychmiast przeniósł się z powrotem na gazetę. Policjant przyjrzał się kobiecie i uznał, że jest dość atrakcyjna, choć nie ma w niej niczego specjalnego, no, może z wyjątkiem niebieskich oczu wyróżniających się w owalnej twarzy. Kobieta nie pasowała jednak zupełnie do tego miejsca. Nie nosiła biżuterii, nie była też zbyt elegancko ubrana: miała czarne spodnie, czarny jedwabny sweter, na szyi banalną apaszkę, z ramienia zwisała jej czarna torebka, na której nie widniało logo żadnej zawrotnie drogiej marki nieosiągalnej dla zwykłego śmiertelnika takiego jak on.

Pomyślał, że dziewczyna spędziła z kimś noc w hotelu, ale natychmiast odrzucił to przypuszczenie, widząc, że płaci gotówką. To też było podejrzane: kto w dzisiejszych czasach płaci gotówką, zwłaszcza w takim hotelu jak Crillon? Mógł się mylić i kobieta jest zwykłą turystką, jednak na wszelki wypadek syknął do ukrytego pod ubraniem nadajnika, którego mikrofon przypominał niewinny znaczek wpięty w klapę marynarki:

- Może to tylko fałszywy alarm, ale za chwilę wyjdzie młoda kobieta, na oko metra osiemdziesięciu, włosy ciemnoblond, niebieskie oczy, ubrana na czarno. Obiekt obrzucił ją wzrokiem. Coś mi tu nie gra, babka nie wygląda na typową klientkę luksusowych hoteli.

- Ładniutka? - zapytał drwiąco jeden z jego kolegów stojących na zewnątrz. - Może typek ma po prostu dobry gust i babka wpadła mu w oko.

- Być może, ale zwróćcie uwagę na reakcję obiektu numer dwa.

Ilena wyszła z hotelu, niosąc oprócz torebki małą czarną walizkę. Boy hotelowy odprowadził ją do samych drzwi, nalegając, że poniesie jej bagaż. Gdy portier zaproponował, że wezwie taksówkę, natychmiast się zgodziła. Dwie minuty później samochód zniknął w ruchu ulicznym.

Strzegący drzwi człowiek Jugola nie poruszył się ani nie zerknął na Ilenę. Jego towarzysz z wewnątrz zdążył zadzwonić na komórkę, by go ostrzec:

- Nie patrz na nią, mam tu gościa od konkurencji. Dopiero teraz się zorientowałem.

Minutę później policjant w hotelu usłyszał głos swego towarzysza:

- Fałszywy alarm. Widzieliśmy, jak wychodzi. Niczego sobie, ale nasz ptaszek nie zaszczylił jej spojrzeniem ani za nią nie poszedł.

- Dlaczego nie każecie komuś jej śledzić?

- Człowieku, po co? Przecież ci mówię, że ten tu nawet na nią nie spojrzał. W okolicy nie ma więcej ludzi Jugola, przeczesałmy teren, więc nie każ nam tracić czasu i sam go nie trać. Lepiej pilnuj, żeby obiekt nie prysnął, bo będziemy biedni.

Policjant przytaknął niechętnie. Coś mu podpowiadało, że człowiek Jugola spojrzał na tę kobietę w jakiś szczególny sposób, że jego zainteresowanie nie miało nic wspólnego z jej wyglądem. Ale postanowił wykonać rozkaz. Jeśli obiekt mu się wymknie, naprawdę napyta sobie biedy.

23

- Tutaj żył w ósmym wieku Beato z Liebany. Znają państwo zapewne jego *Komentarze do Apokalipsy Świętego Jana*. Beato był dość osobliwym mnichem, który odważył się nawet polemizować z ówczesnym metropolitą Hiszpanii i arcybiskupem Toledo opowiadającym się za adopcjonizmem. Jednak największe znaczenie mają jego ozdobione przepięknymi miniaturami pisma, które już za życia autora zyskały sobie wielką popularność. Beato napisał również hymn, w którym jako pierwszy wysuwał teorię, że Jakub Starszy głosił

ewangelię na terenie Hiszpanii. W gruncie rzeczy mamy do czynienia z hymnem proroczym, ponieważ wkrótce potem natrafiono na grób apostoła w Composteli i...

- W takim razie dlaczego klasztor nazywa się Santo Toribio, a nie jest pod wezwaniem Beata z Liebany? - zapytała jedna z turystek przewodniczkę, która spiorunowała ją wzrokiem, ponieważ kobieta nie po raz pierwszy jej przerywała.

- Właśnie miałam o tym mówić. Klasztor powstał w czasach Wizygotów i nosił nazwę San Martin de Tours. Według tradycji dzisiejsza nazwa klasztoru może mieć dwa wytłumaczenia: jedno dotyczy biskupa Palencji, Toribia, który w szóstym wieku przemierzał te ziemie, nawracając pogan. Według drugiej teorii przebywał tu również święty Toribio z Astorgi, zapalony wróg pryscylianizmu. On to właśnie odbył w piątym wieku pielgrzymkę do Ziemi Świętej i przywiózł stamtąd liczne relikwie, wśród nich prawdopodobnie największy zachowany fragment krzyża Chrystusowego. W jedenastym wieku mnisi z tutejszego opactwa, żyjący wedle reguły zakonnej świętego Benedykta, przechowywali wśród klasztornych skarbów ciało świętego Toribia i...- Będziemy mogli zobaczyć fragment krzyża?

- Uciążliwa turystka znów przerwała przewodniczkę, której cierpliwość była na wyczerpaniu.

- Tak, oczywiście. Dzięki znajdującemu się tu największemu fragmentowi krzyża będą mogli państwo uzyskać odpust zupełny. Kroniki mówią, że od najdawniejszych czasów do klasztoru ściągali zewsząd pielgrzymi, by adorować drzewo krzyża i modlić się do świętego Toribia słynącego z wielu cudów i łask. Pośrodku kościoła, pod polichromowaną figurą, będziemy mogli obejrzeć grób patrona klasztoru. Papież Juliusz Drugi ogłosił w roku tysiąc pięćset dwunastym bullę przyznającą odpust pielgrzymom, którzy przybyli do klasztoru w ciągu tygodnia po dniu świętego Toribia w latach, kiedy dzień ten wypada w niedzielę. Poza tym klasztor znajduje się na szlaku pielgrzymkowym Camino de Santiago prowadzącym do Santiago de Compostela. Aha, jeszcze jedna ciekawostka: przynajmniej od wieku szesnastego ściągają tu rodziny z osobami umysłowo chorymi, wierzone bowiem, że *lignum crucis* uzdrawia opętanych i...

- Ale w takim razie odpust można uzyskać tylko w ciągu jednego tygodnia w roku? - zapytał przewodniczkę inny pielgrzym.

- Nie, właśnie miałam to wyjaśnić. Papież Paweł Szósty rozszerzył tygodniowy odpust na wszystkie dni w roku, od niedzieli świętego Toribia aż do następnego święta patrona. Biskup otwiera Bramę Przebaczenia i od tej chwili wszyscy pielgrzymi przybywający tu w ciągu roku świętego Toribia mogą uzyskać odpust zupełny, czyli darowanie wszystkich grzechów. Państwo również go uzyskają, jeśli po przybyciu do klasztoru wezmą udział w mszy i przystąpią do spowiedzi i komunii świętej. Jak już państwu wiadomo, oprócz Santo

Toribio tylko Jerozolima, Rzym, Santiago de Compostela i Caravaca w Murcji cieszą się przywilejem roku jubileuszowego.

- Z którego wieku pochodzi klasztor? - spytał jeszcze inny pielgrzym.

- Obecną świątynię poczęto budować w połowie trzynastego wieku w odmianie klasztornej stylu gotyckiego z widocznymi wpływami cysterskimi, choć zachowały się jeszcze elementy dawnej konstrukcji romańskiej. W wieku siedemnastym rozbudowano klasztor, z tego właśnie okresu pochodzą wspaniałe krużganki, które będą mieli państwo okazję podziwiać. Na pewno zaciekawili państwa, że barokowa kaplica, w której przechowywane są relikwie *lignum crucis*, powstała z ofiar *indianos*, czyli tutejszych mieszkańców, którzy zbili fortunę za oceanem. Kaplica zachwyca swym pięknem, a jednocześnie oszczędnością stylu, zresztą przekonają się o tym państwo na własne oczy. Fragment krzyża świętego jest przechowywany w pozłacanym relikwiarzu ze srebra wykonanym przez złotników w roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym ósmym.

Mohamed i Ali słuchali z uwagą wyjaśnień przewodniczki. Autokar wyjechał właśnie z miasteczka Potes i piął się stromą szosą prowadzącą do klasztoru.

- Teraz ukaże nam się góra Viorna, na której zboczach znajduje się Santo Toribio. Aha, zapomniałam państwu powiedzieć, że w tutejszych dolinach schronili się chrześcijanie uciekający przed Maurami.

Z Granady udali się pociągiem do Madrytu, a stamtąd do Santander. Jak najzwyczajniejsi turyści wykupili w biurze podróży wycieczkę do Santo Toribio. Aby nie zwracać na siebie uwagi, ubrali się zupełnie zwyczajnie - w dżinsy, czyste, wyprasowane koszule, adidasy - i starannie uczesali. Oczywiście niejeden pielgrzym zerkał na nich ciekawie, a zarazem nieufnie. „To Arabowie - szeptano za ich plecami. - Co ich może obchodzić Santo Toribio?”. Silili się na uprzejmość wobec wszystkich uczestników wycieczki, pomagali babciom przy wsiadaniu i wysiadaniu z autokaru, na postojach biegli kupić im wodę. Jedna z kobiet nie mogła powstrzymać ciekawości i zapytała, dlaczego jadą do Santo Toribio.

- Chcecie uzyskać odpust? - dziwiła się.

- Nie, proszę pani, po prostu zwiedzamy Kantabrię i postanowiliśmy wstąpić również do tutejszego sanktuarium. Powinna pani wiedzieć, że my, muzułmanie, uważamy Jezusa Chrystusa za wielkiego proroka. To żydzi go ukrzyżowali... - przypomniał Ali, a jego odpowiedź najwyraźniej zadowolili turystkę, bo od tej pory uśmiechała się do nich promiennie.

- Kantabria bardzo się nam podoba, być może wrócimy tu z naszymi rodzinami - dodał Mohamed.

Okolice Santo Toribio zachwyciły ich. Na zboczach góry, opasane drzewami i zielenią, lśniły w bladym słońcu południa kamienne mury klasztoru.

Gdy wysiedli z autobusu, przewodniczka pokazała im Bramę Przebaczenia. Zdziwił ich brak strażników, policji, jakiegokolwiek ochrony w klasztorze. Obeszli Santo Toribio, wdrapali się na skałki, by przyjrzeć się celowi z daleka, potem zeszli na dół. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Kilkakrotnie wchodził do kościoła i wychodził, obejrzał dokładnie kaplicę Lignum Crucis, gdzie tłoczyli się pielgrzymi, mamrocząc pod nosem modlitwy.

Rozpoczęła się msza, obecni słuchali kapłana w skupieniu, przekonani, że wszystkie ich grzechy zostaną odpuszczone po przekroczeniu Bramy Przebaczenia, przystąpieniu do spowiedzi i komunii.

Nic nie broniło dostępu do kaplicy Lignum Crucis oddzielonej od reszty kościoła kratą, przeciwnie - każdy mógł uklęknąć na schodach prowadzących do maleńkiego pomieszczenia, gdzie wystawiono relikwię. Każdy mógł wysadzić w powietrze tę kaplicę, jeśli tylko był gotowy zginąć w zamachu, do czego palili się zarówno Ali, jak i Mohamed. Allah czekał na nich w raju, a ich raj był wspanialszy niż niebo chrześcijan.

Policzyli w myślach, ile kroków dzieli Bramę Przebaczenia od kaplicy, zbadali inne wejścia i kupili w sklepiku klasztorowym kilka książek o sanktuarium. Wiedzieli już, że ich misja jest nie tylko wykonalna, ale nawet banalnie prosta. Ten odległy zakątek Kantabrii, to ustronie skryte w cieniu gór Picos de Europa najwyraźniej skłaniało do zaufania, skoro ani zakonnicy, ani miejscowe władze nie podejrzewali, by ktoś mógł źle życzyć temu miejscu, a tym bardziej zniszczyć *lignum crucis*.

Salim był geniuszem, że wybrał właśnie Santo Toribio na cel zamachu. Jak chrześcijanie mogą być tak bezmyślni, by zostawiać bez ochrony klasztor, gdzie przechowywany jest, jak twierdzą, największy fragment krzyża, na którym zginął prorok Isa? Zniszczenie *lignum crucis* to fraszka, każdy może to zrobić. Nie potrzebna jest do tego nawet odwaga, wystarczy porządny ładunek dynamitu i klasztor raz-dwa wyleci w powietrze.

Mohamed uznał, że chrześcijanie będą sami sobie winni, skoro nie potrafią zabezpieczyć jak należy swego świętego miejsca.

Gdy msza dobiegła końca, zrobili to, co wszyscy pielgrzymi - sfotografowali klasztor, kaplicę Lignum Crucis, grób świętego Toribia, okolice... Wykonali dziesiątki zdjęć, które pomogą im w jeszcze lepszym zapoznaniu się z celem. Nie mogli się doczekać powrotu do Granady, by zdać relację Omarowi, a zwłaszcza by poznać Salima, który za kilka dni miał przyjechać do Granady i obiecał się z nimi spotkać. Przekazą mu dobrą wiadomość: *lignum crucis* przestanie niebawem istnieć.

Co wtedy zrobią pielgrzymi, których poznaliśmy na wycieczce? - pomyśleli Ali i Mohamed. Zaśmiali się, wiedząc, że gdy zemsta się dokona, chrześcijanie będą biadolili i załamywali ręce, ale nie zrobią zupełnie nic.

Zachód bał się problemów i aby ich uniknąć, odwracał wzrok - na tym właśnie polegała przewaga Stowarzyszenia.

24

Dzwonek telefonu wyrwał Raymonda ze snu. Zaskoczył go niespokojny głos jego nowojorskiego adwokata. Z początku hrabia nie bardzo go rozumiał, potem zamilkł, nie wiedząc, co powiedzieć, gdy tymczasem prawnik powtarzał wiadomość:

- Wczoraj zmarła pańska żona. Jak mnie poinformowano, od dawna przebywała w klinice w Cleveland, walcząc z rakiem trzustki. Przepraszam, że pana budzę, ale dopiero przed chwilą się dowiedziałem. Byłem akurat w podróży i adwokat pańskiej żony nie mógł mnie znaleźć. Wobec powagi sytuacji zdecydowałem nie czekać do jutra... Ma pan dla mnie jakieś wskazówki?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Spojrzał na zegarek - druga nad ranem. Jakich wskazówek miałby udzielić adwokatowi? Nie może jechać do Cleveland. Jako kto? Jako ojciec córki, której nie widział na oczy, która nie chce mieć z nim nic wspólnego? Jeśli tam pojedzie, ryzykuje, że zostanie przegnany... Nie, naprawdę nie wiedział, co powiedzieć adwokatowi.

- Hrabio, jest pan tam? Słyszał pan, co mówiłem?

- Tak, tak... słyszałem, ale nie mam dla pana żadnych wskazówek... Może mógłby pan skontaktować się z moją córką i powiedzieć, że jestem do jej dyspozycji, gdyby czegokolwiek potrzebowała... Tak chyba będzie najlepiej, niech pan zadzwoni i porozmawia z nią. Proszę mnie natychmiast zawiadomić, bez względu na porę, jeśli dowie się pan czegoś nowego.

Wstał z łóżka, narzucił jedwabny szlafrok leżący na pobliskim krześle, poszedł do salonu, otworzył barek i wyjął butelkę calvadosu. Choć był środek nocy, musiał się napić, by oswoić się z myślą, że został wdowcem, że stracił żonę, której nie widział od prawie trzydziestu lat. Mimo wszystko wiadomość była dla niego prawdziwym ciosem, zapewne dlatego, że Nancy gościła w jego najskrytszych marzeniach i była bohaterką najszcześniejszej epoki w jego życiu - gdy po raz pierwszy i ostatni był zakochany.

Przez chwilę miał ochotę zadzwonić do Catherine, uznał jednak, że jeśli jego córka odziedziczyła choć w części charakter matki, ciśnie słuchawką i nie będzie chciała zamienić z

nim ani słowa. Była dorosłą kobietą, już przed laty powiedziała jasno jego adwokatowi, że nie chce znać ojca ani utrzymywać z nim kontaktu. Zresztą zaraz po osiągnięciu pełnoletności zdecydowała, że jako osoba dorosła nie chce od nikogo zależeć, zwłaszcza od ojca, i zabroniła mu przysyłania pieniędzy.

Adwokat nie zdołał przekonać jej do zmiany decyzji. Wtedy właśnie Catherine zerwała wszelkie stosunki z ojcem. Nancy również nie kontaktowała się od tamtej pory z jego adwokatem. Matka i córka zerwały słabą więź łączącą je z hrabią.

Opróżnił jednym haustem kieliszek, po czym napełnił go ponownie. Nie wiedział, co robić. Może powinien jechać do Nowego Jorku i poczekać na powrót córki z Cleveland? Może w aktualnej sytuacji Catherine nie wzgardzi jego towarzystwem?

Zamiast wracać do łóżka, postanowił poczekać na telefon od adwokata, który zadzwonił dopiero godzinę później.

- Panie hrabio, udało mi się porozmawiać z adwokatem pańskiej córki. Przykro mi, ale powiedział mi jasno, że Catherine nie chce pana widzieć. Polecił mi przekazać, by nigdy więcej nie próbował się pan z nią skontaktować. Proszę wybaczyć, że przekazuję panu tak złą wiadomość.

- Niech się pan nie martwi, w rzeczywistości... cóż, nie powiedział mi pan niczego nowego, chociaż... na kiedy zaplanowano pogrzeb?

- Jutro rano zwłoki pańskiej żony zostaną skremowane w Cleveland, gdzie przez ostatnie trzy lata Catherine towarzyszyła matce podczas leczenia. Adwokat pańskiej córki nie był zbyt rozmowny, ale z tego, co mówił, wywnioskowałem, że Catherine wróci niebawem do Nowego Jorku, gdzie, jak pan wie, nadal działa ich galeria sztuki.

Tak, wiedział. Całymi latami zlecał zakup ich obrazów, by upewnić się, że Nancy i jego córka mają z czego żyć. Wiele z tych dzieł rozdał, inne nadal leżały nierozpakowane w zamkowych piwnicach. Hrabia nie gustował w sztuce współczesnej. Raymond westchnął, był zdruzgotany. A jednak coś się w nim buntowało - pierwszy raz w życiu nie mógł znieść myśli o bezczynności.

Zegar wskazywał wpół do czwartej rano. Nazajutrz umówił się z Jugolem, mieli skończyć omawianie zamówienia dotyczącego zamachu w Stambule. Spotkanie miało wyglądać podobnie jak w przypadku Ileny: Jugol zarezerwuje pokój w hotelu Crillon i tam, z dala od ciekawskich spojrzeń, przedyskutują plan, ustalą koszt operacji i sposób zapłaty. Jugol już mu zapowiedział, że jego szef woli gotówkę lub przelew na konto w banku w Szwajcarii albo w Luksemburgu na nazwisko jednego ze swoich adwokatów, których sownie wynagradzał.

Ostatecznie podjął decyzję, choć z góry wiedział, że popełnia błąd: odwoła spotkanie z Jugolem i pojedzie do Nowego Jorku. Łącznik będzie musiał zrozumieć, że niecodziennie zostaje się wdowcem i że być może to jego jedyna okazja zbliżenia się do Catherine, nawet jeśli córka mu tego zadania nie ułatwi.

Poszukał komórki i wybrał numer domowy Jugola.

Usłyszał głos dobiegający jakby zza grobu, głos Jugola zaspanego i wściekłego, że wyrwano go ze snu.

- Nie będziemy mogli się jutro spotkać - oznajmił Raymond bez żadnych wstępów.

- Kim pan, do cholery, jest? I czego pan chce?! - wrzasnął Jugol.

- Mieliśmy spotkać się jutro w Crillonie, ale to niemożliwe. Muszę wyjechać do Nowego Jorku, zadzwonię do pana po powrocie.

- Co takiego? Chyba pan żartuje! Musimy się jutro zobaczyć, jeśli operacja ma dojść do skutku. Co pan kombinuje? Proszę posłuchać, to nie najwłaściwszy moment, by wycofywać się z akcji. - Jugol był bardziej zły, że go obudzono niż z powodu zmiany planów.

- Już panu tłumaczyłem, że muszę wyjechać, moja żona umarła - wyjaśnił Raymond zboliałym głosem.

- Szefowi się to nie spodoba...

- Niewiele mnie obchodzi, co powie pański szef. On również ma żonę, więc na pewno mnie zrozumie.

- Kiedy pan wraca?

- Nie wiem, za trzy, cztery dni, nie później. Niech się pan trzyma planu. W gruncie rzeczy mieliśmy tylko omówić drugorzędne kwestie.

- Mieliśmy omówić sprawę zapłaty - uściślił Jugol - a to nie jest bynajmniej kwestia drugorzędna.

- To może poczekać kilka dni, przecież nie dostarczacie towaru już, nie ma więc mowy o opóźnieniu w zapłacie.

- Bierzemy pieniądze z góry.

- Obiecuję, że zapłacę panu wszystko, co do centa.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości. W przeciwnym razie może się pan pożegnać ze swoim zameczkiem i wszystkim, co jest panu drogie.

- Proszę mi nie grozić!

- Oj, przepraszam, zapomniałem, że rozmawiam nie z byle kim, tylko z samym hrabią! Niech pan idzie do diabła! Ostrzegam, że wstrzymam całą operację, dopóki nie wypełni pan

swojej części zobowiązania! My nie pracujemy za darmo i nie sprzedajemy na kredyt ani panu, ani nikomu!

- Zadzwonię do pana po powrocie ze Stanów. Raymond wyłączył telefon. Czuł się wyczerpany kłótnią z tym człowiekiem. Po chwili wybrał inny numer - numer zamku d'Amis.

Majordomus odebrał prawie natychmiast - telefon stał na jego nocnym stoliku.

- Zamek d'Amis, słucham?

- Dobry wieczór, a raczej dzień dobry, Edwardzie.

- Dzień dobry, panie hrabio. Coś się stało? - zaniepokoił się majordomus.

- Nic takiego, Edwardzie, nic takiego. Muszę wyjechać, wyskoczyło mi coś nieprzewidzianego. Polecę do Nowego Jorku pierwszym samolotem, w którym będzie wolne miejsce. Spędzę w Stanach kilka dni, nie wiem ile, cztery, pięć, najwyżej tydzień. Zajmij się wszystkim.

- Oczywiście, panie hrabio. Jak będę mógł się z panem skontaktować? - chciał wiedzieć przezorny służący.

- Zatrzymam się jak zawsze w hotelu Plaża, ale dzwoń na komórkę, tak będzie najlepiej. Zresztą nie musisz się martwić, sam do ciebie zadzwonię. Mam nadzieję, że podczas mojej nieobecności nic się nie wydarzy. Goście zjawiają się na zamku dopiero za dwa tygodnie, więc teoretycznie nie musisz się o nic martwić.

- Jak zawsze jestem do pańskiej dyspozycji, panie hrabio.

- Dobrze, Edwardzie, czekaj na mój telefon.

- Życzę panu dobrej nocy, panie hrabio.- Dziękuję, dobranoc.

Odłożył telefon i pomyślał, że przynajmniej o zamek może być spokojny. Edward znakomicie sobie poradzi, zarządzając gospodarstwem podczas jego nieobecności. Dolał sobie calvadosu, sięgnął po telefon stojący obok barku i polecił recepcjoniście, by zarezerwował mu bilet w pierwszej klasie na najbliższy samolot do Nowego Jorku.

Następnie postanowił zadzwonić do Łącznika i znów sięgnął po komórkę - dopiero wtedy uświadomił sobie, że za długo korzystał z telefonu i umożliwił namierzenie numeru. Rozmawiał z Jugolem dłużej, niż zamierzał, a potem na dodatek zadzwonił na zamek. Poczuł zimny pot spływający mu po plecach. Co on najlepszego narobił? Było mało prawdopodobne, by go śledzono lub o cokolwiek podejrzewano, ale Łącznik zawsze podkreślał potrzebę zachowania najsurowszych zasad bezpieczeństwa, tymczasem on pogwałcił właśnie jedną z nich.

Wstrząs, jakiego doznał na wieść o śmierci Nancy, oraz kilka kieliszków calvadosu zamroczyły go bardziej, niż był skłonny przyznać.

Próbował się uspokoić, tłumacząc sobie, że podczas rozmowy z Jugolem nie wymknęło im się żadne kompromitujące słówko, a pogawędka z majordomusem była już zupełnie przyziemna. Nie, nie trzeba panikować, złamał jedną z podstawowych zasad bezpieczeństwa, ale to jeszcze nic wielkiego, w każdym razie nic, co mogłoby zagrozić planowanej zemście. Musi po prostu zmienić kartę SIM, jak robił po każdym telefonie do Łącznika, i nie dzwonić do niego teraz, ale jutro rano, z lotniska. Zadzwoi do niego i powie mu, że leci do Nowego Jorku.

Dziesięć minut później recepcjonista poinformował, że zarezerwował mu miejsce w samolocie odlatującym o dwunastej w południe.

Ogarnęła go euforia, poczuł, że już siedzi w samolocie. Poprosił recepcjonistę, by obudzono go o ósmej. Miał jeszcze dość czasu, by się zdrzemnąć i otrząsnąć z alkoholowego zamroczenia.

* * *

Lorenzo Panetta wszedł bez pukania do gabinetu Hansa Weina. Dyrektor Centrum do Walki z Terroryzmem zganił go spojrzeniem za takie zachowanie.

- Mamy go! - wykrzyknął Włoch.

- Wiem, właśnie rozmawiałem z Paryżem, mają mi zaraz przesłać e-mail.

- Ja również z nimi rozmawiałem, mam już zapis rozmowy tego hrabiego z Jugolem. Nie do wiary, gadali na tyle długo, że zdążono ich namierzyć.

- Nie wiem tylko, dokąd nas to zaprowadzi - westchnął Wein. - Karakoz ma wielu klientów i najwyraźniej na jego liście oprócz Stowarzyszenia figuruje również jakiś francuski hrabia. A to przecież zupełnie nowy trop, który nas nie interesuje.

- A jednak powinniśmy go zbadać... - odparł Panetta.

- Szukamy ogniwa między Karakozem a Stowarzyszeniem, by móc jakoś dobrać się do tej bandy fanatyków. Nie uganiamy się za żadnym hrabią, nawet jeśli zadaje się on z człowiekiem Karakoza. Dlatego, zanim ruszymy tym tropem, muszę poprosić o zgodę przełożonych.

- Na Boga, Wein, to pierwsza rzecz, na jaką natrafiamy od dawna!

- Na nic nie natrafiliśmy! To tylko i wyłącznie pogawędka jakiegoś arystokraty z handlarzem bronią, ale, jak mi wiadomo, żaden z nich nie należy do Stowarzyszenia, nie mamy też zgody na prowadzenie śledztwa w sprawie obywatela francuskiego.

- Przecież wiesz, że w trakcie śledztwa wyłuskuje się innych przestępców i inne przestępstwa, czasami powiązane ze sprawą, czasami nie, ale tak czy owak, mamy do czynienia z przestępcami.

- Dostaliśmy pozwolenie na prowadzenie podsłuchu tylko i wyłącznie po to, by poprzez Karakoza dotrzeć do Stowarzyszenia. Wiem, że skrupulatne trzymanie się zasad oznacza niekiedy opóźnienie, ale nie zrobimy nic bez zgody przełożonych.

- Nie każę ci robić niczego niedozwolonego, Wein, po prostu uważam, że nie powinniśmy lekceważyć tego nowego tropu, nawet jeśli na pierwszy rzut oka zdaje się oddalać nas od Stowarzyszenia. Wystąp o wszystkie potrzebne zezwolenia, byleśmy tylko mogli przyjrzeć się hrabiemu. Jeśli ten trop zaprowadzi nas donikąd, porzucimy go i niech paryska policja nadal prowadzi tę sprawę, ale przynajmniej spróbujmy.

Matthew Lucas wsunął głowę przez uchylone drzwi gabinetu Weina, pytając, czy może wejść.

- Wejdz, Matthew, wyobrażam sobie, że już ci przekazano - powiedział dyrektor centrum.- Tak, to wspaniała wiadomość, prawie niewiarygodna!

- Nie wpadajmy w euforię - ostudził jego entuzjazm Wein.

- Tak, racja, ale to ważny trop - obstawał przy swoim Matthew.

- Tylko nie wiadomo, czy zaprowadzi nas tam, dokąd chcemy, czy tylko odwróci naszą uwagę od sedna sprawy i sprowadzi na manowce. Jesteśmy instytucją do walki z terroryzmem, nie policją, a obawiam się, że rozmowa tego hrabiego z Jugolem nie ma nic wspólnego z naszym śledztwem.

Matthew Lucas milczał, szukając wzrokiem poparcia Lorenza Panetty, który zdawał się krążyć myślami gdzie indziej.

- Dobrze, ale tak czy owak, zbadamy ten trop - powtórzył Amerykanin.

- Zbadamy, jeśli otrzymamy stosowne zezwolenie. Muszę powiadomić o wszystkim naszych przełożonych. Dopiero wtedy powiem wam, co możemy, a czego nie możemy robić.

Wyszedłszy od Weina, Lorenzo skinął na Matthew i zaprosił go do swojego gabinetu.

- A co na to wszystko pańscy szefowie? - zapytał Amerykanina.

- Mam wrażenie, że nie wystąpią o zezwolenie na dalszy podsłuch. Z tego, co wiem, Francuzi mają wielką ochotę drażnić sprawę. To oni są najbardziej zaskoczeni, że ich poważany arystokrata utrzymuje stosunki z takim bandziorem spod ciemnej gwiazdy jak ten Jugol.

- Proszę mnie informować na bieżąco - poprosił Lorenzo.

- Oczywiście, ale mam nadzieję, że Wein dostanie pozwolenie od przełożonych. Niedopatrzaniem byłoby nie pójść tym tropem, choćby tylko po to, by sprawdzić, dokąd nas zaprowadzi. A tak w ogóle, obiecano przesłać mi dossier tego hrabiego.

- Ja również o nie poprosiłem, przypuszczam, że czeka już na mnie w skrzynce e-mailowej.

- A więc ludzie Jugola, czatujący w Crillonie, byli tam ze względu na hrabiego... - powiedział Matthew.

- Najwyraźniej. Jednak wszystko wskazuje na to, że Stowarzyszenie przygotowuje nowy zamach, a przecież wiemy, że broni dostarcza im Karakoz. Albo udali się do innego dostawcy, albo...

- Sam nie wiem, ja też nie rozumiem, dlaczego francuski arystokrata dyskutuje przez telefon z handlarzem bronią. Hrabia dzwonił na prywatny numer Jugola i z rozmowy wynika, że planują większą akcję. Moim zdaniem powinniśmy go śledzić, nie tracić z oczu...

- Teraz jest właśnie na pokładzie samolotu lecącego do Nowego Jorku, a tam, mogę pana zapewnić, Francuzi go przypilnują. Jeśli chodzi o zamkową linię telefoniczną, będziemy ją kontrolowali i my, i Francuzi. A tak w ogóle, dostaliście już raport lustracyjny na temat waszych pracowników?

- Nie, jeszcze nie. Dział bezpieczeństwa bada nas i sprawdza wszystkie dane, dopiero za parę dni się czegoś dowiemy.

- Myśli pan, że doktor Villasante mogłaby odsłuchać nagrania rozmowy Jugola z hrabią?

- Tak, dobrze byłoby poznać zdanie Andrei na ten temat, ale powinniśmy poczekać, aż Hans Wein skonsultuje się w tej sprawie z szefostwem. Tymczasem pozostaje nam tylko czekać.

- Jeśli o mnie chodzi, spróbuję zrobić coś więcej. Powiem ludziom z laboratorium, żeby przestudiowali nagranie, i porównam głos hrabiego z poprzednią namierzoną przez nas rozmową Jugola. Pamięta pan chyba, że rozmawiał ze starszym mężczyzną o jakimś wózku. Może to ta sama osoba...

- Racja, że też o tym nie pomyślałem!

Salim al-Bashir uśmiechał się zadowolony z owacji, jaką zgotowali mu uczestnicy konferencji. Zdobył sobie słuchaczy, bo powiedział im dokładnie to, co chcieli usłyszeć: że współżycie między muzułmanami, chrześcijanami i żydami jest możliwe, że islam jest religią pokojową i nie należy utożsamiać jej wyznawców ze zbrodniarzami podkładającymi bomby i porywającymi samoloty, że potępić należy zwyczaj zachodniej prasy nazywania sprawców

tych czynów „terrorystami islamskimi”. „Czy chrześcijanina, który dopuścił się zabójstwa, dziennikarze nazywają mordercą chrześcijańskim? Nie, bynajmniej, nazywają go po prostu mordercą. Zachód ma uprzedzenia do islamu. Tak, taka jest prawda, choć wiele osób boi się do tego przyznać. My, wyznawcy islamu, czujemy się urażeni, gdy donosząc o nowym akcie przemocy, prasa podaje wyznanie jego sprawcy, ale wyłącznie jeśli jest on muzułmaninem. Bardzo proszę dziennikarzy o rozważenie tego faktu”.

Zaapelował również o szacunek „dla naszej kultury i naszych zasad, których nie próbujemy nikomu narzucić. Dlaczego w takim razie wy, Europejczycy, nie pozwalacie naszym żonom i córkom nosić hidżabu? Kogo obrażamy, nie jedząc wieprzowiny i prosząc władze szkolne o tolerancję i o to, by nie zmuszały naszych dzieci do spożywania pokarmów zakazanych przez naszą religię? Współżycie między chrześcijanami i muzułmanami jest możliwe, ale do tego potrzebny jest wzajemny szacunek i tolerancja dla różnic, ponieważ bez poszanowania naszej odmienności nasze dzieci czują się wyobcowane i dorastają w stresie, tłumiąc w sobie gniew oraz upokorzenie płynące z faktu, że muszą ukrywać swoją prawdziwą tożsamość. Władze mają obowiązek umożliwić wspólnocie muzułmańskiej życie w pokoju i w zgodzie z jej tradycją i kulturą, pozwalając nam wychowywać dzieci na dobrych muzułmanów. Wspólnymi siłami możemy pokonać przemoc, ale niezbędne są do tego szacunek i tolerancja. Zachód szczyci się co prawdą swą tolerancyjnością i owszem, jest bardzo tolerancyjny, ale tylko dla siebie, ale nie dla innych. Niech każdy modli się do Boga, jak chce, i niech nie będzie przez to napiętnowany, jak to się teraz dzieje w przypadku nas, muzułmanów”.

Poszukał wzrokiem przywódcy Stowarzyszenia w Hiszpanii, Omara, który udawał biznesmena, agenta turystycznego i jednego z najbardziej poważanych liderów wspólnoty muzułmańskiej na Półwyspie Iberyjskim. Wymienili ironiczne spojrzenia - na sali zasiadali wybitni przedstawiciele hiszpańskiej polityki i kultury, bijąc brawo szefowi operacji terrorystycznych Stowarzyszenia, którego uważali za szacownego profesora. Bardzo łatwo było przypodobać się obywatelom zachodniego świata: wystarczyło im powiedzieć, żeby się nie martwili, że ich życie nie ulegnie zmianie, że mogą nadal nurzać się w hedonizmie, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wokół, zapatrzeni w siebie.

Obywatele zachodniego świata nie chcieli problemów, dlatego byli gotowi uwierzyć każdemu, kto obiecałby, że nie będą ich mieli. To właśnie wmawiał im Salim: by pozwalali muzułmanom na wszystko, że jeśli tak zrobią, nic im nie grozi... a tymczasem oni zaleją Europę i zamienią jej katedry w meczety. W końcu lepsze to niż to, co niewierni robili tu i ówdzie - chociażby w Anglii - z kościołami, które przekształcali w restauracje, a nawet w

dyskoteki... Zasluziwali na utrate wszystkiego, bo nie wierzyli w nic, nawet we własnego Boga.

Bóg, mówili guru zachodniej kultury, to przeżytek, zabawka fanatyków, ludzi, którzy nie przestawili zegarków na aktualny moment historii. Nawoływali do korzystania z życia, do konsumpcji, do niczego więcej. Dlatego ich pokonają. Łatwo pokonać społeczeństwo, które w nic nie wierzy.

Gdy Salim al-Bashir zszedł z katedry, otoczył go tłum. Przywitał się ze słuchaczami, którzy chwilę wcześniej bili mu brawo. Następnie skierował się do sąsiedniej sali, gdzie czekała na niego rzesza dziennikarzy. Zrzucili go tymi samymi pytaniami, które zadawała mu prasa na całym świecie. Wszyscy chcieli poznać jego zdanie na temat Stowarzyszenia. Zapytano go również o ostatni zamach dokonany przez tę organizację we Frankfurcie oraz o jej liczne oświadczenia, w których domaga się zwrotu muzułmanom Al-Andalus czyli Półwyspu Iberyjskiego. Na koniec padły nieuniknione pytania o sytuację na Bliskim Wschodzie, tragedię narodu palestyńskiego i o konsekwencje wojny w Iraku.

Dopiero po godzinie mógł opuścić salę konferencyjną w towarzystwie Omara i innych braci ze Stowarzyszenia udających pokojowo nastawionych biznesmenów.

Omar siedział za kierownicą samochodu terenowego, Salim - na siedzeniu obok. Prawie się do siebie nie odzywali, dopóki nie wyjechali z Granady i mieli pewność, że nikt ich nie obserwuje.

- Wywarłeś ogromne wrażenie na słuchaczach - pogratulował mu Omar.

- Dzięki. Już ci mówiłem, że cały sekret polega na tym, by mówić im to, co chcą usłyszeć.

- Prasa nie będzie szczędziła ci pochwał. Słyszałem, jak kilku dziennikarzy wyrażało się bardzo pozytywnie na temat twojego wystąpienia.

- Tak, przypuszczam, że tak zrobią, przynajmniej do tej pory tak było.

- Pojedziemy do mnie, zjemy kolację z naszymi ludźmi. Poznasz Mohameda i Alego, którzy czekają na twoje wskazówki.

- Plan jest prosty. Lepiej będzie, jeśli dokonamy wszystkich zamachów tego samego dnia i o tej samej godzinie.

- Ty decydujesz, ale moim zdaniem napędzimy chrześcijanom większego stracha, jeśli zaatakujemy ich dzień po dniu. Nie zdążą pozbierać się po jednym zamachu, a my już zadamy im następny cios.

- Wiesz, zrezygnowałem z tego pomysłu, bo zamach stawia na baczność wszystkie jednostki antyterrorystyczne. Jeszcze dzień wcześniej wykonują swoją robotę jakby od

niechcenia, na pełnym luzie, a tuż po zamachu wzmagają środki bezpieczeństwa na lotniskach, kolei i wszystkich miejscach, które ich zdaniem mogą stać się celem zamachu. Na ulicach zaczyna się roić od policji i wojska, służby antyterrorystyczne przyciskają swoich konfidentów i nagle każdy obywatel o arabskich rysach staje się podejrzany. Któryś z naszych ludzi może zostać zatrzymany podczas rutynowej kontroli, dlatego lepiej uderzyć w trzech punktach jednocześnie.

Omar nie odrywał wzroku od szosy i kiwał głową, słuchając szefa operacyjnego Stowarzyszenia.

- A tak na marginesie, kim jest ta dziewczyna, która na konferencji siedziała z przodu i zadała mi całą serię pytań? Wyglądała na Marokankę, ale miała odkrytą głowę.

- To Laila Amir, siostra Mohameda, wspominałem ci o niej. Mamy z nią sporo problemów.

- Postawiła mnie w trudnej sytuacji, gdy zapytała, czy moim zdaniem Prorok nie popełnił błędu, mówiąc, że kobiety mają być posłuszne mężczyznom, a cudzołżnice zasługują na chłostę i ukamienowanie...

- Na szczęście zamknąłeś jej usta, stwierdzając, że konferencja dotyczy polityki, nie teologii, i że z przyjemnością odpowiesz na jej pytanie przy innej okazji.

- Tak, ale mogła zepsuć mi cały odczyt. Na szczęście publiczność stanęła po mojej stronie, uznając ją za prowokatorkę. Musisz coś zrobić z tą kobietą, i to szybko.

- Dałem Mohamedowi ultimatum.

- Jak mamy mu zaufać, skoro nie potrafi poradzić sobie z własną siostrą?

- Hasan mi go polecił. Twierdzi, że chłopak nadaje się doskonale do tej misji i że gdy nadejdzie stosowny moment, zgodzi się oddać życie dla sprawy.

- Nie obchodzi mnie, czy potrafi oddać życie, ale czy potrafi je odebrać.

- Potrafi, nie martw się. Musisz jednak zrozumieć, że niełatwo jest zabić własną siostrę.

- Tego wymagają nasze zasady. Zresztą ta bezwstydnica nie będzie pierwszą kobietą, która zostanie ukarana śmiercią za pohańbienie rodziny.

- Popelnilibyśmy błąd, zabijając ją teraz. Laila jest znana w Granadzie, stała się symbolem wyzwolonej i zintegrowanej ze społeczeństwem hiszpańskim muzułmanki. Jeśli ją zabijemy, nie obejdzie się bez śledztwa, a to jest nam teraz bardzo nie na rękę. Już ci mówiłem, że Laila Amir jest prawnikiem, pracuje w kancelarii adwokackiej, jej współpracownicy na pewno nie puszczą płazem jej śmierci.

- Załatw tę sprawę jak najszybciej.

Dom Omara był dyskretnie strzeżony przez ludzi udających służbę, rolników, ogrodników, a nawet dozorców. Przywódca hiszpańskiej komórki Stowarzyszenia wiedział, że nie może dopuścić do najdrobniejszego niedopatrzenia, ponieważ bezpieczeństwo jego gościa jest najważniejsze.

Salim przywitał się z rodziną Omara i usiadł do stołu, by zjeść kolację, w której uczestniczyli wyłącznie mężczyźni.

Niektórzy z nich wysłuchali jego odczytu i gratulowali mu teraz sukcesu, inni wpatrywali się w niego, szczęśliwi, że mogą oglądać go z bliska. Dla członków Stowarzyszenia Salim al-Bashir był żywą legendą.

Gość honorowy nie chciał powiedzieć ani słowa o realizowanej właśnie operacji, choć wszyscy pragnęli się dowiedzieć, kiedy Stowarzyszenie zada chrześcijanom kolejny cios. Przypominał obecnym, że organizacja zamieniła się w fortecę nie do zdobycia właśnie dzięki temu, że jej członkowie wiedzą tylko tyle, ile naprawdę konieczne.

Mohamed Amir, Ali i Hakim słuchali Salima w milczeniu, czując się bardzo ważni, ponieważ zostali wybrani do nowej misji. Pod koniec spotkania, gdy uczestnicy kolacji żegnali się z Salimem, Omar dał im trzem znak, by zostali.

W gabinecie gospodarza, przy zamkniętych oknach i drzwiach pilnowanych przez dwóch strażników, Salim al-Bashir przedstawił im szczegóły zamachu:

- Mohamedzie, zostaniesz na miejscu, w Hiszpanii, i zajmiesz się Santo Toribio. Przeczytałem twój raport i cieszę się, że wraz z Alim zbadaleś dokładnie miejsce akcji, niepokoi mnie jednak wasza nadmierna ufność w powodzenie operacji.

- Trudno nie być pewnym zwycięstwa, skoro tam nie ma żadnych środków bezpieczeństwa, przynajmniej nie było ich, gdy zwiedzaliśmy klasztor. Będzie nam tylko potrzebny spory ładunek wybuchowy, by wysadzić kratę, broniącą dostępu do kaplicy, oraz samą kaplicę, gdzie przechowywany jest fragment krzyża. Podczas naszej obecności relikwię można było oglądać przez kratę, ale mówiono nam, że w czasie specjalnych uroczystych mszy jest ona wystawiana na widok publiczny. Tak czy owak, należy wziąć pod uwagę utrudnienie w postaci kraty, ładunek musi ją zniszczyć.

- Dostaniecie ładunek, choć z waszego raportu wynika, że trudno wam będzie rzucić go i uciec.

Mohamed i Ali zamilkli, obawiając się tego, co zaraz usłyszą.

- Nawet jeśli przed kratą będą się tłoczyły setki pielgrzymów pragnących zobaczyć ten kawałek drewna, któryś z nich może zauważyć, jak rzucacie im coś pod nogi. Nie należy

również wykluczyć, że wprowadzone zostaną nowe środki bezpieczeństwa i nie będzie można wchodzić do klasztoru z plecakami... Nie, nie powinniśmy ryzykować, to mogłoby skazać na niepowodzenie całą misję.

- Możemy spróbować - bąknął Ali.

Salim zauważył bolesny grymas na twarzy Mohameda. Zdenerwowanie Alego również było widoczne.

- Wiecie, dlaczego nasze operacje zawsze są udane? Powiem wam: bo nie ryzykujemy, nie próbujemy czegoś zrobić, tylko to robimy, nie licząc się z ceną. Szczęcę się umiejętnością wyboru odpowiednich ludzi do naszych misji, kierując się radą mądrych ludzi takich jak Hasan i Omar. Czyżby oni się pomylili, nazywając was prawdziwymi mudzahedinami?

Zapytani spuścili głowy zawstydzeni. Jeśli nie wypełnią polecenia Salima, zostaną uznani za tchórzy, może nawet za zdrajców, i stracą zaufanie swoich przywódców, co oznaczałoby ich zgon. Zrozumieli, że tak czy owak, wyrok na nich już zapadł.

- Jeśli nie potraficie spełnić naszych oczekiwań, wyjdźcie. Mogę was zapewnić, że Stowarzyszenie dysponuje odważnymi ludźmi, którzy marzą o zajęciu waszego miejsca.

Salim zamilkł, a Omar zgromił wzrokiem swoich podkomendnych; wydawało się, że lada chwila się na nich rzuci. Wtedy głos zabrał Hakim, doświadczony bojownik Stowarzyszenia, człowiek, który zaprawił się w zamachach w Maroku, a teraz stał na czele wioski Canos Blancos.

- Nie obawiaj się, wykonamy zadanie, od wielu tygodni przygotowujemy zamach. Staniemy na wysokości zadania i zrobimy to, czego się od nas oczekuje.

- Nie, Hakimie, ty będziesz mi potrzebny gdzie indziej. Już wam mówiłem, że dokonamy zamachów tego samego dnia i w miarę możliwości o tej samej godzinie. Mohamed i Ali wysadzą w powietrze Santo Toribio, imi bojownicy, nie musicie wiedzieć kto, zaatakują bazylikę Świętego Krzyża Jerozolimskiego w Rzymie, natomiast ty, Hakimie, zniszczysz relikwie przechowywane w bazylice Grobu Pańskiego w Jerozolimie. To najtrudniejsze zadanie i w tym przypadku ryzyko jest największe, dlatego nie możemy sobie pozwolić na żadne niedopatrzenie. Chcę, żebyś jak najszybciej udał się do Jerozolimy. Mam przy sobie dossier z pełną dokumentacją na temat Świętego Grobu. Na miejscu czekają już na ciebie bracia ze Stowarzyszenia, którzy pomogą ci zniszczyć cel. Moglibyśmy poprosić palestyńskich *fidayfn*, by zastąpili nas w tej robocie, ale musimy wykonać zadanie sami, zamach ma nosić znak Stowarzyszenia... tylko Stowarzyszenia. Od Palestyńczyków otrzymasz broń, materiały wybuchowe i potrzebną pomoc, ale akcję musisz wykonać

samodzielnie. To najbardziej niebezpieczna część całej misji. Żydzi nie są tak naiwni jak Hiszpanie czy Włosi, mają oczy dookoła głowy i boją się zarzutów zagranicznej opinii publicznej, że nie potrafią zadbać o chrześcijańskie relikwie. To mogłaby tylko ożywić odwieczną dyskusję, czy zamienić Jerozolimę w wolne miasto, czemu Żydzi zdecydowanie się sprzeciwiają. Jeśli zniszczymy relikwie przechowywane w bazylice Grobu Pańskiego, nasi drodzy zachodni dziennikarze powiedzą, że Żydzi dopuścili do zamachu i nazwą to ponownym ukrzyżowaniem Jezusa. Europejczycy to banda antysemitów, z miłą chęcią odsądzą Żydów od czci i wiary. Zrobią to zresztą bynajmniej nie dlatego, że obchodzi ich Grób Pański, bo przecież oni w nic nie wierzą, a tylko po to, żeby wyżyć się na syjonistach. Nie muszę chyba mówić, Hakimie, czego od ciebie oczekuję.

- Nie musisz mi nic mówić, zrobię to, co do mnie należy. Determinacja Hakima jeszcze bardziej zawstydziła Mohameda i Alego. Spędzili bardzo dużo czasu w Canos Blancos i zdążyli dobrze poznać burmistrza wioski. Cenili go za jego prawość i odwagę i uważali go za sprawiedliwego przywódcę, którego władzy nikt we wsi nie podważał.

- Twój brat zastąpi cię na czele Canos Blancos.

- To zaszczyt, że pokładasz zaufanie w mojej rodzinie i chcesz, by nadal przewodziła wsi.

Salim al-Bashir wbił wzrok w Mohameda i Alego, czekając, aż coś powiedzą. Pierwszy odezwał się Mohamed:

- Z Santo Toribio nie zostanie kamień na kamieniu - zapewnił. - Możesz na nas liczyć.

- Tak właśnie będzie - dodał Ali, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej stanowczo.

- Dobrze, załatwię dla was materiały wybuchowe. Nie chcę, by Omar kupował je od dostawcy, sam podeślę wam je za kilka dni. Omarze, zorganizujesz wycieczkę do Santo Toribio dla andaluzyjskich pielgrzymów?

- Tak, czekam tylko, aż podasz mi datę. Potrzebuję trochę czasu, by rozwiesić ogłoszenia w parafiach, oferując wycieczki po odpust. Zarezerwowałem już na ten cel dwa autokary.

- Mohamed i Ali wsiądą do jednego z nich. Pojadą do Santo Toribio jako zwykli pielgrzymi, podobnie jak zrobili za pierwszym razem. Materiały wybuchowe też przewieziemy autokarem, autobus pełen pielgrzymów nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Towar dostarczymy do Granady którymś z twoich autokarów kursujących do Paryża.

- Przecież wiesz, że tylko jeden z moich wozów jeździ raz na tydzień do Paryża.

- To nam w zupełności wystarczy.

- Możemy wykorzystać do tego celu wycieczkę emerytów, którzy jadą na osiem dni do stolicy Francji. Za kierownicą posadzimy jednego z naszych ludzi i w drodze powrotnej zabierze ładunek.

- Dobrze, zaraz omówimy wszystkie szczegóły. Najważniejsze, by Mohamed i Ali wiedzieli, co mają robić i czego od nich oczekujemy. Hakimie, znasz się na przytwierdzaniu ładunków wybuchowych do ciała, nauczysz ich tego przed wyjazdem.

- Kiedy mam się stawić w Jerozolimie? Chciałbym załatwić przed wyjazdem kilka spraw.

- Zdązysz, choć nie powinieneś zwlekać dłużej niż dziesięć, góra piętnaście dni.

- To mi wystarczy.

Salim dał znak Omarowi, który zrozumiał, że czas pożegnać gości. Wstał, mówiąc im, że spotkanie dobiegło końca i że wkrótce dostaną dokładne wskazówki dotyczące misji.

Hakim, Mohamed i Ali wyszli z pokoju w milczeniu, pogrążeni w myślach.

- Zrobią to? - zapytał Salim Omara, gdy tylko zostali sami.

- Zrobią, niech cię o to głowa nie boli.

- Wierzę w Hakima, ale Mohamed i Ali... bo ja wiem, moim zdaniem brak im wiary.

- Niełatwo jest poświęcić się dla sprawy. Są jeszcze młodzi, myśleli, że całe życie przed nimi... Zadzwoń do Frankfurtu i porozmawiam z Hasanem. Jest teraz szwagrem Mohameda, nie zaszkodzi, jeśli przypomni mu o jego zobowiązaniach wobec nas.

- Zrób to. A teraz do rzeczy: kiedy te stare pryki jadą do Paryża?

- Za cztery dni.

- W takim razie, mój przyjacielu, zatroszczę się o to, by w drodze powrotnej przywieźli do Granady materiały wybuchowe. Muszę przyznać, że twoje biuro podróży to doskonała przykrywka... Możemy wozić, co nam się żywnie podoba, po całym świecie, nie wzbudzając podejrzeń policji. Któż kontrolowałby autokar pełen staruszków jadących zwiedzać Paryż?

- Nie powiedziałeś jeszcze, kto wykona zadanie w Rzymie - przypomniał Omar.

Salim zaśmiał się, wstając.

- Zachowam to w tajemnicy nawet przed tobą. Ale zobaczysz, spodoba ci się niespodzianka. A teraz, drogi przyjacielu, chciałbym odpocząć. Czeka mnie jeszcze sporo pracy, jutro muszę być w Rzymie.

Omar odprowadził Salima do jego pokoju. Okna były uchylone i woń kwiatów pomarańczy zdawała się przenikać wszystko wokół.

- Szczęściarz z ciebie, że mieszkasz w Granadzie! - powiedział Salim do gospodarza, zanim zamknął drzwi.

Nazajutrz o dwunastej w południe Salim zadzwonił z granadyjskiego lotniska do jednego ze swoich zaufanych ludzi i polecił mu skontaktować się z Karakozem. Towar miał być gotowy za tydzień, ani jeden dzień później. Potem profesor zaczął czekać niecierpliwie na swój samolot. Leciał do Rzymu z przesiadką w Madrycie. Ona miała czekać na niego w hotelu. Bardzo się ucieszyła, gdy zadzwonił i zaprosił ją na weekend do Wiecznego Miasta. Salim zerknął na zegarek i stwierdził, że zdąży jeszcze zatelefonować do hrabiego - w końcu to on opłaca część operacji. Komórka hrabiego nie odpowiadała, więc postanowił zadzwonić na zamek. Wiedział, że to bezpieczne, bo o ich znajomości wiedzieli wszyscy - łączyło ich zamiłowanie do historii. Raymond wziął udział w kilku jego konferencjach, poza tym spotykali się otwarcie w najlepszych paryskich restauracjach.

- Zamek d'Amis.

Salim uśmiechnął się, słysząc piskliwy głosik majordomusa.

- Dzień dobry, Edwardzie, mówi profesor al-Bashir. Czy zastałem hrabiego?

- Przykro mi, profesorze, hrabia wyjechał, wróci za kilka dni. Salim zaniemówił na chwilę. Przestraszył się, bo Raymond nie wspomniał mu, że wybiera się w podróż.

- A to pech! Mam do niego pilną sprawę, a hrabia nie odbiera komórki.

- Może wyłączył telefon ze względu na różnicę czasu.

- Ach, a mógłbym zapytać, dokąd pojechał?

Tym razem Edward zamilkł, nie wiedząc, czy może przekazać tę informację, ale postanowił to zrobić, ponieważ profesor był bardzo zaprzyjaźniony z hrabią.

- Do Nowego Jorku. Pan hrabia przeżywa ciężkie chwile, zmarła jego żona.

- Bardzo mi przykro. Wie pan, kiedy wróci?

- Nie, proszę pana, ale pan hrabia powiedział, że nie zabawi długo w Stanach. Być może nie zdąży nawet na pogrzeb. Wszystko stało się tak szybko...

- Rozumiem. No cóż, spróbuję jeszcze raz zadzwonić na komórkę, a jeśli hrabia się z panem skontaktuje, proszę mu powiedzieć, że muszę z nim pilnie porozmawiać. I proszę mu oczywiście przekazać moje kondolencje.

- Dobrze, proszę pana.

Salim wyłączył telefon poirytowany. Miał nadzieję, że śmierć hrabiny, o której Raymond nigdy nie wspomniał ani słowem, nie opóźni akcji. Wierzył, że hrabia nie jest romantykiem, który musi porzucić zajęcia, by ukoić smutek, bo w przeciwnym razie ucierpi

na tym cała operacja, a do tego Salim nie zamierzał dopuścić. Pomyślał o ich dziwnej znajomości. Ciągłe zachodził w głowę, jak hrabia do niego trafił, najważniejsze jednak, że mieli wspólnego wroga - krzyż. Raymond odnalazł go, by zlecić mu zadanie, którego sam nie mógł wykonać: ukaranie katolików. I dopną celu, na pewno go dopną, choć ich motywacja jest zupełnie różna. Najzabawniejsze, że hrabia sądzi, iż opłaca połowę misji, a tymczasem finansuje ją w całości. Już wypłacił spore zaliczki na przygotowanie planu. Salima śmieszył fakt, że hrabia d'Amis sfinansuje operację Stowarzyszenia.

Metaliczny głos z megafonów ogłosił, że jego samolot jest gotowy na przyjęcie pasażerów. Salim pomyślał, że ma przed sobą upojny weekend z kobietą oddaną mu bezgranicznie.

26

W piątek w południe setki pracowników brukselskiego Centrum do Walki z Terroryzmem opuszczały biura, nie mogąc się doczekać weekendowego wypoczynku.

Andrea Villasante weszła do gabinetu Hansa Weina.

- Potrzebuje mnie pan w ten weekend? - zapytała.

- Nie. Będzie pani mogła odpocząć. Ja jeszcze trochę popracuję, ale potem też zamierzam wziąć wolne.

- Chciałabym wyjść dzisiaj trochę wcześniej, oczywiście jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Proszę iść, zresztą za chwilę wszyscy będą kończyli.

- Chodzi o to, że...

- Proszę się nie tłumaczyć! - przerwał jej Wein. - Przecież nieraz zostaje pani w biurze po godzinach, dlatego nie musi pani niczego mi wyjaśniać, gdy chce wyjść pół godziny wcześniej. Życzę udanego weekendu, do zobaczenia w poniedziałek.

Po wyjściu od Weina Andrea podeszła do biurka Laury White.

- W tę sobotę nie mogę iść z tobą na squasha, przepraszam, ale będziesz musiała się rozejrzeć za inną partnerką.

- Dobrze się składa, miałam ci właśnie powiedzieć, że i ja nie mogę grać. Będziemy musiały przelożyć to na kiedy indziej.

- Widzę, że jesteście niezwykle zajęte! - rzuciła żartem Diana Parker, zastępczyni Andrei.

- Na pewno nie tak bardzo jak ty. Przecież to ty nigdy nie masz czasu, żeby wybrać się z nami na squash - odcięła się Laura.

- To wcale nie z powodu nadmiaru zajęć, po prostu nie lubię chodzić do waszego klubu, bo czuję się tam jak w biurze. Wolę posiedzieć w domu, zresztą i wy nie kręcicie nosem, gdy zapraszam was do siebie na kolację. Podczas gdy wy ganiacie po korcie, ja oddaję się kucharzeniu, każdy wypoczywa na swój sposób.

Mireille przysłuchiwała się w milczeniu tej pogawędce. Zastanawiała się, czy i ona zamieni się z czasem w samotną starą pannę żyjącą wyłącznie pracą, no, a od czasu do czasu również przelotnym romansiem z jakimś urzędnikiem z biura obok. Przygnębiła ją ta myśl. Nie, nie chciała skończyć jak Laura White, Andrea Villasante czy Diana Parker - wszystkie trzy były pracoholiczkami, na prywatne życie nie starczało im czasu. Tak przynajmniej sądziła, bo wszystkie ich rozmowy dotyczyły spraw biurowych. Nawet Diana, znacznie sympatyczniejsza od Andrei czy Laury, również wydawała się nie widzieć świata poza pracą.

Mireille miała nadzieję, że nie będzie musiała zostać w biurze akurat w ten weekend, choć było to mało prawdopodobne - przecież na dobrą sprawę nikt tu się z nią nie liczył.

Wchodząc do gabinetu Weina, Lorenzo Panetta zauważył, że Laura zbiera rzeczy z biurka i wsuwa okulary do torebki.

- Wychodzisz?

- Jeszcze nie, ale mam nadzieję, że odsapnę trochę w ten weekend.

- Dobry pomysł, wyglądasz na zmęczoną.

Panetta wszedł do gabinetu szefa, który właśnie odkładał słuchawkę.

- Dzwonili z Paryża - powiedział Wein.

- Coś się stało? - zapytał Lorenzo niecierpliwie.

- Miałeś rację, podsłuchiwanie zamku d'Amis było strzałem w dziesiątkę, choć ja też dobrze zrobiłem, prosząc o zgodę naszych przełożonych, w przeciwnym razie moglibyśmy napytać sobie biedy.

- W pełni się z tobą zgadzam. No, ale mów, co się stało?

- Zgadnij, z kim przyjaźni się nasz hrabia.

- Pojęcia nie mam, ale skoro zadaje się z Jugolem, można się po nim spodziewać wszystkiego.

- Obiecano przesłać mi zaraz raport i zapis rozmowy telefonicznej. Mówi ci coś nazwisko al-Bashir, Salim al-Bashir?

- Nie, chyba nie... A powinno?

- Ja też nie wiedziałem, kto to taki, ale mnie oświecono. To poważany profesor historii mieszkający w Anglii. Napisał wiele książek o wyprawach krzyżowych, jest ponoć naukowcem cenionym na całym świecie. Nawet światowi politycy zwracają się do niego o radę w sprawie porozumienia między muzułmanami a światem zachodnim.

- Aha... i ten profesor przyjaźni się z hrabią?

- Tak, na to wygląda.

Spojrzeni po sobie, jakby czekali, który z nich pierwszy wypowie niepoprawną politycznie myśl. W końcu Panetta zdecydował się odezwać, bo dobrze znał Hansa Weina i jego strach przed tym, że zostanie źle zrozumiany.

- A więc mamy francuskiego hrabiego, który zadaje się z handlarzem bronią, a jednocześnie przyjaźni z profesorem o nazwisku al-Bashir. Brzmi interesująco, prawda? Szczególnie dlatego, że to dwie osoby zupełnie „czyste”, poza wszelkimi podejrzeniami.

- Masz coś nowego o hrabim? - zaciekał się tym razem Hans Wein.

- Tak, dwie godziny temu otrzymałem jego szczegółowy życiorys. Intrygująca postać! Godny następcy swego tatusia. Masz, przeczytaj, wszystko to jest bardzo dziwne. Hrabia stoi na czele fundacji Pamięć o Katarach, jego ojciec był natomiast zagorzałym faszystą. Ponoć z pomocą jakichś ważnych osobistości z Trzeciej Rzeszy poszukiwał Graala, a podczas wojny gościł w swoim zamku znanych hitlerowców. W szukaniu Graala pomagali mu niemieccy profesorowie i młodzież o nazistowskich poglądach. Nawet Kościół zaniepokoił się w którymś momencie ich poczynaniami. Tutaj masz wszystko czarno na białym. - Panetta podsunął szefowi plik papierów. - Musisz rzucić na to okiem.

- Ludzie w Paryżu dobrze się spisali - przyznał Hans Wein.

- Amerykanie również. Matthew Lucas przesłał mi właśnie raport na temat tego, co robił hrabia od przylotu do Nowego Jorku. Poza tym ich laboratorium potwierdziło, że w naszym pierwszym nagraniu to właśnie hrabia rozmawia z Jugolem o tajemniczym wózku.

- Chyba cię poproszę, żebyśmy spędzili ten weekend w biurze - zaproponował Wein.

- Tak, i ja uważam, że powinniśmy trochę popracować.

- Kogo poprosimy, by dotrzymał nam towarzystwa?

- Nikogo.

- Dlaczego? Na miłość boską, Lorenzo, nie ma i nie było żadnego przecieku! Dział bezpieczeństwa potwierdził, że wszyscy nasi ludzie są czysti jak łąza.

- Wiem i bardzo mnie to cieszy, ale... wystarczą nam dwie sekretarki. Poradzimy sobie sami, nie musimy nikomu psuć weekendu.

- Nie zgadzam się... zatrzymam przynajmniej Laurę. Andrea chciała dzisiaj wyjść wcześniej, ale... no, moglibyśmy poprosić również o pomoc Dianę.

- Błagam, Hans! Nie trzeba stawiać na nogi całego działu. Naprawdę uważam, że poradzimy sobie sami.

- Dobrze, niech ci będzie, ale ostrzegam, że ostatni raz obyśmy się bez pomocy ludzi z działu.

- Hans, jestem pewien, że informacje docierające do Stowarzyszenia pochodzą właśnie stąd. Nie twierdzę, że ktoś przekazuje je umyślnie, ale mam przeczucie, że...

- Przeczucie! Lorenzo, w naszym fachu liczą się fakty, nie przeczucia. Dobrze, już dobrze, zostaw mi te papiery i zadzwoń po Matthew, może wpadnie do nas po lunchu.

Laura White zapukała i weszła do gabinetu w towarzystwie Andrei Villasante.

- Co się dzieje? - zapytała prosto z mostu Hiszpanka. - Nic, tylko kursujecie z gabinetu do gabinetu. Są jakieś nowe wiadomości?

- Nie! - zawołali jednocześnie.

- Nie wiemy niczego nowego - dodał pospiesznie Panetta.

- Andreo, życzę pani miłego weekendu - rzucił Hans Wein.

- Dziękuję, właśnie przyszedłam powiedzieć, że wychodzę. Do zobaczenia w poniedziałek.

Odprowadzili ją wzrokiem, zastanawiając się, dokąd wybiera się na weekend. Andrea była kobietą skrytą aż do przesady, pochłoniętą pracą, nikt w Brukseli nie słyszał, by wdawała się w jakieś romanse. Lorenzo pomyślał, że ta opanowana kobieta i perfekcjonistka to w gruncie rzeczy jedna wielka tajemnica.

Laura White obserwowała Hansa Weina i Lorenza Panettę, próbując odgadnąć ich myśli.

- Nie musicie mówić o co chodzi, ale i tak czuję, że coś się dzieje.

- No, Lauro, nie bądź znowu taka podejrzliwa! - odparł Panetta. - Przeglądamy tylko papiery, czyste formalności...- W takim razie nie będziecie mnie potrzebowali...

- Masz jakieś ciekawe plany? - zapytał Lorenzo z uśmiechem.

- Owszem, w ten weekend zamierzam pozażywać szczęścia.

- A więc do dzieła! Możesz zapomnieć na dwa dni o sprawach biurowych.

Laura wolała to usłyszeć od swojego bezpośredniego przełożonego.

- Może już pani iść do domu, życzę miłego wypoczynku - pożegnał ją Hans Wein.

Zanim Laura zdążyła wyjść, Diana Parker, prawa ręka Andrei Villasante, wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

- Chciałabym wyjść dzisiaj trochę wcześniej, mogę?

- Oczywiście - powiedział Hans Wein. - Przecież do końca pracy zostało tylko dziesięć minut.

- Nie będę wam już potrzebna, prawda?

- Nie, może pani spokojnie iść do domu, nie ma żadnego powodu, by przesiadywać dziś w biurze po godzinach - uspokoił ją Wein.

- Mireille również wychodzi... Biedaczka nie ma odwagi tu wstąpić, więc obiecałam, że poproszę o pozwolenie również w jej imieniu. Chyba wam nie zależy, żeby została - stwierdziła Diana z ironicznym uśmiechem.

- Bynajmniej, panna Beziars również może już iść - odparł Wein.

- No, to wychodzimy, życzę udanego weekendu.

Po wyjściu Diany Parker Laura znów zaczęła przyglądać im się podejrzliwie, czując, że coś przed nią ukrywają.

- Ma pan numer mojej komórki... Ale zapowiadam: można do mnie dzwonić wyłącznie, jeśli wybuchnie trzecia wojna światowa.

Gdy wyszła, Hans Wein długo milczał zamyślony. Lorenzo również zdawał się pogrążony w myślach.

- Proszę, proszę, najwyraźniej wszystkie nasze panie mają wspaniałe plany na weekend. W przypadku Diany i Laury tak bardzo mnie to nie dziwi, ale Andrea... - mruknął Lorenzo bardziej do siebie niż do szefa.

- Cóż, ich plany weekendowe to nie nasza sprawa. Nie przesadzaj, to znowu nie aż takie dziwne, że Villasante coś sobie zorganizowała. Może jedzie do rodziny do Madrytu?

- Może, ale... No nic, pójdę już do siebie.

- Zaczekaj, nie wychodź. Patrz, właśnie przysłano mi e-mailem zapis rozmowy tego al-Bashira z majordomusem hrabiego...

Przez dłuższą chwilę studiowali dokument. Przezornie woleli zachować dla siebie swoje opinie. Pociągnęli za nitkę w postaci Karakoza i natknęli się na zupełnie nieoczekiwanych bohaterów spisku.

Hans Wein uznał, że Lorenzo powinien natychmiast skontaktować się z Watykanem. Skoro w przeszłości Kościół badał ezoteryczną działalność jednego z hrabiów d'Amis, może mieć jakieś przydatne informacje, a przynajmniej uzupełnić ich wiedzę na temat tego arystokratycznego rodu.

Lorenzo Panetta udał się do swego gabinetu, by stamtąd zadzwonić do watykańskiego Departamentu Analizy Polityki Zagranicznej, choć było już po trzeciej i nie sądził, że jeszcze tam kogoś zastanie. Zdziwił się, usłyszawszy w słuchawce głos ojca Ovidia.

Przedstawił mu pokrótce sytuację i zobowiązał się przesłać e-mailem szczegółowy raport. Ojciec Ovidio obiecał porozmawiać z biskupem Pelizzolim i skontaktować się z centrum, jeśli znajdzie w archiwum cokolwiek na temat hrabiego d'Amisa.

- Coś na pewno tam będzie, bo z dokumentów francuskiej policji wynika, że przed laty Watykan zwrócił się do nich o pomoc i dyskretną informację na temat tego rodzaju - przekonywał Panetta.

- Zadzwoń do pana zaraz po rozmowie z biskupem. Ale proszę mi powiedzieć, co to wszystko ma wspólnego z zamachem we Frankfurcie?

- Nie wiem, może nic, ale to nasz jedyny trop. Zaczęliśmy badać Karakoza i oto, co odkopaliśmy.

- Hrabiego, który przewodzi fundacji poświęconej katarom... - mruknął Ovidio.

- To znowu nie takie dziwne, w końcu katarzy stali się lokalną atrakcją turystyczną.

- Zadzwoń do pana, gdy tylko skontaktuję się z biskupem. Ovidio zamyślił się, nie wiedząc, co robić. Musi zadzwonić do biskupa Pelizzolego, ale o tej porze Jego Ekszelencja był akurat na lunchu w ambasadzie hiszpańskiej. Ovidio wahał się, czy skontaktować się z nim natychmiast, czy zaczekać.

Nie wiedząc, jak wybrnąć z sytuacji, wybrał numer komórki Domenica, który pół godziny wcześniej wyszedł na lunch.

- Jesteś daleko od biura? - zapytał dominikanina. - Nie wyszedłem jeszcze z Watykanu. Dlaczego pytasz?

- Mam wiadomości od naszych znajomych z Brukseli, bardzo osobliwe wiadomości.

- Będę u ciebie za niecałe pięć minut.

Biskup Pelizzoli czytał uważnie raport, który podsunął mu Ovidio. Wrócił właśnie z lunchu z hiszpańskim ambasadorem przy Stolicy Apostolskiej i zastał Ovidia i Domenica zatroskanych i spiętych z powodu wiadomości napływających z unijnego Centrum do Walki z Terroryzmem. Skończywszy czytać dokumenty, westchnął i sięgnął po telefon.

- Połącz mnie z ojcem Aguirre - poprosił swojego sekretarza. Dziesięć minut później usłyszał w słuchawce energiczny głos Ignacia Aguirre. Biskup nie tracił czasu na uprzejmości.

- Ignacio, przyjeżdżaj natychmiast. Podczas śledztwa w sprawie zamachu we Frankfurcie Centrum do Walki z Terroryzmem natknęło się na Raymonda de la Pallisiere, hrabiego d'Amisa.

W słuchawce zaległa cisza. Biskup Pelizzoli wiedział, że wiadomość zrobiła wrażenie na jego leciwym mentorze. Ignacio Aguirre stanął nagle twarzą w twarz z przeszłością, która - jezuita wiedział o tym dobrze - nigdy nie zostanie do końca pogrzebana.

- Nie, nie chodzi o to, że hrabia jest zamieszany w zamach, po prostu śledzono jakiegoś handlarza bronią, którego telefon był na podsłuchu i... cóż, trudno to wytłumaczyć, zwłaszcza przez telefon... Mógłbyś przyjechać jak najszybciej? Tak, Ovidio nadal zajmuje się tą sprawą... Dziękuję, mój sekretarz dopilnuje, żeby na lotnisku czekał na ciebie bilet. Wyślę po ciebie samochód na Fiumicino. Zjemy dziś razem kolację, choć obawiam się, że będę cię musiał podjąć w moim biurze.

Wydawszy sekretarzowi stosowne polecenia, biskup poprosił, by wezwał ojca Ovidia i ojca Domenica. Ci weszli do gabinetu z marsem na czole. Biskup od razu przeszedł do rzeczy.

- Ojciec Ignacio Aguirre przylatuje dziś wieczorem do Rzymu, by objąć dowodzenie nad śledztwem. Od tej pory będziecie pracowali pod jego rozkazami.

Ośłupienie malowało się na twarzy obu księży. Ovidio zdobył się na odwagę i zapytał, co sprowadza jego nauczyciela do Watykanu.

- Ojciec Aguirre zna hrabiego d'Amisa. Wybryki ojca Raymonda de la Pallisiere zaniepokoiły przed laty Kościół. Poprzedni hrabia poszukiwał świętego Graala i skarbu katarów. To były trudne czasy, które zbiegły się z końcem drugiej wojny światowej. Ponoć sam Himmler był zamieszany w tę historię. Ojciec Aguirre jest wybitnym specjalistą od historii katarów, poza tym nikt nie wie tyle co on o rodzinie d'Amis, tym bardziej że Ignacio miał okazję dobrze ją poznać. W tej chwili dzwonię do Lorenza Panetty do Brukseli. Chyba będziemy mogli im pomóc, choć jeszcze nie bardzo wiem jak.

Gdy Lorenzo Panetta wkroczył do gabinetu Hansa Weina, ten zrozumiał, że wydarzyło się coś ważnego.

- Hans, nie uwierzysz! W Watykanie wiedzą, i to sporo, o hrabim d'Amisie. Pewien stary jezuita zna go nawet osobiście i kilkakrotnie odwiedzał jego zamek. Pelizzoli powiedział, że hrabia to typowy fanatyk. Biskup obiecał zadzwonić, gdy tylko ów jezuita, niejaki ojciec Aguirre, zjawi się w Watykanie. Zaproponował nawet, że w razie potrzeby może go nam podesłać do Brukseli.

- Kiedy będziesz mógł porozmawiać z tym jezuitą?

- Ponoć mieszka w Hiszpanii, konkretnie w Bilbao, ale jest już w drodze do Rzymu. Myślę, że dziś późnym wieczorem będzie już dostępny.

- Jeśli okaże się, że rzeczywiście wie coś ważnego, poproś, żeby do nas przyjechał.

- Tak, oczywiście. Do licha, ale się to wszystko pogmatwało!

- Nie podniecaj się tak, Lorenzo, być może to nas do niczego nie doprowadzi. Według raportów Salim al-Bashir cieszy się nieposzlakowaną opinią, zresztą to obywatel brytyjski.

- Od jakiegoś czasu wczytuję się w wypowiedzi i wykłady tego profesorka i wiesz, co mnie w nich najbardziej dziwi? Ten al-Bashir nigdy nie potępił żadnego zamachu islamskich terrorystów. Wiecznie ubolewa, że nie istnieje porozumienie między muzułmanami i obywatelami Zachodu i że świat zachodni jest niewrażliwy na potrzeby wyznawców islamu. Prosi, by budować mosty łączące nasze społeczeństwo, bo tylko w ten sposób uda się uniknąć tragedii, i dorzuca do tego jeszcze kilka napuszonych zdaniek, ale ani razu nie potępił żadnego zamachu Stowarzyszenia. Ogranicza się tylko do analizowania ich przyczyn. Nie podoba mi się ten al-Bashir. Jeszcze dobrze nie wiem dlaczego, ale mi się nie podoba.- Lepiej nie mów tego głośno, bo ten człowiek uchodzi za kluczową postać w dialogu między Europejczykami i muzułmanami i jest uważany za umiarkowanego w swych opiniach.

- Poprosiłem Rzym, by obserwowali go dyskretnie podczas jego wizyty w Wiecznym Mieście, później zwrócimy się z tą sama prośbą do Londynu...

- Odwołaj tę prośbę! Nie możemy śledzić al-Bashira, nie zrobił nic złego, nie jest o nic podejrzany. Co innego hrabia d'Amis, który zadaje się z Jugolem... Niczym się nam nie naraził profesor specjalizujący się w historii wypraw krzyżowych, nie ma niczego zdrożnego w jego znajomości z hrabią, zwłaszcza że ten przewodzi fundacji poświęconej katarom.

- Ale...

- Lorenzo, na miłość boską! Nie możemy wziąć pod lupę wszystkich znajomych hrabiego! A przynajmniej nie możemy tego zrobić, dopóki nie mamy pewności, czy jesteśmy na dobrym tropie.

- Jesteśmy na dobrym tropie, wierz mi.

- Możliwe, nie mówię, że nie, nie chcę jednak, by uznano nas za arabożerców. Zanim cokolwiek zrobimy, muszę porozmawiać z naszym człowiekiem w Londynie, niech oni decydują.

- Dlaczego nie zrobisz tego od razu? Na co czekasz? - zapytał Lorenzo, z trudem powstrzymując irytację.

- Szukamy go, bo wyjechał na weekend. Przecież jest piątek po południu.

- No to pięknie! Przestępcy mają szczęście, bo w weekendy dajemy im święty spokój.

Wyszedł rozjuszony z gabinetu szefa i prawie wpadł na Matthew Lucasa, który właśnie wchodził do biura.

- Lorenzo, przynoszę nowe wiadomości o hrabim i jego córce, która ma niezły charakter. Mam ich zdjęcia, oczywiście każdego z osobna, bo córeczka nie chce widzieć ojca na oczy. Przyniosłem również zapis ich rozmów przeprowadzonych w Stanach Zjednoczonych.

Weszli do gabinetu Weina. Panetta miał żal do szefa, który jego zdaniem przesadnie przejmował się zasadami. On, Lorenzo, nigdy nie pogwałciłby prawa, ścigając przestępców, ale zaryzykowałby i próbował samodzielnie podejmować decyzje, a właśnie przed tym wzbraniał się Wein - aby cokolwiek zrobić, potrzebował pisemnej zgody, najlepiej przyozdobionej wszystkimi możliwymi pieczętkami, w przeciwnym razie wolał czekać z założonymi rękami, co niejednokrotnie oznaczało stratę cennego czasu. Matthew streścił im w kilku słowach przyniesiony raport.

- Hrabiemu d'Amisowi nie udało się zobaczyć z córką. Hrabianka ma około trzydziestki i dotychczas żyła w cieniu matki, znanej nowojorskiej marszandki.

- Tyle już wiemy, proszę nam powiedzieć, co hrabia robił w Nowym Jorku - przerwał mu niecierpliwie Panetta.

- Większość czasu przesiedział w hotelu, gdzie trzykrotnie spotkał się ze swoim adwokatem prowadzącym jedną z najdroższych i najbardziej renomowanych kancelarii prawnych. Jednak mimo wielu starań i zabiegów adwokat nie zdołał namówić córki hrabiego, by spotkała się z ojcem. Catherine okazała się nieubłagana. Do raportu dołączyliśmy zapis jej rozmowy z adwokatem, w której nazywa ojca „faszystowską świnia” i wyznaje, że na samą myśl o nim robi się jej niedobrze.

- Z kim jeszcze rozmawiał hrabia? - zapytał Hans Wein.

- Z nikim więcej, tylko z adwokatem. Parę razy zadzwonił na zamek, ale tyle już wiecie, zapewne dostarczono wam zapis tych rozmów.

- Tak, to nic specjalnego, hrabia chciał się po prostu dowiedzieć, czy były do niego jakieś telefony, tylko tyle - odparł Wein.

- W tej chwili hrabia pakuje manatki, bo jutro późnym rankiem leci do Paryża, podaliśmy w raporcie numer lotu. Hrabia wraca ze Stanów na tarczy.

- Znakomicie. Powiadomimy Paryż, by zaczęli go śledzić, gdy tylko wyląduje. Zobaczymy, czy spotka się nareszcie z Jugolem... - powiedział Hans Wein nie bez entuzjazmu.

- Przypuszczam, że kazaliście naszym ludziom w Rzymie śledzić również Salima al-Bashira - stwierdził Matthew.

- Przed chwilą musiałem odwołać nakaz - odparł Panetta, nie kryjąc złości. - Szef się nie zgadza.

- Dlaczego? - zdumiał się Matthew.

- Bo Salim al-Bashir jest poważanym obywatelem brytyjskim, którego nie możemy się czepiać tylko dlatego, że zadzwonił do hrabiego d'Amisa. Przypominam, że w ciągu dwóch ostatnich dni z hrabią próbowały się skontaktować również inne osoby: notariusz z Carcassonne, redaktor naczelny lokalnej gazety, bankier z Paryża, znany oksytański biznesmen... zwyczajni ludzie. Nie możemy popadać w paranoję i podejrzewać o Bóg wie co każdego, kto zadaje się z hrabią. Przyjaźń Salima al-Bashira z d'Amisem jest zupełnie zrozumiała: pierwszy jest specjalistą od wypraw krzyżowych, drugi prezesuje fundacji Pamięć o Katarach. Wiemy ponadto, że hrabia uczęszcza na odczyty i konferencje poświęcone wyprawom krzyżowym, a w szczególności krucjatom przeciwko katarom. Wyobraźcie sobie tylko, że chcielibyśmy prześwietlić wszystkich profesorów i naukowców, którzy kontaktują się lub kontaktowali z hrabią...

- Nie zaszkodziłoby jednak przyjrzeć się temu al-Bashirowi... - próbował przekonywać Matthew.

- Przykro mi, Matthew, ale coś mi się wydaje, że jesteś uprzedzony do tego człowieka. Gdyby al-Bashir był Amerykaninem, prosiłbyś, bym kazał go śledzić? - zapytał Hans Wein.

Słowa dyrektora zapiekły Matthew Lucasa do żywego.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli. Jeśli dojdzie do tragedii, będzie to tylko i wyłącznie pana wina. Skoro uważa pan, że uprzedzenia przeszkadzają mi w pracy, proszę powiedzieć o tym moim przełożonym, niech przyślą tu kogoś na moje miejsce.

- No, no, tylko nie dramatyzujmy! - wtrącił się Lorenzo Panetta. - Wyznam, Matthew, że nie jest pan osamotniony w swych opiniach. Ja również uważam, że powinniśmy śledzić Salima al-Bashira, moim zdaniem popełniamy poważny błąd, zostawiając go w spokoju.

Hans Wein zmierzył ich wzrokiem. Niepokoiła go postawa Panetty i Lucasa, był jednak pewien, że postępuje słusznie, trzymając się regulaminu.

- Nie chciałem cię urazić, Matthew... Myślę, że najlepiej zrobimy, jeśli odzujemy naszego człowieka w MI Sześć. Niech decydują Brytyjczycy. W końcu Salim al-Bashir jest poddany jej Królewskiej Mości. Ale najpierw porozmawiam z naszymi przełożonymi. Wolę uniknąć niespodzianek i pretensji, jeśli powinie nam się noga. Al-Bashir jest najwyraźniej wpływową osobistością i wybuchłby skandal, gdyby wydało się, że go śledzimy. Dlatego nie

ruszymy palcem, póki nie będziemy mieli wszystkich potrzebnych zezwoleń. Chcę osobiście porozmawiać z naszym człowiekiem w MI Sześć, macie czekać na mój znak.

Matthew Lucas i Lorenzo Panetta wyszli z gabinetu dyrektora Centrum do Walki z Terroryzmem z nosem na kwintę. Obaj czuli, że tracą cenny czas, bali się nawet pomyśleć, kim może się okazać Salim al-Bashir.

- Wie pan, co moim zdaniem należałoby zrobić? - spytał Matthew.

- Tylko proszę uważać z wypowiedzianiem politycznie niepoprawnych opinii! - zaśmiał się Włoch.

- Powinniśmy mieć swojego człowieka na zamku. Bo ja wiem... może przekupimy majordomusa lub kogoś ze służby.

- Podobno Paryż już próbował zdobyć informacje z pierwszej ręki, ale hrabia najwyraźniej dobrze płaci swoim ludziom: nikt na zamku nie chce puścić pary z gęby. O dziwo, okoliczni mieszkańcy również nie są zbyt chętni do współpracy. Uważają hrabiego niemalże za boga; ród d'Amis zawsze wstawiał się za miejscową ludnością, więc ta odwdzięcza mu się ślepą lojalnością.

- Mimo wszystko powinniśmy spróbować - nalegał Matthew.

- Dobrze, zastanowię się, co by tu zrobić.

- Naprawdę odwołał pan nakaz śledzenia al-Bashira w Rzymie?

- Naprawdę.

- Szkoda...

- O tak, wielka szkoda...

27

Salim al-Bashir leżał w ramionach kochanki.

Przyleciała do Rzymu godzinę przed nim i zgodnie z jego poleceniem zameldowała się w położonym w centrum miasta hotelu Bernini Bristol, który bez wątpienia lata świetności miał już za sobą.

Jak zwykle zatrzymali się w osobnych pokojach. Salim był bardzo ostrożny, nigdy nie pokazywali się razem w hotelu, a stołowali się tylko w malutkich, mało znanych restauracyjkach, gdzie istniało nikłe prawdopodobieństwo, że ktoś ich rozpozna.

- Dlaczego tak ci zależało, żebym jak najszybciej przyleciała do Rzymu? - zapytała, głaszcząc go po czole.

- Chciałem cię zobaczyć.

Uśmiechnęła się uszczęśliwiona. Kochała go bardziej niż kogokolwiek na świecie, dzięki niemu jej życie nabrało sensu. Przed poznaniem go była samotną starą panną, której coraz mniej podobała się praca w Centrum do Walki z Terroryzmem, bo wszystkie wysiłki tej instytucji skierowane były ostatnio na walkę z terroryzmem islamskim. Ludzie z centrum nie ufali muzułmanom, choć starali się tego nie okazywać. Uważali ich wszystkich za potencjalnych terrorystów. Nie obchodziła ich sytuacja w Palestynie, bieda panująca w Pakistanie ani ciągle upokorzenia, jakie kraje zachodnie fundowały państwom islamskim, wywyższając się przed nimi. Na dobrą sprawę zasługiwali na karę. Tak, Salim miał rację, Zachód powinien zostać ukarany.

Zaprosił ją na spacer i na przekąskę. Przystała chętnie, bo chciała być blisko niego.

Opuściła hotel pierwsza i zgodnie z poleceniem Salima ruszyła w kierunku placu Hiszpańskiego, Salim dołączył tam do niej po dziesięciu minutach i udali się do restauracji L'Antica Enoteca na Via de la Croce. Zamówili po lampce białego wina oraz półmisek serów i wędlin - było za późno na obiad, a za wcześnie na kolację.

- Co słyszać w centrum? - zapytał, gładząc ją po ręce.

- Wszystko po staremu. Szefostwo nadal ma obsesję na punkcie Karakoza, wierzy, że doprowadzi ich do Stowarzyszenia.

- A odkryto coś nowego?

- Nie, raczej nie. Już ci mówiłam, że założono podsłuch telefoniczny i zdobyto numery niektórych ludzi z organizacji, ale na tym się skończyło.

- A co się mówi w centrum o wydarzeniach we Frankfurcie?

- Nadal obsesyjnie próbuje się połączyć w sensowną całość słowa ze spalonych dokumentów, ale z marnym skutkiem. Już w Paryżu mówiłam ci, że zwrócono się o pomoc do Watykanu, ale klechy również nie wiedzą, co z tym fantem zrobić.

- Nie dziwili się, że wyjeżdżasz?

- Coś mi się zdaje, że cały dział wziął sobie wolne. Przecież wiesz, że my, urzędnicy, wolimy spędzać weekendy jak najdalej od Brukseli.

- To dobrze. Nie chciałbym, żebyś miała przeze mnie kłopoty.

- Niewiele by mnie to obeszło - odpowiedziała, spoglądając na niego namiętnie.

- Ale mnie by obeszło, potrzebuję cię.

- Nigdy dotąd mi tego nie mówiłeś...

- Przecież wiesz, że cię kocham. - Uśmiechnął się do niej.

- Tak przypuszczałam...

- Chodźmy na spacer. Jest ładna pogoda, chciałbym pokazać ci pewne wyjątkowe miejsce.

Szli dość długo, Salim nie chciał zdradzić, dokąd ją prowadzi. Za każdym razem, gdy o to pytała, ścisnął ją za rękę i całował. Wreszcie zatrzymali się przed jednym z rzymskich kościołów.

- Chodź, zajrzemy do środka - zaproponował i pociągnął ją za sobą.

- Do kościoła? Oszalałeś? Niby po co?

- Wiesz, jak się nazywa ta bazylika? - ciągnął Salim, nie zwracając uwagi na zdziwienie malujące się na jej twarzy.

- To bazylika?- Tak, bazylika Świętego Krzyża Jerozolimskiego. Polecił ją zbudować cesarz Konstantyn, by jego matka, święta Helena, miała gdzie złożyć relikwie przywiezione z Jerozolimy.

- Nie wygląda na aż tak starą...

- Przebudowywano ją kilkakrotnie, najpierw w średniowieczu, potem w osiemnastym wieku. Sama zobaczysz, że stare kolumny przeplatają się z barokowymi.

- Skąd wiesz tyle o tym miejscu? - zdziwiła się. Uśmiechnął się, wziął ją za rękę i zaprowadził do środka. Szepnęła, że to rzeczywiście wspaniałe miejsce, a on oprowadzał ją po kościele jak po własnym domu.

- A relikwie? Gdzie są relikwie? - dopytywała się.

- Zaraz je zobaczysz. Zostały złożone w kaplicy zbudowanej w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku. Idzie się tam tymi schodami, na lewo od chóru.

Zeszli w milczeniu po schodach i Salim zaczął jej pokazywać przechowywane tam skarby.

- Oto trzy kawałki Chrystusowego krzyża, a to dwa ciernie z jego korony i kawałek gąbki, którą go pojono. Aha, a to fragment *titulus erucis*, tabliczki z winą Jezusa...

Zaśmiała się pod nosem i ścisnęła mu rękę, by wyrwać go z zamyślenia.

- Jesteś niesamowity! Chyba nie wierzysz, że wszystko to jest prawdziwe! Jakim cudem trafiłyby tu ciernie z korony Jezusa Chrystusa?

- Milcz i patrz. Oto jeden ze srebrników, które dostał Judasz za zdradzenie Chrystusa, a to palec świętego Tomasza, którym dotykał ran proroka. Pod posadzką złożono ziemię z Golgoty.

- Bzdury, bajeczki dla głupiutkich dzieci. Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że którakolwiek z tych rzeczy jest prawdziwa. Chyba nie muszę ci opowiadać, jak świetnie kwitł przez wieki handel relikwiami. Przeszliśmy taki szmat drogi, by oglądać te dziwactwa?

Nie rozumiem cię! Chyba nie myślisz, że obchodzą mnie relikwie, przecież wiesz, że jestem ateistką.

- Nie mów tak! - Salim przyłożył palec do jej warg, jakby w ten sposób chciał ją uciszyć.

- No, nie taką zupełną ateistką - zaczęła się tłumaczyć. - Po prostu już wiele lat temu dałam sobie spokój z religią.

Wrócili do części głównej świątyni. Nie miała odwagi przerwać milczenia Salima. Gdy wyszli z bazyliki, zaczynało zmierzchać.

Zaniepokoiła się na widok pochmurnej miny Salima, który puścił jej rękę i odpowiadał półsłówkami na jej pytania.

Gdy szli w kierunku centrum, zdjął ją paniczny lęk. Nie rozumiała, co się dzieje, nie potrafiła sobie wytłumaczyć przygnębienia Salima, czuła tylko, że wizyta w bazylice oddaliła ich od siebie, nie miała jednak pojęcia dlaczego.

Gdy byli już blisko hotelu, Salim poprosił ją, by weszła pierwsza.

- Zaraz do ciebie przyjdę - powiedziała.

- Nie, jeśli nie masz nic przeciwko, wolałbym zostać sam. Zobaczymy się rano.

- Ale dlaczego?! Co się dzieje? Co złego zrobiłam? No, powiedz, co?!

- Uspokój się, a przede wszystkim nie krzycz, bo zwracasz na siebie uwagę. Chcę pobyć trochę sam, tylko tyle.

- I po to ściągnęłaś mnie do Rzymu? Proszę, powiedz, o co ci chodzi?

- Musisz uszanować moje potrzeby, nie możesz mi się narzucać. Już ci tłumaczyłem, że chcę pobyć trochę sam, porozmawiamy jutro.

Złapała go za ramię, ale wyrwał się jej gwałtownie i ruszył w stronę hotelu, zostawiając ją na środku ulicy z oczami pełnymi łez.

Poszedł do swojego pokoju pewien, że go nie usłucha i wcześniej czy później zjawi się, błagając, by ją wpuścił. Znał ją dobrze, wiedział, że nie może bez niego żyć i robi wszystko, co jej każe, ale jeśli chce, by popełniła dla niego samobójstwo, musi postępować rozważnie i wcześniej ją urobić.

Dwie godziny później rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Poszedł otworzyć, wiedząc, że to ona.

Miała zaczerwienione oczy, a na jej twarzy malowała się bezbrzeżna rozpacz. Wydawała się słaba, zagubiona, zdruzgotana.

Nie odezwał się, ale i nie zamknął jej drzwi przed nosem, po prostu patrzył na nią obojętnie.

- Proszę, pozwól mi wejść - jęknęła.

- Nie potrafisz zrozumieć, że nie mam teraz ochoty na twoje towarzystwo? - mruknął.

Ukryła twarz w dłoniach i wybuchła płaczem.

- Chcesz, żeby wszyscy nas zobaczyli? O to ci chodzi? - zapytał z irytacją.

- Proszę, pozwól mi wejść! Muszę zrozumieć...Salim odwrócił się na pięcie, zostawiając ją na progu, nie zamknął jednak drzwi. Weszła jak zbity pies, zamykając cicho drzwi, i podreptała za nim w głąb pokoju.

- Błagam, powiedz, czym cię tak rozgniewałam!

Salim usiadł na brzegu łóżka i spojrzał na nią zimno, co jeszcze bardziej zmroziło jej duszę.

- Proszę, kochany! - osunęła się przed nim na kolana, próbując objąć go za nogi, ale się odsunął.

Zaczęła spazmatycznie szlochać, ale on nawet nie drgnął, napawał się tylko jej rozpaczą, widząc, że jest zdruzgotana, z każdą chwilą bardziej upokorzona, pozbawiona woli.

Jeszcze przez dwie godziny znęcał się nad nią, poniżając ją i demonstrując jej swoją pogardę, zanim udał, że się nad nią lituje.

- Chcesz wiedzieć, o co mi chodzi? Dobrze, powiem ci. Spojrzała na niego z wdzięcznością. Kochała go bezgranicznie, nie wyobrażała sobie życia bez niego.

- W nic nie wierzysz, jesteś jak te kobiety, które idą do łóżka z pierwszym napotkanym mężczyzną, wyłącznie dla przyjemności.

- Nie, to nieprawda! Wiesz, że cię kocham - jęknęła.

- Nie, nie kochasz mnie, jesteś niewierną, w nic nie wierzysz, niczego nie potrafisz uszanować. Dziś zrozumiałem, że nie ma dla ciebie miejsca w moim życiu. Jeśli nie szanujesz religii, w której cię wychowano, jak miałabyś uszanować moją religię i mnie? A przecież islam to najważniejsza, najświętsza rzecz w moim życiu. Tak, nadszedł moment, żebyśmy się rozstali.

- Nie! - krzyknęła rozdzierająco. Znów próbowała go objąć, ale się jej wyrwał, porzucając ją leżącą na podłodze, wyjąca jak ranne zwierzę.

- Zrobię, co tylko zechcesz, ale błagam, nie porzucaj mnie! Obiecuję, zrobię wszystko! Uwierzę w to, w co ty wierzysz! Załadaj ode mnie cegokolwiek, tylko mnie nie porzucaj!

Uśmiechnął się w duchu. Gardził nią, pogardzał tą kobietą czołgającą się u jego stóp, błagającą, by zrobił z nią, co zechce. Jest dziwką, zwykłą dziwką, jak wszystkie zachodnie kobiety, z którymi się zetknął, bez względu na to, czy były mężatkami, czy nie.

- Potrzebna mi jest kobieta, którą mógłbym szanować i by mnie również szanowano ze względu na nią. Potrzebna mi jest przykładowa muzułmanka, oddana i wierna żona, która będzie mi posłuszna i gotowa do największych poświęceń. Potrzebna mi jest kobieta, którą ty nie jesteś i nigdy nie będziesz.

- Będę! Zmienię się! Przysięgam, że będę ci posłuszna, zrobię, co zechcesz, wszystko, co tylko zechcesz! Nie mogę znieść myśli, że mogłabym cię utracić, nie mogę! - jęczała i szlochała rozpaczliwie.

- Za kilka dni zapomnisz o mnie i pójdziesz do łóżka z innym...

- Nie! Nieprawda! Kocham cię! Jesteś jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek pokochałam! Proszę... Błagam!

Pozwolił jej płakać i płaszczyć się przed nim tak długo, aż zachrypla, a jej oczy zamieniły się w dwie czerwone kreski na opuchniętej twarzy.

- Wstań.

Nie odpowiedziała ani nie ruszyła się z podłogi, na której siedziała, obejmując kolana ramionami, jakby próbowała zasłonić się przed nieszczęściem.

- Rób, co mówię! - rozkazał jej szorstko.

Próbowała się podnieść, ale brakowało jej sił. Była wyczerpana, czuła się bardziej martwa niż żywa.

- Nie wierzę w ciebie, ale... - Gdy zerknął na nią kątem oka, by sprawdzić, jakie wrażenie zrobiły te słowa, dostrzegł błysk w jej źrenicach. - Jeśli naprawdę chcesz być ze mną, musisz się zmienić i poświęcić dla mnie wszystko. A wszystko znaczy wszystko.

- Zrobię to - wyjąkała.

- Jesteś pewna, że możesz się zmienić?

- Zrobię wszystko, byle tylko być z tobą.

- Chcę, żebyś się nawróciła, żebyś została wzorową muzułmanką.

Nie zdziwiła jej ta prośba i tak jak się spodziewał, z pokorą zgodziła się spełnić jego żądanie.

- Zostanę muzułmanką, nawrócę się. Kocham tylko ciebie.

- Jeśli rzeczywiście to zrobisz... w takim razie... być może...

- Błagam, nie porzucaj mnie, wiesz, że zrobię, co tylko zechcesz!

- Chcę mieć przy sobie prawdziwą muzułmankę, kobietę odważną, która dzielić będzie ze mną wiarę i walkę. Chcę kobiety, która tak jak ja będzie myślała, że bez względu na wszystko Zachód musi pochylić czoło przed islamem. Chcę kobiety, która pomoże mi to osiągnąć.

- Pomogę ci, uwierzę w to, w co ty wierzysz.

Poczuł nową falę pogardy. Jak to możliwe, że z taką łatwością zniszczył jej osobowość? Miał przed sobą nie kobietę, ale kukłę, która zaczynała budzić w nim obrzydzenie.

- Jeśli to prawda, będziemy razem, w przeciwnym razie...

- Mówię prawdę, wiesz o tym - potwierdziła ledwie słyszalnie.

Pomógł jej wstać i zaprowadził do łazienki.

- Obmyj sobie twarz. Poproszę, żeby przyniesiono herbatę lipową. Dobrze ci zrobi.

Gdy wyszła z łazienki, herbata już na nią czekała. Piła ją obserwowana bacznie przez Salima.

Czuła się strasznie, było jej wstyd, że zachowała się tak żałośnie i udowodniła Salimowi, jak bardzo jej na nim zależy.

Po jego oczach poznała, że nią pogardza. Pomyślała, że wciąż nie wie, dlaczego w jej życiu nastąpił tak nieoczekiwany zwrot. Przecież dotychczas był dla niej zawsze rycerski i delikatny, rozpieszczał ją, czuła się przy nim jak średniowieczna królowna... Aż tu nagle... nagle zmienił się nie do poznania, zamienił się w mężczyznę, który przepelniał ją lękiem, choć powiedziała sobie, że i tak zrobi wszystko, byle jej nie porzucił, nawet jeśli będzie musiała nosić hidżab, zrezygnować z życia zawodowego i spędzić resztę życia w domu, usługując mu. Zrobi wszystko, byle tylko go nie stracić.

- Jesteś głodna? - zapytał Salim.

- Nie.

- A ja jestem. Pójdę coś zjeść. Wracaj do swojego pokoju, zadzwonię do ciebie po powrocie.

Już miała zaprotestować, ale zobaczyła w oczach Salima groźny błysk, więc tylko spuściła głowę i dopiła herbatę.

Wróciwszy do siebie, skuliła się na łóżku, by czekać na jego telefon. Zobaczyła swoją koszulę nocną położoną przez pokojówkę obok poduszki, przypomniała sobie, z jaką radością kupowała tę jedwabną szmatkę w sklepie La Perla, by oszołomić Salima. A teraz okazuje się, że wszystko na nic, że już nigdy nie będzie mogła jej włożyć. Na dobrą sprawę będzie musiała się nauczyć, jak ma się przy nim zachowywać.

Czekała niecierpliwie wpatrzona we wskazówki zegarka, sekundy dłużyły jej się w nieskończoność. Salim zadzwonił dopiero trzy godziny później, gdy przestała wierzyć, że to zrobi.

Kazał jej przyjść do siebie. Zwlekła się z łóżka. Gdy weszła do łazienki, przestraszyła się własnego odbicia w lustrze.

Miała czerwoną opuchniętą twarz. Wydawało się, że przez jeden wieczór przybyło jej lat. Nie, w lustrze nie zobaczyła kobiety atrakcyjnej i wesolej, za jaką się uważała, ale kobietę zdruzgotaną. Kilkoma pospiesznymi ruchami zrobiła sobie dyskretny makijaż i pociągnęła rzęsy tuszem. Pierwszy raz od dawna nie pomalowała sobie ust, bo bała się reakcji Salima - nowego Salima. Potem włożyła czystą bluzkę i poszła do mężczyzny, którego kochała ponad życie.

Salim otworzył drzwi i zaprosił ją do środka z grymasem udającym uśmiech, na który ona odpowiedziała z wdzięcznością.

- Przemyślałaś sprawę? - zapytał Salim.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Bała się, że znów go rozgniewa, więc wyszeptała tylko ledwie słyszalne „tak”.

- To dobrze. Mam nadzieję, że rozumiesz, że moja kobieta nie może być ordynarną dziwką. Oczekuję, że będziesz się zachowywała jak przyzwoita kobieta i przykładna muzułmanka.

- Tak, zrobię, czego tylko zażadasz. Nie zawiodę cię.

- Mam nadzieję... bo w przeciwnym razie... Zadrzała, widząc gniew wyzierający z jego oczu.

- Wiesz, że zrobię, co tylko zechcesz - powtórzyła.

- W takim razie musisz utożsamić się z toczoną przeze mnie walką, zrozumieć, dlaczego ją toczę, poświęcić się jej tak jak ja i dzielić moje marzenia oraz cierpienie. Jesteś gotowa to zrobić?

- Tak.

- Nawet kosztem własnego życia?

Wzdrygnęła się na te słowa, wiedziała, że nie jest to pytanie retoryczne. Łatwo przyszło jej na nie odpowiedzieć - nie wyobrażała sobie życia bez niego.

- Moje życie należy do ciebie, powinieneś już o tym wiedzieć. Przecież zawsze robiłam wszystko, czego ode mnie zażądałeś: zdradziłam moich przełożonych, okłamywałam przyjaciół i jestem skłonna zrobić więcej, jeszcze więcej. Zrobię, cokolwiek każesz.

- Idź spać, wypocznij - polecił jej, zrzucając ubranie przed położeniem się do łóżka.

Gdy Ignacio Aguirre wkroczył do gabinetu biskupa Pelizzolego, nie uszło jego uwagi pełne wyrzutu spojrzenie Ovidia.

Oprócz wypchanej teczki sędziwy jezuita niósł pod pachą swoje stare wydanie *Kroniki brata Juliana*.

- Wiesz, Ignacio - powiedział biskup Pelizzoli - mam wrażenie, że historia zatoczyła koło.

- Tak, najwyraźniej. Profesor Arnaud przeczuwał, że pewnego dnia przyjdzie mi się zmierzyć z rodziną d'Amis.

- Profesor Arnaud? - zapytał ciekawie ojciec Domenico, który podobnie jak Ovidio Sagardia zachodził w głowę, o czym rozmawiają biskup i stary jezuita.

- Profesor Arnaud był historykiem specjalizującym się w okresie dziejów Francji, na który przypadł rozwój katarskiej herezji. Ojciec obecnego hrabiego d'Amisa poprosił profesora Arnauda o potwierdzenie autentyczności kroniki brata Juliana. Profesor przyczynił się do opublikowania kroniki i miał zawodowe kontakty z hrabią, dzięki czemu przed drugą wojną światową i w jej trakcie był świadkiem przemarszu przez zamek wielu znanych niemieckich faszystów. Choć hrabia i profesor nie darzyli się zaufaniem, Ferdinand Arnaud dużo widział i słyszał podczas swych wizyt na zanku.

- Proszę mi tylko nie wmawiać, że kronika brata Juliana ma jakikolwiek związek z zamachem we Frankfurcie! - wykrzyknął Ovidio.

- Pewnie nie ma, ale fakt pozostaje faktem: Karakoz doprowadził nas do hrabiego d'Amisa, który jest postacią co najmniej dziwną - przyznał biskup.

- A profesor Arnaud? Co się z nim stało? - drążył temat ojciec Domenico.

- Nie żyje. Umarł z żalu.

- Z żalu? - Ciekawość Domenica wzrastała z minuty na minutę.

- Życie doświadczyło go bardziej, niż mógł to znieść. Stracił żonę w hitlerowskich Niemczech, zamordowano ją, bo była Żydówką. Ich jedyny syn, David, zginął w Izraelu tuż po drugiej wojnie światowej w potyczce z Palestyńczykami. Profesor zmarł tego samego dnia.

- Tego samego dnia! - wykrzyknął Ovidio poruszony.

- Teoretycznie żył jeszcze przez jakiś czas, ale w rzeczywistości Ferdinand Arnaud umarł w dniu, w którym pochował syna.

Obaj kapłani zrozumieli, że profesor Arnaud wywarł wielki wpływ na życie starego jezuity i że teraz przeszłość powraca do niego w osobie Raymonda, hrabiego d'Amisa.

Ignacio Aguirre usiadł naprzeciwko biskupa Pelizzolego i pogрузzył się w lekturze przygotowanych specjalnie dla niego dokumentów. Biskup i pozostali dwaj duchowni milczeli, czekając, aż gość się wypowie.

Prawie godzinę później stary jezuita skończył czytać, podniósł głowę nad dokumentów i zwrócił się do biskupa:

- Luigi, chyba będzie ze mnie większy pożytek w Brukseli.

- Tak sądzisz?

- Tak, powinienem wejść w skład zespołu śledczego.

- Zadzwonimy do dyrektora Centrum do Walki z Terroryzmem. Porozmawiaj z nim przed podjęciem decyzji. Jeśli o mnie chodzi, daję ci wolną rękę, rób, co uznasz za stosowne. Sekretarz Stanu polecił nam dołożyć wszelkich starań, by pomóc Brukseli.

Minutę później Ignacio Aguirre rozmawiał z Hansem Weinem. Dowiedziawszy się o nowych postępkach w śledztwie, zaproponował, że natychmiast przyjedzie do Brukseli. Mógł przylecieć nazajutrz pierwszym samolotem. Wein się zgodził.

Ojciec Aguirre utkwiał przenikliwe spojrzenie swych strudzonych oczu w biskupie Pelizzolim.

- Co o tym wszystkim myślisz? - zapytał biskup.

- Luigi, nie można wykluczyć, że d'Amis wszedł w konszachty z organizacją przestępczą, byle tylko zaszkodzić Kościołowi. Jeśli w całą sprawę zamieszany jest hrabia, słowa ocalałe z papierów spalonych we Frankfurcie nabierają sensu.- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał biskup przestraszony.

- Moim zdaniem frankfurcka komórka Stowarzyszenia przygotowuje kolejny zamach. Mówiliście, że słowa pochodzą z różnych dokumentów, ale mimo wszystko... jeśli w sprawie macza palce hrabia d'Amis, nabierają one w moich oczach sensu.

- Ale przecież nie posiadamy dowodów, że hrabia ma coś wspólnego z wydarzeniami we Frankfurcie! Wiemy jedynie, że utrzymuje kontakty z Karakozem - stwierdził biskup nieco zdenerwowany.

- A czegoż mógłby chcieć francuski arystokrata od handlarza bronią? Z waszych wyjaśnień wynika, że Karakoz nie tylko handluje bronią, ale również dostarcza płatnych morderców do zadań specjalnych. Skoro wiadomo, że Karakoz sprzedaje broń Stowarzyszeniu, istnieje związek, nawet jeśli na pozór dość słaby, między d'Amisem a terrorystami.

Biskup patrzył osłupiały na Ignacia Aguirre. Choć był jego uczniem i wszystkiego, co wiedział, nauczył się od niego, nadal zdumiewała go intelektualna sprawność jezuitę, jego

umiejętność łączenia pozornie sprzecznych elementów, by doszukać się spójności w chaosie. Bał się nawet pomyśleć, że jego nauczyciel mógłby mieć rację, a jednak... przecież instynkt nigdy jeszcze nie zwiódł detektywa Ignacia Aguirre.

- A jeśli chodzi o słowa ocalale z płomieni... Tak, wiem, to wyrazy wyrwane z kontekstu, ale teraz na przykład słowo LOTARIUSZ nabiera sensu.

- Niby jakiego? - zapytał Ovidio.

- Dla hrabiego d'Amisa ma ono sens. Lotariusz z Segni został wybrany na papieża i przybrał imię Innocentego Trzeciego. To właśnie on wszczął krucjatę przeciwko albigensom.

- Przecież nie ma żadnego dowodu, że to słowo odnosi się akurat do papieża Innocentego Trzeciego - zaprotestował Domenico.

- Nie, nie ma, ale KREW... Nie sądzisz, że może chodzić o krew niewinnych? Brat Julian zapowiada w swej kronice, że krew niewinnych zostanie pomszczona.

- Brat Julian, brat Julian! Na miłość boską, ojciec ma obsesję na punkcie tej kroniki! - wykrzyknął rozzłoszczony Ovidio. - Chyba nie twierdzi ojciec, że brat Julian jest zamieszany w zamach we Frankfurcie.

- Tego nie wiem, ale dlaczego od razu odrzucasz taką możliwość? Znam Raymonda de la Pallisiere. Wychowano go w nienawiści.

- POLEJE SIĘ KREW W SERCU ŚWIĘTEGO... - wyszeptał ojciec Domenico.

- Tu może chodzić o miejsce planowanego zamachu. Poza tym mamy słowo KRZYŻ... A katarzy pogardzali krzyżem - ciągnął ojciec Aguirre.

- Nie ma już katarów - przypomniał Domenico.

- Oczywiście, że nie ma, ale to nasz punkt widzenia. Raymond de la Pallisiere uważa się za spadkobiercę wyznawców kataryzmu i wierzy, że spoczywa na nim obowiązek pomszczenia ich krwi przelanej przez chrześcijan. Byłeś w Oksytanii? Jeśli tak, na pewno zauważyłeś, że katarzy stali się tamtejszą atrakcją turystyczną. Nie brakuje tam komun hipisów, którzy są święcie przekonani, że wiodą życie na wzór katarów. Ezoterycy najeżdżają oksytańskie zamki, mierząc coś, co nazywają wibracjami kosmicznymi. Zdarzały się również sekty, których przywódcy namawiali ich członków do popełniania samobójstwa w celu osiągnięcia doskonałości, stanu *parfaits*, i połączenia się z Bogiem. Pojawilo się wiele książek, których autorzy utożsamiają katarów z dziedzicami potomków Jezusa Chrystusa, że nie wspomnę o nieustannych poszukiwaniach skarbu na zamku Montsegur... W Oksytanii trudno nie zetknąć się z podaniami o trubadurach i księżniczkach tudzież opowieściami o chwalebnej przeszłości tego regionu zniszczonej przez króla Francji i Kościół. Nawet największy oksytański biedak mieni się potomkiem jakiegoś rycerza czy trubadura. Katarzy

nie istnieją, ale istnieją osoby uważające się za ich spadkobierców, uczniów... Kilku praszczurów Raymonda de la Pallisiere było *parfaits*. Jego ojciec z pomocą nazistów szukał skarbu katarów przekonany, że chodzi o magiczny przedmiot obdarzający swego posiadacza nieograniczoną mocą. Profesor Arnaud wyśmiał te usiłowania i nie chciał nawet słuchać opowieści rozpowszechnianych przez mieszkańców i gości zamku, choć przezornie spisywał wszystko, czego się tam nasłuchał. Stary hrabia wskazał synowi jeden jedyny cel w życiu: odzyskać skarb katarów i pomścić krew niewinnych. Mały Raymond dorastał w tej ciężkiej atmosferze, gdzie wszystko kręciło się wokół katarskiej paranoi. Gdy go poznałem, był młodym człowiekiem, pragnącym zostać kimś, wykazać się przed ojcem. W swych zapiskach profesor Arnaud wyraził podejrzenie, że stary hrabia d'Amis powołał do życia tajne stowarzyszenie chcące chronić dziedzictwo katarów i odnaleźć ich skarb. Było to ponoć stowarzyszenie kulturalne, do udziału w którym hrabia zapraszał z początku profesora Arnauda, ale gdy tylko zorientował się, że jego zainteresowanie katarami jest stricte naukowe, starał się ukryć przed nim jak najwięcej faktów z działalności tej podejrzanej organizacji.

- Wspomniał ksiądz o krwi niewinnych... - przypomniał ojciec Domenico.

- Tak, przelano bardzo dużo niewinnej krwi. Nie myśl, że osądzam Kościół: składają się na niego tylko ludzie, dlatego jego dzieje należy odczytywać w świetle danego momentu historycznego. To co prawda nie usprawiedliwia popełnionych przez Kościół błędów, ale je wyjaśnia. Myślisz, że można zabić człowieka tylko dlatego, że wierzy w istnienie dwóch bogów: dobrego i złego? A katarzy wierzyli właśnie, że świat został stworzony przez złego boga...

- Proszę mi wybaczyć, ale coś mi się zdaje, że zapatrzenie w kronikę brata Juliana skłania ojca do mieszania elementów, które nijak do siebie nie pasują. Pojęcia nie mam, dlaczego hrabia d'Amis zadaje się z ludźmi Karakoza, ale nie znaczy to jeszcze, że przygotowuje wraz ze Stowarzyszeniem zamach na Kościół. Moim zdaniem, i z całym poszanowaniem dla ojca, uważam to za zupełny nonsens.

Ovidio Sagardia przełknął ślinę po przedstawieniu swej szczerzej opinii. Niełatwo przyszło mu skrytykować człowieka, którego podziwiał bardziej niż kogokolwiek na świecie i któremu zawdzięczał całą swą kapłańską karierę, ale po raz pierwszy ujrzał w ojcu Aguirre starca niezdolnego do chłodnej i wszechstronnej analizy sytuacji. Pojawienie się w śledztwie Raymonda d'Amisa skłoniło go, Bóg wie dlaczego, do wysnucia - teorii o zamachu przygotowywanym przez hrabiego do spółki ze Stowarzyszeniem. W Brukseli ani chybi wezmą ojca Aguirre za stetryczalego starucha albo za kogoś jeszcze gorszego.

- Rozumiem, że nie podzielasz moich podejrzeń i dobrze, że się do tego przyznajesz, obawiam się jednak, że choć moja teoria brzmi nonsensownie, jest słuszna. Znam Raymonda de la Pallisiere i wiem, do czego jest zdolny.

- Zna go ojciec? Przecież sam ojciec powiedział, że widział go tylko kilka razy. Zresztą kiedy to było? Sześćdziesiąt lat temu? - nie dawał się przekonać Ovidio.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, w jakiej atmosferze wychował się hrabia ani jakim człowiekiem był jego ojciec... Zresztą zapiski profesora Arnauda potwierdzają moje obawy, choć to tylko luźne notatki, refleksje na temat tego, co profesor widział i czego się nasłuchał na zamku... Nie, nie myślę się.

Ovidio po raz pierwszy poczuł, że uczeń przerósł mistrza, dlatego odważył się ponownie zaatakować ojca Aguirre:

- Stowarzyszenie nigdy nie zaufałoby niewiernemu. Ci terroryści nikomu nie ufają, dlatego nijak nie możemy się do nich dostać. Zresztą do czego jest im potrzebny hrabia? Do tej pory przeprowadzali zamachy na własną rękę i szło im to, niestety, bardzo dobrze, po cóż więc mieliby się wiązać z kimś spoza wspólnoty?

- Nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania. Mam tylko teorię, moim zdaniem słuszną, choć dla ciebie zakrawa ona na nonsens.

- Czy to nie byłoby zbyt proste? Centrum do Walki z Terroryzmem od tygodni łamie sobie głowę, próbując natrafić na jakiś trop, a tu proszę, ojciec... no, ojciec zjawia się i oznajmia, że wszystko jest jasne, że hrabia d'Amis współpracuje ze Stowarzyszeniem. - Ovidio aż kipiał z oburzenia.

- Bo taka jest prawda. Wiesz, dlaczego hrabia i Stowarzyszenie połączyli siły? Aby uderzyć w Kościół - stwierdził ojciec Aguirre, wytrzymując harde spojrzenie Ovidia.

- Co za bzdura! - wykrzyknął ojciec Domenico.

- Dobrze, już dobrze, nie kłóćcie się, szkoda czasu - zabrał głos biskup. - Zobowiązaliśmy się pomóc brukselskiemu Centrum do Walki z Terroryzmem, przekazując mu posiadaną informację. Mnie również zaskakuje hipoteza ojca Aguirre. Trudno mi uwierzyć, że Stowarzyszenie odważyłoby się zdrzeć z Kościołem, ale...

Stary jezuita obrzucił ich spojrzeniem, w którym nie było śladu irytacji.

- Luigi, proszę, bym przyjechał, więc jestem. Przykro mi, że nie podobają ci się moje wnioski.

- Nie, nie w tym rzecz... Nie chodzi o to, czy mi się podobają, ale czy są słuszne... Szczerze mówiąc, Ignacio, nie potrafię nadażyć za twoim tokiem myślenia, nie bardzo wiem, co skłoniło cię do wyciągnięcia takich wniosków. Dla mnie cała sprawa nie jest znowu taka

oczywista - przyznał biskup.- Cóż, nie musicie się przejmować moimi przestrogi, zresztą mogę się mylić. Tak czy owak, pozwól mi podzielić się moimi wnioskami z ludźmi z Brukseli. Zapewne pomyślą to co wy: że jestem starym maniakiem, który stracił poczucie rzeczywistości i żyje przeszłością. Obyście mieli rację! Z Brukseli pojedę prosto do Bilbao.

- Późno już, powinniśmy odpocząć, bo nie wiadomo, co zgotuje nam jutro. Ignacio, skoro już nas opuszczasz, pozwól, że zaproszę cię na kolację.

29

Lorenzo Panetta trzymał w ręku filiżankę kawy, którą popijał małymi łykami, podsumowując wydarzenia z ostatnich dni.

- Miejmy nadzieję, że ten jezuita, znający ponoć hrabiego d'Amisa, powie nam coś konkretnego.

Hans Wein tarł oczy, słuchając Lorenza Panetty, i podobnie jak Matthew Lucas próbował wszelkimi sposobami powstrzymać się od ziewania. Od dwudziestu czterech godzin byli na nogach, śledząc informacje napływające do centrum.

- Ojciec Ovidio? - zapytał Matthew.

- Nie, nie ojciec Ovidio. Mają nam podesłać innego jezuitę, człowieka, który podobno przez wiele lat stał na czele watykańskiego Departamentu Analizy Polityki Zagranicznej.

- I zna hrabiego d'Amisa... - wymamrotał Matthew Lucas.

- Tak, tak nam właśnie powiedziano. Zobaczymy, co nam o nim powie. Ma przyjechać do nas prosto z lotniska. Nuncjatura wysłała po niego samochód. A tak przy okazji, w ostatnim e-mailu Paryż informuje, że od powrotu z Nowego Jorku hrabia siedzi w hotelu Crillon i jeszcze z nikim nie rozmawiał - oznajmił Lorenzo.

Rozległo się głośnie pukanie.

Hans Wein poprawił odruchowo krawat, Panetta i Matthew Lucas wbili wzrok w drzwi, nie ruszyli się jednak z miejsca.

Na słowo „proszę” rzucone przez Weina do gabinetu wszedł pewnym krokiem dystyngowany, trzymający się prosto starzec.

- Ojciec Aguirre, witam - przedstawił się gość bezbłędym angielskim.

- Prosimy, prosimy. Czekaliśmy na księdza - powiedział Wein, wyciągając do niego rękę na powitanie i prosząc, by usiadł.- Lorenzo Panetta, wicedyrektor centrum, i Matthew Lucas z Amerykańskiej Agencji Antyterrorystycznej - przedstawił Wein swych towarzyszy.

Wymienili uściski dłoni. Matthew zdziwiła siła jezuity.

- Może kawy? - zaproponował Lorenzo Panetta.

- Z przyjemnością, jeśli tylko można - odparł Ignacio Aguirre.

- Oczywiście, że można. Jest co prawda niedziela, ale nasze biuro pracuje nawet w święta, cóż z tego, że tylko na pół gwizdka.

Lorenzo wyszedł i przykazał sekretarce postarać się dla gościa o jakąś w miarę przyzwoitą kawę.

Ignacio Aguirre nie tracił czasu na niepotrzebne wstępy, tylko od razu, otwarcie przedstawił swoją teorię, podobnie jak podczas spotkania z biskupem Luigim Pelizzolim.

- Panowie, myślę, że hrabia d'Amis zmówił się z islamskimi terrorystami, by zaatakować Kościół. Obawiam się, że właśnie Kościół jest celem najbliższego zamachu przygotowywanego przez Stowarzyszenie.

Trzej spece od zadań antyterrorystycznych spojrzeli na niego osłupiali. Słowa duchownego zrobiły na nich ogromne wrażenie.

- Na jakiej podstawie ksiądz tak twierdzi? - chciał wiedzieć dyrektor centrum.

- Znam Raymonda d'Amisa, wychowano go w nienawiści do Kościoła. Uważa się za stróża katarskiego ducha.

- Nie przeczę, że hrabia mógłby chcieć z tych czy innych powodów zaszkodzić Kościołowi, ale chyba zgodzi się ksiądz ze mną, że jest mało prawdopodobne, by Stowarzyszenie podzielało przekonania hrabiego - zauważył Matthew Lucas.

- To właśnie trzeba sprawdzić: czy Stowarzyszenie ma jakiś związek z hrabią, czy po prostu kupuje broń i informację od tego samego człowieka, Karakoza. W Rzymie dowiedziałem się, że podsłuchano rozmowę telefoniczną hrabiego z pewnym brytyjskim profesorem syryjskiego pochodzenia, czy to prawda?

- Tak, ale z tego, co nam wiadomo, Salim al-Bashir znajduje się poza wszelkimi podejrzeniami. To bardzo wpływowy profesor o światowej sławie, uważany za umiarkowanego islamistę. Dostaliśmy właśnie od Brytyjczyków raport na jego temat: Londyn nie widzi powodu, by podejrzewać al-Bashira. Co więcej, rząd Jej Królewskiej Mości zwykł zasięgać jego opinii, gdy dochodzi do konfliktu z mniejszością muzułmańską - oznajmił Hans Wein, zerkając kątem oka na Lorenza i Matthew.

- Mimo wszystko... cóż, ja nie wykluczałbym niczego a priori - odparł ojciec Aguirre.

- Proszę wybaczyć, ale raport naszych brytyjskich kolegów nie pozostawia wątpliwości - rzucił zirytowany Hans Wein.

- Cóż, pan ma więcej doświadczenia w tych sprawach, choć gdybym miał wskazać szefa lub szefów Stowarzyszenia, nie szukałbym w biednych dzielnicach, tam znajdzie pan tylko mięso armatnie.

Lorenzo Panetta i Matthew Lucas obserwowali w osłupieniu i nie bez podziwu sędziwego jezuitę toczącego pojedynek słowny z dyrektorem unijnego Centrum do Walki z Terroryzmem

- Nie przekonuje księdza raport brytyjskiego wywiadu? - zapytał Lorenzo.

- Na Boga, źle mnie panowie zrozumieli, chciałem tylko powiedzieć, że nie należy zbyt szybko porzucać tropu, jakim jest Salim al-Bashir.

- Profesor al-Bashir nie jest żadnym tropem. - Ton głosu Weina zdradzał złość.

- Cóż, nie przyjechałem tu, by panów pouczać, tylko powiedzieć to, co wiem o Raymondzie de la Pallisere.

Wysłuchali w milczeniu, bez przerywania, opowieści ojca Aguirre, który nie pominął żadnego szczegółu na temat jego osobliwej znajomości z rodziną d'Amis. Gdy skończył, otworzył starą teczkę z czarnej skóry, wyjął z niej książki i wręczył po jednej każdemu ze słuchaczy.

- To właśnie *Kronika brata Juliana*. Jeśli znajdą panowie chwilę, proszę ją przeczytać, to pozwoli wam lepiej zrozumieć hrabiego. To nie tylko wspaniałe dzieło, którego lektura jest zdecydowanie godna polecenia, ale również przykład potworności, jakie ściąga na ludzi fanatyzm, bez względu na to, spod jakiego jest znaku.

- W tym przypadku to fanatyzm katolicki - mruknął Matthew Lucas.

- W rzeczy samej, panie Lucas, i jako kapłan nie jestem bynajmniej dumny z tej karty naszej historii. Zawsze uważałem, że jedyna rzecz, której Wszechmocny nie wybaczy człowiekowi, to zabijanie w jego imieniu. Nie można narzucać wiary siłą, przelewając krew. Do wiary dochodzi się poprzez rozum.

- Uważa ksiądz, że można pogodzić wiarę z rozumem? - zapytał Lorenzo Panetta z zaciekawieniem, nie kryjąc sceptycyzmu.- Zapewniam pana, że najlepsza ścieżka do Boga prowadzi właśnie przez rozum.

- No dobrze, nie pora na dyskusje teologiczne - przerwał im Hans Wein. - Przekazał nam pan informacje uzupełniające, choć cenne. Pomogą nam one ustalić, z czym mamy do czynienia.

Jeszcze przez godzinę Ignacio Aguirre opowiadał im wszystko, co wiedział o Raymondzie de la Pallisere oraz o jego ojcu, poprzednim hrabim d'Amisie. Wspomniał im o zapiskach profesora Arnauda, których treść znał prawie na pamięć, oraz o informacjach

przechowywanych w archiwach watykańskich na temat neokataryzmu szerzącego się aktualnie we współczesnej Oksytanii.

Hans Wein, Lorenzo Panetta i Matthew Lucas słuchali go w milczeniu, próbując wydobyć jakiś prawdziwy trop ze słów kapłana, ale choć opowieść wydawała im się pasjonująca, nijak nie potrafili zrozumieć, dlaczego Stowarzyszenie miałoby zbratać się z oksytańskim arystokratą, by dokonać zamachu.

Choć jezuita dostrzegał sceptycyzm na twarzach słuchaczy, nie poddawał się. Jego obowiązkiem było powiedzenie, co sądzi o całej sprawie, ich obowiązkiem - zdecydowanie, czy chodzi o wymysły pomyłonego starca, czy też należy potraktować jego teorię poważnie.

- Proszę mi powiedzieć, macie jakiegoś informatora na zamku?

- Osoby pracujące dla hrabiego są mu całkowicie oddane, dlatego trudno jest nam zdobyć informacje z pierwszej ręki - odpowiedział Lorenzo Panetta.

- Dobrze byłoby się dowiedzieć, co się dzieje na zamku d'Amis.

- Robimy, co możemy, choć jak dotąd z marnym skutkiem - przyznał Panetta.

- Jesteśmy księdzu bardzo wdzięczni za przekazane nam informacje - podziękował Hans Wein. - Zostaje ojciec w Brukseli?

- Tylko jeśli mogę się panom do czegoś przydać.

Hans Wein nie wiedział, co powiedzieć. W rzeczywistości to, co usłyszał od Ignacia Aguirre, wydawało mu się nazbyt nieprawdopodobne. Ale był przecież wysokim urzędnikiem, politykiem - jak zwykł mu wypominać Panetta - nie mógł więc zignorować reprezentującego Watykan duchownego, który zapewniał, że najbliższy zamach Stowarzyszenia wymierzony zostanie w Kościół. Dlatego nie wolno mu było tak po prostu go odprawić.

- Liczymy na księdza pomoc. Musimy przeanalizować dostarczone informacje i podzielić się księdza spostrzeżeniami z naszymi francuskimi kolegami, którzy na miejscu śledzą hrabiego d'Amisa i człowieka Karakoza. Jeśli można, chciałbym zaprosić ojca na lunch, byśmy mogli kontynuować rozmowę.

- Jestem do pana dyspozycji.

W poniedziałek, punktualnie o siódmej rano, Hans Wein, zmęczony i z podkrążonymi oczami, odbywał pierwszą tego dnia naradę z Lorenzem Panetta.

Po lunchu z ojcem Aguirre wrócił do biura, gdzie siedział do późnej nocy, czekając na wiadomości. W końcu zarówno on, jak i Panetta oraz Matthew Lucas postanowili iść do

domu się przespać, ponieważ mieli przed sobą ciężki tydzień. Teraz znów byli na nogach i czytali pierwsze tego dnia e-maile od paryskich współpracowników centrum.

Dopiero o ósmej do biura zaczęli schodzić się pozostali pracownicy. Pierwsza zjawiała się Laura White, asystentka Weina.

Lorenzo zwrócił uwagę na napięcie malujące się na jej twarzy. Dziewczyna miała podkrążone oczy, a z powodu braku makijażu była bledsza niż zwykle. Nie wyglądała dobrze. Lorenzo pomyślał, że może jest chora.

- Jak tam weekend? - zapytał ciekawie, mimo ganiącego spojrzenia Hansa Weina, który zadawanie osobistych pytań swoim ludziom uważał za pogwałcenie ich prywatności.

- Dziękuję, dobrze. Jestem wam potrzebna?

- Nie, Lauro, zajmujemy się rutynowymi sprawami - odparł Wein.

Laura wyszła bez słowa.

- Coś jest z nią nie tak - stwierdził Lorenzo.

- Nie wiem, dlaczego tak sądzisz, moim zdaniem wygląda zupełnie normalnie - uciał Wein.

Z raportu Francuzów wynikało, że hrabia wrócił na zamek d'Amis i jak do tej pory nie skontaktował się z Jugolem. Nie pofatygował się również, by odpowiedzieć na którykolwiek z licznych telefonów, jakie otrzymał podczas swej krótkiej nieobecności, łącznie z telefonem od Salima al-Bashira. Próbował tylko skontaktować się z córką. Zadzwoił do jej nowojorskiego apartamentu, ale nikt nie odebrał. Następnie zadzwonił do jej adwokata, który przypomniał znużonym głosem, że przecież od trzech dni mu powtarza, że panna de la Pallisiere nie chce z nim rozmawiać. Zresztą jego klientka jest w podróży, nie wie, kiedy wróci.

- Córeczka hrabiego to twarda sztuka - zawyrokował Lorenzo. - Nie ustąpi.

Otrzymali również raport na temat ostatnich poczynań Karakoza: handlarz bronią przepadł jak kamień w wodę w jednej z byłych republik radzieckich, dokąd pojechał po towar.

Matthew Lucas zawitał do biura dopiero o dziesiątej.

- Dzień dobry, może panowie mi zdradzą, co ugryzło nasze panie? - rzucił od progu.

Hans Wein spojrzał na niego z irytacją. Brzydził się tego typu komentarzami. Natomiast Lorenzo uśmiechnął się do niego pytająco.

- Laura prawie nie odpowiedziała na moje powitanie, Andrea Villasante, na którą wpadłem na korytarzu, ma wisielczy humor, a i Diana Parker jest jakby nadaśana, nie powiedziała mi nawet dzień dobry. O Mireille Beziere nie wspomina, bo ta panienska nie

raczy się z człowiekiem przywitać, choć dzisiaj na dodatek kiepsko wygląda. Cienie pod oczami sięgającej do... no, najwyraźniej nasze panie nie mają za sobą udanego weekendu.

- Przynosi pan jakieś nowe wieści? - przerwał Hans Wein niezadowolony z trywialnych uwag Amerykanina.

- Niestety, nie.

- My też nic nie mamy - przyznał Panetta. - Chyba musimy uzbroić się w cierpliwość.

- Moim zdaniem powinniśmy jednak wkręcić się jakoś na zamek. Musimy po prostu natrafić na kogoś, kto jest gotowy sprzedać nam informację - stwierdził Matthew.

- Jestem z panem. Nawet ten jezuita sugerował nam wczoraj takie rozwiązanie, ale naszym ludziom we Francji nie udaje się przekupić nikogo z otoczenia hrabiego - brzmiała odpowiedź Lorenza.

- A jeśli podeślemy na zamek naszego człowieka? - nie dawał za wygraną Matthew.

- Na miłość boską, bądźmy rozsądni - przerwał im Hans Wein.

W tej samej chwili do gabinetu weszła Laura White.

- Właśnie przysłano z kadr - oznajmiła, podsuwając Hansowi Weinowi jakiś dokument.

- Świetnie! Nareszcie zrobili coś jak należy. Przenoszą pannę Beziers! - Hans Wein nie krył zadowolenia z tej wiadomości.

- Mam ją wezwać? - zapytała Laura.

- Nie, lepiej niech Lorenzo powie jej, że została przeniesiona do działu stosunków zewnętrznych. Tam jej będzie dobrze, w końcu ma ojca dyplomatę.

Lorenzo Panetta spojrział ponuro na szefa. Nie rozumiał, dlaczego akurat on ma zwolnić Mireille, ale to był cały Hans Wein.

Mireille siedziała za biurkiem i rozmawiała przez telefon. Gdy Lorenzo podszedł do niej, zauważył, że Matthew Lucas mówił prawdę. Dziewczyna nie wyglądała najlepiej. Jej zawsze lśniące czarne włosy były matowe, pozbawione życia. Zaciekawilo go, czy Matthew miał rację również w przypadku Andrei Villasante i Diany Parker. Rozejrzał się po pokoju i osłupiał na widok twarzy Andrei: zdradzała nie tylko irytację, ale również zmęczenie, Hiszpanka wydawała się nieobecna duchem. Diana Parker nie wyglądała lepiej. Lorenzo zapytał się, co robiły podczas weekendu, by doprowadzić się do takiego stanu.

- Mireille, chciałbym z panią porozmawiać. Może wyskoczmy na kawę?

Mireille skinęła tylko głową, wstała i podążyła za szefem, jakby było jej obojętne, co ma jej do powiedzenia.

O tej ranej porze kawiarnia świeciła pustkami, mimo to Lorenzo wybrał na rozmowę z Mireille najbardziej ustronny kąt.

Zamówili po kawie. Lorenzo zauważył, że Mireille jest roztargniona, że myślami błądzi gdzieś daleko od biura.

- Ma pani kłopoty?

- Nie, dlaczego?

- Nie wiem, tak mi się wydawało.

- Proszę się o mnie nie martwić, tylko powiedzieć, czym zasłużyłam sobie na zaszczyt, by sam wicedyrektor centrum zapraszał mnie na kawę.

Lorenzo wyczuł gorycz sącząca się z jej słów i zapytał się w duchu, co takiego jej się przytrafiło. Postanowił nie owijać w bawełnę, tylko od razu przejść do rzeczy:

- Mireille, została pani przeniesiona do działu stosunków zewnętrznych.

- Naprawdę? No to wszyscy są nareszcie zadowoleni, prawda? Zdziwiło go, że nie wygląda na zaskoczoną, a zwłaszcza że przyjęła wiadomość ze stoickim spokojem, jakby nie obchodziło jej, że trafi do działu, gdzie na pewno nie znajdzie zajęcia na miarę swoich możliwości.

- Praca urzędnika ma swoje zalety, ale i wady. Przenosiny to, niestety, nasz chleb powszedni.

- Proszę sobie oszczędzić tych bredni! Hans Wein mnie nie znosi, więc się mnie pozbył, koniec, kropka. Dziękuję za kawę.

Wstała od stołu, ale Lorenzo pod wpływem niezrozumiałego dla siebie impulsu poprosił, by została.

- Ma mi pan jeszcze coś do powiedzenia?

- Nie poznaję pani...

- Przecież pan mnie nawet nie zna.

- Racja, nie znam pani, ale myślałem, że nie należy pani do osób, które się nad sobą litują. Miałem panią za kobietę bardziej zrównoważoną.

- Czego się pan spodziewał? Że podziękuję panu za wyrzucenie mnie? Wiem, że jestem dobrym analitykiem, że znam się na tej robocie, i to nie tylko za biurkiem, również w terenie, ale nikt nie zadał sobie trudu, by to sprawdzić. Niby dlaczego miano by to robić? Tworzyście zgraną paczkę, więc potraktowaliście mnie jak intruza.

- Proszę, niech pani usiądzie.

Wahała się przez chwilę, ale w końcu usiadła. Wbiła w niego wzrok, zastanawiając się, co usłyszy. Lorenzo Panetta również się wahał, choć Mireille nigdy by nie odgadła, z czego jego wahanie wynika.

Rozmawiali przez ponad godzinę. Najpierw mówił Lorenzo, a ona słuchała, potem zamienili się rolami. Po powrocie do biura Panetta nie mógł ukryć zdenerwowania, a i Mireille wydawała się bardziej spięta niż przed rozmową.

- Pójdiesz na lunch z jezuitą - polecił Panecie Hans Wein, nie pytając nawet, jak mu poszło z Mireille. - Zabierz ze sobą Matthew. Przekażcie mu wszystkie nowości, choć w gruncie rzeczy jest ich tyle co kot napłakał.

Lorenzo skinął z roztargnieniem głową i poszedł szukać Matthew Lucasa, który był akurat zajęty rozmową z Andream Villasante.

- Chciałbym z panem porozmawiać.

- Oczywiście, w każdej chwili. Co się dzieje? Lorenzo nie odpowiedział.

30

Raymond de la Pellisiere schronił się w milczeniu i apatii, a jego wierny majordomus Edward był teraz stróżem jego spokoju i pilnował, by nikt mu nie przeszkadzał.

Parę dni temu hrabia wrócił z podróży i od tej pory całymi godzinami przesiadywał w bibliotece, oddając się rozmyśleniom. Jego współpracownicy i znajomi z fundacji Pamięć o Katarach na próżno chcieli się z nim spotkać, zresztą arystokrata nie odpowiadał również na inne telefony. Gdy jednak rozległ się dzwonek komórki ukrytej w kieszeni jego marynarki, hrabia, chcąc nie chcąc, musiał wziąć się w garść i odebrać.

- Słucham?

- Towar gotowy. Zakładam, że dostawa ma nastąpić w ustalonym miejscu i że tym razem obejdzie się bez opóźnień.

Głos Jugola podziałał na hrabiego jak grom z jasnego nieba, przywołując go do rzeczywistości.

- Tak, wszystko ma się odbyć zgodnie z planem.

- W takim razie do roboty. Wie pan chyba, że aby dostawa doszła do skutku, musimy najpierw otrzymać obiecaną sumkę.

- Umówiliśmy się, że zapłacę po obejrzeniu towaru.

- Towar jest pierwszej klasy, a ryzyko dostawy w umówionym miejscu jest bardzo wysokie, dlatego wolimy zapłatę z góry.

- Dostaliście już zaliczkę.

- Tak, a teraz chcemy resztę.

- Nie dostaniecie wszystkich pieniędzy, dopóki towar nie będzie na miejscu. Mogę wam dać część, ale nie wszystko.

- A dokumenty?

- Za jakieś trzy, cztery dni będę w Paryżu. Zadzwoń do pana.- Dobrze, ale najwyższy czas doprowadzić transakcję do końca. My wywiązaliśmy się z naszej części umowy.

- To się okaże po dostawie.

Chciał zadzwonić do Ileny, ale postanowił przełożyć to na dzień po przyjeździe do Paryża. Ilena pewnie czeka na jego telefon. Musiał również skontaktować się z Łącznikiem, ale nie z tej samej komórki, z której rozmawiał z Jugolem, musi zmienić kartę SIM i miejsce rozmowy. Nie może pozwolić sobie na najmniejsze niedopatrzenie, bo wie, że Łącznik każe go zabić i zrobi to bez mrugnięcia okiem. Zdecydował się zadzwonić i do niego, i do Ileny z hotelu Crillon.

Trzymał jeszcze w ręku komórkę, gdy do biblioteki wkroczył majordomus. Minę miał nietęgą.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie hrabio, ale dzwoni pański nowojorski adwokat. Upowiedziałem, że jest pan na zebraniu, na wypadek gdyby nie chciał pan z nim rozmawiać.

Raymondowi zaczęły drżeć ręce, na plecach poczuł zimny pot. Telefon od adwokata mógł oznaczać tylko złe wieści. Choć najgorsze już się stało: hrabia nigdy nie zapomni upokorzenia, jakiego doznał od córki, która nie chciała widzieć go na oczy, kazała mu tylko powiedzieć, że rzygać jej się chce na myśl o ojcu faszyście, i że nigdy, przenigdy nie zgodzi się na rozmowę z nim.

Dał znak Edwardowi, by zostawił go samego. Odchrząknął i skierował się do swego gabinetu, chcąc porozmawiać z adwokatem bez świadków.

Odczekał kilka sekund przed podniesieniem słuchawki, bojąc się tego, co usłyszy.

- Dobry wieczór, mister Smith.

- Dzień dobry, to jest... dobry wieczór, panie hrabio. Mam wiadomość od pańskiej córki.

Znów przebiegł go dreszcz. Na wzmiankę o Catherine jego nerwy napinały się jak struny skrzypiec.

- Przed chwilą dzwonił do mnie jej adwokat i powiedział, że jego klientka wybiera się za kilka dni do Francji.

Raymond milczał oszołomiony tym, co usłyszał.

- Panie hrabio, jest pan tam? - zaniepokoił się adwokat.

- Tak, oczywiście.

- No więc pańska córka chce podobno odwiedzić miejsca związane ze swoją matką, no, wie pan, taka podróż sentymentalna. Postanowiła wstąpić również na zamek... Pyta, czy może przyjechać. Adwokat powiedział jednak wyraźnie, że jej decyzja nie oznacza pojednania, chodzi tylko i wyłącznie o wizytę.

- Moja córka może przyjechać, kiedy tylko chce. Zamek jest jej domem, pewnego dnia będzie należał do niej. Zechce mnie widzieć?

- Cóż, jej adwokat powiedział, że tak, że zgadza się z panem spotkać, podkreślił jednak, że nie oznacza to zmiany jej stosunku do pana.

- Kiedy przyjeżdża?

- Pojutrze przylatuje do Paryża, nie wiem jednak, czy pojedzie prosto do zaniku, czy rozpocznie swoją sentymentalną podróż gdzie indziej. Tego adwokat mi nie zdradził.

- Bardzo proszę mu przekazać, że Catherine może przyjechać, kiedy tylko zechce.

- Dobrze, przekażę... Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze...

- Do widzenia, mister Smith.

Adwokat odłożył słuchawkę i spojrzał nerwowo na siedzącego przed nim mężczyznę, który obserwował go bacznie i nie uronił ani słowa z rozmowy.

Raymond nie bardzo wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Na próżno starał się wzbudzić w sobie radość. Bał się Catherine, bał się spotkania z nią, mimo że na zamku, na własnych śmieciach, czuł się pewnie.

Pragnął ją zobaczyć, bo Catherine zawsze była dla niego tylko marzeniem. Nie znał jej twarzy, nie wiedział, jakiego koloru są jej oczy, jej włosy... Jest podobna do niego czy do matki?

Martwił się, że przyjeżdża właśnie teraz, gdy operacja znajduje się w fazie końcowej. Przecież miał jechać do Paryża, by spotkać się ponownie z Ileną. Miał też dzwonić do Łącznika, tajemniczego człowieka, który pociągał za sznurki jego życia i życia tylu innych osób, jakby byli marionetkami. Ale nie, on też wykorzysta Łącznika, bo dzięki niemu dokona zemsty, której nie zdążył dopełnić jego ojciec. Tak, właśnie on, dwudziesty trzeci hrabia d'Amis, pomści krew niewinnych, przelewając krew ich katów. Nieważne, że przyszło czekać

na ten moment wiele wieków. Przecież Kościół nigdy nie przeprosił za tę przekłętą wyprawę krzyżową przeciwko katarom.

Poszukał numeru telefonu al-Bashira. Muszą się zobaczyć i ustalić dzień, kiedy przelana zostanie chrześcijańska krew. Salim al-Bashir był w Londynie i jadł kolację z grupą intelektualistów dyskutujących właśnie na temat sojuszu cywilizacji. Rozmowa była krótka i na pozór błaha. Umówili się na weekend w Paryżu, zjedzą razem obiad w L'Ambroisie przy placu des Vosges - tamtejsze kandyzowane *foiegras* z kaczki w szarym pieprzu podbił podniebienie Salima.

* * *

Hans Wein czytał rejestr ostatnich rozmów telefonicznych hrabiego d'Amisa i choć nie wykazywał bynajmniej takiego podniecenia jak Lorenzo Panetta czy Matthew Lucas, musiał przyznać, że sprawa się skomplikowała.

Ojciec Aguirre nadal przebywał w Brukseli i upierał się przy teorii, że hrabia d'Amis i Stowarzyszenie połączyli siły, by zaatakować Kościół. Wein miał wrażenie, że hipoteza jezuita coraz bardziej trafia do przekonania jego zastępcy, Lorenzowi Panecie, oraz Matthew Lucasowi, człowiekowi z amerykańskiej agencji wywiadowczej. Mimo to Wein nijak nie mógł uwierzyć w taki sojusz - przecież Stowarzyszeniu do podłożenia bomby nie jest potrzebny żaden francuski hrabia. Ich terroryści udowadniali to, o zgrozo, aż nazbyt często.

- Czy teraz wystąpisz o zgodę na podsłuchiwanie rozmów telefonicznych Salima al-Bashira? - nie dawał za wygraną Lorenzo.

- Nasi brytyjscy koledzy, którzy dysponują tymi samymi informacjami co my, obruszyliby się, gdybyśmy wszczęli śledztwo w sprawie tego człowieka. Boją się skandalu. Profesor al-Bashir przyjaźni się z trzema obecnymi ministrami, gościł nawet na dworze królewskim, gdzie zasięgnięto jego opinii na temat sytuacji i potrzeb muzułmanów żyjących w Zjednoczonym Królestwie. Brytyjczycy nie chcą nawet słyszeć o wzięciu na muszkę Salima al-Bashira.

- Popołniają duży błąd. Dlaczego tak się opierają? - zrywał się Panetta. - Czyżby lekceważyli przyjaźń tego człowieka z hrabią?

- Twierdzą, że al-Bashir nie musi wcale wiedzieć, że hrabia zadaje się z Jugolem. Pytają, czy zamierzamy podsłuchiwać wszystkie osoby utrzymujące kontakty z hrabią. Nie, bez Brytyjczyków nie możemy nic w tej sprawie wskórać.

- Bez Brytyjczyków, którzy, rzecz dziwna, stali się nagle strasznymi formalistami.

- Mają już i tak dość kłopotów z muzułmanami, wolą uniknąć kolejnych.

Laura White poinformowała o przybyciu ojca Aguirre. Lorenzo nie mógł się nadziwić zmianie, jaka w ostatnich dniach dokonała się w asystentce szefa. Wyglądała na zdenerwowaną. Zresztą Andrea Villasante też chyba miała problemy. Klóciła się ze wszystkimi, zniknęło jej opanowanie, za które była podziwiana i szanowana. Lorenzo zastanawiał się, co się stało z tymi dwoma kobietami. Zwrócił również uwagę, że stosunki między nimi się ochłodziły. Przedtem od czasu do czasu wychodziły razem na squash albo do galerii lub muzeum, a teraz wyraźnie siebie unikały, jakby nie chciały mieć ze sobą nic wspólnego.

Pozdrowienie ojca Aguirre przywołało go do rzeczywistości. Duchowny twierdził, że rozszyfrował jedno ze zdań ocalałych pośród spalonych frankfurckich dokumentów.

Hans Wein nie wierzył zbyt w odkrycia jezuit, z lękiem myślał o jego hipotezach dotyczących badanej przez centrum sprawy.

Ignacio Aguirre był w pełni świadomy oporów, jakie jego słowa budzą w dyrektorze Centrum do Walki z Terroryzmem, ale nic sobie z nich nie robił. Był zbyt przerażony niebezpieczeństwem, jakie zawisło nad Kościołem, by martwić się swoją podeptaną miłością własną i tym, że patrzano na niego jak na starego wariata.

- Wydaje mi się, że jedno ze zdań pochodzi z tekstu Ottona Rahna - stwierdził.

- Które? - zainteresował się Lorenzo Panetta.

- *Nasze niebo otwarte jest tylko dla tych, którzy nie są stworzeniami... Reszta brzmi:...podrzednej rasy, bękartami lub niewolnikami. Stoi ono otworem przed Aryjczykami, które to słowo oznacza wielkich panów.*

Zarówno Wein, jak i Panetta popatrzyli na niego osłupiali. Ale Ignacio Aguirre mówił dalej:

- Zdanie to jest kontynuacją poprzedniego akapitu: *Niepotrzebny jest nam Bóg Rzymu, mamy własnego Boga.*

- Tak pisał Otton Rahn?

- Tak właśnie myślał ten typek - potwierdził ojciec Aguirre. - Natrafiłem na te teksty dzięki zapiskom profesora Arnauda.

- Ale jak wytłumaczyć fakt, że teksty Ottona Rahna znajdowały się w rękach islamskiej komórki, która dokonała zamachu we Frankfurcie? - zapytał rozeźlony Hans Wein.

- Nie wiem. Może terroryści kontaktowali się z hrabią d'Amisem, a ten podsuwał im pseudoliteraturę na temat katarów, a może któryś z terrorystów pod wpływem hrabiego zainteresował się katarską herezją.

- Nonsens! - wykrzyknął zirytowany Wein. - Ksiądz próbuje nam wmówić, że za zamachami popełnionymi przez Stowarzyszenie stoi hrabia d'Amis!

- Nie, broń mnie, Panie Boże. Stowarzyszenie to banda islamskich fanatyków, którzy wypowiedzieli wojnę Zachodowi. Ja po prostu sugeruję, że może istnieć pewna zgodność interesów między hrabią a Stowarzyszeniem, w tym przypadku chodzi o zaskodzenie Kościołowi. Inne zdanie również daje dużo do myślenia: *Niedoskonałość nie może pochodzić...* ciąg dalszy brzmi: *z tego, co doskonale*. Tak pisał Rahn w książce *Krucjata przeciwko Graalowi*, traktującej o istocie katarystów i z tego właśnie powodu poddanej analizie przez profesora Arnauda. Rozumiem, że moja teoria wydaje się panu trudna do przyjęcia, proszę jej jednak nie odrzucać. Boję się, że mogę mieć rację. Istnieje oczywisty, bezsprzeczny związek między Raymondem de la Pallisere a Stowarzyszeniem, zresztą i profesor Salim al-Bashir nie jest chyba takim niewiniątkiem, jak się panom wydaje.

- Ojczy, proszę nie mieć mi tego za złe, ale coś mi się zdaje, że ksiądz ma obsesję na punkcie kroniki brata Juliana i jej związku ze zmarłym profesorem Arnaudem. Wszyscy trzej przeczytaliśmy tę kronikę i bez wątplenia jest to dzieło poruszające, ale trudno mi uwierzyć, że słowa braciszka zakonnego żyjącego przed siedmioma wiekami mogłyby doprowadzić dzisiaj do zamachu terrorystycznego przeciwko Kościołowi.

- Rozumiem pańskie opory, panie Wein, ale mam obowiązek ostrzec panów przed możliwym, moim zdaniem, niebezpieczeństwem. Jestem bardziej niż pewien, że dojdzie do ataku na Kościół. Niestety, nie potrafię wyjaśnić pozostałych słów: KRZYŻA W RZYMIE, POLEJE SIĘ KREW W SERCU ŚWIĘTEGO... i raz jeszcze KRZYŻ... Ale nie ulega wątpliwości, że chodzi o miejsce planowanego zamachu. Jeśli chodzi o *Kronikę brata Juliana*, tak, muszę przyznać, że wpłynęła ona na moje życie, bardziej niż mogłem podejrzewać, gdy po raz pierwszy wziąłem ją do ręki. Mogę jednak zapewnić, że podczas mojej wieloletniej służby Kościołowi nigdy nie oszukiwałem siebie ani nikogo innego tylko po to, by uwiarygodnić wysuniętą przeze mnie teorię.

- Doskonale, będziemy kontynuowali śledztwo. Obiecuję, że weźmiemy po uwagę ostrzeżenie księdza - mruknął niechętnie Hans Wein.

- Czuję, że moja obecność pana irytuje - powiedział otwarcie Ignacio Aguirre. - Rozumiem, panowie oczekują, by sprawy wyglądały tak, jak według panów powinny wyglądać, próbują panowie zgłębić logikę terrorystów. Proszę mi jednak wierzyć, terroryści zawsze panów zaskoczą. Dlatego na pierwszy rzut oka nijak nie da się wytłumaczyć, dlaczego w dokumentach spalonych w apartamencie, gdzie ukryli się islamscy zamachowcy, natrafiono na teksty Ottona Rahna. A co do katarów... rozumiem, trudno panom uwierzyć, by francuski

arystokrata chciał mścić się na Kościele siedem wieków po zdobyciu przez chrześcijan Montsegur, ale taki jest właśnie zamiar hrabiego d'Amisa. Od kołyski wpajano mu konieczność dokonania zemsty, dla niego katarzy to nie zamierzchła przeszłość, ale teraźniejszość, całe jego życie, jestem tego pewien.

- Brakuje nam jednego ogniwa - zauważył Lorenzo Panetta.

- Tak, najwyraźniej - przyznał jezuita. - W tym przypadku możemy tylko snuć przypuszczenia. Panowie wiedzą lepiej ode mnie, że istnieją lobby, których interesy stoją ponad rządami i instytucjami. Być może to jest właśnie nasze brakujące ogniwo.

- Nie bardzo rozumiem, do czego ksiądz zmierza.

- Oj, rozumie pan, tyle że wzbrania się pan przed ewidentną prawdą. Wystarczy zastanowić się, dlaczego w Iranie obalono szacha i zaprowadzono dyktaturę religijną, dlaczego Bin Laden był człowiekiem Zachodu, dlaczego pewne światowe wydarzenia nie są, niestety, dziełem przypadku, ale odpowiadają interesom pewnej grupy... Chcę przez to powiedzieć, że moja teoria na temat hrabiego d'Amisa i Stowarzyszenia planujących zaatakować razem Kościół sprawdzi się, może być pan tego pewien, mimo że w pana oczach zakrawa na bzdurę. Wyjeżdżam do Rzymu, by podzielić się moimi wnioskami z przełożonymi. Kościół musi przygotować się na odparcie grożącego mu ataku. Teraz należy tylko ustalić, gdzie ten atak nastąpi, ale to już, drodzy panowie, wasze zadanie.

Spotkanie z ojcem Aguirre popsuło humor Hansowi Weinowi i sprawiło, że Lorenzo Panetta popadł w zadumę, nie śmiał bowiem przyznać w obecności szefa, że jego zdaniem jezuita ma rację. Ale Panetta wiedział, że niewiele wskóra, stosując się do poleceń szefa. Szanował go, był do niego przywiązany, wiedział jednak, że Wein jest rasowym biurokratą - bałby się nawet pomyśleć o zrobieniu czegoś wykraczającego poza urzędnicze instrukcje. Tymczasem Panetta czuł, że przepowiednia ojca Aguirre może się sprawdzić i fundamentaliści dokonają zamachu na Kościół. Tylko gdzie, kiedy, jak? Liczył, że zdobędzie jakieś informacje z zamku d'Amis, mimo że wszystkie dotychczasowe próby nakłonienia tamtejszych mieszkańców do zdrady hrabiego spaliły na panewce. Ale on był gotowy wykonać zagranie, o którym nie wspomniał Hansowi Weinowi ani słowem.

Musiał porozmawiać o tym z Matthew Lucasem. Ufał Amerykaninowi, czuł, że jest nonkonformistą skłonny w razie potrzeby zaryzykować własną karierę.

Matthew zawsze pakował się w problemy, bo nijak nie potrafił zachować politycznej poprawności.

Hakim przechadzał się po Jerozolimie z pewnym niepokojem. Said, członek Stowarzyszenia mieszkający w Jerozolimie, nie odstępował go na krok. Said był handlarzem, prowadził sklepik z pamiątkami na jerozolimskiej starówce, niedaleko Bramy Damasceńskiej, i zapewniał, że słyszał o Canos Blancos - uczeptionej zboczy granadyjskich gór Alpuhara wiosce, której burmistrzem był Hakim, zanim został wyznaczony do misji.

Omar, przywódca hiszpańskiego oddziału Stowarzyszenia, ufał mu nie mniej niż Salim al-Bashir i wiedział, że nie zawiedzie ich oczekiwań, dlatego poprosił go o poświęcenie życia dla sprawy. Na czele Canos Blancos stanął teraz brat Hakima doskonale przygotowany do tego, by być burmistrzem i stróżem tej bezpiecznej kryjówki Stowarzyszenia w Hiszpanii.

Hakim martwił się o Mohameda i Alego. Zdążył dobrze ich poznać, przygotowując ich do zamachu w Santo Toribio. Byli pełni dobrej woli, ale brakowało im wiary - nie wierzyli do końca w potrzebę ofiary. Dostrzegał w ich oczach trwogę za każdym razem, gdy przypominał im, że muszą zginąć, by zapewnić powodzenie operacji.

Choć Mohamed Amir zarzekał się, że pragnie pójść w ślady swego kuzyna Jusufa i zostać męczennikiem, tak naprawdę chciał żyć.

Jusuf był ważną figurą w strukturach Stowarzyszenia - człowiekiem inteligentnym, dobrze wykształconym, niespokojnym i ciekawym świata, wiecznie zatopionym w lekturze. Salim nie mógł odżalować śmierci Jusufa, którego uważał za swoją prawą rękę. Jusuf uparł się, że weźmie udział w zamachu we Frankfurcie - to było jego miasto i uważał, że nikt tak dobrze jak on nie zatroszczy się o sukces operacji.

Dla Hakima Canos Blancos było namiastką rajy na ziemi. Kochał Granadę, ziemię, która - był tego pewien - wcześniej czy później znów stanie się częścią muzułmańskiej *umma*.

Dotarcie do Jerozolimy okazało się łatwiejsze, niż sądził. Przyjechał z grupą granadyjczyków, którzy wykupili wycieczkę do Ziemi Świętej zorganizowaną przez biuro podróży Omara. Skutecznie wtopił się w gromadę pielgrzymów, udając jednego z nich: zaskarbił sobie nawet sympatię starszego małżeństwa, uczestników wycieczki, a na lotnisku uważny wzrok izraelskich policjantów nie wyłowił go z tłumu pielgrzymów - najwyraźniej nie wydał im się podejrzany.

Choć jego wygląd nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jego pochodzenia, hiszpański paszport uratował go z opresji. Izraelscy urzędnicy imigracyjni wypyтали go o motyw jego wizyty, miał jednak nadzieję, że zamydlił im oczy bajeczką, że jest burmistrzem granadyjskiego miasteczka i podróżuje w gronie przyjaciół i znajomych.

Said powtarzał mu, że muszą mieć się na baczności, ponieważ mogą być śledzeni. Oczywiście jego jerozolimski anioł stróż zwołał własną ekipę, by sprawdzić, czy izraelski

wywiad nabrał podejrzeń co do tego hiszpańskiego turysty, ale na razie jego ludzie nie zauważyli, by deptano im po piętach. Mimo to od trzech dni Hakim zwiedzał miasto razem z pozostałymi pielgrzymami jak najzwyczajniejszy turysta.

Wiedział, że nie może zawieść. Salim al-Bashir powierzył mu najtrudniejszą część misji. Przyjechał do świętego miasta skalanego obecnością Żydów, bo przypadł mu w udziale zaszczyt zniszczenia relikwii przechowywanych w bazylice Grobu Pańskiego.

Zwiedził kościół, udając zwykłego turystę. Było oczywiste, że prawosławni mnisi doglądający świątyni nie zwrócili na niego uwagi, co najwyżej uznali go za arabskiego chrześcijanina. Udał się również do Betlejem, gdzie wstąpił do bazyliki Narodzenia Pańskiego, a nawet poprosił Saida, by pokazał mu groby patriarchów.

Said zapytał, ilu ludzi potrzebuje, i zdziwiła go odpowiedź: nie potrzebuje nikogo, wykona zadanie sam. Opasa się materiałami wybuchowymi i naciśnie detonator tuż obok miejsca, gdzie przechowywany jest kawałek drewna z krzyża, na którym umarł ponoć Jezus Chrystus.

Nikt więcej nie musi ginąć, po co niepotrzebnie poświęcać braci? Poza tym Stowarzyszenie do tej pory było niewidzialne dla Mossadu i Szin Bet, więc niech tak zostanie. Znienawidzonemu nieprzyjacielowi udawało się czasem przeniknąć do struktur organizacji palestyńskich, ale Stowarzyszenie jest dla Żydów niezdobytą fortecą.

Hakim myślał o bliskości tamtego świata. Powtarzał sobie, że niebawem będzie w raju, i bał się momentu przejścia z życia do śmierci. Był pewien istnienia Allacha, przecież dla niego miał poświęcić życie, dla niego toczył od wielu lat walkę, ukrywając się, niszcząc wrogów... Nie, nie opanowało go zwątpienie, a jednak budził się w środku nocy z kwaśnym posmakiem w ustach i bólem w piersi. Ryzyko poniesienia śmierci w akcji to jedno, a pewna śmierć to coś zupełnie innego. Zostanie męczennikiem i Stowarzyszenie otoczy opieką jego rodzinę - tylko to podtrzymywało go na duchu.

Omar, przywódca hiszpańskiego oddziału Stowarzyszenia, zlecił Hakimowi jeszcze jedno zadanie przed jego wyjazdem do Jerozolimy: rozmówić się z ojcem Mohameda Amira i kazać mu rozwiązać raz na zawsze sprawę córki. Laila zachowała się niestosownie na granadyjskim odczycie Salima al-Bashira i obraziła profesora. Jej nieskromność nie ma granic, niektórzy bracia skarżyli się Omarowi na zgubny wpływ, jaki wywiera na ich żony, córki i siostry. Trzeba uciszyć tę bezwstydnicę, to był obowiązek jej rodziny. Nie chciano zlecić tego Mohamedowi, ponieważ wraz z Alim miał do wykonania inną misję - wysadzenie w powietrze klasztoru Santo Toribio. Poza tym Omar wątpił, czy Mohamed ma dość hartu ducha, by pozbawić życia własną siostrę.

Hakim rozmówił się z ojcem Laili i Mohameda i pozostał głuchy na jego błagania i protesty. Darwish musiał zmyć hańbę ze swej rodziny, zresztą jego córka okrywała wstydem całą muzułmańską wspólnotę, zachowując się i ubierając jak ulicznica. Dla Laili był tylko jeden ratunek: śmierć. Hakim groźbami wymusił na Darwishu obietnicę, że spełni swój ojcowski obowiązek i zabije córkę, nie mówiąc o niczym synowi, by nie odwracać jego uwagi od misji. W końcu to on jest głową rodziny, choć chodzą słuchy, że żona owinęła go sobie wokół palca i broni córki jak lwica. Said szturchnął Hakima łokciem, wrywając go z zamyślenia.

- Chyba jesteśmy śledzeni. Już trzy razy zauważyłem w pobliżu tego samego faceta.

- Który to?

- Zatrzymajmy się gdzieś na herbatę i pokażę ci tego typu. Tak też zrobili. Gdy popijali parujący napar o ostrym posmaku przypraw, Said wskazał dyskretnie podejrzanego mężczyznę. Wyglądał na najzwyczajszego turystę: trzydziestolatek z plecakiem, kolczyk w uchu, dżinsy przetarte na kolanie, sportowe buty...

Wiedząc, że ludzie Saida powiedzą im później coś więcej na temat tego typu, postanowili przerwać przechadzkę i udać się do Sheratona, gdzie zatrzymali się granadyjscy pielgrzymi.

Hakim był zmęczony. Uznał, że widział już wszystko, co potrzebne do wykonania misji. Teraz Salim al-Bashir musi tylko ustalić dzień. Hakim nie wiedział, czy przyjdzie mu dokonać zamachu natychmiast, czy może wróci jeszcze do Granady. Z materiałami wybuchowymi na pewno nie będzie problemów: ludzie ze Stowarzyszenia dysponują tu całym arsenałem - czego jak czego, ale śmiercionośnej broni na Bliskim Wschodzie nie brakuje.

31

Recepcjonista w hotelu Crillon ucieszył się, widząc ponownie hrabiego d'Amisa; od razu zaproponował mu apartament zajmowany przez niego poprzednim razem.

Hrabia wręczył mu duży napiwek, po czym skierował się do windy. Za nim szedł boy obładowany bagażami.

Rozgościwszy się w apartamencie, hrabia zjechał ponownie do holu, wyszedł z hotelu i zniknął w tłumie ulicznym. Ruszył w stronę Luwru, choć bez żadnego konkretnego celu - wstąpi gdzieś po drodze do kawiarni i zatelefonuje do Łącznika. Nie mógł zajmować linii

dłużej niż trzy minuty, by uniemożliwić namierzenie rozmowy. Poza tym w walizce miał kilka kart SIM - do każdej rozmowy używał innej.

Wszedł do kawiarni, zamówił herbatę i zaczął się rozglądać za telefonem. Dojrzał aparat w głębi lokalu.

Bał się, że Łącznik zrobi mu awanturę z powodu jego nagłego wyjazdu, postanowił jednak stanąć w obronie swojej niezależności. Odebrano zaraz po pierwszym dzwonku.

- Już pan wrócił? Doskonale, wiem, że umówił się pan na lunch z naszym dobrym znajomym. Najwyższa pora przystąpić do działania, nie należy dłużej zwlekać. Chcemy zastosować terapię wstrząsową w najbliższych dniach.

Raymond poczuł ulgę, że obyło się bez wyrzutów.

- A dziewczyna?

- Skontaktuje się z panem jutro. Do tego czasu musi pan mieć już gotowe dokumenty.

Proszę uzgodnić z Salimem datę. Musimy skoordynować działania.

- Jugol zażądał więcej pieniędzy.

- Och, oni nigdy nie mają dość.

- Co mam robić?

- Pieniądze nie stanowią problemu, ale bynajmniej nie należy ich trwonić. Jeśli operacja zakończy się sukcesem, moi szefowie nie będą pytali, ile wydaliśmy, jednak jeśli coś pójdzie nie tak, będę musiał wyliczyć się z każdego centa... Ale proszę robić, co uzna pan za stosowne, nie możemy w ostatniej chwili zepsuć całej operacji z winy chciwego Karakoza.

- Zobaczę się z panem?

- Niebawem. A teraz proszę brać się do roboty.

Będzie musiał poczekać, aż Ilena się z nim skontaktuje. Przypuszczał, że i tym razem zatrzyma się w tym samym hotelu. Zaskoczył go spokój Łącznika, najwyraźniej nie zaniepokoił go jego nagły wyjazd. Hrabia był przekonany, że człowiek ten wie doskonale o każdym jego ruchu i myśl ta przepelniała go trwogą.

Postanowił udać się na plac Vendôme i zajrzeć do tamtejszych sklepów, po drodze wstąpi do hotelu Ritz i zadzwoni z baru do Jugola. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że lepiej zaczeka, aż to on się z nim skontaktuje. Jugol znajdzie go bez problemu: któryś z jego goryli czatuje pewnie w Crillonie i już powiadomił go o jego przyjeździe. Potrzebuje dokumentów dla Ileny i jej ludzi, między innymi fałszywych kart kredytowych. Rozkazy Łącznika były jednoznaczne: działać bez zostawiania śladów, ale przecież karta kredytowa,

nawet fałszywa, to zawsze jakiś ślad. Musi również wstąpić do banku i wyciągnąć pieniądze, które ma przekazać Henie.

Hrabia nie zauważył, że odkąd wyszedł z hotelu, podąża za nim krok w krok sześciu mężczyzn i dwie kobiety. Byli to pracownicy unijnego Centrum do Walki z Terroryzmem, którym pomagała francuska Surete.

Rozkaz brzmiał: śledzić hrabiego w dzień i w nocy, ale tak, by nie wzbudzić jego podejrzeń. Chodziło o wybadanie, z kim się spotyka, z kim rozmawia, a przede wszystkim, jaki interes próbuje ubić z Jugolem, człowiekiem Karakoza we Francji.

Lorenzo Panetta poprosił Hansa Weina o zgodę na wyjazd do Paryża, by dowodzić akcją w terenie. Wein niechętnie przystał na jego prośbę, nie omieszkując mu przypomnieć, że jest urzędnikiem, nie policjantem. Panetta wierzył, że spotkanie hrabiego i al-Bashira naprowadzi ich na jakiś trop, choć Wein powtarzał jak najęty, że ma zapomnieć o profesorze. Ale Lorenzo nie przejmował się poleceniami szefa - miał własny plan działania. Był przekonany, że są blisko - bliżej niż kiedykolwiek - rozszyfrowania zagadki Stowarzyszenia. Matthew Lucas podzielał jego opinię. Amerykanin również przyjechał do Paryża, Lorenzo bardzo liczył na jego pomoc. Posadził już dwóch swoich ludzi przy jednym ze stolików w L'Ambroisie, upewniwszy się, że sąsiadują one ze stolikiem zarezerwowanym przez hrabiego d'Amisa.

Jak zwykle w La Tour d'Argent wszystko było od dawna zarezerwowane, jednak gdy hrabia zadzwonił i się przedstawił, od razu znalazł się dla niego wolny stolik. Kilka minut przed jego wyjściem zatelefonował Salim, proponując zmianę miejsca spotkania.

Pół godziny wcześniej kochanka al-Bashira powiadomiła go przez telefon, że Lorenzo Panetta wyjechał do Paryża i że choć zarówno dyrektor Hans Wein, jak i sam Panetta nabrali wody w usta na temat postępów w śledztwie dotyczącym zamachu we Frankfurcie, najwyraźniej nikomu nie ufali, nawet jej. Słyszała, jak Panetta mówił, że jego człowiek jest w Paryżu. Przynęła al-Bashirowi, że poruszy niebo i ziemię, byle tylko się czegoś dowiedzieć, i zapewniła, że nadal nic na niego nie mają, krążą tylko po omacku, uczepleni kurczowo tropu Karakoza, licząc, że doprowadzi ich do Stowarzyszenia. Mimo to Salim postanowił zmienić miejsce zaplanowanych spotkań, łącznie ze spotkaniem z hrabią.

Gdy Raymond wszedł do restauracji, Salim al-Bashir już na niego czekał przy stoliku w kącie.

Wymienili uścisk dłoni i postanowili zamówić lunch przed przystąpieniem do rozmowy.

- Czemu zmienił pan miejsce spotkania? Myślałem, że bardzo pan lubi L' Ambroisie.

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże... - mruknął Salim.

- Obawia się pan, że policja coś zwęszyła?

- Daję głowę, że żadne służby wywiadowcze na świecie nie wiedzą o naszych zamiarach. Ale od czasu do czasu warto dokonywać takich zmian, na wszelki wypadek.

- Drogi przyjacielu, chciałbym wiedzieć, czy pańscy ludzie są już gotowi - zapytał Raymond uspokojony wyjaśnieniem Salima.

- Owszem, są gotowi. Za dziesięć dni mamy środek Wielkiego Tygodnia. Czy chrześcijanie nie wspominają w Wielki Piątek śmierci Chrystusa?

- Owszem, wspominają.

- No więc tego właśnie dnia zniszczymy fragmenty Chrystusowego krzyża, krzyża, którego tak pan nienawidzi.

Raymond spojrzał na Salima z podziwem. Zapomniał o zbliżającej się Wielkanocy, podchodził obojętnie do świąt religijnych, jego życie toczyło się z dala od wszelkich chrześcijańskich uroczystości. Na zamku nie obchodzono nawet Bożego Narodzenia, co dopiero mówić o Wielkim Tygodniu.

- Sprytnie pan to wymyślił. Ale proszę zaspokoić moją ciekawość: co powiedzą pańscy przywódcy religijni na nasze zamachy? Przecież całkiem niedawno grupa ulemów spotkała się z papieżem, by rozmawiać o potrzebie pogłębienia dialogu między religiami monoteistycznymi.

- To prawda, ale my wypowiedzieliśmy wojnę niewiernym, którzy nie chcą przyjąć prawdziwej wiary. Muszą wiedzieć, że nie mają wyjścia: albo się nawrócą, albo zginą. W imię krzyża chrześcijanie wymordowali tysiące muzułmanów.

- Ale to było w czasach wypraw krzyżowych... - zaśmiał się Raymond.

- Wcale nie, do dzisiaj nas zabijają, wydierają nam nasze terytoria, poniżają nas. Wyprawy krzyżowe, drogi panie, trwają do dziś, różnica jest tylko taka, że teraz chrześcijanie przybywają nie konno, lecz samolotami o trzewiach nafaszerowanych bombami, które niszczą nasze miasta i wioski. Tak, niektórzy z ulemów mówią o pokoju, bo to ludzie z gruntu dobrotliwi i naiwni. Lecz mamy pośród nas również zdrajców, którzy przyjęli zachodni styl życia, zapominając o własnej tożsamości i prawdziwej wierze. Oni również zginą.

Salim al-Bashir opróżnił kieliszek burgunda. Raymond obserwował go, myśląc, że profesor jest uosobieniem znakomicie zasymilowanego imigranta. Kto by przypuszczał, że ten mężczyzna w nienagannie skrojonym garniturze kupionym na eleganckiej londyńskiej ulicy Savile Row, pełnej ekskluzywnych sklepów, nie jest przykładem wytwornego

angielskiego dżentelmena? Jeśli rewolucja islamska zatriumfuje w Europie, Salimowi al-Bashirowi trudno będzie przestawić się na ascetyczne życie, do którego nawołuje, i zrezygnować z popijania posiłków burgundzkim winem.

- A teraz, drogi przyjacielu, czas porozmawiać o pieniądzach - powiedział Bashir przeprasającym tonem.

- Przecież dostał pan już całą sumę, na jaką się umówiliśmy.

- Nie, podczas naszego ostatniego spotkania wspomniałem panu, że to za mało. Moi ludzie poświęcą życie, osierocą rodziny, a rodzina jest dla nas bardzo ważna. Matki, żony, dzieci i rodzeństwo naszych męczenników mają słać ich pamięć, a nie klepać biedę, bolejąc nad ich stratą.

- Jeśli operacja się uda, otrzyma pan to, o co pan prosi.

- O nie, zapłaci pan jeszcze przed operacją.

- To nasze wspólne zadanie, przecież tak się umówiliśmy.

- Pan nas potrzebuje, my zaś możemy się bez pana obejść. Raymond nie odpowiedział. Al-Bashir miał rację: sam nigdy nie zdołałby dokonać zemsty. To Łącznik wpadł na pomysł, jak wykorzystać ich obu - al-Bashira i jego. Stowarzyszenie dostało spory zastrzyk pieniędzy, z których część trafiła zapewne na jedno z arcyskretnych kont al-Bashira lub jemu podobnych typów. Pomyślał o sobie, o snach, w których już rozkoszował się słodkim smakiem zemsty. Tak, zapłaci Salimowi, w końcu większość kosztów i tak ponosili tajemniczy ludzie reprezentowani przez Łącznika.

Stowarzyszenie uderzało, gdzie i kiedy tylko chciało, nie potrzebowało niczyjej pomocy. Al-Bashir ma rację: to on ich potrzebuje, on i Łącznik, który nie może się doczekać, kiedy dowie się z nagłówek gazet, że Stowarzyszenie dokonało zamachu na Kościół, a w odpowiedzi ultrakatolicy zniszczyli relikwie Mahometa przechowywane w Topkapi, pałacu otomańskich sułtanów.

Łącznik postawił sprawę jasno: ludzie, których reprezentuje, dążą do brutalnej konfrontacji między muzułmanami a Zachodem, a cóż może ją wywołać lepiej niż zniszczenie najcenniejszych relikwii obu religii: fragmentów krzyża, do którego przybito Jezusa Chrystusa, oraz płaszcza, pieczęci, mieczy, zęba i włosów z brody Proroka.

- Dostanie pan, czego pan chce - zgodził się Raymond. Salim al-Bashir uśmiechnął się. Ani przez chwilę nie wątpił, że arystokrata zapłaci sumkę, której zażądał. Był od niego zależny.

- Panie hrabio, za dziesięć dni dokona się pańska zemsta.

- Mam taką nadzieję.

- My nie popełniamy błędów, dlatego jesteśmy skłonni poświęcić życie.

Lorenza Panettę i jego ludzi z Centrum do Walki z Terroryzmem zmiana miejsca spotkania hrabiego i profesora zupełnie zaskoczyła. Udało im się co prawda zdobyć stolik w La Tour d'Argent, ale na drugim końcu lokalu. Nie zdążyli ukryć mikrofonów pozwalających podsłuchać rozmowę. Mogli tylko obserwować, jak podejrzani jedzą posiłek w przyjacielskiej atmosferze, rozmawiając po cichu. Głosy gości siedzących przy sąsiednich stolikach, hałas krążących po lokalu kelnerów oraz duża odległość uniemożliwiły jednak wyłowienie nawet pojedynczych słów. O niczym więc nie mogli donieść Panetcie, który wypatrywał ich niecierpliwie w paryskiej siedzibie centrum.

Zaraz po lunchu Raymond wrócił do hotelu. Nie zauważył, że jest śledzony ani że w hotelowym holu obserwuje go dwóch goryli Jugola. Pięć minut po wejściu do apartamentu usłyszał głośne pukanie do drzwi. Natychmiast otworzył i ujrzał wysokiego mężczyznę o włosach ciemnoblonde i oczach koloru stali ubranego w drogi garnitur. Jednak coś w jego wyglądzie zdradzało, że nie jest to dzentelmen.

Mężczyzna wszedł, nie czekając na zaproszenie.

- Przynoszę zamówienie. - Otworzył neseser, wyciągnął z niego grubą kopertę i położył ją na stole.

Raymond sięgnął po nią - w środku znalazł fałszywe paszporty dla Ileny i jej krewnych, karty kredytowe oraz inne dokumenty.

- To autentyki - poinformował go mężczyzna.

Hrabia nie odpowiedział, tylko upewnił się, że w kopercie jest wszystko, o co prosił.

- Wózek już czeka.

- Gdzie?

- W Stambule, ma się rozumieć. Odbiór pod tym adresem, razem z kamerą wideo i resztą towaru.

- Gdzie ukryto materiały wybuchowe? - zapytał Raymond.

- To, kochasiu, powiedzą pańskiej ekipie w Stambule, ja jestem tylko chłopcem na posyłki.

Mężczyzna zarechotał, pokazując rząd żółtych zębów. Raymond rzucił mu pogardliwe spojrzenie. Miał przed sobą zwykłego siepacza, jednego z wielu morderców pracujących dla Jugola i Karakoza. Po akcencie poznał, że to człowiek z południa Francji - płatny morderca, handlarz śmiercią.

- Może będę musiał zamienić słówko z pańskim szefem.

- Wie pan, gdzie go szukać, ale niech pan nie próbuje dzwonić na jego domowy telefon, bo nie jest pewny, radzę nie popełniać więcej błędów. A jeśli chodzi o pieniądze...

- Otrzymacie je tą samą drogą co zawsze.

- Cena wzrosła, jak pan wie. Zlecenie okazało się trudniejsze, niż zakładaliśmy.

- Najpierw sprawdzimy resztę towaru, dopiero potem porozmawiamy o nowej cenie.

A teraz, jeśli pan pozwoli, czekam na kogoś...

- Na tę cizię? Nie ma jej w Paryżu.

- Skąd pan wie?

- Odpowiadamy za jej bezpieczeństwo w Paryżu, uważamy, żeby nie popełniła żadnego błędu. Skontaktuje się z panem dopiero jutro. Jest ładniutka, choć nie do twarzy jej z ciemnymi włosami.

- Muszę zadzwonić, do widzenia.

Zostawszy sam, hrabia odetchnął z ulgą. Nienawidził mieć do czynienia z płatnymi mordercami. Sięgnął po butelkę calvadosu i nalał sobie porządny kieliszek. Dziesięć dni, pomyślał, za dziesięć dni dokona się zemsta - tak brzmiała obietnica al-Bashira.

Po lunchu Salim al-Bashir postanowił się odprężyć, spacerując po Paryżu, swoim ulubionym mieście. Myślał, jak będzie wyglądać w przyszłości, gdy zostanie opanowane przez muzułmanów.

Spacer pomógł mu zebrać myśli, a musiał przeanalizować szczegóły wszystkich trzech zamachów. Szczególnie liczył na Hakima. Wiedział, że nie zawaha się on poświęcić życia. Zamach w centrum jerozolimskiej starówki, w bazylice Grobu Pańskiego, wstrząśnie całym światem.

Nikomu nie udało się rozpracować Stowarzyszenia, co w Izraelu oznaczało nie lada wyczyn. Kluczem do sukcesu była niezależność oraz fakt, że każda komórka organizacji działała na własną rękę. Salim wiedział, że mogliby zwrócić się o pomoc do innych organizacji działających na terytoriach okupowanych, ale ludzie ze Stowarzyszenia woleli polegać tylko na sobie. Hakim wysadzi się w powietrze na oczach setek turystów, zabijając wielu z nich i niszcząc miejsce, gdzie chrześcijanie przechowywali relikwie krzyża.

Nie martwił się również o zamach w bazylice Świętego Krzyża Jerozolimskiego w Rzymie. Pomyślał o kobiecie, z którą romansował przez ostatnie lata, a która była jego oczami i uszami w unijnym Centrum do Walki z Terroryzmem. Wiedział, że wcześniej czy później zostanie zdemaskowana, zresztą sama wspomniała, że ostatnio śledztwo w sprawie frankfurckiego zamachu było prowadzone w tajemnicy przed pracownikami. Dyrektor

centrum, Hans Wein, i wicedyrektor Lorenzo Panetta korzystali z pomocy swoich ludzi, lecz nie dzielili się z nimi posiadanymi informacjami. Zapewniała, że niewiele działałi, ale ostrożność Weina wskazywała, że podejrzewa istnienie kreta.

Jeszcze nie zdecydował, czy otwarcie każe jej popełnić samobójstwo, czy raczej ją oszuka, choć druga opcja była raczej nierealna, bo dla zapewnienia powodzenia operacji najprawdopodobniej powinna przytwierdzić sobie do ciała materiały wybuchowe. Musi się zastanowić, co jej powie, choć nie wątpił, że zrobi dla niego wszystko. Może, pomyślał, aby jej nie przepłoszyć, wręcz jej torbę z materiałami wybuchowymi i poproszę, by zostawiła ją w kaplicy z relikwiami. Oczywiście zanim porzuci torbę i wyjdzie, nacisną detonator i wysadzą ją w powietrze razem z trzema kawałkami Chrystusowego krzyża, *titulus crucis*, kolcami z korony cierniowej i wszystkimi innymi trzymanymi tam relikwiami.

Co do Mohameda Amira i jego przyjaciela Alego, Omar zapewniał go, że są gotowi do akcji i że można na nich polegać. Zginą, jeśli zginąć muszą.

Al-Bashir uznał, że muszą zginąć - tak będzie najlepiej. Tylko w ten sposób nie zostawią śladów.

Niewątpliwie najłatwiejszym celem będzie klasztor Santo Toribio ukryty w górach Kantabrii. Nie zastosowano tam żadnych środków bezpieczeństwa, jakby mnisi strzegący *lignum crucis* uznali, że nikt nie odważy się podnieść ręki na ich sanktuarium.

Z przyjemnością widział już oczami wyobraźni zamieszanie, jakie powstanie na świecie po tym potrójnym zamachu. Zachód będzie musiał pogodzić się raz na zawsze z faktem, że przegrywają wojnę z islamem, nawet najbardziej naiwni z zachodnich przywódców nie będą mogli dłużej wypierać się tego, co oczywiste. Również bratnie kraje arabskie zrozumieją, że nie ma odwrotu, i nawet te najbardziej odporne nie będą już mogły układać się ze swoimi zachodnimi koleżkami, z którymi robili grube interesy lub prowadzili rozmowy na temat sojuszu cywilizacji. Wybuchnie trzecia wojna światowa i wygrają ją oni - wybrańcy Allacha.

32

Ignacio Aguirre czekał, aż zostanie przyjęty przez Lorenza Panettę. Od godziny był już w Paryżu.

W Rzymie nie zabawił długo, odbył tylko spotkanie w cztery oczy z biskupem Pelizzolim stojącym na czele watykańskiego Departamentu Analizy Polityki Zagranicznej.

Rozmawiali długo. Słowa starego jezuita wzmogły jeszcze niepokój Pelizzolego oraz władz watykańskich z powodu niebezpieczeństwa grożącego Kościołowi.

Ovidio Sagardia i Domenico Gabrielli nie zostali zaproszeni do udziału w naradzie ojca Aguirre z biskupem i innymi duchownymi kierującymi Kościołem.

Mimo to Ovidio znalazł chwilę, by porozmawiać sam na sam z człowiekiem, który był mu bliższy niż ojciec. Zamienił z nim kilka słów tuż przed wyjazdem starego jezuita do Paryża.

- Ojczy, może znajdzie ojciec dla mnie minutkę... - powiedział pokornie Ovidio.

Sędziwy duchowny przystał bez entuzjazmu na jego prośbę. Ostatnią rzeczą, która go obchodziła w obecnej sytuacji, był Ovidio i jego duchowe rozterki. Trudno było przyznać mu się nawet przed samym sobą, że jego podopieczny go rozczarował.

- Słucham - rzucił oschle.

- Chciałbym ojca przeprosić. Wiem, że ojca zawiodłem, że nawaliłem w najważniejszym momencie. Ojciec liczył, że sprawdzę się w sytuacji takiej jak ta, dlatego czuwał ojciec nade mną przez te wszystkie lata, zachęcając do zdobywania wiedzy i doświadczenia oraz ułatwiając mi karierę. Wiem, że zgrzeszyłem niewdzięcznością, stawiając osobiste sprawy przed obowiązkami wobec Kościoła. Przepraszam, chciałbym ojca prosić o wybaczenie.

Postawa Ovidia podniosła ojca Aguirre na duchu, wzruszyła go jego skrucha.

Tak bardzo starał się wychować tego chłopaka na pożytek Kościołowi, że być może zapomniał, iż Ovidio jest tylko człowiekiem - zresztą podobnie jak on.

- Nie musisz mnie przeproszać. Cieszę się, że poszedłeś po rozum do głowy. No, ale na mnie już czas, rozmawiamy innym razem.

- Nie uspokoję się, dopóki mi ojciec nie wybaczy...

- Ovidio, nie muszę ci niczego wybaczać. Najważniejsze, iż zrozumiałeś, że powinieneś służyć Kościołowi tam, gdzie jesteś potrzebny. Pokój z tobą, mój synu, pomagaj nam, jak tylko zdołasz, w tym trudnym momencie.

- Ojczy... naprawdę kronika brata Juliana doprowadziła do tego wszystkiego?

- Na Boga, co też wygadujesz! Nie zwałajmy całej winy na biednego brata Juliana.

- Ale to on nawoływał do zemsty... W kronice prosi, by pomszczono krew niewinnych...

- Tylko nie popadajmy w paranoję. Brat Julian ciepiął, ponieważ jego sumienie buntowało się przed narzucaniem wiary siłą. No, Ovidio, spróbuj wczuć się w położenie tego pocziwego mnicha, ale przede wszystkim nie zapominaj, że mówimy o wydarzeniach z

trzynastego wieku. Brata Juliana gryzło sumienie i czuł, że rozlew krwi nie powinien ująć katom bezkarnie. Proszę, proszę, widzę, że zacząłeś brać na serio tę kronikę...

- Przepraszam, ale ojca przywiązanie do tej książki zawsze zakrawało w moich oczach na obsesję, dziwactwo... Nigdy bym nie przypuszczał, że pewnego dnia kronika brata Juliana stanie się kluczem do rozwiązania tak potwornej zagadki.

- Porozmawiamy o tym po moim powrocie. Teraz muszę już iść.

- Opuszcza ojciec Rzym?

- Jadę do Paryża.

- Do Paryża?

- Tak, ojciec Pelizzoli poinformuje was o tym, co jego zdaniem powinniście wiedzieć o sytuacji.

Jezuita rozmyślał o Ovidiu, podążając za urzędnikiem, który prowadził go do gabinetu, gdzie Panetta urządził swój paryski punkt dowodzenia. Nie zdziwił się, ujrawszy tam również Matthew Lucasa, który najwyraźniej dobrze się rozumiał z Panetta. - Cieszę się, że ojca widzę - powiedział mu na powitanie wicedyrektor brukselskiego centrum. - Hans Wein powiadomił mnie o przyjeździe księdza.

- Jak się pan zapewne domyśla, jesteśmy bardzo zaniepokojeni. Nie wiem, czy się na coś przydam... W każdym razie pozwolono mi do panów dołączyć i śledzić z bliska przebieg operacji.

- Bardzo liczymy na ojca rady i doświadczenie - zapewnił Panetta. - A teraz chciałbym z ojcem porozmawiać, z tym że proszę potraktować naszą rozmowę jak spowiedź i zachować w tajemnicy, bo to, co ojciec usłyszy, musi pozostać między nami...

* * *

Raymond nie był głodny, nie miał też ochoty nigdzie wychodzić. Zdecydował się pozostać w hotelowym apartamencie i wypocząć. Od jakiegoś czasu próbował czytać, ale nie mógł skoncentrować się na lekturze, w końcu włączył telewizor.

Drgnął na odgłos telefonu, choć zdecydowanie bardziej wystraszyły go słowa kierownika recepcji:

- Panie hrabio, przepraszam, że przeszkadzam, ale jakaś pani, która przedstawiła się jako pańska córka, chce z panem rozmawiać.

Zaniemówił, nie wiedząc, jak się zachować. Dopiero po kilku sekundach oprzytomniał. Nie, to niemożliwe, Catherine nie może być w Crillonie, a już na pewno nie może domagać się spotkania z nim.

- Chyba nie zrozumiałem - bąknął.

- Pańska córka jest na dole, w recepcji, prosi, byśmy pana zawiadomili. Ma odwiedzić pana w apartamencie czy zaczekać w holu?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie docierało do niego, że Catherine jest tak blisko, kilka pięter niżej. Poczuł, że drżą mu nogi.

- Panie hrabio... - Recepcjonista nie mógł doczekać się odpowiedzi.

- Proszę zapytać moją córkę, czy woli przyjść do mnie, czy zaczekać na mnie w holu.

Po chwili recepcjonista poinformował, że boy hotelowy zaprowadzi jego córkę na górę.

Obleciał go strach. Zimny pot spływał mu po plecach. Bał się Catherine, o której wiedział tylko, że go nienawidzi. Przez lata marzył, by ją poznać, uściskać, ale myślał, że to marzenie nigdy się nie spełni, bo jego córka wzbraniała się przed spotkaniem i nie kryła pogardy do niego. Zresztą kazała swojemu adwokatowi przypomnieć mu o tym niecały tydzień temu. A tu proszę, w ciągu dwóch dni zmieniła zdanie, bo nie tylko postanowiła przyjechać do Francji - cóż z tego, że chodziło najwyraźniej o podróż sentymentalną śladami zmarłej matki - ale nawet wprosiła się na zamek. A teraz na dodatek zjawia się bez zapowiedzi w jego hotelu...

Pukanie oznajmiło przybycie Catherine. Podszedł niepewnym krokiem do drzwi, otworzył i zamarł: zobaczył przed sobą kobietę o kościstej twarzy, olbrzymich czarnych oczach i kasztanowych włosach z mahoniowymi odbłaskami. Boy przyglądał im się ciekawie, czekając na napiwek od hrabiego.

Catherine weszła bez słowa. Wyglądała na bardzo pewną w sobie, w jej wzroku nie było śladu wzruszenia.

- A więc ty jesteś moim ojcem - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

- Tak - wymamrotał.

- Inaczej sobie ciebie wyobrażałam.

Nie odpowiedział. Zaszło mu w ustach i w gardle, czuł się niepewnie w towarzystwie tej kobiety, która błędziła wzrokiem po salonie. On również inaczej ją sobie wyobrażał. Nie przypominała Nancy, no, może tylko pewnością siebie, która z niej emanowała.

- A jak mnie sobie wyobrażałaś? - zapytał.

- Bo ja wiem... chyba... chyba jak potwora, choć mama twierdziła, że byłeś bardzo przystojny. Pewnie dlatego się w tobie zakochała i wyszła za ciebie za męża.

- Jak potwora... - szepnął zbolalym głosem Raymond.

- Bo dla mnie jesteś potworem - odparła Catherine bez zastanowienia.

- Czego chcesz? - zapytał ledwie słyszalnie.

- Chcę odwiedzić miejsca, gdzie mieszkała mama i dziadkowie. Chcę się dowiedzieć, jak wyglądało jej życie we Francji. Chciałabym również... - Catherine urwała i przygryzła wargę, jakby zastanawiała się nad tym, co powiedzieć. - No, chciałabym zrozumieć, jak mogła się w tobie zakochać.

- Byłaś bardzo związana z matką - stwierdził Raymond.

- Była dla mnie wszystkim. Gdy cię rzuciła, poświęciła się całkowicie mojemu wychowaniu, starała się jak mogła zastąpić mi ojca. Nigdy mnie nie zawiodła, to, kim jestem, zawdzięczam właśnie jej.- Żałuję, że nie poznałem cię wcześniej - wymamrotał Raymond. - Twoja matka nigdy nie zgodziła się na nasze spotkanie, a potem ty nie chciałaś mnie poznać.

- Owszem, nie chciałam. Niby po co? Jesteś uosobieniem wszystkiego, czego moja matka i ja nienawidziłyśmy.

- Więc dlaczego zdecydowałaś się teraz ze mną spotkać? To przecież nie było konieczne, mogłaś pojechać na zamek podczas mojej nieobecności.

Catherine milczała przez chwilę, odwróciwszy wzrok od ojca. Raymond obserwował ją z fascynacją. Nie mógł uwierzyć, że ta kobieta jest jego córką. A jednak to prawda: stała przed nim, gardząc nim tak samo, jak nim pogardzała, odkąd dorosła.

- Nie wiem. Sama nie wiem, dlaczego zdecydowałam się z tobą spotkać, nie wiem, co tu robię - wyznała, znowu patrząc mu prosto w oczy.

- Jesteś głodna? - zapytał niespodziewanie.

- Głodna? Nie... nie wiem...

- Gdzie się zatrzymałaś?

- W hotelu Maurice.

- Masz ochotę pójść gdzieś na kolację?

- Na kolację?

- Tak, będziemy mogli kontynuować naszą rozmowę w restauracji.

Raymond widział, że się waha. Zresztą i on nie wiedział, dlaczego przyszedł mu do głowy pomysł z kolacją - było już wpół do dziewiątej i wcale nie chciało mu się jeść. Lecz czuł, że musi wyjść, odetchnąć świeżym powietrzem, znaleźć się na neutralnym gruncie.

- Zgoda - powiedziała. - Ale pod warunkiem, że nie będę musiała się przebierać.

Przyjrzał jej się uważniej i spostrzegł, że jest ubrana na sportowo: w dzinsy, sweter z kaszmiru, adidas i kurtkę, którą zostawiła przy wejściu. Niewiele było miejsc, które mogła odwiedzić w takim stroju, a już na pewno nie restauracje, do których chodził hrabia.

- Jesteś po raz pierwszy w Paryżu? - zapytał córkę.

- Nie, byłam już tu kilka razy. Raz na studiach, potem zawodowo.

- Doskonale, w takim razie sama wybierz jakiś lokal.
- Może pójdziemy do La Coupole na Montparnasse?
- Dobrze, niech będzie. Ten lokal bardzo odpowiada Amerykanom.
- A tobie nie?
- Nigdy tam nie byłem.

Popatrzyła na niego, jakby nie mogła uwierzyć, że istnieje Francuz, który nie odwiedził choć raz La Coupole.

Podczas kolacji niewiele mówili, Catherine wypytywała go tylko z ciekawością o zamek, a on zainteresował się jest studiami w Akademii Sztuk Pięknych i planami na przyszłość. Catherine odpowiadała wymijająco:

- Nie wiem jeszcze, co chcę robić w życiu. Czuję się bardzo samotna, strata mamy była dla mnie strasznym ciosem. Potrzebuję czasu, by dojść do siebie.

Raymond zaczął wierzyć, że może jeśli będzie postępował delikatnie, uda mu się nawiązać z córką kontakt. Czuł, że jest zagubiona, słaba, zmęczona długą chorobą matki i zdruzgotana jej śmiercią.

- Opowiedz mi o Nancy - poprosił.

Catherine spojrzała na niego badawczo, jej czarne oczy rozbłyły gniewnie.

- Nie będę niczego opowiadała o mamie, zwłaszcza tobie.

- Kochałem ją, nigdy nie przestałem jej kochać - wyznał Raymond.

- Gdybyś naprawdę ją kochał, porzuciłbyś to swoje szaleństwo.

- Szaleństwo? Jakie szaleństwo?

- Jesteś faszystą, wariatem, który marzy o wyższej rasie. Na domiar złego uważasz się za spadkobiercę katarów.

- Jestem spadkobiercą prastarego rodu, niektórzy moi przodkowie zginęli na stosie z winy ambitnego króla i papieża fanatyka. Gdybyś znała choć trochę historię, nie nazywałabyś mnie wariatem.

- Wiem, wiem, mama opowiedziała mi te wszystkie bzdury.

- Bzdury? Historia naszej rodziny... tak, Catherine, to również twoja rodzina... nie jest bzdurą. Nasza rodzina walczyła o wolność naszych ziem, by nie weszły w skład królestwa Francji. Król i papież uknuli spisek, było im na rękę zniszczyć Langwedocję i...

- Nie opowiadaj mi tu, do cholery, o królach i papieżach! Mamy dwudziesty pierwszy wiek! W jakim wieku żyjesz ty? A co najważniejsze, jak możesz być faszystą? Jak możesz dzielić ludzi na przedstawicieli lepszej i gorszej rasy?

- Niektórzy ludzie są lepsi od innych, to oczywiste.

- Wszyscy jesteśmy równi! - powiedziała Catherine podniesionym głosem.- Wcale nie. Ja nie jestem taki sam jak kelner, który podał nam kolację. Ja jestem hrabią d'Amisem, a on co najwyżej zna imiona swoich dziadków. Ty również nie jesteś równa kelnerowi. Możesz się czuć Amerykanką do szpiku kości, ale pewnego dnia zostaniesz hrabiną d'Amis i odziedziczysz - czy ci się to podoba, czy nie - coś więcej niż pieniądze i ziemię: odziedziczysz historię. Zresztą nawet gdybyś nie była przyszłą hrabiną d'Amis, ten kelner nie mógłby się z tobą równać. Studiowałaś na renomowanej uczelni, rozpieszczano cię od urodzenia, nigdy ci niczego nie brakowało.

- Ja też byłam kelnerką. Przez dwa lata pracowałam w kawiarni uniwersyteckiej. Serwowałam napoje i hot dogi. I wspominam te dwa lata jako najzabawniejsze doświadczenie w moim życiu. Co jest złego w pracy kelnera? W Stanach nie ma znaczenia, gdzie się pracuje. Powodem do dumy może być równie dobrze bycie kelnerem, kolporterem gazet, zamiataczem ulic... Naprawdę myślisz, że jesteś lepszy?

Dziewczyna się roześmiała. Raymonda uraził śmiech Catherine, miał żal do swej zmarłej żony, że wychowała jego córkę na pospolitą kobietę porównującą się do tego młokosa o prowincjonalnym akcencie, który podał im kolację.

- Co mówiła ci o mnie matka? - zapytał Raymond.

- Prawdę, mama nigdy nie kłamała. Powiedziała, że twój ojciec był świrem i że wychował cię na takiego samego świra.

- Nie jestem świrem, Catherine, po prostu kocham moją ojczyznę i moich rodaków i chcę dla nich jak najlepiej. Jestem dziedzicem pewnej tradycji i właśnie jako spadkobierca przeszłości mam zobowiązania wobec teraźniejszości i przyszłości. Może mnie zrozumiesz, gdy sama zostaniesz hrabiną d'Amis.

- Ani myślę być hrabiną - zapewniła go Catherine.

- Czy tego chcesz, czy nie, po mojej śmierci nią zostaniesz. Nic na to nie poradzisz. Wiesz, od lat nie daje mi spokoju myśl, że nasz ród mógłby wygasnąć na tobie, że wielowiekowe zobowiązanie wobec tradycji zginie tylko dlatego, że jesteś taka, a nie inna.

- Niby jaka? Przecież mnie nie znasz - odcięła się rozjuszona.

- Nietrudno sobie wyobrazić, jak cię wychowała twoja matka. Latami błagałem ją, by pozwoliła ci przyjechać na zamek, żebyś zapoznała się ze swoim przyszłym dziedzictwem, ale Nancy nie chciała o tym słyszeć. A potem dorostaś i wyrzekłaś się wszystkiego, co pochodziło ode mnie.

- Niczego od ciebie nie potrzebuję. Mama świetnie sobie radziła i mogła utrzymać nas obie. Gdy byłam małą, przyjmowała przysyłane przez ciebie pieniądze, uważając, że nie ma prawa mnie ich pozbawiać, ale w rzeczywistości nie były nam one potrzebne.

Raymond westchnął. Ta pannica, jego córka, wyprowadzała go z równowagi. Była taka bezpośrednia, taka bezczelna, pewna siebie - tak inna od córki, którą sobie wymarzył.

Odprowadził ją do hotelu Maurice, ale nie miał odwagi zapytać, kiedy znów się zobaczą.

- A tak w ogóle, skąd wiedziałś, że zatrzymałem się w Crillonie?

- Mój adwokat skontaktował się z twoim, od niego dowiedział się, że bawisz w Paryżu.

Nie podali sobie nawet ręki na pożegnanie. Raymond czuł silny ucisk w piersiach, bał się, że widzi córkę po raz pierwszy i ostatni.

33

Omar, przywódca hiszpańskiej komórki Stowarzyszenia, umówił się z Mohamedem Amirem i Alim w Canos Blancos, w domu Hakima.

W drodze do wioski dwaj młodzi ludzie żartowali nerwowo, przeczuwając, że Omar poda im datę zamachu i ostatnie szczegóły akcji. Obaj wiedzieli, że cieszą się ostatnimi dniami życia.

Na dodatek Mohamed bał się, że Omar wróci do sprawy Laili. Jego siostra najwyraźniej spędzała sen z powiek muzułmańskiej wspólnoty i jego obwiniano o to, że nie sprowadził jej na dobrą drogę.

Lecz jaka jest ta dobra droga? - zastanawiał się Mohamed. Trudno było Laili nie żyć tak jak inne kobiety podobne do niej. Jej ojciec był słaby, a matka wstawiała się za nią i pozwalała jej na wszystko, broniąc jej przed swym mężem i bratem.

Mohamed z bólem wspominał dzień, kiedy niechcący uderzył matkę. Było to pod wieczór, gdy Laila oznajmiła, że wybiera się na kolację do przyjaciela, młodego adwokata, który wraz z nią i z jej dwiema koleżankami prowadził kancelarię.

Mohamed uznał za nieprzyzwoite, że chce się spotkać sam na sam z mężczyzną w jego domu. Nietrudno było sobie wyobrazić, co się stanie po kolacji. Zwrócił uwagę, że wystroiła się w czarne džinsy i jedwabną bluzkę oraz że zrobiła sobie makijaż. Chciał ją zmusić do pozostania w domu, a gdy się nie zgodziła, zamachnął się na nią, ale matka zasłoniła córkę własnym ciałem i cios dostał się jej.

Matka nazwała go szaleńcem i zaczęła ubolewać, że niebiosy pokarały ją takim synem. Od tamtej pory prawie się do niego nie odzywała. Słyszał tylko, jak powtarza ojcu, że sprowadzi na nich nieszczęście. Ojciec ganił ją bez większego przekonania i prosił, by przekonała Laile, żeby nie prowokowała brata. Ale wtedy matka odpowiadała, że Laila jest dobrą i roztropną dziewczyną, że będzie ich radością na stare lata, podczas gdy Mohamed przysparza im tylko kłopotów i cierpień.

Ojciec próbował zachować trudną równowagę między żądaniem syna - sprowadzenia Laili na dobrą drogę - a pragnieniem dziewczyny, by żyć i zachowywać się jak przed przyjazdem brata.

Mohamed wiedział, że Laila nie pozwala swoim rówieśnikom traktować się jak pierwsza lepsza, ale przecież opowiada się za równouprawnieniem kobiet i mężczyzn, i buntuje wobec możliwości podporządkowania się jakimkolwiek mężczyźnie. Mohamed prosił ojca, by posłał ją do Maroka i wydał tam za mąż choćby wbrew jej woli, lecz Darwish tłumaczył, że nie może tego zrobić, bo Laila ma hiszpańskie obywatelstwo i nawet on, rodzony ojciec, nie może zmusić jej do zamążpójścia.

Gdy dotarli do Canos Blancos, Ali wybuchnął śmiechem.

- Kretyni! Szukają Stowarzyszenia po całym świecie, nie wiedząc, że cała ta wioska, do ostatniego kamyka, należy do nas.

- Lepiej, że nie wiedzą - skwitował Mohamed. - Dzięki temu mamy świetną kryjówkę.

- Najbardziej chce mi się śmiać, gdy zjeżdżają ludziska z telewizji, by filmować życie w muzułmańskiej wiosce w dwudziestym pierwszym wieku i wypytać mieszkańców, co myślą o Stowarzyszeniu. Banda natrętów! Trzęsą przed nami portkami! Sami już nie wiedzą, co zrobić, by się nam podlizać i żebyśmy ich zaakceptowali.

- Tak, ale tylko tutaj, bo w Iraku, Palestynie i Afganistanie zabijają naszych braci - odparł Mohamed.

Brat Hakima otworzył im drzwi, po czym zaprowadził do pokoju, gdzie czekał Omar. Ten uścisnął ich na powitanie i oznajmił:

- Salim al-Bashir przekazał mi ostatnie wskazówki. Zamachu dokonamy w Wielki Piątek, w dniu ukrzyżowania Chrystusa. Moim zdaniem to doskonały pomysł.

- O tak, doskonały - przyznał Ali z entuzjazmem.

- Zniszczymy relikwie krzyża dokładnie w rocznicę ukrzyżowania. Cały świat o niczym innym nie będzie mówić - ciągnął Omar. - Mam nadzieję, że jesteście gotowi.- Tak, jesteśmy gotowi - - powiedzieli jednocześnie Mohamed i Ali.

Omar wręczył każdemu z nich torbę i ponownie ich uściskał.

- Stowarzyszenie docenia waszą ofiarę. Wasze imiona będą wspomniane przez wieki. W każdej torbie macie pół miliona euro.

Mohamed i Ali popatrzyli na niego osłupiali. Po co daje im taką fortunę, skoro niebawem mają zginąć?

- Pieniądze nie zrekompensują wam utraty życia, ale pomogą waszym rodzinom, które nie będą mogły już liczyć na wasze wsparcie. Daję wam gotówkę, bo tak jest lepiej. Gdyby twój ojciec, Mohamedzie, otrzymał przelew na pół miliona euro, władze natychmiast zaczęłyby coś podejrzewać; podobnie w przypadku twojej rodziny, Ali.

- Ale... nie trzeba... mój ojciec dobrze zarabia - tłumaczył Mohamed.

- Twój ojciec straci niebawem dzieci, więc należy zapewnić mu spokojną starość. A zresztą... zapomniałeś o żonie? Masz żonę i dwoje dzieci. Co się z nimi stanie, gdy ciebie zabraknie? Jeśli chodzi o twoich bliskich, Ali, ledwo wiązą koniec z końcem. Pieniądze pozwolą im rozkręcić w Maroku własny interes.

Mohamed nie puścił mimo uszu stwierdzenia Omara, że jego ojciec straci obydwaje dzieci.

- Dziękuję - odrzekł Ali. - Moja rodzina będzie ci za to wdzięczna do końca życia.

- Nie dziękujcie mi, Stowarzyszenie nigdy nie opuszcza swych braci. A teraz omówimy plan i uzgodnimy, jak udacie się do Santo Toribio i gdzie ukryjemy materiały wybuchowe.

Plan Omara był prosty, zresztą znali go już z grubsza. Pojadą na miejsce zamachu z wycieczką pielgrzymów. Mieli szczęście, bo akurat grupa młodych katechetów, rówieśników Mohameda i Alego, wybierała się do Santo Toribio, by dostać odpust. Oczywiście autokary załatwiała firma Omara, a kierowca jednego z nich był członkiem Stowarzyszenia. Pasy z materiałami wybuchowymi mieli ukryć w torbach zapakowanych do luków bagażowych. Wyjadą w czwartek wczesnym rankiem, zatrzymają się na noc w hotelu w Potes razem z resztą pielgrzymów. Nazajutrz, jak gdyby nigdy nic, udadzą się z grupą młodych katechetów do klasztoru na nabożeństwo wielkopiątkowe, które rozpoczyna się o dwunastej. Wtedy właśnie wysadzą w powietrze klasztor wraz ze wszystkimi wiernymi, a co najważniejsze, zniszczą doszczętnie kaplicę, gdzie w pozłacanym relikwiarzu ze srebra mnisi z pietyzmem przechowują największy zachowany fragment *lignum crucis*.

Omar uśmiechał się z zadowoleniem. W jego spojrzeniu malowała się pewność, że zamach się uda.

- Wiecie, że Salim al-Bashir nie jest do was przekonany. Ale ja w was wierzę, odniesiecie sukces.

- A Hakim? - zapytał Mohamed.

- Ciągłe jest w Jerozolimie. On również otrzymał już wskazówki. Jego brat zastąpi go na czele Canos Blancos. Jest zaszczycony, że zajmie miejsce bohatera i męczennika, jakim stanie się niebawem Hakim. Jemu też przywiozłem pieniądze, dlatego umówiłem się z wami właśnie tutaj.

Do pokoju wszedł brat Hakima, a za nim młody człowiek, którego widywali już podczas poprzednich wizyt. Nieznajomy postawił przed nimi tacę z parującymi filiżankami aromatycznej herbaty oraz ciasteczkami z miodem i migdałami.

Omar sięgał po nie raz po raz, natomiast Mohamed i Ali byli zbyt zdenerwowani, by jeść.

Mohamed czekał, aż zostanie sam na sam z Omarem i będzie mógł zapytać go o Laile, ale ponieważ okazja się nie nadarzała, poprosił go, by poświęcił mu kilka minut.

Brat Hakima zaprosił Alego na spacer, pozwalając Omarowi i Mohamedowi spokojnie porozmawiać.

- O co chodzi? - zapytał Omar naburmuszony

- Powiedziałeś, że moi rodzice tracą obydwójce dzieci...

- Bo to prawda.

- Laila...

- Laila musi umrzeć. Twój ojciec miał przywołać ją do porządku, ale tego nie zrobił. Nie możemy dopuścić, by twoja siostra kontynuowała swój grzeszny proceder. Ma zgubny wpływ na nasze kobiety, zwłaszcza te młodsze. Kazałem ci zająć się tym problemem.

- Tak, ale potem odwołałeś polecenie.

- Bo nie powinieneś się narażać. Jesteś przeznaczony do misji mającej okryć islam jeszcze większą chwałą. - Omar uśmiechnął się z satysfakcją.

- Kto... kto mnie zastąpi? - odważył się zapytać Mohamed.

- Skalani honor rodziny mogą ratować tylko jej członkowie. Dlatego sprawą zajmie się twój kuzyn, który za kilka dni przyjedzie z Maroka. Ta wiadomość wstrząsnęła Mohamedem. Ojciec wspomniał, że jego starszy brat przysłał mu jednego z synów z prośbą, by znalazł mu pracę w Granadzie. Oczywiście gość miał zamieszkać z nimi. Ojciec Mohameda nie wiedział jednak, że bratanek przyjeżdża, by zabić jego córkę.

Mohamed czuł się bezsilny, a jednocześnie przepelniała go wściekłość - wściekłość na Laile, którą kochał, a którą zgubić miał jej upór.

- Tak będzie lepiej - ciągnął Omar. - I nie martw się, zajmiemy się twoim kuzynem. Potrafimy być hojni, choć tym razem nie do nas należy rozwiązanie tego problemu. No, ale

nie myśl już o tym. Jesteś bogobojnym muzułmaninem, wkrótce będziesz w raju u Allacha. Nie żałujesz chyba siostry?

Chciałby mieć odwagę powiedzieć, że owszem, żałuje - żałuje, że Laila musi umrzeć, bo ją kocha, bo jest jego siostrą, ale zamiast tego wbił tylko wzrok w podłogę.

- Kiedy to się stanie? - zapytał. Omar zwrócił uwagę na napięcie w jego głosie.

- Wszystko zależy od twojego kuzyna. To on wybierze odpowiedni moment.

- Nie chcę, by cierpiała - poprosił Mohamed.

- Przypuszczam, że twój kuzyn wie, jak załatwiać takie sprawy po cichu i bezboleśnie - rzucił Omar obojętnie.

W drodze powrotnej do Granady Mohamed i Ali prawie się do siebie nie odzywali. Ali zastanawiał się, jak spędzić ostatnie dni życia, a Mohamed nie mógł przestać myśleć o wyroku śmierci, który zawisł nad Lailą.

34

Raymond obudził się wcześniej. Na dobrą sprawę prawie nie zmrzył oka, bo przez całą noc rozmyślał o Catherine. Bał się, że zaspokoiwszy pierwszą ciekawość, nie będzie chciał go więcej widzieć, a teraz, gdy nareszcie ją poznał, nie wyobrażał sobie życia bez niej.

Był stary, od dzieciństwa towarzyszyła mu samotność, dlatego pragnął, by ktoś wypełnił radością przynajmniej ostatnie lata jego życia. Nie wiedział, czy Catherine może go uszczęśliwić, ale jest jego córką i gdyby zamieszkała z nim na zamku, uznałby to za błogosławieństwo.

Chciał zadzwonić do hotelu Maurice, by zaprosić ją na lunch, nie zdobył się jednak na odwagę, bał się jej reakcji. Poza tym musiał czekać na Ilenę, która mogła zjawić się w każdej chwili.

Gdy zadzwonił do swego wiernego majordomusa, by dowiedzieć się, co słyhać na zamku, nakazał mu przygotować główny pokój gościnny i ozdobić kwiatami cały dom. Skoro Catherine ma mu złożyć wizytę, chciał, by poczuła się jak u siebie, by zakochała się w miejscu, gdzie żyły całe pokolenia d'Amisów.

Jeszcze zanim zdążył pożegnać się z majordomusem, rozległo się pukanie do drzwi.

Otworzył, przekonany, że zobaczy Ilenę, i zmartwiał na widok Catherine. Nie wiedział, co robić.

- Jadłeś już śniadanie? - rzuciła na powitanie.

- Tak, z samego rana - odparł Raymond, nie mając pojęcia, jak zachowywać się wobec właśnie poznanej córki, która najwyraźniej postanowiła go zaskakiwać.- W takim razie napijmy się przynajmniej kawy. Masz ochotę? Mogę wejść czy przeszkadzam? - zapytała, wciąż stojąc w progu.

- Wejdz, bardzo proszę. Nie spodziewałem się ciebie - przyznał Raymond.

- Ja też się nie spodziewałam, że cię zobaczę, ani dziś, ani nigdy, ale proszę, oto jestem.

Poprosił, by usiadła, po czym zamówił kawę do pokoju.

- Jakie masz plany na dzisiaj? - zapytała Catherine.

- Plany? Cóż... no... muszę się z kimś spotkać. Zaraz po spotkaniu wrócę chyba na zamek. Jestem trochę zmęczony, mam już swoje lata, nie doszedłem jeszcze do siebie po podróży do Stanów.

- Mogłeś ją sobie darować. Przecież kazałam powiedzieć twojemu adwokatowi, żeby nawet ci nie przyszło do głowy przyjeżdżać.

- Wiem, ale uznałem, że powinienem być przy tobie w takiej chwili.

- Jak mogłeś przypuszczać, że będę miała ochotę na twoje towarzystwo na pogrzebie mamy? Trzeba mieć chyba poprzestawiane w głowie, żeby tak myśleć! Jesteś ostatnią osobą, którą mama chciałaby widzieć nad swoim grobem.

- Cóż, zrobiłem to, co uznałem za stosowne. Niełatwo było mi jechać na spotkanie z tobą. To były dla mnie ciężkie chwile, wiele wycierpiałem - wyznał hrabia.

- Wycierpiałeś? Uszom nie wierzę! To ja cierpiałam i nadal cierpię z powodu straty mamy, ale ty... Gdybyś ją naprawdę kochał, zapomniałbyś o tych swoich wariactwach, posłałbyś do diabła ojca szajbusa, spróbowałbyś ułożyć sobie od nowa życie z mamą... Ale nie, ty wolałeś ją poświęcić, ją i mnie.

Chłodny, wrogi ton Catherine zmroził Raymonda. Bał się odezwać, by nie powiedzieć czegoś, co jej się nie spodoba, bo a nuż zerwie się i wyjdzie.

- Chyba źle zrobiłam, przychodząc tu - powiedziała i zrobiła to, czego się obawiał: wstała i ruszyła do drzwi.

- Nie, nie odchodź, proszę.

Raymond zerwał się i stanął przed nią z błagalną miną.

- Na dobrą sprawę jestem trochę zdezorientowana - przyznała. - Nie wiem, czy dobrze robię, może popełniłam błąd, chcąc cię poznać.

- Catherine, ja... no, myślę, że powinniśmy dać sobie szansę, to znaczy ty powinnaś dać mi szansę. Może... porozmawiamy, poznamy się lepiej, a jeśli nadal będziesz myślała, że jestem potworem... cóż... nie masz nic do stracenia.

- Nie wiem, może zdradzam mamę - powiedziała szeptem.

- Zdrzasz? Dlaczego?

- Nie ucieszyłaby się, widząc nas razem, tego jestem pewna.

- Na Boga, Catherine, najpierw mnie poznaj, a dopiero potem osądzaj. Wyrób sobie o mnie własne zdanie... Pozwól, żebym rozczarował cię osobiście.

- O tak, pewnie mnie rozczarujesz.

Przerwało im pukanie do drzwi. Raymond przestraszył się, że to Ilena.

Poszedł otworzyć i w rzeczy samej - w drzwiach stała jego znajoma.

- Dzień dobry - rzuciła i weszła, nie czekając na zaproszenie, i stanęła jak wryta na widok kobiety siedzącej na kanapie z filiżanką kawy w ręku i przyglądającej się jej ciekawie. Odwróciła się do Raymonda i spojrzała na niego pytająco, chcąc najwyraźniej wiedzieć, co to ma znaczyć.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, zobaczymy się za chwilę, teraz muszę trochę popracować - poprosił córkę Raymond.

- Dobrze, do zobaczenia - rzuciła naburmuszona Catherine.

- Przyjadę po ciebie do hotelu za godzinę.

- Nie.

Raymond przestraszył się, że Catherine sobie pójdzie i już jej więcej nie zobaczy, dlatego zaryzykował i zrobił coś, czego Łącznik nigdy by mu nie wybaczył, gdyby się dowiedział.

- Może zaczekasz tu na mnie, a ja porozmawiam z tą panią w gabinecie?

- Niech będzie - przystała niechętnie Catherine. Raymond dał znak Henie, by przeszła z nim do małego gabinetu przylegającego do salonu. W duchu dziękował Bogu, że apartamenty w hotelu Crillon są tak przestronne.

Gdy zamknął drzwi i nie czuł już na sobie badawczego wzroku córki, musiał stawić czoło zmarszczonym brwiom Ileny.

- Kto to? - zapytała.

- Moja córka, proszę się nią nie przejmować.

- Nikt nie powinien widzieć nas razem.

- Nie wiedziałem, kiedy pani przyjdzie, a Catherine wpadła bez uprzedzenia. Nie sądzi pani, że powinniśmy zachowywać się naturalnie? Ilena spojrzała na niego nerwowo. Ta

nieprzewidziana sytuacja wyprowadziła ją z równowagi. Nie spodobała jej się córka hrabiego, zauważyła, że zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

Raymond wręczył Henie teczkę z dokumentami i pieniądze, które starannie przeliczyła.

- Obiecano pomoc finansową dla naszych rodzin - przypomniała.

- Tutaj ma pani część sumy, resztę dostaniecie za parę dni, zostały już wydane odpowiednie polecenia. Proszę zgłosić się po wózek, broń i materiały wybuchowe pod wskazany w kopercie adres. Pani towarzysze są gotowi wziąć udział w akcji?

- Tak, jesteśmy gotowi.

- Dobrze, w takim razie wszystko jasne. Życzę szczęścia.

- Szczęścia? Przecież wie pan, że zginę.

- Wiem, ale zginie pani, dokonując zemsty, to słodka śmierć. Ilena nie odpowiedziała. Zaniepokoił ją jakiś szmer i zerknęła na drzwi oddzielające gabinet od salonu, gdzie zostawili Catherine. Raymond dostrzegł jej wystraszone spojrzenie i próbował ją uspokoić.

- Niech się pani nie obawia, nikt nas nie słyszy.

- Jest pan pewien?

- Absolutnie pewien.

Gdy wrócili do salonu, Catherine rozmawiała przez komórkę, wyglądała na pogrążoną w pogawędce z przyjaciółką. Raymond poczuł ulgę na ten widok, a Ilena wyszła, nie zaszczycając jej prawie spojrzeniem.

- Kto to był? - zapytała Catherine zaraz po wyjściu gościa.

- Nie wiedziałem, że jesteś taka ciekawska - odparł hrabia wymijająco.

- Bo nie jestem, po prostu... prawie cię nie znam, zdziwiła mnie wizyta u ciebie ranną porą tak wyjątkowej dziewczyny.

- Wyjątkowej? Co w niej wyjątkowego?

- Wygląd, jest bardzo ładna, choć ubiera się bez gustu.

- Dobrze, zaspokoję twoją ciekawość. Ta osóbką pracuje w kancelarii mojego adwokata, przyniosła mi dokumenty do podpisania. Zadowolona?

- Na dobrą sprawę guzik mnie to wszystko obchodzi. *Sorry*, że pytałam - przeprosiła.

- Wracam na zamek, chcesz jechać ze mną?

- Na zamek? Teraz?

- Tak, podpisałem te papiery, więc nic mnie już nie trzyma w Paryżu. Chciałaś zobaczyć zamek, prawda?

- Tak, ale... no... nie wiem, czy akurat teraz.

- Możesz wpaść, kiedy chcesz. Zawsze będziesz mile widziana.

- A więc wyjeżdżasz?

- Tak, chyba że chcesz, żebym został i dotrzymał ci towarzystwa.

- Nie, nie jesteś mi do niczego potrzebny.

- W takim razie wracam na zamek, czekają tam na mnie obowiązki.

Catherine wstała i sięgnęła po kurtkę. Raymond spojrział na nią z żalem i lękiem - trudno mu było ją zrozumieć.

Gdy Ilena opuściła hotel Crillon, dwaj ludzie Jugola zaczęli iść za nią, nie zdradzając się jednak swą obecnością. Mieli rozkaz nie spuszczać jej z oka, a przede wszystkim upewnić się, że nikt jej nie śledzi. Jeden z mężczyzn był czymś wyraźnie zaniepokojony, co rusz zerkał za siebie.

- Co jest grane? - chciał wiedzieć jego kompan.

- Nie wiem, chyba mamy ogon. W holu hotelowym widziałem bardzo podejrzaną babkę...

- Bzdura! Przyjrzałem się tam wszystkim i nie zauważyłem nikogo podejrzanego.

- Może masz rację.

- Ta robota wpędzi nas w paranoję.

- Lepiej, żebyśmy się nie mylili, inaczej szef obedrze nas ze skóry.

Dziesięciu agentów z Centrum do Walki z Terroryzmem podążało w ślad za ludźmi Jugola oraz za wysoką chudą kobietą, która przecięła szybkim krokiem plac Zgody i skierowała się na drugi brzeg rzeki, gdzie znajdowała się siedziba francuskiego parlamentu. Policjanci byli w ciągłym kontakcie z Panetta, który polecił im nie tracić z oczu podejrzaną i dwóch siepaczy Jugola oraz wysłał posiłki do wsparcia agentów w terenie. Panetta i Matthew Lucas postanowili dowiedzieć się, co knuje hrabia d'Amis, zresztą byli coraz głębiej przekonani, że ojciec Aguirre ma rację i hrabia rzeczywiście zamierza dokonać zemsty, którą przysięgła jego rodzina Kościołowi. Obaj detektywi nie kryli jednak obaw, że trzymając się wątku hrabiego, zaniedbują śledztwo w sprawie Stowarzyszenia. Może Hans Wein miał rację - przecież czarne charaktery zaopatrują się zwykle u tych samych handlarzy, więc Karakoz mógł równie dobrze sprzedawać towar i Stowarzyszeniu, i hrabiemu. Lorenzo Panetta postanowił jednak zaufać swemu instynktowi, zwłaszcza że mógł liczyć na poparcie Matthew Lucasa. Miał nadzieję, że nie popełnia pierwszego w swojej karierze błędu.

- Mamy jakieś wieści od pańskiego informatora? - zapytał Panettę ojciec Aguirre.

- Na razie donosi tylko o drobiazgach niegodnych uwagi, ale mam nadzieję, że w którymś momencie śledztwa będziemy mieli z niego pożytek - odparł Panetta.

- Ta osoba naraża się na wielkie niebezpieczeństwo. Jeśli hrabia ją zdemaskuje, jest zdolny do wszystkiego - zaniepokoił się jezuita.

- Niech się ojciec nie martwi. Gdy ktoś się w to pakuje, wie, na co się naraża - wtrącił Matthew Lucas.

- Mimo wszystko aż strach pomyśleć, że ktoś wlaź w paszczę lwa - obstawał przy swoim duchowny.

- Musimy zaryzykować - stwierdził Panetta. - Musimy znać każdy krok hrabiego, a o tym może nam powiedzieć tylko ktoś z jego najbliższego otoczenia.

- Co będzie, jeśli pański szef się o wszystkim dowie? - zainteresował się ojciec Aguirre.

- Wein wie prawie o wszystkim, wie, że zdobywamy informacje z bezpośredniego otoczenia hrabiego, choć nie wyjawiałem mu jak ani przez kogo. Gdy zamkniemy śledztwo, powiem mu całą prawdę, wyjaśnię wszystkie swoje posunięcia, ale na razie im mniej osób wie o sprawie, tym lepiej. Ojciec jest księdzem, więc potrafi ojciec dochować tajemnicy, a Matthew... cóż, myślę, że mimo wszystko rozumie, co skłoniło mnie do takiej decyzji.

Ojciec Aguirre zapalił gauloisesa - znowu zaczął palić. Wyrzucał sobie swoją słabość i pocieszał się, że gdy cały ten koszmar się skończy, a on wróci do Bilbao, do swego bezpiecznego portu, raz na zawsze rzuci nałóg. Lorenzo Panetta również palił; obu im było wstyd przed młodym Matthew Lucasem, który spoglądał na nich z wyrzutem. Tego ranka jezuita zdążył już wypalić pół paczki gauloisésów, nic więc dziwnego, że czuł drapanie i suchość w gardle.

Siedząc przed ekranami, na których śledzili wędrówkę podejrzanej po paryskich ulicach, stary kapłan wykorzystywał chwilę ciszy na modlitwę.

- Wie ojciec, aż trudno uwierzyć, że w naszych czasach ktoś miałby dokonać zamachu na Kościół z zemsty za coś, co wydarzyło się w trzynastym wieku, nawet jeśli brat Julian wzywał przyszłe pokolenia do pomszczenia katarów.

Zanim odpowiedział, Ignacio Aguirre zastanowił się nad słowami Matthew Lucasa. Prawda była taka, że on sam od lat nie myślał o niczym innym, a szczególnie od chwili, gdy biskup Pelizzoli wezwał go do Rzymu. Im częściej rozmyślał nad tą sprawą, tym wyraźniej widział, że kronika brata Juliana bywa źle interpretowana.

- Brat Julian nie dążył do kolejnego przelewu krwi i bynajmniej nie nawoływał do zemsty za krucjatę przeciwko katarom. Był od tego bardzo daleki

- Ojciec, chyba z sześć razy przeczytałem jego kronikę i ostatnie zdanie nie pozostawia żadnych wątpliwości: *Pewnego dnia krew niewinnych zostanie pomszczona.*

- Tego właśnie lękał się brat Julian: bał się, że ktoś może chcieć się mścić za morze przelanej krwi. Brat Julian miał problemy z własnym sumieniem, był zakonnikiem, ale nie pochwałał postępowania Kościoła, mimo to nie potrafił go zdradzić.

- Ale w końcu zdradził - zauważył Matthew.

- Nie, nie zdradził Kościoła. Próbował pogodzić wszystkie obowiązki i moim zdaniem nawet mu się to udało. Nie wyrzekł się Kościoła, nie przeszedł na kataryzm, próbował po prostu ratować tych ludzi, którzy mieli inną wizję chrześcijaństwa. Pozostał wierny Marii z wdzięczności za wszystko, co dla niego zrobiła, i próbował wypełnić to, co uważał za swój obowiązek wobec rodu de Ainsa, choć bardzo cierpiał z powodu swego nieprawego pochodzenia. Pomagał Marii, bo był lojalny wobec ojca, nawet jeśli nikt tej lojalności od niego nie oczekiwał. Brat Julian cierpiał, był wewnętrznie rozdarty, ponieważ próbował pozostać wierny sprzecznym poglądom. Był człowiekiem szlachetnym, człowiekiem, który brzydził się przemocą i którego mądre, tolerancyjne podejście do świata nie wytrzymało zetknięcia z okrutnym fanatyzmem brata Ferrera. Ostatnie zdanie kroniki można zrozumieć tylko poprzez historię całego życia brata Juliana, zresztą tak chyba uważał również profesor Arnaud, który przygotował kronikę do druku i pozostawił nam całą rozprawę naukową poświęconą bratu Julianowi. Tak, brat Julian bał się, że pewnego dnia ktoś spróbuje pomścić tyle istnień ludzkich i przeleje jeszcze więcej krwi.

- Bardzo przychylnie i tendencyjnie interpretuje ojciec kronikę tego mnicha.

- Nie, Matthew, wcale nie. Jeśli przeczytał pan nie tylko kronikę, ale również komentarz profesora Arnauda, wie pan, że mam rację. I zapewniam, że Ferdinand Arnaud nie był człowiekiem religijnym, nie był nawet wierzący.

- Miał pan okazję dobrze go poznać - zauważył Lorenzo Panetta, wtrącając się do rozmowy.

- Spotkaliśmy się tylko dwukrotnie, ale były to wyjątkowe momenty. Choć trudno w to uwierzyć, czasem można lepiej poznać kogoś, z kim rozmawiało się tylko przez godzinę, niż kogoś, kogo widuje się codziennie.

Pokrążywszy po mieście, Ilena zeszła do metra, wsiadła do pociągu i dojechała na Gare de Lyon. Śledzący ją policjanci widzieli, jak podchodzi do kasy i płaci gotówką. Jeden z nich, okazawszy pracownikowi kolei odznakę policyjną, dowiedział się, że podejrzana kupiła bilet na Orient Express.

- Jedzie do Stambułu - powiedział mu kasjer, który przez resztę dnia rozmyślał, czy dobrze zrobił, zdradzając policjantowi cel podróży owej kobiety o błędnym wzroku.

Zdenerwowani funkcjonariusze skontaktowali się z Panetta, który rozkazał, by przynajmniej dwóch z nich wsiadło do pociągu i nie spuszczało podejrzanę z oka. Niech kupią bilet u konduktora, niech wymyślą Bóg wie jaką wymówkę, by usprawiedliwić swą obecność w pociągu, ale nic ich nie uratuje - szef dał im to wyraźnie do zrozumienia - jeśli tajemnicza podejrzana im się wymknie.

- Jedzie do Stambułu - wyjaśnił Panetta Lucasowi i ojcu Aguirre, którzy słuchali w milczeniu, jak wydaje rozkazy.

- Dzwonię do mojego biura, mamy tam swoich ludzi. - Matthew zerwał się na równe nogi.

- Znakomicie, niech pan dzwoni, a ja zatelefonuję do Hansa Weina. Chyba powinniśmy wysłać do Stambułu oddział śledczy, my również mamy tam ludzi, ale w tym przypadku przyda się każda para oczu.

Gdy Panetta rozmawiał z Hansem Weinem, przekazując mu ostatnie wieści, szef ekipy policyjnej z hotelu Crillon zadzwonił z informacją, że hrabia d'Amis opuszcza hotel. Nie zastanawiając się ani chwili, wicedyrektor Centrum do Walki z Terroryzmem rozkazał go śledzić.

- Nie sądzę, by szedł na spotkanie z dziewczyną, ale tak czy owak, musicie iść za nim.

Ojciec Aguirre zapalił papierosa i zaciągnął się zabójczym dymem, który piekł go w gardło. Lorenzo Panetta poszedł za jego przykładem. Matthew Lucas wyniósł się z pokoju, pomstując pod nosem.

* * *

Wystraszyła się, słysząc w słuchawce głos kochanka, choć zobaczywszy numer komórki, wiedziała, że to może być tylko on. Zaniepokoiła się, bo Salim nigdy nie dzwonił do niej do pracy.

- Jesteś zajęta?

- Tak - szepnęła, rumieniąc się.

- Musimy się zobaczyć.

- Kiedy?

- Teraz.

- Teraz? Gdzie jesteś? Nie wiem, czy będę mogła...

- Kiedy wychodzisz na lunch?

- Za piętnaście minut, ale zwykle jadam w kawiarni w naszym biurowcu. Nie mamy wiele czasu na lunch, zaledwie pół godziny. Może spotkamy się u mnie po pracy?

- U ciebie nie, pewnie obserwują dom.

- W takim razie...

- Jakie miałaś plany na popołudnie?

- Miałam iść do domu.

- Zrób to, co zwykle: przebierz się i wyjdź pobiegać. Nadal uprawiasz jogging, prawda?

- Tak.

- No to idź pobiegać. Możesz iść do parku na placu Petit Sablon, obok twojego domu, nieważne, że to bardzo mały park. Tam się spotkamy.

Poczuła ulgę, słysząc kliknięcie oznaczające, że się rozłączył. Rozejrzała się, by sprawdzić, czy ktoś ją obserwuje, ale nie, nikt na zwracał na nią uwagi. Ludzi z centrum teoretycznie nie obchodziło życie kolegów z pracy, nie wtykali nosa w nie swoje sprawy, mimo to z doświadczenia wiedziała, że i tak wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą. A przecież w biurze bardzo się z nią liczone, tymczasem teraz bardziej niż kiedykolwiek nie chciała zwracać na siebie uwagi.

Prawie nie tknęła lunchu, choć nikt nie skomentował jej braku apetytu. Próbowwała nie dać po sobie poznać, że nie może się doczekać końca pracy, choć gdy to nastąpiło, sięgnęła po torebkę i szybko opuściła biuro.

Zmusiła się, by w drodze do domu nie naciskać za bardzo na gaz. Gdy była już u siebie, przebrała się niespiesznie, wybierając najładniejszy dres. Nie miała co prawda wielkich nadziei, że zrobi wrażenie na Salimie, ale przynajmniej może spróbować. Poprawiła makijaż, włożyła dres, w którym było jej najbardziej do twarzy, i wyszła jak zwykle pobiegać po okolicy, czyli po eleganckiej i ustronnej dzielnicy Sablon, bardzo blisko placu Royale i Muzeum Sztuki Starożytnej. W jej apartamentowcu mieszkało również dwóch wysokich urzędników NATO i dlatego, jak dobrze wiedziała, budynek był obserwowany przez policję. Na dobrą sprawę Bruksela była miastem obserwowanym w dzień i w nocy, gdzie służby szpiegowskie - te tutejsze i te z zewnątrz - nie spuszczały się wzajemnie z oka.

Minęła pomnik hrabiego Egmonta i admirała Horna, szesnasto-wiecznych ofiar królestwa Hiszpanii, i puściła się truchtem wzdłuż parkowego ogrodzenia z kutego żelaza zdobionego kolumnami w stylu gotyckim.

Maleńki park tonący w zieleni o tej porze był prawie pusty.

Rozejrzała się i już po chwili go zauważyła - szedł niespiesznie, zamyślony, jak ktoś, kto rozkoszuje się spacerem. Ruszyła ku niemu, próbując zachowywać się naturalnie.

- Bardzo się narażasz, przychodząc tutaj - powiedziała.

- Tak, chyba tak, ale musiałem się z tobą zobaczyć.

- Coś się stało? - wystraszyła się.

- Chcę, żebyśmy się pobrali.

Poczuła, jak krew uderza jej do głowy. Oświadczyły Salima zupełnie zbiły ją z tropu. Jak to możliwe, że chce się z nią ożenić po tym, co jej zrobił w Rzymie? Przecież zmieszał ją tam z błotem, z jego winy poczuła się jak ostatnia szmata, a teraz nagle proponuje jej małżeństwo...

- Ale dlaczego? - odważyła się zapytać.

- Jak to dlaczego? Bo cię kocham. Przepraszam za to, co się stało. Chcę, żebyś się zmieniła, żebyś była taka jak ja, ale wolę, byś zrobiła to dlatego, że kochasz mnie równie mocno, jak ja ciebie.

W lodowatym głosie Salima nie było ani krztyny romantyzmu, jednak ona dopatrywała się w nim na siłę skruchy.

- Kocham cię, Salimie, oczywiście, że chcę zostać twoją żoną.

- W takim razie pobierzmy się jak najszybciej.

- Oszalałeś! Przecież wiesz, że nie możemy. Centrum z miejsca wzięłoby cię pod lupę, a ja nie mogłabym ci już pomagać.

- Na razie nadal pozostaję poza wszelkimi podejrzeniami. Chcę, byśmy wzięli ślub, już wszystko przygotowałem. Pobierzemy się za tydzień w Rzymie.

- W Rzymie? - Jej głos zdradzał ból. W Rzymie przeżyła najgorszy dzień swego życia, myślała, że straciła go na zawsze, została upokorzona...

- Tak, w Rzymie, chcę ci wynagrodzić krzywdę, jaką ci tam wyrządziłem. Nie obejmę cię, bo ktoś mógłby nas zobaczyć, ale możesz być pewna, że cię kocham.

Odetchnęła z ulgą. Nie mogła spać od powrotu z Rzymu, przeżyła tam straszny weekend, tymczasem on prosi ją teraz, by została jego żoną. O czymś takim nie śmiała nawet marzyć.

- Kocham cię, kocham cię ponad życie, nigdy nie przypuszczałam, że będzie mi dane zostać twoją żoną. Wyrzeknę się wszystkiego, czym byłam, stanę się przykładną muzułmanką, pojedę za tobą choćby na koniec świata... Nie potrafię bez ciebie żyć.

- A więc mi przebaczyłaś - powiedział, zaglądając jej w oczy.

- Możesz ze mną zrobić, co chcesz, Salimie.

- Dobrze, załatw wszystko tak, byśmy spotkali się za tydzień w Rzymie. Poproś o kilka dni urlopu na naszą podróż poślubną...

- Mam powiedzieć, że wychodzę za mąż?

- Nie, lepiej zaczekaj z tym do powrotu. Wspólnie zdecydujemy, co zrobimy potem.

Na razie skupmy się na ślubie.

- Salimie, nie chcę wracać do tamtego hotelu... - poprosiła.

- Dobrze. Odpowiada ci Excelsior?

- Każdy, byle nie...

- Ciiii... zapomnij o tym. Wszystko ci wynagrodzę, przyrzekam. A teraz idź już i myśl o nas. Tak bardzo żałuję, że nie mogę cię objąć.

Ruszyła przed siebie na oślep, przebiegła ulicę Regence, a potem skierowała się na plac Gran Sablon, gdzie zapalały się akurat reflektory podświetlające gotycko-flamandzki kościół Nôtre Danie du Sablon, dumę Brukseli.

Wróciła do apartamentu wyczerpana, zastanawiając się, dlaczego nie jest szczęśliwa. Przecież chciała wyjść za Salima, wiedziała, że jej los jest nierozłącznie związany z tym mężczyzną, a jednak jego oświadczenia wystraszyły ją, choć bynajmniej nie zamierzała mu odmówić. Wyjdzie za niego, oczywiście, że za niego wyjdzie, bo nie jest już panią własnego losu - zrozumiała to tej nocy w Rzymie, gdy przez niego poczuła się jak ostatnia szmata. Od tamtej pory nie udało jej się odbudować poczucia własnej wartości i dlatego nie czuła się szczęśliwa, mimo świadomości, że Salim ją kocha.

35

Matka z pomocą zawsze milczącej Fatimy przygotowała baraninę z kuskusem.

Ojciec poprosił Laile, by tej soboty została w domu i razem z rodziną powitała swego kuzyna. Mohamed bał się, że siostra odmówi, tymczasem ona chętnie przystała na udział w rodzinnej kolacji.

Mustafa przyjechał po południu z małą walizeczką, choć zapewniał, że chce zostać w Hiszpanii i spróbować tu szczęścia.

- To nie takie łatwe - tłumaczył mu Mohamed. - Z każdym dniem władze stawiają więcej warunków i wymagają więcej dokumentów, poza tym Hiszpanie to rasiści, wolą Latynosów, bo są chrześcijanami tak jak oni.

Ojciec Mohameda zapewnił Mustafę, że zrobią wszystko, by ułatwić mu start w Hiszpanii, i że może się u nich zatrzymać tak długo, jak to konieczne.

- Jesteś synem mojego brata, w naszych żyłach płynie ta sama krew, dlatego mój dom jest twoim domem. Luksusów nie mamy, ale mieszka się u nas wygodnie.

Mustafa zdał im relację z ostatnich wydarzeń w rodzinie: ślubów, pogrzebów, narodzin... mówił o wszystkim po trochu, objadając się kuskusem podanym przez gospodynię.

- Zawsze jadasz z mężczyznami? - zapytał ni z tego, ni z owego kuzynkę.

- Czyżby ci to przeszkadzało?

- Nie, ale... Twoja matka usługuje nam jak na bogobojną muzułmankę przystało, twoja szwagierka jej pomaga, ale ani jedna, ani druga nie usiadły z nami do stołu. Mohamed zaczął wiercić się niespokojnie na krześle, Darwish zauważył, że żona spogląda wściekle na jego bratanka.

- Mustafo, jesteśmy w Hiszpanii - odparła Laila. - Jestem Hiszpanką, od lat mam hiszpańskie obywatelstwo. W Hiszpanii kobiety i mężczyźni są równi, mają takie same prawa i obowiązki. Nie mam nic przeciwko podaniu kolacji, zrobię to nawet z przyjemnością, ale uważam za niesprawiedliwe, że mama ani Fatima nie mogą się do nas przysiąść. Co jest złego we wspólnym spożywaniu posiłków? Chyba nie myślisz, że Allahowi to przeszkadza.

- Tradycja to prawo, a my musimy szanować nasze prawa. Choć zmieniłaś obywatelstwo, jesteś nadal tą samą osobą: Lailą, córką swoich rodziców, Marokanką i muzułmanką. Bo chyba nie wyrzekłaś się naszej wiary?

- Jestem wierząca i czuję, że z każdym dniem Allah daje mi więcej sił do życia i robienia tego, co robię.

- I deptanie tradycji to twoim zdaniem to, co powinnaś robić?

- Mustafo, czas nie stoi w miejscu, musimy wejść w dwudziesty pierwszy wiek. Zrobili to chrześcijanie, zrobili żydzi, więc i my nie powinniśmy dłużej zwlekać. Powiedz, gdyby lekarz stwierdził, że masz raka, poszedłbyś do szpitala? Poddałbyś się operacji i pozwoliłbyś, by leczono cię nowoczesnymi metodami, czy raczej kazałbyś sobie przykładać kataplazmy i podawać wywary z ziół?

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz - mruknął Mustafa zirytowany.

- Do tego, że gdybyś był poważnie chory, leczylbyś się współczesnymi metodami, nie ryzykowałbyś życia tylko dlatego, że dawni medycy leczyli wszelkie dolegliwości, upuszczając krew i przykładając kataplazmy. Musimy dostosować nasze zwyczaje do współczesnego świata, choć nie ma to nic wspólnego z wiarą ani z pobożnością. Jestem wierząca, Mustafo, ale jeśli zachoruję, idę do lekarza, jeśli muszę dokądś jechać, wsiadam do samolotu, pociągu, autobusu lub na statek - jak ty zrobiłeś, by przyjechać do Hiszpanii - nie

na osła. Jeśli chcę wiedzieć, co się dzieje w Maroku, włączam telewizor, nie czekam, aż ktoś z naszych krewnych przyśle mi list z wieściami z ojczyzny. Aby dowiedzieć się, co słycać u naszych krewnych, korzystam z telefonu, zresztą podobnie jak ty. I nie wystawiam nocą jedzenia na dwór, by się nie zepsuło, bo mam lodówkę. Świat się zmienił, czas nie stoi w miejscu, więc i my musimy dostosować nasze zwyczaje i zasady do świata, w którym żyjemy. Musimy nauczyć się od nowa interpretować święte pisma, zwracając uwagę na to, co w nich najważniejsze, a więc na fakt, że Allah istnieje i jest miłosierny.

Słuchano Laili w ciszy: jej matka z uśmiechem dumy, Fatima z podziwem, ojciec z rozczuleniem, Mohamed w osłupieniu. Nawet Mustafa był chyba pod wrażeniem słów Laili, bo zareagował dopiero po dłuższej chwili:

- Jesteś wygadana, żonglujesz słowami. Próbujesz interpretować prawo? Za kogo ty się uważasz? Czyżbyś była mądrzejsza od naszych imamów i ulemów, którzy poświęcili całe życie zgłębianiu Koranu? Szukasz po prostu wymówek, by usprawiedliwić swoje zachowanie.

- Moje zachowanie? A co ty możesz wiedzieć o moim zachowaniu? Co masz na myśli?

- Zdziwiłem się na twój widok. Nie nosisz hidżabu, jesz przy jednym stole z mężczyznami... A jeśli chodzi o to, co mówisz... postaraj się, by nikt cię nie słyszał, bo twoje poglądy mogą wywołać oburzenie w naszej wspólnotce.

- Niech oburza się, kto chce się oburzać. Właśnie w tych kipiących oburzeniem muzułmanach tkwi całe zło, nie w moich słowach. Ja tylko twierdzę, że religia nie kłóci się z demokracją, wolnością i z szacunkiem do wiary naszych bliźnich. Martin Luther King wypowiedział kiedyś bardzo piękne słowa: *Nauczyliśmy się fruwać jak ptaki, pływać jak ryby, ale nie nauczyliśmy się żyć jak bracia*. A ja uważam, że możemy jednak żyć jak bracia, to zależy tylko od nas, musimy po prostu być troszkę mniej zarozumiali i nie myśleć, że mamy monopol na prawdę, nie narzucać innym swoich racji, nie potępiać i nie zwalczać tych, którzy modlą się, czują i myślą inaczej niż my. Niech każdy modli się do swojego Boga, stwórzmy zasady i prawa, których wszyscy będziemy mogli przestrzegać, które umożliwią pokojowe współżycie narodów i religii oraz które uszanują podstawowe nienaruszalne prawa człowieka.

- Dość tego! - krzyknął Mohamed przejęty bardziej, niż chciałby przyznać, słowami siostry, które poruszyły go do żywego. Był wściekły na Lailę, że zasiała w jego duszy wątplenie. Dał się na chwilę przekonać jej racjom, pomyślał, że na nic nie zda się jego ofiara, że świat nie stanie się wcale lepszy, gdy zniszczy relikwie krzyża, na którym poniósł śmierć prorok Isa. Laila wstrząsnęła jego sumieniem, ale Mohamed podjął już decyzję i nie

mógł się wycofać.- Uspokój się - poprosił syna Darwish. - A ty, Lailo, mogłabyś od czasu do czasu ugryźć się w język i nie kompromitować nas przed rodziną. Mustafa broni tradycji, którą wszyscy powinniśmy szanować. No, a teraz najwyższy czas udać się na spoczynek, Mustafa jest pewnie strudzony podróżą, a wasza matka i Fatima też mają prawo odpocząć i coś zjeść.

Mustafa przyznał mu rację i podziękował za kolację. Mohamed zaprowadził go do małego pokoiku zajmowanego do tej pory przez dzieci Fatimy. W czasie pobytu gościa maluchy miały dzielić pokój z matką i przybrany ojcem, co Mohamed przyjął z ulgą - miał wymówkę, by wykręcić się od obcowania z żoną. Mimo jego usiłowań Fatima nie zaszła w ciążę, a on brzydził się coraz bardziej jej zwiotczałego ciała, jej pozbawionych wyrazu oczu, obojętności, z jaką mu się oddawała, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Podczas zbliżenia obydwójce byli myślami bardzo daleko.

- Gdy skończysz, idź się położyć, wyglądasz na zmęczoną. Matka Laili i Mohameda przyjęła bez słowa polecenie męża, który wychodził z salonu, kierując się w stronę sypialni. Gdy kobiety zostały same, gospodyni dała znak Laili i Fatimie, by poszły za nią do kuchni.

- Lailo, musisz bardzo uważać. Nie podoba mi się to, co mówi twój kuzyn.

- Nie martw się, mamu, Mustafa nie może mi nic zrobić.

- Owszem, może - szepnęła Fatima.

Laila i jej matka spojrzały na nią pytająco. Fatima przygryzła wargę, bojąc się mówić. Polubiła teściową, która nigdy nie podniosła na nią ręki, a do tego była dobra i czuła dla jej dzieci. A jeśli chodzi o Lailę... Podziwiała ją, żałowała, że brak jej odwagi, by być jak ona. Zanim ją poznała, myślała, że musi podporządkować się mężczyznom, ale teraz... Nie, nie miała odwagi zbuntować się przeciwko Mohamedowi ani przeciwko czcigodnemu imamowi Hasanowi al-Jariemu, którego siostrą miała zaszczyt być, lecz i tak uważała, że Laila ma rację.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Fatimo? - zapytała Laila raczej z ciekawością niż z niepokojem.

- To nasze zwyczaje... no, przecież wiesz... Mężczyźni mają prawo ratować honor rodziny, mają prawo nas zabić, jeśli splamimy honor rodziny... Ten twój kuzyn... sama nie wiem... Przepraszam, że to mówię, ale mam co do niego niedobre przeczucia.

Laila roześmiała się i uściskała Fatimę. Współczuła szwagierce, tej niezbyt urodziwej kobiecie chodzącej w ciemnych burnusach, z włosami zawsze ukrytymi pod hidżabem.

- Fatimo, jesteśmy w Hiszpanii, tutaj takie rzeczy się nie zdarzają. Nikt mnie nie zabije, zresztą ja nie splamiłam honoru rodziny.

Mimo rozbawienia Laili jej matka pobladła, wążąc w myślach słowa synowej. Zdziwiło ją zachowanie szwagra, który z dnia na dzień przysłał im swego syna, a przed chwilą, podczas kolacji, ze zgrozą patrzyła, jak Mustafa ni z tego, ni z owego napadł na Lailę.

- Ale honor rodziny zwykle ratują najbliżsi krewni: ojciec, mąż, brat... - powiedziała, spoglądając na Fatimę.

- Czasami, jeśli sytuacja tego wymaga, obowiązek ten przechodzi na dalszych krewnych. Nie każdy ojciec potrafi zabić własną córkę, a Mohamed... cóż, myślę, że Mohamed mimo wszystko kocha Lailę. Niekiedy bałam się, czy on czasem... ale nie, Mohamed chyba nie mógłby zabić Laili.

Matka Laili westchnęła boleśnie, a jej córka popatrzyła osłupiała na szwagierkę. Fatima mówiła o jej życiu, jakby nie należało ono do niej, jakby jej życie i śmierć zależały od dobrej woli rodziny.

- Fatimo, od lat walczę z tym, o czym mówisz. Nie możemy pozwolić, by kamienowano cudzołownice, obcinano ręce złodziejom, mordowano Bogu ducha winne kobiety w imię ratowania dziwnie pojętego honoru rodziny lub wydawano za mąż nieletnie dziewczęta za obcych im ludzi.

- Uważaj na siebie, Lailo, nie dowierzaj nikomu! - prosiła Fatima. - Wystrzegaj się Mustafy, unikaj go. Nie powinniśmy zostawiać cię nigdy samej, nawet nocą. Zamykaj dobrze drzwi pokoju i nie ufaj swojemu kuzynowi.

Fatima złękła się, gdy teściowa podeszła do niej, wzięła jej ręce i ścisnęła je z całej siły, chcąc, by spojrzała jej w oczy.

- Fatimo, ty coś wiesz. Mów! - rozkazała.

- Nic nie wiem, naprawdę! Gdybym coś wiedziała, powiedziałabym wam od razu, możecie mi wierzyć. Po prostu nie chcę, by... by Laili przytrafiło się coś złego, tak się o nią boję...

Wszystkie trzy zamilkły poruszone. Tym razem i Lailę zdjął lęk.

Mohamed pomagał kuzynowi wypakować z walizki nieliczne ubrania.- Twoja matka nie powinna była pozwolić, by Laila upodobniła się do pierwszej lepszej chrześcijanki - wyrzucał mu Mustafa.

- Laila jest, jaka jest, nie ma w tym winy mojej matki. Hiszpania to nie Maroko, tutaj dziewczęta muszą chodzić do szkoły i, niestety, pcha się im tam do głów różne dziwne rzeczy. Moi rodzice wychowali nas zgodnie z tradycją.

- Tak, ty jesteś dobrym muzułmaninem, możemy być z ciebie dumni, ale twoja siostra... okrywa hańbą całą naszą rodzinę.

- Laila nie zrobiła niczego haniebnego - stanął w obronie siostry Mohamed.

- Wiesz, że to nieprawda! To, co mówiła podczas kolacji, to przecież bluźnierstwo. Domyślałem się, że jesteś do niej przywiązany, ale nie powinien cię obchodzić jej los. Im szybciej załatwimy tę sprawę, tym lepiej. Ty powinieneś się tym zająć, ale powiedziano mi, że... no, że jesteś kimś ważnym i nie możesz wchodzić w konflikt z prawem. Ale od czego jest rodzina? Twój ojciec ma słaby charakter, tata mi mówił, że zawsze był małego ducha, a szkoda, bo jest najstarszym z braci. Trudno się więc dziwić, że nie do twojego ojca, ale do mojego zgłaszają się krewni, prosząc o rozsądzenie rodzinnych sporów.

- Mój ojciec nie ma słabego charakteru - zaprotestował Mohamed, czując się upokorzony.

- Twoja siostra od dawna powinna być martwa. Ty nie możesz jej zabić, ale on?

- Zabiłbyś własną córkę? Choć przypuszczam, że nie możesz odpowiedzieć na to pytanie: jesteś jeszcze za młody, nie masz dzieci.

- Ale mam trzy siostry i każdej z nich bez wahania poderżnąłbym gardło, gdyby zachowywała się jak Laila. Lecz nie muszę się tego obawiać, bo moja matka dobrze je wychowała, już wyszły za mąż.

- Myślałem, że twoje siostry są młodsze od ciebie.

- Bo są. Najstarsza ma osiemnaście lat, średnia szesnaście, najmłodsza czternaście. Mój ojciec znalazł im kandydatów na mężów, gdy jeszcze były małe, a one pogodziły się ze swoim losem, bo tak nakazuje tradycja. Dlaczego nie wydaliście Laili za mąż? Moja mama mówi, że gdybyście ją do niej przysłali, wróciłyby do was zamężna. Moja mama nie rozumie twojej matki.

- Pójdę już, musisz odpocząć.

Mohamed nie chciał ciągnąć sprzeczki z kuzynem. Brzydził się tym, co robi Laila, ale nie mógł znieść wyrzutów Mustafy pod adresem jego siostry i rodziców.

- Nie zabawię tu długo, pewnie jakiś tydzień - poinformował go kuzyn.

- Nie spiesz się, bo może... - Mohamed urwał w pół zdania. Mustafa na próżno czekał, aż dokończy myśl.

- Wykonam zadanie, które mnie tu sprowadziło - oświadczył. Mohamed wyszedł z pokoju bez słowa.

Raymond de la Pallisiere prowadził właśnie cotygodniowe zebranie fundacji Pamięć o Katarach i odpowiadał na pełne niepokoju pytania najbliższych współpracowników. Ci ludzie podzielali jego niechęć do Kościoła i zlecili mu misję zadania ciosu znienawidzonej instytucji, choć nikt z nich nie wiedział - i wiedzieć nie chciał - na czym cios ten miałby polegać. Ciekawiło ich tylko, kiedy mogą się go spodziewać.

Nagle zapadła cisza, ponieważ Edward, oddany majordomus hrabiego, wszedł pospiesznie do biblioteki, gdzie odbywało się zebranie. Edward podszedł do gospodarza i szepnął mu do ucha coś, co najwyraźniej go poruszyło, bo wszyscy obecni widzieli, jak blednie.

- Panowie, jestem zmuszony przeprosić was na chwileczkę, zaraz wracam.

Raymond wyszedł z biblioteki, a za nim podreptał Edward. Majordomus jeszcze nie otrząsnął się z osłupienia, w jakie wprawiły go słowa jednego ze służących, który poinformował go, że przyjechała jakaś panienka, czeka w holu i twierdzi, że jest córką hrabiego.

Edward natychmiast udał się do holu, gdzie ujrzał młodą kobietę o bezczelnym spojrzeniu z dwoma walizkami od Vuittona. Przyjezdna zaczęła go ponaglać, by wezwał jej ojca.

Hrabia wrócił na zamek dzień wcześniej, ale nie napomknął Edwardowi, że oczekuje czyjejś wizyty, a zwłaszcza wizyty córki, która - jak majordomusowi było wiadomo - mieszka w Stanach Zjednoczonych i nie chce mieć z hrabią nic wspólnego.

Catherine czekała na ojca, stojąc, wyraźnie nie dopisywał jej humor. Raymond zbliżył się, spoglądając na nią pytająco.

- Postanowiłam przyjechać - oznajmiła, uznając to za wystarczające wyjaśnienie tej niezapowiedzianej wizyty.

- Witaj na zamku.

- Dzięki.

- Edwardzie, zaprowadź moją córkę Catherine do zielonego pokoju i powiedz pokojówce, żeby pomogła jej w rozpakowaniu bagażu i we wszystkim, czego sobie tylko zażyczy.

- Nie zabawię tu długo...

- Zostaniesz, ile chcesz. A teraz wybacz, proszę, ale mam akurat spotkanie z pewnymi dżentelmenami, członkami zarządu mojej fundacji. Zamek jest do twojej dyspozycji. Mam nadzieję, że niebawem będę mógł się tobą zająć.

- Nie chcę przeszkadzać.

- Nie przeszkadzasz, a teraz wybacz...

Raymond wrócił do biblioteki zdezorientowany, a jednocześnie szczęśliwy z przyjazdu córki. Pomyślał, że przyjdzie mu się oswoić z nieprzewidywalnym zachowaniem Catherine, która, co jak co, ale pod tym względem jest akurat podobna do jego zmarłej żony.

Catherine weszła za Edwardem po schodach na pierwsze piętro, gdzie taktowny majordomus otworzył przed nią drzwi pokoju obitego bladozielonym jedwabiem.

- Powiem pokojówce, by pomogła pani rozpakować walizki.

- Nie trzeba, sama potrafię rozpakować swoje rzeczy.

- A jednak zawołam pokojówkę, na wypadek gdyby pani czegoś potrzebowała...

- Nie potrzebuję niczego, dziękuję.

Edward wyszedł, a Catherine odetchnęła z ulgą i zaczęła rozglądać się po pokoju.

Łóżko z baldachimem wydało jej się przeogromne, natomiast przypadł jej do gustu stojący pod ścianą sekretarzyk oraz dwa małe foteliki obite zielonym materiałem w nieco ciemniejszym odcieniu niż ściany. Zobaczyła dwie pary drzwi i otworzyła je z ciekawością: jedno prowadziło do łazienki, drugie do garderoby.

Rozpakowanie walizek zajęło jej niecałe dziesięć minut. Nie mogła się doczekać zwiedzenia zamku.

Wyszła z pokoju i wpadła na Edwarda stojącego kilka kroków od drzwi.- Mogę pani pomóc w czymś?

- Tak, chciałabym obejrzeć zamek. Mógłby mnie pan oprowadzić?

Majordomus uśmiechnął się uszczęśliwiony, że będzie miał okazję wystąpić w roli przewodnika tej młodej osobki, która pewnego dnia zostanie panią zamku d'Amis.

- A więc, proszę panów, pozostaje mi tylko zapewnić, że za kilka dni pomścimy naszych krewnych oraz cierpienia zadane im w przeszłości. Stanie się to w Wielki Piątek, nic więcej nie mogę powiedzieć, zresztą lepiej, by panowie nic więcej nie wiedzieli.

Mężczyzna posunięty w latach, z wyraźnym oksytańskim akcentem poprosił o głos.

- W imieniu nas wszystkich chcę pogratulować panu tego, co pan robi. Ród d'Amis zawsze był światłem, dzięki któremu pamięć o naszych męczennikach i o tym, co wydarzyło się w naszej ojczyźnie, nie przepadła w mroku. Pan, podobnie jak pański ojciec, wykazaliście się bezgraniczną ofiarnością.

Następnie głos zabrał mężczyzna w średnim wieku:

- Rozumiem, że nie powinniśmy żądać szczegółowych informacji, ale czy nie moglibyśmy poznać przynajmniej skali tego, co pan planuje?

Zanim odpowiedział, Raymond przez chwilę mierzył obecnych wzrokiem. Nie, nie powie im ani słowa więcej, niż powinien. Łącznik, który kierował do tej pory jego działaniami, nakazał mu dyskrecję. Nikt nie może wiedzieć więcej niż to konieczne, powtarzał. Nawet osoby i instytucje reprezentowane przez Łącznika nie wiedziały, co się stanie, a tym bardziej kiedy. Im chodziło wyłącznie o rezultat, a ten akurat Łącznik mógł im zagwarantować, podobnie jak on, hrabia, gwarantował słuchającym go teraz dżentelmenom, którzy podzielali jego uczucia i pragnienia, że wybiła godziny zemsty.

- Ze względu na bezpieczeństwo panów i moje oraz dla dobra samej operacji lepiej, żeby panowie nic nie wiedzieli. Proszę czekać cierpliwie na Wielki Piątek, dzień, w którym chrześcijanie oplakują śmierć Jezusa Chrystusa na krzyżu... Nic więcej nie mogę powiedzieć.

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i wzrok obecnych spoczął na kobiecej sylwetce odcinającej się od półmroku panującego na progu biblioteki. Jednocześnie rozległ się oburzony głos Edwarda:

- Panienko, przecież mówiłem, żeby panienka nie wchodziła do biblioteki!

Ale Catherine zdążyła już wtargnąć na środek przestronnej sali, uśmiechając się do obecnych, lecz nie zaszczycając spojrzeniem własnego ojca.

- Proszę mi wybaczyć! Przepraszam, że przeszkadzam... Raymond spojrział na córkę, która dojrzała w jego zielonych źrenicach gniewne błyski.

- Panowie, przedstawiam wam moją córkę. Catherine, ci panowie należą do zarządu fundacji Pamięć o Katarach.

Wszyscy obecni wstali z miejsc, by powitać córkę hrabiego d'Amisa. Wiedzieli o jej istnieniu, niektórzy mieli nawet okazję poznać przed laty Nancy, kobietę, która przez chwilę była żoną Raymonda de la Pallisiere.

Catherine pozdrowiła ich, rozplywając się w uśmiechach, i znów zaczęła ich przeproszać za wtargnięcie.

- Dopiero co przyjechałam i... cóż, przyznaję, że jestem pod wrażeniem tego miejsca. Nie mogłam powstrzymać się przed wejściem do biblioteki, gdy usłyszałam od Edwarda, że tu właśnie znajdują się portrety niektórych naszych przodków... Wszystko to jest dla mnie takie nowe...

Oczarowała obecnych, którzy zaczęli gratulować Raymondowi takiej córki i żartowali nawet, że na zamku od dawna brakowało kobiecej ręki.

Nie trzeba było zamykać zebrania, bo w gruncie rzeczy dobiegło końca. Raymond polecił więc Edwardowi podać przekąski. Było wpół do ósmej i większość zebranych poprosiła o sherry.

Catherine zamieniła z każdym kilka słów, wypyując o miejscowe zwyczaje, nie mogąc się nadziwić temu, co słyszała, i wykazując wielki entuzjazm do nauki i poznawania nowych rzeczy. Raymondowi szybko minął gniew, teraz rozpierała go duma.

Pół godziny później goście zaczęli się rozchodzić, życząc Catherine miłego pobytu na zamku i zapraszając do złożenia im wizyty razem z ojcem.

Sędziwy mężczyzna, znacznie starszy od hrabiego, podszedł do gospodarza, uściśnął go, a Catherine pocałował w rękę.

- Dzisiaj jest wielki dzień - powiedział - nie tylko ze względu na dobre wieści przekazane nam przez pani ojca, ale również dlatego, że mieliśmy okazję panią poznać. Drogi przyjacielu, porozmawiamy w Wielki Piątek.

Raymond miał ochotę zganić Catherine za wtargnięcie do biblioteki, ale zmienił zdanie - był zbyt dumny, że goście poznali jego przyszłą spadkobierczynię.

- Bardzo dobrze mówisz po francusku - pochwalił córkę. - Gdzie się nauczyłaś tego języka?

- Mamie zależało, żebym znała francuski - odparła Catherine. - Miałam dobrą nauczycielkę, Kanadyjkę, madame Picard.

- Po twoim akcencie widać, że była nawet bardzo dobra.

* * *

Hakim popijał wolno aromatyczną herbatę podaną przez Saida, przywódcę Stowarzyszenia w Jerozolimie. Obaj mężczyźni omawiali szczegóły akcji.

- Dostałeś wizę na miesiąc, więc nie masz się czym martwić. Pielgrzymi, z którymi przyjechałeś, zwiedzają właśnie Synaj - powiedział Said.

- Myślisz, że Żydzi się nie zorientują? Przecież mają na wszystko oko.

- Żydzi nie są już niezwykcy. Nie potrafią stawić czoła partyzantce. Sam widziałeś, co się stało w Libanie: nie dali sobie rady z Hezbollahem. Potrafią walczyć z regularnym wojskiem, mogliby zrzucić bombę atomową, ale nie znają się na walce podziemnej.

- Ale przecież Mossad...

- Skuteczność Mossadu to wyłącznie legenda! Sami zresztą jesteśmy tego najlepszym dowodem - nie wywęszyli Stowarzyszenia. No, możesz spać spokojnie!

- Nie powinniśmy być zbyt pewni siebie.

- Nie jesteśmy zbyt pewni siebie. Nasi ludzie idą za nami krok w krok, sprawdzając, czy nie śledzi nas Mossad lub Szin Bet, ale niczego nie zauważyli. Ochroniamy cię, przyjacielu, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Nie dbam o życie, ale o powodzenie misji.

- Dożyjesz chwalebego dnia zamachu, a twój czyn zadziwi cały świat. Nasi bracia będą cię błogosławili.

- Powinni błogosławić nie mnie, ale ludzi, którzy nami kierują.

- A teraz, przyjacielu, przyjrzyjmy się raz jeszcze planowi. To prawdziwe szczęście, że nasz brat Omar prowadzi biuro podróży. Jego polecenia są wyraźne: w piątek rano razem z grupą pielgrzymów, z którymi przejechałeś, udasz się na nabożeństwo do bazyliki Grobu Pańskiego. Nikt nie zwróci na ciebie uwagi, w Wielki Piątek będzie się tam roiło od pielgrzymów z całego świata, przewodnicy mają dobrze obliczony czas i ustaloną kolejność zwiedzania. Wniesiesz materiały wybuchowe przytwierdzone do ciała.

- A co z kontrolami?

- Myślisz, że izraelscy żołnierze zainteresują się grupką pielgrzymów? Nawet na was nie spojrzą. Musisz po prostu przepchać się do miejsca, gdzie przechowywane są relikwie, a tam... a stamtąd pójdziesz prosto do rajy. Zdetonowanie ładunku jest bajecznie proste, musisz tylko pociągnąć za drucik.

- Ale przecież relikwia jest bardzo dobrze zabezpieczona, czy aby na pewno eksplozja ją zniszczy?

- Nic z niej nie zostanie, wielka szkoda, że nie dane ci już będzie tego zobaczyć. Aha, jeszcze coś... Omar kazał ci przekazać, byś w ostatnich dniach przed zamachem pojechał na wycieczkę z grupą pielgrzymów, z którymi przyjechałeś. Po powrocie z Synaju wybierają się do Jordanii na zwiedzanie Petry, zabierzesz się z nimi.

- Dobra, nie ma sprawy, ale wcześniej wstąpię do bazyliki Grobu Pańskiego, chcę jeszcze raz przejść trasę, którą mam pokonać w piątek.

- Nie, nie ma mowy. To zbyt ryzykowne, mógłbyś ściągnąć na siebie uwagę. Byliśmy tam już trzy razy, znasz trasę na pamięć.

- Muszę iść jeszcze raz...

- Nie, Hakimie, nie możemy kusić losu.

- Wiesz, tęsknię za moją wioską.

- Jaką wioską?

- Za Canos Blancos... Nigdzie nie byłem tak szczęśliwy jak tam. Z szosy wydaje się, że domy wiszą nad przepaścią. Wiosną pachnie tam kwiatem pomarańczy i owocami, niebo

jest jaskrawo-niebieskie, a wioskę wypełnia przez cały dzień szmer wody ciurkającej z ogrodowych fontann i źródełek. Moim zdaniem Canos Blancos to namiastka raj. Catherine uparła się, że usiądzie za kierownicą. Przystał niechętnie, czuł się pewniej z szoferem, który pracował dla niego od lat.

Raymond był zdumiony zmianą, jaka dokonała się w Catherine. Nie, nie była dla niego czuła, ale przynajmniej nie traktowała go tak szorstko i z dystansem jak z początku, nawet od czasu do czasu uśmiechała się i była w jego towarzystwie rozluźniona.

Zdażył już oprowadzić ją po wszystkich zakamarkach zamku i okolic, a teraz mieli przed sobą gwóźdź wizyty - Montsegur.

Catherine nie przestawała wypytywać go o fundację Pamięć o Katarach. Nagle zainteresowała się przeszłością, mówiła nawet z przejęciem o *Kronice brata Juliana*, choć całkiem niedawno bez entuzjazmu potraktowała jego radę, by przeczytała książkę, bo dzięki niej lepiej zrozumie rodzinną historię.

Teraz jednak Raymond myślał o Łączniku. Dzwonił do niego kilkakrotnie, ale za każdym razem odpowiadała mu głucha cisza. Niepokoilo go to. Próbował się również skontaktować z Jugolem, by upewnić się, że Ilena otrzymała towar zgodnie z umową, ale i tym razem nie miał szczęścia - telefon Jugola nie odpowiadał.

- Nie słuchasz mnie, myślami jesteś gdzieś indziej...

- Przepraszam, co mówiłaś?

- Pytałam o tego profesora, który opisał historię brata Juliana.

- O profesora Arnauda? Mój ojciec zatrudnił go, bo był jednym z najlepszych francuskich mediewistów. Niestety, nasze stosunki z profesorem nie układały się najlepiej. Miał żonę Żydówkę, która pewnego dnia znikła, co sprawiło, że zdziwaczał.

- Znikła? Jak to znikła?

- Nie wiem, chyba wybrała się w podróż i nie wróciła. Profesor Arnaud nigdy nie pogodził się z tym, że go porzuciła. Od tamtej pory trudno było się z nim dogadać. Ojciec proponował mu pracę z ekipą francuskich oraz zagranicznych badaczy i naukowców, ale kręcił nosem i ciągle wynajdywał jakieś przeszkody. Obchodził go tylko i wyłącznie brat Julian i jego kronika.

- A cóż jeszcze miałoby go interesować?

- Catherine, wspomniałem ci już, że katarzy strzegli pewnego sekretu, który do tej pory nie został ujawniony: sekretu świętego Graala.

- Przecież to bajeczka dla grzecznych dzieci! - prychnęła zirytowana.

- Tak ci się tylko wydaje. Gdzieś istnieje ten przedmiot o wyjątkowej mocy, a kto go znajdzie... stanie się najpotężniejszym człowiekiem na świecie.

Catherine zaśmiała się, ale hrabia nie miał jej tego za złe. Wiedział, że nie ma sensu przekonywać jej o istnieniu cudownego przedmiotu. Zresztą jego córka nie wierzyła nawet w skarb katarów.

- Sam mówiłeś, że profesor Arnaud był wybitnym znawcą średniowiecza, a przecież w swoich komentarzach do kroniki brata Juliana odrzuca możliwość istnienia takiego skarbu. Profesor mówi wyraźnie, że chodziło po prostu o pieniądze i kosztowności przekazywane przez *credentes* i wykorzystywane na potrzeby wspólnoty.

- Niektóre dokumenty przedstawiają tę sprawę zupełnie inaczej. Profesor Arnaud był poważanym naukowcem, ale nie on jeden badał historię katarów.

- A jednak twój ojciec zwrócił się właśnie do niego.

- Twój dziadek potrzebował kogoś, z kogo zdaniem wszyscy by się liczyli, chodziło przecież o potwierdzenie autentyczności trzynastowiecznego dokumentu.

Było zimno, Raymond wzdrygnął się, wysiadłszy z samochodu. Wycieczka do Montsegur sprawiła, że jego córka popadła w zadumę, Catherine zdziwiła się na widok turystów zgromadzonych o stóp skały i słuchających z uwagą wyjaśnień przewodnika:

- Montsegur znaczy „bezpieczna góra” i, w rzeczy samej, tutejsza twierdza wytrzymała oblężenie dłużej, niż sądzili król Francji i papież.

- Idziesz ze mną? - zapytała Catherine ojca, który szedł za nią powoli i najwyraźniej nie był zachwycony perspektywą wdrapania się na szczyt góry, którą znał jak własną kieszeń.

- Przejdę się z tobą kawałek.

Raymond z radością patrzył, jak Catherine krąży po okolicy, zatrzymuje się poruszona na Polu Spalonych, robi sobie zdjęcie przy steli upamiętniającej śmierć nieszczęsnych katarów.

Siąpił drobny deszcz, kiedy po dwóch godzinach Catherine uznała, że mogą wracać.

- Przewodnik mówił, że to nie jest oryginalny zamek katarów, bo w czternastym wieku zbudowano tu nową fortecę.

- Ale ostały się resztki dawnego zamku: fundamenty, część murów wykutych w skale.- Nie mogę przestać myśleć o twojej praprababce Marii.

- Naszej praprababce.

- Tak, racja, ale zrozum, że wszystko to jest dla mnie bardzo odległe i w ogóle nie pasuje do mojego świata. No, ale ta Maria była kobietą z charakterem.

- Coś mi się zdaje, że go po niej odziedziczyłeś - uśmiechnął się Raymond.

- Co masz na myśli? Przecież nie jestem fanatyczką jak ta twoja antenatka, nie jestem nawet wierząca.

- A mnie się wydaje, że masz równie silny charakter jak Maria. Biedny brat Julian wpadał w panikę na jej widok, a cała rodzina tańczyła, jak ona zagrała.

- Właśnie... nawet ten templariusz... biedaczysko, wstąpił do zakonu, by zrobić na złość mamusi.

- Fernando... waleczny rycerz. A skoro mówimy o robieniu na złość rodzicom... to typowy konflikt pokoleń, zjawisko stare jak świat, przecież ty sama uwielbiasz robić mi na przekór.

- Owszem, bo jesteśmy zupełnie różni, nie to co ja i mama. Wystarczyło nam na siebie spojrzeć, byśmy wiedziały, co każda z nas myśli.

Raymond wyraźnie się wystraszył na odgłos dzwonka własnej komórki. Catherine dziwiła się, że ojciec nosi przy sobie trzy telefony komórkowe, nie zdołała się jednak dowiedzieć dlaczego.

- Tak...?

W telefonie rozległ się głos Jugola.

Catherine odeszła dwa kroki, pozwalając ojcu spokojnie porozmawiać, choć i tak słyszała niektóre słowa.

- A więc dotrze bez przeszkód do Sztambułu. Proszę do mnie zadzwonić, gdy tylko znajdzie się u celu razem z resztą ekipy... Oczywiście, że otrzyma pan obiecaną sumę, ale najpierw muszę wiedzieć, że dojechała bez problemów. Pańscy ludzie mają ją ochraniać do Wielkiego Piątku, nie chcę żadnych niespodzianek... Tak, oczywiście, upewnię się, że z dziewczyną wszystko w porządku... Już powiedziałem, że w najbliższych dniach otrzyma pan resztę pieniędzy, niech pan mnie nie straszy szefem, wypraszam sobie... Niech pan się ograniczy do wykonywania moich poleceń, nic więcej nie powinno pana obchodzić. Macie ochraniać dziewczynę tylko do Wielkiego Piątku, gdy w piątek ona i jej ludzie opuszczą hotel, wasze zadanie się zakończy, możecie o wszystkim zapomnieć. Zależy mi, by Ilena odebrała cały towar...

Hrabia mówił szeptem, ale w niektórych momentach rozmowy nerwy najwyraźniej go ponosiły, bo podnosił głos i wtedy Catherine słyszała, co mówi. Dziewczyna zapaliła papierosa. Gdy Raymond d'Amis wyłączył telefon, wydawała się pogrążona w myślach.

- Wybacz, interesy dopadną człowieka nawet pod tą świętą górą.

- Jakież problemy? - zainteresowała się.

- Nie, nic poważnego, po prostu niektórzy ludzie nie traktują poważnie swojej roboty i trzeba wszystko im powtarzać, bo inaczej nic do nich nie dociera. Wracamy do domu?

- Tak, dziękuję, że mnie tu zabrałeś, warto było przyjechać.

W drodze powrotnej na zamek Catherine prowadziła ze wzrokiem utkwionym w szosę, wyglądała na zamyśloną. Jej ojciec również nie miał nastroju do rozmowy. Nagle dzwonek telefonu komórkowego sprawił, że hrabia raz jeszcze zmienił się na twarzy - czuł się skrepowany, że musi rozmawiać przy córce.

- Salim, przyjacielu, cieszę się, że pana słyszę... Jest pan już w Rzymie? To znakomicie, a jak tam operacja? Tak, tak, widzę, że humor panu dopisuje... A pozostali pańscy znajomi?... Dobrze, mam nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem i unikniemy niespodzianek... Zakładam, że będzie pan nadzorował wszystkie trzy grupy... cóż, nie za bardzo mogę rozmawiać, jestem akurat w samochodzie... Drugą część pieniędzy dostanie pan w Wielki Piątek... Tak, wiem, że zostały jeszcze cztery dni, ale niech się pan nie martwi, rodziny nie zostaną bez środków do życia... Czekam na pański telefon w piątek. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, drogi przyjacielu, spotkamy się w Paryżu, by to uczcić.

- Widzę, że nawet na chwilę nie możesz się oderwać od interesów - zauważyła Catherine, gdy tylko schował telefon.

- Święta prawda, całe szczęście, że dzięki komórkom człowiek nie musi przesiadywać cały boży dzień w biurze.

- Naprawdę nie masz problemów?

- Dlaczego pytasz?

- Sama nie wiem... może z powodu tonu twojego głosu... Chcąc nie chcąc, słyszałam, jak rozmawiasz i... - tłumaczyła się.

- Nie, nie mam problemów, ale zawsze siedzę jak na szpilkach, dopóki transakcja nie zostanie doprowadzona do końca, zwłaszcza jeśli muszę się zdawać na pośredników.

- Mogę ci jakoś pomóc? Propozycja Catherine zaskoczyła go. Przyjrzał się córce, która nie odrywała oczu od szosy, i poczuł przemożną chęć, by się jej zwierzyć, ale się opanował. Catherine była bardzo podobna do Nancy, a przecież żona porzuciła go, gdy odkrył przed nią misję rodziny d'Amis - przeraził ją zwłaszcza fakt, że szuka Graala i uważa się za przedstawiciela wyższej rasy. Był pewien, że Catherine zareaguje podobnie jak Nancy, a teraz, gdy nareszcie poznał córkę, nie mógłby się pogodzić z jej utratą.

- Nie martw się, nie potrzebuję pomocy. Gdybym jej potrzebował, poprosiłbym cię o nią bez wahania, choć nie wiem, czy znasz się na transakcjach finansowych.

- Zaufaj mi - powiedziała, a prośba ta zabrzmiała jak wyzwanie.

- Zaufać? Co ma zaufanie do interesów?

- Moim zdaniem wiele. No, ale dajmy temu spokój, w końcu jestem ci zupełnie obca, nie mogę oczekiwać, byś zwierzał mi się z tego, co robisz, z czego żyjesz, czym się zajmujesz.

- Jestem hrabią d'Amisem, zarządzam majątkiem odziedziczonym po przodkach: gruntami, papierami wartościowymi, inwestycjami... Wystrzegam się ryzyka, choć czasem jest ono nieuniknione i wtedy nerwy dają mi się we znaki.

- Tak jak teraz.

- Owszem, jestem zdenerwowany, już ci mówiłem, że nie lubię, gdy sprawy nie zależą bezpośrednio ode mnie, gdy powodzenie całej operacji jest w rękach osób trzecich.

- No, a ten Salim?

- To mój dobry znajomy, prowadzimy razem interesy... delikatne, skomplikowane interesy, które nie zależą nawet bezpośrednio od niego. Obaj musimy polegać na pośrednikach.

- Skąd pochodzi Salim? Z imienia wygląda mi na Araba, mam rację?

- Salim jest Brytyjczykiem syryjskiego pochodzenia. To prawdziwy dżentelmen. Poznasz go, na pewno ci się spodoba.

- Przyjedzie na zamek?

- Nie wiem. Dlaczego pytasz?

- Bo ja nie zabawię tu długo.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytał Raymond, czując silny ucisk w piersi i z lękiem czekając na odpowiedź.

- Jeszcze nie wiem, ale nie chcę ci się narzucać.

- Catherine, zamek jest twoim domem, pewnego dnia będzie należał do ciebie, nie jesteś tu gościem, więc nie możesz się narzucać, już ci mówiłem.

- Wiesz, czasami sama nie wiem, co myśleć... choćby o sobie samej. Fakt, że cię poznałam, zobaczyłam zamek, odwiedziłam miejsca, gdzie żyła mama... bo ja wiem... jestem skołowana.

- Nie osądzaj mnie zbyt pochopnie. Daj jeszcze trochę czasu i mnie, i sobie, zanim stwierdzisz, czy warto mieć mnie za ojca.

Wrócili z wycieczki bardzo zmęczeni. Zamek pogrążony był w ciszy nocy, tylko majordomus Edward wypatrywał ich niecierpliwie, na wypadek gdyby hrabia go potrzebował. Ale Raymond i Catherine marzyli tylko o tym, by udać się na spoczynek.

Od wielu dni nie spali w łóżku. Lorenzo Panetta, Matthew Lucas i ojciec Aguirre nie ruszali się z paryskiej siedziby unijnego Centrum do Walki z Terroryzmem.

Panetta informował właśnie Hansa Weina o treści ostatniego raportu przysłanego z Sarajewa przez kolegów Matthew Lucasa z Amerykańskiej Agencji Antyterrorystycznej.

- Puściłem ci go przed chwilą e-mailem, uprzedzę cię tylko, że sprawa się komplikuje. Dziewczyna nazywa się Ilena Milojević i jest Serbobośniaczką. Podczas wojny została brutalnie zgwałcona, sprawcy o mało jej nie zabili. To była sprawka oddziału muzułmańskich ochotników. Dziewczyna nie miała szczęścia w życiu, podczas wojny straciła ojca i brata. A teraz przygotuj się na niespodziankę: dziewczynę śledzą ludzie Karakoza, z tym że ona najwyraźniej o tym nie wie. Dwa dni temu ona, jej brat, kuzyn i kuzynka zgłosili się pod pewien stambulski adres, skąd wyszli z pakunkami, które załadowali na furgonetkę. A najciekawsze jest to, że przed chwilą widziano ją na wózku inwalidzkim i, o dziwo, miała na głowie hidżab. W Stambule spotkali się z kuzynem, który czekał już na nich na miejscu. Amerykanie bardzo nam pomagają, ale powinieneś porozmawiać z Turkami. Nie ma wątpliwości, że ta kobieta coś knuje. Fakt, że Serbka ubiera się jak pobożna muzułmanka...

Hans Wein słuchał z niepokojem Lorenza Panetty. Sprawa rzeczywiście bardzo się komplikowała i, co najgorsze, trudno było dopatrzeć się w tym wszystkim sensu. Idąc tropem Karakoza, natknęli się na francuskiego arystokratę, który prowadzi ciemne interesy z Jugolem, człowiekiem Karakoza w Paryżu, a przez Jugola trafili na tę tajemniczą kobietę. Choć jeszcze bardziej tajemnicza była ostatnia rozmowa telefoniczna hrabiego d'Amisa ze znamienitym profesorem Salimem al-Bashirem. Wein nie chciał uwierzyć, że al-Bashir mógłby nie być tym, za kogo się podaje, jednak wszystko wskazywało na to, że Panetta miał rację, ostatnia rozmowa hrabiego z profesorem była bowiem nader podejrzana. O jakich „operacjach” mówili i dlaczego hrabia miał wysyłać profesorowi pieniądze? Jakich rodzin nie chcieli zostawić bez środków do życia?

Panetta suszył Weinowi głowę, by rozkazał śledzić Salima al-Bashira, ale dyrektor centrum bał się wykonać ten krok, choć był coraz bardziej skłonny porozmawiać z Brytyjczykami.

- Zgoda, pogadam z Turkami, przypuszczam, że nie będą mieli nic przeciwko współpracy z nami. Aha, całe biuro cię pozdrawia. Przyznaję, że coraz trudniej jest mi utrzymać ludzi z dala od śledztwa. Laura White ma mi za złe to, co nazwała brakiem zaufania, natomiast Andrea Villasante wkroczyła wczoraj do mojego gabinetu i oznajmiła, że

jeśli jej nie dowierzam, złożę rezygnację i poprosi o przeniesienie do innego działu. Obraziła się, że odsunęliśmy ją od śledztwa w sprawie zamachu we Frankfurcie. Nie sądzisz, że przesadzamy z tą ostrożnością? Dział bezpieczeństwa zlustrował ponownie wszystkich naszych ludzi i nie znalazł żadnego kreta. A tak na marginesie... biuro zamieniło się w oazę spokoju, odkąd pozbyliśmy się Mireille Beziars. Ta dziewczyna działała nam wszystkim na nerwy. Dzięki Bogu nie miałem okazji spotkać jej ponownie, nawet w windzie.

- Hans, dlaczego nie zapomnisz raz na zawsze o Mireille? - mruknął rozeźlony Panetta.

- Święta racja, przecież nareszcie się od niej uwolniłem. Choć podobno jej stryjasek generał ma za złe naszemu działowi, że ją wyrzuciliśmy. Cóż, mam nadzieję, że przejdą mu te dąsy. W końcu fakt, że jest generałem NATO, to jeszcze nie powód, byśmy musieli się użerać z jego bratanicą.

- Wiesz, Hans, coś mi się wydaje, że w głębi duszy masz wyrzuty sumienia, że zwolniłeś Mireille. Byłeś dla niej niesprawiedliwy, dobrze o tym wiesz.

- Ależ ty bronisz tej małej!

- Zawsze uważałem, że Mireille Beziars może nam się przydać, że warto mieć ją w naszym dziale. No, ale wróćmy lepiej do ostatnich wydarzeń. Lorenzo Panetta prosił usilnie szefa, by nadal traktował całą sprawę jako ściśle tajną, i przypomniał mu, że odkąd zajmują się nią tylko oni dwaj, śledztwo nareszcie ruszyło z miejsca.

- Hans, nie będę się z tobą spierał na temat Mireille Beziars, ale już ci mówiłem, że moim zdaniem potraktowałeś ją niesprawiedliwie. Wiem, że trudno ci utrzymać w tajemnicy przed Laurą to, co się dzieje, w końcu jest twoją asystentką i od lat pracujecie razem. Ja również bardzo cenię Laurę, ale wierz mi, tak jest lepiej. Posłuchaj mnie przynajmniej tym razem, o nic więcej cienie proszę. A jeśli chodzi o Andreę... tak, wyobrażam sobie, że jest wściekła, ale musisz wytrzymać presję. Biorę na siebie odpowiedzialność za odsunięcie ich od śledztwa. Gdy będzie już po wszystkim, przeproszę cały dział, być może przy okazji się z nimi pożegnają.

- Co ty wygadujesz? - zapytał z niepokojem Hans Wein.

- Pogadamy o tym później. Cóż, sprzykrzyło mi się już życie w Brukseli, chciałbym wrócić do Rzymu. Nie wiem, czy ci mówiłem, że mój starszy syn uszczęśliwi mnie wkrótce wnukiem.

- Moje gratulacje. Wiedz jednak, że stanę na głowie, byle cię u nas zatrzymać. Aha, powinszuj naszym ludziom w Paryżu, odwalają kawał dobrej roboty. A tak w ogóle, tutaj wszyscy biorą urlop na Wielkanoc. Andrea poprosiła o cały tydzień wolny, pewnie żeby

zademonstrować mi swoje oburzenie. Dianie Parker również dała wolne, mówiąc, że skoro jej samej nie będzie w pracy i odsunęliśmy wszystkich od śledztwa, nie ma sensu, żeby gniła za biurkiem. Laura wyjeżdża jutro. Takie są korzyści z faktu, że centrum ma główną siedzibę w Brukseli, a Belgia jest krajem katolickim.

Ojciec Aguirre rysował na kartce wielkie kwadraty, w które wpisywał nazwiska osób zamieszanych w sprawę: Karakoza, Jugola, Raymonda d'Amisa, Salima al-Bashira, Ileny Milojević.

Stary jezuita nie miał wątpliwości, że wszyscy oni mają jeden cel - zamach na Kościół - choć Ilena na pierwszy rzut oka zupełnie nie pasowała do tej układanki.

- Co ona ma zamiar zrobić w Stambule? - zastanawiał się na głos Matthew Lucas.

- Nie wiem, ale na pewno nic dobrego - odparł jezuita. - Ta kobieta musi nienawidzić muzułmanów za to, co jej zrobili, a mimo to przebrała się za bogobojną muzułmankę. Jej kuzynka również włożyła hidżab, a brat i kuzyn zapuścili brody i kupili ubrania na bośniackich bazarach.

- Ale to nijak nie pasuje do ojca teorii - zauważył Matthew Lucas.

- Nie znaleźliśmy jeszcze wspólnego ogniwa, ale gdzieś być musi. Nie wiem, co knuje Ilena Milojević, lecz jestem pewien, że nie wyjdzie to na zdrowie Kościołowi - obstawał przy swoim ojciec Aguirre.

- Dobrze, zaczekamy. Będziemy śledzili jej poczynania - zapewnił Panetta.

- Wiemy już, że akcja planowana jest na Wielki Piątek. Słowo PIĄTEK figurowało w spalonych dokumentach znalezionych we Frankfurcie, poza tym dla katolików to dzień szczególnie, dzień, w którym ukrzyżowano Jezusa Chrystusa... Hrabia przypominał Jugolowi, że Ilena wykona zadanie w Wielki Piątek, a później, w rozmowie z Salimem al-Bashirem, znów wspominał o Wielkim Piątku i o trzech operacjach zaplanowanych na ten dzień... Nie ulega wątpliwości, że ci ludzie przygotowują zamach na Kościół. Data nie została wybrana przypadkowo, zwłaszcza jeśli w całej sprawie bierze udział Raymond de la Pallisiere. Ten człowiek nienawidzi krzyża oraz wszystkiego, co on symbolizuje. W dokumentach frankfurckich pojawiły się również słowa KRZYŻ i KREW, pamiętacie też zdanie: POLEJE SIĘ KREW W SERCU ŚWIĘTEGO...

- Tego właśnie nie pojmuję! - utyskiwał Matthew Lucas. - Co w papierach islamskiej komórki terrorystycznej robi wzmianka o krzyżu, o świętych, o Rzymie... Nie daje mi spokoju brak związku tego wszystkiego z dziewczyną w Stambule.

- Wspólnym ogniwem jest Karakoz - stwierdził Lorenzo Panetta.

- Poza Karakozem i hrabią d'Amisem istnieje jeszcze inne wspólne ogniwo, które musimy odnaleźć - dodał ojciec Aguirre. - Rodzi się pytanie, czy operacje, o których wspominał hrabia w rozmowie z Salimem al-Bashirem, mają jakiś związek z Ileną Milojević, czy to zupełnie inna sprawa. Modłę się, byśmy zdążyli zapobiec tragedii. Rozmawiałem z samego rana z biskupem Pelizzolim, prosząc, by spróbowano wpłynąć na pana Weina. Rozumiem, że boi się on oskarżeń o uprzedzenia, ale mimo wszystko powinien nakazać śledzenie Salima al-Bashira.- Trudno będzie przekonać Hansa Weina, że ten człowiek jest członkiem Stowarzyszenia - stwierdził Matthew Lucas.

- Być może się mylę, ale... nie, jestem pewien, że al-Bashir należy do Stowarzyszenia. Myślę również, że Raymond de la Pallisiere zmówił się z tą organizacją, by dokonać wymarzonej zemsty na Kościele. Panowie twierdzą co prawda, że Stowarzyszenie może się doskonale obejść bez hrabiego, ale nie ulega wątpliwości, że jeśli hrabia pokryje koszty zamachów, islamscy fundamentaliści nie pogardzą jego pieniędzmi. Przecież sami panowie mówili, że komórki terrorystyczne działają niezależnie i że wiele z nich utrzymuje się z własnych źródeł. Moim zdaniem jedna lub kilka komórek Stowarzyszenia dokonają zamachu przeciwko Kościołowi, a koszty całej operacji pokryje z pewnością hrabia d'Amis.

- Zastanawiam się tylko, jakim cudem hrabia do nich dotarł - mruknął Lorenzo Panetta.

- To jeszcze jeden słaby punkt ojca teorii - wytknął Matthew Lucas duchownemu, podchwyciwszy uwagę Panetty.

- Czuję ulgę na myśl, że władze tureckie zostaną o wszystkim powiadomione, bo ponad wszelką wątpliwość planowany jest zamach w Stambule i ma on mieć miejsce w Wielki Piątek. Pewne jest również, że drugi zamach przygotowywany jest w Rzymie i że nie unikniemy go, jeśli moi przełożeni w Watykanie nie przekonają pana Weina, by śledził profesora al-Bashira. A jeśli chodzi o inne operacje... Błagam Boga, by nas oświecił!

- Nie wiem, czy Bóg nas oświeci, ale mam nadzieję, że nasz informator w zamku d'Amis zdoła rzucić trochę światła na całą sprawę - powiedział Panetta.

- Jeśli hrabia odkryje, że ktoś z jego otoczenia go szpieguje... Aż boję się pomyśleć, co się stanie.

- Wiele trudu kosztowało nas pozyskanie tego źródła informacji, choć przyznaję, że do tej pory nie usłyszeliśmy od naszego człowieka na zamku niczego, czego nie wiedzielibyśmy już dzięki podsłuchowi telefonicznemu.

- A jednak wasz człowiek bardzo się naraża - powtórzył duchowny.

- Zgodził się podjąć to ryzyko i zostanie za to wynagrodzony - zapewnił Matthew Lucas.

- No, Matthew, niech pan nie będzie taki bezwzględny! Dobrze pan wie, że nasz informator znalazł się w paszczy lwa i ryzykuje życie. A jeśli chodzi o nagrodę... Najważniejsze, żebyśmy nadal utrzymywali w tajemnicy jego tożsamość i to, że istnieje. Chodzi o jego bezpieczeństwo - stwierdził Lorenzo Panetta.

Stambul

Zatrzymali się w hotelu Etap Istambul Oteli na ulicy Mesturiyet Caddesi Tepebasi. Kuzyn Ileny zarezerwował tam dwa pokoje, w jednym zamieszkał on z jej bratem, drugi zajęła Ilena z kuzynką. Cała czwórka nie mogła się już doczekać piątku, była zdenerwowana i pewna, że nikt i nic nie przeszkodzi im w dokonaniu zemsty. Nie zauważyli, że są śledzeni przez dwóch typów, za którymi z kolei podążali kobieta i mężczyzna. Hans Wein rozmówił się z szefem tureckiego wywiadu, informując go o pobycie w Stambule podejrzanego grupy powiązanej z Karakozem. Nieświadomi tego zamachowcy naradzali się w pokoju hotelowym.

- Pójdziemy do pałacu Topkapi, żebyś dobrze poznała to miejsce - powiedział kuzyn Ileny.

- Nie wiem, czy powinniśmy aż tak ryzykować. Lepiej chodźmy tam w piątek, jak było ustalone. Nie martw się, nauczyłam się wszystkiego na pamięć. Dwa dni spędzone tu wystarczą, by wiedzieć, jak wykonać zadanie.

- Ilena ma rację - stwierdziła jej kuzynka. - Zbyt dużo ryzykujemy, idąc do pałacu z wózkiem, a jeśli zjawimy się tam bez wózka i jakiś strażnik zwróci uwagę na Ilenę, trudno będzie wyjaśnić mu w piątek, że przez dwa dni straciła władzę w nogach.

- Ileno, jesteś pewna, że chcesz to zrobić? - W głosie jej brata pobrzmiwał smutek.

- Oczywiście, że jestem pewna! Śmierć nic dla mnie nie znaczy, bo wiem, że zadamy im potworny cios, zniszczymy ich najświętsze relikwie. Tak, warto oddać za to życie.

- Czasami boję się, że to jakaś pułapka... Nie rozumiem, jaki interes ma w zamachu facet, z którym spotkałaś się w Paryżu. My mamy swoje powody, by zrobić to, co chcemy zrobić, ale on?

- On również ma pewnie swoje powody, choć nie obchodzi mnie jakie. Powiedziano, że nam pomoże, i to była prawda. Od lat marzymy, by odplacić tym bydlakom za zło, jakie nam wyrządzili.

I nareszcie mamy okazję to zrobić. Ten człowiek dał nam pieniądze, załatwił broń i całe potrzebne wyposażenie. Nie obchodzi mnie, dlaczego chce, byśmy zniszczyli relikwie Mahometa, obchodzi mnie tylko, dlaczego my chcemy je zniszczyć.

Pułkownik Halman, szef tureckiego kontrwywiadu, poczuł, że drżą mu nogi. A więc ci młodzi ludzie zamierzają zniszczyć relikwie Proroka przechowywane w sułtańskim pałacu Topkapi.

Rozkazał założyć podsłuch w obu pokojach zajmowanych przez podejrzanych. Unijne Centrum do Walki z Terroryzmem doniosło mu o obecności w Stambule ludzi, którzy prawdopodobnie zamierzają dokonać zamachu terrorystycznego i informacja okazała się prawdziwa i dokładna. Najpierw powiadomiono o przybyciu jednego z młodych ludzi, potem zjawiły się w Stambule dwie kobiety i jeszcze jeden chłopak.

Zainstalował się wraz z liczną grupką podkomendnych w pokojach hotelowych sąsiadujących bezpośrednio z pokojami podejrzanych.

- Idę do biura - rzucił do jednego ze swoich ludzi. - Szef powinien wiedzieć, co knują ci szaleńcy. Będziemy musieli porozmawiać z Brukselą.

- Powinniśmy ich aresztować - powiedział jeden z funkcjonariuszy.

- Nie, polecono nam nic nie robić, mamy czekać i sprawdzić, czy skontaktują się z pozostałymi terrorystami.

Gdy godzinę później Hans Wein przeczytał świeżo nadesłany zapis rozmowy przeprowadzonej przez Ilenę Milojević, jej brata, kuzyna i kuzynkę, wzdrygnął się i natychmiast zadzwonił do Lorenza Panetty.

- Wysyłam ci przez dział bezpieczeństwa zapis pogawędki tej Ileny i jej ludzi. Chyba powinieneś jechać do Stambułu. Nie uwierzysz, ale oni zamierzają wysadzić w powietrze relikwie Mahometa.

- Jak to? - Panetta nie krył zdumienia.

- Podobno w jednej z sal dawnego pałacu sułtanów w Stambule przechowywane są relikwie Mahometa. Trzymają tam włosy z jego brody, miecze, list pisany na pergaminie i, co chyba najważniejsze, jego płaszcz. Dziewczyna chce to wszystko zniszczyć, choćby za cenę własnego życia.

- Wielki Boże! To rozwścieczyłoby islamskich fundamentalistów. Wolę nie myśleć, co mogliby zrobić w odwecie za taki zamach!

- Nietrudno sobie to wyobrazić. Ale mieliśmy szczęście... tak, przyznaję, że wszystko dzięki tobie i uporowi, z jakim domagałeś się śledzenia tego starego hrabiego. Teraz już wiemy, w co zamieszany jest Karakoz.

- Nie, nie wiemy, odkryliśmy tylko część planu zamachowców, nie mamy natomiast pojęcia, co chcą zrobić w Rzymie. Przypominam ci, że hrabia w rozmowie z Salimem al-Bashirem wspomniał o trzech operacjach... Błagam, Hans, porozmawiaj z Brytyjczykami, by pozwolili Włochom śledzić al-Bashira!

Hans Wein milczał przez kilka sekund, które Lorenzowi Panetcie wydały się wiecznością.

- Dobrze, porozmawiam, ale decyzja będzie należała do nich. Nie mogę ryzykować, nakazując śledzenie poważanego profesora, doradcę brytyjskiego rządu.

- Więc dzwoń do Londynu, nie trać więcej czasu! Jestem pewien, że ten al-Bashir nie jest tym, za kogo się podaje!

- Tak twierdzi ojciec Aguirre, ale nie sugeruj się jego zdaniem, postaraj się chłodno myśleć, choć przypuszczam, że ten jezuita jest tam z tobą. Watykan nie przestaje na mnie naciskać, bym informował ich co godzinę o postępach w śledztwie. Ten jezuita przekonał ich, że dojdzie do wielkiego zamachu na Kościół, a tu proszę, okazuje się, że będzie zamach, ale na islam.

- Wiesz, Hans, ojciec Aguirre wcale się nie pomylił. Powiedział, że Ilena jedzie do Stambułu dokonać zamachu, i taka jest prawda. Moim zdaniem nie powinieneś siedzieć z założonymi rękami, bo jeśli Salim al-Bashir zmałstruje coś w Rzymie... cała wina spadnie na ciebie. Cóż, ty decydujesz...

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie podoba ci się mój sposób prowadzenia śledztwa?

- Chcę przez to powiedzieć, że choć raz mógłbyś nie zachowywać się jak polityk, który boi się popełnić błąd i pogrzebać swoją karierę.

- Porozmawiam z Brytyjczykami, a ty skontaktuj się z tureckim pułkownikiem odpowiedzialnym za śledztwo w Stambule, niejakim Halmanem - odparł Hans Wein wyraźnie urażony.

Lorenzo Panetta odwiesił słuchawkę i zapalił papierosa. Następnie zaczął przekazywać Matthew Lucasowi i ojcu Aguirre doniesienia Hansa Weina:- Miał ojciec rację, dziewczyna pojechała do Stambułu dokonać zamachu; podobno chce zniszczyć relikwie Mahometa przechowywane w jednym z tamtejszych pałaców.

- W pałacu Topkapi - stwierdził z posępną miną jezuita. - Jeśli ta dziewczyna zrealizuje swój plan... świat stanie na głowie. Islamiści w odwecie przypuszczą atak na

kościół, poleje się krew niewinnych ludzi. Mój Boże, ktoś, kto to wszystko zaplanował, chce doprowadzić do konfliktu między chrześcijanami i muzułmanami!

- Może wybuchnąć wojna - przyznał Matthew Lucas. - Jeśli zapalka zostanie zapalona, pożaru nie da się ugasić.

- A to sobie hrabia wykombinował! - mruknął Panetta z gniewną miną.

- Oto jego zemsta na Kościele: doprowadzić do wojny na tle religijnym - szepnął ojciec Aguirre.

- Hans wysłał mnie do Stambułu, ale chyba lepiej zrobię, zostając tutaj...

- Moi przełożeni nie muszą słuchać Hansa Weina. Zdzwońię do Waszyngtonu i poradzę, by nasi ludzie w Rzymie zaczęli śledzić Salima al-Bashira.

- Matthew, nie możecie tego zrobić bez naszego udziału. To chyba nie najlepszy moment, by wywoływać wojnę między agencjami wywiadowczymi. Przypominam panu, że to śledztwo unijnego Centrum do Walki z Terroryzmem i że idziemy wam na rękę, informując pańskich przełożonych o postępach w dochodzeniu. Jestem wdzięczny za pana osobiste zaangażowanie, ale gorąco proszę, by nie podejmował pan żadnej decyzji bez Hansa Weina.

- Przecież pan to robi - zbuntował się Matthew Lucas.

- Tak, to prawda, ale narażam własną karierę, nic więcej. Natomiast jeśli pańscy przełożeni zaczną się wtrącać do prowadzonego przez nas śledztwa, wywołają konflikt między wywiadem europejskim i amerykańskim, a tego rodzaju konflikty są trudne do załagodzenia.

- A jednak Matthew ma trochę racji - wtrącił się do rozmowy ojciec Aguirre. - Pański szef, pan Wein, jest uparty i nie słucha żadnych argumentów.

- Hans Wein jest zawodowcem, który nie chce popełnić błędu ani złamać regulaminu, więc postępuje jak należy - stanął w obronie szefa Lorenzo Panetta.

Minutę później Panetta telefonował do pułkownika Halmana z tureckiego kontrwywiadu.

Halman zapewnił go, że namierzył już zamachowców i w każdej chwili może ich aresztować. Panetta poprosił, by wstrzymał się z tym do ostatniej chwili, do dnia zamachu.

- Aresztując ich już teraz, zaalarmuje pan tych, którzy za nimi stoją, a wszystko wskazuje na to, że przygotowywane są jeszcze inne zamachy. Dlatego na razie proszę zostawić podejrzanych w spokoju, w naszym interesie jest, by czuli się pewnie. Co może pan powiedzieć o ludziach Karakoza?

Turek poinformował, że zatrzymali się w tym samym hotelu i wydają się bawić w aniołów stróżów zamachowców. Na razie nie zorientowali się chyba, że są obserwowani.

- Proszę uważać, to zawodowcy, mogą zauważyć, że ich śledzicie.

Ale pułkownik Halman zapewnił Panette, że jego podkomendni znają się na swojej robocie, i zapytał, czy ma również aresztować ludzi Karakoza.

- Tak, proszę ich aresztować, ale niech pan zaczeka, aż dam panu znać.

38

Raymond de la Pallisiere z przyjemnością patrzył na turystów, którzy z racji zbliżających się świąt wielkanocnych przybyli tym razem liczniej niż zwykle.

Od lat raz w tygodniu udostępniał zamek zwiedzającym. Szkoły, koła emerytów i zwykli turyści objeżdżający okolicę przybywali tu zwiedzać jeden z najstarszych i najlepiej zachowanych zamków w Oksytanii. Pozwalało to zresztą hrabiemu płacić mniejsze podatki, bo zamek został wciągnięty na listę francuskich zabytków.

Towarzysząca hrabiemu Catherine zauważyła satysfakcję, z jaką ojciec obserwuje zauroczonych turystów.

- Jesteś bardzo dumny z zamku, prawda?

- Jestem bardzo dumny z tego, że jestem przedstawicielem jednego z najznamienitszych rodów we Francji. Tak, jestem dumny z naszej przeszłości, i mam nadzieję, że będę również mógł być dumny z tego, co zrobimy w przyszłości. Catherine, odziedziczysz to wszystko i liczę, że z czasem pokochasz nasz zamek i tę ziemię równie mocno jak ja.

Dziewczyna ścisnęła go czule za ramię najwyraźniej wzruszona pasją, z jaką wymówił te słowa, on jednak nie zwrócił uwagi na jej gest, bo Catherine poczuła nagle, jak zastyga. Podążyła za jego spojrzeniem, lecz nie zauważyła niczego szczególnego w grupce turystów. Jednak hrabia wyglądał, jakby zobaczył ducha.

- Co się stało? - zapytała zaintrygowana.

Zanim hrabia zdążył odpowiedzieć, podszedł do nich mężczyzna w średnim wieku z ironicznym uśmiechem na ustach.

- Hrabia d'Amis? - zapytał.

- Tak... - odparł niepewnie Raymond de la Pallisiere.

- Miło mi pana poznać, choć w gruncie rzeczy już się znamy. Przedstawiono sobie nas kilka miesięcy temu na odczycie poświęconym wyprawom krzyżowym. Przypomina pan sobie? Jestem znajomym profesora Beauvoira...

Catherine wyczytała z twarzy ojca, że nie ma pojęcia, o jakim profesorze mówi gość.

- Ach, tak, oczywiście! Bardzo mi miło. Gdy tylko pana zobaczyłem... tak... pomyślałem, że skądś pana znam... Podoba się panu zamek?

- Jest oszałamiający.

- Mógłbym pana zaprosić na herbatę? Chciałbym usłyszeć, jak się miewa profesor Beauvoir.

- Dziękuję, z przyjemnością napiję się z panem herbaty.

- Proszę za mną - rzucił hrabia, kierując się w stronę biblioteki.

Catherine miała wrażenie, że została potraktowana jak powietrze. Wydawało się, że hrabia zapomniał nagle o jej istnieniu. Wizyta nieznanego wyraźnie go poruszyła, choć starał się nie dać tego po sobie poznać.

- Powiem Edwardowi, by przyniósł nam herbatę - powiedziała.

Hrabia zatrzymał się w pół kroku, a nieznanomy zaczął jej się przyglądać z zaciekawieniem.

- Nie trzeba... sam mu powiem... Przedstawiam panu moją córkę Catherine. Przyjechała mnie odwiedzić.

Zdziwiło ją, że tłumaczy się przed nieznanym, który tymczasem mierzył ją spojrzeniem od stóp do głów.

- To pańska córka? Bardzo mi miło, droga pani.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie...

- Brown.

- Cieszę się, że podoba się panu zamek, panie Brown.

- Catherine... jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym pogawędzić chwilę z panem Brownem o... o naszym wspólnym znajomym, profesorze Beauvoirze. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Zobaczymy się na obiedzie.

Catherine przytaknęła i wmieszała się w grupę turystów, którzy słuchali wyjaśnień przewodnika na temat siedemnastowiecznego arrasu przedstawiającego scenę z polowania.

Raymond i pan Brown szli właśnie do biblioteki, gdy majordomus Edward, obdarzony wyjątkowym instynktem pozwalającym mu wyczuć, kiedy hrabia go potrzebuje, wyrósł przed nimi jak spod ziemi.

- Ach, Edwardzie, dobrze, że cię widzę! Przenieś nam, proszę, herbatę do biblioteki. A może woli pan kawę, panie Brown?

- Poproszę o kawę, amerykańską, jeśli można, bo tutejsza kawa jest bardzo mocna.

- Oczywiście, proszę pana - oznajmił Edward i znikł równie szybko, jak się pojawił.

Znalazłszy się w bibliotece, za zamkniętymi drzwiami, mężczyźni przeszli się wzrokiem. W oczach Raymonda malował się lęk, spojrzenie Browna było ironiczne.

- Widzę, że nieźle pana wystraszyłem. Przepraszam, ale chciałem z panem porozmawiać, a coś mi się wydaje, że ostatnimi czasy nie można ufać telefonom.

- Dzwoniłem do pana, Łączniku.

- Wiem, wiem, ale coś panu powiem... Ludzie, których reprezentuję, robią interesy na całym świecie, co zmusza mnie do jeżdżenia z miejsca na miejsce. A tak w ogóle, ma pan ładniutką córkę, nie wiedziałem, że jest tu z panem, myślałem, że mieszka z Stanach.

- Mieszka w Stanach, ale jej matka umarła i Catherine przyjechała zwiedzić Francję.

- Z moich raportów na pana temat wynikało, że nie utrzymuje pan stosunków z żoną ani córką...

- Bo tak rzeczywiście było, ale jak już panu mówiłem, moja żona umarła i Catherine przyjechała do Francji poznać miejsca związane z młodością matki. Nie powiem, by dawne niesnaski między nami poszły w niepamięć, ale przynajmniej odzywamy się do siebie.

- Wzruszające...

- Co się dzieje, Łączniku?

- Proszę mnie nie nazywać Łącznikiem, tutaj jestem dla pana panem Brownem.

- Choć to nie jest pana prawdziwe nazwisko.

- Ach nie? Grunt, że mnie się podoba. No dobrze, ale do rzeczy. Za dwa dni mamy Wielki Piątek, czy wszystko gotowe do godziny zero?

- Tak. Zamachowcy przystąpili do akcji. A jeśli chodzi o Stambuł, dziewczyna jest już na miejscu. Ludzie Jugola pilnują jej w dzień i w nocy. Nie mam wątpliwości, że wysadzi się w powietrze razem z tymi wszystkimi relikwiami.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i obaj mężczyźni natychmiast zamilkli. Weszła służąca z tacą, którą położyła na niskim stoliku, po czym, upewniwszy się, że hrabia nie ma dla niej więcej poleceń, wyszła.

Raymond nic nie powiedział, choć zdziwił się, bo oczekiwał Edwarda, nie służącej. Gdzie podział się majordomus?

- W unijnym Centrum do Walki z Terroryzmem praca wrze - powiedział mężczyzna, który przedstawił się jako pan Brown. - Ale z tego, co mi wiadomo, tamtejszy dyrektor, Hans

Wein, uznał śledztwo w sprawie frankfurckiego zamachu za ściśle tajne i nawet jego najbliżsi współpracownicy nie wiedzą nic o ostatnich postępach. To mnie niepokoi.

- Dlaczego? Przecież i tak nie zdołają powiązać nas z wydarzeniami we Frankfurcie.

- Tak, to mało prawdopodobne, choć błędem jest niedocenywanie inteligencji przeciwnika. W ten sposób możemy się potknąć...

- Nie ma mowy o żadnych potknięciach. Chyba nie zacznie pan panikować akurat teraz.

- Ja nie panikuję, to raczej pan powinien poczuć panikę na myśl, że coś mogłoby pójść nie tak.

- Wszystko pójdzie po naszej myśli. Z kawałków krzyża przechowywanych w Santo Toribio nie zostanie nawet drzazga, o zamach w Grobie Pańskim jestem również zupełnie spokojny. Korzyść z islamskich fundamentalistów jest taka, że są gotowi zginąć w akcji, co jest najlepszą gwarancją sukcesu.

- A Rzym?

- Bazylika Świętego Krzyża Jerozolimskiego również wyleci w powietrze. Chrześcijanie nie będą mogli przeboleć utraty swych relikwii, resztek tego ich przeklętego krzyża... - prychnął hrabia. - Zresztą stracą nie tylko kilka kawałków drewna: w rzymskiej bazylice przechowywane są również dwa kolce z korony cierniowej Chrystusa, gwóźdź z krzyża, fragment tabliczki z napisem INRI, palec świętego Tomasza, którym niewierny apostoł dotknął ran Jezusa... Zabobony, same zabobony, istny ciemnogród...

- Wszystkie zamachy planowane są na tę samą godzinę?

- Nie, każda komórka wybierze najwłaściwszy moment. Najważniejsze jest powodzenie operacji. Zresztą wrażenie będzie większe, jeśli najpierw wyleci w powietrze Santo Toribio lub Grób Pański, a dopiero potem bazylika w Rzymie. Tegoroczny WielkiPiątek będzie bardziej niż kiedykolwiek dniem żałoby dla świata chrześcijańskiego.

- I dla islamskiego.

- Tak, dla islamskiego świata również. Dopnie pan swego: chrześcijanie i muzułmanie rzucą się na siebie jak wściekłe psy, podczas gdy ja będę się napawał zemstą, patrząc, jak przepadają bezpowrotnie tak drogie Watykanowi fragmenty krzyża, który tyle zła wyrządził w przeszłości. Ileż zbrodni popełniono w imię krzyża!

- Dobrze, mam nadzieję, że będzie tak, jak pan mówi. Ludzie, których reprezentuję, nie uznają błędów.

- Powtarzam panu, że nie ma mowy o żadnych błędach. Zadzwoń do pana w piątek.

- Nie, hrabio, proszę tego nie robić. To nasze ostatnie spotkanie i ostatnia rozmowa. Nasze wspólne interesy dobiegły końca, sprawa jest prawie zamknięta. Za dwa dni dopnie pan swego osobistego celu - zemści się pan za coś, co wydarzyło się przed ośmioma wiekami.

- A pan osiągnie własny cel: rozpęta pan wojnę między dwoma religiami.

- Do diabła z religiami! Ani mnie, ani moich zleceniodawców nie obchodzi religie, nam chodzi o interesy, tylko i wyłącznie o interesy. Jeśli ludzie są tak głupi, by wyrzynać się w imię Allacha lub Boga, pal ich lichy, dla nas to doskonały pretekst, by skłonić rządy do tańczenia, jak im zagramy. O to nam właśnie chodzi, tylko o to.

- A więc widzimy się po raz ostatni?

- Tak. Wpadłem, by się upewnić, że wszystko przebiega zgodnie z planem i że obejdzie się bez niespodzianek w ostatniej chwili.

- Obejdzie się bez niespodzianek. Może pan być spokojny.

- Dobrze, w takim razie spadam.

- Nie zostanie pan na obiedzie?

- To byłoby nierozsądne z mojej strony, pańska córeczka mogłaby nabrać podejrzeń.

- Podejrzeń? Co niby mogłaby podejrzewać Catherine?

- Obawiam się, że jest bystrzejsza, niż pan przypuszcza.

- Ach tak? Skąd pan to niby może wiedzieć?

- Z błysku jej oczu.

Raymond de la Pallisiere nie odpowiedział. Wstając, by pożegnać gościa, myślał z ulgą, że nie będzie już więcej miał z nim do czynienia. Było w tym człowieku coś wulgarnego, coś, co budziło w hrabim obrzydzenie.

Opuścili bibliotekę i skierowali się na zamkowy dziedziniec. Zaalarmowało ich głośne trzaśnięcie. Drzwi biblioteki zamknęły się nagle, jakby ktoś dopiero co się stamtąd wymknął. Łącznik przeszył wzrokiem hrabiego, który wytrzymał jego spojrzenie.

- Pewnie przeciąg.

- Przeciąg? Z tego, co zauważyłem, okna w bibliotece były zamknięte.

- Niech pan nie wpada w popłoch, w bibliotece oprócz nas nie było żywego ducha, tam prowadzą tylko jedne drzwi.

- Cóż, pan wie lepiej, w końcu to pański zamek. Mam nadzieję... mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze, w przeciwnym razie nie będzie pan miał do czynienia ze mną. Mogę pana zapewnić, że moi zleceniodawcy mają kontakty z typami, których pan wolałby nie znać.

- Proszę mi nie grozić! Jak pan śmie? W moim własnym domu...

- To nie groźba, hrabio, to ostrzeżenie.

W czasie obiadu Raymond był roztargniony, zresztą i Catherine nie miała chyba specjalnej ochoty na rozmowę. Dopiero pod koniec posiłku oznajmiła, że wyjeżdża.

- Kiedy o tym zdecydowałaś? - chciał wiedzieć hrabia.

- Przecież ci mówiłam, że nie zostanę tu długo.

- Dokąd się teraz wybierasz?

- Hmm, chciałabym zobaczyć Lazurowe Wybrzeże, później może pojedę do Włoch.

- Proszę, nie wyjeżdżaj, zostań jeszcze trochę - prosił hrabia. Catherine była najwyraźniej wzruszona rozpaczą, jaką okazał ojciec na wieść o jej wyjeździe.

- Przecież wiesz, że nigdy nie zamierzałam tu zostać. Całe moje życie jest w Nowym Jorku, nie mogę zostawić galerii, mama bardzo się napracowała, by wyrobić jej renomę.

- Mogę ci towarzyszyć?

- Towarzyszyć? Do Nowego Jorku?

- Dokądkolwiek. Jestem już stary, mam tylko ciebie, a za kilka dni... no, powiedzmy, że za kilka dni przestanie istnieć to, co nadawało sens mojemu dotychczasowemu życiu.- A co nadawało sens twojemu dotychczasowemu życiu?

- Zemsta, pomszczenie krwi niewinnych.

Catherine zadrżała, bo pamiętała te słowa z *Kroniki brata Juliana*. Spojrzała ze współczuciem na człowieka, którego wychowano w katarskim obłądnie na strażnika tych słów i któremu wpojono nakaz zemsty. Ona jednak nie uważała, że brat Julian nawoływał do zemsty, raczej obawiał się, że ktoś zechce pomścić katarów, przelewając jeszcze więcej niewinnej krwi.

- Oszalałeś.

- Nie, bynajmniej, przecież dobrze wiesz, że nie jestem szaleńcem.

- Nie mogę tu zostać.

- Zostań przynajmniej jeszcze kilka dni, dwa, trzy... do Wielkanocy.

- Dlaczego?

- O nic więcej nie proszę.

- Niech będzie - zgodziła się, nie mogąc opanować niepokoju.

Edward nadzorował służbę podającą do stołu i przysłuchiwał się rozmowie ojca z córką. Majordomus wydawał się strapiiony nie mniej od swego pana. Gdy jego wzrok napotkał spojrzenie dziewczyny, w oczach obydwójga pojawiły się harde błyski.

Twarz Panetty zdradzała ogromne napięcie, zresztą podobnie jak twarz ojca Aguirre i komisarza Morettiego. Przed dwoma dniami, w środę wieczorem, informator Panetty na zamku d'Amis zadzwonił do niego z wiadomością, że w Wielki Piątek mają zostać dokonane trzy zamachy: jeden na północy Hiszpanii, w Kantabrii, a konkretnie w klasztorze Santo Toribio, drugi w bazylice Grobu Pańskiego w Jerozolimie, a trzeci w Rzymie. Informator przyznał, że nie udało mu się dowiedzieć, gdzie dokładnie zamierzano przeprowadzić zamach w stolicy Włoch. Naraził się na wielkie niebezpieczeństwo, podsłuchując rozmowę hrabiego z tajemniczym gościem, który wydawał się mieć na niego wielki wpływ. Z akcentu wyglądał na Anglika, przedstawił się jako pan Brown i mówił o swoich „zleceniodawcach”, czyli osobach, które miały wiele zyskać na konfrontacji między radykalnymi islamistami a Zachodem.

Panetta zaklinał rozmówcę, by pod pierwszym lepszym pozorem opuścił zamek, jednak informator odpowiedział, że nie może tego zrobić, bo jego nagły wyjazd wzbudziłby podejrzenia hrabiego. Zaraz potem wyłączył się nagle, bez słowa pożegnania, co przestraszyło Panettę tak bardzo, że od tej pory o niczym innym nie mógł myśleć.

Wieczorem Hans Wein postawił w stan pogotowia wszystkie podlegające mu jednostki, aby wraz z policją hiszpańską, włoską i izraelską wytropić zamachowców ze Stowarzyszenia. Zostały zaledwie dwa dni, by ich powstrzymać.

Tegoż wieczoru Panetta postanowił udać się do Rzymu, miejsca najbardziej narażonego na atak terrorystów, nie wiedziano bowiem, gdzie dokładnie mają uderzyć. Towarzyszyć miał mu ojciec Aguirre.

Przed wyjazdem na lotnisko Panetta porozmawiał osobiście z Arturem Garcia, przedstawicielem unijnego Centrum do Walki z Terroryzmem w Madrycie, Hiszpanem, który zdobywał doświadczenie, ścigając terrorystów z ETA. Gdy Panetta wspomniał mu o Salimie al-Bashirze, Garcia obiecał, że poszuka śladów podejrzanego profesora na gruncie hiszpańskim. Oddzwonił do Włocha, jeszcze zanim ten zdążył udać się na lotnisko.

- Pański profesorek gościł niedawno w Hiszpanii, konkretnie w Granadzie, i wygłosił cykl odczytów na temat sojuszu cywilizacji. Wszystko wskazuje na to, że został zaproszony przez granadyjskiego biznesmena pochodzącego z Maroka, niejakiego Omara, właściciela kilku biur podróży i floty autokarów. Jest uważany za umiarkowanego islamistę i cieszy się szacunkiem hiszpańskich władz.

- Ten człowiek należy do Stowarzyszenia! Jestem tego pewien! - wykrzyknął Panetta.

- Może tak, może nie. Dla pewności wystąpiliśmy o oficjalne zezwolenie na śledzenie go i podsłuchiwanie jego rozmów telefonicznych. Nie mamy dużo czasu, ale liczę, że te kroki przyniosą jakiś rezultat. Siły bezpieczeństwa zostały postawione w stan najwyższej gotowości, opracowywany jest już plan ochrony Santo Toribio. Tak się składa, że obchodzimy właśnie rok jubileuszowy i do klasztoru dzień w dzień zjeżdżają pielgrzymi ze wszystkich stron Hiszpanii i Europy.

- Wspomniał pan, że ten Omar prowadzi biura podróży?

- Tak i kazałem sprawdzić, czy zorganizował ostatnio jakąś wycieczkę do Santo Toribio. Gdy tylko się czegoś dowiem, natychmiast do pana zadzwonię.

- Wyjeżdżam do Rzymu, złapie mnie pan w tamtejszej siedzibie centrum.

- Leci pan do Rzymu w środku nocy?

- Nasi francuscy koledzy oddali do naszej dyspozycji samolot.

- To się nazywa współpraca. Dobrze, będę pana informował na bieżąco.

Hans Wein miał przeprowadzić rozmowę telefoniczną z policją izraelską, natomiast Matthew Lucas udał się prywatnym samolotem do Jerozolimy, by na miejscu omówić szczegóły śledztwa.

W ową niespokojną noc Hans Wein poinformował Panettę, że Brytyjczycy nadal nie chcą się zgodzić na śledzenie Salima al-Bashira, gdziekolwiek on się znajduje.

- Nadal utrzymują, że profesor al-Bashir jest jak święta krowa i gdyby prasa dowiedziała się, że chcemy się do niego dostać, wybuchłby skandal - wyjaśnił Wein.

- Nie rozumiesz, że al-Bashir jest mózgiem całej operacji?! To on zaplanował wszystkie zamachy, hrabia d'Amis wyłożył tylko pieniądze. Salim al-Bashir przebywa właśnie w Rzymie, a przecież wiemy, że Wieczne Miasto jest jednym z celów zamachowców. Na miłość boską, Hans, zrób coś!

Ale Wein był nieugięty i powtórzył, że bez zgody Brytyjczyków nie może nic zrobić.

- Izraelczycy już ruszyli do akcji, ale na razie błądzą po omacku.

- Nie wiemy nic poza tym, co ci mówiłem: zamachowcy chcą uderzyć w Grób Pański.

- Tak im właśnie powiedziałem. Matthew Lucas, gdy tylko dotrze do Jerozolimy, przekaże im wszystkie szczegóły, którymi dysponujemy. Zresztą wysłałem im już raport na ten temat. Nie mogą się nadziwić historii o hrabim i katarach...

- Przynajmniej wiedzą dokładnie, gdzie planowany jest zamach. Mam nadzieję, że zdołają powstrzymać tych zwyrodnialców ze Stowarzyszenia i unikną rzezi.

- Ponoć zamierzają tylko obstawić bazylikę Grobu Pańskiego, nie zamkną jej, bo chcą przyłapać terrorystów na gorącym uczynku. Na temat Stowarzyszenia wiedzą równie niewiele co my. Ci ludzie są jak duchy... no, mam nadzieję, że zdołają zapobiec tragedii. Rozmawiałem również z hiszpańskim ministrem spraw wewnętrznych.

- A ja rozmawiałem właśnie z naszym człowiekiem w Madrycie.

- Minister zdziwił się, że Stowarzyszenie obrało sobie za cel akurat Hiszpanię, twierdzi, że to jakieś nieporozumienie, bo przecież jego rząd jest wielkim orędownikiem sojuszu cywilizacji.

- Mam nadzieję, że z sojuszem czy bez potraktują sprawę poważnie - rzekł Panetta. - Jak ci już wspomniałem, rozmawiałem właśnie z naszym człowiekiem w Madrycie. Potwierdził, że siły bezpieczeństwa zostały postawione w stan najwyższej gotowości i że mają gęsto obstawić zabudowania i okolice klasztoru Santo Toribio. - Z tego, co mi wiadomo, tam właśnie przechowywany jest największy zachowany fragment krzyża Chrystusowego - powiedział Hans Wein.

- Zgadza się, ale to bardzo ustronne miejsce.

- Terroryci uznali pewnie, że to ułatwi im zadanie.

- Problem w tym, że w Wielki Piątek Jerozolima i Santo Toribio będą pełne pielgrzymów... Mam nadzieję, że zdołamy powstrzymać tych szaleńców.

- Wiesz, Lorenzo, nie mogę przestać myśleć, kim może być ów tajemniczy Brown, o którym mówił ci twój informator - powiedział Hans Wein z wyraźnym niepokojem.

- Ja również się nad tym zastanawiam. Kim niby są jego „zleceniodawcy” i dlaczego chcą doprowadzić do bezpośredniego starcia islamu z Zachodem? - podchwycił myśl szefa Panetta.

- Interesy?

- Tak twierdzi ojciec Aguirre. Zwykł mawiać, że na świecie jest więcej rzeczy, niż możemy dostrzec. Sam nie wiem, jestem równie zdezorientowany jak ty.

Na życzenie ojca Aguirre Watykan wystosował do rządu w Londynie oficjalną prośbę o śledzenie Salima al-Bashira, ale usłyszał od Ministerstwa Spraw Zagranicznych tylko i wyłącznie obietnice i miłe słówka: specjaliści od zadań antyterrorystycznych ocenią sytuację i zadziałają, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Również Matthew Lucas przed odlotem do Jerozolimy poprosił swych przełożonych, by przemówili Brytyjczykom do rozsądku, ale Anglicy byli głusi na argumenty Amerykanów.

W rzeczywistości rząd Jej Królewskiej Mości bał się, że opinia publiczna jeszcze ostrzej zaatakuje jego ostatnie decyzje dotyczące muzułmańskich imigrantów. Po zamachach w Londynie siódmego czerwca 2005 roku w brytyjskim społeczeństwie powstał wyłom i z dnia na dzień zwiększała się nieufność do muzułmanów, choć prasa i intelektualiści obarczali rząd winą za ten przejaw ksenofobii. Codziennie rano brytyjskiemu premierowi donoszono o kolejnym artykule czy komentarzu redakcyjnym odsądzającym go od czci i wiary z tego właśnie powodu. Dlatego powołał do życia radę starszych, pomagającą mu podejmować decyzje w sprawach muzułmańskich imigrantów, a prezesem tejże rady był nie kto inny, tylko Salim al-Bashir, który został nawet zaproszony na herbatę do królowej.

Za wypowiedziami Salima al-Bashira uganiały się wszystkie kanały telewizyjne, a jego opinie ukazywały się w dzienniku „Times”. Al-Bashir był poważany nie tylko przez Brytyjczyków, ale również przez intelektualistów i polityków z wielu innych krajów europejskich, dlatego Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie zamierzało narażać swego dobrego imienia tylko dlatego, że Centrum do Walki z Terroryzmem twierdziło, że ich profesor ma kontakty z jakimś francuskim hrabią, przeciwko któremu prowadzone jest dochodzenie.

Zbliżały się wybory i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował brytyjski premier, był skandal i oskarżenia o rasizm. Dlatego Centrum do Walki z Terroryzmem w Brukseli nie mogło pozwolić sobie na pomyłkę w przypadku Salima al-Bashira.

Zresztą brytyjskie służby wywiadowcze podawały w wątpliwość skuteczność centrum, tego wymysłu polityków, działającego dopiero od dwóch lat, który ich zdaniem mógł się pochwalić raczej dobrymi chęciami niż prawdziwymi sukcesami.

40

Rzym, Wielki Piątek o świcie

Lorenzo Panetta przestał już liczyć, ile papierosów wypalił.

- Może uda nam się powstrzymać zamachowców w Jerozolimie i w Santo Toribio, ale nie mamy pojęcia, co obrali sobie za cel w Rzymie, a jedynym tropem jest al-Bashir - mówił sam do siebie.

Ojciec Aguirre wyraźnie się postarzał, jego zmęczone oczy przypominały teraz dwie małe szparki, Panetta zauważył nawet, że dłonie duchownego trzęsły się od czasu do czasu, choć osobie mniej spostrzegawczej trudno byłoby to zauważyć.

Niepokój ojca Aguirre był tylko bladym odzwierciedleniem tego, co działo się na watykańskich wyżynach. Stolica Apostolska nie podawała w wątpliwość teorii jezuitę, że Kościół ma paść ofiarą spisku starca zamierzającego pomścić swych katarskich przodków, oraz islamistów pragnących zasiać popłoch i chaos w sercu chrześcijaństwa.

Zaostrzono środki bezpieczeństwa wokół Watykanu, jednak na próżno namawiano Ojca Świętego, by odwołał swój udział w liturgii Wielkiego Piątku: papież oznajmił, że podzieli niebezpieczeństwo z wiernymi.

Ovidio Sagardia, Domenico Gabrielli i biskup Pelizzoli próbowali zadbać o bezpieczeństwo papieża. Gdyby coś mu się stało... woleli nawet nie myśleć o takiej ewentualności. Ovidio powtarzał w duchu, że nigdy by sobie tego nie wybaczył. Wyrzucał sobie własną ślepotę i błagał Boga, by go oświecił. Gdzie, kiedy, w jakich okolicznościach nastąpi atak Stowarzyszenia? Nawet jego sędziwy nauczyciel, ojciec Aguirre, najwyraźniej nie wiedział, co zrobić, by uniknąć katastrofy.

- Nie zadręczaj się, Ojciec Święty będzie miał doskonałą ochronę - zapewnił Ovidia ojciec Domenico, wrywając jezuitę z zamyślenia.

- Nie rozumiem, jak mogłem być tak ślepy. Ojciec Aguirre miał rację, ale ja nie chciałem uwierzyć, by ktoś chciał zorganizować zamach w imię czegoś, co stało się w trzynastym wieku. Ten hrabina to wcielony diabeł.

- Raczej człowiek nieszczęśliwy, podobnie zresztą jak ci wszyscy zamachowcy, których przywódcy Stowarzyszenia wysyłają na śmierć - odparł Domenico.

- Boże, jakież to wszystko niedorzeczne!

- Chodźmy, Jego Ekscelencja czeka na nas w swoim gabinecie.

Jerozolima, Wielki Piątek, godzina siódma rano

Hakim nie zmrzążył oka przez całą noc. Nie chciał przespać ostatnich godzin swego życia.

Odrzucił wszystkie propozycje Saida, szefa Stowarzyszenia w Izraelu. Nie miał ochoty spędzić ostatniej nocy z prostytutką, która zasiałaby w jego duszy pustkę i obrzydzenie, nie dał się również namówić na wykwinną kolację - pragnął być sam i mimo protestów Saida postawił na swoim.

Przesiedział całą noc przy oknie, podziwiając zmianę barw nieba w miarę upływu godzin: z szarości w czerń, a potem znowu w szarość nakrapianą bielą i w czerwien świtu; na koniec nieboskłon zalał się ponownie błękitem.

Rozmyślał o zmarłej żonie, jedynej kobiecie, którą kochał. Pamiętał dobrze ich pierwsze spotkanie, miał wtedy dwanaście lat, a ona tylko siedem. Ich rodzice uzgodnili jego małżeństwo z tą dziewczynką, która pokazała mu język i powiedziała, że jest szkaradny.

Zobaczyli się ponownie dopiero na zaręczynach, gdy Hakim skończył szesnaście lat. Zaniemówił na jej widok, przysiągłby, że ma przed sobą najpiękniejszą dziewczynę na świecie. Ona najpierw z rezygnacją pogodziła się z losem, ale z czasem pokochała go równia gorąco jak on ją.

Spędzone z nią lata wspominał jako najszcześniejsze chwile w życiu, był dumny z dwójki dzieci, które mu dała. Żałował tylko, że nie mógł się z nimi pożegnać przed śmiercią, ale uznał, że tak będzie lepiej. Po śmierci żony poświęcił się duszą i ciałem Stowarzyszeniu, a malcy zamieszkali z jego rodzicami w Tangerze. Niczego im tam nie brakowało, byli szczęśliwi. Będą z niego dumni, gdy usłyszą, że zginął na chwałę islamu, z imieniem Allacha na ustach.

W nocy myślał również o rajy obiecany męczennikom, którzy ginęli w walce z niewiernymi. Pragnął spotkać tam żonę. Tak, przekonywał sam siebie Hakim, ona będzie tam na niego czekała, razem z nią będzie rozkoszował się rajem, niepotrzebny mu do szczęścia harem hurys.

Gdy tylko dzwony jednego z licznych jerozolimskich kościołów zaczęły wybijać godzinę ósmą, do pokoju wkroczył Said. Niósł tacę z kawą i talerzem ciastek, przez ramię miał przewieszony plecak.

- O, proszę, już jesteś na nogach! O której wstałeś? - zawołał na widok ubranego i ogolonego Hakima.

- Nie spałem, nie chciało mi się.

- Rozumiem.

Szef Stowarzyszenia w Jerozolimie dostrzegł na twarzy Hakima ślady nieprzespanej nocy, choć zdziwił go jego spokój - nic nie wskazywało na to, że tego dnia Hakim wybiera się na spotkanie ze śmiercią.

- Przyniosłeś pas? - spytał Saida.

- Tak, jest w plecaku. Wyjmij go, tylko ostrożnie.

Hakim otworzył plecak i wyciągnął pas z materiałami wybuchowymi. W plecaku znalazł również detonator, który miał przymocować do pasa, aby odpalić ładunek w odpowiednim momencie. Przyjrawszy się pasowi, odłożył go ostrożnie na łóżko.

- Zjedz najpierw śniadanie, trochę cię pokrzepi - doradził mu Said.

- Racja, jestem głodny.

- Nikt nie powinien umierać z pustym żołądkiem - zaśmiał się Said.

- Mnie to w każdym razie nie grozi. O której ruszamy do akcji?

- Przewodnik zarządził zbiórkę twojej grupy na jedenastą, pójdziecie na piechotę do bazyliki Grobu Pańskiego, by wziąć udział w nabożeństwie o dwunastej. Pamiętaj o umowie: masz wmieszać się w tłum pielgrzymów. Na dobrą sprawę przypominasz Hiszpana, przez lata spędzone na Półwyspie Iberyjskim upodobniłeś się do tubylców. Wdaj się w pogawędkę z pielgrzymami, przyłącz się do tych rozgadanych staruszków, o których mi opowiadałeś, dotrzyj im towarzystwa. I... sam najlepiej wybierzesz odpowiedni moment na naciśnięcie detonatora... Jednak jeśli znajdziesz się w opałach, nie wahaj się, odpal ładunek gdziekolwiek, choćby z dala od relikwii.

- Ale przecież naszym celem jest... - Hakim nie dokończył, bo Said wszedł mu w słowo:

- Pal licha cel. Wstrząśniemy światem bez względu na to, czy wysadzimy w powietrze bazylikę Grobu Pańskiego, czy dokonamy zamachu w jakimkolwiek innym miejscu w sercu Jerozolimy. W tym mieście każdy kamień jest święty, wszystko jedno, co zniszczymy. Nie narażaj na niepowodzenie całej operacji tylko dlatego, że nie uda ci się dotrzeć do celu. Zrozumiano?

- Nie martw się, niebawem chrześcijanie zaleją się łzami.

- O tak, muszą zapłakać za to, że pomogli żydowskiemu psom zagrabić naszą ziemię. Najwyższy czas odplacić im za wszystkie nasze poniżenia.

- Dziś czeka nas wielki dzień - zapewnił Hakim.

Rzym, Wielki Piątek, godzina ósma rano

W Rzymie dzień wstał pochmurny. Salim al-Bashir był w doskonałym humorze, tak doskonałym, że nawet musnął pieszczotliwie ciało swej kochanki leżącej na brzuchu. Wydawało się, że śpi. Ale nie, nie spała. Przez całą noc nie zmrużyła oka, z lękiem oczekując świtu.

Lecąc do Rzymu, nie wyobrażała sobie, czego zażąda od niej Salim. Wielokrotnie zapewniała go, że życie bez niego nie ma dla niej sensu, że zrobi wszystko, o co tylko poprosi. Zresztą od lat zdradzała dla niego swój kraj, przelożonych, przyjaciół. Jej praca w brukselskim Centrum do Walki z Terroryzmem podporządkowana była tylko jednemu celowi: pomocy Salimowi. Miała wielkie szczęście, że jej nie zdemaskowano. A teraz on prosił ją o dowód męstwa.

- Nic ci nie grozi, obiecuję, po prostu musisz mi wyświadczyć przysługę.

Plan Salima był prosty. Miała podrzucić materiały wybuchowe do bazyliki Świętego Krzyża Jerozolimskiego, gdzie przechowywano sławne relikwie. Przede wszystkim, przekonywał ją kochanek, chodzi o zniszczenie trzech kawałków krzyża Chrystusowego. Na pytanie, dlaczego wziął się akurat na te relikwie, Salim wytłumaczył, że należy pokazać chrześcijanom, iż nie mogą nadal kłaść Ziemi Świętej, oddając ją w ręce Żydów.

- To tylko przedmioty, nic więcej. Naprawdę myślisz, że te dwa ciernie lub kawałek gąbki są autentyczne? Albo że trzymany tam denar jest jednym z tych, które otrzymał Judasz za zdradzenie Jezusa? Nie bądź naiwna! Kościoły europejskie toną w fałszywych relikwiach. Zresztą nawet te trzy sławne kawałki krzyża nie są prawdziwe. Gdyby zebrać do kupy wszystkie relikwie rozsiane po świecie, zbierałoby się kilka krzyży.

Pochodziła z chrześcijańskiego domu i choć od lat nie chodziła do kościoła, uważała się za ateistkę i religia była jej obojętna, teraz poczuła na sobie ciężar wychowania. Poza tym bała się. Salim ją przerażał i zaczęła wątpić w szczerść jego uczuć.

- No, leniuszku, wstawaj, czeka nas wielki dzień. Jest jeszcze wcześnie, dopiero ósma, ale proponuję, byśmy przed wyjściem zjedli porządne śniadanie.

Odwróciła się powoli, przecierając oczy, jakby dopiero się budziła, i spojrzała na niego, siląc się na uśmiech. Objął ją mocno i pocałował, mówiąc, jak bardzo ją kocha, choć w jej uszach słowa te brzmiały pusto. Miała ochotę uwolnić się z uścisku, ale bała się jego reakcji. Leżała bez ruchu, dopóki nie powiedział, by wstała.

- Zamówię śniadanie do pokoju.

Poczuła ulgę, gdy wypuścił ją z objęć. Pod prysznicem zaczęła się zastanawiać, jak wymigać się od spełnienia jego prośby. Jeśli po prostu odmówi, nigdy więcej go nie zobaczy, a tego by nie zniosła, ale jeśli spełni jego żądanie, zdradzi samą siebie, co było jedyną zdradą, jakiej jeszcze nie popełniła.

Salimowi najwyraźniej dopisywał humor. Pieścił ją, całował, ścisnął jej rękę, spoglądając porozumiewawczo - w oczy.

- Poczekaj na mnie, zaraz wrócę. I zrób się na bóstwo, chcę żebyś wyglądała dzisiaj oszałamiająco.

- Dobrze, jak sobie życzysz.

Salim wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Wiedział, że jeden z członków Stowarzyszenia czeka na niego w kawiarni nieopodal hotelu, by przekazać mu torbę, w której znajduje się damska torebka z materiałami wybuchowymi. Postanowił, że sam zdetonuje bombę, nie sądził, by ona zdobyła się na odwagę. Odprowadzi ją do bazyliki,

odejście na bezpieczną odległości i pięć minut później naciśnie guzik, wysadzając w powietrze kochankę razem z relikwiami. Cały świat zamrze ze zdumienia.

Wszedł do kawiarni, dostrzegł siedzącego w głębi przywódcę rzymskiej komórki Stowarzyszenia. Bishara, z pochodzenia Jordańczyk, był uważany za znamienitego biznesmena, ożenił się z neapolitanką.

Mężczyźni uściskali się serdecznie.

- Nie spodziewałem się ciebie - przyznał Salim.

- Przyjacielu, dzisiaj wielki dzień, to, co zamierzasz zrobić, jest zbyt wspaniałe, by powierzyć komukolwiek tę tajemnicę. Zgodziła się umrzeć?

- Nie wie, że zginie, myśli, że ma tylko podzucić torebkę do kaplicy z relikwiami i wyjść. Tak jest lepiej, nie ma chyba dość siły ducha, by poświęcić życie dla sprawy.

- Przecież to niewierna.

- Owszem, ale do tej pory była nam przydatna. Tak czy owak, musi umrzeć, obawiam się, że ludzie z centrum podejrzewają przeciek. Wcześniej czy później ją zdemaskują, to tylko kwestia czasu.

- Będzie to dla ciebie wielka strata?

- Nie, mój przyjacielu, raczej wyzwolenie. Ta kobieta mi się narzuca, nie potrafi mnie zrozumieć. Wszystko, co do tej pory robiła, robiła dla mnie, bynajmniej nie dlatego, że utożsamia się z naszą walką. Może niebawem się ożenię, chyba pojedę do Frankfurtu i poproszę naszego drogiego imama Hasana, by oddał mi za żonę swoją siostrę Fatimę. Byłbym zaszczycony, wchodząc do jego rodziny.

- Myślałem, że Fatima po męczeńskiej śmierci Jusufa wyszła ponownie za mąż.

- Tak, Hasan oddał ją Mohamedowi Amirowi, kuzynowi Jusufa. Ale Mohamed zginie jeszcze dzisiaj.

Bishara zmarszczył brwi, po czym uśmiechnął się od ucha do ucha, ukazując rząd białych zębów, i powiedział:

- A więc Mohamed będzie jednym z naszych męczenników... Salimie, jesteś wspaniały, że chcesz zaopiekować się wdową po nim.

- A teraz, przyjacielu, powiedz, proszę, czy wszystko zostało przygotowane zgodnie z moją prośbą.

- Tak, złożyliśmy mechanizm według twoich wskazówek, nie będzie żadnych problemów. Skąd zamierzasz uruchomić bombę?- Wynająłem samochód...

- Dobry pomysł. Potem wracasz do hotelu?

- Nie, pojedę prosto na lotnisko, wracam do Londynu.

- Racja, tak będzie najlepiej.

Pożegnali się wylewnie przekonani, że za kilka godzin dzienniki telewizyjne rozpoczną się wiadomością o zamachu nie tylko w Rzymie, ale również w Jerozolimie i w Santo Toribio.

Cały świat zadrży przed Stowarzyszeniem, a rządy krajów zachodnich będą musiały ugiąć się przed jego żądaniami. Salim postanowił wrócić do hotelu spacerkiem, chciał przemyśleć w samotności to, co miało się wydarzyć.

41

Granada, Wielki Piątek o świcie

Koszmary wdarły się do snu Laili. Obudziła się nagle zrana zimnym potem. Spojrzała na zegarek, choć nie wzeszło jeszcze słońce, nie mogła ponownie zasnąć. Wstała i sięgnęła do szafy po ubranie. Wskoczy pod prysznic, przygotowuje śniadanie dla całej rodziny, a potem pójdzie trochę pobiegać, by się odprężyć.

Pomyślała o Mohamedzie. Jej brat wyjechał przed dwoma dniami, nie mówiąc nikomu dokąd. Pożegnał się tylko serdecznie z rodzicami, nawet dla niej znalazł kilka miłych słów.

„Uważaj na siebie”, poprosił i uściskał ją, jakby widzieli się po raz ostatni.

Jej szwagierka Fatima zapewniła, że nie wie, dokąd pojechał mąż, zresztą Mohamed nigdy jej nie mówił, co chce zrobić ani dokąd wychodzi. Fatima wyznała Laili, że i ją zaskoczyło jego pożegnanie.

- Nie chcę cię straszyć, ale... cóż, Mohamed zachował się podobnie jak mój pierwszy mąż Jusuf, zanim poszedł... no, wiesz, że należał do komórki...

Laila nie mogła przestać myśleć o słowach Fatimy. Czyżby Mohamed znów dał sobie zamącić w głowie fundamentalistom, którzy namówili go do udziału w jakimś zamachu? Wolała nie mówić matce o swoich obawach, była jednak pewna, że jej bratu grozi niebezpieczeństwo.

Ali przyszedł po Mohameda, który przed wyjściem chciał jeszcze porozmawiać na osobności z Mustafą. Zamknęli się w pokoju Mustafy, a gdy wyszli, twarz kuzyna była czerwona z gniewu, twarz Mohameda - z żalu.

Laila nienawidziła kuzyna Mustafy z całego serca, bo odkąd przyjechał, na każdym kroku okazywał jej pogardę. Zawstydział jej matkę, wytykając jej, że pozwala córce zachowywać się jak najzwyczajniejsza Hiszpanka. Nawet jej ojciec wydawał się czasami

przygnębiony niekończącymi się kazaniami Mustafy na temat tego, jak powinna się zachowywać wzorowa muzułmanka.

Całe szczęście, że już dzisiaj wyjeżdża, cieszyła się Laila, parząc kawę. Mustafa oznajmił im, że wraca do domu, ponieważ nie znalazł pracy odpowiadającej jego ambicjom. Wszyscy odetchnęli z ulgą na wieść o jego wyjeździe, choć starali się tego nie okazywać.

Potes, Kantabńa, godzina siódma rano

Mohamed obudził się zły. Chrapanie Alego nie pozwalało mu spać. Od dwóch nocy nie zmrużył oka i był rozdrażniony z braku snu.

Wstał i wyrzał przez okno: mrok zdawał się rozjaśniać.

- Ali, wstawaj, już szósta. O dziewiątej mamy śniadanie.

Ali przewrócił się na drugi bok, nie zwracając uwagi na przyjaciela. Ale gdy Mohamed cisnął w niego poduszką, otworzył oczy, pomrukując gniewnie:

- Na głowę upadłeś? Po co chcesz wstawać? Za oknem ciemna noc. Przecież wiesz, że mamy być w Santo Toribio dopiero o dwunastej. Daj mi spokój i pozwól się wyspać.

- Nie powinniśmy odłączać się od grupy.

- Przewodnik powiedział, że do Santo Toribio pojedziemy z hotelu, i dał nam czas wolny do wpół do dwunastej. Dokąd niby się wybierasz? Ja nie mam ochoty zwiedzać okolicy.

- Za kilka godzin będziemy martwi - przypomniał Mohamed.

- Wiem, dlatego wolę spać i nie rozmyślać. Wystarczy, że wczoraj rozmawialiśmy do późna. Zobowiązaliśmy się, że wykonamy zadanie, więc nie możemy się wycofać.

- Ale ja nie chcę umierać.

- Ja też nie chcę umierać, ale albo sami wysadzimy się w powietrze, albo zginiemy z rąk naszych braci. Myślisz, że Stowarzyszenie zostawi nas przy życiu, jeśli zdradzimy? Zresztą wśród ludzi Stowarzyszenia nie ma zdrajców ani tchórzy. Zgłosiliśmy się do zamachu na ochotnika.

- Ja się wcale nie zgłaszałem na ochotnika, to ty przedstawiłeś mnie Omarowi.

- Jesteś ocalałym członkiem frankfurckiej komórki! Niezły z ciebie bohater! Przypominam, że przysłano cię z Frankfurtu do Omara, bo już dawno miałeś być martwy.

- Hasan oddał mi za żonę swoją siostrę...

- Bo chciał się jej pozbyć. Teraz Fatima będzie na utrzymaniu twoich bliskich, zresztą niczego jej nie zabraknie, Stowarzyszenie jest hojne dla rodzin męczenników, dobrze o tym wiesz.

- Co mnie obchodzi Fatima?! Ja chcę żyć!

- Zamknij się! Chcesz postawić na nogi cały hotel? Oszalałeś? Mohamed usiadł na brzegu łóżka i zacisnął pięści, próbując nad sobą zapanować.

- Nie szkoda ci umierać?

- Wiem, w imię czego zginę.

- Pytałem, czy ci nie szkoda!

- Nie, nie szkoda. Pójdę do raju, a moja rodzina będzie mnie błogosławić, bo moja ofiara zapewni im dostatnie życie. Moi rodzice klepią biedę, a teraz będą ustawieni na starość. Zawsze przysparzałem im tylko problemów, będą dumni, gdy dowiedzą się, że zostałem męczennikiem. Będą nareszcie kimś, sąsiedzi zaczną ich szanować. Moja śmierć ma same dobre strony, zresztą podobnie jak twoja.

- Moi rodzice nie potrzebują pieniędzy, nie zależy im też na uznaniu sąsiadów. Nie sądzę, bym uszczęśliwił matkę, zostając męczennikiem.

- Twoja matka... bliżej jej do Hiszpanki niż do Marokanki.

- Nie obrażaj mojej matki, bo cię zabiję!

- Nie obrażam twojej matki! Uspokój się, do jasnej cholery, albo nas wydasz!

- Jak możesz być taki spokojny, wiedząc, że za kilka godzin będziesz martwy?

- Dlaczego mam się bać śmierci? Jestem wierzący, staram się żyć zgodnie z nakazami Koranu i wiem, że na tamtym świecie czeka na mnie Allah.

- A nigdy nie przyszło ci do głowy, że może tam nic nie ma?

- O czym ty mówisz?

- Przecież nikt nie wrócił z tamtego świata, by nam powiedzieć, czy istnieje życie po śmierci.

- Milcz, bluźnierco, nie będę tego słuchał! Idź do diabła i daj mi spokój, chcę się wyspać.

Mohamed postanowił wziąć prysznic. Gdy wyszedł z łazienki, wpadł w złość na widok chrapiącego Alego. Włożył dzinsy i wełniany sweter, po czym wyszedł z pokoju. Postanowił przespacerować się po miasteczku.

Otoczone ze wszystkich stron górami Potes oczarowało go. Poprzedniego wieczoru kupił butelkę miejscowej wódki, chcąc wypić ją z Alim w pokoju hotelowym, ale przyjaciel

odmówił wzięcia do ust alkoholu. Stał się radykalnym wyznawcą islamu, nie pozostało w nim nic z dawnego Alego przestępcy.

Ulice były opustoszałe, Mohameda owiał zapach świeżego chleba dolatujący z zamkniętej jeszcze dla klientów piekarni. Pomyślał o Laili. Pewnie ciągle spała. Wiedział, że tego ranka Mustafa ją zamorduje. Kusiło go, by zadzwonić do domu, zdradzić ojcu zamiar kuzyna, a potem uciec, tylko... dokąd? Ali miał rację: ludzie ze Stowarzyszenia go odnajdą i najgorsze jest nie to, że go zabiją, ale to, że będą go torturowali, dopóki nie wyzionie ducha.

Mohamed wiedział, że nie ma odwrotu.

Gdy wszedł ponownie do hotelu, zdziwił się na widok dwóch żandarmów rozmawiających z recepcjonistą. Starając się nie patrzeć w ich stronę, wszedł po schodach na pierwsze piętro, gdzie znajdował się jego pokój.

- Ali, obudź się, na dole są żandarmi.

Jego przyjaciel skoczył na równe nogi zupełnie rozbudzony.

- Pytali cię o coś? Co tam robią?

- Nie wiem, rozmawiają z recepcjonistą.

Ali wyrzwał przez okno, ale nie zobaczył nic podejrzanego.

- Przecież wiesz, że we wszystkich miasteczkach jest posterunek żandarmerii. Wizyta żandarmów w naszym hotelu jeszcze nic nie oznacza. Jednak na wszelki wypadek się ubiorę. Kto jeszcze był w holu?

- Tylko recepcjonista i żandarmi, jest bardzo wcześnie.

- Lepiej zachowajmy spokój. Nikt nie wie, po co tu przyjechaliśmy, zresztą nie mamy przy sobie pasów z materiałami wybuchowymi, są w autokarze, szofer ma ich pilnować, póki się po nie zgłosimy. W Stowarzyszeniu nie ma zdrajców, więc nikt nie mógł nas wydać. Wszystko jest w najlepszym porządku, uspokójmy się.

- Skoro tak mówisz...

- Owszem, tak właśnie mówię. Poczekajmy.

Granada

- Lailo, możesz mi pomóc?

Laila drgnęła wystraszona. Nie słyszała, jak Mustafa wszedł do kuchni. Kuzyn posłał jej przymilny uśmiech zalatujący fałszem.

- Czego chcesz?

- Pomożesz mi poskładać koszule?

- Mamusia nie nauczyła cię, jak to się robi? A powinna. Uśmiech zamarł Mustafie na wargach, zacisnął pięści, ale nie ruszył się z miejsca. Zauważyła, że stara się uniknąć kłótni, i to ją zdziwiło.

- Proszę cię tylko o pomoc, chyba cię tym nie uraziłem - powiedział.

Postanowiła mu pomóc. Im wcześniej Mustafa spakuje manatki, tym szybciej się wyniesie i przestanie zatruwać jej życie.

- Jest jeszcze bardzo wcześnie, o której masz autobus do Algeciras?

- O dziewiątej, ale nie lubię odkładać wszystkiego na ostatnią chwilę.

Wyszli z kuchni i skierowali się do pokoiku zajmowanego przez Mustafę, przylegającego do pokoju, gdzie spała Fatima z dziećmi.

Ubrania Mustafy leżały na łóżku obok otwartej walizki. Laila podeszła do łóżka, sięgnęła pojedną z koszul i zaczęła ją składać. Odwróciła się nagle na odgłos zamykanych drzwi. Miała krzyknąć, ale nie zdążyła. Mustafa zakrył jej usta jedną ręką, a drugą wbił jej w gardło nóż. Poczowała przeszywający ból, ból nie do zniesienia, i zaczęło uchodzić z niej życie. Zaraz potem pochłonęły ją mroki śmierci.

Fatimę zbudził hałas dochodzący z sąsiedniego pokoju. Zamarła, nasłuchując w napięciu, ale usłyszała tylko kroki Mustafy. Co on robi tak wcześnie rano? Zerknęła na dzieci, uspokoił ją widok ich uśpionych buzi. Wstała, zarzuciła podomkę i ostrożnie, nie robiąc hałasu, wyszła na korytarz. Drzwi do pokoju Mustafy były zamknięte, otwarty był natomiast pokój Laili. Fatima z lękiem zajrzała do środka. Pokój był pusty. W kuchni natomiast znalazła świeżo zaparzoną kawę i do połowy opróżnioną filiżankę.

Gdy obchodziła dom w poszukiwaniu Laili, starając się nie hałasować, by nie zbudzić teściów, stanął przed nią Mustafa.

- Co robisz? - zapytał cicho gniewnym głosem.

- Szukam Laili.- Wyszła, chyba poszła biegać.

Fatima uspokoiła się. Laila często wstawiała skoro świt, by biegać, choć tym razem było chyba trochę za wcześnie.

- Aha, to dobrze. Potrzebujesz czegoś? - zapytała Mustafę.

- Nie, niczego nie potrzebuję, głowa mnie trochę boli, wrócę lepiej do łóżka.

- O której masz autobus?

- O dziewiątej, ale chyba pojedę późniejszym. Z Algeciras odpływa do Maroka sporo promów, nie zdążę na jeden, to zabiorę się następnym. A teraz idę spać, kiepsko się czuję.

- Może przyniosę ci aspirynę albo herbatę? - zaproponowała Fatima.

- Nie, nie chcę, bądź tylko tak dobra i dopilnuj, by nikt mi nie przeszkadzał.

- Zgoda.

Wróciła do pokoju ze ściśniętym sercem, coś w zachowaniu Mustafy nie dawało jej spokoju. Przypomniała sobie polecenie Mohameda - miała opiekować się jego siostrą.

Przysiadła na brzegu łóżka, nie wiedząc, co robić. Po chwili ubrała się pośpiesznie i poszła do kuchni czekać na Lailę. Wiedziała, że nie uspokoi się, dopóki nie ujrzy jej całej i zdrowej.

Madryt, Wielki Piątek o świcie

Arturo Garcia kierujący madryckim oddziałem Centrum do Walki z Terroryzmem zadzwonił do Lorenza Penetty.

- Chyba coś mamy - oznajmił. - Rozmawiałem już z Izraelczykami i Amerykanami. Proszę posłuchać, kilka dni temu z Granady wyjechała grupa pielgrzymów do Jordanii i Ziemi Świętej. Jedna z granadyjskich parafii zamówiła wycieczkę w biurze podróży Omara, człowieka, który zorganizował wykład Salima al-Bashira w Granadzie. Na razie nie mamy pełnej listy pasażerów, ale liczę, że zdobędziemy ją jeszcze dzisiaj rano. Tak czy owak, poinformowaliśmy o wszystkim Izraelczyków, przypuszczam, że bez trudu namierzą podejrzanych. Omar wysłał również dwa autokary z pielgrzymami do Santo Toribio. Z tego, co nam wiadomo, pielgrzymi zatrzymali się na noc w Potes, miasteczku położonym dwa kilometry od klasztoru, a dzisiaj wybierają się tam na wielkopiątkowe uroczystości. Nasi ludzie obstawili całą okolicę i mają wszystko na oku. Ostrzeżyliśmy mnichów, by ukryli *lignum crucis* w bezpiecznym miejscu. Dwaj zakonnicy pod eskortą żandarmerii opuścili właśnie klasztor, wywożąc najcenniejsze relikwie. Nie wiemy tylko, czy zablokować drogi do Santo Toribio, uniemożliwiając terrorystom dojazd do klasztoru, czy pozwolić pielgrzymom nadal przyjeżdżać po odpust i mieć nadzieję, że przyskrzynimy w porę tych sukinkotów.

- I co zamierzacie zrobić? - dopytywał się Panetta.

- To decyzja z gruntu polityczna. Trzeba liczyć się z tym, że zamachowcy nam się wymkną i dokonają prawdziwej rzezi. Wyobraża pan sobie, co się stanie, gdy opinia publiczna dowie się, że potraktowaliśmy pielgrzymów jak żywą przynętę?

- Ale w przeciwnym razie terroryści mogą uciec.

- Owszem, dlatego to trudna decyzja. Zadzwonię do pana z terenu.

- Jedzie pan do Santo Toribio?

- Właściwie już jestem w drodze, siedzę właśnie w helikopterze żandarmerii, za chwilę starujemy. Za godzinę będę na miejscu.

Skończywszy rozmowę z Hiszpanem, Panetta natychmiast zadzwonił do Matthew Lucasa.

- Wiem o wszystkim, Lorenzo, doniesiono nam już o ostatnich odkryciach - rzekł Lucas. - Ten Omar współpracuje ze Stowarzyszeniem, jego biuro podróży to doskonała przykrywka dla terrorystów. Hiszpanie wykonali kawał dobrej roboty, szkoda tylko, że trochę późno.

- No, Matthew, niech pan nie będzie niesprawiedliwy. Przecież wie pan dobrze, że niełatwo wpaść na trop tych ludzi. Od jak dawna się z tym męczymy?

- Racja. Chyba wyprowadza mnie z równowagi to, że prowadzimy wyścig z czasem. Izraelczycy postanowili wpuścić pielgrzymów do bazyliki Grobu Pańskiego. Może pan sobie wyobrazić, jak wygląda Jerozolima w czasie Wielkanocy: ściągają tu pielgrzymi z całego świata. Z tego, co mi wiadomo, rozmawiano już z władzami kościelnymi sprawującymi pieczę nad Grobem Pańskim i doszło do małego zamieszania, ponieważ bazyliką opiekują się wspólnie duchowni katoliccy i prawosławni. Nie można usunąć stamtąd relikwii, bo przecież miejsce samo w sobie jest jedną wielką relikwią. Zdecydowano ograniczyć dostęp pielgrzymów do bazyliki, tłumacząc, że kościół jest przepelniony. Nie zdziwi to nikogo, turyści stoją tu w kolejce nawet po sześć godzin. Rozstawiono barierki i punkty kontrolne, niby w celu zapowiedzenia porządku. Przypuszczam, że kolejka będzie się ciągnęła w nieskończoność. Tymczasem żołnierze i funkcjonariusze będą mogli przyjrzeć się dokładnie wszystkim pielgrzymom. Miejmy nadzieję, że terroryści przyjechali z wycieczką Omara!

- Wiadomo już, w którym hotelu się zatrzymali?

- Policja właśnie to sprawdza, nie sądzę, by zajęło im to dużo czasu.

- Życzę powodzenia.

- A jak wyglądają sprawy w Rzymie?

- Nie wiemy, od czego zacząć. Zamachowcy mogą równie dobrze zaatakować Bazylikę Świętego Piotra co każdy inny kościół. Błądzimy po omacku.

- Nie ma wiadomości od naszego człowieka z zamku d'Amis? Nie skontaktował się z panem od ostatniej rozmowy?

- Nie, od tamtej pory nic o nim nie wiem. Boję się o niego. Jeśli hrabia odkryje, że jest szpiegowany...

- Przykro mi, naprawdę.

- Wierzę panu, Matthew, wierzę. Proszę dzwonić, gdy dowie się pan czegoś nowego.

- Oczywiście, ma to pan jak w banku. Rozmawiałem z Hansem Weinem, jest kłębkim nerwów.

- Jak my wszyscy.
- Nie rozumiem, dlaczego nikt nie śmie tknąć Salima al-Bashira.
- Ja też tego nie pojmuję. Dzięki Hiszpanom natrafiliśmy przynajmniej na cenny trop: ten cały Omar, znajomek al-Bashira, może być jednym z przywódców Stowarzyszenia.
- Będziemy w kontakcie. Proszę pozdrowić ode mnie ojca Aguirre, przypuszczam, że jest zdesperowany.
- Wszyscy jesteśmy zdesperowani. Tylko Turcy mogą mówić o szczęściu. Mają zamachowców w garści, wiedzą, gdzie, jak i kiedy zaatakują. Muszą ich tylko aresztować i po krzyku.

42

Stambuł, Wielki Piątek, ósma rano

Ilena kończyła właśnie zawiązywać chustę. Jej kuzynka również miała na głowie hidżab; brat i kuzyn Ileny także byli gotowi.

Zamówili śniadanie do pokoju. W rzeczywistości prawie nie wystawiali nosa z pokoju hotelowego, by nie zwracać na siebie uwagi.

- Jesteś gotowa? - zapytał Ilenę brat.

- Oczywiście.

- Jeśli chcesz...

- Milcz - rozkazała mu siostra. - Chcę tylko jednego: zemsty. Możesz mi wierzyć, kiedy przycisnę guzik detonatora, będę naprawdę szczęśliwa. A co z wami? Jesteście gotowi?

- Tak, jesteśmy gotowi.

- Postaraj się ująć z życiem, wystarczy, że ja zginę. Nie chciałabym też, byś dożył swych dni w tureckim więzieniu.

- Przecież wiesz, że nie damy się wziąć żywcem.

- To mnie właśnie martwi. Po tych wieprzach można się spodziewać wszystkiego.

Pułkownik Halman słyszał wyraźnie rozmowę Ileny z bratem. Przez chwilę kusiło go, by wtargnąć do ich pokoju i zapytać, kto jest większym wieprzem: ktoś, kto nigdy nie zabił z zimną krwią, czy oni, którzy chcą urządzić prawdziwą rzeź. Nie miał wątpliwości, że gdyby tylko mogli, zabiliby wielu niewinnych ludzi. Setki turystów z całego świata odwiedzało dzień w dzień pałac Topkapi, do tego należało doliczyć wycieczki szkolne chętnie przyjeżdżające do dawnego pałacu sułtańskiego.

Pułkownik postanowił zadzwonić do Panetty i poinformować go, że zaraz aresztuje zamachowców. Nie było sensu zostawiać ich nadal na wolności, skoro do tej pory nie porozumieli się z nikim, a i z nimi nikt się nie skontaktował. Dwaj ludzie Jugola pilnujący dziewczyny również nie spotkali się z nikim w Stambule.

Lorenzo Panetta wysłuchał argumentów pułkownika, po czym poprosił, by mimo wszystko wstrzymano się jeszcze z aresztowaniem.

- Proszę pozwolić im dotrzeć do Topkapi, może tam ktoś będzie na nich czekał. To nie wiąże się z aż tak wielkim ryzykiem.

- A ja myślę, że owszem, to bardzo ryzykowne posunięcie. Przez te dwa dni nie wspomnieli, gdzie ukryli materiały wybuchowe, i jeśli nerwy im puszczą, mogą się wysadzić w powietrze gdziekolwiek. Nie możemy brać na siebie takiej odpowiedzialności.

- Pułkowniku, materiały wybuchowe są w wózku, to oczywiste, przecież ta dziewczyna chodzi o własnych siłach. Skoro zamachowcy do tej pory nie odkryli, że ich obserwujemy, dlaczego mieliby się denerwować? Proszę wpuścić ich do pałacu Topkapi, a nawet do sali, gdzie przechowywane są relikwie. Jeśli mają w Stambule swojego człowieka, może będzie na nich czekał właśnie tam.

- Czyś pan oszalał? Myśli pan, że wpuszczę ich do sali z relikwiami? Za nic w świecie nie pozwolę, by te świny zbliżyły się do przedmiotów, które stanowiły własność Proroka.

- Chodzi o odpowiednie wyliczenie czasu, wiem, że to niełatwe, ale nie niemożliwe.

- Nie, nie ma mowy. Wpuszczę ich do Topkapi, ale aresztuję, zanim udadzą się do sali z relikwiami Mahometa. I niech pan się modli, by nie doszło do nieszczęścia. Współpracujemy z wami i idziemy wam na rękę, ale niech pan mnie nie prosi, bym dopuścił do krwawej jatki.

- Na miłość boską, nie proszę, by dopuścił pan do krwawej jatki, tylko by zbadał pan, czy mają wspólników!

- Sam zdecyduję, kiedy dokonam aresztowania - obstawał przy swoim pułkownik Halman.

- Oczywiście, przecież to pan dowodzi akcją.

Panetta odłożył słuchawkę, odepchnął ze złością popielniczkę i mruknął:

- Ależ drażliwiec z tego Halmana!

- Spoczywa na nim wielka odpowiedzialność - zauważył przedstawiciel Centrum Antyterrorystycznego w Rzymie, komisarz Moretti, który przysłuchiwał się rozmowie Panetty z Halmanem.

- Na nas wszystkich spoczywa wielka odpowiedzialność. Musimy wykorzystać wszystkie możliwości, trzeba sprawdzić, czy dziewczyna spróbuje się z kimś skontaktować.

- Skoro dotąd z nikim się nie skontaktowała, mało prawdopodobne, by zrobiła to w ostatnim momencie. Nie chciałbym być na miejscu Halmana: jeśli nie powstrzyma w porę terrorystów, może dojść do tragedii.

- Ma pan rację. Natomiast my musimy zapobiec tragedii tutaj, w Rzymie, a tymczasem nie mamy pojęcia, jak się do tego zabrać.

Wyszli z pokoju i skierowali się do windy, przed którą jakaś para również czekała, by zjechać do holu. Ilena nie zwróciła na nich większej uwagi. Kuzynka Ileny pchała wózek, jej brat i kuzyn szli po ich obu stronach.

Kuzyn udał się po wynajęty minivan i cała trójka z pomocą portiera hotelowego umieściła Ilenę w samochodzie.

Jechali do pałacu Topkapi ponad pół godziny, bo tego ranka na ulicach Stambułu było wyjątkowo tłoczno - turyści z całego świata przybyli spędzić Wielkanoc w stolicy Turcji.

Wyjaśnili funkcjonariuszom kierującym ruchem, że wiozą niepełnosprawną, dzięki czemu udało im się dojechać na sam szczyt wzgórza.

Zaparkowali obok licznych autokarów, z których wysypywali się turyści.

- Jesteś zdenerwowana? - zapytała Ilenę kuzynka.

- Nie, jestem szczęśliwa.

Stanęli w kolejce, brat Ileny kupił bilety upoważniające do zwiedzania pałacu.

- Na szczęście nie ma dzisiaj dużego tłoku - powiedział.

- Ten pałac to naprawdę nic specjalnego - zauważyła Ilena.

- Nie robi na tobie wrażenia? - zapytała z uśmiechem jej kuzynka.

- No, miejsce może i ładne, bo widać stąd morze, ale pałac... Bo ja wiem, na dobrą sprawę to nic tylko komnaty i komnaty...

- Z których władano połową świata - skwitował brat Ileny. Grupa włoskich turystów czekających na swoją kolej, by wejść do pałacu, słuchała wyjaśnień przewodnika:

- Wspomniałem już państwu, że pałac powstał na polecenie sułtana Mehmeda, ale każdy nowy władca turecki dobudowywał nowe sale. Topkapi przeżyło cztery pożary, z czasów Mehmeda zachował się skarbiec Raht Hazinesi, komnata kafelkowa Cinili Kósk oraz mury wewnętrzne i zewnętrzne. Pałac dzieli się na trzy części: wewnętrzną, zewnętrzną i harem. Na pierwszym dziedzińcu, gdzie zatrzymują się dzisiaj autokary, kwaterowały oddziały janczarów.

Strażnicy strzegący dostępu do pałacu nie przyglądali im się zbytnio, nie kazali im nawet przejść przez wykrywacz metali. Personel pałacu przekonywał uprzejmie przewodników kolejnych grup, jak powinni zorganizować zwiedzanie, przewodnicy utyskiwali, nie wiedząc, dlaczego narzuca im się nagle trasę, zamiast pozostawić jak zwykle wolną rękę.

- Nie robili nam żadnych problemów - zauważył kuzyn Ileny, gdy pokonali pierwszy punkt kontrolny.

- A dlaczego mieliby robić problemy? Przecież jesteśmy zwykłymi turystami - stwierdził brat Ileny.

Bez trudu pokonali również drugą bramę - Bab U Selam, czyli Bramę Pozdrowień - zbudowaną przez Sulejmana Wspaniałego.

- Idziemy prosto do sali z relikwiami - poleciła Ilena kuzynce pchającej wózek.

- Cierpliwości, najpierw zajrzemy do innych sal, musimy udawać zwykłych tuiystów - tłumaczyła jej kuzynka. - Zaczniemy od haremu.

Ilena zgodziła się niechętnie. Czuła przemożną potrzebę zadania ciosu muzułmanom, nie chciała odkładać zemsty nawet o minutę.

Weszli do haremu i podobnie jak inni turyści z zaciekawieniem obiegli wzrokiem komnaty, w których mieszkały żony sułtanów oraz ich dzieci.

Włoscy turyści, z którymi spotkali się przy wejściu do pałacu, opuszczali właśnie to miejsce, żartując na temat odalisek i upamiętniając swoją wizytę kamerami cyfrowymi. Inna grupa, tym razem Turków, składająca się w większości z mężczyzn, weszła razem z nimi do haremu. Ilenę drażniły pełne współczucia spojrzenia, jakimi ją obrzucono. Gdybyście wiedzieli, co zaraz zrobię, trzęslibyście przede mną portkami, zamiast się nade mną litować, pomyślała.

- Może już dość tego zwiedzania? - rzuciła zniecierpliwiona. Jej kuzynka popchnęła wózek ku wyjściu, podczas gdy brat próbował ją uspokoić:

- Nie denerwuj się.

- Nie denerwuję się, po prostu chcę mieć to już za sobą.

- Można by pomyśleć, że spieszno ci umrzeć - zbeształ ją kuzyn.

- Bo to prawda, chcę umrzeć jak najszybciej.

Przeszli przez Bramę Szczęśliwości - Bab U Saadet - używaną dawniej wyłącznie przez sułtana, i znaleźli się obok Arz Odasi, sali audiencyjnej wielkiego wezyra.

- Tutaj ściągali posłowie z całego świata, by prosić o łaskę wielkiego wezyra, który zapoznawał się z prośbami i decydował, czy przekazać je sułtanowi - wyjaśniał brat Ileny.

- A co nas to wszystko obchodzi?! - Irytacja w głosie Ileny zaniepokoiła ich.

- No, nie złość się. Przecież sama tłumaczyłaś, że musimy być przezorni i robić wszystko jak należy. Poza tym... nie ty jedna zginiesz, prawdopodobnie i my umrzemy. Pozwól nam więc nacieszyć się ostatnimi chwilami życia - argumentował jej brat.

- Zachwycając się sułtanami!

- Oddychając, Ileno, po prostu oddychając - uciał kuzyn. Dogonili ich znajomi tureccy turyści. Ich przewodnik opowiadał o historii każdego zakątka pałacu:

- Na prawo zobaczą państwo następne sale: skarbiec i dawną rezydencję Mehmeda Zdobywcy. Tutaj właśnie zgromadzono niektóre z podarków wręczanych sułtanowi. A na lewo od tego dziedzińca... o, właśnie tu - powiedział, wskazując następne drzwi - znajdują się komnaty, w których przechowywane są święte relikwie. Od roku tysiąc pięćset siedemnastego zaczęto zwozić tu z Mekki i Kairu przedmioty należące do wielkiego Mahometa. Będą mieli państwo okazję zobaczyć miecze Proroka, włosy z jego brody, ząb, chorągiew, błogosławiony płaszcz... Relikwie te przechowywano zawsze z dala od oczu mieszkańców Stambułu, z wyjątkiem chorągwi Proroka, z którą kilkakrotnie obchodzono miasto w procesji. W sali, gdzie przechowywane są relikwie, lektorzy w dzień i w nocy recytują wersety Koranu. Proszę za mną, zaraz zobaczycie państwo na własne oczy relikwie Proroka; dla muzułmanów są one równie cenne jak dla katolików Całun Turyński lub kawałki Chrystusowego krzyża rozsiane po katedrach, kościołach i bazylikach Europy.

Ilena zerknęła na kuzynkę, a ta zrozumiała, że nie mogą dłużej odwlekać chwili prawdy. Mimo nagłego ucisku w żołądku popchnęła wózek do sali z relikwiami. Nagle jak spod ziemi wyrosli przed nimi uzbrojeni policjanci i żołnierze. Ilena rozejrzała się i pojęła, że towarzyszący im tureccy turyści byli w rzeczywistości policjantami w cywilu - na dziedzińcu nie było nikogo prócz nich.

Pułkownik Halman zaczął torować sobie drogę pośród swoich ludzi, korzystając z osłupienia czworga zamachowców.

- Ręce do góry! - rozkazał im po angielsku. - Wasza przygoda dobiegła końca. Poddajcie się!

Brat i kuzyn Ileny spojrzeli na nią i wyczytali w jej oczach wściekłość i determinację. Zobaczyli, że się do nich uśmiecha, szepcząc pod nosem „żegnajcie”. Sekundę później nastąpił wybuch.

W gęstym dymie słychać było krzyki i jęki. Zewsząd dobiegało wycie karettek pogotowia.

Gdy dym opadł, okazało się, że dziedziniec przedstawia makabryczny widok. Po ziemi wałały się szczątki ciał zamachowców oraz funkcjonariuszy, którzy stali najbliżej nich.

Zapanowało zamieszanie. Z krzyków wybijał się pewny głos pułkownika Halmana, który mimo odniesionych ran próbował zapanować nad sytuacją.

- Eksplozja nie naruszyła relikwii, ale zniszczyła część ściany od strony wejścia! - krzyczał jeden z policjantów.

Do pałacu zaczęły zajeżdżać samochody wojskowe, z których wysypywali się żołnierze. Zajmowali pozycje na terenie Topkapi i pomagali ewakuować turystów, których zgromadzono na czwartym dziedzińcu. Przewodnicy otrzymali wyraźne polecenie, by podczas zwiedzania nie zatrzymywać się na pierwszym ani na drugim dziedzińcu.

Wszyscy usłyszeli eksplozję, choć nie było wiadomo, gdzie miała miejsce. Nagle zwiedzających otoczyli żołnierze, prosząc o opuszczenie pałacu. W ciągu kilku minut ewakuowano turystów wystraszonych panującym wokół zamieszaniem.

Gdy w Topkapi zostali już tylko żołnierze, policjanci i służby medyczne, które przybyły na miejsce zamachu, pułkownik Halman skontaktował się z przełożonymi, by powiadomić ich o wyniku operacji. Zaraz potem zadzwonił do Lorenza Panetty:

- Czwooro terrorystów nie żyje, dziesięciu moich ludzi także. Dwudziestu innych jest rannych, niektórzy ciężko.

- Przykro mi. Co się stało? - zapytał Panetta.

- Postawiliśmy sobie trudne zadanie i bardzo ryzykowaliśmy.

Najpierw chcieliśmy zamknąć pałac Topkapi dla zwiedzających, ale uznaliśmy, że wtedy terroryści mogliby nabrać podejrzeń. Dlatego pozwoliliśmy na wstęp nielicznym grupom turystów, kierując ich w głąb pałacu, gdzie byliby bezpieczni. Nie poszło nam to zresztą łatwo, przewodnicy wieszali na nas psy, nie rozumiejąc, dlaczego nie pozwalamy zwiedzać im pałacu tradycyjną trasą. Może mi pan wierzyć, modliłem się, by żadnemu turyście nie przyszło do głowy odłączyć się od grupy. Terroryści nie wiedzieli, że przez cały czas są otoczeni przez policjantów i żołnierzy w cywilu udających turystów. Zaryzykowałem i spełniłem pańską prośbę: odczekałem do ostatniej chwili, byle tylko sprawdzić, czy ktoś skontaktuje się z zamachowcami... na próżno. Zatrzymaliśmy ich dopiero przy wejściu do Sali Błogosławionego Płaszczka. A wtedy dziewczyna nacisnęła detonator i... resztę może pan sobie dopowiedzieć. Niełatwo będzie zidentyfikować zwłoki.

- A co z relikwiami Proroka? - zapytał z duszą na ramieniu Lorenzo Panetta.

- Nie ucierpiały, pozostały nienaruszone. Niech Allah będzie uwielbiony za to, że uchronił je od zniszczenia.

- I za to, że udało się uniknąć większego rozlewu krwi. Domyśla się pan chyba, pułkowniku, co by się stało, gdyby relikwie zostały zniszczone?

- Tak, wybuchłaby prawdziwa wojna.

- Przykro mi, że stracił pan tylu ludzi.

- Proszę sobie wyobrazić, jak trudno będzie rozmawiać z ich rodzinami...

- Mógłby pan utrzymać przez kilka godzin w tajemnicy to, co się stało?

- Pan żąda rzeczy niemożliwych! W pałacu byli ludzie, zbyt wielu ludzi, by utrzymać zamach w tajemnicy: turyści, przewodnicy, personel, żołnierze, policja... Nie, nie możemy przemilczeć sprawy, zresztą dlaczego mielibyśmy to robić?

- Co powiecie mediom?

- A co pan proponuje?

- Proszę pozwolić mi porozmawiać z dyrektorem Centrum do Walki z Terroryzmem w Brukseli. Postaram się jak najszybciej do pana oddzwonić.

- Moi przełożeni rozmawiali już z pańskim szefem.

- Proszę tylko o pięć minut.

Lorenzo zapalił papierosa i napełnił dymem całe płuca. Następnie powtórzył pokrótce ojcu Aguirre i komisarzowi Morettiemu to, co usłyszał od pułkownika Halmana.

- Turcy postąpili bardzo odważnie! Podjęli wielkie ryzyko. Ten pułkownik Halman jest chyba wyjątkowym człowiekiem! - wykrzyknął komisarz Moretti.

- Tak, bardzo dużo zaryzykował. Zorganizowanie takiej operacji wymaga wielkiego wyczucia. Gdyby zginął choć jeden turysta, turecki rząd znalazłby się w poważnych tarapatach, my zresztą również. Oskarżono by nas o igranie z życiem niewinnych ludzi.

- Bo to właśnie zrobiliśmy - stwierdził Moretti.

- Bo to właśnie zrobiliśmy nie po raz pierwszy w nadziei, że uratujemy w ten sposób znacznie więcej niewinnych istnień. Zresztą wcale nie jestem z tego dumny.

Hans Wein był poruszony, a jednocześnie kamień spadł mu z serca.

- Przynajmniej w Stambule poszło nam jako tako - powiedział do Panetty.

- Zginęło dziesięć osób, nie licząc czworga terrorystów, jest również wielu rannych, ale masz rację, mogło być znacznie gorzej.

- Gdyby ci szaleńcy zniszczyli relikwie Mahometa, już teraz liczylibyśmy ofiary w setkach. Wyobrażasz sobie reakcję islamskich fundamentalistów?

- Powinniśmy być wdzięczni Turkom za ich poświęcenie - zauważył Panetta.

- Poczyniliście jakieś postępy w śledztwie?

- Nie, nadal krążymy po omacku, a przecież za godzinę Ojciec Święty rozpocznie liturgię Wielkiego Piątku. Wszystkie zakątki Watykanu są pilnie strzeżone.

- Przecież nie wiemy, czy zamachowcy zaatakują akurat Watykan... - przypomniał Hans Wein.

- Nie, nie wiemy, ale musimy chronić papieża. Jak wygląda sytuacja w Izraelu?

- Dosłownie przed chwileczką rozmawiałem z Izraelczykami, z Matthew Lucasem zresztą też. Namierzono grupę, która przyjechała do Izraela z biurem podróży Omara. Izraelczycy również dopuszczają zamachowców pod samą bazylikę Grobu Świętego. To istne szaleństwo... - zżymał się Wein.

- Nigdy w życiu się tyle nie modliłem - przyznał Panetta.

- Turcy pytają, co mają powiedzieć opinii publicznej. Moim zdaniem najlepiej powiedzieć prawdę - stwierdził Wein.

- Tak, zawsze najlepiej mówić prawdę, ale możemy z tym jeszcze trochę poczekać. W przeciwnym razie zaalarmujemy pozostałych terrorystów przygotowujących się do zamachu.

- Niech ci będzie. Co więc mam powiedzieć Turkom?

- Niech ogłoszą, że doszło do eksplozji, nie wiadomo czy zamierzonej, i że jest dużo ofiar.

- To brzmi mało przekonująco. Czy to, że w wybuchu zginęli tylko policjanci i żołnierze, nie wygląda twoim zdaniem podejrzanie?

- Jeśli zdradzimy, że zamachowcy byli śledzeni, od razu będzie wiadomo, że posiadamy więcej informacji.

- Nadal nie widzę związku między tą Ileną a Stowarzyszeniem - utyskiwał Wein.

- A jednak związek istnieje, może nawet oni sami o nim nie wiedzą, ale istnieje, jestem pewien - obstawał przy swoim Panetta.

- No dobrze, co w takim razie proponujesz?

- Należy powiedzieć opinii publicznej jak najmniej. Zawsze można poratować się frazesami: „Dochodzenie jest w toku, aktualnie sprawdzane są wszystkie hipotezy, będziemy informować państwa na bieżąco...”.

- Dobrze, póki można, posłużymy się frazesami.

- Przynajmniej przez kilka godzin. Wiadomo, że wszystkie zamachy zaplanowano na dzisiaj, spróbujemy wyjść zwycięsko z tej wielkopiątkowej próby.

- Zgoda.

Hans Wein miał rozmówić się z tureckim rządem, natomiast Lorenzo Panetta zadzwonił do pułkownika Halmana.

- Pułkowniku, proszę zdradzić opinii publicznej jak najmniej, no, wie pan: „Śledztwo jest w toku, w najbliższych godzinach przekazemy więcej szczegółów”, itp., itd...

- Tak, tak, znam tę śpiewkę.

- Na dzisiaj zaplanowano jeszcze trzy inne zamachy, w dwóch przypadkach mamy chyba terrorystów w garści, ale trzeci zamach... wiemy tylko tyle, że ma do niego dojść w Rzymie, pozostaje jednak pytanie gdzie i o której godzinie. Potrzebuję trochę czasu, nie chcemy spłoszyć terrorystów.

- Zrobię, co się da.

- Dziękuję.

43

Jerozolima, Wielki Piątek

Hakim przyłączył się do grupy granadyjskich pielgrzymów, z którymi przyjechał do Izraela. Od dziesięciu minut odprawiali drogę krzyżową po stareńkich ulicach Jerozolimy. Aby nie rzucać się nikomu w oczy, Hakim pomrukiwał pod nosem, udając, że odmawia różaniec.

Klepał modlitwy i rozglądał się na prawo i lewo, sprawdzając, czy tego dnia więcej żołnierzy niż zwykle patroluje ulice jerozolimskiej starówki. Stwierdził, że owszem, jest ich więcej, złożył to jednak na karb tłumów turystów, które w okresie wielkanocnym odwiedzały Izrael.

Nie obawiał się wpadki, nie zauważył, by ktokolwiek mu się przyglądał. Wtopił się w tłum turystów i czuł, że może ujść niezauważony.

Tego dnia tysiące pielgrzymów odprawiało drogę krzyżową na ulicach miasta, modląc się w miejscach, gdzie Chrystus szedł z krzyżem na ramionach. Hakim uśmiechnął się do siebie na myśl o krzyżu. Chrześcijanie nie pozbierają się po ciosie, jaki zada im Stowarzyszenie, wysadzając w powietrze Święty Grób, klasztor Santo Toribio, gdzie przechowywano największy zachowany kawałek krzyża, oraz bazylikę Świętego Krzyża Jerozolimskiego w Rzymie... Nie, małoduszni politycy nie będą już mogli odwracać wzroku, by uniknąć konfrontacji - będą musieli przyznać, że są w stanie wojny. Do tej pory Europejczycy wzbraniali się przed uznaniem tego faktu, ale po tym, co się stanie, nie będą mogli dłużej ignorować rzeczywistości. Stowarzyszenie rozprawi się z Zachodem, pewnego

dnia flaga z półksiężycem powiewać będzie nad wszystkimi europejskimi stolicami, a kościoły zostaną zamienione na meczety.

Był tak pogrążony w myślach, że nawet nie zauważył, iż zbliżają się do bazyliki Grobu Pańskiego. Tu napotkał więcej kontroli niż przy poprzednich okazjach, turyści oburzali się, ponieważ rewidowano ich od stóp do głów, zaglądano do torebek i plecaków.

„Obiekt najwyraźniej coś zwęszył”, szepnął funkcjonariusz do mikrofonu ukrytego w klapie. Jego głos zabrzmiał wyraźnie w centrum operacyjnym, gdzie agenci wywiadu i izraelska policja od kilku dni dokładali starań, by uniknąć zamachu.

Matthew Lucas próbował zapanować nad nerwami. Nie przestawał pytać obecnych, na co czekają, dlaczego nie aresztują zamachowca.

- Jeśli poczuje się osaczony, może wysadzić się w powietrze w tłumie i dojdzie do krwawej jatki - tłumaczył pułkownik Kaffman, szef Mossadu.

Wydawało się, że nikt nie zwraca uwagi na Matthew, który widział na twarzy ludzi biorących udział w akcji napięcie i niemożliwy do ukrycia lęk.

Kierujący operacją pułkownik rzucił do agenta donoszącego o sytuacji w terenie:

- Teraz!

Matthew Lucas spojrzał na niego pytająco. Co miał oznaczać ten rozkaz? Przeklinał pod nosem Izraelczyków: są ponoć najlepszymi sojusznikami Stanów Zjednoczonych, tymczasem nikomu nie ufają. Dopuszcili go do akcji jako zwykłego widza, całkowicie go ignorując.

Do bramy bazyliki Grobu Pańskiego pozostało pięćset metrów. Hakim i pozostali członkowie wycieczki zatrzymali się. Liczne kontrole spowodowały długą kolejkę, musieli czekać.

Hakim zdał sobie sprawę, że trudno mu będzie dostać się do kościoła. Said mówił, że Żydzi stosują co prawda środki bezpieczeństwa, ale starają się nie utrudniać życia turystom. Pomyślał o odwrocie i zerknął za siebie, ale zrozumiał, że nie ma mowy o przepychaniu się przez napierający tłum pragnący dostać się do Grobu Pańskiego. Natychmiast pożałował myśli o ucieczce. Nie mógł stchórzyć, przyjechał do Jerozolimy, by zginąć, więc zginie. Nawet jeśli nie uda mu się dostać do świątyni, zniszczy przynajmniej jej fasadę - gdy tylko znajdzie się wystarczająco blisko, gdy żołnierze przystąpią do rewidowania jego grupy, wysadzi się w powietrze. Wielu z towarzyszących mu pielgrzymów zginie razem z nim. Strapił się, pojawiwszy, że nie uda mu się osiągnąć zamierzonego celu. Omar będzie bardzo zawiedziony, a Salim al-Bashir uzna, że pomylił się, zlecając właśnie jemu tę misję.

Zapałał jeszcze większą nienawiścią do Żydów za to, że uniemożliwili mu wykonanie zadania. Spojrzał z pogardą na otaczających go ludzi, którzy nie przestawali klepać modlitw.

Nagle poczuł, jak ktoś łapie go za ramiona i wykręca mu ręce na plecach.

- Nie ruszaj się - usłyszał rozkaz wydany bezbłędnym hiszpańskim.

Poczuł, że jest wyciągany z tłumu, znajomi pielgrzymi stanęli w jego obronie i zaczęli wymyślać prowadzącym go mężczyznom.

- Mamy go - rzucił agent do niewidocznego mikrofonu, gdy wlekli Hakima w stronę Bramy Damasceńskiej.

W centrum operacyjnym dało się słyszeć westchnienie ulgi. Dopiero tego ranka zlokalizowano grupę granadyjskich turystów, a samego Hakima namierzono zaledwie przed godziną. Można było mówić o cudzie.

Obezwładniony Hakim czuł, że łzy napływają mu do oczu - łzy frustracji, wściekłości, bólu...

Przeszli przez Bramę Damasceńską, którą o tej porze setki ludzi wchodziły i wychodziły z po trzykroć świętego miasta. Tam czekał już na nich samochód. Hakima wepchnięto do środka, dwaj agenci zajęli miejsca po obu jego stronach, poza tym w pojeździe siedział kierowca, a obok niego mężczyzna, który mierzył do Hakima z pistoletem.

- Dobra robota - rzucił do dwóch agentów, którzy zatrzymali Hakima, i rozkazał założyć mu kajdanki.

Wystarczyła tylko sekunda - sekunda, w której Hakim poczuł, że uścisk na jego ręce osłabł. Nie zawahał się i pociągnął za detonator u pasa.

Samochód wyleciał w powietrze. Eksplozja kosztowała życie nie tylko jego pasażerów, w polu rażenia znalazły się również inne pojazdy.

Zapanował chaos, mimo że na miejsce eksplozji natychmiast przyjechały radiowozy i karetki pogotowia.

W centrum operacyjnym zawrzało, choć pułkownik Kaffman natychmiast zapanował nad sytuacją i zaczął wydawać rozkazy, prosząc, by funkcjonariusze znajdujący się w pobliżu Bramy Damasceńskiej informowali o sytuacji.

Matthew Lucas usłyszał przerywany głos jednego z agentów: „Samochód wyleciał w powietrze. Są zabici i ranni, potworność... Obiekt był pewnie przepasany materiałami wybuchowymi i udało mu się zdetonować ładunek, choć nie wiadomo na pewno, trzeba będzie poczekać na ekspertyzę laboratorium. Wśród ofiar są chyba turyści, choć zginęli również Palestyńczycy i nasi ludzie...”.

- A wydawało się, że najniebezpieczniejszą część roboty, namierzenie i aresztowanie zamachowca, mamy już za sobą, a tu proszę, skrewiliśmy przy pozornie najprostszym zadaniu - zżymał się pułkownik Kaffman.

Matthew Lucas ze ściśniętym gardłem poprosił, by pozwolono mu udać się na miejsce wypadku.

- Niech się pan zabierze ze mną - powiedział pułkownik. - Inaczej pana nie wpuszczą.

W drodze do Bramy Damasceńskiej Matthew zadzwonił do swojego szefa, a zaraz potem do Lorenza Panetty.

- Nie udało się uniknąć katastrofy. Doszło do eksplozji, są zabici - powiedział.

- Rany boskie! Co się stało?

- Aż do dzisiejszego ranka nie zidentyfikowano wszystkich członków pielgrzymki zorganizowanej przez Omara. Zamachowiec, niejaki Hakim, posługiwał się hiszpańskim paszportem. Mój szef rozmawiał z madryckim oddziałem Centrum do Walki z Terroryzmem, komisarz Garcia zadzwonił do niego, by mu powiedzieć, że Hakim miał hiszpańskie obywatelstwo, ale pochodził z Maroka. Był burmistrzem wioski Canos Blancos w prowincji Granada, osobą na pozór poza wszelkimi podejrzeniami. Władze hiszpańskie uważały go za umiarkowanego muzułmanina i porządnego obywatela.

- Ja również rozmawiałem z komisarzem Garcia. Ten Hakim był człowiekiem pozbawionym skrupułów - odparł Panetta.

- Święte słowa. Hakim nie zatrzymał się w hotelu razem z pozostałymi pielgrzymami, z którymi przyjechał do Izraela, rzadko też jeździł z nimi na wycieczki. Nie wiemy, kto pomagał mu w Izraelu ani gdzie mieszkał, zlokalizowaliśmy go dopiero, gdy przyłączył się z powrotem do grupy. Zjawił się sam w hotelu, w którym zatrzymali się jego towarzysze podróży, a stamtąd udał się wraz z nimi do Grobu Pańskiego.- Ale proszę mi wreszcie powiedzieć, co się stało!

- Aresztowano go niedaleko bazyliki, udało się go wywlec z tłumu pielgrzymów, ale najwyraźniej zdążył zdetonować materiały wybuchowe, którymi był opasany. Wysadził się w powietrze, zabijając policjantów, agentów wywiadu izraelskiego, turystów i Palestyńczyków... Ciągłe nie znamy liczby ofiar. Jadę właśnie na miejsce zdarzenia.

- A co z bazyliką Grobu Pańskiego?

- Nie ucierpiała, do eksplozji doszło za murami starego miasta. Lorenzo Panetta podziękował Bogu. Ubolewał, co prawda, że nie obyło się bez ofiar, ale tłumaczył sobie, że gdyby w porę nie zatrzymano zamachowca, byłoby ich na pewno znacznie więcej. Pułkownik Kaffman poprosił Matthew Lucasa o telefon.

- Pan Panetta? Tu pułkownik Kaffman. Zapewniam, że zrobiliśmy, co w naszej mocy. To był wyścig z czasem i mimo tego, co się stało, możemy mówić o szczęściu. Niestety, nie wiemy hic o kontaktach zamachowca w Izraelu, a mogę pana zapewnić, że to dla nas sprawa wielkiej wagi, ponieważ Stowarzyszenie to jedyna organizacja terrorystyczna, której nie udało nam się jeszcze rozgryźć. Gdybyśmy wiedzieli wcześniej, co się święci, może uniknęlibyśmy tragedii.

- Proszę mi wierzyć, pułkowniku, chętnie powiadomiłbym pana wcześniej, ale bazowaliśmy na hipotezach, nie mieliśmy żadnych pewników i... cóż, gdy tylko dowiedzieliśmy się czegoś konkretnego, natychmiast was zawiadomiliśmy.

- Za późno, panie Panetta, za późno. Zginęło wielu niewinnych ludzi.

- Wszystkie ofiary są niewinne, pułkowniku.

- Nie, panie Panetta, nie wszystkie.

44

Wielki Piątek, zamek d'Amis, południe Francji

Gdy jak co rano Edward poszedł obudzić hrabiego, niosąc tacę ze śniadaniem, zdziwił się na widok swego pracodawcy siedzącego przed telewizorem.

Hrabia był ubrany i wyglądał na zdenerwowanego, choć nie powiedział nic, co skłoniłoby Edwarda do tego wniosku. Jednak majordomus miał za sobą wiele lat służby i nauczył się czytać z twarzy swego pana jak z książki.

W każdej innej sytuacji pokusiłby się o jakąś uwagę, by wy badać, co dręczy hrabiego, ale tym razem miał dość własnych problemów.

Raymond de la Pallisiere zamknął się w swoim gabinecie. Poprosił Edwarda, by nikt mu nie przeszkadzał, nawet Catherine, lecz majordomus wiedział, że córka hrabiego - osó bka uparta, nieuznająca żadnych zasad - nie przejmie się tym zakazem. Choć Edward polubił tę młodą Amerykankę, bo wraz z jej przyjazdem zamek jakby odżył, nie łudził się: wiedział, że gdy Catherine zostanie hrabiną d'Amis, wyrzuci go na bruk. Dochodziła jedenasta, gdy córka hrabiego stanęła przed gabinetem ojca i lekceważąc tłumaczenia Edwarda, pchnęła drzwi, po czym weszła do środka.

- Co się dzieje? - rzuciła na powitanie, obserwując z ciekawością hrabiego, który siedział przed telewizorem z radiem przy uchu.

Hrabia był wyraźnie niezadowolony z wizyty córki, mimo to poprosił ją, by usiadła.

- Słucham wiadomości.

- Coś ciekawego?

- Czyżbyś nigdy nie oglądała telewizji?- Tylko CNN, stacje europejskie prawie nie wspominają o Stanach, no, może tylko po to, by powiedzieć, że George W. Bush jest żalosnym typkim, który z uporem maniaka sieje zło.

- W Stambule doszło do eksplozji, w Jerozolimie podobno również.

- Ach tak? O jakie eksplozje chodzi?

- Niewiele wiadomo, podobno w Stambule zawinić mógł ulatniający się gaz, a w Jerozolimie...

- Pewnie jakiś terrorysta postanowił wysadzić się w powietrze. Tam takie akcje są na porządku dziennym, nieprawdaż? - weszła ojcu w słowo Catherine, nie przywiązując wagi do jego wyjaśnień.

- I mówisz to tak obojętnie? - zdziwił się hrabia.

- Nie chodzi o obojętność, po prostu nasz świat jest taki, a nie inny. Coś mi się zdaje, że uodporniliśmy się na akty terroru. Możemy jeść obiad, oglądając dziennik telewizyjny, i potworności dziejące się na świecie nie wpływają na nasze życie. Ileż razy oglądałeś migawki z krwawego zamachu, a potem zachowywałeś się jak gdyby nigdy nic?

- To nader cyniczna uwaga, Catherine.

- Ale prawdziwa, jak samo życie. No, ale mów, co cię dręczy.

- Nic, nic specjalnego.

Dzwonek telefonu komórkowego zmroził Raymonda. Zerknął na wyświetlacz i przeczytał komunikat: NUMER PRYWATNY. Przestraszył się, że to Łącznik. Sprawy nie szły tak, jak zaplanowali.

- Catherine, mogłabyś zostawić mnie na chwilę samego? Wstała urażona i wyszła bez słowa.

- Tak...? - Ton głosu Raymonda zdradzał napięcie.

- Co jest grane? - usłyszał głos Łącznika.

- Nie wiem. Próbowałem skontaktować się z Jugolem, by wy badać, co się stało w Stambule, ale najwyraźniej zapadł się pod ziemię. Nie odbiera telefonów.

- W dziennikach nie ma żadnej wzmianki o relikwiach.

- Wiem. Właśnie oglądam CNN, mówi się o wybuchu gazu.

- Ja wiem nieco więcej. Na prośbę Centrum do Walki z Terroryzmem rząd turecki postanowił zataić przez kilka godzin prawdę. W zamachu zginęło dziesięć osób, oprócz dziewczyny i jej towarzyszy. Sala z relikwiami prawie nie ucierpiała.

Raymond nie pytał, skąd Łącznik o tym wie. Ludzie, których reprezentował, mieli znajomości we wszystkich rządach świata, a więc nietrudno im było zdobyć wiadomości z pierwszej ręki.

- Moi zleceniodawcy są bardzo źli - powiedział Łącznik. - Pan zapewniał nas, że wszystko pójdzie jak z płatka.

- Nie rozumiem, co się mogło stać.

- Rozmawiał pan ze swoim kolegą al-Bashirem? W Jerozolimie jakiś terrorysta wysadził się w powietrze pod Bramą Damasceńską.

- Wiem, przed chwilą dowiedziałem się o tym z CNN.

- Brama Damasceńska jest kawał drogi od Grobu Pańskiego.

- To też wiem.

- A więc al-Bashir również nawalił.

- Pozostały jeszcze Santo Toribio i Rzym - przypomniał Raymond.

- I co z tego? To już bez znaczenia. Nie chodziło nam o samobójstwo kilku terrorystów, tylko o konfrontację między krajami islamskimi, zaopatrującymi świat w ropę, a Zachodem. Ilena miała zniszczyć relikwie Mahometa, o to nam właśnie chodziło. Fakt, że ona sama nie żyje, nie ma znaczenia. Kogóż obchodzi jeszcze jeden martwy terrorysta? To samo dotyczy tego nieszczęśnika z Jerozolimy, który wysadził się w powietrze, zabijając przy okazji kilku przechodniów. I co z tego? Przecież to najzwyklejsze, nic nieznaczące zamachy. Obawiam się, panie hrabio, że ktoś gdzieś czegoś nie dopatrywał.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - W głosie Raymonda brzmiała niepewność.

- Ostrzegałem pana. Moi zleceniodawcy nie uznają porażek.

- Operacje były doskonale zaplanowane, powtarzam, nie wiem, co się stało.

- Niech pan się postara skontaktować z Jugolem. Powinien już wiedzieć, co zawiodło w Stambule.

- Dobrze, spróbuję jeszcze raz.

- Niech pan przyjrzy się wszystkim etapom operacji i sprawdzi, gdzie popełnił pan błąd. Aha, i niech pan zadzwoni do al-Bashira, on również musi wytłumaczyć się z tej porażki.

Łącznik przerwał połączenie, nie dając Raymondowi czasu na odpowiedź. Hrabia natychmiast wybrał numer Jugola, ale znów odpowiedziała mu głucha cisza. Zadzwonił do Salima, lecz wysłuchał tylko komunikatu poczty głosowej z prośbą o zostawienie wiadomości. Rozłączył się przygnębiony.

Santo Toribio, Potes, Wielki Piątek

Arturo Garcia przekazywał właśnie funkcjonariuszom policji i żandarmerii wszystko, co wiedział o dwóch młodych mężczyznach, którzy piętro wyżej liczyli minuty do wysadzenia w powietrze siebie razem z kawałkiem krzyża Chrystusowego przechowywanego w Santo Toribio.

Hiszpański przedstawiciel unijnego Centrum do Walki z Terroryzmem udał się do Kantabrii świadomy powagi sytuacji. Minister spraw wewnętrznych był bardzo stanowczy w rozmowie z Garcia: nie chciał słyszeć o żadnych ryzykownych posunięciach, nie interesowało go, czy terroryści skontaktują się przed akcją ze współnikami. Należało za wszelką cenę uniknąć zamachu, dlatego kazał natychmiast aresztować podejrzanych i, broń Boże, nie wpuścić ich do Santo Toribio.

Jedna z policjantek przebrała się za pokojówkę. Na papierze jej zadanie wyglądało dość banalnie: weźmie wózek z czystą pościelą i ręcznikami, zapuka do pokoju zajmowanego przez terrorystów, ci jej otworzą, a wtedy wejdzie do środka. Za nią wpadną jej koledzy. Trudno było przewidzieć reakcję terrorystów, ale należało przypuszczać, że spróbują zdetonować materiały wybuchowe. Operacja była więc bardzo niebezpieczna, jej uczestnicy ryzykowali życie.

Dyrektor hotelu mimo zdenerwowania zastosował się do poleceń policji. Ewakuowano po cichu cały hotel: pukano do każdego pokoju i proszono gości, by zeszli w ważnej sprawie do recepcji. Na dole wyprowadzano ich tylnymi drzwiami jak najdalej od hotelu.

Arturo Garcia nie mógł się nadziwić dopisującemu im szczęściu. Przecież w każdej chwili terroryści mogli zejść do recepcji i zorientować się, co się dzieje.

Był to wyścig z czasem, mieli świadomość, że każda minuta jest na wagę złota. Komisarz Garcia nie odetchnął, dopóki nie odnalazł dwóch autokarów z biura podróży Omara. Terroryści zamierzający dokonać zamachu w Santo Toribio na pewno ukryli się w tej właśnie grupie pielgrzymów. Jakieś wystraszone staruszki opowiedziały mu o „dwóch sympatycznych chłopcach” o arabskich rysach, którzy są jednak dobrymi chrześcijanami, bo przyjechali po odpust.

Mohamed krążył po pokoju zły na Alego, który guzdrał się z ubieraniem.

- No, pospiesz się!

- Niby po co? Jest dopiero jedenasta, mamy jeszcze całą godzinę.

- Albo się pospieszysz, albo wychodzę.

- Jak sobie chcesz.

Mohamed usiadł na łóżku i zaczął kontemplować widok za oknem.

- To bardzo spokojne miasteczko. Tylko popatrz, dzień już zaczął się na dobre, a na ulicach pusto.

- Pośpiech jest złym doradcą - mruknął Ali. Mohamed sięgnął po komórkę i wybrał numer domowy. Nie mógł znieść myśli, że jego kuzyn Mustafa chce zamordować Laile.

Usłyszał ponury głos ojca i zrozumiał, że jego siostra jest już martwa.

- Synu, gdzie jesteś? Przyjeżdżaj natychmiast, stało się coś potwornego.

Mohamed słyszał w tle szlochanie i zawodzenie matki i Fatimy.

- Nie mogę przyjechać, mam ważną sprawę do załatwienia.

- Synu, twoja siostra... Mustafa zabił Laile... Mówi, że zrobił to dla naszego dobra...

Synu, proszę, przyjeżdżaj!

Poczuł, że się dusi. Ali obserwował go w milczeniu, w jego oczach Mohamed wyczytał naganę.

- Nie mogę, tato. Bardzo was kocham, powiedz to mamie... mama i ja... cóż, nie potrafiliśmy się dogadać, wiem, że ją zraniłem.

- Ależ synu, co ty wygadujesz? Co masz na myśli? Na miłość boską, Mohamedzie!

Nagle w telefonie rozległ się rozkazujący głos Mustafy, który wyrwał stryjowi słuchawkę.

- Nie powinieneś być dzwonić - warknął kuzyn.

- Co jej zrobiłeś?! - krzyknął Mohamed.

- To, czego ty nie miałeś odwagi zrobić. Możesz mi podziękować, panie ważniaku. A skoro już dzwonisz, powiedz swoim rodzicom, by przestali kwękać. Muszę się stąd zbierać, powiedz, żeby nie wzywali policji, dopóki nie będę bezpieczny. Rozkaż im to, bo w przeciwnym razie będę musiał...

- Zamknij się! Nie waż się ich nawet tknąć.

- To rób, co mówię.

Znów usłyszał w telefonie załamujący się głos ojca. Jakże nienawidził Mustafy!

- Synku... dlaczego?- Ojczy, słuchajcie Mustafy, w przeciwnym razie może wam zrobić krzywdę.

- Fatima znalazła ją w jej pokoju... poderżnęła jej gardło... potworność. Twoja siostra... Niech Allah się nad nią ulituje! Moja biedna córeczka! Twoja matka straciła rozum, nie pozwala nam zbliżyć się do Laili, tuli ją do siebie i... To straszne, synu, straszne!

- Tato, posłuchaj mnie! Pozwól Mustafie uciec, powiedz mu, że zaczekacie z wezwaniem policji. Dajcie mu trochę czasu. Tato, gdyby Mustafa jej nie zabił, zrobiłby to kto inny... Laila... Laila sprawiała kłopoty, ostrzegałem ją, zresztą ostrzegałem i was, ale nie chcieliście mnie słuchać... Kochałem ją...

Mohamed wybuchnął płaczem, Ali wyrwał mu telefon z rąk.

- Panie Amir - powiedział - niech pan posłucha Mohameda, tak będzie najlepiej dla wszystkich. Proszę zaufać mądrym osobom stojącym na czele naszej wspólnoty.

Potem oddał telefon Mohamedowi, który chciał rozmawiać z Fatimą.

- Przemów im do rozumu - poprosił żonę. - Nie pozwól mojej matce dzwonić na policję. Mustafa musi uciec, przecież wiesz.

- Nie trzeba było jej zabijać - usłyszał głos Fatimy.

- Co ty możesz wiedzieć, głupia babo! Jak śmiesz krytykować decyzje naszych przywódców. Zapytaj swojego brata, dlaczego Laila musiała umrzeć, no, zapytaj go. To on tak postanowił! - krzyknął Mohamed.

Ali wyrwał mu telefon i rozłączył się. Następnie zmusił przyjaciela do wypicia szklanki wody.

- Nie powinieneś dzwonić do domu, przecież wiedziałeś, co się święci.

Przerwało im głośne pukanie do drzwi. Mohamed otarł łzy grzbietem dłoni, Ali podszedł do drzwi i zapytał kto tam.

- Pokojówka, przysłałam po ręczniki.

- Proszę chwilę poczekać, zaraz wychodzimy - odpowiedział Ali.

- Dobrze, ale może mogłabym zabrać ręczniki już teraz. Będę bardzo wdzięczna.

Ali otworzył drzwi i zobaczył kobietę w średnim wieku, która uśmiechała się do niego uprzejmie.

- Przepraszam, że przeszkadzam, mogę wejść do łazienki po ręczniki?

Pokojówka pchnęła drzwi, nie czekając na odpowiedź, Ali odsunął się, by ją przepuścić. Mohamed odwrócił się do okna, nie chcąc, by pokojówka widziała, że płacze. Zaniepokoiły go dziwne odgłosy, a gdy się obejrzał, pokój był pełen żandarmów w cywilu, którzy celowali do niego z pistoletów maszynowych. Jeden z nich zdążył już powalić Alego na podłogę i wykręcić mu ręce, a teraz zakładał mu kajdanki.

Mohamed nie stawiał oporu. Nie zdążył założyć pasa z materiałami wybuchowymi, więc nawet gdyby chciał, nie mógłby popełnić samobójstwa. W rzeczywistości poczuł ulgę i pozwolił założyć sobie kajdanki. A jednak nie będzie musiał pożegnać się z życiem, Allah

najwyraźniej nie chce jego ofiary. Ocalił go i we Frankfurcie, i teraz. Mohamed obiecał sobie, że nigdy więcej nie będzie próbował zostać męczennikiem.

Wyszli z hotelu pod eskortą policjantów i żandarmów. Starszy mężczyzna w cywilu przyjrzał im się z zaciekawieniem, a potem zapytał jednego z żandarmów, czy przeszukano pokój i natrafiono na materiały wybuchowe.

- Tak, te aniołki miały przygotowane dwa pasy z takimi materiałami. Znaleźliśmy je w szafie, mogli je zdetonować w każdej chwili.

- Dobra robota.

- Święte słowa, panie komisarzu. Te łajdaki mogły zabić wielu niewinnych ludzi.

- Odprowadźcie ich do komisariatu. Przesłuchamy ich, a potem odeślemy do Madrytu.

- Tak jest, panie komisatrze.

Arturo Garcia odetchnął z ulgą i zadzwonił do ministra spraw wewnętrznych, by poinformować go o wyniku operacji. Następnie zatelefonował do Brukseli, do Hansa Weina, a na koniec do Lorenza Panetty.

- Pański informator pomógł nam uniknąć krwawej jatki - powiedział Włochowi. - Proszę mu podziękować w moim imieniu, bo bez jego pomocy nie moglibyśmy zatrzymać tych dwóch bydlaków ani wpaść na trop Omara z Granady.

- Co zamierzacie zrobić z Omarem? - chciał wiedzieć Panetta.

- Nic.

- Nic?

- Przecież wie pan, jak wygląda nasza robota. Teraz, gdy wiemy już, że Omar należy do Stowarzyszenia, damy mu wolną rękę i zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi - wyjaśnił Arturo Garcia.

- Proszę czym prędzej przesłuchać zatrzymanych, może powiedzą coś na temat zamachu planowanego w Rzymie.

- Spokojna głowa, właśnie się do tego zabierałem. Mam nadzieję, że powiedzą nam coś ciekawego, ale przede wszystkim, że dzięki nim rozpracujemy Stowarzyszenie. Obiecuję, że zadzwonię do pana, gdy tylko się czegoś dowiem.

Ojciec Aguirre był pogrążony w myślach, nie odzywał się od dłuższego czasu. Lorenzo obserwował go z niepokojem: twarz leciwego kapłana nabrała woskowej barwy, w jego oczach można było wyczytać ogrom nękającego go cierpienia.

- Został tylko Rzym. Właśnie dowiedziałem się od naszego człowieka w Hiszpanii, że udało się zażegnać nieszczęście w Santo Toribio - oznajmił Panetta.

Komisarz Moretti podał mu telefon, Hans Wein był na linii.

- Hans, wiem już o wszystkim, rozmawiałem przed chwilą z Garcia. Chwała Bogu, przynajmniej Hiszpanie uniknęli zamachu i ocalili relikwie. No, na dobrą sprawę na razie żadne relikwie nie ucierpiały: ani kawałek *lignum crucis* z Jerozolimy, ani z Hiszpanii, ani pamiątki po Mahomecie.

Panetta wysłuchał poleceń Hansa Weina. Jego szef był równie mocno jak on zdenerwowany sytuacją, bał się, że lada chwila Stowarzyszenie dokona zamachu w Rzymie.

- Wielkie nieba! Że też nie wpadłem na to wcześniej! Co za głupiec ze mnie! - krzyknął nagle ojciec Aguirre.

- Ojcze, proszę się uspokoić... - tłumaczył komisarz Moretti kapłanowi, który zerwał się na równe nogi z wytrzeszczonymi oczami.

- Wiem, gdzie zaatakują! - oznajmił jezuita.

Panetta, Moretti oraz towarzyszący im policjanci zamarli, przyglądając się pytająco ojcu Aguirre, który wyglądał, jakby postradał rozum.

- Wiem! Pewnie, że wiem! Mój Boże, jak to możliwe, że wcześniej się nie domyśliłem! Lorenzo Panetta i komisarz Moretti zdołali nakłonić go, by usiadł.

- Raymond de la Pallisiere nienawidzi krzyża, symbolu pogardzanego przez karatów, i przyrzekł sobie, że go unicestwi. Terrorysty próbowali zniszczyć relikwie *lignum crucis* przechowywane w Jerozolimie i w Santo Toribio, gdzie znajduje się największy zachowany fragment krzyża Chrystusowego, więc logika podpowiada, że spróbują również zniszczyć trzy rzymskie kawałki krzyża. Dlatego zaatakują bazylikę Świętego Krzyża Jerozolimskiego, gdzie znajduje się kaplica relikwii, a w niej trzy kawałki krzyża, kolce z korony cierniowej Zbawiciela, kawałek gąbki, którą go pojono... Tak, zamachowcy uderzą właśnie tam, jestem tego pewien.

- Brzmi przekonująco! - przyznał Panetta.

- Nie ma więc czasu do stracenia! - wykrzyknął komisarz Moretti.

Salim al-Bashir zgniótł kartkę, którą trzymał w dłoni. Wściekłość wykrzywiła mu twarz. Ta idiotka słono zapłaci za to, co zrobiła!

Jak mógł uwierzyć, że go posłucha? Walnął pięścią w ścianę i poczuł przeszywający ból w otartych knykciach. Jeszcze przed godziną był najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, a teraz...

Obszedł pokój, usuwając każdy ślad jej obecności. Zawsze był bardzo ostrożny podczas ich hotelowych randek: rezerwowali oddzielne pokoje i starali się, by nikt nie zauważył, jak się odwiedzają. Nigdy nie opuszczali hotelu razem, wracali do niego również osobno. Był przezorny do przesady, bo nie chciał, by widziano ich razem.

Poprzednią noc spędzili u niego w pokoju, sam ją zaprosił - przyniosła ze sobą tylko małą torbę, a w niej koszulę nocną i kosmetyczkę. Dziś rano, gdy wyszedł na spotkanie z przywódcą Stowarzyszenia w Rzymie, zostawił ją w pokoju, malowała się.

Gdy po powrocie nie zastał jej u siebie, nie zdziwił się. Pomyślał, że poszła do swojego pokoju się przebrać i że lada chwila będzie z powrotem. Zadzwoił do niej z komórki, ale nie odebrała - uznał, że jest w łazience albo zeszła na dół napić się kawy. Jednak gdy upłynęły prawie dwie godziny, a jej nadal nie było, Salim zrozumiał, że uciekła. Poszukał w pokoju jakiegoś dowodu potwierdzającego jego podejrzenie i znalazł w kieszeni swojej marynarki wiszącą w szafie list, który miętosił teraz z ręki:

Kochany Salimie, podjęłam najtrudniejszą decyzję w moim życiu: postanowiłam zerwać z tobą na zawsze. Miałaś rację, nie jestem kobietą na twoją miarę, nie jestem warta ani ciebie, ani sprawy, o którą walczysz. Przez te wszystkie lata spełniałam twoje prośby i wyznam, że robiłam to bez wyrzutów sumienia. Gdybyś mnie poprosił, bym poświęciła dla ciebie życie, chętnie bym to uczyniła, ale nie zrobię tego, czego teraz ode mnie żądasz - nie zniszczę fragmentów krzyża ani żadnych innych relikwii przechowywanych w kościele Świętego Krzyża Jerozolimskiego, mimo że twierdzisz, iż nie są autentyczne. Nigdy nie byłam dobrą chrześcijanką, już dawno straciłam wiarę i nie chodzę do kościoła, ale nie mogę zniszczyć tego, w czego poszanowaniu mnie wychowano. Nie, nie mogę zniszczyć tych trzech kawałków krzyża, byłoby to równoznaczne ze zniszczeniem kwintesencji mojej osoby - własnej duszy. Pewnie mnie wyśmiejesz, że mówię ci o duszy, bo sama zdążyłam już zapomnieć, że ją mam. Ale wszystko mi jedno. Poza tym nie chcę nikogo zabić ani zranić i nie wierzę, że udałoby mi się wyjść cało z zamachu. Wiem, jakie zniszczenia może spowodować bomba. Bądźmy szczerzy, Salimie, nie sądzę, by twój plan był tak nieszkodliwy, jak twierdzisz, co gorsza, odkryłam, że nie mogę ci już ufać takjak kiedyś. Gdybym spełniła twoje żądanie, nie potrafiłabym żyć z takim brzemieniem.

Sam widzisz, Salimie, robiłam dla ciebie wszystko: sprzeniewierzyłam się przyjacielom i samej sobie, a jednak nie potrafię popęlnić tej ostatniej, twoim zdaniem najłatwiejszej, zdrady.

Odchodzę, Salimie, myślę, że nam obojgu to rozstanie wyjdzie na dobre. Nigdy nie będę działała na twoją szkodę, obiecuję, że postaram się o tobie zapomnieć, by móc zapomnieć o wszystkim, co zrobiłam.

Nie wiem, czy będziesz mógł mi wybaczyć, mam nadzieję, że tak, przecież jesteś człowiekiem wierzącym.

Kocham cię.

Zaczął się zastanawiać, dokąd uciekła. Najpewniej opuściła hotel i wróciła do Brukseli. Może dopadnie ją na lotnisku. Zadzwoił do szefa Stowarzyszenia w Rzymie. - Przyjacielu, suka nawiała. Odwołujemy operację.- Salimie, sprawy przybrały zły obrót, oglądałeś wiadomości?

- Nie, co się stało?

- Ktoś wysadził się w powietrze pod Bramą Damasceńską w Jerozolimie. Jest dużo ofiar.

- Pod Bramą Damasceńską?

- Tak.

- Ale...

- Wiem, coś jest nie tak. Doszło również do podejrzanego wybuchu w Stambule. Podobno jest wielu zabitych i rannych.

- A co z Hiszpanią?

- Jeszcze nic nie wiadomo.

- Zadzwonię do ciebie, gdy tylko dotrę do Londynu. Spróbuj dowiedzieć się, co się stało. Może ktoś zdradził.

- Uważaj na siebie, przyjacielu.

Salim zamknął walizkę i opuścił pokój, ale wcześniej rozejrzał się raz jeszcze, na wypadek gdyby coś przeoczył.

W recepcji zapłacił za pobyt i poprosił, by przyprowadzono z garażu jego samochód. Na lotnisku przejrzał rozkład lotów do Brukseli: najbliższy samolot był dopiero za trzy godziny, poprzedni odleciał zaledwie dziesięć minut przed jego przyjazdem.

Rozejrzał się za budką telefoniczną. Zadzwoił, podał brukselski adres swojej kochanki i rozkazał: zlikwidujcie ją.

Była dla niego zagrożeniem. Dziś twierdziła, że go kocha, ale co będzie jutro?

Wolał raczej zginąć, niż dać się złapać żywcem, bo razem z nim mogła paść cała europejska siatka Stowarzyszenia. Przeklął kochankę za to, że ściągnęła na niego niebezpieczeństwo.

Ovidio Sagardia wbił wzrok w krzyż na piersi papieża. W tej samej chwili usłyszał wibracje komórki. Dzwonił ojciec Aguirre.

Odszedł za kolumnę, by porozmawiać z sędziwym jezuitą, nie tracąc z oczu papieża, który na środku Bazyliki Świętego Piotra przewodził właśnie liturgii Wielkiego Piątku.

- Teryści chcą dokonać zamachu na krzyż, a w Rzymie relikwie krzyża znajdują się w...

Ovidio wszedł mu w słowo:

- W bazylice Świętego Krzyża Jerozolimskiego. Mój Boże, przecież to oczywiste!

- Owszem, synu, to od początku było oczywiste, choć nasze zaślepienie i strach nie pozwoliły nam dostrzec tego, co mieliśmy pod samym nosem. Raymond d'Amis postanowił zniszczyć krzyż, więc logika podpowiedziała mu zniszczenie relikwii *lignum crucis*.

- I co teraz będzie? - szepnął Ovidio do telefonu.

- Panetta i komisarz Moretti zatroszczyli się już o ochronę bazyliki Świętego Krzyża Jerozolimskiego. Udali się tam osobiście.

- Słyszałem już, co się stało w Stambule i w Jerozolimie - powiedział Ovidio.

- Wiele osób straciło życie, przelano dużo krwi. Czuję się winny, bo nie zdołałem temu zapobiec.

- Ależ, ojcze, przecież wyłącznie dzięki ojcu Centrum do Walki z Terroryzmem potraktowało poważnie hrabiego d'Amisa i niebezpieczeństwo, jakie stanowi!

- Postarzałem się, już nie myślę tak sprawnie jak kiedyś.

- Pojadę do ojca zaraz po nabożeństwie.

- Nigdzie się nie ruszaj, za chwilę będę w Watykanie.

Zamek d'Amis, południe Francji

Raymond de la Pallisiere płakał z wściekłości. Dopiero co rozmawiał z Salimem al-Bashirem i nie było już wątpliwości: operacja zakończyła się fiaskiem. Relikwie krzyża pozostały nienaruszone i w Rzymie, i w Jerozolimie, i w Santo Toribio. Naliczono dziesiątki ofiar śmiertelnych i setkę rannych w Jerozolimie i w Stambule, ale cel nie został osiągnięty.

Szef Stowarzyszenia podejrzewał, że eksplozja w Stambule nie miała nic wspólnego z ulatniającym się gazem i Raymond wiedział, że gdy Salim odkryje, że przyłożył rękę do zamachu na relikwie Proroka, każe go zabić.

A jeśli chodzi o zamachowców wysłanych do Santo Toribio, al-Bashir przeczuwał, że coś poszło nie tak. Telewizja i radio nie donosiły o żadnym szczególnym zdarzeniu mającym miejsce w tym zakątku na północy Hiszpanii, więc skoro Santo Toribio nadal istnieje, było jasne, że zamach się nie powiódł.

Al-Bashir nie chciał dzwonić do Omara, wolał poczekać. Szef hiszpańskiego Stowarzyszenia sam powinien się z nim skontaktować, jeśli tego nie zrobi, będzie to oznaczało, że go aresztowano lub że stało się coś jeszcze gorszego.- Nie wiem, gdzie popełniliśmy błąd, ale się dowiem - obiecał hrabiemu al-Bashir.

- Straciłem mnóstwo pieniędzy - skarżył się Raymond.

- Wiem.

- Żądam wyjaśnień, nie zamierzam tego tak zostawić.

- Wyjaśnię panu wszystko, gdy zbadam, co się stało. Tymczasem będzie pan musiał uzbroić się w cierpliwość.

- Żądam rezultatów! - wrzasnął Raymond.

- Czy pan oszalał?! Teraz możemy tylko i wyłącznie przyczaić się i zachować spokój. Chce pan, żeby nas wszystkich aresztowano? Mam nadzieję, że dzwoni pan z bezpiecznego połączenia...

- Korzystam z nowej karty SIM.

- Musimy bardzo uważać, może ktoś nas wydał, moi ludzie byli przygotowani...

W mózgu Raymonda pobrzmiwały wciąż słowa Salima al-Bashira: „Może ktoś nas wydał...”. Ale kto? Nikt nie znał szczegółów planu, członkowie zarządu fundacji Pamięci o Katarach nie mieli pojęcia o etapach całej operacji, od rana wydzwaniali do niego zaniepokojeni tym, co usłyszeli w telewizji.

Odezwał się jeden z telefonów komórkowych hrabiego. Ten odebrał natychmiast i wzdrygnął się, słysząc głuchy głos Łącznika:

- Hrabio, gdzie jest pańska córka?

Raymonda zaskoczyło pytanie Łącznika. Co go obchodzi Catherine?

- Dlaczego pan pyta?

- Bo to osoba niezwykła, potrafi się teleportować.

- Do czego pan zmierza?

- Pańska córka od trzech tygodni przebywa w Kalifornii u przyjaciółki, dość znanej malarki, i próbuje dojść do siebie po depresji, w którą wpędziła ją śmierć matki. A ponieważ jest to dziewczę nietuzinkowe, jednocześnie urzęduje tutaj, razem z panem, poznając miejsca, gdzie spędziła młodość jej mamusia.

- Co pan wygaduje? - Raymond czuł, że zaczyna brakować mu powietrza.

- Prosiłem, by był pan bardzo ostrożny. Zepsuł pan wszystko, jest pan skończonym durniem. To przez pana operacja się nie powiodła. Pański przyjaciel al-Bashir nie będzie zadowolony, gdy usłyszy, że Stowarzyszenie wyłożyło się z powodu lekkomyślności żalosego sentymentalnego starucha. Al-Bashir stracił wartościowych ludzi. Stowarzyszenie nie wybacza błędów, a pan, hrabio, popełnił błąd najstraszniejszy.

- Zaraz rozmówię się z Catherine.

- Proszę się nie ośmieszać. Co jej pan niby powie? Myśli pan, że powie, dla kogo pracuje? Każdy z nas powinien wiedzieć, kiedy wybije jego godzina, a pana godzina, hrabio, już wybiła. Do widzenia.

Hrabia d'Amis nalał sobie kieliszek calvadosu, po czym wypił go duszkiem. Usiadł na kilka sekund, by uporządkować myśli. Nie było dla niego żadnego ratunku. Żadnego.

Wstał, usiadł za biurkiem i wezwał Edwarda. Po niecałych dwóch minutach majordomus zapukał do drzwi.

- Edwardzie, powiedz mojej córce, że chcę z nią porozmawiać. Widział, jak wchodzi beztroska, z uśmiechem na twarzy. Nie, nie była podobna ani do Nancy, ani do niego, ale była wesoła i piękna, dni, które razem spędzili, wydały mu się podarkiem od niebios.

- Chciałeś mnie widzieć? Byłam u siebie, czytałam po raz kolejny *Kronikę brata Juliana*. No proszę, dostałam na jej punkcie hopla prawie jak ty - rzuciła, siadając naprzeciwko niego.

Uśmiechnął się do niej, sięgnął do pierwszej szuflady biurka i wyciągnął rewolwer. Gdy do niej celował, Catherine spojrzała na niego z niedowierzaniem, ale nie zdążyła się uchylić. Wypalił do niej z bliska, prosto w głowę. Dziewczyna runęła na ziemię z twarzą zalaną krwią.

Raymond patrzył, jak pada, aż w końcu łyzy przesłoniły mu widok. Potem włożył sobie rewolwer do ust i nacisnął spust.

Na odgłos strzałów Edward wpadł do gabinetu - chwilę potem jego rozdzierający krzyk słyhać było w całym zamku.

Hans Wein słuchał w milczeniu Lorenza Panetty. Dyrektor Centrum do Walki z Terroryzmem z trudem skrywał oburzenie.

Wein zwołał wszystkich pracowników centrum na zebranie, by omówić to, co się stało, i ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwał, było wyznanie Panetty.

Wicedyrektor centrum był wyraźnie przygnębiony. W Wielki Piątek w nocy przeżył poważny napad stanów lękowych, który z początku wziął za zawał.

Przez cały piątek z duszą na ramieniu czekał w Rzymie na zapowiedziany zamach. Na szczęście jego najczarniejsze przecucia się nie sprawdziły. Policja przeszukała dokładnie bazylikę Świętego Krzyża Jerozolimskiego, ale nie znalazła tam nic podejrzanego. Ojciec Aguirre upierał się, że do zamachu musi dojść właśnie tam.

Panetta nie przestawał się zastanawiać, co się stało, dlaczego Stowarzyszenie odstąpiło od pierwotnego zamiaru. Czyżby wpadka w Santo Toribio skłoniła terrorystów do zasycia się w ich norach?

Najbardziej jednak zdenerwował go telefon od paryskiego przedstawiciela Centrum do Walki z Terroryzmem donoszący o samobójstwie hrabiego d'Amisa i zabiciu jego córki. Panetta krzyknął przeraźliwie, czym wszystkich wystraszył. Oblał się potem, serce zaczęło bić mu z zawrotną prędkością, poczuł, że zaczyna mu brakować powietrza. Został przewieziony do kliniki Gemelli, gdzie poddano go dokładnym badaniom. Dyżurujący lekarz stwierdził u niego stan lękowy spowodowany stresem. Ale Panetta wiedział lepiej, co mu dolega: wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju. Przyczynił się do śmierci Mireille Beziers.

W poniedziałek z samego rana wsiadł do samolotu do Brukseli, choć Hans Wein zachęcał go, by został w Rzymie i odpoczął. Panetta wiedział jednak, że musi się wytłumaczyć przed szefem - w przeciwnym razie sprawa nigdy nie zostanie zamknięta. I oto był teraz w brukselskiej siedzibie Centrum do Walki z Terroryzmem, składając przed oniemiałym i oburzonym Hansem Weinem najtrudniejsze w swym życiu wyznanie.

- Poprosiłem Mireille, by dostała się na zamek d'Amis. Najpierw nie była przekonana, ale potem się zgodziła. Wiedziałem, że chce się wykazać, bo jest inteligentna oraz ambitna i uważa, że ludzie z naszego działu potraktowali ją niesprawiedliwie. Wymyśliłem, by podała się za spadkobierczynię Raymonda de la Pallisiere, bo hrabia nie znał córki, nie widział jej na oczy. Matthew Lucas postarał się o dokładne informacje o Catherine de la Pallisiere, Mireille je sobie przyswoiła na tyle, by móc udawać córkę hrabiego. Udało jej się, oszukała starego arystokratę. Dzięki niej dowiedzieliśmy się o planowanych zamachach i o tym, że mają zostać dokonane w Jerozolimie, w Santo Toribio, w Stambule i w Rzymie. Mireille narażała życie,

by ratować życie niewinnych ludzi i uniemożliwić Raymondowi i Stowarzyszeniu przelanie niewinnej krwi. Nie przypuszczałem, że zostanie zdemaskowana... Ja... przykro mi, wiem, że jestem winien jej śmierci.

- Bo to prawda. Nie miałeś prawa organizować tej akcji bez mojej wiedzy i zgody, kłamiąc, że twoim informatorem na zamku d'Amis jest jeden ze służących hrabiego. Naraziłeś tę dziewczynę na niebezpieczeństwo, przez ciebie straciła życie. Na tobie spoczywa cała odpowiedzialność za to, co się stało.

- Gdyby nie Mireille, nie uniknęlibyśmy zamachów - zwrócił mu uwagę Panetta. - To ona zadzwoniła z zamku z informacją o knowaniach hrabiego. Bez informacji od niej niewiele byśmy wskórali. Powiedziała mi o wszystkim podczas naszej ostatniej rozmowy, więcej już się ze mną nie kontaktowała. Mireille uratowała wiele ludzkich istnień.

- Być może, nigdy nie dowiemy się, co by było, gdyby...

- Na miłość boską, Wein, jestem łajdakiem, bo przyczyniłem się do śmierci tej dziewczyny, ale nie idź w moje ślady, lekceważąc jej poświęcenie!

W tej samej chwili do gabinetu wszedł Matthew Lucas z oczami zaczerwienionymi od zmęczenia. Od trzech dni prawie nie zmrużył oka. Wiadomość o śmierci Mireille bardzo go poruszyła. - Matthew, ty także mnie okłamałeś - zwrócił się do niego z wyrzutem Hans Wein.

- To prawda. Nie przepadałem za Mireille, ale uznałem, że pomysł Lorenza, by wysłać ją na zamek jako córkę hrabiego, to okazja, której nie powinniśmy zmarnować. Wiedzieliśmy jednak, że pan nie zgodzi się na nasz plan. Może pan zwrócić się do mojej agencji, by przysłano kogoś innego na moje miejsce, rozumiem, że stracił pan do mnie zaufanie - rzekł spokojnie Matthew Lucas.

- Tak też zrobię, zapewniam pana, że tak zrobię. A co do ciebie, Lorenzo... Myślę, że faktycznie powinieneś wrócić do Rzymu, skoro masz zostać dziadkiem. Tobie również już nie ufam.

- Rozumiem, Hans, nie mam ci tego za złe.

- Bo nie możesz mieć mi tego za złe. Dobrze, podsumujmy więc... No, ale gdzie, u diabła, podziały się Laura White i Andrea Villasante? Przecież prosiłem, by powiadomiono je o zebraniu...

W tej samej chwili do gabinetu wpadła asystentka Andrei Villasante, Diana Parker, zmieniona na twarzy. Trzej mężczyźni zamarli, spoglądając na nią pytająco.

- Potworność! Potworność! - szlochała Diana.

- Co się stało? - zawołał Hans Wein. - Na miłość boską, niech pani mówi!

Do gabinetu weszła jedna z sekretarek, a za nią pozostali pracownicy biura. Wszyscy byli poruszeni. Wreszcie Diana Parker odzyskała głos:

- Nie żyją! Mój Boże, to straszne!

Dwie minuty później wkroczył inspektor brukselskiej policji. Chciał rozmawiać z Hansem Weinem.

- Dziś rano kobieta spacerująca po parku z psem znalazła ciała Laury White i Andrei Villasante. Pies zaciągnął ją na miejsce, gdzie leżały zwłoki. Lekarz sądowy orzekł, że śmierć nastąpiła około dwudziestej. Znalaziono również dwie torby z rzeczami osobistymi denatów, panie White i Villasante wracały najprawdopodobniej ze squasha.

Wszyscy zamilkli poruszeni. Nagle okazało się, że dział dotknęła plaga zabójstw. Zamordowano nie tylko Mireille, ale również Laurę i Andreę. Ale dlaczego je?

- Jak zginęły? - zapytał Hans Wein, próbując nad sobą zapanować, mimo poruszenia.

- Podcięto im gardła. Bardzo mi przykro - powiedział inspektor belgijskiej policji.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Panetta.

- Prawdopodobnie próbowały się bronić, może nawet jedna z nich usiłowała uciec, ale zabójca... zabójca był najwyraźniej zawodowcem.

- O jakim zawodownictwie pan mówi? - zapytał nerwowo Hans Wein.

- Kieszonkowcy nie działają w ten sposób - wyjaśnił zmieszany inspektor.

Diana zaczęła opowiadać, że zadzwoniła do niej Andrea, namawiając, by poszła z nią i Laurą na squash, a potem na kolację, ale ona odmówiła, bo była już umówiona z inną koleżanką do kina.

- Gdybym przyjęła zaproszenie, byłabym teraz martwa! - mówiła wystraszona.

- Aresztowano już kogoś? - zapytał Panetta.

- Jeszcze nie. Chciałem właśnie zapytać, czy przychodzi państwu do głowy powód, dla którego ktoś chciałby zamordować Laurę White i Andreę Villasante, bo ja wiem... coś związanego z ich życiem osobistym lub pracą... - zagadnął inspektor.

- A nie mógłby to być zwykły przestępca i napaść w celach rabunkowych? - odpowiedział pytaniem na pytanie Matthew Lucas.

- Raczej nie. W torbach ofiar znalaziono portfele i wszystkie karty kredytowe. Skontaktowaliśmy się z bankami... nikt nie próbował wyciągnąć pieniędzy z kont ofiar. Najdziwniejsze, że nie natrafiliśmy na odciski palców, na nic, co naprowadziłoby nas na ślad zabójcy lub zabójców. Proszę mi powiedzieć, czy ktoś mógłby mieć jakiś powód, by je zabić?

Hans Wein wyprostował się zakłopotany pytaniem policjanta.

- Nie, inspektorze, mówimy o dwóch wzorowych urzędnikach, osobach bardzo odpowiedzialnych, godnych zaufania.

- Przepraszam, że zadaję państwu takie pytanie, ale za każdym morderstwem kryje się jakiś motyw, a moje zadanie polega na ustaleniu go i zatrzymaniu mordercy.

- Rozumiem, inspektorze, niech więc pan wykonuje swoją pracę. Ale proszę również zrozumieć nasze zdenerwowanie i żal, straciliśmy bliskie nam osoby. Laura White była moją asystentką, a bez Andrei Wlasante nasz dział nie mógłby w ogóle funkcjonować...

Po wyjściu inspektora policji Hans Wein wykrzyknął:

- Co się, u licha, dzieje? To przecież jakiś obłąd! Doszedłszy do siebie, Diana Parker podała więcej szczegółów dotyczących jej ostatniej rozmowy z Andreą Villasante:

- Andrea wyjechała na urlop, Laura również, ale obie wróciły przed czasem. Andrea wyjaśniła, że Laura chce spalić adrenalinę, więc idą pograć w squasha. Zapytała, czy chcę się do nich przyłączyć...

- Hans, jedna z nich była informatorką... - oznajmił Panetta.

- Czyją informatorką? O czym ty mówisz?

- Przecież mówiłem ci, że mamy w biurze „kreta”, inaczej dlaczego Karakoz stałby się nagle taki ostrożny? Na dobrą sprawę, dopóki Mireille nie wkręciła się na zamek, krążyliśmy po omacku. To właśnie Mireille potwierdziła nasze podejrzenia o związkach hrabiego ze Stowarzyszeniem. Laura albo Andrea pracowały dla Karakoza lub dla Stowarzyszenia.

- Oszalałeś! Przecież dział bezpieczeństwa zlustrował wszystkich naszych pracowników! Poza tym znałem dobrze Laurę i Andreę, były to kobiety wyjątkowe, oddane pracy, niezdolne popęlić tak potwornej zdrady.

- Jedna z nich zdradziła - upierał się Panetta.

- Więc dlaczego je zabito?

- Nie wiem, może dlatego, że informatorką przestraszyła się, że zostanie zdemaskowana lub ponieważ z jakiegoś powodu przestano jej ufać. W Rzymie nie dokonano zamachu, przed którym ostrzegała nas Mireille, a Hiszpanie złapali dwóch terrorystów ze Stowarzyszenia, którzy wcześniej czy później puszcza farbę.

- Może Mireille Beziars się pomyliła i zamach w Rzymie nie był w ogóle planowany? A jeśli chodzi o terrorystów zatrzymanych w Hiszpanii, to zwykle ofiary losu, mięso armatnie: jeden był drobnym przestępcą, któremu w więzieniu zrobiono wodę z mózgu, drugi, Mohamed Amir, to student pochodzący z dobrze zintegrowanej muzułmańskiej rodziny osiadłej w Granadzie. Ów Amir jest zresztą szwagrem znanego frankfurckiego imama. A tak na marginesie, jego siostrę zamordowano w ten sam feralny Wielki Piątek, najwyraźniej

chodzi o morderstwo honorowe. Ofiara żyła na zachodnią modłę, była feministką i występowała przeciwko radykalnym islamistom. Zamordował ją jej kuzyn, by oczyścić honor rodziny. Nie, te dwa typki nie powiedzą nam już dużo więcej. Rozmawiałem z inspektorem Garcia, nie sądzi, by udało się coś z nich wyciągnąć.

- Ja również rozmawiałem z inspektorem. Hiszpanie nie mają wątpliwości, że ci dwaj terroryści należą do Stowarzyszenia, podobnie jak Hakim, który wysadził się w Jerozolimie. No i mają poważny problem z tą wsią, Canos Blancos, której burmistrzem był Hakim. Być może to baza Stowarzyszenia, ale hiszpańskie władze muszą mieć się na baczności, by gazety nie oskarżyły ich o ksenofobię - dodał Matthew Lucas.

- Hans, nalegam, byś zastanowił się nad tym, co ci powiedziałem - odezwał się Panetta.

- Nie pozwolę, byś kalał dobre imię Laury i Andrei!

- Powiedziałbym raczej, że boisz się, by nasz dział nie został poddany kwarantannie z powodu przecieków! - odciął się Panetta.

- To, co mówisz, to tylko i wyłącznie hipoteza. Nakazuję ci uszanować zmarłych. Nie kalaj dobrego imienia dwóch niewinnych kobiet. Powiem ci, co się stało: Laura i Andrea są ofiarami zwykłego przestępcy. Może chciał je okraść, ale stawiały opór, więc je zabił, a potem ktoś go spłoszył i sprawca uciekł, porzucając łup. Zresztą, sam nie wiem... Ale wiem na pewno, że nie będę obrzucał błotem ani Andrei i Laury, ani naszego działu.

- Hans, ja również je cenilem, chciałbym jednak wiedzieć, która z nich nas zdradziła i dlaczego.

47

Ojciec Aguirre odprawiał nabożeństwo żałobne za duszę Mireille Beziers. Lorenzo Panetta poprosił go, by przyjechał do Brukseli i poprowadził uroczystości pogrzebowe. Dzień wcześniej pożegnano Andreę Villasante i Laurę White, następnie trumny z ciałami przewieziono do krajów ojczystych obu zmarłych: Hiszpanii i Anglii. Pogrzeb Mireille Beziers był jednak wyjątkowo uroczysty, bo chodziło o córkę ambasadora, bratanicę generała NATO, przedstawicielkę rodziny mającej znajomych i przyjaciół na najwyższych szczeblach.

Sędziwy jezuita przybył w towarzystwie młodego kapłana Ovidia Sagardii.

Kobiety z działu analiz brukselskiego Centrum do Walki z Terroryzmem płakały, a i mężczyźni z trudem powstrzymywali łzy. Wszyscy mieli wyrzuty sumienia, bo nie docenili Mireille Beziers - nazwanej przez ojca Aguirre bohaterką - dziewczyny, która nie zawahała

się narazić życia, by uniknąć rozlewu krwi. Dziewczyny odważnej, wspaniałomyślnej i wielkodusznej.

Hans Wein słuchał ojca Aguirre z oczami wbitymi w ziemię.

Mireille zginęła na służbie, Laura White i Andrea Villasante zostały natomiast zamordowane przez nieznanego sprawcę, choć wersja oficjalna mówiła o pospolitym przestępcy, który napadł je i próbował obrabować, gdy wracały ze sąuasha.

Hansowi Weinowi składano kondolencje z powodu śmierci jego trzech pracowników, choć za sprawą spojrzeń posyłanych mu przez Lorenza Panettę dyrektor działu analiz czuł się jak ostatni łajdak. Tak, ubolewał nad stratą Laury i Andrei, ale nigdy nie przepadał za Mireille Beziers, która tymczasem stała się bohaterką i teraz wszyscy gratulowali mu, że zatrudnił w swoim dziale tak nieustraszoną kobietę.

Zaczekał, aż wszyscy uczestnicy pogrzebu wyjdą. Chciał porozmawiać z Lorenzem Panetta, ale ten zniknął w zakrystii w ślad za ojcem Aguirre i Ovidiem Sagardia. W zakrystii Wein spotkał również Matthew Lucasa.

- Przyszedłem się pożegnać. Wiem, że jutro wyjeżdżasz - powiedział do Panetty jego były szef.

- Zgadza się, wyjeżdżam. W biurze zostawiłem ci raport z wnioskami ze śledztwa. Mam nadzieję, że ci się na coś przyda - odparł Panetta.

- Już się z nim zapoznałem, dziękuję.

- Przeczytałeś już raport?

- Owszem, choć przyznaję, że trudno mi się zgodzić z niektórymi rzeczami, które tam pisesz.

Ojciec Aguirre, Ovidio i Matthew obserwowali ich bez słowa zmieszani. Obaj duchowni zdążyli się już przebrać, teraz mieli na sobie garnitury z koloratkami.

- Popieram teorię Lorenza - zabrał głos Matthew.

- Cóż, spodziewałem się tego.

- Hans, fakty mówią same za siebie: hrabia d'Amis chciał się zemścić na Kościele, niszcząc to, co dla chrześcijan najcenniejsze, czyli krzyż, relikwie *lignum crucis*.

- A co powiesz o zamachu w Stambule? Z tego, co mi wiadomo, muzułmanie w niczym nie zawinili katarom.

- Tak, mamy wiele niewiadomych, brakuje nam ogniw łączących poszczególne wydarzenia. Nadal nie wiemy, kim jest tajemniczy pan Brown, może to on stanowi ogniwo między zamachem w Stambule a tymi w Santo Toribio i w Jerozolimie. Dużo o tym rozmawiałem z ojcem Aguirre, który uważa, że ktoś podpuścił Raymonda... ktoś, komu

zależy na skłóceniu muzułmanów z Kościołem oraz całym zachodnim światem. Zresztą to właśnie mówiła Mireille, opowiadając mi o tym podejrzanym panie Brownie.

- Niby dlaczego miałyby mu na tym zależeć? - zapytał Hans Wein, zwracając się do ojca Aguirre.

- Panie Wein, pewne osoby wiele by skorzystały na tym konflikcie, mam na myśli osoby traktujące swoich bliźnich i cały świat jako okazję do zbitcia interesu. Gdyby zniszczono relikwie Proroka, radykalni islamiści wylegliby na ulice, by pomścić krwawo swą krzywdę. Również zniszczenie fragmentów krzyża przechowywanych w Santo Toribio, w Jerozolimie oraz w bazylice Świętego Krzyża Jerozolimskiego w Rzymie wywołałoby powszechne oburzenie w świecie chrześcijańskim. Komuś wyraźnie zależało na wywołaniu konfliktu, chciano doprowadzić do wojny religijnej i o mały włos do niej nie doszło. Zakładam, że ktoś mógłby na niej zarobić krocie.

- Hans, przecież sam wysunąłeś podobną hipotezę, powiedziałeś, że za całą sprawą mogą się kryć interesy - przypomniał Lorenzo Panetta. - Hrabia d'Amis skontaktował się ze Stowarzyszeniem, by ziścić swe marzenie; sfinansował zamachy, za pośrednictwem Karakoza zdobył broń, posłużył się tą biedaczką Ileną. Poza tym musisz się pogodzić z tym, że w naszym dziale doszło do wycieku informacji.

- Tak, mówisz o tym od miesiący - przyznał Hans Wein.

- A „kretem” była albo Laura White, albo Andrea Wlasante - oznajmił Panetta.

- Co to, to nie! Nigdy w to nie uwierzę! - wykrzyknął Wein.

- Więc pana zdaniem dlaczego je zamordowano? - zapytał Matthew Lucas.

- Ty mi to powiedz, Matthew, zamieniam się w słuch - odgryzł się Hans Wein.

- Bo ktoś próbował pozbyć się jednej z nich, ale były akurat razem i sprawca nie chciał zostawiać świadków.

- Ale kto zabijałby własnego informatora?

- Może ktoś, kto czuje się zagrożony, podejrzewając, że informator lada chwila zostanie zdemaskowany - odpowiedział Lorenzo. - Zapewne nasz „kret” napomknął osobie, dla której pracował, że utajnił śledztwo w sprawie frankfurckiej. A może to „kret” postanowił się wycofać? Nie wiem.

- Wein, niech pan weźmie jednak pod lupę Salima al-Bashira - poradził dyrektorowi centrum Matthew. - To bardzo podejrzany typ.

- Jak dotąd niczego mu nie udowodniono, zupełnie niczego.

- Uważamy z Matthew, że Salim al-Bashir jest jednym z przywódców Stowarzyszenia. Tobie przyjdzie to sprawdzić - oznajmił Panetta.

- Przecież wiesz, że Brytyjczycy nie chcą nawet słyszeć o wszczęciu dochodzenia w tej sprawie.

- Cóż, w takim razie tylko ty, oni i wasz upór jesteście za wszystko odpowiedzialni - podsumował Lorenzo.

- Jak już wiesz, komisarz Garcia mówi, że dwaj terroryści zatrzymani w Santo Toribio przeczą, jakoby znali Salima al-Bashira, i twierdzą, że to oni i tylko oni zaplanowali zamach.

- Tak, mogę sobie wyobrazić ich zeznania, ale mam nadzieję, że komisarz Garcia zdoła jednak zdobyć więcej informacji, nie tylko od tych dwóch terrorystów, ale również od tego Omara, który jest oczywiście przywódcą organizacji.

- Będę cię informować na bieżąco - obiecał Hans Wein, wyciągając rękę do Lorenza Panetty.

- Nie, nie będziesz, ale wszystko mi jedno. Zamknąłem już ten etap mojego życia.

- Życzę ci szczęścia.

- Dziękuję, ja również życzę ci wszystkiego najlepszego. Hans Wein miał już wychodzić, kiedy do zakrystii weszli mężczyzna i kobieta. Rozpoznał w nich rodziców Mireille Beziers. Matka, cała w czerni, miała na twarzy ślady łez. Ojciec, wysoki i chudy, z godnością znosił ból po stracie córki.

- Ojcie Ignacio, chcieliśmy podziękować za to, co ojciec powiedział o naszej córce - powiedziała matka Mireille.

- Nie musicie mi dziękować. Żałuję, że w żaden sposób nie mogę ulżyć wam w bólu - powiedział jezuita.

Matka Mireille zrobiła krok w stronę Hansa Weina i Lorenza Panetty. Obaj spuścili wzrok.

- Teraz, gdy nikt nas nie słyszy i nie musimy przed nikim udawać, coś panom powiem. Są panowie nikczemni, to panowie zamordowali moją córkę. Pan, panie Wein, gardził Mireille, bo była wszystkim, czym pan nigdy nie był. Czym panu zawiniła? Że nie była dziewczyną z przedmieścia, która przetarła sobie drogę na szczyt, tak jak pan? Myli się pan, Mireille nic nie dostała od życia za darmo. Była inteligenta, zawsze miała najlepsze stopnie w szkole i na uniwersytecie. Opanowała biegle kilka języków i postanowiła dołożyć wszelkich starań, by budować mosty między Wschodem a Zachodem. Jej najlepszymi przyjaciółmi byli muzułmanie, dlatego brzydziła się przemocą, do której nawoływali islamscy fundamentaliści, i występowała przeciwko nim, twierdząc, że są zakałą islamu. Ale pan uwziął się na nią, odkąd przyszedł do pana działu, traktował jak zadżumioną, przypiął jej łatkę „dziewczynki z plecami” i okazywał pogardę. Poniżał ją pan, choć jest pan nikim, zerem.

Wiem, jak dochrapał się pan swojego stanowiska, panie Wein: podlizując się politykom, siląc się na polityczną poprawność, bojąc się, że ktoś mógłby się domyślić, jaki z pana obłudnik.

- Droga pani, błagam, niech pani nie rani samej siebie! - prosił ojciec Aguirre porażony słowami tej kobiety, która nie wstydziła się łez.

- Nie, nie będę milczała. Chcę, by panowie wiedzieli, jak bardzo nimi gardzę. Pan, panie Panetta, posłużył się moją córką, wykorzystał pan jej sytuację, jej chęć wykazania się i udowodnienia, że zasługuje na posadę w waszym dziale. Nie obchodziło pana, że Mireille nie ma doświadczenia w terenie, gwizdał pan na to. Posłużył się nią pan w najpodlejszy sposób, obiecując jej, że jeśli się dobrze spisze, wróci na swoje stanowisko niczym bohaterka i nikt już nie będzie podawał w wątpliwość jej umiejętności. Obiecał pan się o to zatroszczyć. Oszukał ją pan.

Następnie kobieta wbiła wzrok w Matthew Lucasa, który skulił się w sobie, słuchając jej.

- A pan... pan nie jest wcale lepszy od nich. Nienawidził jej pan. No, może nie mam racji? Mireille wspomniała mi o pańskiej zdumionej minie, gdy spotkaliście się przypadkiem w restauracji. Podobno oniemiał pan, widząc ją w towarzystwie młodego człowieka o arabskich rysach. To panu wystarczyło, by zacząć podejrzewać moją córkę o Bóg wie co. Pewnie, przecież pan nie potrafi szanować ludzi innych od pana. Ten młody człowiek jedzący z Mireille kolację był dla mojej córki kimś wyjątkowym, prawdopodobnie pobraliby się, gdyby nie stało się to, co się stało. Ahmed jest Francuzem urodzonym w Montpellier, jego rodzice pochodzą z Algierii. To informatyk, bardzo dobry informatyk. On również nie dostał od życia niczego za darmo. Musiał udowodnić naszemu społeczeństwu pełnemu uprzedzeń i ksenofobów, ile jest wart. Co pomyślał pan o mojej córce, widząc ją w towarzystwie Araba? Cóż, mogę sobie wyobrazić.

Matthew spuścił głowę zawstydzony. Nie odezwał się, wiedząc, że jego przeprosiny na nic się zdadzą, bo matka Mireille nigdy mu nie przebaczy.

- Zabiliście ją. Mam nadzieję, że wasze sumienie, jeśli je macie, nie da wam spokoju do końca życia. Moja córka była niewinna. To wy przelaliście jej niewinną krew.

Ojciec Mireille wziął żonę pod rękę i wyprowadził z zakrystii, ocierając jej łzy i tłumacząc:

- No, kochana, nie płacz, nie warto, przecież ci ludzie są pozbawieni uczuć!

Hans Wein odetchnął głęboko. Był blady, przygarbił się i dopiero po minucie, która obecnym wydała się wiecznością, otrząsnął się z wrażenia i wyszedł z zakrystii.

Sędziwy jezuita wyczytał w oczach Lorenza Panetty i Matthew Lucasa ból i rozpacz.

- Przelano dużo krwi, ale gdyby nie panowie, przelano by jej znacznie więcej - próbował ich pocieszać.

- Nie, ojciec, matka Mireille ma rację, wszystko, co powiedziała, to prawda. I nie jest żadną pociechą fakt, że mogło być jeszcze gorzej. Mireille nie żyje, nie żyją również policjanci i żołnierze w Stambule oraz przechodnie spod Bramy Damasceńskiej w Jerozolimie... Zginęło wielu niewinnych ludzi. Hrabia d'Amis, chcąc pomścić śmierć niewinnych, którzy zginęli na stosach inkwizycji, doprowadził do prawdziwej rzezi. To takie absurdalne, by ktoś mścił się za coś, co wydarzyło się osiem wieków temu!

- Raymond d'Amis jest również tylko ofiarą. Przez całe życie miał obsesję na punkcie *Kroniki brata Juliana*, wierzył, że uczci swój ród, wszystkich swych przodków, dokonując zemsty, co im się nie udało. Nigdy nie dowiemy się, co się tak naprawdę stało.

- Za to ja wiem, ojciec, że trzydziestoletnia kobieta pełna życia i planów na przyszłość zginęła i że to ja jestem winien jej śmierci. Tylko tyle wiem, no i jeszcze że ta przeklęta kronika wyrządziła wiele zła.

- Nie, Lorenzo, nie zrzucaj winy na brata Juliana. Ten nieszczęsny dominikanin żył udęczonej otaczającą go przemocą, którą się brzydził, ale nigdy nie nawoływał do zemsty.

- Ale tak właśnie zinterpretował jego przesłanie ród d'Amis - upierał się Lorenzo.

- Nie, tak zinterpretował je ojciec Raymonda, który dlatego właśnie wychował syna w dzikiej nienawiści do Kościoła. Raymond był słabym, Bogu ducha winnym chłopaczyną, myślącym tylko i wyłącznie o zemście, której jego zdaniem domagał się brat Julian. Nie potrafił czytać w jego duszy, nie rozumiał, że dominikanin w rzeczywistości brzydził się przemocą i uważał, iż żaden cel nie usprawiedliwia rozlewu krwi. Gdy poznałem Raymonda, był wylęknionym nastolatkiem chcącym przypodobać się ojcu i sprostać jego oczekiwaniom. Raymond również jest tylko ofiarą.

Lorenzo pożegnał się z ojcem Aguirre oraz Ovidiem i wyszedł, nie czekając na Matthew Lucasa. Rozpoczął właśnie całą resztę swojego życia - życia, które również naznaczone zostało przez kronikę średniowiecznego mnicha.

Od tamtego pamiętnego Wielkiego Piątku minęło sześć miesięcy. Lorenzo Panetta szedł wolno ku grobowi wskazanemu mu przez dozorcę cmentarnego. Trzymał w ręce pięknie oprawioną *Kroniką brata Juliana*. Od sześciu miesięcy nie rozstawał się z tą książką, próbując wytropić na każdej jej stronie tajne przesłanie. Lecz go nie znalazł, nie istniało.

Ojciec Aguirre doradził mu, by zmierzył się z prawdą i udał się na grób, którego Lorenzo teraz właśnie szukał na cmentarzu w Montpellier.

Jezuita dzwonił do niego regularnie, pomagając mu otrząsnąć się z żalu i z przepełniających go wyrzutów sumienia. Jednak ojciec Aguirre troszczył się nie tylko o zboląłą duszę Panetty. Przed powrotem do Bilbao pojechał do Montpellier, by porozmawiać z rodzicami Mireille i spróbować ich pocieszyć, opowiadając im dokładnie, co się wydarzyło. Mówił im o *Kronice brata Juliana*, o profesorze Arnaudzie, o Raymondzie... Godzinami wysłuchiwał udręczonych słów matki Mireille, próbując zaleczyć je słowami otuchy. Właśnie ojciec Aguirre powiedział Panecie, że jeśli chce odnaleźć wewnętrzny spokój, musi pojechać do Montpellier. I oto przyjechał.

Zmroził go zapach zwiędłych kwiatów i cmentarna cisza. Już chciał zawrócić, ale przywołał na myśl słowa ojca Aguirre i szedł dalej.

Skromna marmurowa płyta zasłaniała ziemię, w której spoczywała Mireille Beziars. Poczul, jak łzy napływają mu do oczu, przysłaniając widok; zdołał je powstrzymać, by nie dać się ogarnąć wzruszeniu. Próbował się modlić, ale brakowało mu słów. Przyszedł tu, na grób Mireille, by zmierzyć się w samotności z własną duszą, a przede wszystkim, by poprosić dziewczynę o wybaczenie. Dopiero przysiadłszy na skraju płyty nagrobnej, zauważył napis:

MIREILLE BEZIARS ODDAŁA ŻYCIE, BY ZAPOBIEC ROZLEWOWI KRWI
NIEWINNYCH

Nie mógł się dłużej pohamować i zapłakał nad kobietą, która spoczywała tu na wieki, zapłakał - jak nie płakał jeszcze nigdy w życiu - nad morzem przelanej krwi niewinnych.